



R *Mary*
RENAULT

KRÓL
MUSI
UMRZEĆ

esprit
wydawnictwo

HISTORII TEZEUSZA CZĘŚĆ PIERWSZA


Król musi umrzeć jest pierwszą częścią dwuksięgu o antycznym greckim bohaterze, Tezeuszu. Podobnie jak Tolkien, który by napisać *Władcę Pierścieni*, musiał pieczołowicie wykreować magiczną krainę Śródziemia, jego uczennica z Oksfordu, Mary Renault, z wielkim staraniem o detale stwarza na nowo świat Morza Śródziemnego czasów archaicznych. Życie Tezeusza śledzimy od jego dzieciństwa, gdy jako syn księżniczki z greckiej Trojzeny, nie znając swego ojca, stara się dosięgnąć prawdy o swym pochodzeniu. Razem z Tezeuszem podróżujemy przez Peloponez, obserwujemy jego potyczki z krwawymi rozbójnikami zamieszkującymi przesmyk Isthmos, walkę o władzę w w Eleuzis i trudne relacje z odnalezionym ojcem. Docieramy wreszcie na Kretę, gdzie czeka półludzki Minotaur...

Z surowego materiału mitu powstaje wiarygodna i zachwycająca opowieść... Jestem oczarowany talentem Mary Renault.

The Observer

Wkrótce druga część historii Tezeusza – *Byk z Morza*



 merlin.pl

www.wydawnictwoesprit.com.pl
www.esprit.org.pl



Cena 29,90 zł

Tytuł oryginału:

The King must die

Copyright © Mary Renault, 1958

Copyright © for the Polish translation

by Katarzyna Kochmańska and Kazimierz Bocian

Redakcja i skład: Kazimierz Bocian

Wydawnictwo Esprit SC

ul. Soroki 4/3, 30-389 Kraków

tel. /fax (12) 262-35-51

e-mail: biuro@wydawnictwoesprit.com.pl

www.esprit.org.pl

www.wydawnictwoesprit.com.pl

ISBN 83-60040-10-9

Mary Renault

KRÓL
musi
umrzeć

tłumaczyli
Katarzyna Kochmańska
Kazimierz Bocian

wydawnictwo Kraków 2005

Spis treści

<i>Księga I Trojzena</i>	9
<i>Księga II Eleusis</i>	83
<i>Księga III Ateny</i>	145
<i>Księga IV Kreta</i>	215
<i>Księga V Naksos</i>	393
<i>Posłowie</i>	423
<i>Legenda Tezeusza</i>	427
<i>Bibliografia</i>	430

*Matko, jeżeli na takie niedługie zrodziłaś mnie życie -
Sławy mi chociaż nie skąpić powinien Dzeus Olimpijski
Z wyżyn huczący gromami.*

Achilles, w *Iliadzie* (tłum. Kazimiera Jeżewska).

Księga I

Trojzena

1

Cytadela w Trojzenie, tam, gdzie stoi Pałac, zbudowana została przez olbrzymów tak dawno, że nawet najstarsi ludzie tego nie pamiętają. Ale Pałac postawił mój pradziadek. Jeśli patrzy się na niego o świcie z wyspy Kalabrii, znajdującej się po drugiej stronie cieśniny, można zobaczyć, jak promienie wschodzącego słońca rozpalają kolumny ogniem, a mury pokrywają złotem. Rozświetlona budowla wyraźnie odcina się od ciemnej zieleni lasów, porastających stok wzgórza.

Naszym domem jest Hellada, powstała z nasienia Wiecznego Żywego Zeusa. Bogowie niebios są dla nas ważniejsi niż Matka Dia i bogowie ziemscy. Nigdy też nie brataliśmy się z Ludźmi Wybrzeża, którzy byli tu przed nami.

Mój dziadek miał już około piętnaściorga dzieci, gdy się urodziłem, ale ponieważ jego żona i synowie nie żyli, jedynie moja matka pochodziła z prawego łoża. Co się zaś tyczy mojego ojca, to po Pałacu krążyły plotki, że był nim jeden z bogów. Jednak zanim ukończyłem pięć lat, nieraz miałem okazję przekonać się, że nie wszyscy w to wierzyli. Moja matka nigdy nie rozmawiała ze mną na ten temat, a ja nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek o to pytał.

W roku, gdy skończyłem siedem lat, miał być obchodzony dzień Ofiarowania Konia. Była to niezmiernie ważna uroczystość w Trojzenie, ale ponieważ święto to wypadło raz na cztery lata, nie pamiętam poprzednich obchodów.

Wiedziałem tylko, że ma ono związek z Koniem Królem i myślałem, że będzie to coś w rodzaju składanego mu hołdu. Znałem go bardzo dobrze, więc nawet przez myśl mi nie przeszło, że mogło być inaczej.

Koń Król mieszkał na równinie, na olbrzymim pastwisku dla koni. Obserwowałem go często z dachu Pałacu i nieraz widziałem,

jak z rozwianą grzywą łapie wiatr w nozdrza albo zaleca się do swoich klaczy. A w zeszłym roku byłem świadkiem jego walki o królestwo. Jeden z arystokratów, widząc z dala rozpoczynającą się rywalizację, posadził mnie na swojego konia i pogalopowaliśmy w dół porośniętego drzewami oliwnymi wzgórza, by przyjrzeć się wszystkiemu z bliska. Patrzyłem jak te wspaniałe ogiery rozgrzebywały kopytami ziemię, jak wyginały szyje w łuk, parskały i chrapały groźnie. Potem rzuciły się na siebie z rozwianymi grzywami i obnażonymi zębami. W końcu przeciwnik padł, a Koń Król stanął nad nim, parsknął, po czym, podrzuciwszy głowę, zarżał i pokłusował w stronę swoich żon. Nikt nigdy go nie ujarzmił. Był nieposkromiony niczym morze. Nawet sam Król nigdy go nie dosiadł. On po prostu należał do boga.

Już samo jego męstwo wystarczyło, by go kochać, ale ja miałem jeszcze inny powód: uważałem go za brata.

Wiedziałem, że Posejdon mógł przybrać postać człowieka lub konia. Powiadano, że spłodził mnie przybrawszy ludzką postać; istniały jednak pieśni, mówiące, że miał też synów będących końmi. Były to zwierzęta nieśmiertelne i szybkie, niczym wiatr północny. Koń Król musiał być jednym z nich. Z uwagi na to wydawało mi się oczywiste, że musimy się spotkać. Słyszałem, że ma pięć lat. „On jest większy”, pomyślałem, „ale to ja jestem starszy, zatem to ja powinienem zrobić pierwszy krok”.

Następnym razem, kiedy Opiekun Koni poszedł wybrać źrebaki do rydwanów, namówiłem go, by wziął mnie z sobą. W czasie, gdy on wykonywał swoją pracę, ja zostałem ze stajennym, który na piachu narysował planszę i zajął się grą z przyjacielem. Wkrótce zupełnie o mnie zapomnieli. Przeszedłem przez ogrodzenie i udałem się na poszukiwanie Konia Króla.

Konie z Trojzeny były Hellenami czystej krwi. Nigdy nie mieszailiśmy ich z małą rasą koni Ludzi Wybrzeża, którym odebraliśmy ziemię. Gdy byłem już na pastwisku razem ze zwierzętami, wydawało mi się, że są olbrzymie. Wyciągnąłem rękę, by pogłaskać jednego z nich i wtedy usłyszałem za sobą krzyk Opiekuna Koni.

Udałem, że nie słyszę. „Ciagle ktoś wydaje mi rozkazy”, pomyślałem. „To na pewno dlatego, że nie mam ojca. Chciałbym być Koniem Królem. Jemu nikt nie rozkazuje”. A potem dostrzegłem go. Stał samotnie na niewielkim pagórku i obserwował drugi koniec pastwiska, gdzie wybierano żrebaki. Podeszedłem bliżej. Wtedy do głowy przyszło mi coś, co wcześniej czy później przychodzi do głowy każdemu dziecku: to jest prawdziwe piękno.

Usłyszał mnie i odwrócił się w moją stronę. Wyciągnąłem rękę i zawołałem tak, jak to czyniłem w stajniach:

- Synu Posejdona!

Podbiegł do mnie, tak jak konie w stajniach, a ja podałem mu kawałek soli, który przyniosłem.

Za moimi plecami powstało zamieszanie. Koniuszy kłął, a Opiekun Koni bił go. „Ja będę następny”, pomyślałem. Mężczyźni machali do mnie z płotu i przeklinali, dlatego też bezpieczniej czułem się tam, gdzie stałem. Koń Król był tak blisko, że widziałem jego rzęsy i ciemne oczy. Grzywa opadała mu na czoło, niczym białe wody wodospadu wpadające pomiędzy lśniące kamienie. Zęby miał tak wielkie jak ozdoby z kości słoniowej na wojennym hełmie, zaś wargi, którymi zlizywał sól z mojej dłoni, miększe niż pierś mojej matki. Gdy zjadł wszystko, otarł swój policzek o mój i wciągnął w nozdrza zapach moich włosów. Potem wrócił na pagórek wymachując ogonem. Chód miał lekki i miękki niczym tancerz, chociaż, jak się później dowiedziałem, kopytami potrafił zabić pumę. Nagle poczułem, że ze wszystkich stron łapią mnie czyjeś ręce i pośpiesznie ściągają z pastwiska. Zdziwiłem się, kiedy zobaczyłem Opiekuna Koni bladego jak trup. Wsadził mnie na swojego wierzchowca i przez całą drogę do domu prawie się nie odzywał. Bałem się, że po tym, co zrobiłem, dziadek osobiście złoł mi skórę, ale on tylko powiedział:

- Tezeuszu, poszedłeś na pastwisko jako gość Peirosa. Niegrzecznie było narażać go na nieprzyjemności. Karmiąca kłacz mogła odgryźć ci rękę. Zabraniam ci więcej tam chodzić.

Całe to zajście miało miejsce, gdy miałem sześć lat, a dzień Ofiarowania Konia wypadał w następnym roku.

Było to najważniejsze święto obchodzone w Trojzeniu. Pałac przygotowywał się do niego przez okrągły tydzień. Najpierw matka zabrała kobiety nad rzekę Hyllikos, by wyprać stroje. Szaty załadowano na muły i zawieszono nad wodospad, gdzie była najczystsza woda w okolicy. Hyllikos nigdy nie wysychała ani nie zamulała się, nawet w czasie suszy. Ale teraz, latem, poziom wody był bardzo niski. Stare kobiety prały lekkie stroje przy brzegu, objając je kijankami na kamieniach, a dziewczęta, podwinąwszy spódnice, zaniosły ciężkie tuniki i płaszcze na środek strumienia. Jedna grała na fujarce, a pozostałe śmiały się i chlapały wodą. W czasie, gdy rzeczy schły na nagrzanym słońcem kamieniach, dziewczęta rozebrały się i poszły się kąpać, zabierając mnie z sobą. To był ostatni raz, kiedy mogłem tam pójść. Moja matka zauważyła bowiem, że rozumiem ich żarty.

W dniu świątecznym obudziłem się o świcie. Moja stara niania ubrała mnie w najlepsze szaty: spodnie z owczej skóry z plecionymi brzegami, czerwony pas spięty kryształowymi klamrami i naszyjnik ze złotych koralików. Gdy mnie uczesała, poszedłem zobaczyć, jak ubiera się moja matka. Wyszła właśnie z kąpieli, a przez głowę wciągano jej spódnicę, składającą się z siedmiu warstw falban wyszywanych złotymi koralikami i wisiorkami, które dzwoniły i błyszczały, gdy ją poprawiała. Kiedy zapinano jej złotą szarfę i gorset, wciągnęła powietrze, po czym wypuściła je ze śmiechem. Jej piersi były delikatne jak jedwab, a sutki tak różowe, że nigdy nie musiała ich barwić; choć liczyła sobie wtedy już dwadzieścia trzy wiosny, nadal nie osłaniała ich niczym.

Ściągnięto jej z włosów papiloty (włosy miała ciemniejsze niż moje, kolorem zbliżone do wypolerowanego brązu) i zaczęto je czesać. Wybiegłem na taras, ciągnący się wzdłuż wszystkich komnat królewskich, znajdujących się nad Dużą Salą. Światło porannego słońca było czerwone, a karmazynowe kolumny zdawały się płonąć. Usłyszałem, że Moźni z Pałacu, przyodziani w stroje wojenne, zbierają się na podwórze. Na to tylko czekałem.

Wchodzili dwójkami i trójkami. Brodaci wojownicy rozmawiali, młodzi śmiali się i biegali, krzycząc do przyjaciół, lub udawali, że atakują się przy pomocy włóczni. Na głowach mieli wysokie, ozdobione piórami hełmy z otokiem z brązu lub wzmocnieniami ze skóry. Ich szerokie piersi i ramiona, nabłyszczone oliwą, lśniły rdzawo w różowawym świetle poranka. Szerokie skórzane spodnie odstawały od ud, powodując, że ich szczupłe talie, ściśnięte pasami od mieczy, zdawały się jeszcze szczuplejsze. Starsi czekali wymieniając się nowinami, drocząc się z sobą lub popisując przed kobietami, młodszy zaś lewymi rękami opierali się na tarczach, a w prawych trzymali włócznie. Wąsy mieli zgolone. Przyjrzałem się ornamentom na tarczach, na których widniały ptaki, ryby i węże. Jednocześnie wypatrywałem przyjaciół, których pozdrawiałem, i którzy odwzajemniali mi się unosząc włócznie. Siedmiu lub ośmiu z nich to moi wujowie. Byli dziećmi mojego dziadka i dobrze urodzonych kobiet-branek wojennych lub kobiet podarowanych mu przez królów sąsiednich państw.

Arystokraci przybyli konno lub rydwanami. Oni również byli półnaczy, gdyż dzień wstawał ciepły, z klejnotów jednak nie zrezygnowali. Nawet czuby butów przystrojone były złotymi frędzlami. Głosy mężczyzn stawały się coraz donośniejsze i stopniowo wypełniały całe podwórze. Wyprostowałem plecy i zapiąłem ciaśniej pas. Gapiąc się na młodego chłopaka, któremu dopiero co zaczął pojawiać się zarost, policzyłem lata na palcach.

Pojawił się Talaos, Dowódca Wojska. Był to syn mojego dziadka i branki wojennej - żony jednego z wodzów. Miał na sobie najlepsze rzeczy: hełm, cały ozdobiony wygrawerowanymi kłami dzika, wygrany w czasie igrzysk urządzonych po śmierci Króla Myken, oraz dwa miecze - długi, z kryształową głowicą, którym czasami pozwalał mi się bawić, oraz krótki, ze sceną polowania na lamparta inkrurowaną w złocie. Mężczyźni przytknęli ostrza włóczni do brwi, a on przebiegł po nich wzrokiem, po czym wszedł do środka, by powiadomić mojego dziadka, że są gotowi. W chwilę potem pojawił się

ponownie i stanąwszy na stopniach przed królewską kolumną, z brodą wysuniętą do przodu, niczym dziób okrętu, zakrzyknął:

- Bóg nadchodzi!

Wszyscy opuścili podwórze. Gdy wyciągałem szyję, by zobaczyć, co się będzie działo, osobisty służący mojego dziadka wszedł, aby spytać służkę matki, czy panicz Tezeusz jest gotowy, żeby pójść z dziadkiem.

Myślałem, że mam iść z matką. Ona chyba zresztą też tak sądziła, ale kazała powiedzieć, że będę gotowy, kiedy tylko jej ojciec sobie tego zażyczy.

Moja matka był Najwyższą Kapłanką Matki Dia w Trojzenie. Za czasów Ludzi Wybrzeża wystarczyłoby to, aby uczynić z niej królową. A gdybyśmy jeszcze składali ofiary na Omfalosie, nie byłoby nikogo ważniejszego od niej. Jednak to Posejdon jest jej mężem i panem, dlatego też w czasie jego święta mężczyźni są ważniejsi. Gdy więc usłyszałem, że mam iść z dziadkiem, poczułem się prawdziwym mężczyzną.

Wbiegłem na flanki i dopiero teraz zobaczyłem, za jakim bogiem wszyscy poszli. Koń Król został wypuszczony i, wolny, galopował teraz przez równinę.

Ludzie ze wsi również pojawili się, by go powitać. Rumak pognał przez zboże, ale nikt nawet nie podniósł ręki, by go powstrzymać. Następnie minął pole fasoli i jęczmienia i byłby pobiegł dalej, aż do wzgórz oliwnych, gdyby nie kilku mężczyzn, którzy tam stali. Na ich widok zawrócił. W czasie, gdy zajęty byłem obserwowaniem konia, na opustoszałe podwórze zajechał rydwan mojego dziadka. Wtedy przypomniałem sobie, że mam mu towarzyszyć i aż zatańczyłem z radości.

Sprowadzono mnie na dół. Woźnica Eurytos był gotowy. Stał nieruchomo niczym posąg i tylko mięśnie rąk drgały z wysiłku spowodowanego powstrzymywaniem koni. Wsadził mnie do rydwanu i teraz czekaliśmy już tylko na mojego dziadka. Nie mogłem się doczekać, by zobaczyć go w wojennych szatach, gdyż wtedy był jeszcze okazałym mężczyzną.

Ostatnio, gdy byłem w Trojzenie, dziadek kończył osiemdziesiąt lat. Był zasuszony, niczym stary konik polny grający przy kominku.

Mógłbym go z łatwością podnieść. Umarł w miesiąc po moim synu, pewnie dlatego, że nic go już przy życiu nie trzymało. Wtedy jednak był jeszcze w pełni sił.

W końcu pojawił się, odziany w kapłańską szatę z przepaską, a w rękę zamiast włóczni trzymał berło. Wsiadł do rydwanu i dał sygnał do odjazdu. Nie można było mieć wątpliwości - mimo kapłańskich szat od razu było widać, że tym rydwanem jedzie wojownik. Dziadek jechał na szeroko rozstawionych nogach, tak jak się jeździ w czasie wojny, trzymając broń w rękę. Zawsze, gdy mu towarzyszyłem, stałem z lewej strony. Nie mógł bowiem ścierpieć, gdy cokolwiek znajdowało się po jego prawej ręce, gdyż w niej zazwyczaj trzymał włócznię. Zawsze też miałem wrażenie, że osłania mnie jakaś niewidzialna tarcza.

Zdziwiłem się widząc, że droga jest pusta. Spytałem, gdzie podzieli się wszyscy ludzie.

- Są na Sfajrii - odpowiedział przytrzymując mnie, gdy rydwan podskoczył na nierówności. - Biorę cię ze sobą, byś mógł zobaczyć rytuał. Wkrótce sam będziesz tam czekał na boga, jako jeden z jego sług.

Ta nowina zaskoczyła mnie. Zastanawiałem się, jakiej służby może domagać się bóg-koń i wyobraziłem sobie, że cheszę jego grzywę i ustawiam przed nim złote miseczki z ambrozją. Ale był on przecież też Posejdonem, wywołującym sztormy i wielkim czarnym Bykiem, którego, jak słyszałem, mieszkańcy Krety karmili młodymi chłopcami i dziewczętami. Po chwili spytałem:

- Jak długo mam zostać?

Dziadek spojrział na mnie, roześmiał się, potargał mi włosy i w końcu odpowiedział:

- Miesiąc. Będziesz służył tylko w świątyni i u świętego źródła. Już najwyższy czas, byś spełnił swój obowiązek wobec Posejdona, który jest przecież twoim ojcem. Dziś, po złożeniu ofiary, oddam cię bogu. Zachowuj się godnie i stój spokojnie, dopóki ci nie powiem. Pamiętaj, że jesteś ze mną.

Dotarliśmy do brzegu cieśniny w miejscu, gdzie znajdował się bród. Miałem nadzieję, że pokonamy go rydwanem, rozpryskując

wodę na wszystkie strony, ale niestety czekała na nas łódka, by uchronić nasze najlepsze szaty przed zamoknięciem. Po drugiej stronie znów wsiedliśmy do rydwanu i krążyliśmy przez chwilę po wybrzeżu Kalaurii patrząc w stronę Trojzeny. Potem zawróciliśmy w głąb łądu i przejechaliśmy przez las sosnowy. Kopyta koni zadudniły na drewnianym moście, a w chwilę potem zatrzymaliśmy się. Do Sfajrii, niewielkiej świętej wysepki, musieliśmy dotrzeć na piechotę, gdyż w obecności bogów nawet królowie idą pieszo.

Ludzie już czekali. Szaty, wieńce i pióra wojowników były wyraźnie widoczne na polance. Dziadek wziął mnie za rękę i poprowadził pod górę kamienistą ścieżką. Po obu jej stronach stał szpaler młodych chłopców. Byli to najwyżsi chłopcy Trojzeny i Kalaurii. Długie włosy upięte mieli na czubku głowy tak, że przypominały końską grzywę. Śpiewali, wystukując rytm prawą nogą. Był to hymn na cześć Posejdona Hippiosa. Piosenka mówiła o tym, że Koń Ojciec jest niczym płodna ziemia, niczym droga morska, która wiezie statki bezpiecznie do domu. Jego przystrojona piórami głowa i bystre oko są jak świt w górach, plecy i lędźwie jak podmuch wiatru na polu jęczmienia, a grzywa jak spieniona fala. Gdy stąpa po ziemi ludzie i miasta drżą, a domy królów rozpadają się. Wiedziałem, że to wszystko prawda, gdyż już za mojego życia trzeba było odbudowywać dach świątyni. Posejdon zniszczył drewniane kolumny i kilka domów, a na murach Pałacu powstały rysy. Nie czułem się dobrze tamtego ranka. Spytano mnie, czy wszystko w porządku, ale ja się tylko rozplakałem. Jednak, kiedy szok minął, poczułem się lepiej. Miałem wtedy tylko cztery lata i teraz prawie nic już z tego nie pamiętałem.

Nasza część świata zawsze była święta dla Trzęsącego Ziemią. Młodzi znali wiele pieśni o jego czynach. Według jednej z nich, nawet bród powstał dzięki niemu. Bóg tupnął nogą w cieśninie i morze zamieniło się w strużkę, by potem wzburzyć się i zalać równinę, przez którą od tamtego czasu pływały statki. Istniała również przepowiednia, że pewnego dnia bród znów zostanie zatopiony, gdy Posejdon uderzy weń swym trójzębem.

Kiedy szliśmy pomiędzy chłopcami, dziadek lustrował ich wzrokiem wyszukując wśród nich kandydatów na wojowników. Ja jednak patrzyłem przed siebie. Pośrodku świętej polanki stał Koń Król i spokojnie skubał coś z trójnogu.

W zeszłym roku został wytresowany, ale nie po to, by pracować, lecz specjalnie na tę okazję. Dziś o świcie podano mu paszę ze środkami oszołamiającymi, lecz ja tego nie wiedziałem. Nie dziwiło mnie jednak, że zwierzę tak dobrze znosi obecność tych wszystkich ludzi, gdyż zawsze mnie uczono, że król powinien przyjmować hołd z godnością.

Świątynia została przystrojona gałązkami sosny. W letnim powietrzu unosił się zapach żywicy, kwiatów, kadzidła, potu konia, ciał młodych chłopców oraz soli morskiej. Kapłani wysunęli się naprzód, by oddać cześć mojemu dziadkowi - najwyższemu kapłanowi boga. Ich głowy również były przystrojone gałązkami sosny. Stary Kannadis, którego broda była tak biała, jak grzywa Konia Króla, położył mi rękę na głowie, skinął i uśmiechnął się. Dziadek przywołał Dioklesa, wuja, którego lubiłem najbardziej. Był to potężnie zbudowany, osiemnastolatek, przyodziany w skórę leoparda, którego własnoręcznie zabił.

- Zaopiekuj się chłopcem, dopóki nie nadejdzie jego kolej - powiedział.

- Tak, jest, panie - odrzekł Diokles i poprowadził mnie w kierunku schodów świątyni, oddalając się od miejsca, w którym stał z przyjaciółmi. Na ramieniu miał złotą ozdobę w kształcie węża z kryształowymi oczami, a włosy związane purpurową wstążką. Matka Dioklesa była nagrodą, jaką mój dziadek zdobył za zajęcie drugiego miejsca w wyścigu rydwanów w Pylos. Zawsze wysoko ją sobie cenił, gdyż była najlepszą hafciarką w Pałacu. Diokles natomiast był śmiałym, wesołym młodzieńcem, który pozwalał mi jeździć na swoim wilczarzu. Dziś jednak spojrzał na mnie poważnie, więc obawiałem się, że jestem dla niego ciężarem.

Stary Kannadis przyniósł mojemu dziadkowi sosnowy wieniec związany wełną. Wieniec ten powinien już wcześniej być gotowy,

lecz znaleziono go dopiero teraz. W Trojzenie zawsze zdarza się jakieś drobne potknięcie. Nie potrafimy działać tak sprawnie jak Ateńczycy. Tymczasem Koń Król jadł z trójnogu i ogonem oganiał się od much.

Oprócz tego znajdowały się tam jeszcze dwa inne trójnogi. Na jednym stała misa z wodą, a na drugim z wodą wymieszaną z winem. W pierwszej z nich dziadek obmył ręce, a młody sługa osuszył je. Koń Król podniósł głowę znad paszy i zdawało się, że oboje patrzą na siebie. Dziadek położył rękę na białym pysku zwierzęcia i mocno pociągnął w dół. Koń opuścił głowę, po czym, lekko szarpiąc, uniósł w górę. Diokles pochylił się nade mną i powiedział:

- Patrz, wyraża zgodę.

Spojrzałem na niego. W tym roku jego zarost był już całkiem dobrze widoczny.

- To dobry omen - dodał. - Wróży dobry rok.

Skinąłem głową, myśląc, że to już koniec rytuału i że teraz pójdziemy do domu. Dziadek jednak wysypał jadlo ze złotej misy na grzbiet konia, następnie wziął mały ostry nóż i odciął kosmyk z grzywy zwierzęcia. Część dał Talaosowi stojącemu w pobliżu, część pierwszemu z brzegu arystokracji, a następnie zwrócił się w moją stronę i przywołał mnie. Diokles, trzymając rękę na moim ramieniu, pchnął mnie do przodu.

- Idź - wyszeptał. - Idź i przyjmij dar.

Ruszyłem przed siebie słysząc szepty mężczyzn i kobiet, które naśladowały tokujące gołębie. Wiedziałem, że syn córki Królowej ma wyższą pozycję niż synowie Pałacowych kobiet, ale nigdy nie dano mi tego odczuć publicznie. Myślałem, że oddają mi cześć, ze względu na to, że Koń Król jest moim bratem.

Włożono mi do ręki kilka mocnych, białych włosów. Chciałem podziękować dziadkowi, ale wyczułem powagę chwili. Zamiast tego poszedłem w ślady innych i w milczeniu przytknąłem kosmyki do czoła. Potem wróciłem do Dioklesa.

- Dobrze się spisales - pochwalił mnie.

Dziadek uniósł ręce i wezwał boga. Nazwał go Trzęsącym Ziemią, Wzbudzającym Fale, bratem Króla Zeusa, mężem Matki,

Pasterzem Okrętów i Miłośnikiem Koni. Zza sosnowego lasu, gdzie uwiązano rydwany gotowe do wyścigu na cześć boga, dochodziło ciche rzenie. Koń Król uniósł swą piękną głowę i odpowiedział.

Modlitwa była długa, więc myślami odpłynąłem daleko, dopóki po tonie nie zorientowałem się, że dobiega końca.

- Niech więc tak się stanie, niech wysłuchane będą modły nasze. Czy przyjmiesz ofiarę?

Wyciągnął rękę, a ktoś włożył w nią olbrzymi, bardzo ostry tasak. W pobliżu stali wysocy mężczyźni trzymający w rękach sznury ze skóry wołu. Dziadek sprawdził ostrze, po czym rozstawił nogi, tak jak w rydwanie.

Zwierzę zostało zabite szybko i bezboleśnie. Ja, podobnie jak wszyscy zgromadzeni Ateńczycy, byłem wdzięczny, że nie zostało to dokonane w jakiś straszniejszy sposób. Mimo to, nawet dziś pamiętam, jak koń, czując zbliżającą się śmierć, stanął dęba i pociągnął mężczyzn jakby byli dziećmi. Pamiętam szkarłatną linię na białej szyi i okropny smród. Pamiętam zniszczone piękno, upadek potęgi i ginące męstwo. Pamiętam smutek i palący ból, gdy zwierzę padło na kolana i złożyło jasną głowę w pyle i kurzu. Krew zdawała się wyrwać mą duszę, tak, jakby płynęła z mojego własnego serca.

Czułem się jak nowo narodzone dziecko, które chowano w jaskini, a potem nagle wyrzucono na zewnątrz, gdzie ostre powietrze rani płuca, a światło oślepia oczy. Ale pomiędzy mną i moją matką stojącą wśród innych kobiet, w kałuży krwi leżał trup konia i stał mój dziadek z zakrwawionym tasakiem. Spojrzałem na Dioklesa, ale on tylko patrzył na ciało, lekko wspierając się na włóczni, więc moje oczy spotkały się jedynie z pustymi oczami lamparta i kryształowym spojrzeniem złotego węża.

Dziadek zanurzył puchar w misie ofiarnej i wylał wino na ziemię. Odniosłem wrażenie, że z jego ręki tryska krew. Doszedł mnie zapach skóry z tarczy Dioklesa i jego ciała, zmieszany z zapachem śmierci. Dziadek oddał puchar słudze, po czym skinął głową. Diokles przełożył włócznię do drugiej ręki i chwycił moją dłoń.

- Chodź - powiedział - Ojciec cię wzywa. Zostaniesz teraz oddany bogu.

„Koń Król też został oddany bogu” - pomyślałem. Łzy smutku i przerażenia zamgłyły mi wzrok, a kiedy znów przejrzałem na oczy, cały świat zdawał się falować. Diokles przesunął tarczę, by mnie osłonić i przykrył dłonią moje oczy.

- Spraw się dobrze - rzekł. - Ludzie patrzą. Dalej, co z ciebie za wojownik? To przecież tylko krew.

Odsunął tarczę i zobaczyłem gapiący się tłum.

Na widok tych wszystkich spojrzeń, wróciły wspomnienia. „Synowie bogów nie znają strachu”, pomyślałem. „Albo zdołam ich teraz przekonać, że jestem synem boga, albo nie”. I mimo, że zbierało mi się na płacz, a w duszy panował mrok, ruszyłem do przodu.

Wtedy usłyszałem w głowie szum morza. Była to jakaś krocząca ze mną fala. Tamtego dnia słyszałem ją po raz pierwszy.

Dałem się jej unieść, gdyż miałem wrażenie, że jest w stanie usunąć każdą przeszkodę z mojej drogi. Przede mną szedł Diokles. W każdym bądź razie wyglądał jak Diokles. Równie dobrze mógł to być ktoś, kto, tak jak Nieśmiertelni, potrafi przybierać dowolne kształty. Czułem również, że będąc sam, nie byłem sam.

Dziadek zanurzył palec we krwi ofiary i nakreślił znak trójzębu na mym czole. Następnie razem ze starym Kannadisem poprowadził mnie pod chłodną strzechę, kryjącą święte źródło, i wrzucił za mnie ofiarę - byka z brązu z połączanymi rogami. Zanim wyszliśmy, kapłani odcięli boską część od ciała konia i teraz w powietrzu unosił się zapach palonego tłuszczu. Ale dopiero w domu, gdy matka spytała, co mi jest, pozwoliłem sobie na płacz.

Wtulony w jej piersi okryte włosami, płakałem tak, jakbym łzami chciał oczyścić swą duszę. Położyła mnie do łóżka i śpiewała, póki się nie uspokoilem, a potem rzekła:

- Nie oplakuj Konia Króla. Odszedł do Matki Ziemi, która stworzyła nas wszystkich. Ma ona tysiące tysięcy dzieci i zna każde z nich. On był za dobry, by ktokolwiek mógł go dosiadać na tym świecie. Matka znajdzie mu jakiegoś wielkiego bohatera, syna słońca

albo wiatru północnego, który będzie mu przyjacielem i panem. Będą galopować cały dzień i nigdy się nie zmęczą. Jutro zaniesiesz jej prezent dla Konia Króla, a ja jej powiem, że jest od ciebie.

Następnego dnia udaliśmy się razem do Omfalosa. Kamień ten spadł z niebios bardzo dawno temu. Otaczające go ściany zapadły się i porosły mchem, a dźwięki dochodzące z Pałacu były tu przytłumione. Święty Wąż miał swoją norę pomiędzy kamieniami, ale pokazywał się tylko mojej matce, gdy ta przynosiła mu mleko. Matka położyła ciasto miodowe na ołtarzu i powiedziała Bogini, dla kogo jest przeznaczone. Gdy odchodziliśmy, obejrzałem się za siebie i przypomniałem sobie oddech konia na mojej dłoni i jego miękkie, ciepłe wargi.

Siedziałem z psami przy wejściu do Dużej Sali, gdy dziadek, przechodząc, pozdrowił mnie.

Wstałem i odpowiedziałem na pozdrowienie, gdyż nie wolno mi było zapomnieć, że jest Królem. Stałem jednak ze spuszczonym wzrokiem, wciskając palec u nogi w pęknięcie w kamieniu. Przez psy nie usłyszałem, że nadchodzi. W przeciwnym razie poszedłbym stamtąd. „Jeśli on mógł coś takiego zrobić”, pomyślałem, „to jak można wierzyć bogom?”

Dziadek znów się odezwał, ale ja powiedziałem tylko „Tak” i nawet nie spojrzałem na niego. Czulem, że stoi nade mną zamyślony. Potem rzekł:

- Chodź ze mną.

Poszedłem za nim do jego komnaty. Tam się urodził, tam urodziła się moja matka i jego synowie i tam też umarł. Ja jednak rzadko przebywałem w jego pokoju. Gdy był już stary, spędzał w swej komnacie całe dnie, gdyż jej okno wychodziło na południe, a piec z Dużej Sali przechodził przez nią i ją ogrzewał. Królewskie łoże stojące w drugim końcu pomieszczenia, zrobione z wypolerowanego, rzeźbionego i inkrustowanego drzewa cyprysowego, miało siedem stóp długości i sześć szerokości. Niebieską wełnianą kapę z brzegami ozdobionymi lejącymi żurawiami, utkała moja babka, co zajęło jej pół roku. Obok stała oprawiona brązem skrzynia na szaty, a na malowanym stojaku - szkatuła na klejnoty zrobiona z kości

słoniowej. Na ścianie wisiała broń: tarcza, łuk, miecz, sztylet, nóż myśliwski i ozdobiony piórami hełm z pikowanej skóry, podszyty różową zniszczoną skórką. Oprócz tego, na podłodze znajdowały się jeszcze skóry zwierząt i krzesło. Dziadek usiadł i wskazał mi podnózek.

Z Sali na dole dochodziły stłumione dźwięki: kobiety szorowały piachem długie ławy i przeganiały przeszkadzających im mężczyzn. Najpierw rozległo się szuranie, a potem śmiech. Dziadek drgnął, jak stary pies na dźwięk kroków, potem oparł dłonie o poręcze z wyrzeźbionymi lwami i spytał:

- Tezeuszu, dlaczego się gniewasz?

Spojrzałem na jego rękę i palce wciśnięte w otwarty pysk lwa. Na palcu wskazującym miał królewski pierścień Trojzeny, przedstawiający składanie hołdu Matce. Pociągnąłem za skórę niedźwiedzia na podłodze i milczałem.

- Gdy zostaniesz królem - powiedział - będziesz lepszy niż my. Tylko brzydki i przeciętni będą umierać, a piękni i odważni zasmakują życia wiecznego. Czy tak chcesz rządzić swoim królestwem?

Chciałem zobaczyć, czy kpi ze mnie, więc spojrzałem mu w twarz. I wtedy nagle poczułem się tak, jakby kapłan z zakrwawionym tasakiem pojawił się tylko w moich snach. Dziadek przyciągnął mnie do swoich nóg i zagłębił palce w moich włosach, tak, jak zagłębiał palce w sierści psów, gdy przychodziły do niego, domagając się uwagi.

- Znałeś Konia Króla, był twoim przyjacielem. Powinieneś więc wiedzieć, czy został Królem, bo tego chciał, czy nie.

Milczałem, pamiętając walkę ogierów i ich groźne pochrapywanie i parskanie.

- Wiesz, że żył jak król, mając pierwszeństwo przy jedzeniu i przy wyborze kłaczy. Nikt nie prosił go, by się o to starał.

- Musiał to sobie wywalczyć - odpowiedziałem.

- Tak, to prawda. Później, jakby się już postarzał, pojawiłby się jakiś inny, młodszy ogier, który pokonałby go w walce i zagarnął

całe jego królestwo. Śmierć nie byłaby lekka. Mógłby też zostać przepędzony od swoich ludzi i żon, by zestarzeć się w samotności i bez honoru. Widziałeś przecież, że był dumny.

- Był aż tak stary? - spytałem.

- Nie.

Olbrzymia, pomarszczona dłoń dziadka spoczywała spokojnie na głowie lwa.

- Nie był starszy niż Talaos. Zginął z innego powodu. Ale jeśli powiem ci dlaczego, będziesz musiał mnie wysłuchać, nawet jeśli nie będziesz w stanie zrozumieć. Gdy dorosisz, a ja tu będę, opowiem ci jeszcze raz. Jeśli nie, usłyszysz to tylko raz i być może choć część z tego zapamiętasz.

Gdy mówił, do pokoju wleciała pszczoła i tłukła się o krokwie. Nawet dziś ten dźwięk przywołuje w mej pamięci to, co opowiedział mi dziadek.

- Kiedy byłem chłopcem - zaczął - znałem starego człowieka, tak jak ty znasz mnie. Tylko że on był starszy. Był to ojciec mojego dziadka. Siły dawno go już opuściły, więc całe dni spędzał na słońcu lub przed kominkiem. Opowiedział mi historię, którą teraz ja opowiem tobie, a ty być może opowiesz ją kiedyś swojemu synowi.

Pamiętam, że spojrzałem wtedy na niego, by zobaczyć, czy się uśmiecha.

- Dawno, dawno temu, nasi ludzie żyli na ziemiach północnych, dalej nawet niż Olimp, mówił. Rozgniewał się, gdy nie dałem wiary, że nigdy nie widzieli morza. Zamiast wody mieli morze traw, które rozciągało się daleko jak okiem sięgnąć, od wschodu aż po zachód. Żyli z hodowli zwierząt, miast nie budowali. Gdy zaczynało brakować trawy, przenosili się w inne rejony. Nie tęsknili za morzem w przeciwieństwie do nas, ani za płodami ziemi, gdyż ich nie znali. Nie posiadali też zbyt wielu umiejętności, ponieważ byli koczownikami. Zamiast tego widzieli niebo, które kieruje umysły w stronę bogów. Pierwsze owoce swojej hodowli oddawali Wiecznie Żywemu Zeusowi, sprowadzającemu deszcz.

- W czasie podróży arystokraci krążyli w rydwanach wokół wędrujących, chroniąc stada i kobiety. Ryzykowali, ale taka jest cena honoru, płacona przez mężczyzn. I nawet dziś, choć żyjemy na Wyspie Pelopsa, choć budujemy mury, uprawiamy oliwki i jęczmień, kradzież bydła karana jest śmiercią. Ale koń, to coś więcej. Dzięki koniom odebraliśmy tę ziemię Ludziom Wybrzeża, którzy osiedlili się tu przed nami. Koń zawsze będzie znakiem zwycięzcy, przynajmniej dopóki nasz ród nie wygaśnie.

- Lud stopniowo przenosił się coraz bardziej na południe, opuszczając swoje poprzednie terytoria. Być może Zeus nie zesłał deszczu, może ludzi było za dużo, a może zostali wyparci przez wrogów. W każdym razie pradziadek powiedział mi, że przenieśli się tu z woli Wszechwiedzącego Zeusa, ponieważ to było miejsce ich mojry.

Przerwał i zamyślił się, a ja spytałem:

- Co to jest?

- Mojra? To ostateczny kształt naszego losu, linia wokół niego. To zadanie, wyznaczone nam przez bogów, i chwała, która przypada nam w udziale. To granice, których nie wolno nam przekroczyć i przeznaczony nam koniec. Mojra, to wszystko, co nas otacza.

Zastanawiałem się nad tym, ale było to dla mnie zbyt trudne. Spytałem:

- A kto im powiedział, dokąd mają iść?

- Posejdon, który rządzi lądem i morzem. On powiedział Koniowi Królowi, a ten ich poprowadził.

Wyprostowałem się. To byłem w stanie zrozumieć.

- Gdy potrzebowali nowych pastwisk, puszczali go wolno, a on, za radą boga, troszczył się o nich. Wciągał w nozdrza powietrze w poszukiwaniu jedzenia i wody. Tu, w Trojzenie, gdy idzie do boga, ludzie prowadzą go przez pole i bród. Robimy to, by upamiętnić tamte czasy. Ale wtedy biegał wolno, a arystokraci podążali za nim, by stoczyć walkę, jeśli coś stawało mu na drodze. Bóg natomiast mówił mu, dokąd ma podążać.

- Zanim został wypuszczony, zawsze był oddawany bogu. Bóg zsyła natchnienie tylko sobie podobnym. Rozumiesz to, Tezeuszu? Wiesz przecież, że kiedy Diokles poluje, Argo wystawia mu zwierzynę,

ale nigdy nie zrobiłby tego dla ciebie, a gdy sam poluje, chwytają tylko drobne zwierzęta. Ponieważ jednak należy do Dioklesa, zna jego myśli.

- Koń Król wskazywał drogę, arystokraci usuwali przeszkody, a król prowadził ludzi. Gdy Koń Król wykonał swoje zadanie, został zwrócony bogu, dokładnie tak, jak to odbyło się wczoraj. W dawnych czasach, mówił mój pradziadek, w ten sam sposób postępowano z królami.

Spojrzałem na niego z zaciekawieniem, ale nie dziwiło mnie to. Coś mi podpowiadało, że to zupełnie normalne. Dziadek pokijał głową i zanurzył palce w moich włosach, aż mnie dreszcz przeszedł.

- Konie idą ślepo na spotkanie przeznaczenia, ale ludziom bogowie dają wiedzę. Gdy Król był ofiarowywany, znał swoją mojrę. Wiedział, że za trzy, siedem, dziewięć, czy więcej lat, w zależności od obyczaju, czas jego władzy dobiegnie końca i bóg upomni się o niego. I szedł, pogodzony z losem. Inaczej nie byłby królem i nie miałby władzy nad ludźmi. Gdy lud zbierał się, by wybrać następcę z Rodu Królewskiego, wiadomo było, że życie jego będzie krótkie, ale pełne chwały, i że prędzej pójdzie na wezwanie boga, niż wybierze długie anonimowe życie. Wiedz, Tezeuszu, że zwyczaje się zmieniają, ale to - nigdy; i pamiętaj o tym, nawet jeśli teraz tego nie rozumiesz.

Chciałem mu powiedzieć, że rozumiem, ale milczałem.

- Później nastąpiły zmiany. Być może mieli króla, którego nie mogli ofiarować, gdyż wojna przetrzebiła jego ród. A może Apollo odkrył przed nimi jakąś tajemnicę. Jakkolwiek by nie było, przestali ofiarowywać Króla we wcześniej wyznaczonym czasie. Zachowywali go przy życiu, by ofiarować w razie, gdyby musieli oblaskawić rozgniewanych bogów, albo gdy bogowie nie zsyłali deszczu, albo gdy bydło padało, albo na wpadek długotrwałej wojny. I nie było nikogo, kto by mu mówił, że nadszedł jego czas. To on był najbliższym boga, znał swoją mojrę i wiedział, kiedy należy wykonać jego rozkaz.

Przerwał, a ja spytałem:

- Skąd wiedział?

- Dowiadywał się na różne sposoby: od wyroczni, albo z przepowiedni. Czasami bóg przychodził do niego pod postacią jakiegoś znaku lub dźwięku. I nadal tak jest, Tezeuszu. Wiemy, kiedy nadchodzi nasz czas.

Nic nie mówiłem, ani nie płakałem. Położyłem tylko głowę na jego kolanach. Wiedział, że go rozumiem.

- Słuchaj i nie zapominaj o tym nigdy. Odkryję przed tobą tajemnicę. Kluczem nie jest ofiarowanie, bez względu na to, czy przychodzi w młodym, czy starym wieku, czy bóg je odsunie w czasie, czy nie. To nie przelewanie krwi, które niszczy władzę. To przyzwolenie, Tezeuszu. Gotowość jest wszystkim. To ona uwalnia serce i umysł od rzeczy bez znaczenia. Ale oczyszczenie nie trwa przez całe życie, musimy powtarzać je co jakiś czas, inaczej przykryje nas kurz. Od dwudziestu lat rządę Trojzeną, i cztery razy posyłałem Konia Króla do Posejdona. Gdy kładę rękę na jego głowie, by się skłonił, nie czynię tego tylko po to, by złożył ukłon. Witam go jako brata przed bogiem i by odnowić swą Mojrę.

Przerwał. Spojrzałem na niego i zobaczyłem, że patrzy przez filary w oknie na ciemnoniebieską linię morza. Siedzieliśmy tak przez chwilę. On bawił się moimi włosami, jak czasem głaszcze się psa, by jego natrętne zachowanie nie rozpraszało myśli. Ale ja nie miałem mu nic do powiedzenia. Nasienie nie od razu kiełkuje, gdy rzuci się w ziemię.

W końcu wyprostował się i spojrzał na mnie.

- Tak, moje dziecko. Wszystkie znaki wskazują, że będę rządzić długo. Ale czasami bywają dwuznaczne. Wiem, że to trudne dla ciebie, lecz mężczyzna w tobie podjął wyzwanie i nie podda się.

Wstał sztywno z krzesła i powoli poszedł w stronę drzwi. Jego wołanie odbiło się echem na krętych schodach. Diokles wbiegł na górę i powiedział:

- Jestem, panie.

- Spójrz na tego wspaniałego młodziana, który wyrasta ze swoich ubrań i nie ma do roboty nic prócz siedzenia w domu z psami. Naucz go jeździć konno.

Następnego roku rozpocząłem służbę dla Posejdona. Przez trzy lata, co trzy miesiące udawałem się na Sfajrię, by spędzić tam jeden miesiąc. Mieszkałem wtedy w małym domku na skraju zagajnika z Kannadisem i jego starą grubą żoną. Za każdym razem, gdy wracałem, matka narzekała, że jestem rozpuszczony jak dziadowski bicz.

To prawda, byłem nieokrzesany i zachowywałem się głośno, ale w ten sposób odreagowywałem panującą na wyspie ciszę. Gdy służy się w świętym miejscu, ani na moment nie można zapomnieć, nawet we śnie, że bóg tu jest. Nie można przestać nasłuchiwać. Również w jasny poranek, wśród śpiewu ptaków, ma się wrażenie, że ktoś szeptem nakazuje ciszę. Jedynie w czasie święta nikt nie przejawia się zbyt głośnym zachowaniem w domu Posejdona. Wszystkie dni były do siebie podobne: cisza i spokój południa, cień strzechy, cykada grająca w rozgrzanej trawie, kołyszące się czubki sosen, odległy szum morza. Codziennie zamiatałem podłogę wokół świętego źródła i rozsypywałem świeży piach. Następnie zbierałem ofiary z kamienia znajdującego się obok źródła i kładłem do naczynia, by kapłani i słudzy mogli się pożywić. Brązową misę z wielkiego trójnogu napełniałem wodą wydobywaną za pomocą dzbana w kształcie końskiej głowy. Gdy umyłem święte naczynia, gdy wysuszyłem je przy pomocy czystego płótna i przygotowałem do złożenia wieczornej ofiary, wlewałem wodę do glinianego dzbana stojącego pod okapem. Była to woda lecznicza, szczególnie skuteczna w gojeniu ropiejących ran, więc ludzie przybywali z odległych stron, by ją zdobyć.

Na skale znajdowała się drewniana figura Posejdona Sinobordego, z głową konia i trójzębem w ręku. Wkrótce jednak przestałem ją zauważać. Podobnie jak Ludzie Wybrzeża, którzy czcili Matkę Morze pod gołym niebem, zabijając swoje ofiary na kamieniu, wiedziałem, gdzie mieszka boskość. W południe zwykle siadać w cieniu, cichutko, jak jaszczurki na pniach sosen, i nasłuchiwałem.

Czasami nie dochodziły mnie żadne dźwięki oprócz głosu leśnego gołębia, ale kiedy wokoło było wyjątkowo cicho, od strony źródła dawało się słyszeć coś jakby cmoknięcie, albo odgłos połykania. Innym razem przypominało to długi, ciężki oddech.

Gdy usłyszałem ten dźwięk po raz pierwszy, wrzuciłem kubek do miski, wybiegłem na palące słońce i wpadłem pomiędzy malowane kolumny. Stałem tam dysząc, a wtedy nadszedł Kannadis i spytał:

- Co się stało, dziecko? Usłyszałeś źródło?

Kiwnąłem głową, a on potargał moje włosy i uśmiechnął się.

- To nic takiego. Nie boisz się chyba dziadka, jeśli porusza się we śnie, więc dlaczego masz się bać Ojca Posejdona, który tu jest tak blisko?

Wkrótce przyzwyczailem się do tych dźwięków i przysłuchiwałem się im uważnie, dopóki dni upływające w ciszy nie stały się dla mnie monotonne. Po roku służby, gdy zdarzało mi się wpaść w tarapaty, o których nikomu nie mogłem powiedzieć, nachylałem się nad wydrążonym kamieniem i mówiłem o swych zmartwieniach bogu. Jeśli odpowiadał, natychmiast się uspakajałem.

Tamtego roku do świątyni przybył jeszcze jeden chłopiec. Ja przychodziłem i odchodziłem, a on był tam przez cały czas. Został подарowany bogu jako niewolnik, mający mu służyć do końca swych dni. Jego ojciec, skrzywdzony przez jakiegoś wroga, w zamian za życie tamtego człowieka, obiecał oddać Simo na posługę do świątyni, zanim ten się urodził. W dniu narodzin syna wrócił do domu, ciągnąc ciało nieprzyjaciela za rydwanem. Byłem tam, gdy chłopiec został przywieziony do świątyni. Do nadgarstka przywiązany miał kosmyk włosów martwego wroga.

Następnego dnia oprowadziłem go po domu Posejdona, by pokazać mu, co ma robić. Był o wiele większy ode mnie i dziwiłem się, że nie przysłali go wcześniej. Nie podobało mu się, że uczę go młodszymi, więc lekceważył wszystko, co mówiłem. Nie był mieszkańcem Trojzeny, przybył z okolic Epidaurus. Im lepiej go znałem, tym mniej lubiłem. Twierdził, że nie ma dla niego rzeczy niemożliwych.

Był gruby i rudy. Jeśli udało mu się złapać ptaka, potrafił żywcem oskubać go z piór i wypuścić. Mówiłem, że powinien je zostawić w spokoju, w przeciwnym razie Apollo będzie się na nim mścił, gdyż stworzenia te przekazują jego znaki. Odpowiedział mi, uśmiechając się szyderczo, że jestem za delikatny, by być wojownikiem. Nienawidziłem nawet jego zapachu.

Pewnego dnia, gdy byliśmy w zagajniku, spytał:

- Kto jest twoim ojcem, blondasku?

Wypinając pierś i wciągając brzuch odpowiedziałem:

- Posejdon. Dlatego tu jestem.

Roześmiał się i pokazał coś brzydkiego.

- A któż ci to powiedział? Matka?

Poczułem się, jakbym dostał obuchem w głowę. Nikt nigdy nie powiedział mi czegoś takiego otwarcie. Byłem rozpieszczonym dzieckiem i nigdy nie spotkało mnie nic gorszego, niż zasłużona kara od tych, którzy mnie kochali.

- Syn Posejdona! - wykrzyknął. - Taki karzeł jak ty? Nie wiesz, że synowie boga są wyżsi o głowę od innych?

Cały drżałem. Byłem za mały, by umieć ukryć uczucia. W świątyni czułem się całkiem bezpieczny. Nie sądziłem, że może mnie tu spotkać taka przykrość.

- Będę wysoki, gdy dorosnę. Tak wysoki jak Herakles. Każdy kiedyś dorasta, a ja dziewięć lat skończę dopiero wiosną.

Popchnął mnie tak mocno, że się przewróciłem. Po roku spędzonym w tym świętym miejscu aż się zatrzęsłem na taki brak szacunku. Chłopak pomyślał, że to jego się przestraszyłem.

- Osiem i pół! - krzyknął pokazując mi palcem. - Ja nie mam nawet ośmiu, a jestem na tyle duży, by cię przewrócić. Biegnij do domu bękartie, i niech ci matka opowie lepszą bajeczkę.

W głowie mi huczało. Następne, co pamiętam, to to, że wrzeszczał mi prosto do ucha, a ja oplótłszy nogi wokół jego ciała, złapałem go za włosy i próbowałem uderzyć jego głową o ziemię. Gdy podniósł rękę, by mnie uderzyć, zatopiłem w niej zęby i nie puszczałem.

Dopiero kapłani ściągnęli mnie z niego, rozwierając mi szczęki przy pomocy patyka.

Kiedy nas wyszorowano i ukarano, kazano nam prosić boga o przebaczenie. Musieliśmy w tym celu spalić kolację przed jego obliczem, by oczyścić się po takiej zniewadze. W momencie, gdy składaliśmy ofiarę, z wnętrza źródła wydobył się dudniący odgłos i bulgotanie. Simo aż podskoczył ze strachu. Od tego momentu miał więcej szacunku dla boga.

Gdy jego ręka zaczęła ropieć, Kannadis leczył ją świętą słoną wodą. Moja rana nie była fizyczna, więc goiła się bardzo długo.

Byłem najmłodszym z dzieci w Pałacu. Nigdy nie przyszło mi do głowy, by mierzyć się z innymi, ale następnym razem, gdy udałem się do domu, zacząłem się rozglądać i pytać innych o wiek. Odnalazłem siedmiu chłopców urodzonych w tym samym roku i miesiącu co ja. Tylko jeden z nich był niższy ode mnie. Nawet dziewczyny były wyższe. Na skutek tego zamknąłem się w sobie i popadłem w depresję.

Wszyscy ci chłopcy byli zagrożeniem dla mojego honoru. Jeśli nie mogłem ich przerosnąć, musiałem sprawdzić się w inny sposób. Dlatego też rywalizowałem z nimi w skakaniu do wody pomiędzy stromymi skałami, w rozbijaniu gniazd dzikich pszczół i uciekaniu, albo wykradaniu orlich jaj. Jeśli odmawiali, zmuszałem ich do podjęcia wyzwania. Z tych rywalizacji zawsze wychodziłem zwycięsko, gdyż miałem więcej do stracenia niż inni, choć nigdy się głośno do tego nie przyznałem. Nie przeszkadzało to oczywiście naszej przyjaźni, choć ich ojcowie uskarżali się na mnie. Mówili, że narażam ich synów na niebezpieczeństwo, ja natomiast wiecznie wpadałem w jakieś tarapaty.

Pewnego dnia zobaczyłem starego Kannadisa wracającego do domu z Trojzeny. Dogoniłem go przy brodzie. Pokiwał tylko głową i powiedział, że słyszał smutne opowieści na mój temat, ale zauważyłem, jak bardzo był kontent, że pobiegłem za nim. To dodało mi odwagi.

- Kannadisie, ile wzrostu mają synowie bogów? - spytałem.

Popatrzył na mnie bystro tymi swoimi starymi niebieskimi oczyma i poklepał po ramieniu.

- A któż to wie? Nie możemy ustanawiać praw dla szlachetniejszych od nas. Bogowie sami wybierają wzrost. Apollo udawał kiedyś pastucha, a Król Zeus, ojciec Heraklesa, umizgiwał się do dziewcząt pod postacią łabędzia. Jego żona z kolei, miała dzieci-łabędzie, rosnące w takich małych jajkach.

- To skąd ludzie wiedzą, że oni są półbogami?

- Nikt tego nie wie. A i oni nie starają się tego udowodnić, w przeciwnym razie bogowie z pewnością ukaraliby ich pychę. Mogą jedynie postępować honorowo i czekać na boga. Ludziom nie jest dane wiedzieć takich rzeczy, to niebo zsyła znak.

- Jaki to znak? - spytałem, ale on tylko potrząsnął głową.

- Bogowie zostaną rozpoznani, gdy nadejdzie odpowiednia chwila.

Dużo o tym rozmyślałem. Przypomniałem sobie, jak kiedyś syn Talaosa wspiał się na konar, który utrzymał mój ciężar, ale nie jego. Chłopak, spadając, złamał rękę, a ja dostałem lanie. Bóg nie zesłał wtedy żadnego znaku, więc chyba nie był zadowolony.

Za pałacowymi stajniami znajdowała się zagroda dla byków. Jeden z nich był czerwony jak cegła, miał krótkie, proste rogi i przypominał Simo. Często drażniliśmy go przez ogrodzenie, choć dozorca przepędzał nas, jak tylko nas przyłapał.

Pewnego dnia patrzyliśmy, jak byk kryje krowę. Wszystko się skończyło, gdy do głowy przyszedł mi pomysł, żeby przeskoczyć przez ogrodzenie i przebiec przez zagrodę.

Zwierzę było wprawdzie spokojne, ale całe zajście wywołało takie poruszenie wśród chłopców, że następnego dnia odesłano mnie z powrotem do świątyni. Dzięki takim zabawom stałem się szybki, a moje mięśnie rozwinęły się. Kiedy chłopcy dla czystej rywalizacji postanawiali zmierzyć się ze mną, zawsze wygrywałem. Swoich przyjaciół wybrałem spośród tych, którzy byli szczupli i zwinni.

Z bykiem bawiliśmy się zawsze we dwóch lub trzech, podczas gdy jedna osoba stała na czatach. Inni zawsze zazdrościli nam odwagi.

Byk jednak szybko się uczył. Wkrótce, jeszcze zanim zdołaliśmy się wdrapać na ogrodzenie, zwierzę już grzebało kopytem w ziemi. Moi przyjaciele stopniowo rezygnowali z zabawy, aż w końcu jedynie Deksios, syn Opiekuna Koni, który nie bał się niczego, co miało cztery nogi, wchodził ze mną do zagrody. Ale nawet my woleliśmy, żeby pozostali odwracali jego uwagę, dopóki nie zeskoczymy z płotu. Pewnego dnia Deksios, czekając na taki właśnie moment, stracił równowagę i wpadł do środka zanim zwierzę zainteresowało się tym, co robili chłopcy.

Deksios był młodszymi ode mnie, ale lubił mnie i zawsze robił to, co ja. Wiedziałem, co się zaraz stanie i zdawałem sobie sprawę, że to wszystko przez mnie. Nie mając pojęcia, co robić, skoczyłem bykowi na głowę.

Co się stało potem - nie wiem. Nie pamiętam, jak się czułem, albo czy spodziewałem się śmierci. Na szczęście złapałem go za rogi, a ponieważ dla niego było to równie nowe doświadczenie, jak dla mnie, po prostu się mnie pozbył. Przeleciałem w powietrzu, nadziałem się brzuchem na żerdź i zawisnąłem. Potem poczułem, jak chłopcy mnie łapią i ściągają na drugą stronę. Tymczasem i Deksios uciekł z zagrody, ale hałas ściągnął dozorcę.

Dziadek obiecał mi lanie, jakiego nikt nigdy jeszcze mi nie spuścił. Jednak kiedy po ściągnięciu spodni, zobaczył, że byłem cały siny, tak jakby już ktoś to za niego zrobił, zbadał mnie i znalazł dwa złamane żebra. Matka płakała i pytała, co we mnie wstąpiło, ale nie mogłem jej tego powiedzieć.

Gdy moje kości się zrosły, nadszedł czas powrotu do świątyni. Simo nauczył się do tego czasu manier, chociaż nie zapomniał pogryzionej ręki. Teraz nie nazywał mnie już moim własnym imieniem, lecz wołał na mnie „Synu Posejdona”. Zbyt łatwo mu to przychodziło i oboje wiedzieliśmy, co chciał przez to powiedzieć.

Kiedy nadchodziła moja kolej sprzątnięcia świątyni, po skończonej pracy zwykłem klękać nad źródłem i szeptałem wymawiając imię

boga. Jeśli wydobywał się stamtąd jakikolwiek dźwięk, mówiłem:

- Ojczy, daj mi znak.

Pewnego letniego dnia, gdy miałem dziesięć lat, cisza południowa zdawała się jeszcze bardziej przytłaczać, niż kiedykolwiek wcześniej. Trawa w zagajniku spłowiła od upałów, a kobierzec sosnowych igieł tłumiał każdy dźwięk. Nie śpiewał żaden ptak, nawet cykady milczały. Wierzchołki sosen tkwiły nieruchomo na tle ciemnoniebieskiego nieba, jakby były odlane z brązu. Dźwięk przesuwającego trójnożnika zabrzmiał jak grzmot, co przyprawiło mnie o gęsią skórę, choć sam nie wiem dlaczego. Poruszałem się na paluszkach, starając się, by naczynia nie obijały się o siebie. Cały czas myślałem sobie: „Już kiedyś tak się czułem”.

Byłem zadowolony, że już skończyłem i tym razem nie udałem się do źródła, lecz natychmiast wyszedłem na zewnątrz. Skóra mnie szczypała. Gruba żona Kannadisa trzepała koce. Pozdrowiła mnie i od razu poczułem się lepiej. Wtedy podszedł Simo i spytał:

- No, synu Posejdona? Rozmawiałeś z Ojcem?

Więc szpiegował mnie. Ale nawet to nie poruszyło mnie tak, jak mogłoby mnie poruszyć kiedy indziej. Do żywego dotknęło mnie tym razem to, że nie ściszył głosu, choć cały świat zdawał się mówić: „Ciiii”. Rozdrażniło mnie to jak jakiś niemiły skrzypiący dźwięk.

- Cicho bądź - powiedziałem.

Kopnął kamień. Ten odgłos przyprawił mnie o ból zębów.

- Podglądałem przez okiennice tę staruchę i widziałem ją nago. Na brzuchu ma brodawkę.

Nie mogłem znieść jego głosu, przerywającego ciszę, która zdawała się gęstnieć wokół nas.

- Odejdź - powiedziałem. - Nie czujesz, że Posejdon się gniewa?

Popatrzył na mnie, a potem ryknął śmiechem. Dźwięk uleciał w powietrze i wypełnił całą przestrzeń. Wszystkie ptaki spłoszyły się i opuściły swoje drzewa, krzycząc ostrzegawczo. Wszystko aż się we mnie skuliło. Nie wiem, co mnie tak niepokoiło. Śmiech Simo był nie do zniesienia.

- Wynos się! - wrzasnałem i tupnąłem nogą.

To tupnięcie rozeszło się po powierzchni ziemi i zatrzęsało nią.

Usłyszałem dudnienie i poczułem wstrząs, przypominający drżenie skóry konia, próbującego opędzić się od much. Rozległ się trzask łamanego drzewa i dach świątyni runął prosto na nas. Mężczyźni krzyczeli, kobiety piszczały, a psy szczekały i wyły. Stary, łamiący się głos Kannadisa wzywał boga, a ja nagle poczułem zimną wodę wokół moich stóp. Wylewała się ze świątyni, spomiędzy skał otaczających święte źródło.

Stałem na wpół oszołomiony. W całym tym zamieszaniu czułem się dziwnie lekko, a myśli miałem jasne i przejrzyste jak powietrze po burzy. „To było to” pomyślałem. „Czułem, że nadchodzi”. Wtedy przypomniałem sobie uczucie, jakiego doznałem, gdy miałem cztery lata.

Wszyscy w okolicy i poza nią wzywali Posejdona Trzęsącego Ziemią i obiecywali, że złożą mu ofiary, jeśli tylko się uspokoi. Po tem usłyszałem dochodzący z bliska płaczliwy głos. To Simo cofał się z pięścią przytkniętą do brwi na znak składanego hołdu. Płakał i bełkotał:

- Wierzę! Wierzę! Nie pozwól mu mnie zabić!

Gdy tak mamrotał, potknął się o kamień, poleciał płasko na wznak i zaczął wyć tak, że aż kapłani się zbiegli, myśląc, że coś mu się stało. Simo nie przestawał mamrotać i pokazywać mnie palcem, a ja tymczasem łykałem łzy, wołałem matkę i byłem zbyt oszołomiony, by cieszyć się z jego upadku. Woda u moich stóp zamieniła się w błoto. Stałem tam, słysząc krzyki ptaków i szloch Simo, dopóki stary Kannadis nie przyszedł i nie uczynił znaku na cześć Posejdona. Następnie wyrwał mi włos z głowy, wziął za rękę i odszedł, prowadząc mnie ze sobą.

W czasie trzęsienia ziemi nikt nie zginął, a domy, choć uszkodzone, nie runęły. Dziadek wysłał robotników, by naprawili kolumny w Świątyni. Udroznili oni również ujście źródła i woda popłynęła tak, jak poprzednio. Dziadek wezwał mnie do siebie, gdy przyjechał, by osobiście sprawdzić, jak postępują prace.

- Słyszałem, że bóg zesłał ci ostrzeżenie - powiedział.

Byłem dostatecznie długo ze swoimi myślami, ale nie wiedziałem już, co jest prawdą, a co nie. To jednak wydało mi się prawdziwe. On wiedział o takich rzeczach, gdyż był nie tylko królem, lecz również kapłanem. To mnie uspokoiło.

- Od tej pory już zawsze będziesz wiedział. Jeśli znów doznasz tego uczucia, wybiegnij jak najszybciej na zewnątrz i powiadom ludzi, że Posejdon się gniewa. Wtedy będą mogli się uratować, zanim ich domy runą. Takie ostrzeżenia są znakiem łaski boskiej. Staraj się to dobrze wykorzystać.

Powiedziałem, że będę się starał. Wtedy byłem gotów przysiąc wszystko łaskawemu Ojcu Koni, który raczył odpowiedzieć na moje długotrwałe modły.

Następnego dnia, gdy byłem w zagajniku, Simo podszedł do mnie cichutko i wręczył mi coś ciepłego.

- To dla ciebie - powiedział i uciekł. Był to gołąb. Pewnie złapał go, żeby oskubać z piór, ale najwyraźniej zmienił zdanie. Ptak szamotał się w moich dłoniach i wtedy zrozumiałem, że Simo złożył mi ofiarę, tak jakbym to ja był bogiem.

Spojrzałem w błyszczące oczy gołębia i na jego ciemnokoralowe nóżki. Podziwiałem jego piękne upierzenie na grzbiecie i pióra wokół szyi, które mieniły się wszystkimi kolorami tęczy. Przypomniało mi się powiedzenie matki, że dajemy bogom to, co sami stworzyli. Pamiętałem te wszystkie ptaki i byki, które lepiłem z gliny i to, jak się potem przypatrywałem swojemu dziełu. Ale to Simo nauczył mnie, jak mały jest człowiek w porównaniu z Nieśmiertelnymi, nawet jeśli jest bardzo bogaty.

Zastanawiałem się, czy mam ofiarować gołębia Posejdonowi, ale ponieważ ptaki go nie interesują, postanowiłem zwrócić go Apollonowi. Wyciągnąłem ręce do góry, otworzyłem dłonie i pozwoliłem mu odlecieć.

Gdy otrzymałem ten znak od boga, nie miałem już wątpliwości, że będę wysoki. Rok za rokiem czekałem, nie tracąc nadziei, gdyż widziałem, jak inni chłopcy wystrzelili w górę w ciągu jednego albo dwóch sezonów bez boskiej pomocy. „Siedem stóp”, pomyślałem. „Tyle wystarczyło Heraklesowi, więc i mi wystarczy. A jeśli takie będzie życzenie Trzęsącego Ziemią, to zadowolę się i sześcioma”.

Skończyłem jedenaście lat i moja służba Posejdonowi dobiegła końca. Pewnego razu, gdy król Tirynsu jadł obiad w Dużej Sali, wpuściłem tam młodego knura, któremu właśnie zaczynały wyraastać kły. Król, będąc młodszy niż mi się zdawało, przyłączył się do pościgu, krzycząc z radości, i rzekł, że jeszcze nigdy tak dobrze się nie bawił. Ale dziadek i tak mnie wychłostał, mówiąc, że przecież mógł to być ktoś równie ważny jak król Myken.

W wieku dwunastu lat baraszkowałem w krzakach z trzynastoletnią córką jednego z arystokratów, ale nic z tego nie wyszło. Narzeczczala na mnie, że sprawiam jej ból. Próbowałem jej wytłumaczyć, że tak powinno być, ale ona uparcie twierdziła, że na pewno coś źle robię.

Mimo to powoli stawałem się mężczyzną. Pod tym względem wyprzedzałem pozostałych chłopców, ale wciąż - z wyjątkiem jednego - byłem niższy od nich. A gdy pewnego dnia Simo przyniósł wiadomość ze świątyni, zobaczyłem, że jest ode mnie sporo wyższy.

Mojemu wujowi Dioklesowi broda rosła coraz gęstsza. Wkrótce miał się ożenić. Śmiał się ze mnie, kiedy coś przeskrobałem, uczył mnie sztuki wojennej i polowania i starał się dopilnować, żebym pożytecznie spędzał czas.

Pewnego dnia, gdy miałem już trzynaście lat, widząc, że siedzę smutny poza placem do zapasów, podszedł do mnie i powiedział:

- Posłuchaj, Tezeuszu. Nie ma ludzi, którzy byliby dobrzy we wszystkim. Są rzeczy, które mogą robić ludzie lekcy i są takie, które mogą robić ludzie ciężcy. Dlaczego nie chcesz zaakceptować siebie takim, jakim jesteś? Przecież całkiem dobrze sobie radzisz. Jesteś

w okolicy najlepszym skoczkiem zarówno wzwyż, jak i w dal. Prawie zawsze wygrywasz biegi. W jeździe konnej jesteś lepszy nawet od Deksiosa, któremu pozostali nie są w stanie dorównać. Poza tym rzucasz bardzo celnie zarówno kulą, jak i oszczepem. Prawda, Ma-leus rzuca dalej, ale jak często trafia? Jeśli nadal będziesz osiągał takie wyniki, będzie z ciebie bardzo dobry wojownik. Nie boisz się, jesteś szybki, a chwyt masz jak dorosły mężczyzna. Jeśli będziesz postępował rozsądnie, jeśli poznasz siebie, rzadko zakończysz igrzyska bez dwóch, trzech nagród.

Każdy inny na twoim miejscu cieszyłby się takimi wynikami. Przystań się wreszcie zamartwiać i tracić czas na zawody, w których tylko waga się liczy. Nigdy nie będzie z ciebie dobry zapaśnik. Zaakceptuj to.

Pierwszy raz w życiu widziałem go tak poważnym. Wiedziałem, że mnie uwielbia, więc powiedziałem tylko:

- Tak, Dioklesie, chyba masz rację.

Byłem już za duży, żeby płakać. „Nawet zapomniał, dlaczego powinienem być wysoki”, pomyślałem. „Ale to nie dlatego, że chce mnie zranić, jak swego czasu Simo. Wcale nie. On po prostu nigdy nie myśli o takich rzeczach, nigdy mu to nie przychodzi do głowy”.

Już cztery lata minęły od czasu, gdy Posejdon dał mi swój znak. Dla młodego człowieka cztery lata to jak wieczność. Ludzie też już mniej o tym myśleli. Teraz widzieli, że nie mam postury ludzi zrodzonych z bogów.

Miałem czternaście lat. Nadszedł czas zbiorów. Moja matka odbierała ofiary dla Bogini, albo czytała jej przyrzeczenia wypisane na glinianych tabliczkach. Wieczorem poszła do Omfalosu, a ja idąc za nią do końca kruzganka słyszałem jak miękkim głosem opowiada Wężowi o plonach. Mówiła mi, że jeśli coś przed nim ukryjemy, to następny rok nie będzie dobry. Zatrzymałem się w cieniu i myślałem, że kiedyś, przed laty, musiała powiedzieć mu kto jest moim ojcem, może nawet teraz o mnie mówiła. Ponieważ jednak podsłuchiwanie kobiecych tajemnic z reguły źle się kończy, wymknąłem się stamtąd, żeby tylko nie słyszeć jej słów.

Następnego dnia było Święto Zboża. Rankiem przy świętym filarze złożyła ofiarę Matce. Stała przed nim wyprostowana i pełna wdzięku i nikt by się nie domyślił, że jej odświętny strój z falbanami, obszytymi ozdobami z kości słoniowej i dyskami ze złota, był bardzo ciężki.

„Dlaczego mi nie powie?” myślałem. „Czy trzeba jej wyjaśniać, że cierpię?” Czułem się tak, jakby ktoś wbił mi rozżarzony pręt prosto w serce.

Potem były igrzyska. Obserwowałem zapaśników - potężnych mężczyzn chwytających się nawzajem w pasie i usiłujących podnieść przeciwnika. Dziś trzeba by było udać się daleko w góry, by zobaczyć stary helleński styl walki, ale wtedy na Wyspie Pelopsa nie było jeszcze żadnego innego.

W konkurencjach dla chłopców zwyciężyłem w skokach, biegach i rzucie oszczepem, dokładnie tak, jak przewidział Diokles. W nagrodę otrzymałem torbę z grotami strzał, dwa oszczepy i szkarłatny pas. Odchodząc, usłyszałem głos w tłumie:

- Ma niebieskie oczy i jasne włosy, jak Hellen, ale zbudowany jest jak Ludzie Wybrzeża i tak jak oni jest szybki i niewysoki.

- Kto wie... - odezwał się ktoś inny.

Wyszedłem na zewnątrz. Księżyc na niebie był wielki i złoty. Położyłem nagrody na ziemi i poszedłem w stronę morza.

Noc była spokojna. Światło księżycy odbijało się w wodzie, a po okolicy niósł się głos nocnego ptaka, miękki i bulgoczący, niczym odgłos wody wylewanej z wąskiego dzbana. Z góry dochodził mnie śpiew i klaskanie.

Wszedłem prosto do wody, tak jak stałem - w spodniach i pasie. Chciałem być jak najdalej od ludzi i ich głosów. Prąd mnie prowadził, a ja myślałem: „Jeśli jestem synem boga, to będzie nade mną czuwał. Jeśli nie, to utonę. Wszystko mi jedno”.

Za cieśniną i cyplem zaczynało się otwarte morze. Wtem usłyszałem muzykę i zobaczyłem pochodnie na Kalaurii. Ciekawość zwyciężyła i postanowiłem sprawdzić, co tam się dzieje. Zawróciłem i ruszyłem w stronę brzegu, ale za każdym razem, gdy spojrzałem,

światelka były coraz mniejsze. Zrozumiałem, że naprawdę mogę umrzeć i nagle bardzo zapragnąłem żyć.

Prąd unosił mnie z łatwością, a kiedy próbowałem z nim walczyć, stawał się silny i niebezpieczny. Powoli ogarniało mnie zmęczenie. Było mi zimno, skórzane spodnie ciągnęły w dół, a pas utrudniał oddychanie. Fala uderzyła we mnie i poszedłem pod wodę. Nie mogłem się wyprostować. Zdawało mi się, że idę na samo dno. Miałem wrażenie, że głowa i płuca zaraz eksplodują. „Bóg mnie odrzuca. Żyłem w kłamstwie, a teraz nie mam już nic. Jakżeż chciałbym być martwy nie umierając!” Przed oczami przemknęło całe moje życie: matka w kąpielni, garbus i dzieci śmiejące się z niego; świątynia w ciszy południowej; młodzi chłopcy tańczący dla boga taniec konia; ofiarowanie i mojego dziadka przywołującego mnie zakrwawioną ręką. A potem, nagle, tak jak wtedy, gdy miałem siedem lat, usłyszałem falę. Zdawało mi się, że do mnie przemawia:

- Uspokój się, synu i pozwól mi się unieść. Czyż nie jestem dostatecznie silny?

Strach mnie opuścił, przestałem walczyć i wynurzyłem się. Woda unosiła mnie z taką lekkością, jak ojciec swoje dziecko, które odnalazł po długich poszukiwaniach i teraz na rękach zabiera do domu. W pewnym momencie prąd skręca w stronę lądu, ale ja bym tego nie wiedział, gdyby nie Posejdon, Pasterz Okrętów.

Wśród wzgórz morze jest spokojne i prawie nie czuć wiatru. Gdy wspinałem się na brzeg, rozgrzałem się i czułem się lekki i szczęśliwy. Teraz wiedziałem, że należę do boga. Pomędzy liśćmi jabłoni dostrzegłem światło i tancerzy. Fajarki grały, a ludzie przytupywali i śpiewali.

Było to małe wioskowe święto obchodzone w sadzie. Taniec Pochodni już się skończył, więc wetknięto je w ziemię. Mężczyźni wykonywali teraz Taniec Przepiórek. Na twarzach mieli maski przystrojone piórami, a na ramionach skrzydła. Tańczyli zataczając kręgi, podskakując, pochylając się i naśladując głosy przepiórek. Wokół nich stały kobiety. Śpiewały pieśń, klaskały w dłonie i przytupywały. Kiedy wszedłem w krąg światła, przerwały, a najpiękniejsza

dziewczyna we wsi, na widok której mężczyźni gwizdali i za którą się oglądali, wykrzyknęła:

- Oto Kouros Posejdona! Patrzcie na jego włosy, są całe mokre!

Roześmiała się, ale widziałem, że nie żartuje ze mnie.

Po skończonych tańcach, uciekliśmy i skryliśmy się w głębokiej, mokrej trawie pomiędzy jabłoniami. Gdy któryś z jej zalotników przechodził obok hałasując i wrzeszcząc, uciszaliśmy się nawzajem. Potem odsunęła się ode mnie, ale tylko po to, żeby wyjąć spod pleców jabłko, które spadło z drzewa.

Ona była moją pierwszą dziewczyną, a wkrótce potem przeżyłem swoją pierwszą wojnę. Z północy, zza gór przyszli ludzie Hermiony, którzy porwali trzydzieści sztuk bydła. Gdy usłyszałem, że wujowie krzyczą na siebie i każą podawać sobie broń i siodłać konie, wymknąłem się ze stajni. Wykradłem się tylnymi drzwiami i dołączyłem do nich na wzgórzu. Diokles uznał to za dobry żart. Był to ostatni żart, z jakiego się w życiu śmiał, gdyż chwilę potem jeden z najeźdźców podjechał do niego i przebił włócznią. Gdy wuj padł martwy, rzuciłem się za jego zabójcą, ściągnąłem z konia i zabiłem sztyletem. Dziadek gniewał się, że poszedłem bez pozwolenia, ale nie skarcił mnie, twierdząc, że słusznie postąpiłem pomściwszy śmierć Dioklesa, który zawsze był dla mnie dobry. Ja natomiast byłem tak wściekły, że nawet nie dotarło do mnie, iż po raz pierwszy zabiłem człowieka. Jedyne, czego wtedy pragnąłem, to jego śmierci. Przed zapadnięciem zmroku odzyskaliśmy wszystkie krowy, z wyjątkiem dwóch, które spadły w przepaść.

Parę miesięcy po tym zdarzeniu przyszedł czas zapłacić daninę królowi Minosowi. W porcie gromadzono dobra: skóry, oliwę, wełnę, miedź i ciężarne suki ogarów. Ludzie byli niezadowoleni, ale ja miałem inne zmartwienie. Wiedziałem, że wtedy mali chłopcy byli odsyłani w góry, gdzie kazano im się ukrywać. Składałem ofiary Posejdonowi, Zeusowi i Matce, by uniknąć tej hańby, ale niedługo potem wezwał mnie dziadek i powiedział:

- Tezeuszu, ostrzegam cię: jeżeli w czasie waszego pobytu w górach komuś coś się stanie, albo zostanie skradzione bydło, będziesz pierwszy, który za to odpowie.

Moje serce zbuntowało się przeciw niewdzięcznym bogom.

- Czy ja muszę iść? Ukrywanie mnie uwłacza naszemu rodowi. Przecież nie mogą nas traktować, jak zwykłych niewolników.

Spojrzał na mnie badawczo.

- Potraktuj cię jak kogoś, kto nadaje się do tańca byka. I tyle. Nie mów, jeśli nie masz o czymś pojęcia.

Pomyślałem sobie, że to podłość.

- Kim jest król Minos? Dlaczego mu płacimy? Dlaczego nie wyruszymy na wojnę?

Postukał palcem w pas.

- Przyjdź później, jak będę mniej zajęty. A na razie musi ci wystarczyć, że płacimy daninę Minosowi, bo to on rządzi morzem. Gdyby zablokował dostawy cyny, nie moglibyśmy wyrabiać brązu i musielibyśmy robić miecze z kamienia, tak jak pierwsi ludzie na ziemi. Co się zaś tyczy wojny, to ma on okręty tak olbrzymie, że mógłby tu w ciągu jednego dnia sprowadzić pięciotysięczną armię. Pamiętaj jednak, że to król Minos tępi piratów, którzy na pewno zabraliby nam więcej niż on.

- Podatek niech sobie będzie - powiedziałem. - Ale zabierając ludzi traktuje Hellenów jak niewolników.

- Tym bardziej należy unikać wojny. W Koryncie i Atenach też byli tacy chłopcy, jak ty. Teraz państwa te zmądrzały. Nie można mówić o wojnie z Kretą tak, jakby to była zemsta za kradzież bydła! Wystawiasz moją cierpliwość na próbę, chłopcze. Sprawuj się dobrze w górach, i następnym razem, jak po ciebie poślę, umyj twarz.

Wszystko to było bardzo przykre dla mojej nowo odkrytej dorosłości.

- Powinniśmy chyba też ukryć parę dziewcząt - powiedziałem.

- Możemy wybrać spośród naszych?

Spojrzał na mnie ostro.

- Tylko młody pies warczy na kość. Możesz odejść.

Przykro mi było patrzeć, jak duzi chłopcy dumnie maszerowali po Trojzenie, podczas gdy mali i szczupli musieli podążać za dwoma Moźnymi z Pałacu, którzy, jak było widać, niechętnie wykonują swój obowiązek. Ponieważ nawet kaleki i chorzy zostawali, czuliśmy się upokorzeni po wsze czasy. W górach spędziliśmy pięć dni. Spaliśmy w stodole, wspinali się, polowali, bili i łapali zające. Nasi opiekunowie nie znosili tego, ale my za wszelką cenę chcieliśmy pokazać, że możemy się na coś przydać. Kogoś kruk dziobnął w oko, a kilku z nas dowiedziało się później, że zostało ojcami. Dziewczęta z gór są dzikie, ale chętne. A potem przybył ktoś na mule, by powiedzieć, że Kreteńczycy odpłynęli i możemy wrócić do domu.

Czas mijał, rosłem, ale nigdy nie przerosłem innych. Zwycięstwo w zapasach wciąż pozostawało dla mnie nieosiągalne, gdyż chłopcy młodszy ode mnie o rok potrafili unieść mnie bez problemu. Straciłem już nadzieję, że kiedykolwiek będę miał siedem stóp wzrostu. Teraz już tylko pragnąłem mieć sześć, zwłaszcza że powoli zbliżałem się do wieku szesnastu lat.

W czasie tańców zawsze opuszczały mnie wszystkie troski i dzięki temu polubiłem muzykę. Uwielbiałem zimowe wieczory spędzane w Dużej Sali przy lirze. Instrument przekazywano z rąk do rąk, a ja niezmiernie cieszyłem się, gdy przychodziła moja kolej. Pewnego wieczoru był wśród nas gość - arystokrata z Pylos. Śpiewał dobrze i zaszczycił nas opowieścią o Pelopsie, założycielu naszego rodu. Nie była to jednak ta sama pieśń, którą znali wszyscy w Trojzenie. Nasza mówca opowiadała o wyścigu rydwanów, w którym wziął udział Pelops, o rękę córki Króla Ziemi. Król jednak przebił włócznią każdego, kto zbliżał się do mety. Jednak wtedy podstępem założono mu woskową zatyczkę przy kole w jego rydwanie i król wypadł z pojazdu zaraz na początku gonitwy. Pieśń, którą zaprezentował nam gość, mówiła o młodości Pelopsa, którego Sinowłosa Posejdon bardzo kochał i ostrzegał przed trzęsieniem ziemi, gdy ten przyłożył ucho do ziemi. Imię Pelops nosił od policzka wysmarowanego ziemią.

Swoimi myślami nie podzieliłem się z nikim, ale doszedłem do wniosku, że to, iż potrafię wyczuć nadchodzące trzęsienie ziemi nie jest żadnym znakiem od boga, lecz wrodzoną umiejętnością odziedziczoną po matce, która nie różni się niczym od daru pięknego głosu, jaki posiadał nasz gość.

Następnego dnia z ciężkim sercem poszedłem szukać przyjaciół, ale wszyscy uprawiali zapasy. Stałem z boku i patrzyłem, jak biały kurz unosi się aż pod koronę topoli. Byłem zbyt dumny, by spróbować sił z chłopcami w moim przedziale wagowym, gdyż wszyscy oni byli młodsi ode mnie o rok.

Obserwowałem ich zmagania, patrząc jak podnoszą się nawzajem i rzucają o ziemię. Wtedy do głowy przyszła mi pewna myśl: jakże łatwo przewrócić człowieka, gdy coś uderzy w jego stopę w momencie, gdy akurat na nią przenosi ciężar ciała. Traci wtedy równowagę i przewraca się. Coś takiego przydarzyło mi się z przydrożnym kamieniem. Obserwowałem więc nogi i ciała i rozmyślałem nad tym.

Wtedy Maleus, potężny, powłóczyący nogami chłopak, zawołał:

- Chodź Tezeuszu, zmierz się ze mną!

Ryknął śmiechem, ale nie dlatego, że mnie nienawidził. On po prostu miał taki sposób bycia.

- Czemu nie - odrzekłem, na co klasnął dłońmi o kolana i zaśmiał się jeszcze głośniejsze. Gdy zbliżyliśmy się do siebie i Maleus wyciągnął ręce, żeby mnie podnieść, zrobiłem unik zmuszając go do pochylecia się i podciąłem mu nogę piętą. Runął jak długi.

Przez jakiś czas, pod osłoną kurzu i dzięki temu, że byłem bardzo szybki, udawało mi się przerzucać chłopców z Trojzeny za pomocą tej sztuczki. Działo się tak do dnia, w którym czując się szczęśliwym, bez powodu udałem się do portu. Stał tam akurat mały statek handlowy z Egiptu, skupujący skóry i poroża. Dwóch małych ciemnoskórych chłopców, zwinnych niczym koty, szamotało się na pokładzie. Nie bili się, uprawiali zapasy. Chociaż byli tylko dziećmi, wiedzieli, co robią. Kupiłem figi i miód i wszedłem na pokład. Opuściłem go ze znajomością pół tuzina sztuczek równie dobrych jak

moja, pozwalających na powalenie cięższego przeciwnika. Wtedy było dla mnie zaskoczeniem, że Egipcjanie tak dobrze znali się na tym sporcie, i uznałem to za boski znak.

Dziś sztuczki te stosowane są przez wszystkich Ateńczyków, więc znów trzeba polegać na ciężarze własnego ciała, jeśli chce się odnosić sukcesy. Ja jednak nadal sędziuję w czasie igrzysk na cześć Posejdona, gdyż ludziom sprawia to przyjemność. Czasami zastanawiam się, kto będzie sędziował na igrzyskach zorganizowanych na moją cześć, gdy umrę. Kiedyś myślałem, że będzie to mój syn, ale on nie żyje.

Wkrótce nawet mężczyźni z Trojzeny przychodzili, żeby popatrzeć na zapasy z moim udziałem. Wprawdzie nauczyli się kilku z moich sztuczek, ale parę pozostało mi jeszcze w zanadrzu, gdyż jeden pomysł rodzi drugi. Ludzie zaczęli mówić, że coś musi być pomiędzy mną i bogiem, gdyż jakże byłoby to możliwe, że jestem w stanie pokonać mężczyzn o wiele większych od siebie, gdyby Trzęsący Ziemią nie przyłożył do tego ręki?

Gdy więc zbliżałem się do wieku siedemnastu lat, byłem bardziej zadowolony z siebie, choć osiągnąłem ledwie pięć i pół stopy wzrostu. Nie przeszkadzało to jednak w moich relacjach z dziewczętami, a dzieci, które mi się rodziły, były typowymi Hellenami. Tylko jedna dziewczyna była ciemna i niewysoka, ale taki był również jej brat.

Nadszedł miesiąc, w którym przyszedłem na świat. W dniu moich siedemnastych urodzin, w czasie drugiej kwadry księżyca, zjawiała się u mnie matka i powiedziała:

- Tezeuszu, chodź ze mną. Coś ci pokażę.

Serce mi zamarło. Sekret skrywany tak długo jest jak struna liry, naciągnięta tak bardzo, że piórko lub delikatny podmuch wiatru mógłby wydobyć z niej dźwięk. Otoczyła mnie cisza taka, jak przed trzęsieniem ziemi.

Poszedłem za matką, która poprowadziła mnie bocznymi drzwiami aż do drogi wiodącej w góry. Szedłem o pół kroku za nią. Droga biegła wzdłuż wąwozu, gdzie górski strumień, na dole porośnięty z obu brzegów paprociami, a na górze lasami, wpadał w przepaść. Przekroczyliśmy go przy olbrzymim płaskim głazie, który

bogowie umieścili tam w zamierzonych czasach. Przez całą drogę myślałem, że matka jest jakaś cicha i smutna. Serce owiał mi chłód, gdyż tak nie zachowywały się kobiety, które zostały wybrankami boga.

Oddaliliśmy się od strumienia i weszliśmy do świętego Zagajnika Zeusa. Lasek ten był stary już za czasów Ludzi Wybrzeża, którzy mieszkali tu przed nami. I nawet oni mogą powiedzieć tylko tyle, że był on tu od niepamiętnych czasów.

Było tak cicho, że dało się usłyszeć spadający żołądź. Nastąpiła wiosna, więc potężne, sękate konary pokryte były żywo zielonymi listkami, a wokół ich pni, tak grubych, że dwoje dorosłych mężczyzn z trudem mogłoby je objąć, rosły małe delikatne kwiatuszki. Zeszłoroczne dębowe liście, miękkie i czarne lub brązowe i szeleszczące, pachniały stęchłą. Przez całą drogę nie odzywaliśmy się, a trzask łamanej gałązki był głośny niczym grzmot.

Najświętsze miejsce znajdowało się pośrodku zagajnika - tam, gdzie Zeus uderzył piorunem. Było to tak dawno, że stary dąb, w który Zeus trafił, spróchniał prawie do samej ziemi. Mimo że potężne konary ginęły, pomiędzy ciernistymi krzewami stał jednak pień, w którym nadal tliło się życie. Na korzeniach, uginających się niczym kolana, nieśmiało wyrastały zielone pączki. Miejsce to było tak święte, że żadne młode drzewko nie śmiało wyrosnąć w tym miejscu, od czasu, gdy Gromowładny w nie uderzył, choć przez otwór w zielonym dachu można było dostrzec morze.

Matka, unosząc spódnicę, szła dalej w swych sandałach zapinanych złotymi klamrami. Żłociste promyki słońca padały na jej jedwabiste brązowe włosy i cieniutką halkę pod gorsetem, ukazując różowitkie sutki i poruszające się piersi. Miała szerokie czoło, szare, szeroko rozstawione oczy, a brązowe brwi niemal stykały się nad prostym dumnym nosem. Najwięcej uroku dodawał jej ładnie ukształtowany łuk brwiowy. Jak każda kapłanka, umiała dochować tajemnicy, ale było w tym pełno powagi, a nie jak to się nieraz widzi - chytrości. Zawsze cieszyłem się, gdy ludzie mówili, że mam jej oczy, choć sam nigdy nie dopatrzyłem się podobieństwa. Według

mnie moje były trochę bardziej niebieskie, ale to pewnie dlatego, że byłem opalony. Podbródek natomiast miałem swój, albo raczej ojca. Dla mnie jednak matka zawsze była przede wszystkim kapłanką, której nikt nie śmiał się sprzeciwić. Była w niej jakaś boskość, więc jeśli nawet powiedziałyby mi, że moim ojcem nie jest bóg, lecz Thyestes, kulawiec, który przygotowywał dla niej wonne olejki do kąpieli, nie przyniosłoby to ujemnej, lecz mojej.

Poprowadziła mnie do świętego dębu i zatrzymała się przy kamieniu.

Znałem to miejsce, ponieważ odkryłem je jeszcze w dzieciństwie, gdy po raz pierwszy zakradliśmy się z Deksiosem do dąbrowy, dodając sobie wzajemnie odwagi, gdyż driady zamieszkujące zagajnik, bardzo uważnie obserwują wszystkich, którzy się tam zapuszczają. Kamień ten był wielką szarą płytą, służącą za ołtarz, ułożoną tam w czasach, jak sądzę, gdy Zeus uderzył w to miejsce piorunem. Nigdy nikogo w tym miejscu nie widziałem, ale często znajdowałem świeży popiół, jakby ktoś składał ofiarę. Tym razem też tam był, prawie ciepły. Nagle pomyślałem, że może to przychodziła moja matka. Może widziała jakiś omen, o którym chciała mi powiedzieć. Odwróciłem się w jej stronę, z gęsią skórką na rękach.

- Tezeuszu - powiedziała zachrypniętym głosem.

Spojrzałem na nią ze zdziwieniem. Zamrugła oczami i zobaczyłem, że były wilgotne.

- Nie bądź na mnie zły. To nie była moja decyzja. Złożyłam twojemu ojcu przysięgę, której nawet bogowie nie śmieliby złamać. W innym razie na pewno nie dochowałabym tajemnicy. Obiecałam mu na Rzekę i Córy Nocy, że nie powiem ci, kim jesteś, chyba, że samodzielnie będziesz w stanie unieść ten kamień.

Przez sekundę serce zabiło mi mocniej. Królewskie kapłanki nie składają takich przysiężek ludziom. Potem spojrzałem ponownie i zorientowałem się, dlaczego płacze.

Przełknęła ślinę tak głośno, że nawet ja usłyszałem.

- Dowody, które ci pozostawił, są tu zakopane. Powiedział, że bym wystawiła cię na próbę w wieku szesnastu lat, ale widziałam,

że jest jeszcze za wcześnie. Teraz jednak muszę.

Lzy płynęły jej po policzkach, więc otarła je dłońmi.

- Dobrze - odpowiedziałem. - Ale usiądź tam i nie patrz na mnie.

Odeszła, a ja zdjąłem z ramion ozdoby. To było wszystko, co miałem na sobie od pasa w górę. By zmęźnieć, chodziłem półnagi przy każdej pogodzie, i uważałem, że dobrze mi to zrobiło.

Przykucnąłem przy kamieniu i rozkopałem ziemię, by dostać się do jego dolnej krawędzi. Potem poluzowałem go trochę kopiąc rękoma jak pies i mając nadzieję, że z drugiej strony będzie cieńszy. Niestety okazał się grubszy. Wróciłem więc na poprzednie miejsce, stanąłem nad głazem w rozkroku i wbiłem palce pod spód. Pociągnąłem, ale kamień nawet nie drgnął.

Przerwałem, dysząc ciężko i czując się, niczym na wpół wyszkolony koń, któremu wciąż przeszkadza rydwan przyprzęgnięty z tyłu. Zostałem pokonany zanim jeszcze zacząłem. To było zadanie dla kogoś takiego jak Maleus, który miał posturę niedźwiedzia, albo dla Heraklesa. To było zadanie dla boskiego syna. Teraz przejrzałem na oczy. „Z bogami musi być tak samo jak z ludźmi. Syn może pochodzić z prawego łoża, ale wdać się w matkę. Widocznie w moich żyłach płynie tylko jedna część ichoru na dziewięć części krwi. To jest próba boska, a bóg mnie odrzuca”. Myślami wróciłem do tego, co przeszedłem i na co się porwałem: wszystko poszło na marne, od samego początku było nic nie warte, a moja matka płakała ze wstydu.

Krew we mnie zawrzała. Chwyciłem kamień i szarpnąłem, bardziej jak dziki zwierz, niżli człowiek. Poczulem, że ręce mi krwawią, a ścięgna pękają. Zapomniałem nawet o matce, dopóki nie usłyszałem szelestu jej sukni, odgłosu kroków i krzyku:

- Przestań!

Odwróciłem się w jej stronę z twarzą zlaną potem. Byłem tak wściekły, że krzyknąłem na nią, jakby była prostą wieśniaczką:

- Mówiłem ci, żebyś trzymała się z daleka!

- Tezeuszu, oszalałeś? - spytała. - Zabijesz się.

- No to co?

Rozpląkała się i przycisnęła dłoń do brwi.

- Wiedziałam, jak to się skończy.

Milczałam. W tym momencie prawie jej nienawidziłam.

- Powinien mi być zaufać - powiedziała. - Nie szkodzi, że byłam taka młoda.

Potem zobaczyła, że patrzę ze zdziwieniem i czekam, więc zasłoniła usta dłonią. Odwróciłem się, by odejść, ale tylko zawyłem z bólu. Naderwałem sobie mięsień pleców, co mnie całkowicie zaskoczyło. Podeszła i dotknęła delikatnie, ale ja odwróciłem wzrok.

- Tezeuszu, mój synu - odezwała się. Jej łagodność prawie mnie rozbroiła, więc zacisnąłem zęby. - Nic nie zabrania mi powiedzieć, że nie uważam cię za ułomka. I wydaje mi się, że jestem w stanie to ocenić.

Zamilkła, patrząc na morze przez otwór pomiędzy liśćmi dębu.

- Ludzie Wybrzeża o niczym nie mieli pojęcia. Sądziли, że Wiecznie Żywy Zeus umiera każdego roku, więc nie mogli czcić Matki we właściwy sposób, tak jak my, Hellenowie, to czynimy. Ale przynajmniej rozumieli, że niektóre sprawy lepiej zostawić kobietom.

Przerwała na chwilę, ale zobaczyła, że czekam, aż odejdzie, więc odeszła, a ja rzuciłem się na ziemię.

Czarna ziemia, pełna zapachów wiosny, pokryta opadłymi liśćmi dębu, spijała moje łzy. Gaj Zeusa nie jest miejscem, w którym można przeciwstawiać się bogom. Byłem zły na Posejdona, że złamał moją dumę, niczym kolumnę niszczoną dla kaprysu. Ale zaraz potem doszedłem do wniosku, że uczynił mi więcej dobrego niż złego. Pychą byłoby obrazić go i czynem niegodnym człowieka szlachetnie urodzonego, którego nikt nie powinien prześcignąć ani w okrucieństwie wobec wroga, ani w dobroci wobec przyjaciela. Pokuśtykałem więc do domu i wszedłem do gorącej kąpeli, którą przygotowała mi matka. Natarła mnie później ziołowymi olejkami, ale przez cały ten czas nie odezwaliśmy się do siebie ani słowem.

Przez następne dwa tygodnie nie mogłem brać udziału w zapasach, więc powiedziałem chłopcom, że upadłem będąc w górach. Poza tym życie toczyło się swoim zwykłym trybem, tyle tylko, że ja czułem się jakby mi ktoś zabrał słońce. Ci, którzy przeżyli coś podobnego, zrozumieją mnie, choć nie ma ich wielu, gdyż tacy szybko umierają.

Dla mężczyzny pogrążonego w mroku istnieje tylko jeden bóg.

Nigdy dotąd Apollo nie był bogiem, do którego modliłbym się w jakiś szczególny sposób, chociaż oczywiście zawsze zwracałem się do niego, gdy miałem naciągać struny liry lub cięciwę łuku, a gdy szedłem na polowanie nigdy nie skąpiłem należnej mu części zdobyczy. Od czasu do czasu pomagał mi i wtedy polowanie było udane. Mimo że jest bardzo przenikliwy i zna tajemnice wszystkich ludzi, nawet kobiet, jest szlachetnie urodzonym Hellenem. Jeśli się o tym pamięta, nie jest trudno nie obrazić go. Nie lubi łąz w swojej obecności, tak jak słońce nie lubi deszczu, ale rozumie smutek i jeśli wyśpiewa mu się wszystkie swoje troski, na pewno je odsunie.

W niewielkim gaju laurowym w pobliżu Pałacu, gdzie znajdował się ołtarz Apollona, składałem mu ofiary i grałem dla niego każdego dnia. Wieczorami w Dużej Sali śpiewałem o wojnie, ale w samotności; w gaju, gdzie jeden bóg tylko słuchał, intonowałem pieśni o smutku: o młodych dziewczętach składanych w ofierze w przeddzień ślubu, o kobietach z podbitych miast, oplakujących swoich mężów, albo stare elegie, których nauczyliśmy się od Ludzi Wybrzeża, mówiące o młodych bohaterach kochających boginie i przezywających zbliżającą się śmierć.

Jednak nie zawsze można było śpiewać. Dopadła mnie melancholia podobna do ciemnej chmury śniegowej i przestałem wówczas tolerować towarzystwo ludzi. Wybierałem się zatem samotnie do lasu zabierając jedynie łuk i psa.

Pewnego dnia zawędrowałem bardzo daleko w pogoni za drobną zwierzyną. Wiatr mnie jednak zwiódł i nie udało mi się upolować nic oprócz jednego zająca. Zmierzchało, a ja wciąż byłem w górach. Spojrzałem w dół i dostrzegłem cienie wzgórz, kładące się poprzecznie w stronę wyspy. Ze wzniesień skrytych za drzewami i

wzgórzami unosiły się błękitne dymy Trojzeny. O tej porze na pewno zapalają lampy. Na szczytach jednak wciąż śpiewały ptaki, a cieple światło zachodu ostro rysowało cienie traw.

Wyszedłem na łysy szczyt, miejsce o poranku rozświetlane pierwszymi promieniami słońca. Tam Apollo ma swój ołtarz. Po obu stronach można dostrzec morze, a na zachodzie góry otaczające Mykeny. Znajduje się tam dom kapłanów, zbudowany z kamienia, gdyż wieją tam silne wiatry, oraz małe kamienne sanktuarium. Pod stopami bujnie rośnie tymianek i wrzosa, a na tle nieba widoczny jest ołtarz.

Wciąż byłem w podłym nastroju. Postanowiłem nie wracać do domu na kolację, gdyż mógłbym kogoś obrazić i narobić sobie wrogów. Tylko jedna dziewczyna z portu wytrzymała ze mną, ale taki miała zawód.

Znad ołtarza unosiła się niewyraźna smużka dymu, więc zatrzymałem się, by oddać bogu cześć. Zająca, którego upolowałem, trzymałem w rękach. „Nie ma sensu go dzielić”, pomyślałem. „Apolonowi nie należy oddawać byle ochłapów. Niech ma wszystko, ostatecznie nieraz dawał mi coś nie dostając nic w zamian”.

Ołtarz, na tle żółtego niczym pierwiosnek nieba, był tylko czarną plamą. Dymił wciąż po wieczornym składaniu ofiar, a w powietrzu wisiał zapach spalonego mięsa wymieszany z zapachem wina. Dom kapłanów pogrążony był w ciszy i mroku. Nawet dym nie wydobywał się z komina. Pewnie poszli po drewno albo wodę. Miało się wrażenie, że na świecie nie ma nic, oprócz gasnącego światła dnia, błękitu widocznego wszędzie, gdzie tylko nie spojrzeć, oraz gór, mórz i wysp. Nawet pies zdawał się wystraszyć tą samotnością. Zaskomlił, a włos zjeżył mu się na grzbiecie. Wieczorna bryza uderzyła w cięciwę łuku i wydobyła z niej dziwny, wysoki dźwięk. I nagle poczułem się przytłoczony tym miejscem. Miałem wrażenie, że jestem malutką mrówką tonącą w rzece. W tym momencie byłem gotów oddać wszystko za widok innego człowieka, niechby to była kobieta zbierająca chrust, lub inne żywe stworzenie. Ale nic nie poruszyło się i tylko łuk nadal śpiewał, cichutko niczym komar.

Zadrzałem, a oddech mój stał się ciężki. Mało brakowało, a rzuciłbym się na oślep przed siebie jak ścigane zwierzę, przedzierając się przez las, dopóki nie zatrzymałaby mnie jakaś gęstwina. Stałem wyprostowany, włosy mi się zjeżyły na głowie i wtedy usłyszałem głos:

- Nie spóźnij się dzisiaj, bo przegapisz występ harfisty.

Znałem ten głos, był to głos mojej matki. Słowa te również znałem, gdyż wypowiedziała je rano, gdy wyruszałem do lasu. Mruknąłem coś w odpowiedzi, ponieważ głowę moją zaprzętały inne sprawy i zaraz potem zapomniałem o nich. Teraz wróciły do mnie niczym echo.

Poszedłem na górę do sanktuarium i złożyłem ofiarę na ołtarzu, tak by kapłani mogli ją odnaleźć. Następnie ruszyłem do domu przez ciemniejszy bór. Ponury nastrój, który wypędził mnie z domu, opuścił mnie i nagle poczułem głód i chęć znalezienia się w towarzystwie ludzi.

Byłem spóźniony mimo pośpiechu. Dziadek na mój widok w zdziwieniu uniósł brwi, a harfista siedział już przy stole i posilał się. Podeszedłem do miejsca, w którym siedział pomiędzy Moźnymi z Pałacu. Przesunęli się, bym mógł usiąść obok niego.

Był to człowiek średniego wzrostu, z głęboko osadzonymi oczami i zamyślonym wyrazem twarzy. Dzięki swojemu trybowi życia, goszcząc u królów, czuł się jak u siebie w domu. Zawsze siadał wśród równych sobie i był dobrym kompanem do rozmowy. Powiedział mi, że przybywa z Tracji, gdzie służył w świątyni Apollona. Bóg zabronił mu spożywania mięsa i mocnego wina, dlatego też wybierał sery i warzywa, ale również z umiarem, gdyż za chwilę miał zamiar śpiewać. Jego szaty lśniły od złota i wyglądały jak dar od jakiegoś króla, ale na czas posiłku odłożył je na bok i siedział w białym lnianym stroju. Był to cichy człowiek, który o swej sztuce mówił jak rzemieślnik i w żyłach którego płynęła krew Ludzi Wybrzeża, co dość często zdarzało wśród bardów.

W czasie posiłku rozmawialiśmy o robieniu lir, jak wybrać odpowiedniego zółwia i jak właściwie naciągnąć skórę. Instrument, który później wykonałem był tak dobry, że używam go do dziś. Później posprzątało stoły, a służący otarli nasze ręce ręcznikami

moczonymi w gorącej wodzie miętowej. Do komnaty weszła moja matka i usiadła przy kolumnie. Ze sposobu, w jaki powitała harfistę wywnioskowałem, że dziś już dla niej występował.

Śludzy odeszli w drugi koniec Sali, by się posilić i posłuchać, a dziadek kazał przynieść harfście instrument i zachęcił go, by zaczął swój występ.

Bard założył swoją niebieską szatę mieniącą się złotymi słońcami. Przy blasku kominka wyglądał, jakby cały płonął. Potem myślami odpłynął gdzieś daleko, a ja uciszyłem chłopców. Dla mnie był mistrzem, choćby ze względu na to, że nie jadł w stroju, w którym grał i śpiewał. W czasie jego występu, od pierwszej do ostatniej nuty, nic nie zakłóciło ciszy. Tylko pies od czasu do czasu drapał się, by przegnać pchły.

Pieśń, którą śpiewał to Ballada o Mykenach. Mówiła ona o tym, jak Agamemnon, pierwszy z Wielkich Królów, odebrał ziemię Ludziom Wybrzeża i poślubił Królową. Jednak, gdy on wojował, żona przywróciła dawną religię i wybrała innego władcę. Kiedy jej mąż powrócił, złożyła go w ofierze, choć on się na to nie zgodził. Ich syn, ukrywany przez Hellenów, powrócił, gdy dorósł, by przywrócić poprzednią religię, nakazującą cześć Bogów Niebios, i pomścić śmierć ojca; w jego żyłach płynęła jednak krew wyznawców dawnej religii, według której nie ma nic świętszego niż matka, więc gdy dokonała się zemsta, chłopak oszalał, a Córy Nocy ścigały go przez pół świata. W końcu trafił w progi Apollona, Pogromcy Ciemności. Bóg wyszedł mu naprzeciw i chwycił jego dłoń. Córy Nocy były jak psy, którym uciekła zwierzyna, ale zaraz potem ziemia rozstąpiła się i pochłonęła je, a Król był wreszcie wolny. Była to straszna ballada i nie można byłoby jej znieść, gdyby nie zakończenie.

Gdy bard umilkł, stuk kubków dał się słyszeć w całej wsi. Matka uniosła dłoń na znak, że chciałaby przemówić.

- Ojczy, wieczór ten będzie sławiony nawet wśród nieobecnych. Ale może teraz, gdy mistrz chłodzi gardło, poprosisz go, by usiadł z nami i opowiedział o swoich podróżach? Słyszałam, że zna świat jak własną kieszeń.

Dziadek oczywiście zaprosił go. Ja również zmieniłem miejsce. Moje krzesło postawiono koło matki. Gdy bard wypił i wysłuchał komplementów, matka spytała go, która z jego podróży była najdłuższa.

- Pani - odpowiedział - bez wątpienia podróż, którą odbyłem dwa lata temu do ziemi Hyperborejczyków, znajdującej się na północny wschód od Kolumn Heraklesa, na zielonym bezkresnym morzu, które zalało Atlantyde. Apollo jest bogiem strażnikiem Hyperborejczyków, więc tamtego roku wybudowali drugi okrąg wokół jego świątyni. Śpiewałem im pieśń pracy, gdy ustawiali kamienie.

- Co to za ziemia znajduje się w miejscu, z którego wieje wiatr północny? - spytałem.

- To ziemia pełna ciemnozielonych lasów i deszczu. Domostwa stawiano tam na niczym nie porośniętych szczytach wzgórz i wysoko położonych wrzosowiskach, by chronić się przed dzikimi zwierzętami i wrogami. Ale jest to cudowna kraina dla bardów i kapłanów Apollona, gdyż mogą tam poznać jego tajemnice. Sam będąc kapłanem, czułem się szczęśliwy, iż mogę się udać w tamte strony. Moim krajem ojczystym jest Tracja, ale bóg sprawia, że odczuwam nieodpartą chęć podróżowania. To wyrocznia w Delos wysłała mnie w podróż. Wybrałem się tam, by zaśpiewać bogu, gdy z południa, Bursztynową Droga, nadeszli posłańcy z ofiarami. Wielki Król Hyperborejczyków przysłał sługę, by ten powiedział, iż król nakazał wykonanie niezmiernie ważnej pracy i spytał o kapłana z wyspy Delos, która jest największym miejscem kultu Apollona Uzdrowiciela nie tylko na Cykladach, ale również na całym świecie. Sprawę oddano w ręce wyroczni znajdującej się w górskiej jaskini, która odpowiedziała, że powinni posłać pieśniarza z Tracji. W taki oto sposób ruszyłem w drogę.

Opowiedział nam o podróży pełnej niebezpieczeństw i sztormów. Wichura gnała ich na północ od wyspy, gdzie, jak mówił, przepłynęli pomiędzy dwiema pływającymi skałami, białymi jak kryształ, które niemal zmiażdżyły okręt. Na jednej z nich siedział czarny potwór z siedmioma węzowymi szyjami i szczekającymi psimi głowami.

Spojrzałem na dziadka, który puścił mi oczko, gdy bard nie patrzył. „Ostatecznie - mówiło mi jego spojrzenie - ten człowiek nie zeznaje pod przysięgą”.

- A jak zbudowano sanktuarium Apollona? - spytała moja matka.

- Zgodnie z panującą modą: jest to okrag ze stojących kamieni przykrytych belką. Okrag wewnętrzny stoi tam od niepamiętnych czasów i jest symbolem tajemnicy Apollona. W czasie mojego pobytu w tamtych stronach, kapłani dopuścili mnie do Mniejszych Tajemnic i nauczyłem się takich rzeczy, dzięki którym człowiek staje się lepszy po kres swego życia.

- Skoro jest to tajemnicą, opowiedz nam o samej budowli - poprosiła matka.

- To była tytaniczna praca. Sprowadzono potężne ociosane bloki skalne. Każdy z nich rozmiarem zbliżony był do domu biednego człowieka. Wykuto je ze świętej góry odległej o wiele mil, a następnie toczono wokół wzgórz i przenoszono przez rzeki. Na sprowadzenie niektórych z nich trzeba było wielu lat. Kiedy jednak przyszła pora, by je podnieść, Wielki Król posłał po kamieniarzy na Krete, ale nawet gdyby zebrali się tam wszyscy najsilniejsi mężczyźni świata, bez narzędzi nie można było ruszyć żadnego z tych kamieni.

Potem opowiedział nam o tym, jak król wraz z sześcioma innymi, którzy korzystali z sanktuarium, zapędzili wszystkich swoich ludzi do pracy. I choć Kreteńczycy używali wyciągów i dźwigni, to olbrzymie głązy ani drgnęły. To tak, jakby mrówki chciały przenosić kamyki.

- Wtedy zrozumiałem, dlaczego Apollo posłał po barda. Kreteńczykom wydaje się, że wiedzą wszystko, ale tak nie jest. Wiedzą jak podnieść kamienie, ale nie wiedzą jak podnieść ludzi na duchu, a ludzie bali się. Dlatego też posłano po mnie. Wezwałem boga, który dał mi moc wczucia się w rytm pracy i wyrażenia go poprzez muzykę. Śpiewałem pochwały na cześć boga i czekałem. Po chwili siedmiu królów wraz z synami i arystokratami wysunęło się naprzód i stojąc między ludźmi, zaczęło dodawać otuchy pracującym. Wtedy kamienie drgnęły, uniosły się powoli w górę i wślizgnęły na

miejsce przygotowane przez Kreteńczyków. I tak już zostały.

Teraz, gdy odpoczął, spytałem, czy nie zaprezentowałby nam paru wersów swojej pieśni pracy. Uśmiechnął się i powiedział, że to byłoby jak taniec bez tancerzy, ale gdy zaśpiewał, zobaczyłem, że arystokraci, którzy nie wiedzieli, co to praca, zaczęli poruszać się na swoich miejscach, tak jakby wiosłowali na galerze. Bard był znany ze swoich pieśni w całej ziemi achajskiej i gdy królowie planowali jakieś wielkie prace z kamienia, wzywali go, by wspomagał robotników i przynosił szczęście. Odkąd nie żyje, nie ma nikogo, kto by mu dorównał, a prości ludzie mówią, że kamienie te uniosły się dla niego.

W końcu nadszedł czas, by wręczyć mu prezenty. Dziadek podarował harfściec piękną broszę, a matka przyniosła ciężki pas przetykany złotymi nićmi, którego sam król by się nie powstydział. Ponieważ nauczył mnie tak wiele, doszedłem do wniosku, że i ja powinienem dać mu coś niezwykłego. Oddałem bardowi swój czarny pierścień, jedną z najcenniejszych rzeczy, jakie posiadałem. Zrobiono go z bardzo cennego metalu, pochodzącego z odległych krajów. Był ciężki i tak twardy, że można było na nim stępić ostrze miecza, wykute z brązu. Rad byłem, że spodobał mu się ten unikat, w końcu złota miał pod dostatkiem.

Najpierw matka, a potem dziadek zebrali swoich ludzi i udali się na spoczynek. Niewolnicy usunęli ławy i wnieśli łóżka dla niezonałych mężczyzn. Dopilnowałem, by bardowi było wygodnie i spytałem, czy życzy sobie którąś z pałacowych kobiet, ale odpowiedział, że zamierza spać. Wyszedłem więc na podwórze. Noc była czysta. Krawędź dachu oraz strażnik z włócznią i rogiem byli tylko czarnym kształtem na tle gwiazd. W środku, w Sali, Moźni z Pałacu spali z dziewczętami, które porwali lub kupili, natomiast młodzi chłopcy, szukający towarzystwa, czynili to w zwykły sposób. Obok mnie przeszła młoda dziewczyna. Znałem ją, należała do mojej matki i siedziała dziś wieczór koło niej. Wybiegłem i złapałem ją wpół. Tyłko udawała, że się broni, bo nie byliśmy sobie tak zupełnie obcy. Siłowaliśmy się chwilę, śmiejąc się cicho.

- Co ma być, to będzie - powiedziała. - Ale doprowadzę ją do ruiny.

Potem, gdy wszystkie pochodnie były już zgaszone, weszliśmy do Sali. Spytałem ją, tak żeby nikt nie mógł słyszeć, co matka powiedziała bardowi, gdy wręczała mu prezent. Ona jednak była śpiąca i nie chciała bym ją budził, więc odrzekła, że nie pamięta.

4

Dziewczyna obudziła mnie przed świtem, gdy odchodziła, ale na szczęście zapamiętałem to, co mi się przyśniło. Widziałem sanktuarium Hyperborejczyków, wielkie podnośniki i maszyny na tle szarego nieba oraz królów napierających na dźwignie i podnoszących potężne bloki skalne. Wtedy do głowy przyszła mi pewna myśl zesłana przez boga.

Wstałem i udałem się na podwórze pałacowego drwala. Świtało. Nawet niewolnicy jeszcze spali i jedynie na wsi ludzie zaczęli się budzić. Było tak ciemno, że z ledwością znalazłem to, co było mi potrzebne, ale musiałem to mieć z sobą, gdyż nikomu żadnym narzędziem nie wolno dotknąć dębów Zeusa. Odnalazłem jeden krótki, ale gruby bal i dwa dłuższe, których końce zaostriłem. Związałem je i kładąc niezręcznie na ramieniu - gdyż nie byłem przyzwyczajony do noszenia ciężarów - wyruszyłem do dąbrowy.

Czerwone promienie wschodzącego słońca oświetlały drogę, gdy wspinałem się wzdłuż wąwozu. Kiedy dotarłem do zagajnika, dostrzegłem płytę ołtarza, która migotała niczym szata harfisty. Złożyłem ładunek na ziemi i zacząłem modlić się do Apollona.

- Apollo Uzdrowicielu! - zawołałem. - Wszystko Widzący Apollo! Jeśli czynem swym obrażam któregokolwiek z bogów, ześlij mi znak.

Spojrzałem w górę. Niebo stało się błękitne, a wysoko ponad wierzchołkami drzew szybował orzeł. Poruszył skrzydłami i odleciał w bok, znikając za gałęziami. „Cóż”, pomyślałem. „Żaden bóg nie mógł mi dać wyraźniejszego znaku. Powinienem być wcześniej się do niego zwrócić”. Za bardzo jednak kierowałem się uczuciami, a za mało rozumem. Słyszałem to, co chciałem usłyszeć, a nie to, co do mnie mówiono. Miałem ten kamień podnieść sam, lecz nikt nigdy nie kazał mi go unosić gołymi rękami.

Wepchnąłem dźwignię pod głaz i wyprostowałem się. Kamień odchylił się z jednej strony i tam wsunąłem podpórkę. Już miałem naprzeć na dźwignię, gdy przypomniałem sobie, że mam coś stamtąd wyjąć. Zdawałem sobie jednak sprawę z tego, że jak tylko wypuszczę drąg z ręki, kamień ponownie opadnie. Usiadłem na korzeniu dębu, by się spokojnie zastanowić. Wtedy zauważyłem, że korzeń wystaje z ziemi i wpadłem na pewien pomysł. Całe szczęście, że wzięłem drąg na tyle długi, że da się go włożyć pod korzeń.

Zadanie to byłoby łatwe dla kogoś ciężkiego, ode mnie jednak wymagało ono nie lada wysiłku. Tym razem postanowiłem, że dopnę swego, choćbym miał umrzeć. Wiedziałem bowiem, że jest to wykonalne. Dwa razy prawie udało mi się wsunąć drąg pod korzeń i dwa razy musiałem rezygnować. Gdy jednak naparłem nań po raz trzeci, usłyszałem Posejdona i wtedy już wiedziałem, że tym razem mi się uda. Nie myliłem się.

Odszedłem na bok, by odsapnąć. Głaz opierał się na grubszym końcu, podczas gdy cieńsza strona była uniesiona. Przez chwilę nie pragnąłem niczego więcej. Czuję się niczym hiena cmentarna, która przerywa swój niecny proceder, bojąc się gniewu umarłych. Być może miałem nadzieję, że cokolwiek się tam znajduje, samo do mnie przyjdzie: uskrzydłony żreback czy źródło z morską wodą. Ponieważ jednak nic się takiego nie stało, położyłem się na ziemi, wsunąłem rękę do środka i zacząłem szukać.

Pod palcami wyczułem ziemię, kamyki i oślizgłego robaka, którego się w pierwszej chwili wystraszyłem. Niedobrze mi się zrobiło, gdy go chwyciłem, ale szybko przemówiłem sobie do rozumu i

ponownie włożyłem rękę do środka. Nagle natrafiłem na coś. Przedmiot ten był zbyt prosty jak na kość, więc chwyciłem go i wyciągnąłem. Moim oczom ukazało się długie zawiniątko. Przez pleśń prześwitywało parę złotych nici. Z materiału wypełzła stonoga, najwyraźniej robaki się tam zadomowiły. „Znak śmierci”, pomyślałem sobie. „Ale przecież zawsze to wiedziałem. Czy muszę wiedzieć więcej?” Zawiniątko wzbudziło we mnie obrzydzenie. Nagle zapragnąłem cofnąć czas, nigdy nie odsuwać kamienia i nigdy nie dowiedzieć się, co kryje mroczna czeluść. Potem jednak otrząsnąłem się jak pies, chwyciłem materiał i pociągnąłem za niego. Oślepił mnie złoty blask i wtedy przemknęło mi przez myśl, że cokolwiek było zawinięte w ten materiał, nie mogę dopuścić, by spadło na ziemię, gdyż byłby to zły znak. Ponieważ potrafiłem poruszać się szybko jak błyskawica, chwyciłem tajemniczy przedmiot zanim upadł. Potem zorientowałem się, dlaczego nie wolno go upuścić: był to miecz.

Materiał, w który był zawinięty, uchronił rękojeść przed zniszczeniem. Przyjrawszy mu się lepiej, dostrzegłem, że był szcudrzej zdobiony niż miecz dziadka. Rękojeść tworzyły misternie splecione ciała węży, ich odchylone głowy tworzyły gardę, a ogony zachodziły na ostrze, które wprawdzie pozieleniało z czasem, ale nadal było w idealnym stanie. W tej robocie znać było rękę mistrza. „Helleński miecz. Przynajmniej był arystokratą”, pomyślałem.

W ten sposób rozprawiłem się ze swoimi najgorszymi obawami i jednocześnie z wszelkimi nadziejami. Wydaje mi się, że przez cały ten czas gdzieś w głębi serca czekałem, aż Posejdon ugnie się i uzna mnie za swego syna. A potem pomyślałem, że przecież ten starzec w Pałacu wiedział, zanim się jeszcze urodziłem. Gdyby był mnie zostawił w spokoju, zamiast karmić bajkami dla dzieci, uznałbym dzisiejszy dzień za szczęśliwy. To on zrobił ze mnie zgorzkniałego człowieka.

Ponownie spojrzałem na materiał i dostrzegłem, że było tam coś jeszcze. Znalazłem spleśniałe i zniszczone sandały wysadzone amethystami. Klamerki miały kształt małych węży zrobionych ze złota. Zdjąłem swój but i przyłożyłem do podeszwy sandała. Różnica była

niewielka. „Więc to tak! Wszystko, co naopowiadano mi w Trojzynie, jest nic nie warto! Zrobiłem to dokładnie w taki sposób, w jaki on to zrobił” - pomyślałem i zaśmiałem się, ale nie był to radosny śmiech.

Wyciągnąłem drąg i kamień opadł. Zanim odszedłem, wspominałem Apollona i ofiarowałem mu kozła w podzięcie za odpowiedź na moje modły. On jest arystokratą i nie wolno zachowywać się wobec niego lekceważąco bez względu na to, czy ma się dobry nastrój, czy też nie.

W Pałacu nie skończono jeszcze porannych zajęć. Byłem głodny, więc zjadłem cały placek i pół plastra miodu. Potem z mieczem u pasa udałem się do matki.

Ubrała się już, a służka właśnie układała jej włosy. Spojrzawszy najpierw na mnie, a potem na miecz, odesłała dziewczynę. Obok jej krzesła stał niewielki stolik z grzebieniami i lusterkiem. Uśmiechnęła się i rzekła:

- Czyżby bóg zesłał ci sen?

Popatrzyłem na nią zaskoczony, ale nie pyta się kapłanki, skąd wie takie rzeczy.

- Tak, matko. Sandały też mam. Kim on był?

Ze zdziwienia uniosła brwi, które były gładkie i delikatne, niczym pióra przepiórki i puszyste po wewnętrznej stronie.

- Był? Dlaczego sądzisz, że nie żyje?

Zastanowiło mnie to, gdyż dotarło do mnie, że podświadomie miałem nadzieję, że mój ojciec nie żyje. Gniew wezbrał we mnie, niczym fala na wzburzonym morzu.

- No dobrze, więc mam od niego prezent. Pierwszy od siedemnastu lat i na dodatek musiałem ciężko na niego zapracować.

- Był ku temu powód - odezwała się. Wzięła grzebień i zgarnęła włosy do przodu. - Powiedział mi tak: „Jeśli nie będzie miał krzepy, potrzebny mu będzie rozum. A jeśli nie będzie miał ani jednego, ani drugiego, i tak będzie dobrym synem dla ciebie. Więc wychowuj go. Nie ma sensu wysyłać go na śmierć do Aten”.

- Do Aten? - spytałem zaskoczony, ponieważ do tej pory nazwa ta nie znaczyła dla mnie nic.

- Jego dziadek miał zbyt wielu synów - odpowiedziała z niecierpliwością, tak jakby uważała, że powinienem to wiedzieć. - Przez cały czas, gdy rządził, nie miał ani jednego spokojnego roku. Podobnie jak jego ojciec.

Spojrzała na mnie, a potem na swoje włosy.

- Nie udawaj zaskoczonego, Tezeuszu. Nie myślisz chyba, że arystokraci czy wodzowie noszą takie miecze.

W głosie jej dała się słyszeć szorstkość, tak jakby chciała ukryć oneśmielenie. „Właściwie to całkiem możliwe” - pomyślałem. „Ostatecznie ma trzydzieści trzy lata i od prawie osiemnastu nie była z żadnym mężczyzną”. Byłem na nią teraz bardziej zły niż przedtem na siebie.

- Jak się nazywa? - spytałem. - Pewnie słyszałem już jego imię, ale nie pamiętam.

- Ajgeusz. Ajgeusz, syn Pandiona, który był synem Kekropsa - odpowiedziała tak, jakby była zasluchana we własny głos. - Zrodzili się oni z nasienia Hefajstosa, Pana Ognia Ziemi, który ożenił się z Matką.

- Od kiedy to nasienie Hefajstosa jest lepsze od nasienia Zeusa? - spytałem, myśląc o tym, ile wysiłku włożyłem w zadowolenie tego człowieka, gdyż sądziłem, że jest on bogiem. - Powinno mu wystarczyć, że byłem twoim synem. Dlaczego cię tutaj zostawił?

- Był ku temu powód. Teraz musimy znaleźć okręt, który zabierze cię do Aten.

- Do Aten? O nie, tego już za wiele. Osiemnaście lat minęło, odkąd zażył przyjemności i ani razu nie zainteresował się mną.

- Dość tego! - krzyknęła i w tym momencie przemówiła przez nią księżniczka i kapłanka jednocześnie, ale nadal w jej głosie dało się słyszeć tę szorstkość.

Wstyd mi było za swoje zachowanie, więc podszedłem do jej krzesła i ucałowałem w czoło.

- Wybacz mi, matko. Nie gniewaj się. Wiem, jak to jest. Ja sam nieraz przeżyłem rozkosz z dziewczętami, które wcale nie miały zamiaru mi się oddać. A jeśli ktokolwiek źle o nich pomyślał, to na pewno nie byłem to ja. Lecz jeśli król Ajgeusz pragnie mieć potomka bardziej godnego swego rodu, niech postara się o niego u siebie.

Wprawdzie nie został z tobą, ale przynajmniej zrobił najlepszą rzecz, jaką w tej sytuacji mógł zrobić: dał ci syna, który cię nigdy nie opuści.

Słyszając to, wciągnęła gwałtownie powietrze, po czym wypuściła je, śmiejąc się.

- Biedny chłopcze, to nie twoja wina, że nic nie wiesz. Porozmawiaj z dziadkiem. Lepiej będzie, jeśli usłyszysz to od niego.

Wziąłem do ręki kosmyk jej świeżo uczesanych włosów i okręciłem go sobie wokół palca. Chciałem powiedzieć, że byłbym w stanie wybaczyć mężczyźnie, którego wzięłaby sobie dla własnej przyjemności, ale nigdy mężczyźnie, który wziąłby ją dla swojej przyjemności, ale rozmyśliłem się.

- Dobrze. Porozmawiam z nim. Już najwyższy czas.

Jednak nie poszedłem do dziadka od razu. Zostałem jeszcze, by zmienić ubranie. Byłem na tyle zły, by docenić swą godność. Moje najlepsze szaty to ciemnoczerwona koszula z jeleniej skóry, kaftan ozdobiony złotymi zapięciami oraz spodnie z frędzlami z kozłej skóry, pasujące do butów. Właśnie zabierałem się do przypasywania mieczy, gdy przypomniałem sobie, że do króla nie wolno wchodzić z bronią.

Stojąc na szczycie wąskich schodów, usłyszałem głos dziadka, zapraszający mnie do wejścia. Niedawno się przeziebił i na razie nie opuszczał swojej komnaty. Na ramiona zarzucony miał szal, a na stoliku, koło krzesła, stał kubek po napoju z gorącego mleka z dodatkiem wina i przypraw, w którym teraz znajdowały się tylko jego resztki i fusy. Cerę miał ziemistą i widać było na niej zęb czasu. Jego mizerny wygląd nie ułagodził mnie jednak i stałem przed nim, milcząc. Spojrzał na mnie swoimi bładoniebieskimi oczami. Widać było, że wie. Skinął na mnie energicznie i wskazał podnózek.

- Usiądź, mój chłopcze.

Z przyzwyczajenia przyciągnąłem mebel do siebie i usiadłem. Dziadek rządził od dawna, więc ruchy jego palców były władcze, tak jak zręczne są ruchy palców harfisty. Dopiero, gdy zająłem miejsce, na którym zwykłem siadać jako dziecko, z nogami na starej zniszczonej skórze niedźwiedzia i rękoma oplatającymi kolana, dostrzegłem,

jakiego głupca ze mnie zrobił. Kubek stał przy mojej twarzy. Rozchodził się z niego zapach jęczmienia, miodu, jaj i wina. Był to zapach starości i dzieciństwa. Poczulem, jak męski gniew przeradza się w gniew małego chłopca. Z góry spoglądały na mnie wodniste oczy patrzące na młodość z błyskiem złośliwości tak charakterystycznym dla starych ludzi, których opuszczają siły.

- Matka powiedziała ci, kim jest twój ojciec?

- Tak - odpowiedziałem, siedząc skulony u jego stóp, niczym spętany więzień. Moje serce przepęliła gorycz.

- I pewnie chciałbyś mnie o coś zapytać? Milczałem.

- Możesz też zapytać ojca, jeśli uważasz, że tak będzie lepiej.

Nie odważyłem się odezwać. W końcu był królem.

- Jeśli pokażesz mu miecz, uzna cię za swego następcę.

Wreszcie postanowiłem przerwać milczenie.

- Dlaczegoż miałby to uczynić. Z pewnością ma synów z własnego rodu.

- Żaden nie pochodzi z prawego łóża. Co się zaś tyczy reszty, pamiętaj, że on jest z rodu Erechtheidów, a my z rodu Pelopsa. Nas stworzył Zeus.

Już miałem spytać, czy tak, jak mnie stworzył Posejdon, ale nie odezwałem się. I to nie dlatego, że był moim dziadkiem, ale dlatego, że nie śmiałem.

Spojrzał mi w twarz, owinął się ciałniej szalem i powiedział ze zdenerwowaniem:

- Nigdy nie zamykasz za sobą drzwi? W tym pokoju jest jak w stodole.

Wstałem i zamknąłem je.

- Zanim powiesz cokolwiek obraźliwego o swoim ojcu, wiedz, że gdyby nie on, mógłbyś być synem rybaka, wieśniaka albo niewolnika.

Cieszyłem się, że akurat stałem.

- Jej ojciec może mi bezkarnie mówić takie rzeczy - powiedziałem.

- Bzdury wygadujesz, chłopcze - odrzekł. - Bądź cicho i słuchaj, co mam ci do powiedzenia.

Popatrzył na mnie i czekał. Postąłem jeszcze przez chwilę, a potem wróciłem na miejsce i usiadłem u jego stóp.

- W roku twoich narodzin - zaczął - gdy twoja matka miała piętnaście lat, panowała susza. Zboże nie obrodziło, a winogrona były małe jak jagody. Wszędzie unosiło się pełno kurzu i much. One jedne miały się dobrze. Wraz z posuchą przyszła choroba, która z wyjątkiem starców zabierała wszystkich: kobiety, dzieci, dziewczęta i chłopców. Najpierw posłuszeństwa odmawiały im kończyny, potem przewracali się, aż w końcu nie mieli siły nawet nabrać powietrza. Ci, którzy przeżyli, są kalekami po dziś dzień, jak Thyestes, perfumiarz, który ma jedną nogę krótszą. Większość z nich jednak umarła.

Próbowałem się dowiedzieć, które z bóstw obraziliśmy. Najpierw udałem się do Apollona, Pana Strzał. On obwieścił nam poprzez wnętrze ofiary, że nie strzelał do nas i więcej nic nie chciał powiedzieć. Zeus również milczał, a Posejdon nie zsyłał żadnych znaków. W końcu ludzie postanowili znaleźć kozła ofiarnego. Padło na zezowatego człowieka, o którym mówiono, że źle mu z oczu patrzy. Zaczęto go okładać z taką nienawiścią, że zanim go spalono, już nie żył. Mimo to deszcz nie spadł, a dzieci nadal umierały.

Straciłem wtedy trzech synów. Dwóch mojej żony i trzeciego, który był mi najdroższy ze wszystkich. Umierał dokładnie w ten sam sposób jak poprzedni i tylko jego oczy błagały, bym napełnił mu płuca powietrzem. „Widać nadchodzi czas mojej mojry” - pomyślałem, gdy leżał w grobie. „Pewnie niedługo bóg ześle mi znak”. Uporządkowałem wszystkie swoje sprawy, a przy kolacji przyglądałem się moim synom, zastanawiając się, którego z nich wybrać na następcę. Jednak bóg nie zesłał mi żadnego znaku.

Dwa dni później przybył twój ojciec. Wracał z Delf do Aten i w Trojzenie chciał wsiąść na statek, który zabrałby go do domu. Wybrał taką trasę, by ominąć drogę przez Przesmyk. Nie miałem ochoty na towarzystwo, ale gość jest święty, więc przyjąłem go. Wkrótce przekonałem się, iż słusznie uczyniłem. Był młodszy ode mnie, lecz przeciwności losu sprawiły, że był nad wiek dojrzały i rozumiał ludzi.

Przy kolacji zaczęliśmy opowiadać sobie o naszych problemach. Okazało się, że on nigdy nie miał tego, co ja właśnie straciłem. Jego pierwsza żona była bezpłodna, a druga zmarła w połogu, urodziwszy martwe dziecko. Udał się do wyroczni, lecz jej odpowiedź była tak zagadkowa i niejednoznaczna, że nawet kapłanka nie była w stanie jej rozszyfrować. Teraz wracał do umęczonego królestwa bez następcy tronu. Byliśmy więc dwójką obcych sobie mężczyzn, których połączyła rozpacz i którzy doskonale się rozumieli. Odesłałem harfistę i kazałem przynieść jeszcze jedno krzesło do mojego pokoju. Siedzieliśmy tu, gdzie my teraz i przy tym kominku rozmawialiśmy o smutku, który nas ogarnął.

Gdy zostaliśmy sami, opowiedział mi o braciach, którzy przez chciwość nie cofnęli się nawet przed okryciem hańbą własnej matki, którą uważano za najzacniejszą kobietę Aten i do okrzyknięcia go bękartem. Stwierdziłem wtedy, że miał nie mniejsze kłopoty od moich. Kiedy tak rozmawialiśmy, usłyszeliśmy w dole jakieś hałasy. Wyszedłem, by zobaczyć, co się stało.

To Kapłanka Bogini, siostra mojego brata, zawodziła. Wokół niej zebrały się kobiety, które płakały, biły się w piersi i drapały policzki do krwi. Stałem na schodach i spytałem, co się stało. Wtedy Kapłanka odezwała się: „Królu Pitteusie, nieszczęście wielkie sprowadziłeś na ludzi, składając ofiary Bogom Niebios, którym niczego nie brakowało, a zapominając o ołtarzu, który znajduje się najbliżej ciebie. Już drugą noc z rzędu niosę mięso i mleko do Omfalosa i już drugą noc z rzędu Święty Wąż odrzucił ofiary. Masz zamiar czekać, aż wszystkie dzieci Trojzeny pomrą? Ofiary, tylko ofiary mogą nas uratować. To Matka się gniewa, a nie Bogowie Niebios”.

Natychmiast nakazałem urządzenie hekatomby, wymawiając sobie, że pozostawiłem to wszystkim kobietom. Po milczeniu Apollo na powinienem był się domyślić, że nasze kłopoty nie są związane z niebiosami. Następnego ranka zarżnęliśmy świnie przy Omfalosie. W całym domu słychać było ich kwik, a zapach wnętrzości unosił się w powietrzu przez cały dzień. Gdy krew wsiąkła w ziemię, zobaczyliśmy, że na zachodzie zbierają się chmury. Wisiały nad nami,

niczym ciężka łożowana pokrywa, ale nadal nie spadła ani jedna kropla deszczu.

Nadeszła Kapłanka i poprowadziła mnie do Omfalosa, by pokazać mi wijące się ślady Świętego Węża, z których odczytywała znaki. „Wyjaśnił mi”, powiedziała, „co rozgniewało Matkę. Dwadzieścia lat minęło od czasu, gdy dziewczyna z tego domu poświęciła swą cnotę dla Matki. Aitra, twoja córka, już od dwóch lat jest kobietą, ale czy ktokolwiek odebrał jej dziewictwo? Wyślij ją do Mirtowego Domu i niech odda się pierwszemu lepszemu przybyszowi, kimkolwiek by nie był: żeglarzem, niewolnikiem czy opojem. W przeciwnym razie Matka Dia nie ustąpi, póki wszystkie dzieci nie pomrą.

Dziadek spojrział na mnie.

- I co głuptasie? Zaczynasz rozumieć?

Skinąłem tylko. Byłem zbyt wstrząśnięty, by odpowiedzieć

- Byłem wdzięczny, że nie chodziło o coś gorszego, ale jednocześnie żał mi było dziecka. Nie chodziło o to, że córka straciłaby szacunek wśród ludu, gdyż wieśniacy, którzy bratali się z Ludźmi Wybrzeża, nawykli do takich praktyk, a ja nigdy tego nie zabroniłem, ale też nie zmuszałem nikogo do takiego postępowania. Chodziło o to, że twoja matka nie była przygotowana na takie rzeczy. Rozgniewałem się, gdy zobaczyłem, że Kapłanka cieszy się z tego. Owdowiała w młodym wieku i od tamtej pory nikt nie starał się o jej rękę, więc nienawidziła dziewcząt, które miały swych adoratorów. Twoja matka była dumnym i nieśmiałym dzieckiem i bałem się, że wpadnie w łapy jakiegoś prostaka, który ze względu na brak wrodzonej delikatności lub z czystej złośliwości wobec wyżej postawionych weźmie ją jak zwykłą dziwkę. Najbardziej jednak obawiałem się pospolitej krwi, która w ten sposób mogła dostać się do żył przedstawicieli naszego rodu. Gdyby miało się z tego zrodzić dziecko, nie można było pozostawić go przy życiu, ale o tym postanowiłem jej na razie nie mówić. Miałem wystarczająco dużo trosk jak na jeden dzień.

Odnalazłem ją w pokojach kobiecych. Wysłuchała mnie w milczeniu. Kiedy skończyłem, nie usłyszałem od niej ani jednego słowa skargi, lecz gdy chwyciłem ją za rękę, poczułem, że były lodowate. Potem wróciłem do gościa, którego zaniedbałem.

„Mamy nowy kłopot, przyjacielu” - powiedział.

„Na pewno mniejszy, niż mój ostatni”, odrzekłem i opowiedziałem mu co się stało. Staralem się potraktować całą sprawę lekko, gdyż nie chciałem wyjść na słabeusza, ale jak już wspominałem, twój ojciec rozumiał mężczyzn.

„Widziałem tę dziewczynę - powiedział. - Powinna rodzić królów. Ale jest skromna i to sprawia, że nie jest to łatwe ani dla niej, ani dla ciebie”.

Tamten stół stał wtedy pomiędzy nami. Nagle twój ojciec uderzył weń pięścią.

„Pitteusie, bóg na pewno miał jakiś powód, by mnie tu sprowadzić. Powiedz mi, o której godzinie dziewczęta udają się do zagajnika”.

„O zachodzie słońca lub tuż przed” - odpowiedziałem.

„Z przyzwyczajenia, czy istnieje jakieś święte prawo?” - spytał.

„Nic mi nie wiadomo o żadnych świętych prawach” - odparłem, zrozumiawszy, do czego zmierza.

„W takim razie powiedz Kapłance, że dziewczyna pójdzie jutro. Jeśli będzie tam przed porankiem, to kto oprócz nas dwóch będzie wiedział? Wszyscy troje na tym zyskamy: ja - następcę, jeśli niebiosy będą dla mnie łaskawe, ty - wnuka czystej krwi, a twoja córka... cóż, obie moje żony były dziewicami, więc wiem co nieco o kobietach. Co na to powiesz, mój przyjacielu?”

„Chwalić bogów! Nie zapomnieli o mnie dzisiaj!” „W takim razie nie pozostaje nic innego, jak powiadomić dziewczynę. Ponieważ będzie to ktoś, kogo już widziała i nie doznała krzywdy z jego strony, mniej się będzie bała”.

Skinąłem na znak, że się zgadzam, ale po chwili zawahałem się.

„Nie. Ona musi pójść, zgadzając się na ofiarę, inaczej wszystko pójdzie na marne. Niech to pozostanie między nami”.

Gdy upłynęły pierwsze godziny nocy, poszedłem obudzić twoją matkę, lecz ona nie spała. Czuwała przy świetle lampy.

„Moje dziecko - powiedziałem. - Miałem sen zesłany niewątpliwie przez boga lub inne stworzenie. Śniłem, że poszłaś do zagajnika przed świtem, by o brzasku spełnić swój obowiązek wobec Bogini. Wstań więc i przygotuj się”.

Spojrzała na mnie tymi swoimi dużymi spokojnymi oczami.

„Cóż, w takim razie szybciej się to stanie. To dobry znak dla dzieci”.

Wkrótce zesła opatulona w płaszcz z lisów, gdyż noc była chłodna. Stara niania, której nic nie powiedziałem, odprowadziła nas aż do brzegu, trzymając ją za rękę i opowiadając historie o dziewczynach, które nawiedził bóg. Pomogliśmy twojej matce wsiąść do łodzi i osobiście przewiozłem ją na drugą stronę.

Do brzegu dobiliśmy w miejscu, gdzie polana schodzi do samej wody. Na niebie zaczęły się zbierać olbrzymie chmury. Księżyc oświetlał lśniące listki mirtu i dom z drzewa cedrowego zbudowany na skałach nad wodą. Gdy zbliżyliśmy się do niego, księżyc skrył się za chmury.

„Idzie burza - powiedziała twoja matka. - Ale to nic. Mam lampę i hubkę”.

Przyniosła te przedmioty ukryte pod płaszczem.

„Nie wolno ci ich mieć z sobą. Pamiętam, że we śnie były zakazane” - powiedziałem i odebrałem je. Serce mi się ścisnęło, gdy to uczyniłem, ale obawiałem się, że mógłby się tu pojawić jakiś łotr zwabiony światłem. Ucałowałem ją i dodałem:

„Dla takich rzeczy jesteśmy zrodzeni. To nasza mojra. A jeśli jesteśmy posłuszni, bogowie nie odwracają się od nas .

Zostawiłem ją, a ona nie płakała i nie próbowała mnie zatrzymać. Gdy weszła do domu, godząc się ze swoim losem, Zeus

zagrzmiał w niebiesiech i na umęczoną ziemię spadły pierwsze krople deszczu.

Burza nadchodziła szybko. Ja od dzieciństwa nie trzymałem wiosła w rękę, więc dużo wysiłku kosztował mnie powrót. Kiedy dotarłem na miejsce, rozejrzałem się za twoim ojcem, by dać mu łódź. Wtedy z pomieszczenia na łodzi doszedł mnie skrzekliwy śmiech i gdy niebo rozświetliła błyskawica, zobaczyłem nianię chowającą się przed deszczem.

„Nie szukaj młodego, królu Pitteusie. Zniecierpliwiał się. Ach, ci młodzi. Mam tu jego rzeczy. Dziś w nocy nie będą mu potrzebne”.

„Co masz na myśli, głupia starucho?” - to spotkanie wcale mnie nie ucieszyło. „Gdzie on jest?”

„Pewnie już prawie na miejscu. Niech mu Dobra Bogini da przyjemność. Powiedział, że woda morska jest cieplejsza od deszczu, a dziewczyna potrzebuje towarzystwa. Nie wolno jej zostawiać samej w taką noc. Uroczy z niego człowiek i ma boskie ciało. Od początku nie mogłam się doczekać, aż będzie się kąpał. Ludzie nie kłamią, mówiąc o tobie Pitteus Mądry”.

I w taki sposób ojciec dotarł do twojej matki, Tezeusza. Później opowiadała mi, że z początku stała na progu, bojąc się ciemności panującej w środku. Gdy niebo przecięła błyskawica, widziała Trojzenę po drugiej stronie wody i oddalającą się łódkę. Potem znów zapadła ciemność i przez chwilę nie mogła dostrzec niczego. Zaraz potem gdzieś w pobliżu uderzył piorun i równocześnie kolejna błyskawica rozświetliła okolicę. Wtedy przed sobą, na kamieniu, dojrzała nagiego mężczyznę. Z włosów i brody ociekała mu woda, a wokół ramienia oplatały się wodorosty. Jakże więc, zdając sobie sprawę ze świętości miejsca i po tych wszystkich opowieściach usłyszanych po drodze, miała nie uwierzyć, że sam Posejdon przyszedł do niej. W następnym błysku ujrzała twego ojca kłęczącego u jej stóp. Ręce skrzyżowała na piersi i czekała, aż bóg zaspokoii swą żądzę. Wtedy on ją podniósł, pocałował i powiedział, kim jest. W chwilę potem, już w domu, okryła go swoim płaszczem z lisów i tak zostałeś poczęty.

Zamilkł.

- Ona wciąż ma ten płaszcz. Jest już zniszczony, futro w niektórych miejscach się powycierało. Kiedyś spytałem ją, dlaczego nadal je trzyma - powiedziałam, a po chwili dodałem:

- Jak udało wam się to wszystko ukryć przede mną?

- Związałem nianię przysięgą, która nawet jej zamknęła usta. Po burzy twój ojciec wrócił w ten sam sposób, a ja przyprowadziłem Kapłankę, by sama zobaczyła dowody spełnionej ofiary. Ale ani ona, ani nikt inny nigdy się nie dowiedział, kim był mężczyzna. Twój ojciec o to prosił. Powiedział, że twoje życie byłoby zagrożone nawet w Trojzenie, gdyby chętni do przejęcia władzy w Attyce dowiedzieli się, z czyjego zrodziłeś się nasienia. Wyobraźnia twojej matki podsunęła mi rozwiązanie. Wersję z Posejdonem obwieściłem publicznie, a ci, którzy mieli inne zdanie na ten temat, zachowali je dla siebie.

Przerwał. Na złotym brzegu kubka usiadła mucha, weszła do środka, by upić trochę z tego, co zostało na dnie i utonęła. Dziadek mruknął coś o leniwych służących, odepchnął kubek i zajął się własnymi myślami, patrząc przez okno na letnie morze. Po chwili znów się odezwał:

- Ale od tamtego czasu zastanawiam się, co pchnęło twego ojca, rozsądnego trzydziestolatka, do przepłynięcia cieśniny wpław, jak dzieciak? Skąd miał pewność, że urodzi mu się syn, skoro wcześniej dwa razy był żonaty i nie udało mu się spłodzić męskiego potomka? Ale któż jest w stanie odgadnąć wolę Nieśmiertelnych? I wreszcie zacząłem się zastanawiać, czy to oczy twojej matki, czy moje otwarte były na prawdę? Tylko gdy godzimy się przyjąć naszą mojrę, otrzymujemy znak od boga.

Mniej więcej siedem dni później do Trojzeny przybił statek zmierzający do Aten.

Zarządca Pałacowy zajął się organizacją podróży, ale ponieważ nigdy nie byłem na pełnym morzu, nie wytrzymałem i udałem się do portu, by zobaczyć okręt. Stał tam, przycumowany do cypla zwanego Brodą Trojzeny. Statek kreteński miał ciemne żagle, na burtach widniały wymalowane węże, a dziób ozdabiał orzeł z głową byka i odchylonymi do tyłu skrzydłami.

Łodzie z tamtych regionów rzadko do nas zawijały, z wyjątkiem okresu, kiedy należało zapłacić daninę. Na Brodzie panował ruch, gdyż ludzie urządzili tam jarmark. Przyszedł garncarz, kowal, tkaczka i snycerz. Wieśniacy również nie mogli przepuścić takiej okazji i pojawili się z serami, kurami, owocami i słojami z miodem. Siadali na kamieniach, a towar rozkładali wokół siebie. Nawet jubiler, który z reguły do portu przynosił tanie rzeczy, dziś miał ze sobą złoto. Broda roiła się od Kreteńczyków załatwiających różne sprawy i podziwiających widoki.

Niscy, ciemni żeglarze byli prawie nadzy. Na sobie mieli jedynie skórzane przepaski, jakie mieszkańcy Krety noszą zwykle pod spódniczkami, co nam Hellenom wydaje się śmieszne. Niektórych, spacerujących po jarmarku, można było przez to wziąć za dziewczyny. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że przypląnęły do nas same dzieci i starcy. W Trojzenie, podobnie jak w większości miast Hellady, panował zwyczaj, że jeśli ktoś dopuścił się jakiegoś haniebnego czynu, golono mu połowę twarzy, żeby za szybko nie zapomniał. Dlatego też nie mogłem zrozumieć ludzi, którzy dobrowolnie pozbywali się zarostu. Na ich widok odruchowo dotknąłem mojej brody, ale była jeszcze zbyt jasna, by mogła być widoczna.

Kreteńczycy z gracją poruszali się wśród handlujących. Talie ściśnięte mieli niczym osy, a ubrani byli w haftowane spódniczki. Co poniektórzy wetknęli świeże kwiaty w swoje długie włosy. Na nadgarstkach mieli złote bransolety z rzeźbionymi pieczęciami lub

koraliaki. Zapach perfum, których używali, był ciężki i dziwny.

Przeszedłem przez jarmark pozdrawiając rzemieślników i wieśniaków. Chociaż trudno było mnie pomylić z prostym człowiekiem, Kreteńczycy traktowali mnie jak powietrze z wyjątkiem kilku, którzy przystawali, by mi się lepiej przyjrzeć. Zauważyłem, że traktują to miejsce, tak, jakby odbywało się tu jakieś przedstawienie na ich cześć z udziałem akrobatów i mimów. Pokazywali palcami ludzi albo towary, krzyczeli coś do siebie albo chichotali, stojąc w większej grupie. Jeden z nich, niosąc w płaszczu rzodkiewki i cebulę, podszedł do garncarza i powiedział zmanierowaną greką:

- Chciałbym nabyć jakieś naczynie, aby móc umieścić w nim warzywa. To mi odpowiada.

Kiedy garncarz wyjaśnił, że jest to jego najlepszy wyrób przeznaczony do postawienia na stole, usłyszał:

- Będzie dobre, będzie dobre.

Przybysz zapłacił żadaną cenę bez mrugnięcia oka, po czym przespał do niego wszystkie warzywa.

W tym momencie usłyszałem gniewny okrzyk jakiejś kobiety. Była to młodzianka żona olejarza, która sprzedawała towar, podczas gdy jej mąż pracował przy tłoczni. Jeden z Kreteńczyków wciskał jej pieniądze, ale bynajmniej nie za olej, drugą ręką złapał ją za pierś. Zbiegło się kilku wieśniaków, a ponieważ byli to ludzie skorzy do bijatyk, poklepałem obcego po ramieniu i powiedziałem:

- Słuchaj, przybyszu. Nie wiem, jakie macie u siebie zwyczaje, ale tutaj są same porządne kobiety. Jeśli zachciało ci się amorów, to tam stoi przybytek przeznaczony do tych celów. To ten z malowanymi drzwiami.

Odwrócił się i spojrzał na mnie. Była to postać o blado-żółtej skórze z naszyjnikami ze szkła pokrytym sztucznym złotem, które oblażyło w niektórych miejscach. Mężczyzna zamrugał oczami i spytał:

- A co ty będziesz z tego miał, chłopcze? Co?

W pierwszej chwili zaniemówiłem. Musiał się jednak zreflektować, gdyż odskoczył gwałtownie do tyłu, ale i tak widziałem, że był

to człowiek, którego nie dało się nauczyć dobrych manier.

- Dziękuj swoim bogom, że jesteś tu gościem. A teraz zejźdź mi z oczu.

Gdy odchodził, podszedł do mnie jakiś starszy człowiek z brodą.

- Panie, racz wybaczyć. To prostak, który nie potrafi rozpoznać szlachetnie urodzonych.

- Najwyraźniej nie potrafi odróżnić nawet dziwki od ucziwej kobiety - powiedziałem i odszedłem.

Widziałem, iż za grzecznością kryje się satysfakcja z tego, że mógł być uprzejmy wobec kogoś mniej ważnego niż on sam. My w ogóle nie liczyliśmy się dla tych ludzi. Pamiętałem słowa dziadka i wiedziałem, że on zdawał sobie z tego sprawę.

Już miałem zamiar wracać, ale zatrzymałem się jeszcze, gdyż usłyszałem czyjś głos. Był to dowódca statku.

- Czy ktoś wybiera się do Aten? - mówił. - Teraz macie okazję, dobrzy ludzie. Teraz jest dobry czas, póki pogoda nam sprzyja. Jeśli jeszcze nigdy nie płynęliście przez morze, nie lękajcie się. „Morski Orzeł” zabierze was i bezpiecznie dostarczy na miejsce. Nie ma potrzeby ryzykować życiem jadąc drogą przez Przesmyk. Gwarantujemy, że w czasie podróży nie natkniecie się na żadnych piratów, przecież za to płacie podatki królowi Minosowi. Skorzystajcie więc z tego! Wybierzcie się w drogę „Morskim Orłem”, by dotrzeć do celu szybko i bezpiecznie. A jeśli nie jesteście w stanie sami ocenić statku, posłuchajcie: wnuk waszego króla płynie z nami.

Do tej pory stałem z tyłu, za grupką przysłuchujących się ludzi. Ale widząc, że odwracający się w moją stronę ludzie zadziwili przemawiającego, powiedziałem do siebie:

- O, nie.

- Kim jesteś? - spytał dowódca statku, ale przyjrzawszy mi się lepiej, dodał natychmiast - Panie?

- Jestem wnukiem króla Pitteusa. I właśnie zmieniłem zdanie. Wasz statek nie jest dla mnie dość dobry. Przywykłem do lepszych.

Słyszając to mieszkańcy Trojzeny zaczęli wiwatować. Mogłoby się wydawać, że uwierzyli w to, co powiedziałem.

Dowódca spojrział na mnie zbity z tropu.

- Cóż, panie, skoro tak mówisz. Ale nie znajdziesz lepszego statku, chyba że w Koryncie. A one nie zawijają do tak małych portów.

Zaczynało mnie to wszystko denerwować, ale nie dałem niczego po sobie poznać w obecności ludzi. Męczyło mnie, że nie mogłem podnieść głosu, a jednocześnie zdziwiłem się, słysząc własne słowa:

- Nie będę potrzebował statku. Wybieram się lądem - drogą przez Przesmyk.

Zawróciłem na pięcie, a za sobą słyszałem ludzi obgadujących Kreteńczyków. Gdy szedłem, dostrzegłem mężczyznę z naszyjnikiem, który wziął mnie za stręczyciela. Żałowałem, że nie mogłem go pobić, ale wkrótce zapomniałem o nim na długie lata. Teraz, gdy spoglądam wstecz, wiem już, że przelał on krew wielu ludzi, jakby był jakimś wielkim Dowódcą Wojska. Wśród jego ofiar byli dowódcy, księżęta i jeden król. Gdybyśmy znali wszystkich ludzi jego pokroju, mogłoby się okazać, że przez nich upadały nie tylko pałace, ale całe królestwa. Oni jednak odchodzą do nikomu nieznanych grobów i nikt nigdy się już o nich nie dowie.

6

I tak wyruszyłem do Aten drogą lądową. Choć dziadek uważał, że postępuję jak głupiec i martwił się o mnie, nie mógł wymagać, bym wycofał się z tego, co powiedziałem przy ludziach, gdyż zhańbiłbym rodzinę. Matka udała się do Świętego Węża, by sprawdzić, co mnie czeka. Widziała różnego rodzaju zagrożenia, ale śmierć mi raczej nie groziła. Mimo to rozpląkała się i powiedziała, że napotkam po drodze ogromne niebezpieczeństwa i nie może mi zagwarantować, że wyjdę

z tego cało. Kazała mi również przysiąc, że nie wymówię imienia ojca, dopóki do niego nie dotrę. Bała się po prostu, że mogę wpaść w ręce jego wrogów. Dlatego też obiecałem jej to, by ją choć trochę uspokoić. Spytałem, czy chciałaby mu przekazać jakąś wiadomość, ale odpowiedziała, że to ja jestem jej wiadomością.

Dwa dni później zaprzęgnięto parę moich koni, a ja wsiałem do rydwanu obok powożącego. Chciałem jechać sam, ale Deksius nalegał, bym wziął go ze sobą. Wychował się z końmi, więc nie mogłem znaleźć lepszego woźnicy i przyjaciela zarazem.

Przejechaliśmy pod olbrzymią bramą Trojzeny, którą postawiły olbrzymy i przy której mój pradziadek umieścił symbol naszego rodu - kamienny piorun na słupie z orłami po obu jego stronach. Dziadek, wujowie i chłopcy odprowadzili nas aż do brzegu, gdzie droga skręca na północ, po czym zawrócili. Tak rozpoczęła się nasza podróż. Pierwszej nocy spaliśmy w Epidauros w sanktuarium Apollona Uzdrawiciela, a drugą spędziliśmy w Kenchreai. Kiedy wieczorem ujrzelśmy wzgórze w pobliżu Koryntu, wiedzieliśmy, że następnego dnia dotrzemy do Przesmyku.

Przeprawa zajęła nam jeden dzień. Taka jest prawda, a opowieści harfistów można między bajki włożyć. Dziś jestem rad, że mogę zaprzeczyć wszystkim tym bredniom, w które żaden rozsądny człowiek nie uwierzy. Pozostali natomiast niech wierzą, w co chcą. Wprawdzie ludzie chętnie słuchają tych opowieści, ale na szczęście nikomu one nie szkodzą.

Nie spotkałem po drodze żadnych potworów, ani nie zabiłem kolosa z pałąką, która nie jest bronią mogącą zagrozić człowiekowi uzbrojonemu w miecz i włócznię. Udało mi się nie stracić broni, choć niejeden próbował mi ją odebrać. Potworów do szczęścia mi już nie trzeba było. Wystarczyli mi ci, których spotkałem. Przesmyk to górzysta kraina. Droga wiję się pomiędzy skałami tak, że nigdy nie wiadomo, co czeka za zakrętem. To właśnie tam czają się złodzieje.

W razie starcia Deksius pilnował rydwanu i koni, które musieliśmy oszczędzać, gdyż nie mieliśmy innych, a ja zajmowałem się resztą. Pojazd musiał być zawsze w pogotowiu, żebyśmy w razie czego mogli szybko opuścić niebezpieczne miejsce. Przyjaciel dobrze wywiązywał się z zadania. Teraz po tylu latach, wszystkie te walki zacierają mi się w pamięci. Z wyjątkiem jednej.

Ciemny błękit i czerń - tak zapamiętałem Przesmyk. Błękitne niebo nad nami, po którym z rzadka płynęły obłoki, a z prawej czarne skały schodzące do samego morza. Pomiędzy tymi dwoma pasami błękitu ciągnęła się różowawa, zakurzona droga i rosła skarłowaciała roślinność i sosny. Morze było spokojne, kolorem zbliżone do nieba, ale jeszcze bardziej niebieskie. Bardziej nawet niż lazuryt, szafir, czy najbardziej niebieski z niebieskich kwiatów. U podnóża skał natomiast dominował kolor zielony i purpurowy, przypominający pióra gołębia lśniące w słońcu. Widok był tak rzadki, że aż przystanąłem, by mu się spokojnie przyjrzeć. Wprawdzie moje oczy wypatrywały czegoś innego, ale właśnie ten błękit najbardziej zapadł mi w pamięć.

Pamiętam to i atmosferę kraju bezprawia. Na drodze przez Przesmyk leżący na poboczu ranny człowiek, po którym łażą muchy, jest sygnałem dla wędrowca, że należy się stamtąd jak najszybciej oddalić. W momencie, gdy się takiego nieszczęśnika znajdowało, nie można już było wiele dlań uczynić. Pamiętam jednego, którego mogłem jedynie dobić, tak jak się dobija psa ranionego przez rozjuszonego dzika. Zrobiłem to szybko, gdy pił, ale przynajmniej poczuł jeszcze smak wody.

W południe znaleźliśmy schronienie w wyschniętym korycie rzeki. Po jego dnie sączyła się cienka strużka wody, ale na szczęście wystarczyło to, by napić konie. Miejsce było dobre, gdyż osłaniało nas, a jednocześnie nie stanowiło pułapki. Gdy rozprzęgliśmy konie i podjedliśmy, Deksius odszedł na chwilę. Po jakimś czasie zacząłem się niepokoić, gdyż miałem wrażenie, że zbyt długo go nie ma. Zawołałem, a gdy nie otrzymałem odpowiedzi, udałem się na poszukiwanie. Skały były dość strome, więc by łatwiej było mi się

wspinać, pozostawiłem włócznię na dole. Aż trudno uwierzyć, że mogłem być tak głupi.

Dostrzegłem go, będąc u szczytu parowu. Leżał u stóp potężnie zbudowanego człowieka, który kradł jego złote ozdoby. Złodziej musiał go zejść od tyłu i ogłuszyć, gdyż Deksius nawet nie pisnął. Zobaczyłem też maczugę, którą lotr odłożył na bok. Przyjaciel poruszył się, więc żył jeszcze. Przypomniałem sobie, jak uratowałem go przed bykiem. Teraz to znowu ja wystawiłem go na niebezpieczeństwo. Już miałem zejść na dół po włócznię, ale dostrzegłem, że złodziej wzięwszy to, co chciał, zaczął popychać go w stronę przepaści, w pobliżu miejsca, gdzie przechodzi droga.

- Zostaw go! - wykrzyknąłem, wyglądając zza skał.

Złodziej podniósł wzrok. Był naprawdę potężnie zbudowany, rudy, a brodę rozdzieloną miał na dwie części. Gdy mnie dostrzegł roześmiał się i pchnął Deksiosa nogą.

Wdrapałem się na ostatnie skały, ale były ostre i niełatwo było mi je pokonać.

- Zostaw go! - krzyknąłem jeszcze raz.

Zbir stanął z dłońmi na biodrach i ryknął:

- A kimże ty jesteś Złotowłose? Jego dziewczyną, czy chłopcem do towarzystwa?

Potem posypały się jakieś przekleństwa, z których sam zaczął się śmiać, a śmiejąc się, zepchnął Deksiosa z klifu. Usłyszałem krzyk przyjaciela, a potem zapadła cisza.

Opanował mnie gniew, dodając moim członkom lekkości i zwinności. Przeskakując przez skały, czułem się, jakbym nic nie ważył. Wściekłość dodała mi skrzydeł i z łatwością pokonałem głązy. Włosy miałem rozwiane, jak Koń Król w czasie walki. Wylądowałem po drugiej stronie, wyprostowałem się i zacząłem biec tak prędko, że prawie unosiłem się w powietrzu. A on tylko stał i czekał. Śmiech uwiązał mu w gardle, gdy dopadłem do niego.

Później znalazłem na swoim ciele ślady jego zębów i paznokci, ale w czasie starcia nie czułem nic. Zauważyłem, że nie był zapaśnikiem, gdyż całkowicie polegał na swojej maczudze. Zastosowałem więc jeden ze swoich chwytów i przerzuciłem go przez ramię, gdy próbował mnie zadusić. Leżał tak, jak przed chwilą Deksius: oszłamiony z głową nad przepaścią. Nie sądzę, by wiedział, co się z nim

dzieje, dopóki nie zorientował się, że spada. Otworzył usta, ale tym razem nie roześmiał się. Na granicy wody i łądu znajdował się kamień przypominający skorupę żółwia. Złodziej upadł na niego głową w dół, a kłify w tym miejscu są wysokie.

Zszedłem niżej, by zobaczyć, gdzie upadł Deksius. Leżał martwy zaczepiony o ostry kamień, a morze unosiło jego tunikę i włosy. Po chwili opuściłem się jeszcze niżej, by posypać ciało ziemią i pozwolić przyjacielowi spokojnie odejść. Ofiary za niego obiecałem złożyć później. Teraz dałem mu przynajmniej to, czego zamordowani potrzebują najbardziej.

Karmiąc i zaprzęgając konie, zdałem sobie sprawę, jak niezdarny jestem w porównaniu z Deksiusem, który swój talent w obchodzeniu się ze zwierzętami zabrał ze sobą do grobu. Wsiadłem do rydwanu, chwyciłem wodze i dopiero wtedy poczułem, co to znaczy być samemu.

Kawałek dalej spotkałem człowieka, który powitał mnie z uniżonością i poinformował, że ludzie łupią dom Skirona, którego zabiłem, i zaoferował, że zaprowadzi mnie tam, bym mógł odebrać swoją dolę. Odpowiedziałem mu, że może ją sobie wziąć, jeśli będzie w stanie, i odjechałem, pozostawiając go przygnębionego. Szakał nie lubi polować.

I to była moja ostatnia walka w Przesmyku. Albo miałem szczęście, albo ludzie mnie unikali. Przed wieczorem opuściłem ten niegościnnie kraj i jechałem wzdłuż morza przez góry okalające Megarę. Zapadał zmrok, a przede mną, na wschodzie czerniły się wzgórza Attyki. Droga była pusta. Jedyne dźwięki, jaki dochodził moich uszu, to wycie wilków lub pisk królika schwytanego przez lisa. Wkrótce droga stała się zbyt niebezpieczna, by można było powozić rydwanem przy gasnącym świetle dnia, więc musiałem wysiąść i prowadzić konie.

Oprócz władania bronią są jeszcze inne rzeczy, które czynią z chłopca mężczyznę. Teraz, gdy nikt mi już nie zagrażał, czułem się samotny jak dziecko. Miałem wrażenie, że Bogowie Niebios zupełnie zapomnieli o tej ciemnej, nierównej drodze i oddali ją we władanie demonom ziemskim nieprzyjaznym ludziom. Czułem ból od

ran i po stracie przyjaciela. By się pocieszyć, postanowiłem skupić swe myśli na królu Megary - Hellenie, który był krewnym mojego ojca, ale ponieważ nadciągająca noc wprowadziła mnie w przygnębiający nastrój, przypomniało mi się jedynie, że ojciec nie odezwał się do mnie od momentu moich narodzin. Pomyślałem o Trojzeniu, okrągłym palenisku w Wielkiej Sali, ogniu i słodkim zapachu palonego drzewa, mojej matce siedzącej z kobietami i lirze krążącej z rąk do rąk. Nagle usłyszałem ujadanie psów i gwizd, a za następnym zakrętem dostrzegłem ogień. Znajdowało się tam kilka skał i ciernistych krzewów. Wokół ogniska siedziało sześciu lub ośmiu małych pastuchów kóz. Najstarszy mógł mieć trochę powyżej trzynastu lat, a najmłodszy - około ośmiu. Gwizdali, by dodać sobie odwagi i przy pomocy muzyki odstraszyć duchy nocy. Na mój widok rozbiegli się, by ukryć się pomiędzy kozami, ale kiedy zawołałem ich, wyszli, a ja usiadłem z nimi, by się ogrzać. Pomogli mi wyprząc konie i można było dostrzec, że oczami wyobraźni widzą siebie w roli powożących rydwanami. Potem pokazali mi, gdzie jest woda i pożywienie. Podzieliłem się z nimi moimi figami i chlebem jęczmiennym, a w zamian otrzymałem ser z koziego mleka. Mówili do mnie „panie” i pytali, skąd przybyłem. Nie wszystko, co mi się tego dnia przytrafiło, nadawało się do opowiedzenia dzieciom, które w takim mrocznym miejscu i tak drżały ze strachu przed wilkami i pumami. Pokazałem im jednak maczugę Skirona, którą zabrałem ze sobą, i powiedziałem im, że ten zbój im już nie zagrozi. Siedzieli lub leżeli wokół mnie, szorstkie włosy opadały im na jasne oczy, a usta otwierały się ze zdziwienia. Pytali mnie o różne miejsca oddalone nie więcej niż dziesięć mil od miejsca, w którym się znajdowaliśmy, a których oni nigdy nie widzieli. To tak, jak ty lub ja pytałbym o Babilon.

Zapadła noc i nie mogłem już dostrzec ciemniejącego morza i czarnych gór. Jedynie ściany skał i niewyraźne kształty kóz pomiędzy nimi były jeszcze widoczne w ciemnościach. Twarze dzieci, rozświetlone płomieniami, sprawiały wrażenie gładkich, jak piszczalka z trzciny wypolerowana na skutek częstego używania. Pastorzę przynieśli mi chrust, żebym sobie zrobił łóżko i położyliśmy się

wokół żarzących się bierwion. Chłopcy wślizgnęli się pod dwa wytarte koce i przez chwilę szamotali się niczym szczeniaki próbujące zdobyć miejsce w pobliżu matki. Tylko jeden maluch pozostał na zewnątrz. Zobaczyłem jak podciąga kolana pod brodę i zaproponowałem mu, że podzielę się z nim swoim kocem. Śmierdział kozimi odchodami, a pcheł miał więcej, niż stary pies, ale ostatecznie był moim gospodarzem.

Po chwili powiedział:

- Szkoda, że nie zawsze może nam towarzyszyć dorosły mężczyzna. Czasami grzmi albo słychać pumę.

Zaraz potem zasnął, lecz ja nie spałem. Leżałem przy dogasającym ogniu i patrzyłem w gwiazdy. „Być królem”, pomyślałem. „Co to właściwie znaczy? Czynić sprawiedliwość, iść na wojnę, walczyć za swój lud, zawierać pokój z bogami? Chyba tak”.

Księga II

Eleusis

1

O świcie zbudziło mnie beczenie owiec. Poszedłem się umyć w strumieniu, co wprawilo w zdumienie moich gospodarzy, którzy ostatni raz kąpiali zażyli zapewne zaraz po urodzeniu. Od tego miejsca droga stawała się coraz łatwiejsza i skręcała w stronę morza. Wkrótce dostrzegłem wyspę Salaminę, a wokół siebie żyzną równinę pełną sadów owocowych i pól. Droga wiodła do portu, w którym stało mnóstwo statków. Handlarze, których spotkałem na drodze, powiedzieli mi, że miasto nazywa się Eleusis.

Jak dobrze było znów zobaczyć miasto i ponownie znaleźć się w kraju prawa. Ponadto był to ostatni przystanek przed Atenami. „Nakarmię i oporządę konie” pomyślałem, posilając się i podziwiając widoki. Kiedy zbliżyłem się do miasta, zauważyłem, że cała droga obstawiona jest ludźmi. Na dachach również pełno było obserwatorów.

Młodzi lubią myśleć, że są kimś ważnym, ale to, co zobaczyłem, całkowicie mnie zaskoczyło. Poza tym zdziwiłem się, że mimo obecności tylu ludzi nikt nie odezwał się do mnie ani słowem i nie spytał o wieści.

Przedemną znajdował się rynek. Zwolniłem, by nie uszkodzić straganów, a po chwili zatrzymałem się. Na drodze stali mieszkańcy. Wszyscy milczeli, a matki uspokajały płaczące dzieci.

Po środku, naprzeciw mnie dostrzegłem dostojną kobietę, nad którą niewolnik trzymał parasol osłaniający ją od słońca. Miała około dwudziestu siedmiu lat. Rude włosy, przystrojone purpurowym diademem ze złotymi ozdobami, błyszczały jak miedź. Wokół niej stała grupka kobiet niczym dworzanie wokół króla. W pobliżu nie było ani jednego mężczyzny, z wyjątkiem niewolnika z parasolem. Musiała być jednocześnie kapłanką i panującą władczynią.

Z pewnością, było to królestwo Minyan. Tak nazywają siebie Ludzie Wybrzeża. Wszyscy wiedzą, że wieści wśród nich rozchodzą się szybciej niż myśl.

Na znak szacunku, opuściłem rydwan i dalej poszedłem piechotą. Zorientowałem się, że kobieta nie tylko na mnie patrzyła; czekała właśnie na mnie. Gdy zbliżyłem się do niej i pozdrowiłem ją, wśród ludzi zapadła jeszcze większa cisza, tak jakby usłyszeli harfistę strojącego właśnie instrument.

- Pozdrawiam cię, pani, w imieniu tego boga lub bogini, którą czcicie ponad innych. Sądzę, że służysz, pani, potężnemu bóstwu, któremu podróżny powinien oddać cześć, zanim wyruszy dalej. Powinno się szanować bogów towarzyszących w podróży, jeśli chce się szczęśliwie dotrzeć do celu.

- Zaprawdę bogowie sprzyjali twej podróży, która tutaj znajduje swój koniec - powiedziała powoli po grecku z akcentem charakterystycznym dla jej ludu.

Spojrzałem na nią ze zdumieniem. Miałem wrażenie, że były to słowa przygotowane dla niej. Za nami inne kobiety spoglądały z ukrycia.

- Pani - odpowiedziałem - jestem tu obcy i jadę do Aten. Jestem pewien, iż oczekujesz znaczniejszego gościa, niż ja: wodza albo króla.

Uśmiechnęła się tylko, a ludzie podeszli szepcząc. Nie były to jednak złowrogie szepty, przypominało mi to zachowanie pasterzy, których spotkałem - cali zamienieni w słuch.

- Jest tylko jedna podróż, jaką odbywa mężczyzna - odezwała się. - Mężczyzna opuszcza Matkę i robi to, co mu jest pisane, dopóki ta się o niego nie upomni i nie wezwie go do domu.

Najwyraźniej na tej ziemi wyznawano starą wiarę. Dotknąłem brwi na znak szacunku.

- Wszyscy jesteście jej dziećmi - powiedziałem.

Zastanawiałem się, czego może ode mnie chcieć, o czym wie już całe miasto, tylko nie ja.

- Niektórzy jednak mają ważniejsze zadania od pozostałych - odrzekła. - Tak jak ty, który przybywasz tu, spełniając wszelkie

przepowiednie, w dniu, w którym król musi umrzeć.

Teraz zrozumiałem, ale nie dałem po sobie niczego poznać. Byłem kompletnie zaskoczony i potrzebowałem trochę czasu, by to wszystko ogarnąć.

- Wielka Pani, jeśli bóg wzywa waszego króla, co ja mam z tym wspólnego? Który bóg lub bogini się gniewa? Nie widzę żaloby, głodu, ani dymu. Zresztą, to król wie lepiej. Ale jeśli potrzebuje mnie, bym mu zadał śmierć, z pewnością sam mnie wezwie.

Wyprostowała się i zmarszczyła brew.

- Kimże jest mężczyzna, by móc wybierać? Kobieta nosi go w swoim łonie, a on dorasta i jak trawa rozsiewa nasienie, które pada na ziemię. Tylko Matka, która wydaje na świat ludzi i bogów, i która przywołuje ich ponownie do siebie, siedzi na palenisku wszechświata i żyje wiecznie.

Uniosła rękę i wtedy kobiety stojące wokół niej rozstąpiły się, a jakiś mężczyzna wysunął się na przód, by poprowadzić moje konie.

- Chodź - powiedziała. - Musisz przygotować się do walki.

Szedłem obok niej, za nami podążali ludzie, a ich szepty przypominały szum fal przy brzegu. W całej tej atmosferze wyczekiwania nie czułem się sobą, tylko tym, kim mnie okrzyknięto. Nie można mieć pojęcia o sile tych misteriów, dopóki nie stanie się ich częścią.

Gdy tak szedłem obok Królowej, przypomniałem sobie, co powiedział mi kiedyś pewien człowiek o kraju, w którym panowały takie same zwyczaje. Mówił, że w całej krainie nie ma ani jednego rytuału, który by tak mocno łączył ludzi jak śmierć Króla. „Widzą go, bogatego i dostojnego z głową przystrojoną złotem - opowiadał - podchodzą do niego, a na ich czele, czasami anonimowo, czasami naznaczony przez wróżbę, pojawia się ten, który niesie jego przeznaczenie. Bywa, że ludzie dowiadują się wcześniej niż Król. Dzień ten jest tak uroczysty, że jeśli ktoś ma jakieś własne zmartwienia lub kłopoty, zostaje z nich natychmiast oczyszczony przez litość i trwogę. Wraca potem do domu spokojny i zasypia. Nawet dzieci to czują - mówił.

- A pasterze w głębi kraju, którzy nie mogą pozostawić stad, by zobaczyć ceremonię, odgrywają przed sobą scenę śmierci Króla śpiewem i gestami".

To wspomnienie otrzeźwiło mnie. „Co ja robię?” pomyślałem. „Ofiarowałem kosmyk swoich włosów Apollonowi i służyłem Posejdonowi, mężowi i panu Matki, która jest nieśmiertelna. Dokąd prowadzi mnie ta kobieta? Chce, żebym zabił człowieka, który w zeszłym roku zabił kogoś innego, żebym spał z nią przez cztery pory roku dla dobrych plonów, dopóki nie przyprowadzi kogoś innego, kto zabije mnie? Czy to jest moja mojra? Może ona otrzymała jakieś znaki, ale nie ja. Nie, wiecie mnie sen Ludzi Ziemi jak Konia Króla odurzonego makiem. Jak mam się uwolnić?”

Mimo to patrzyłem na nią, jak mężczyzna patrzy na kobietę, którą może zdobyć. Twarz miała trochę za szeroką, a usta nie dość piękne, jednak jej talia była cienka jak u osy, a na piersi tylko martwy nie zwróciliby uwagi. Mieszkańcy Eleusis zmieszali krew z Helenami, dlatego też cerę i figurę miała typowo helleńską, ale twarz już nie. Wyczuła, że na nią patrzę, więc wyprostowała się i dalej szła z wysoko podniesioną głową. Frędzle karmazynowego parasola łaskotały mnie po głowie.

Pomyślałem, że jeśli odmówię, ludzie rozerwą mnie na kawałki. Jestem przecież siewcą, dzięki któremu zbiorą w przyszłości plony. A ta kobieta, która jest polem ornym, rozgniewa się jeszcze bardziej. Niektóre rzeczy można wyczytać ze sposobu, w jaki kobieta się porusza. Ona jest kapłanką. Zna się na czarach, więc jeśli mnie przeklnie, to na wieki. Matka Dia z pewnością już mnie obserwuje. Widocznie moim przeznaczeniem jest ulaskawienie jej, a nie jest to bogini, którą można lekceważyć.

Doszliśmy do drogi wiodącej do morza. Spojrzałem na wschód, skąd przybyłem dziś rano i dostrzegłem wzgórze Attyki, wyschnięte od letniego słońca i blade w południowym świetle. „Jakże mógłbym pojechać do ojca i powiedzieć mu, że kobieta wezwała mnie do walki, a ja uciekłem?” rozmyślałem. „Nie. Skoro los przeznaczył mi tę walkę ogierów, tak jak walkę ze złodziejem Skironem, to uczynię to i zdam się na łaskę bogów”.

- Pani, nigdy nie byłem po tej stronie Przesmyku. Jak cię zwą?
Spojrzała przed siebie i odpowiedziała:
- Persefona. Ale mężczyzna nie ma prawa wymawiać tego imienia.

Podszedłem bliżej.

- Imię szeptów i mroku.

Nie odpowiedziała, więc spytałem:

- A jak nazywa się Król, którego mam uśmiercić?

Popatrzyła na mnie ze zdumieniem i odparła niedbale, jakbym pytał o bezpańskiego psa:

- Kerkyon.

Miałem wrażenie, że mało brakowało, a usłyszałbym, że on nie ma imienia.

Tuż przy brzegu, droga wznosiła się i wiodła aż do otwartej płaszczyzny u podnóża skalistego cypla, wzdłuż którego wiodły schody aż na samą górę, gdzie stał Pałac. Budowla miała czerwone kolumny z czarnymi podstawami i żółte ściany. Klif znajdujący się poniżej był wyżłobiony. Otwór był ciemny i ponury i miał głębokie pęknięcia w dnie. Wiatr niósł stamtąd mdły odór gnijącego mięsa.

Kobieta wskazała mi płaskie miejsce przed wglębieniem.

- To jest pole walki.

Zauważyłem, że na dachu i tarasie Pałacu pełno było ludzi. Ci, którzy przyszedli z nami stanęli na stokach. Spojrzałem na szczelinę.

- Co się dzieje z przegranym? - spytałem.

- Odchodzi do Matki - odpowiedziała kapłanka. - W czasie je-siennych siewów, jego ciało rozrzuca się po polu, dzięki czemu zamienia się w zboże. Szczęśliwy ten, kto w młodości zdobędzie bogactwo i sławę i którego czas skończy się, nim dopadnie go starość.

- Rzeczywiście był szczęśliwy.

Spojrzałem prosto na nią. Nie zaczerwieniła się, lecz jej podbródek uniósł się lekko.

- Ja i ten Kerkyon spotykamy się w walce? Nie mam być kapłanem składającym ofiarę?

Nie zniósłbym tego, skoro człowiek ten sam nie zdecydował, że nadszedł jego czas. Ulżyło mi więc, gdy przytaknęła.

- A broń?

- Żadna, oprócz tej, z którą urodził się mężczyzna. Rozejrzałem się dookoła i spytałem:

- Czy któryś z twoich ludzi zechce wyjaśnić mi zasady?

Spojrzała na mnie zakłopotana. Myślałem, że to ze względu na mój helleński język, więc powtórzyłem:

- Zasady walki.

Uniosła brwi i odpowiedziała:

- Zasada jest tylko jedna: Król musi umrzeć.

Potem zobaczyłem go na szerokich schodach wiodących aż do Cytadeli. Szedł, by się ze mną spotkać. Rozpoznałem go od razu, gdyż był sam.

Na stopniach stało pełno ludzi z Pałacu, ale gdy Król szedł, wszyscy rozstępowali się pośpiesznie tak, jakby jego śmierć była chorobą zakaźną. Był starszy ode mnie, a jego broda tak gęsta, że zasłaniała całą szczękę. Nie sędzę, żeby miał mniej niż dwadzieścia lat. Gdy spojrzał na mnie z góry, zdałem sobie sprawę, że w jego oczach jestem jeszcze dzieckiem. Nie był wiele wyższy ode mnie, ale w porównaniu z innymi ze swojego rodu był wysoki. Ciało miał szczupłe i muskularne jak puma. Włosy, czarne i mocne, zbyt sztywne, by układały się w miękkie loki, pokrywały kark niczym kręcona końska grzywa. Nasze spojrzenia spotkały się, a ja pomyślałem: „Kiedyś stał tu, gdzie teraz ja stoję, a z człowieka, którego pokonał, zostały tylko kości. On na pewno nie zgodził się na śmierć”.

Wokół nas panowała głęboka cisza. Obserwowały nas setki oczu. Poruszyło mnie, jako dziwna i potężna rzecz, że wszyscy ci obserwujący ludzie nie czuli już siebie samych, ale raczej odczuwali nasze osoby. Zastanawiałem się, czy Król odbiera to w ten sam sposób.

Gdy tak staliśmy, zauważyłem, że jednak nie był sam. Od tyłu podeszła do niego kobieta i stała płacząc. Nie odwrócił się, gdyż nawet jeśli słyszał jej szloch, miał inne sprawy na głowie.

Zszedł parę stopni niżej,, nie patrząc na Królową, lecz na mnie.

- Kim jesteś i skąd przybywasz? - spytał greką z silnym obcym akcentem, ale zrozumiałem go. Miałem wrażenie, że zrozumielibyśmy się nawet, gdyby w ogóle nie mówił po grecku.

- Nazywam się Tezeusz i pochodzę z Trojzeny na Wyspie Peleopsa. Przybywam w pokoju. Zmierzam do Aten. Wygląda jednak na to, że los skrzyżował nasze drogi.

- Czym synem jesteś?

Patrząc na jego twarz, zorientowałem się, że wcale nie interesowały go moje odpowiedzi. Pytając, chciał pokazać, że nadal jest Królem i człowiekiem, który wciąż jeszcze chodzi po tym świecie.

- Moja matka poświęciła swój wianek Bogini. Jestem synem mirtowego lasu.

Wśród przysłuchujących się nam ludzi rozległ się szmer, przypominający szum trzciny na wietrze. Wyczułem, że Królowa poruszyła się. Patrzyła na mnie, a Kerkyon na nią. Potem wybuchnęła śmiechem. Zęby miał białe i mocne, wyraźnie kontrastujące z czarną brodą. Ludzie poruszyli się zaskoczeni, a ja nie byłem mądrzejszy od nich. Jedyne, co wiedziałem, gdy Król wciąż śmiejąc się, zwrócił się w moją stronę, to to, że kpił ze mnie. Stał po prostu na schodach i śmiał się. Kobieta stojąca za nim zakryła twarz dłońmi, padła na kolana i zaczęła kiwać się w tył i w przód.

Zszedł jeszcze niżej i stanęliśmy twarzą w twarz. Przekonałem się teraz, że pierwsze wrażenie mnie nie myliło: był tak silny, na jakiego wyglądał.

- No, Synu Mirtowego Lasku, zróbmy to, co nam przeznaczone. Tym razem szanse będą równe. Królowa nie będzie wiedziała, dla kogo uderzyć w gong.

Nie zrozumiałem, o co mu chodziło, ale zauważyłem, że mówił do niej, a nie do mnie.

Gdy rozmawialiśmy, otworzono pobliską świątynię i wyniesiono z niej wysoki tron pomalowany na czerwono i ozdobiony ornamentami w kształcie węży i snopków zboża. Postawiono go w pobliżu pola walki, a obok na stojaku wielki gong z brązu. Królowa usiadła,

trzymając w ręku pałkę tak, jakby trzymała berło. Służki stanęły wokół niej.

„Nie” - pomyślałem. „Szanse nie będą równe. On walczy o królestwo, którego ja nie pragnę i życie, którego nie chcę mu odbierać. Nie potrafię go nienawidzić tak, jak wojownik nienawidzi swojego wroga. Nie potrafię nawet się na niego gniewać. Jestem jedynie zły na jego ludzi, którzy opuszczają go, tak jak szczury opuszczają pusty spichlerz. Gdybym był zwykłym Czciwielem Ziemi, czułbym, że pragną mojego zwycięstwa, ale nie mogę tańczyć tak, jak mi zagrają. Jestem przecież Hellenem”.

Jedna z kapłanek poprowadziła mnie do rogu pola, gdzie dwóch mężczyzn rozebrało mnie, natarło oliwką i dało zapaśniczą przepaskę. Zgarnęli moje włosy do tyłu, związali i wyprowadzili na środek, żeby wszyscy mogli mnie zobaczyć. Ludzie pozdrowili mnie, ale nie zagrzało mnie to walki. Wiedziałem bowiem, że trzymaliby stronę kogokolwiek, kto przyszedłby zabić Króla. Nawet teraz, gdy on również był rozebrany i widziałem siłę jego mięśni, nie potrafiłem go znienawidzić. Spojrzałem na Królową, lecz nie byłem w stanie stwierdzić, czy jestem na nią wściekły, czy nie, gdyż jedyne, co do niej czułem, to pożądanie. „Cóż - pomyślałem - czyż to nie jest wystarczający powód?”

Starszy z mężczyzn, który mógł być kiedyś wojownikiem, spytał:

- Ile masz lat, synu?

Ponieważ ludzie przysłuchiwali się, powiedziałem:

- Dziewiętnaście.

Dzięki temu poczułem się silniejszy. Spojrzał na mój podbródek, na którym nie było więcej włosów niż na podbródku niemowlaka i nie powiedział już nic więcej.

Poprowadzono nas do tronu, na którym siedziała Królowa pod parasolem z frędzlami. Promienie słońca odbijały się w złocistych falbanach jej stroju i butach ozdobionych klejnotami. Jej duże piersi miały barwę dojrzałych brzoskwiń, a włosy lśniły rudym blaskiem. W rękach trzymała złoty kubek. Podała mi go. Ciepłe powietrze wydobyło z niego aromat przyprawionego wina, miodu i sera. Wziąłem go z jej rąk, uśmiechnąłem się i pomyślałem: „Bo jest

jednak kobietą... o cóż innego chodzi?" Tym razem nie odwróciła wzroku jak poprzednio, lecz spojrzała mi w oczy, jakby chciała dojrzeć w nich jakiś znak. Na jej twarzy odmalował się strach.

Dziewczyna krzyczy, gdy gonisz ją po lesie, ale jak już ją złapiesz - milknie. Nic więcej nie wyczytałem w jej spojrzeniu, które wzbudziło moją krew. Nie żałowałem, że powiedziałem, iż mam dziesięć lat. Upiłem odrobinę napoju i kapłanka oddała kubek Królowi.

Władca wziął potężny haust. Ludzie patrzyli na niego, ale nikt nie wiwatował na jego cześć. On mimo to zaprezentował się dobrze i trzymał się dzielnie. Od roku był przecież ich królem. Przypomniałem sobie, co słyszałem na temat starej religii. On ich nic a nic nie obchodzi, chociaż mają nadzieję, że za nich umrze i że dzięki niemu następne zbiory będą lepsze. On jest tylko kozłem ofiarnym. Patrząc na niego widzą jedynie kłopoty, nieurodzaj, krowy, które nie dają mleka i choroby. Chcą, by wszelkie nieszczęścia odeszły wraz z nim, by móc zacząć wszystko od nowa. Zły byłem na myśl, że mam uśmiercić go bez jego zezwolenia tylko dla kaprysu tłumu, który sam nie ponosił ofiary i który nie dawał nic od siebie. Czulem, że spośród tych wszystkich ludzi jedynie jego mógłbym pokochać. Widziałem jednak w jego twarzy, że takie zwyczaje nie są mu obce. Były dla niego gorzkie, ale nie sprzeciwiał się niczemu, gdyż był tylko zwykłym Czciwielem Ziemi, tak jak oni. On również wziąłby mnie za szaleńca, gdyby znał moje myśli. Ja jestem Hellenem i to ja, nie on, jestem samotny.

Staliśmy na polu walki twarzą w twarz. Królowa wstała trzymając pałkę. Spojrzałem w oczy przeciwnikowi. Coś mi mówiło, że nie jest on zwykłym zapaśnikiem, takim, z jakimi miałem do czynienia w Trojzeniu.

Drewniana pałka uderzyła w gong. Czekałem cały spięty, by zobaczyć, czy rzuci się na mnie, jak Hellenowie, by spróbować mnie chwycić. Nie zrobił tego. Zatem nie myliłem się. Poruszał się wkoło pola, starając się ustawić w taki sposób, by słońce świeciło mi prosto w oczy. Nie podskakiwał, lecz poruszał się powoli i miękko, jak kot szykujący się do skoku. Nie myliłem się również, gdy odniosłem

wrażenie, że mimo słabej znajomości greki, moglibyśmy porozumiewać się za pomocą tego samego języka. Używaliśmy go właśnie teraz. On również był zapaśnikiem, który myślał.

Jego oczy miały złoto-brązowy kolor jak u wilka. „Tak - pomyślałem sobie - będzie równie szybki jak ja. Pozwolę mu zaatakować pierwszemu. Jeśli zdecyduje się zaryzykować, szybko zorientuje się, z jakim przeciwnikiem ma do czynienia”.

Wymierzył potężny cios w moją głowę. Liczył na to, że uskokcę w lewo, więc zrobiłem unik w prawo. To był słuszny ruch, gdyż zaraz potem, w miejscu, gdzie powinien być mój brzuch, znalazła się jego stopa. Kopnięcie było silne jak u konia. Już od samego widoku przeszły mnie ciarki, ale nie straciłem głowy. Natychmiast chwyciłem jego nogę. Przewróciłem go i starałem się chwycić za głowę. Był jednak szybki jak kot. Złapał mnie za nogę i gdy już prawie leżałem na ziemi, próbował zastosować chwyt nożycowy. Ja jednak walnąłem go pięścią w podbródek i wyratowałem się z opresji chwytem zwanym „ogonek jaszczurki”. Wtedy zaczęła się walka na poważnie. Wkrótce zapomniałem, że nie miałem powodu, by go nienawidzić. Nie pyta się, co złego uczynił człowiek, który próbuje odebrać ci życie.

Miał wygląd arystokraty, ale spojrzenie Królowej ostrzegło mnie, gdy pytałem o zasady. Wśród Ludzi Wybrzeża styl wolny naprawdę oznacza styl wolny. Wszystkie chwytów są dozwolone. Zapamiętałem te słowa i rzuciłem się do walki jak pies. Raz prawie wylupił mi oko, ale zwolnił ucisk, by nie złamać sobie palca. Wkrótce opanowała mnie niepokohamowana wściekłość, ale nie mogłem ryzykować dla samej przyjemności zadania mu bólu. Jego skóra przypominała wygarbowaną skórę wołu, lecz rozpiętą na brzoju.

Gdy tak wiliśmy się, wymierzaliśmy kopniaki i zadawaliśmy ciosy, nie mogłem już dłużej udawać, że mam dziewiętnaście lat. Walczyłem z mężczyzną w pełni sił, zanim sam się nim stałem. Całe ciało mówiło mi, że mnie pokona i wtedy zabrzmiał gong.

Pierwsze uderzenie zadano grubszym końcem pałki owiniętym w płótno, a dźwięk przypominał śpiewny ryk. Mogę przysiąc, że

dało się go wyczuć pod stopami. Rozniósł się po okolicy, a kobiety śpiewały.

Głosy opadały i wznosiły się, opadały i wznosiły jeszcze wyżej. Ten dziwny chór brzmiał jak wiatr północny, który z wizgiem przedziera się przez górskie wąwozy, jak lament tysiąca wdów w spalonym mieście, jak głos wilczycy wyjącej do księżyca. A ponad tym wszystkim słychać było dźwięk gongu, który przenikał nas na wskroś, przebijał się przez nasze czaszki, wnętrzości i płynął w naszych żyłach.

Cała ta wrzawa doprowadzała mnie do pasji. Kakofonia dźwięków wdzierала się bez litości do mojego mózgu i wtedy zaczęło ogarniać mnie jedno tylko pragnienie: zabicia przeciwnika i przezwyciężenia tego nieznośnego hałasu.

Pragnienie to zaczęło we mnie narastać i wtedy poczułem, że Król słabnie. Siły opuszczały go z każdym pulsującym dźwiękiem gongu. To śmierć mu śpiewała, otulając go niczym dym i pozbawiając sił. Walczył dzielnie, ale wszystko zdawało się sprzysięgać przeciwko niemu: ludzie, Misterium i ja.

Próbowałem go udusić, ale stanąłem obiema stopami na ziemi i rzuciłem nim. Nie pozwoliłem mu złapać tchu, lecz natychmiast wskoczyłem na niego, chwyciłem za rękę i obróciłem. Leżał teraz twarzą do ziemi, a ja siedziałem mu na plecach. Nie mógł się podnieść. Śpiew kobiet przerodził się w przeciągły pisk, a potem wszystko ucichło i tylko powietrze jeszcze lekko wibrowało od cichącego ostatniego uderzenia w gong.

Twarz miał wciśniętą w ziemię. Wiedziałem, co myśli. Zastanawiał się, czy jest jeszcze jakieś wyjście z tej sytuacji, ale szybko zorientował się, że nic już nie może zrobić, że nadszedł jego koniec. W tym momencie cała złość mnie opuściła. Zapomniałem o bólu, pamiętając jedynie jego odwagę i desperację z jaką walczył. „Dlaczego mam brać jego śmierć na siebie?” pomyślałem. „Nie wyrządził mi przecież żadnej krzywdy, z wyjątkiem tego, że wyszedł na spotkanie swojej mojrzy.” Przesunąłem się nieznacznie, ale zachowałem wszelką ostrożność, gdyż wiedziałem, że z pewnością skorzysta z każdej okazji uratowania życia. Mógł teraz obrócić głowę. Nie spojrział jednak na mnie, lecz na ciemną szczelinę poniżej skały. Wokół stał

jego lud, a jego życie było powiązane z ich życiem. Nic nie mogło go już uratować.

Wcisnąłem kolano w jego kręgosłup, przyciskając go w ten sposób do ziemi, gdyż wiedziałem, że nie mogę mu ani odrobinę popuścić. Włożyłem mu rękę pod głowę i odchyliłem do tyłu tak daleko, aż poczułem, że szyja napięta jest do granic możliwości. Następnie spytałem cicho, gdyż nie dotyczyło to stojących wokół nas ludzi:

- Teraz?
- Teraz - odpowiedział.
- Oczyść mnie z tego czynu przed bogami na dole.
- Oczyszczam cię - i dodał jakieś słowa w swoim języku, ale zaufałem mu.

Gwałtownie szarpnąłem jego głowę do tyłu i usłyszałem trzask pękających kości. Gdy spojrzałem na niego, miałem wrażenie, że w jego oczach tli się jeszcze iskra życia, ale kiedy odwróciłem jego głowę na bok dostrzegłem tylko martwe spojrzenie.

Wstałem, a z ust przyglądających się ludzi wydobyło się westchnienie, tak jakby wszyscy zakończyli właśnie akt miłości.

- No to zaczyna się - mruknąłem pod nosem. - I tylko bóg raczy wiedzieć, jak się to wszystko skończy.

Przyniesiono mary i złożono na nich ciało Króla. Od strony tronu rozległ się przesywający krzyk. To Królowa rzuciła się na zwłoki rwąc włosy i rozdrapując paznokciami twarz i piersi. Wyglądała jak kobieta, która straciła swego ukochanego męża, człowieka, który wyprowadził ją z domu rodzinnego i który zostawił ją teraz samą z małymi dziećmi bez wsparcia choćby jednej bliskiej osoby. Płakała, a ja patrzyłem zaskoczony. Lecz kiedy pozostałe kobiety również uderzyły w płacz, zrozumiałem, że nie okazywała prawdziwych uczuć. Zachowywała się tak, jak wymagał tego rytuał.

Odeszły zawodząc i starając się obłaskawić ducha zmarłego. Zostałem sam wśród gapiących się obcych i chciałem spytać, co teraz, ale zdałem sobie sprawę, że jedyny człowiek, którego znałem, nie żył.

Wkrótce pojawiła się stara kapłanka i poprowadziła mnie w kierunku świątyni. Powiedziała mi, że śmierć Króla będą oplakiwać do zachodu słońca, a potem zostaną oczyszczeni z krwi i poślubiony Królowej.

W pomieszczeniu z wanną z malowanej gliny, kapłanka obmyła mnie i opatrzyła moje rany. Wszyscy ci ludzie mówili po grecku ze śpiewnym akcentem Ludzi Wybrzeża. Ale nawet w ich własnym języku pojawiały się słowa greckie. W okolicach Eleusis jest tak duży ruch morski, że języki wymieszały się podobnie jak krew. Odziano mnie w długą lnianą togę, uczesano i podano wino i mięso. Potem nie pozostało mi już nic do roboty, jak tylko przysłuchiwać się zawodzeniu, czekać i rozmyślać.

Pod wieczór usłyszałem jak żałobnicy schodzą w dół, śpiewając pieśni pogrzebowe, rozpaczając i grając na piszczałkach. Z okna obserwowałem wijący się korowód kobiet w karmazynowych szatach i czarnych woalkach. Gdy skończyły się śpiewy, rozległ się straszny płacz przypominający wrzask i okrzyk triumfu jednocześnie. Domyśliłem się, że Król odchodzi do domu.

Wkrótce potem, po zapadnięciu zmroku, zjawily się kapłanki, by zabrać mnie na ceremonię oczyszczenia. Przez okno wpadał czerwony blask. Gdy kobiety otworzyły drzwi, zobaczyłem całe morze drgających płomieni pochodni. Światelka były widoczne daleko, jak okiem sięgnąć, wypełniały całą okolicę, wspinały się w górę do Cytadeli i spływały aż do miasta. Mimo że przyszli wszyscy ludzie, panowała całkowita cisza. Kapłanka prowadziła mnie w milczeniu pomiędzy przybyłymi, aż do samej plaży. Gdy woda musnęła nasze stopy, zakrzyknęła:

- Do morza!

Wtedy wszyscy ruszyli do wody. Ci, którzy ubrani byli w białe szaty, nie zdejmowali ich, inni rozebrali się, zarówno mężczyźni, jak i kobiety, ale wszystko odbywało się z powagą. Ludzie nadal trzymali w rękach pochodnie. Noc była spokojna, morze lśniło tysiącem światełek, odbijających się od powierzchni wody.

Prowadziła mnie, dopóki woda nie sięgnęła mi piersi, a potem podniosła pochodnię w górę, by wszyscy mogli mnie zobaczyć.

Ja miałem zmyć z siebie krew, a oni, jak sądzę, nieszczęścia i śmierć. Byłem młody i zabiłem człowieka, któremu zdążyła już wyrosnąć broda. Mimo że to los skrzyżował nasze drogi, poczułem smak zwycięstwa. Miałem się również udać do Królowej, a wraz z mrokiem nadeszło pożądanie.

Na Salaminie, po drugiej stronie cieśniny, dostrzegłem światła w domostwach. Pomyślałem o domu, rodzinie i Kalaurii. Tu wszystko było obce, z wyjątkiem morza, które połączyło moich rodziców. Poluźniłem pas, zdjąłem togę i oddałem ją kapłance. Popatrzyła na mnie zdumiona, gdy zanurkowałem i popłynąłem dalej w morze. Za mną pochodnie tworzyły lśniący kobierzec, a nad głową wisiały tysiące gwiazd.

Przez chwilę milczałem unosząc się na wodzie. Potem odezwałem się:

- Sinowłosy Posejdonie, Trzęsący Ziemią, Ojczy Koni! Ty masz władzę nad Boginią. Jeśli służyłem ci dobrze w Trojzenie, jeśli byłeś tam w dniu mego poczęcia, prowadź mnie ku mojej mojrze. Bądź moim przyjacielem w tym kraju kobiet.

Zanurkowałem i popłynąłem z powrotem. Gdy woda wiała mi się do uszu, usłyszałem znajomą falę. Więc pamiętał o mnie. Dopłynąłem do miejsca, gdzie stała główna kapłanka, machając pochodnią i wykrzykując na całe gardło:

- Gdzie jest Król?

Zachowywała się jak stara niania, która nie jest już dzieciom potrzebna. To chyba podsunęło mi myśl, by zaczerpnąć powietrza, zanurkować jeszcze raz i wyskoczyć z wody tuż koło niej. Przestraszyła się i o mały włos nie upuściła pochodni. Spodziewałem się, że dostanę od niej w ucho, ale tylko popatrzyła na mnie i pokiwała głową mamrocząc coś w swoim języku.

W drodze powrotnej włożyłem na siebie mokrą togę. Zdziwiłem się, gdy ponownie poczułem ból ran świeżo podrażnionych solą, gdyż wydało mi się, że walka odbyła się wieki temu. Ludzie natomiast sprawiali takie wrażenie, jakby król Kerkyon nigdy nie istniał. Kiedy jednak spojrzałem za pole naszej walki oświetlone kagankami, dostrzegłem kobietę, która oplakiwała go jeszcze przed

starciem. Klęczała z głową złożoną na kamieniu i rozrzuconymi włosami. Sprawiała wrażenie martwej. Niektóre kobiety stojące na schodach karcily ją, a potem pobiegly w jej strone, podniosly i poprowadzily do Palacu.

W swiatyni osuszono mnie, naoliwiono i ponownie uczesano. Nastepnie przyniesiono mi haftowana tunike, naszyjnik ze zlotech slonecznikow i królewski pierścień. W zlocie wygrawerowano scene przedstawiajaca Boginie, kobiety oddajace jej cześć i mlodzięca. Na kości policzkowej, gdzie Kerkyon trafil mnie pięścią, miałem rane.

Gdy byłem gotów, poprosilem o miecz. Kobiety zdziwione powiedzialy mi, że nie będę go potrzebował.

- Mam nadzieję - odrzekłem. - Ponieważ jednak to ja udaję się do jej domu, a nie ona do mojego, powinienem mieć go ze sobą.

Nic z tego nie zrozumialy, ale nie mogłem im przeciez powiedziec, że dostalem go od ojca. Poskutkowalo dopiero, gdy uslyszaly, że to prezent od matki i natychmiast mi go przyniosly.

Na zewnatrz stali muzycanci i mlodzi straznicy, ktorzy spiewali. Nie poprowadzili mnie do Palacu, lecz w przeciwna strone. Pieśń, która spiewali, byla w ich ojczystym jezyku, ale sprosne wyglupy wszystko wyjasnialy. Zarty nie są niczym zaskakujacym w takiej chwili, ale wszystko powinno mieć swoje granice. Poza tym, wiedziałem, co miałem robic, i nauczyciele nie byli mi potrzebni.

Pieśń przeszła w hymn. Później dopiero dowiedziałem się o czym mówi. Jest to Pieśń o Zbożu opowiadajaca o tym, jak cały kłos wyrasta z jednego tylko ziarna, a wszystko to dzięki Matce Dia, z łona której rodzi się wszystko. Nastepnie odspiewali pieśni pochwalne na cześć Królowej, nazywajac ją Korą, gdyż to imię nie jest zakazane. Wkrótce dotarliśmy do schodów prowadzacych w glab ziemi. Spiewy natychmiast ucichly i zapadla cisza. Kapłanka, wziawszy mnie za reke, zgasila pochodnie.

Prowadzila mnie w ciemnościach kręta droga, która lagodnie pieła się w gore. Po chwili sciany rozstapily się i poczułem ciężki kwiatowy zapach kobiety. Pamietalem, że Królowa pachniala

dokładnie tak samo, gdy szedłem obok niej. Kapłanka puściła mnie, a zaraz potem usłyszałem jej oddalające się kroki i rękę ocierającą się o ścianę. Rozebrałem się i rzuciłem ubranie na podłogę, ale w lewej ręce nadal trzymałem miecz. Postąpiłem kilka kroków do przodu, aż natknąłem się na łóżko. Oparłem o nie miecz, wyciągnąłem dłoń i znalazłem ją. Przejechała dłońmi wzdłuż moich ramion, a potem w dół pleców. Wszystko, czego nauczyłem się z dziewczętami w Trojzenie, było niczym, jak zabawy, których dzieci jeszcze nie potrafią zrozumieć.

Nagle krzyknęła, jakby nadal była dziewicą. W tym samym momencie rozległ się dźwięk talerzy i rogów. Oślepiło mnie światło pochodni, a śmiech i radosne głosy ogłuszyły. Zorientowałem się, że jesteśmy w jaskini, do której wstawiono drzwi, a ludzie stali na zewnątrz w oczekiwaniu na ich otwarcie.

Przez chwilę byłem zbyt oszołomiony, by móc się ruszyć. Potem ogarnął mnie gniew, gwałtowny jak pożar górskiego zbocza w lecie. Chwyciłem miecz i z krzykiem rzuciłem się przed siebie. Zorientowałem się jednak, że stoję otoczony krzyczącymi i piszczącymi kobietami, które - nie do wiary - wysunęły się naprzód, by lepiej widzieć. Wszyscy coś wykrzykiwali, tak jakbym był jedynym na tym świecie mężczyzną, któremu taki rytuał nie przypadł do gustu. Nigdy w życiu nie zrozumieję Ludzi Ziemi.

Rozgoniłem kobiety, zatrzaskałem drzwi i powoli wróciłem do łóżka.

- Ty bezwstydną dziwko!-wykrzyknąłem. - Zaslugujesz na śmierć! Nie masz wstydu ani szacunku dla mojego honoru? Nie mogłaś przysłać tu kogoś z mężczyzn z Pałacu, by popilnował drzwi, skoro widziałaś, że przybyłem sam? A może nie masz krewnych, którzy by mieli baczenie, by wszystko odbyło się przyzwoicie. Tam skąd pochodzę, byle wieśniak zapłaciłby głową za takie coś. Czy ja jestem psem?

Słyszałem jej szybki oddech w ciemnościach, które teraz zdawały mi się jeszcze głębsze.

- O co ci chodzi? Oszalałeś? - spytała. - To się zawsze tak odbywa.

Oniemiałem. Więc nie tylko z Kerkyonem, ale bogowie raczą wiedzieć, z iloma jeszcze mężczyznami, pokazywała się publicznie w takiej chwili. Z zewnątrz dochodziła muzyka. Grano na piszczalkach, lirach i bębnach.

- Już po wszystkim - powiedziała. - Chodź tu.

Usłyszałem jak poruszyła się na łóżku.

- Nie. Czuję się jakbym wypił truciznę. Okryłaś hańbą moją męskość.

Wyraźniej poczułem zapach jej włosów. Dotknęła mojego karku.

- Co ja takiego uczyniłam, że Matka zesłała mi dzikiego poskramiacza koni Ludu Niebios, - wyszeptała - niebieskookiego woźnicę nie znającego praw ani zwyczajów i nie szanującego niczego? Nie pojmujesz nawet siewu i zbioru? Jak ludzie mają uwierzyć, że zbiory będą dobre, jeśli nie zobaczą, że nasienie zostało zasiane? Zrobiliśmy już, co do nas należało. Więcej nie będą nas niepokoić. Teraz nadszedł czas na nasze przyjemności.

Jej ręka ześlizgnęła się po moim ramieniu. Królowa splotła swoje palce z moimi i odebrała mi miecz. Kiedy przysunęła się do mnie, zapomniałem, że tego, co umiała, nauczyli ją mężczyźni, których kości spoczywały teraz niedaleko nas, pod skałą. Bębny przyspieszały, a piszczalki po każdym uderzeniu talerzy grały coraz cienie. Tamtej jednej nocy nauczyłem się więcej, niż w ciągu trzech lat od dziewcząt z Trojzeny.

2

Gdy prowadzili nas rankiem do Pałacu i gdy zobaczyłem z tarasu odbicie słońca na morzu, pomyślałem: „Ledwie cztery dni drogi od domu i już zostałem Królem.”

W Eleusis wszyscy chcą zadowolić świeżo upieczonego Króla, dlatego też ludność znosi najróżniejsze prezenty: złote naszyjniki, inkrustowane sztylety, tuniki z babilońskiego jedwabiu, olejek różany z Rodos. Tancerze rzucają kwiaty, bard powtarza pieśń po grecku, by władca mógł zrozumieć pochwały, a dziewczęta wzdychają. Król jest po prostu ulubieńcem wszystkich. Stare kobiety mówią do niego z czułością, tak że czuje się ich synem. Wśród tych wszystkich ludzi była również grupa Kompanów, którzy sami ubiegali się o stanowisko Króla, ale i oni sprawili, że czułem się ich bratem. Z początku nie zauważyłem, że nie traktowali mnie jak najstarszego brata, lecz najmłodszego, rozpieszczanego przez wszystkich, gdyż miałem inne sprawy na głowie.

Olbrzymia sypialnia wychodziła na południe. Gdy się rano budziłem, przez szerokie okno widziałem różowe niebo, a gdy usiadłem - wzgórze Attyki zabarwione na czerwono promieniami wschodzącego słońca i szarą zatokę. Na ścianach komnaty wymalowano białe spirale i różowe kwiaty, a podłoga była w czerwono-czarną kratę. Łóże, zrobione z egipskiego hebanu i ozdobione złotymi włosami jęczmienia, przykryte było kapą z purpurowym obrzeżem wykonaną ze skóry dzikiego kota. Na oknie stała wiklinowa klatka, w której siedział ptak o miękkich piórach, lśniących niczym perła. Ptak ten śpiewał o świcie, a w najmniej spodziewanych momentach nawet mówił. Za każdym razem, gdy się odzywał, podskakiwałem zaskoczony, a Królowa tylko się śmiała. Poranne światło dodawało jej mocnym włosom blasku. Były tak gęste, że gdy zebrało się je wszystkie, wypełniały całe dłonie.

W dzień czekałem tylko na noc. Zdarzało mi się zasypiać w południe i budzić się dopiero wieczorem, a potem nie spałem do rana. Po ślubie niemal umknęło mojej uwagi, że choć to ja zabiłem ofiary, ona je złożyła, tak jakby była Królem. Zorganizowano też igrzyska. Wygrałem w rzucie oszczepem, skokach i wyścigu konnym na Minyańskich kucach. Zwyciężyłem również w strzelaniu z łuku, choć myślałem, że na skutek braku snu nie będę w stanie celnie strzelać.

Nie było jedynie zapasów. Widocznie uznano, że ta konkurencja już się odbyła. Jeśli jednak ktoś przypuszcza, że igrzyska te zorganizowano na cześć zmarłego Króla, myli się. Poprzedni władca odszedł w zapomnienie. Dłużej oplakiwałem psa, niż oni swego władcę. Co więcej, teraz to ja byłem Kerkyonem. Taki zwyczaj panuje w Eleusis, podobnie zresztą jak w Egipcie i na Krecie. Tak więc człowiek ten nie pozostawił po sobie nawet imienia.

Dni mijały i powoli wszystko wracało do normy. Na równinie wojska ćwiczyły, rzucając włócznie do wypchanych świń albo strzelając do celu. Mnie to jednak nie dotyczyło. Nie byłoby dobrze, gdyby dowódca zmieniał się co roku. Wodzem był Ksantos, brat Królowej. Był to wysoki, jak na lud Minyan, mężczyzna o rudych włosach. Jemu jednak, w przeciwieństwie do siostry, nie dodawały uroku. Oczy miał jak u lisa. Rudych ludzi można podzielić na typ ciepły i zimny. Ksantos zdecydowanie należał do tej drugiej grupy. Do mnie mówił jak do chłopca, co zawsze wyprowadzało mnie z równowagi. Chociaż byłem od niego sporo młodszy, to ja byłem Królem, ale nadal przebywałem w Eleusis zbyt krótko, by wiedzieć, że tytuł ten nic nie znaczy.

Każdego dnia Królowa przyjmowała posłuchania. Widząc salę tronową w całości wypełnioną kobietami, nie zdawałem sobie początkowo sprawy z tego, że rządziła bez mojego udziału. Ale to kobiety były tu głowami domu. To one przychodziły kłócić się o ziemię, podatki, czy część posagu. Mężczyźni byli niczym. Nie mogli wybierać żon dla swych synów, ani zostawić im nazwiska, nie mówiąc już o spadku. Mężczyźni stali z tyłu, a kobiety miały głos. Jeśli Królowa potrzebowała męskiej rady, posyłała po Ksantosa.

Pewnego razu wieczorem spytałem, czy w Eleusis nie ma niczego, co mógłby zrobić Król. Uśmiechnęła się i odpowiedziała:

- Owszem. Rozepnij mi naszyjnik. Zaplątał mi się we włosy.

W pierwszej chwili jedynie spojrzałem na nią.

- Dlaczego Król miałby wykonywać pracę urzędnika w otoczeniu starych, brzydkich mężczyzn? - spytała, a potem zrzuciła pas i spódnicę na podłogę i podeszła bliżej.

- Spójrz, uciska mnie. To boli.

I na tym zakończyła się rozmowa tego wieczoru.

Wkrótce potem, stojąc na Niższym Tarasie, przez przypadek dowiedziałem się, że przyjechała posłanka z Rodos. Nie raczyła mnie o tym poinformować, choć nawet zarządcy wiedzieli o wizycie. Od dzieciństwa nikt mnie tak nie upokorzył. „Za kogo ona mnie uważa?” - myślałem. „Czy dlatego, że mam mniejszą brodę niż jej brat o lisich oczach, sądzi, że potrzebuję niańki? Na Zeusa! Przecież zabiłem jej męża”. Opanował mnie niepohamowany gniew.

W pobliżu usłyszałem głosy. Byli to młodzi Kompani, którzy wszędzie za mną chodzili. Mimo to ledwie ich rozróżniałem, gdyż nie miałem czasu, by się z nimi zapoznać.

- Cóż to Kerkyonie? Czyżby coś cię trapiło?

- Chory jesteś?

- Nie, on jest zły.

- Kerkyonie, czy jest coś, co mogę zrobić?

Odpowiedziałem, że to nic takiego, gdyż byłem zbyt dumny, by przyznać, że się mnie lekceważy. Kiedy jednak wieczorem kobiety sobie poszły, spytałem Królową, co też sobie wyobraża.

Spojrzała na mnie ze zdziwieniem. Wyglądało na to, że naprawdę nie ma pojęcia, o co mi chodzi. Odpowiedziała, że nie zrobiła nic nieobyczajnego i widziałem, że mówi prawdę. A na temat lekceważenia nie powiedziała nic, tylko poprawiła włosy i zaczęła się śmiać.

Następny ranek wstał zielono-złoty. Jej rudy warkocz łaskotał moje piersi. Zsunąłem go, wyslizgnąłem się z łóżka i podszedłem do okna. Wzgórza Attyki otulone były złotą mgłą sunącą znad morza, a gdy patrzyło się, na wodę miało się wrażenie, iż znajduje się ona tak blisko, że strzała wystrzelona z łuku mogła jej z łatwością dosięgnąć. Rozmyślałem nad tym, jakże dziwne są obyczaje Ziemian i jakże trudne do zrozumienia dla Hellenów. To ona wybrała mnie, wystawiła do walki i uczyniła Królem. Jednak ani ona, ani nikt inny nie spytał, czy godzę się na moją mojrę.

Biały ptak obudził się i zagwizdał. Usłyszałem głos dochodzący z jej strony łóżka. Najwyraźniej nie spała już od dłuższego czasu.

- O czym myślisz?

Udzieliłem jej odpowiedzi, którą lubiła najbardziej. Byłem pierwszym Hellenem, za jakiego wysła.

Tamtego dnia mój sen się skończył. Do tej pory całe dnie spałem, tańczyłem, siłowałem się z młodymi chłopcami, grałem na lirze albo patrzyłem na morze. Teraz zaczynałem szukać sobie zajęcia. Nieróbstwo nie leży w mojej naturze.

Kompani byli mi najbliżsi. Gdyby wybuchła wojna, dowodziłbym przynajmniej swoją własną Strażą, gdyż reszcie wojsk przewodziłby Ksantos. Nadszedł więc najwyższy czas, bym poświęcił im trochę uwagi.

Jak już mówiłem, chłopcy ci ani na krok mnie nie odstępowali, chyba że byłem z Królową w łóżku. Wszyscy byli dobrze wychowani, dobrze sytuowani i przystojni. Inaczej nie mogliby być tym, kim byli. Zostali wybrani do pełnienia takiej właśnie funkcji, a nie do noszenia broni. Ja jednak nie potrzebowałem ich ochrony, gdyż w Eleusis nie było niczego, co mogłoby zagrozić Królowi. Jeśli jednak znalazłby się śmiałek, który porwałby się na życie władcy, po torturach wsadzono by go żywcem do grobu, wydając na pastwę Cór Nocy. Bardzo dawno temu miało miejsce takie zdarzenie, ale był to raczej wypadek niż celowe działanie i dziś Kompani stanowili jedynie ozdobę Króla, na którą ludność chętnie patrzyła.

Wszyscy lepiej lub gorzej znali grekę, co świadczyło o ich wysokim urodzeniu. Kiedy pierwszy raz z nimi rozmawiałem, wydali mi się próżnymi zazdrośnikami, rywalizującymi o każde głupstwo i starającymi się nawzajem poniżyć. Byli mną zainteresowani, gdyż byłem Hellenem, a poza tym, jak się później dowiedziałem, z moją osobą wiązało się jakieś proroctwo, o którym zwykli ludzie nie mieli pojęcia. Pamiętałem śmiech poprzedniego Króla, ale nikt nie wiedział, co on oznaczał.

Z tego, co zauważyłem do tej pory, chłopcy niewiele robili. Bawili się jedynie w wojenne ćwiczenia. Nie brakowało im ducha, więc

przypuszczam, że większość królów w ogóle nie martwiła się o to, co będzie, gdy ich czas dobiegnie końca. Ale ja, gdziekolwiek jestem, lubię przyłożyć rękę do tego, co znajduję.

Ponieważ ćwiczenia na placu szybko się nudzą, zabrałem ich w góry. Z początku szli niechętnie, gdyż mieszkańcy Eleusis wychowani są na równinach i nie lubią gór, traktując je jak zakazane ziemie dobre dla wilków i bandytów. Spytałem ich, co robią, gdy zjawiają się najeźdźcy, by odebrać im bydło, skoro nie znają terenów granicznych. Przyznali, że mieszkańcy Megary często kradli im zapasy, starając się wyrównać straty spowodowane przez bandytów grasujących na drodze przez Przesmyk.

- Cóż - odparłem. - Jest na to tylko jedna rada. Trzeba spowodować, by zaczęli się nas bać.

Nakazałem im więc ćwiczyć walkę, następnie przy górskim strumieniu upiekliśmy kozła, którego sami upolowaliśmy. Ostatecznie dzień bardzo im się spodobał. Jednak w drodze powrotnej jeden z nich powiedział:

- Nie mów o tym nikomu, Kerkyonie, gdyż następnym razem na pewno ci na to nie pozwolą.

- Czyżby? - spytałem. - A któż miałby mi zabronić?

Zaczęli coś szeptać między sobą.

- On jest Hellenem, głupcze - usłyszałem.

A potem jeden z nich odpowiedział mi uprzejmie:

- Król nie może umrzeć przed czasem. To przynosi nieszczęście.

To była prawda. Minyanie znają pieśń, mówiącą o pewnym młodym Królu, który żył dawno temu i który dał się zabić dzikowi po tym, jak Królowa zabroniła mu iść na polowanie. Powiadają, że zawiłce zabarwione są jego krwią. Tamtego roku oliwki nie obrodziły, a to podobno jeszcze nie koniec nieszczęść.

Mimo to następnego dnia i dwa dni później ponownie udaliśmy się w góry. Eleusis leży pomiędzy dwoma helleńskimi królestwami. Gdy młodzieńcom przestały podobać się rządy matek, zaczęli tęsknie spoglądać w stronę kraju mężczyzn. Chodzili więc ze mną, utrzymywali nasze eskapady w tajemnicy i byli bardzo z siebie zadowoleni.

Wszelkie myśliwskie trofea rozdawałem im jako nagrody, gdyż nie mogłem się nimi pochwalić w Pałacu. Musiałem jednak uważać, by nie zaczęli się o nie kłócić. Tak mijały dni. Przyzwyczailiśmy się do naszej mowy, a nawet stworzyliśmy coś w rodzaju własnego języka grecko-minyańskiego, który opierał się na żartach i pewnych powiedzeniach. Nikt oprócz nas go nie rozumiał.

Któregoś dnia, gdy wdrapaliśmy się na jedną z gór, usłyszałem, jak wołają do siebie:

- Zgubiliśmy Chłopca!
 - Gdzie jest Chłopiec? Widziałeś go?
- Pokazałem się im.
- O, tu jest - powiedział jeden z nich.

W Eleusis znosiłem wiele, ale zuchwalstwa nie mogłem ścierpieć. Podszedłem do nich, przypomniawszy sobie, że nie skończyłem jeszcze dziewiętnastu lat, podczas gdy najstarszy z nich miał prawie dwadzieścia jeden.

- Zabiję tego, który jeszcze raz nazwie mnie Chłopcem - ostrzegłem.

Wszyscy stanęli jak wryci.

- No? Jesteśmy przy granicy. Ten, komu uda się mnie zabić, może uciec albo zrzucić moje ciało w przepaść i powiedzieć, że spadłem. Nie będę się chował za spódnicę Królowej, ale najpierw zobaczmy, komu uda się mnie uśmiercić. Kto uważa, że jestem chłopcem, niech wyjdzie i powie to na głos.

Po chwili najstarszy z nich, Bias, któremu wyrosła już całkiem przyzwoita broda, powiedział:

- Ależ Kerkyonie, nikt nie chce cię tu obrazić. Wręcz przeciwnie.

Inni poparli go.

- To nasze imię dla ciebie.
- Kerkyonie, to nie jest obraźliwe.
- Wszyscy dobrzy Królowie mają przezwiska.

A najbardziej zuchwały i lekkomyślny z nich dodał ze śmiechem:

- To wszystko z miłości, Kerkyonie. Wiesz dobrze, że wystarczy, byś tylko skinął palcem, a pójdziemy za tobą.

Wtedy kilku przytaknęło, pół żartem, pół serio, by mnie uspokoić, a już w następnej sekundzie dwóch zaczęło się bić.

Rozdzieliłem ich, dając im do zrozumienia, że to głupota. Wśród Minyan takie sytuacje są na porządku dziennym i nikogo nie dziwią. Wynika to z tego, że chłopcy trzymają się spódnic matek, nawet gdy dorosną. Matki wybierają im także żony. Idą więc do domu poślubionej kobiety i zmieniają jedną spódnicę na inną. Jeśli żyje się w ten sposób, to możliwość obrania sobie mężczyzny za wzór, który się naśladuje, podziwia i z przyjaźni którego jest się dumnym, daje więcej wiary w siebie, niż może dać kobieta w domu. Nie widzę sensu kwestionowania tego. Każdy obyczaj powstał z jakiegoś powodu. Nawet wśród Hellenów, w czasie długiej wojny, gdy nie ma zbyt wielu kobiet i gdy przywódcy mają pierwszeństwo wyboru, więzi między mężczyznami zacieśniają się.

Można, tak jak ja, być mężczyzną dla kobiet, ale jednocześnie nie odrzucać przyjaźni ludzi z innych krajów bądź lojalnej Straży. Jeśli byli nieznośni lub natrętni, mogłem się zastanawiać, jak sobie z tym poradzić, ale wtedy po raz pierwszy mogłem wykorzystać fakt, że byłem Królem.

- Tam, skąd pochodzę, nawet Królowie mają imiona. Ja nazywam się Tezeusz.

Od tamtej pory tak mnie właśnie nazywali, choć było to wyraźnie wbrew panującemu obyczajowi.

Jeśli faworyzowałem kogoś, nie było końca waśniom i intrygom. Wypominali sobie nawet zdarzenia z zeszłych lat. Wszystko to było wynikiem mojego zainteresowania ich życiem. Przychodzili do mnie z różnymi problemami. Niektórzy dlatego, że nie mieli z kim porozmawiać, a inni dlatego, że się przyzwyczaili. Często mieli innych przyjaciół, zakochiwali się w dziewczynach, z którymi ich matki nigdy nie pozwoliłyby im się ożenić. Ja natomiast robiłem, co się dało, i wstawiałem się za nimi u Królowej. Błaganie jej raniło moją męską dumę, ale nic więcej nie mogłem uczynić. Dlatego też podobnie jak w dzieciństwie zacząłem wyszukiwać sposoby, by sprawdzić się przed samym sobą. Mógłbym pragnąć wojny, ale od zachodu granicyliśmy z Megarą - królestwem zaprzyjaźnionym i

spokrewnionym z rodem mojego ojca, a z drugiej - z nim samym.

Wiele słyszałem o wojnach o bydło z Megarą. Niektórzy z moich Kompanów byli na tyle dorośli, że mogli brać w ostatniej z nich udział. Król Nisos, mówili, był za stary, by walczyć, ale jego syn Pylas bił się za dwóch. Dowiedziałem się również, że brat Królowej nie jest zbyt lubiany przez swoich ludzi. Nikt nie zarzucał mu tchórzostwa, ale był władczy i chciwy, jeśli chodzi o łupy. Krążyło nawet wśród nich powiedzenie: „Ksantosowy udział”.

Dziadek zwykł mawiać: „Uważaj, byś przejeżdżając przez Megarę, nikogo nie obraził i byś nie wdał się w bójkę. Król Nisos jest jedynym sprzymierzeńcem twego ojca i bratem twojej matki. Król Pandion uciekł w tamte strony z Aten w czasie jednej z wojen o królestwo, a i twój ojciec tam się urodził”. Gdy zbliżała się jesień, przypomniały mi się te słowa. Nadszedł bowiem czas podjazdów, trwający, dopóki śniegi nie zasypią wszystkich dróg. Kiedyś myślałem sobie, że dobrze by było wyzwać tego Pylasa do walki. Wtedy ludzie mogliby sobie nazywać mnie Chłopcem. Jednak bez względu na to, czy ja zabiłbym jego, czy on mnie - mój ojciec straciłby na tym najwięcej. Zacząłem więc obawiać się tej wojny, jak mężczyzna, który boi się stanąć do walki.

Leżąc w wymalowanej sypialni i bijąc się z myślami, zanim jeszcze obudził się ptak, doszedłem do wniosku, że należałoby wymknąć się do Aten. Tylko jak tego dokonać? Już łatwiej byłoby uciec niewolnikowi niż Królowi. Wiecznie przebywałem wśród ludzi: tańcząc w czasie świąt, czy biorąc udział w składaniu ofiar, choć sam nigdy tego nie robiłem; poza tym gdziekolwiek bym się nie ruszył, towarzyszyła mi Straż. W nocy natomiast wystarczyło, bym drgnął, a Królowa natychmiast się budziła. Były wprawdzie wyprawy na polowanie, ale wiem, że Kompani, bojąc się, że leżą gdzieś ranny, spuściliby psy, by mnie odnaleźć. Poza tym, gdybym im uciekł, ponieśliby karę. O ile wiem, skazano by ich na śmierć. A ja zaczynałem czuć się za nich odpowiedzialny. Nie mogłem tego uniknąć, zaprzyjaźniając się z nimi.

Wreszcie, nawet jeśli udałoby mi się zbiec, dotarłbym na dwór ojca jako uciekinier, a Królowa prawdopodobnie groziłaby wojną. Zresztą, jak bym wyglądał, gdybym uciekł przed kobietą. Chciałem dotrzeć do niego jako znany człowiek. Pragnąłem, by zanim mnie pozna, powiedział:

- Chciałbym mieć takiego syna.

„Nie - pomyślałem - na Wiecznie Żywego Zeusa! Mam jeszcze czas: jesień, zimę i wiosnę. Jeśli nie będę w stanie dotrzeć do Aten okryty chwałą, to zasługuję na to, by zostać w Eleusis i zaakceptować mojrę jej królów”.

Rozejrzałem się dookoła, nasłuchiwałem i pomyślałem, że już chyba wiem, jak rozwiązać sprawę Megary i Pylasa, syna Nisosa. Była tylko jedna możliwość, by z nim nie walczyć. Należało jakoś się z nim zaprzyjaźnić i to w miarę szybko. Rozważałem różne sposoby, ale nic na razie nie wymyśliłem.

Póki co, nadal z niecierpliwością oczekiwałem nocy, pieśń harfisty wieczorem ciągle jeszcze wydawała mi się za długa i już nie zastanawiałem się, jak opuścić Królową.

Nie rozmawiałem z nią o sprawach królestwa w obecności innych, aby nie czuć wstydu, gdy rzucała mi zdawkowe odpowiedzi. Jeśli jednak próbowałem tego nocą, traktowała mnie jak dziecko. W domu, gdy miałem dziesięć lat, dziadek kazał mi siedzieć cicho w czasie wygłaszania wyroków, a potem odpytywał mnie, aby sprawdzić, ile z tego zapamiętałem. Tutaj zwaśnione kobiety przychodziły do mnie z łapówkami, bym nakłonił Królową do wydania korzystnego dla nich wyroku. Traktowały mnie jak konkubinę, ale ponieważ były kobietami, nie mogłem ich uderzyć.

Wiele razy widywałem dzieci Królowej w Pałacu. Było ich tylko pięcioro, chociaż poślubiła dziesięciu królów. Z poprzednim nie miała żadnego, a ja jak każdy mężczyzna miałem nadzieję, że mi uda się spłodzić potomka. Czasem jednak słyszałem, jak piastunki mówiły, iż dzieci są jedynie rodzajem łaski okazanej ich ojcom, tak jakby to ona wybierała, z kim chce mieć dzieci. Nigdy jej jednak o to nie pytałem. Wiedziałem bowiem, że gdyby mi odpowiedziała, iż nie jestem wart, by rodziła moje potomstwo, gniew wzięłby nade mną górę i nie odpowiadałbym za swe czyny.

Pewnego dnia dowiedziała się, że polowałem na lamparta. Zwymyślała mnie w taki sposób, że można było pomyśleć, iż jestem małym chłopcem, którego przyłapano na włazieniu na jabłoń w najlepszych spodniach. Byłem tak zaskoczony, że aż oniemiałem. Moja rodzona matka, która pamiętała mnie jako nagie niemowlę, nigdy w życiu nie powiedziała mi takich rzeczy. Potem do głowy przychodziły mi różne odpowiedzi, ale było już za późno. Tamtej nocy odwróciłem się od niej, myśląc, że przynajmniej w tym wypadku nie ma nade mną władzy. Ale i tu okazało się, że mnie pokonała, gdyż w tej dziedzinie była mistrzynią. Następnego dnia obudziłem się przed świtem i leżałem zawstydzony z otwartymi oczami. Czulem, że muszę zrobić coś, co przywróci moją pozycję. Nie zamierzałem być mężczyzną w nocy i dzieckiem w ciągu dnia dla przyjemności jakiejś kobiety.

Znów wyruszę na polowanie i tym razem będzie to coś wielkiego. Pasterzom dałem znać, że wieści o jakiegokolwiek zwierzynie będą mile widziane. Wkrótce jeden z nich przybył potajemnie i pytał o mnie.

- Kerkyonie - powiedział. - Po granicznych wzgórzach grasuje olbrzymia locha Faia. Przyszła z Megary i ma swoje legowisko na Pękniętej Górze. Mówią, że ma młode.

Opowiadał mi o niej jeszcze, chociaż ja sam też co nieco słyszałem. Mieszkańcy Megary twierdzą, że w bok ma wbity grot oszczepu, przez co nienawidzi ludzi. Potrafiła wyskoczyć nagle z ukrycia i zaatakować wieśniaków, nawet gdy nikt na nią nie polował. Zabiła w ten sposób już pięć osób.

To było to, na co czekałem. Dałem dzieciakowi nagrodę, aż podskoczył ze szczęścia.

- Niech Dobra Bogini ci to wynagrodzi, Kerkyonie. Król Nisos wyznaczył nagrodę za tę bestię: trójnóg i wołu.

To poddało mi nową myśl. Gdy chłopak odchodził zapytałem:

- Czy Pylas, syn Nisosa, poluje po tej stronie granicy?
- Teraz, kiedy ona tu jest, na pewno zechce - odpowiedział.

- Daj mi znać, gdy przybędzie - poinstruowałem pastucha.

Parę dni później wrócił z wieściami. Zebrałem wokół siebie Kompanów i rzekłem:

- Otrzymałem wiadomość o pojawieniu się pewnej bestii w górach.

Gdy to powiedziałem, najbardziej szalony z nich, czarnowłosa Amyntor, aż krzyknął z radości. Ktoś zażądał zakładu. Wiedzieli oczywiście, że mam zakaz. Plotki w Pałacu pełnym kobiet rozchodzą się niesamowicie szybko i na przykład już przed południem wszyscy wiedzieli, ile razy kochałem się z żoną ostatniej nocy. Wszyscy czekali więc, co zrobię, gdyż każdy mieszkaniec Eleusis kocha mocne wrażenia bardziej niż wino.

- Pylas z Megary i jego przyjaciele sądzą, że będą w stanie dopaść lochę z Krommyon. Nie powinniśmy przepuścić takiej okazji, gdy zwierz znajduje się po naszej stronie granicy.

Oczy rozszerzyły im się ze zdumienia. Zaczęli się poszturchiwać i coś szeptać między sobą. Bardzo mnie to zaskoczyło, gdyż nie byli tchórzami. Potem jeden z nich powiedział na głos:

- Locha!

I wtedy sobie przypomniałem: te bestie są święte w Eleusis. Nie spodobało mi się to, gdyż od chwili, gdy usłyszałem o Fai, nie myślałem już o niczym innym. Kiedy jednak lepiej się nad tym zastanowiłem, doszedłem do wniosku, że może się to udać.

- Spokojnie - powiedziałem. - Ona nie zginie w Eleusis. Te wzgórza, to przecież Ziemia Niczyja. Wasze ręce również nie zostaną splamione jej krwią. Hellenom wolno polować na dziki, więc to ja ją zabiję.

Chłopcy patrzyli na mnie. Widziałem, że mają mnie za szaleńca i faktycznie ja sam nie wiedziałem, dlaczego tak bardzo mi na tym zależało.

- Chodźcie - powiedziałem. - Musimy wyruszyć zanim wzejdzie słońce. Pylas ma nad nami przewagę.

Obawiałem się wprawdzie, że jeden z nich mógłby się wygadać, ale kiedy byli razem, przekonywali się wzajemnie do robienia różnych

rzeczy, gdyż strasznie spodobało im się bycie Hellenem.

Wyruszyliśmy, gdy Królowa przyjmowała kobiety, więc nikt nas nie zauważył. Teraz już wiedziałem, że nie należy trzymać włóczni i innego sprzętu w Eleusis. Ukryliśmy wszystko w jaskini w górach. Tam też postanowiliśmy odpocząć po wspinaczce, a pasterz, który obserwował zwierzę, podzielił się z nami nowinami. Pylas i jego towarzysze dopadli już Faię, ale zdołała im umknąć zabiwszy dwa psy i zraniwszy poważnie jednego z uczestników polowania. Po deszczu psy straciły trop, więc chłopak, by pozwolić nam zabić zwierzę, sprowadzał Pylasa na manowce. Locha nadal była tam, gdzie się przyczaiła.

Nad górami wisiał deszcz. Pod granatowymi chmurami zbocza wydawały się ciemne i pośępne. A w dole, daleko od miejsca, w którym się znajdowaliśmy, leżało Eleusis oświetlone bladym słońcem. Wyglądało to tak, jakby mrok przyszedł z nami. Jeden z chłopców, niewysoki, śniady, typowy Minyanin, powiedział:

- Może Bogini się gniewa.

Spojrzałem na ciemną karłowatą roślinność i skały pod groźnymi chmurami i wzdrygnąłem się. Matka w Eleusis nie jest taka, jak Matka w Trojzenie, ale ja byłem Hellenem i składałem przysięgę przed wszystkimi moimi ludźmi. Wolałbym zginąć, niż teraz zawrócić.

- Pani otrzyma swoją część. Apollo również - powiedziałem. Gdy wymawiałem imię boga, jasna plama słońca przesunęła się po wzgórzu.

Na gruzowisku powstałym po dawnym obsunięciu się kamieni, tam gdzie rosły młode drzewka, znajdowało się legowisko lochy.

Rozłożyliśmy sieci najlepiej, jak się dało. Nie były zbyt dobrze umocowane do podłoża, gdyż pod spodem znajdowała się lita skała. Gdy już wszystko znajdowało się na miejscu, spuściliśmy psy, które aż rwały się przed siebie. Po chwili wyskoczyły zza kamieni, wyjąc i szczekając. Było ich coraz więcej, a pomiędzy nimi znajdowało się coś, co wyglądało jak olbrzymi głaz oderwany od góry. Dopiero po chwili zorientowałem się, że była to żywa istota.

Wiedziałem, że locha może być duża, ale to, co zobaczyłem, przeszło wszelkie moje wyobrażenia. Samce, na które polowaliśmy w domu, wyglądały przy niej jak warchlaki. Patrząc na nią, miało się wrażenie, że jest potomkiem Tytanów i olbrzymów żyjącym samotnie w górach. Tyle tylko, że nie była stara. Miała potężne, śnieżnobiałe, zakrzywione kły, splamione gdzieś krwią. Nie doceniłem mieszkańców Megary. Ich strach był w pełni uzasadniony.

„W co ja się wpackowałem? Śmierć przede mną, a wstyd za mną. Ale już chyba lepiej zginąć w ten sposób, niż narazić się na niesławę”. Usłyszałem głosy chłopców, gdy ją dojrzeli. Byli przerażeni. Jej rozmiar odebrali jako zły znak.

Locha wpadła w sieci. Przewracała się i próbowała wstać. Podszedłem do przodu, by spróbować szczęścia, ale w tym momencie zwierzę wyrwało się z ziemi i ruszyło na mnie ciągnąc ją za sobą wraz z uwięzionymi w niej psami. Jeśli jej teraz nie powstrzymam, wpadnie prosto na Kompanów. Wiedziałem jednak, że nie będę w stanie tego dokonać. Byłem po prostu za lekki.

W pobliżu znajdowała się wysoka skała z płaską ścianą. To była moja ostatnia nadzieja. Samica zatrzymała się zdezorientowana przez oplatające ją sieci. To na szczęście spowolni ją trochę. Dopadłem do skały, wparłem się w nią plecami i przygotowałem na uderzenie. Ten ruch zwrócił uwagę lochy, która natychmiast ruszyła prosto na mnie.

Biegając, potknęła się, ale i tak musiałem użyć całej mojej siły, by ją powstrzymać i nie złamać włóczni, która przebiła zwierzę tuż poniżej łopatki. Drugi koniec broni oparłem o skałę, więc to jej własna siła, nie moja, przyniosła jej śmierć. Tyle tylko, że to ja musiałem wytrzymać.

Nienawidziła ludzi. Gdy kwiczała, rzucała się i starała się mnie dosięgnąć, wiedziałem, że nie walczy o swoje życie. Chciała odebrać moje. Od tego potężnego, rozjuszonego zwierzęcia dzieliło mnie jedynie cienkie drzewce włóczni. Czuję się jak wiotkie, bezwolne źdźbło trawy targane wichurą. Byłem cały poobijany i posiniaczony. Miałem wrażenie, że na moje życie nastaje również skała, którą miałem za plecami. Przez cały czas obawiałem się, że drzewce nie

wytrzyma i pęknie. W pewnej chwili, gdy byłem przygotowany na kolejne pchnięcie, locha szarpnęła się gwałtownie do tyłu wyrwijąc mi niemal rękę ze stawu. Siły mnie opuszczały i już myślałem, że samica zwycięży, kiedy nagle znów rzuciła się do przodu. Najwidoczniej ten ruch zmienił ustawienie ostrza. Jeszcze jedno potężne szarpnięcie i drzewce wparło się w skałę. To przyniosło jej śmierć.

Stałem, dysząc ciężko. Z początku byłem tak wyczerpany, że nie zdawałem sobie nawet sprawy z tego, iż jestem ranny. Ale gdy oparłem się o skałę, przykleiłem się do niej jak do lepu na muchy. Potem powoli zaczęło do mnie docierać, to co się działo wokół. Usłyszałem radosne krzyki Kompanów i mimo, że ledwie trzymałem się na nogach, poczułem, że odżywam. Czułem się, jak człowiek, który zrobił to, czego chcieli bogowie. Czułem się wolny i szczęśliwy.

Kompani natychmiast do mnie podbiegli. Z radości zapomnieli o naszej rozmowie i podrzucając mnie w górę krzyczeli:

- Chłopiec! Chłopiec!

Było mi już wszystko jedno. Otarcia i stłuczenia bolały. Chłopcy, zobaczywszy, że jestem ranny, postawili mnie na ziemię i zaczęli rozglądać się za oliwką. Okazało się jednak, że nikt nie pomyślał, by ją zabrać, więc zaczęli się kłócić i wzajemnie obwiniać.

- Tłuszcz lochy wystarczy - powiedziałem i w tym samym momencie usłyszałem czyjś głos dochodzący z góry.

- Ja mam trochę oliwki. Możesz z niej skorzystać.

Podniosłem głowę i zobaczyłem helleńskiego wojownika. Miał około dwudziestu ośmiu lat. Jego jasne włosy były związane, by nie przeszkadzały mu w czasie polowania. Brodę miał przyciętą, a wąsy zgolone. Jego jasnoszare oczy błyszczały. Razem z nim przyszła grupka myśliwych i młody chłopak niosący włócznię na dziki. Podziękowałem mu i choć wiedziałem, że to on, spytałem, czy jest Pylasem, synem Nisosa.

- Tak - odpowiedział. - Odebrałeś mi zwierzyńę, chłopcze, ale widok był tego wart. Ty pewnie jesteś tegorocznym Kerkyonem, który przybył drogą przez Przesmyk.

Potwierdziłem i zobaczyłem, że jest mu trochę przykro to sły-
sząc, co wydało mi się dziwne. A jeśli chodzi o to, że zwrócił się do
mnie „chłopcze”, nie można oczekiwać, iż następca tronu królestwa
helleńskiego będzie traktował jednorocznego króla jak równego
sobie.

- Tak - odpowiedziałem. - Jestem Kerkyonem, ale na imię
mam Tezeusz. Jestem Hellenem.

- Tak, to widać - odparł, patrząc na lochę.

Potem zawołał chłopaka, który niósł włócznię i kazał mu natrzeć
mi plecy oliwką. Rad byłem, że okazał się szlachetnym człowiekiem,
zwłaszcza, że uznałem go za swego kuzyna.

W międzyczasie wokół martwego zwierzęcia zebrał się tłumek i
usłyszałem, jak moi chłopcy dokuczają przybyszom. Mogło to spo-
wodować kłopoty, zwłaszcza, że nasze narody nie żyły w przyjaźni.
Kazałem im natychmiast przestać, ale za bardzo byli rozochoceni.
Szedłem właśnie w ich stronę, aby ich uspokoić, gdy Pylas powie-
dział:

- U mego ojca czeka nagroda - trójnóg i wół.

W całym tym zamieszaniu zupełnie o tym zapomniałem, choć o
to mi przecież cały czas chodziło.

- Słuchajcie! - zawołałem. - Oto człowiek, który nie wie, co to
podłość. Odebrałem mu przyjemność uśmiercenia bestii, a on przy-
pomina mi o czekającej mnie nagrodzie.

Dopiero, kiedy to powiedziałem, chłopcy uspokoiли się zawsty-
dzeni.

- Z wołu urządzimy sobie ucztę, gdyż locha należy do Matki i
Apollona. Upieczemy go tu i zaprosimy tych oto wojowników, by
zjedli z nami.

Pylas miał taką minę, jakby traktował to wszystko jako żart, więc
dodałem po cichu:

- Nie wolno im jeść mięsa świń, ale wołem z Megary nie po-
gardzą.

Roześmiał się i poklepał mnie po ramieniu. Wtedy spomiędzy
skał doszło nas kwiczenie warchlaków.

- Na Zeusa! - krzyknąłem. - Zupełnie zapomniałem o jej młodych. Zanieś je ojcu z pozdrowieniami ode mnie.

Pylas wysłał jednego ze swoich ludzi między skały. Samica miała cztery lochy i siedem knurów. Tym samym oszczędziliśmy miejscowym kłopotów.

Myśliwi Pylasa przystąpili do skórowania martwego zwierzęcia. Później ze skóry i kłów Fai kazałem zrobić helm. Nadawała się do tego celu idealnie, gdyż była elastyczna i mocna. Zanim zwierzę zostało oprawione, ludzie Pylasa wrócili z nagrodą. Przynieśli także drzewo, by upiec mięso i spalić ofiarę. Pylas przyglądał się, jak moja Straż składa ofiarę Apollonowi. Taki zwyczaj zapanował wśród nich, gdyż nauczyłem ich szanować boga, który chronił przed gniewem boginek i powstrzymywał Córy Nocy. Nigdy jednak nie udało mi się wpoić im szacunku dla Posejdona. W Eleusis mężowie Matki, podobnie jak mężowie Królowej, nie liczą się.

Zbliżał się wieczór. Niebo się przetarło i słońce złotym blaskiem oświetliło zbocza wzgórz.

- Po tych górach nie można podróżować po zmroku - powiedziałem - a szkoda byłoby zostawiać tyle mięsa. Może znajdziemy jakiś załom skalny, chroniący przed wiatrem, i chrust, na którym będzie można się przespać. Wtedy będziemy mogli zostać tu nawet do północy, śpiewając pieśni i opowiadając historie.

Jego szare oczy otworzyły się szeroko ze zdziwienia. Miałem wrażenie, że zaraz się roześmieje. Pohamował się jednak i powiedział, że to doskonały pomysł. Zwróciłem się w stronę moich chłopców i zobaczyłem, że stoją w gromadce. Bias podszedł do mnie i spytał:

- Tezeuszu, nie posuwasz się za daleko?
- Dlaczego?
- Wiesz na pewno, że Król nigdy nie śpi poza domem - wyszeptał.

Nawet o tym nie pomyślałem, tak byłem szczęśliwy, że znów żyję jak mężczyzna pomiędzy mężczyznami. Za żadne skarby nie zmieniłbym teraz zdania, by nie ośmieszyć się przed ludźmi Pylasa.

- Zawsze musi być ten pierwszy raz - powiedziałem.

Wziął głęboki oddech.

- Nie rozumiesz? Naraziłeś się na niebezpieczeństwo, choć Królowa ci zabroniła, zabiłeś lochę, a teraz, jeśli nie wrócisz na noc do Pałacu, pomyśli, że jesteś z inną kobietą.

Wiem, że chciał dobrze, ale tego było już za wiele.

- To są sprawy pomiędzy żoną i mężem. Powiedziałeś swoje zdanie, Biasie, a ja cię wysłuchałem. Teraz idź i pomóż innym.

Rożen został ustawiony, ogień płonął. Nadszedł wieczór. Załam wypełnił się blaskiem ognia, niczym misa ofiarna winem. I faktycznie, jedynie wina nam brakowało. Wtedy właśnie, zupełnie nieoczekiwanie pojawili się ludzie ze wsi. Przynieśli cały bukłak napoju w podzięce za zabicie Fai. Patrzyli z podziwem na trofeum, a ja pomyślałem, że przed zmrokiem wieść dotrze do Eleusis.

Mięso upiekło się i zabraliśmy się ochoczo do jedzenia. Pylas pozwolił mi pić ze swego pozłacanego rogu. Pozostali pili z bukłaka. Wszyscy śpiewali - i Hellenowie i Minyanie, ucząc się od siebie pieśni. Moi chłopcy z początku czuli się skrępowani, ale potem przyłączyli się do wspólnej zabawy. Dziś byli Hellenami, ale jednocześnie obawiali się jutra. Ja zresztą też zastanawiałem się, jak to się skończy.

Gdy zrobiło się głośno, przysunęliśmy się z Pylasem do siebie. Nadszedł czas na rozmowę. Mimo że zabiłem Faię, teraz poczułem się młodszy niż wtedy, gdy nadziała się na włócznie. W Trojzenie często pomagałem dziadkowi dostarczać rozrywki takim ludziom. W sali tronowej stawiałem się uprzejmy, podpowiadałem harfiście, jakie komplementy ma prawić, albo sam im śpiewałem. Zabierałem ich na polowania i pilnowałem, by dobrze się bawili i jednocześnie nie narażali życia. Odprowadzałem ich też z prezentami przeznaczonymi dla nich, gdy wychodzili od dziadka załatwiwszy wszystkie sprawy. Byłem chłopcem, który jedynie ocierał się o sprawy dorosłych. Gdy tak rozmyślałem, usłyszałem głos jednego z ludzi Pylasa:

- Im Królowa starsza, tym młodszych królów sobie wybiera. Ten jest tak młody, że nawet mu jeszcze broda nie wyrosła.

W tym momencie nastąpił korzystny dla mnie zwrot, gdyż Pylas, szlachetny człowiek, bał się, że mogłem to usłyszeć. Poprosił mnie więc, bym opowiedział mu, jak zabiłem Skirona. Bardzo ułatwiło mi to zadanie.

Gdy ponownie zaczęto śpiewać, my nadal rozmawialiśmy o Istmie.

- Przeszedłem tę drogę i udało mi się przeżyć, ale to jest zadanie dla jednego człowieka. Do tego czasu jednak, miejsce Skirona zajął ktoś inny i tak będzie zawsze, dopóki cała ta droga nie zostanie oczyszczona. Ale to już nie jest zadanie dla jednego człowieka czy królestwa.

Śpiew był coraz głośniejszy, a bukłak z winem znów krążył z rąk do rąk.

- Dwa królestwa mogłyby jednak dać radę - dodałem.

Oczy mu rozbłysły. Był jednak sprytny i chodził po tym świecie dobre dziesięć lat dłużej niż ja.

- To by oznaczało wojnę. Ale czy Eleuzeńczycy zgodzą się wziąć w niej udział? Co będzie z handlem morskim, z którego żyją, jeśli droga lądowa będzie bezpieczna?

Potrząsnąłem głową; to też sobie przemyślałem.

- Droga wiedzie przecież przez Eleusis. Handel będzie kwitł zimą, gdy morzem nie da się dotrzeć w te strony. Poza tym - dodałem, uśmiechając się - ich bydło będzie paść się spokojnie, jeśli wy nie będziecie tracić swojego.

Roześmiał się. Wiedziałem, że rozmawiamy jak mężczyzna z mężczyzną. Wiedziałem jednak również, że nic z tego nie będzie, jeśli to, co mówię, wyda mu się zbyt banalne lub gdy będę zbyt mocno naciskał.

- Twój ojciec będzie musiał rozmawiać z Ksantosem, bratem Królowej, nie ze mną - odezwałem się znowu. - Ale wszyscy w Eleusis wiedzą, że on walczy tylko wtedy, jeśli może zdobyć jakieś łupy. Powiedz mu, że kryjówki złodziei pełne są drogocennych rzeczy, a z pewnością cię wysłucha.

Pylas podał mi swój róg.

- Dobrze to sobie obmyśliłeś, Tezeuszu. Powiedz mi, ile masz lat?

- Dziewiętnaście - odparłem. Do tego czasu sam już prawie w to wierzyłem.

Spojrzał na mnie i roześmiał się.

- Co też oni narobili w Eleusis? Zastawili pułapkę na jelenia, a złapali lamparta. Nie zorientowali się jeszcze? Powiedz mi, chłopcze, dlaczego to robisz? Jakie to będzie miało dla ciebie znaczenie za rok o tej samej porze?

- Kiedy ty umrzesz, Pylasie, będziesz miał grób z ozdobnym kamieniem. Na palec nałożą ci pierścień, do ręki włożą miecz, dadzą ci twoją najlepszą włócznię, kubek ofiarny i róg, z którego pijesz. Po stu latach, gdy pierścień będzie błyszczał na twoich kościach, starzy ludzie będą mówić do swych wnuków: „To jest grób Pylasa, syna Nisosa, a to jego czyny”. Potem to dziecko opowie tę samą historię swojemu wnukowi, a ten swojemu. W Eleusis martwego króla grzebie się na polu, niczym końskie łajno. On nie ma imienia. Jeśli więc ja nie napiszę swojego epitafium, to kto to zrobi?

Przytaknął i powiedział:

- To jest dobry powód.

Popatrzył jednak na mnie w taki sposób, że od razu wiedziałem, co chce powiedzieć.

- Tezeuszu, już prawie trzydzieści lat mieszkam w pobliżu Eleusis. Wiem, jak wygląda człowiek, który zna swój koniec. Ziemianie mają to we krwi. Idą na śmierć jak ptak, przed którym tańczy wąż. Jeśli jednak wąż tańczy przed lampartem, to lampart skacze pierwszy.

Był bystry, byłbym więc głupcem, gdybym mu skłamał.

- Tam, skąd pochodzę - powiedziałem - przyzwolenie wiąże mężczyznę.

A po chwili dodałem:

- Mógłbym jednak znaleźć śmierć w walce. Któż chce żyć bez imienia?

- Na pewno nie ty. To jasne. Ale dzięki komuś takiemu jak ty, zwyczaje w Eleusis mogłyby się zmienić. Zdarzały się takie przypadki w przeszłości.

Jego słowa zasiały w moim umyśle ziarno, które tylko czekało na dogodny moment, by zakiełkować. Teraz, gdy odniosłem sukces, wydawało mi się, że inne rzeczy również są możliwe. Byłem za młody, by potrafić to ukryć. Gdy patrzyłem w płomień, powiedział:

- Sądzę, że moglibyśmy ci znaleźć niespokojnego sąsiada.

Podobała mi się jego szczerość. Rozumieliśmy się.

- Wół, którego spożywamy, należy do twego ojca. Jednocześnie jest to moja nagroda. Nie wiem więc, kto tu jest gospodarzem, a kto gościem, ale tak czy owak jesteśmy przyjaciółmi.

Przyjrzał mi się dokładnie, potem wziął mnie za rękę i uściśnął.

Ogień przygasał, popiół przybrał barwę czerwoną i szarą, gdzieś widać było jeszcze złote iskry. Najedzone psy gryzły kości. Gdy wszystko ucichło, przysunęliśmy się do siebie i rozmawialiśmy szeptem. Kilku moich chłopców nie spało i patrzyło, czy ich nie zdradzę z Pylasem. Zgadzaaliśmy się co do tego, że do wojny należy dążyć jeszcze jesienią, a nie czekać do wiosny. On, podobnie jak ja, jeśli coś postanowił, robił to.

- Poprosz ojca - powiedziałem - by rozgłosił, że Kerkyon wie, jak przejść przez Przesmyk. Moi chłopcy nie będą chcieli stanąć strażą tylną.

Roześmiał się i obiecał spełnić moją prośbę. Na tym zakończyliśmy rozmowę i poszliśmy spać. Ja zasnąłem na brzuchu, gdyż plecy miałem całe poranione i obolałe. Następnego ranka, gdy zbieraliśmy się do domu, Pylas podarował mi swój pozłacany róg. Moi kompani zastanawiali się, czy czegoś nie przespałi.

Minęło południe, gdy dotarliśmy do Eleusis. Ludzie nas już wypatrywali. Na widok głowy lochy, którą dwóch mężczyzn nadziało na włócznię, wzniesli radosne okrzyki. Miałem już dość ukrywania tego, co robię, jak jakiś niegrzeczny chłopiec.

W pokoju dziennym zastałem tylko nianię z dziećmi. Królowej nie było, ale czółenko na krośnie huštało się. Wszedłem na górę, lecz drzwi od sypialni były zamknięte.

Odszedłem więc cały czerwony. Byłem jeszcze zbyt młody, by umieć nie przejmować się takimi rzeczami. Pomyślałem sobie, że zaraz całe królestwo się dowie, że żona wystawiła mnie za drzwi. Gdy zapukałem po raz drugi, usłyszałem chichot służącej. Odwróciłem się i zobaczyłem dwie służki, które przechodząc, starały się

ukryć rozbawienie. Kiedy byliśmy w łóżku, nie traktowała mnie w ten sposób.

Przedemną znajdowały się schody wiodące na dach. Wbiegłem po nich i z góry spojrzałem na taras komnaty. Nie było tam zbyt wysoko. W pobliżu nie było też żywej duszy z wyjątkiem jakiejś kobiety suszącej ubrania gdzieś w oddali. Zsunąłem się pomiędzy blankami, zawisnąłem i puściłem. Jeden z chłopców nauczył mnie kiedyś, jak miękko spadać.

Wylądowałem na nogach i lekko skrzyłem kostkę, nie kulałem, ale zabolalo i tylko wzmogło mój gniew. Podbiegłem do okna sypialni, rozsunąłem gwałtownie zasłony i zobaczyłem ją. Brała właśnie kąpiel.

Widok ten cofnął mnie o dziesięć lat wstecz i przez moment zdawało mi się, że jestem w pokoju matki. Dziewczyna ze szpilkami do włosów i grzebieniem, zapach perfum wydobywający się z glinianego naczynia. Moja matka miała bielszą skórę, jej zapach był świeższy i przypominał wiosnę. No i była młodsza, ale o tym wtedy nie myślałem. Królowa syknęła i wtedy zobaczyłem jej twarz.

Kiedyś, w dzieciństwie, gdy spodziewałem się lania od swojego nauczyciela, przypadkowo znalazłem się tam wcześniej, niż powinienem i zobaczyłem, jak jedna z Pałacowych dziewczyn uderzyła go w twarz. To był mocny cios. Teraz także zjawilem się za wcześnie. Zauważyłem, że przygotowano dla niej diadem większy niż ten, który nosiła na co dzień. Patrzyła na mnie z uniesionymi kolanami. Twarz miała nie umalowaną i wilgotną od pary. Jedną nogę wystawiła na zewnątrz, by służka mogła obciąć jej paznokcie. Wiedziałem, że nie ujdzie mi to na sucho.

Cofnęła szybko nogę, tak że dziewczyna upuściła nóż.

- Wyjdź - rozkazała. - Zaczekaj na zewnątrz. Jeszcze nie skończyliśmy.

Potraktowała mnie jak służącego. To mi wystarczyło.

- Nie szkodzi, pani, że nie czekałaś na mnie. Widać coś ci przeszkodziło. Nie będziemy więcej o tym rozmawiać - powiedziałem i usiadłem na łóżku. Wśród kobiet zapanowało lekkie poruszenie, ale starały się zachowywać cicho.

Najwyraźniej bały się jej. Gdyby to był pokój mojej matki, byłoby tu już jak w gołębniku, do którego zakradł się kot. Wyprostowała się gwałtownie. Podniosłem jej czerwony gorset i przyjrzałem się hartowi.

- Piękna robota - odezwałem się. - Sama zrobiłaś?

Skinęła na jedną z kobiet, która natychmiast owinęła ją w białą lnianą szatę.

- Cóż ma znaczyć to zuchwalstwo? Postradałeś zmysły? Wyjdź!

Spojrzałem na służki i powiedziałem:

- Porozmawiamy, gdy będziemy sami. Nie zapominajmy, kim jesteśmy.

Nagle rzuciła się na mnie, owinięta w szatę i z rozwianymi włosami. Nie pamiętam już wszystkich epitetów, którymi mnie określiła, ale nazwała mnie między innymi barbarzyńskim ujeżdźcą koni, synem złodziei bydła, prostakiem z północy i dzikusiem niegodnym mieszkania w pałacu. Podskoczyłem i wrzasnąłem:

- Wynocha!

Następnie wypchnąłem wszystkie służące oniemiałe ze zdumienia za drzwi i zarygłowałem je.

Wróciłem szybko do pokoju i chwyciłem Królową za łokcie, trzymając jej ręce z dala od moich oczu.

- Pani, jeszcze nigdy nie uderzyłem kobiety, ale też nigdy nie widziałem, by któraś aż tak się zapomniała. Upokarzasz mnie, traktując jak złodzieja. Zamilcz i nie zmuszaj mnie, bym cię uciszył, bo nie będzie to miłe dla żadnego z nas.

Przez chwilę ani drgnęła, potem otworzyła usta. Wiedziałem, że w pobliżu są pewnie strażę, ale nie mogłem pozwolić, by mną rządziła.

Gdy na moment odwróciła wzrok, zakryłem jej usta dłonią. Próbowwała mnie ugryźć, ale nie pozwoliłem jej na to. Była silna jak na kobietę. W czasie szamotaniny potknęliśmy się o wannę i przewróciliśmy ją. Leżeliśmy teraz na mokrej kratkowanej podłodze wśród rozlanych aromatycznych olejków, smarowideł i rozbitych flakoników, które stały na wannie. Szata, która nie była niczym spięta, nasiąkła wodą i pod wpływem ciężaru spadła na podłogę. „Choć raz, to mężczyzna zadecyduje, kiedy” pomyślałem.

W tym samym momencie poczułem na plecach ból jak od użądlenia pszczoły. Chwyciła nóż do obcinania paznokci. Nie był zbyt długi, ale wystarczająco, by dosięgnąć serca. Na szczęście ruszyłem się i zniweczyłem jej plany.

Krew rozlała się po szacie tworząc szkarłatne plamy. Mimo to nadal trzymałem rękę na jej ustach.

- Zastanów się, zanim zawołasz - powiedziałem. - Twoje strażę są za drzwiami, a mój sztylet tutaj. Jeśli zechcesz uśmiercić mnie, zanim nadejdzie mój czas, zabiorę cię z sobą.

Dałem jej jeszcze chwilę na zastanowienie, po czym puściłem ją. Wzięła głęboki wdech - chyba ją trochę poddusiłem - a następnie odwróciła głowę w stronę zakrwawionej szaty i zaczęła płakać.

Byłem zbyt niedoświadczony, więc zupełnie się tego nie spodziewałem. Przez chwilę patrzyłem na nią jak głupiec i jedyne, co przyszło mi do głowy, to żeby wyjąć spod jej pleców stłuczony kawałek naczynia, by się nie pokaleczyła, podczas gdy moja własna krew zalewała jej piersi. Starłem ją przy pomocy szaty i udało mi się trochę zatamować krwotok. Następnie podniosłem Królową z ziemi i zaniósłem do łóżka.

Po chwili jedna z kobiet zapukała do drzwi i spytała, czy Królowej czegoś nie potrzeba.

- Owszem - odparłem - przynieś nam wina.

Odebrałem napój i nie wstawaliśmy aż do wieczora.

Mogliśmy tak leżeć dłużej, ale powiedziała, że przed nocą trzeba tu posprzątać. Muszę przyznać, że pokój wyglądał jak pobojuwisko.

Po całym tym zajściu w Eleusis panował spokój. Postanowiłem zadowolić Królową. Skoro już pokazałem, że nie należy mnie traktować jak psa, straciłem chęć do kłótni i awantur. Nie spałem już poza Pałacem i nie ciągnęło mnie do wędrówek. Kilka jej służek zerkało na mnie z zainteresowaniem, gdyż myślały, że oglądam się za innymi, ale ja zawsze odwracałem wzrok. Czasami widywałem kobietę, która płakała po Kerkyonie. Zajmowała się przygotowywaniem kąpieeli i za każdym razem, gdy widziałem, że na mnie czeka,

wołałem kogoś innego. Nienawistne spojrzenie jest bardziej dotkliwe, gdy jest się nago.

Pojawiły się pierwsze przymrozki, gdy od króla Megary przybyli posłańcy, by wezwać Eleuzeńczyków do pomocy w oczyszczeniu Przesmyku. Warunki były takie, jakie uzgodniłem z Pylasem: żadnych kradzieży bydła, sprawiedliwy podział łupów i swobodny przejazd przez oba królestwa, gdy droga będzie bezpieczna.

Ksantos zwołał naradę wojenną na równinie przy brzegu. Było to jedyne zgromadzenie mężczyzn dozwolone przez prawo tego kraju. Przybyłem ze swoimi Kompanami i poprowadziłem ich na znane im miejsce. Nakazałem im kroczyć odważnie, bez wahania wskazującego na to, że męczyzna, który mówi o swej odwadze, wcale odważny nie jest. Wojownicy zdawali się akceptować ich sposób bycia.

Posłaniec z Megary przemówił, używając argumentów, których żaden król na piśmie by nie użył. Narada przebiegała w spokoju. Zauważyłem, iż przejęli od Hellenów zwyczaj używania berła, bez którego nikt się nie odzywał. Dość szybko zdecydowali się na rozpoczęcie wojny, lecz starsi byli za tym, by poczekać do wiosny.

Może to i było dobre dla kogoś, kto miał całe życie przed sobą. Wstałem i poprosiłem o złote berło.

- Zimą - powiedziałem - ludzie korzystają z tego, co zebrali latem. Dlaczego mamy pozwalać tym łotrom na bogacenie się na nas przez kolejny sezon? Dlaczego mamy pozwalać im na przetrzymywanie porwanych dziewcząt przez kolejny rok?

Młodym spodobały się moje słowa, więc wzniesli okrzyki radości.

- Poza tym - dodałem - przez tak długi czas na pewno wieści o naszych zamiarach dotrą do nich. Pozwoli im to przygotować się na odparcie ataku i ukrycie łupów. Dlaczego mamy tracić najcenniejsze łupy?

Wszyscy stwierdzili, że mam rację. Ksantos również słuchał. Przypomniał zebrany, że będą ledwie dwa dni drogi od domu i nie będą musieli przekraczać morza, po czym zagłosował za rozpoczęciem wojny jesienią.

Posłaniec Megary zaproponował, by Kerkyon, który przeszedł przez Przesmyk, poprowadził awangardę. Zerknąłem na Ksantosa, ze strony którego spodziewałem się sprzeciwu, ale gdy wszyscy ucichli, powiedział, że nie ma nic przeciwko temu.

Byłem zadowolony, że tak łatwo poszło, gdyż z początku myślałem, iż będę miał z nim ciężką przeprawę. Parę razy po awanturze w sypialni zauważyłem, że mnie obserwuje. Myślałem, że zdobyłem jego uznanie dzięki własnej elokwencji. Młody chłopak jest dzieckiem właśnie wtedy, gdy uważa siebie za mężczyznę.

3

Która z chłopięcych rozrywek może dostarczyć więcej przyjemności, niż przygotowania do pierwszej wielkiej wojny? Naciera się wtedy drzewce włóczni oliwą, miecz, sztylet i włócznię ostrzy się tak, że można ścinać włosy, rydwan poleruje się do tego stopnia, że daje się w nim przejrzeć, a skórę helmu i pancerza naciera woskiem pszczelim. Człowiek zastanawia się też, jakie podstępne ciosy może zadać nieprzyjaciel i sam również wypróbowuje różnego rodzaju sztuczki. Stajnie także odwiedza się kilka razy dziennie, by sprawdzić, co z końmi. Zastanawiałem się, skąd wziąć woźnicę, ale Ksantos znalazł mi kogoś. Zanim przybyłem do Eleusis, jego konie były jedynymi w królestwie helleńskiej rasy. Cieszyłem się, że okazał mi pomoc.

Wieczorem, dzień przed wymarszem, wyszedłem na niższy taras i spojrzałem na góry Attyki tonące w mroku. Stojąc tam w ciemnościach, gdy Kompani bawili się w pobliżu, rozmyślałem o tych, którzy twierdzili, że mnie kochają i zastanawiałem się, czy znajdzie się wśród nich choć jeden, któremu odważy się powiedzieć: „Jeśli zginę w walce, weź mój miecz i zanieś królowi Aten”. Nie było jednak nikogo, komu mógłbym tak dalece zaufać. „Może i lepiej” - pomyślałem.

„Nadzieja nikomu nie zaszkodziła, więc dlaczego mam mu przekazywać złe wieści?” Wróciłem do pozostałych i przyłączyłem się do żartów i zabaw. Widać było, że chłopcy mają w sobie wiele zapału.

Tego wieczoru Królowa wcześniej wstała zza stołu. Gdy poszedłem za nią, nie odzywaliśmy się prawie do siebie, ale pamiętaliśmy, że czeka nas wiele samotnych nocy. Kiedy kochaliśmy się po raz ostatni, zauważyłem, że miała wilgotne oczy, więc powiedziałem jej, żeby łzy zachowała na mój pogrzeb.

Trąbka i krzyki zbierającego się wojska obudziły mnie wcześniej, niżbym sobie tego życzył. Zacząłem się przygotowywać, a ona obserwowала mnie spod półprzymkniętych powiek. Kapa ze skóry dzikiego kota leżała zwinięta na podłodze. Włosy Królowej lśniły w świetle poranka na czerwono niczym porfir.

Zamocowałem osłony i nagolenniki i okryłem się białą ocieplaną tuniką, gdyż ranki były już mroźne. Założyłem również opaski na ramiona oraz królewski naszyjnik. Nigdy nie chciałem iść na wojnę, tak, by nie można mnie było rozpoznać. Związałem włosy i włożyłem nowiutki hełm zrobiony ze skóry Fai. Uśmiechnąłem się do żony na wspomnienie tego, jak zakończyła się nasza niedawna kłótnia. Ona jednak leżała nieruchomo i wprawdzie uśmiechała się, lecz oczy pozostały poważne. Przejaśniło się. Ptak się rozbudził, zagwizdał i powiedział:

- Pocałuj mnie jeszcze raz.

Od strony niewidocznego Wielkiego Dziedzińca doszedł mnie odgłos wyprowadzanego rydwanu. Gdy odwróciłem się, by podnieść tarczę, pomyślałem: „Skąd we mnie ten gniew? Jestem przecież wilkiem w stadzie psów. Minyanin na pewno nie byłby zły. Wśród Ludzi Ziemi nikt nie mógłby stać wyżej ode mnie. Mówią, że mężczyźni przychodzą i odchodzą, ale to kobieta nosi dziecko. Nie powinienem starać się o nic z wyjątkiem tego, by zostać wybrańcem Matki, spłodzić potomka i umrzeć. Nie powinienem starać się zdobyć więcej niż przeznaczył mi los. Dlaczego więc ogarnął mnie gniew? Czy to dlatego, że jestem Hellenem i serce mi mówi, że mógłbym mieć więcej? Tylko co jeszcze miałbym osiągnąć? Nie

umiem tego nazwać. Być może jest gdzieś harfista, syn i wnuk barda, który to potrafi. Ja to tylko czuję. To jest jak radość i ból jednocześnie".

Wszyscy wiedzą, że nie powinno się iść na wojnę będąc w niezgodzie z żoną. Zwłaszcza król nie powinien. Nie pytałem więc, dlaczego leży tam nieruchomo, skoro powinna mnie żegnać. Nachyliłem się, by ją pocałować. Jej głowa uniosła się jakby niesiona falą, a usta rozchyliły i wpiły w moje. Potem znów opadła na poduszki, nie odzywając się ani słowem. Zatrzymałem się. Pragnąłem ją zapytać, czy jest w ciąży, ale nie wiedziałem, czy jej milczenie nie jest jakimś świętym rytuałem, który źle byłoby naruszyć, więc odszedłem, milcząc.

Po drugiej stronie granicy połączyliśmy się z Megarianami i razem dotarliśmy do końca strzeżonej drogi, która w miejscu, gdzie zaczyna się Przesmyk, jest w bardzo złym stanie i cała porośnięta chwastami. Zamiast wież strażniczych pojawiły się złodziejskie twierdze zbudowane wysoko na skałach. Część z nich nie miała nazwy, inne były powszechnie znane. Pierwszą na naszej drodze była siedziba Sinisa.

Jego zamek stał na porośniętym sosnami wzgórzu. Miał wapienną wieżę postawioną jeszcze przez Tytanów w niepamiętnych czasach. Sinis urządził tam sobie kryjówkę, jak hiena w starym spalonym mieście. Ściany twierdzy były wysokie, więc potrzebowaliśmy drabin i wież obłęźniczych, by ją zdobyć. Gdy przyszło do ścinania sosen, przekonaliśmy się, że wszystko, co słyszeliśmy, było prawdą. Przywiązane do nich zostały resztki ludzkich ciał, a to kończyła, a to tułów. Sinis miał w zwyczaju naginać dwa młode drzewka, przywiązując do nich człowieka, a potem puszczać, by wyprostowując się, rozrywały nieszczęśnika na kawałki. Teraz większość z nich wyrosła już na potężne drzewa, mające nawet czterdzieści stóp wysokości, ale i tak do niektórych z nich były jeszcze poprzywiązane liny. Sinis postępował w ten sposób od lat. A jeśli chcecie wiedzieć, czy takiej właśnie ofiary wymagał bóg, któremu służył, to mogę jedynie powiedzieć, że robił to dla przyjemności i nigdy nie udawał, że jest inaczej.

Wieżę zdobyliśmy na trzeci dzień. Sinis stał się tak pewny siebie, mordując swoje ofiary w okrutny sposób, że nie otoczył źródła murami. Kiedy więc przedarliśmy się na dziedziniec, walczył jak szczur zapędzony w róg. Tylko dzięki mnie wzięliśmy go żywcem, ponieważ zapamiętałem jego twarz, gdy poprzednio przejeżdżałem tą drogą.

Po bitwie pościgaliśmy z drzew szczątki i urządziliśmy godny pogrzeb ofiarom okrutnika. Nie wszystkich jednak mogliśmy dosięgnąć, a poza tym wiele z nich kruki rozniosły po okolicy. Wieczorem las ożył. Mieliśmy wrażenie, że znajdujemy się w jaskini pełnej nietoperzy. To dusze niepogrzebanych ofiar przyglądały się nam i błękały wśród drzew. Daliśmy im więc to, o co prosiły. Gdy Sinis zobaczył, że przygotowujemy mu śmierć taką, jaką on zgotował niejednemu nieszczęśnikowi, nie był w stanie przyjąć tego jak mężczyzna. Wiedział co nieco o bólu, który tak bardzo lubił zadawać innym. Powinniśmy byli zostawić go tam, dopóki życie z niego nie ucieknie. Jednak większa część jego ciała zwisła z drzewa i darła się na całe gardło, co przyprawiło mnie o mdłości, a ponieważ nie byłem tak wytrzymały jak on i wstyd mi było litować się nad wrogiem, zezwoliłem moim chłopcom, by postrzelali sobie do niego jak do tarczy. Wkrótce dosięgła go śmiertelna strzała. Jego ludzi już dawno odprawiliśmy z tego świata. Gdy zabraliśmy łupy z zamku i gdy uwolniliśmy wszystkie kobiety, podpaliliśmy lasek. Języki ognia sięgały nieba, a dym widać było aż w Eleusis.

Następnie rozbiliśmy obóz i zaczęliśmy dzielić łupy. Ksantos i Pylas podzielili się po równo, gdyż taka była umowa. Kiedy jednak Ksantos miał oddać część nam, moi chłopcy dostali tyle, co nic. Odebrałem to jako zniewagę i powinienem był mu powiedzieć, co o tym myślę, jednak zdawałem sobie sprawę z tego, że wprawdzie wojsko go nie lubiło, ale znało, a ja byłem obcy. Powiedziałem więc głośno tak, by wszyscy słyszeli:

- Oto, co Ksantos myśli o waszej dzisiejszej walce. Ale trudno przecież wymagać, by dowódca, który kieruje walką, miał oczy wszędzie. Widocznie nie miał okazji obserwować was tak jak ja.

Dlatego też pokażę wam, co ja o tym sądzę.

Podzieliłem wszystko, co miałem, między nich, sam zachowując jedynie broń ludzi, których własnoręcznie zabiłem. Kompani byli zadowoleni, w przeciwieństwie do Ksantosa. Tak więc każdy dostał to, na co zasłużył.

Po kilku kolejnych dniach wojny wszystkie duże twierdze zostały oczyszczone i spalone. Zostało jednak jeszcze sporo małych band, które kryły się po jaskiniach i zapadliskach. Pamiętałem ich znaki zostawiane przy drodze i pokazywałem je innym. Był to albo kopczyk, albo ciernisty krzew. Poza tym wieśniacy, którzy do tej pory żyli w strachu, gdyż musieli żywić rabusiów, jeśli podróżni zawiedli, uwierzyli w nas i zaczęli nam pomagać. Dzięki nim mogliśmy likwidować pozostałe kryjówki i wypędzać chowających się w nich złodziei.

Po jednym z takich wypadów wojsko poruszało się pod górę tam, gdzie droga biegnie wzdłuż klifów. Jechałem w swoim rydwanie na czele, a za mną podążali moi chłopcy. Nagle usłyszeliśmy łoskot dochodzący znad naszych głów od strony zbocza. Zobaczyliśmy, że prosto na nas lecą dwa olbrzymie głazy. Na szczęście ześlizgnęły się po jakiejś krawędzi, upadły przed nami, po czym stoczyły się z klifu. Na drodze pozostały po nich dwa duże wgłębienia. Konie stanęły dęba i położyły uszy po sobie. Zauważyłem, że woźnica, który powinien sobie bez trudu z nimi poradzić, gdyż był większy ode mnie, traci nad nimi kontrolę, więc zabrałem mu wodze. Dwoje chłopców, ryzykując kopnięcie, podbiegło i złapało za lejce pod pyskiem spłoszonych zwierząt. W ten sposób udało nam się je jakoś uspokoić. Co się zaś tyczy powożącego, to choć musieliśmy go nieść, nie było sensu za bardzo się gniewać, gdyż i tak nie było komu go zastąpić. Ludzie Wybrzeża nie potrafią dobrze obchodzić się z końmi. Poza tym woźnica otrzymał już nauczkę: gdy tylko spojrział w dół, zbladł i zaczął szczekać zębami. Znajdowaliśmy się teraz w tym samym miejscu, w którym zginęli Deksios i Skiron.

Kilku chłopców pobiegło w górę, by sprawdzić, czy nie kryją się tam złodzieje. Ksantos, który znajdował się w pobliżu, również posłał

mały oddziałek, ale po chwili wszyscy wrócili, nie natknąwszy się na nikogo.

- W tej okolicy czają się rozgniewane duchy - powiedziałem. - Za Deksiosa nie złożyłem ofiary, a Skiron w ogóle nie został pochowany. Lepiej zajmijmy się tym, by nikt niepotrzebnie nie zginął.

Kości bandyty nadal bielą na skale, na którą upadł. Nie bez trudu wydostaliśmy je stamtąd i pochowaliśmy. Następnie zajęliśmy się odprawieniem rytuałów za Deksiosa. Dziś bardziej niż kiedy indziej pragnąłem, by żył.

Droga przez Przesmyk jest niebezpieczna nawet, gdy nie ma tam już złodziei. Wokół niej krążą bowiem duchy całej rzeszy pomordowanych podróżnych, które trzeba obłaskawiać, a i Trzęsący Ziemią domaga się uwagi. Z tego też powodu wzniosłem później na półwyspie ołtarz na jego cześć i zorganizowałem Igrzyska. Dlaczego akurat w tamtym miejscu? Cóż, miałem ku temu powód.

Dotarliśmy tam następnego dnia. Widzieliśmy już twierdzę Koryntu na szczycie góry i dym unoszący się nad świątynią Matki. Myśleliśmy nawet, że nic więcej nie będziemy mieć tu do roboty, gdy nagle zorientowaliśmy się, że czeka nas jeszcze jeden zażarty bój.

Przesmyk to dziki kraj, co jest wielką korzyścią dla kogoś, kto go zna. Okazało się, że wymknęło nam się więcej złoczyńców, niż myśleliśmy. Stali teraz wszyscy przed nami, puściwszy w zapomnienie dawne zatargi. Za ich plecami rozciągał się praworządny kraj, królestwa Wyspy Pelopsa, gdzie dopuścili się ojcobójstwa, gdzie pomordowali swych gospodarzy lub gości, dopuścili się gwałtu na świętych dziewicach i gdzie okradali skarbcę bogów lub grobowce królów. Ludzie ci schronili się na Przesmyku po popełnieniu takich właśnie przestępstw, a nie jakiegoś zwykłego morderstwa, które można odkupić krwią, lub za które Apollo mógłby nawet niejednego z nich ulaskawić. Stali więc przed nami, wypędzeni ze swych górskich kryjówek i czekali niczym dzik szykujący się do ataku.

Rozpoczęliśmy natarcie formując półkolisty szyk, by ich otoczyć. Megarianie posuwali się środkiem, gdyż mieli rydwany. Ja prowadziłem

lewe skrzydło, a Ksantos prawe. Oznaczało to, że stanąłem na czele nie tylko mojej Straży, lecz również części armii eleuzeńskiej. Ucieszyłem się, gdy nikt nie zaprotestował. Chociaż miałem swój udział w tej wojnie, była to moja pierwsza regularna bitwa. Przyznam, że cieszyło mnie to bardziej, niż gdybyśmy szli na spotkanie wojsk któregoś z dużych miast, takich jak Hazor czy Troja.

Dzień wstawał piękny, a powietrze było rześkie. W górze, w pińowych lasach, śpiewały ptaki. Stojąc w rydwanie, widziałem przed sobą cień piór własnego hełmu i jesionowej włóczni. Za mną rozbrzmiewały głosy mężczyzn, niektóre zaciekle, inne beztróskie, a jeszcze inne wesołe. W powietrzu unosił się zapach kurzu, koni, natartego oliwką drewna i skóry oraz świeżo wyczyszczonego brązu.

- Na mój znak - powiedziałem do woźnicy - ruszaj ostro do przodu. Nie czekaj na piechurów. Naszym zadaniem jest oczyścić im drogę. Masz przygotowany nóż na wypadek, gdyby któryś z koni padł i trzeba było przeciąć rzemienie?

Pokazał mi go, ale znów zapragnąłem, by to Deksios powoził, gdyż ten człowiek nie wyglądał na kogoś, kto całym sercem oddaje się walce.

Na znak Pylasa ruszyliśmy powoli do przodu, jak kocur, który szykuje się do skoku. Gdy byliśmy na tyle blisko, by móc dostrzec zęby i oczy wrogów, zatrzymaliśmy się. Ja wygłosiłem mowę, którą już wcześniej sobie przygotowałem. Szczerze mówiąc, poskładałem ją głównie z fragmentów starych pieśni wojennych, gdyż nie sądziłem, bym mógł wymyślić coś lepszego niż starzy bardowie i bohaterowie.

- Gdy zabrzmia surmy i wzniesiemy okrzyk wojenny, atakujcie tak, jak jastrząb atakuje czaplę, którego żadna siła powstrzymać nie może. Znamy się i wiemy, że nic, ni miecz, ni strzała, ni włócznia, nie mogą nas zranić tak jak hańba w oczach przyjaciół. Sinowłosy Posejdonie! Pogromco statków i miast! Prowadź nas ku zwycięstwu! Niech przed zachodem słońca ugną się karki naszych wrogów, a ciała legną w pyłe i kurzu!

Gdy skończyłem, wojownicy wzniesli okrzyki radości. Wtedy powietrze rozdarł dźwięk trąbki. Woźnica pochylił się, a dwóch najodważniejszych chłopców z mojej Straży, którzy byli kochankami, chwyciło rydwan po obu stronach, nie chcąc, bym torował im drogę. Wokół rozbrzmiewały miłe memu uchu dźwięki: stukot kół, okrzyki wojenne, szcęk broni i tarcz, tupot stóp i kopyt oraz okrzyki wzywające do walki, gdy któryś z mężczyzn upatrzył sobie jakiegoś bandytę. Ja sam ruszyłem na wysokiego człowieka wydającego rozkazy. Przypuszczałem bowiem, że jego śmierć może spowodować zamieszanie w szeregach wroga. Gdy rydwan podskakiwał na nierównościach, starałem się nie tracić go z oczu i wołałem, by przyjął me wyzwanie.

Zwróciły się ku mnie nieprzyjazne spojrzenia. Jedne drwiące, inne ponure, a jeszcze inne po prostu obojętnie skierowane w moją stronę. Rydwan wbił się w tłum, jak ostry dziób wodowanego okrętu w fale. Nagle poczułem się tak, jakby ziemia odwróciła się do góry nogami. Wyleciałem z rydwanu, jak wystrzelony z łuku i spadłem prosto na jakiegoś człowieka. Przewróciliśmy się na ziemię. Włócznia wypadła mi z dłoni, ręka uwięziona w uchwycie tarczy mało nie wyskoczyła ze stawu, rzemyk od hełmu pękł, więc miałem teraz odkrytą głowę. Obcy i ja leżeliśmy na wpół oszołomieni upadkiem. Nieprzyjemny zapach jego ciała podpowiedział mi, że nie jest to żaden z moich ludzi. W ostatniej chwili doszedłem do siebie, dobyłem sztyletu i przebiłem nim wroga, który natychmiast z powrotem osunął się na ziemię. Nie zdążyłem się nawet podnieść, gdy poczułem, że przygniata mnie kolejne ciało. Tym razem był to jeden z chłopców, którzy uczepili się rydwanu. Włócznia przeszła mu pomiędzy zębami i przebiła czaszkę. Gdy wydostałem się spod niego, oddał ostatnie tchnienie. Ta włócznia miała dosięgnąć mnie, a on zasłonił mnie własnym ciałem.

Wreszcie udało mi się podnieść i odnaleźć miecz. W tłumie przede mną spłoszone konie stawały dęba i miotały się, wlokąc za sobą przewrócony rydwan. Jedno koło odpadło, złamana oś orała ziemię, a w pyłe i kurzu leżał woźnica w podartej tunice. Nie miałem czasu, by spojrzeć ponownie. Uniosłem tarczę, by uchronić się

przed wymierzonym we mnie ciosem.

Przez chwilę miałem wrażenie, że jestem sam wśród wrogów, ale potem uspokoiłem się trochę i rozpoznałem głosy wokół mnie. To moi chłopcy byli w pobliżu i wciąż pojawiali się nowi. Krzyczeli do siebie niczym psy goniące dziką świnie. Ktoś zawołał mnie po imieniu. Obejrzałem się i dostrzegłem swój hełm w czyjejs ręce. Ktoś inny chwycił go i włożył mi na głowę. Odkrzyknąłem, by wszyscy wiedzieli, że nic mi się nie stało i ruszyłem do przodu.

Nigdy później nie kochałem żadnego z moich wojowników tak jak tych chłopców. Oni byli cudzoziemcami, przedstawicielami innej rasy. Na początku ledwie byliśmy się w stanie porozumieć, a teraz rozumieliśmy się bez słów. Zналиśmy nasze myśli, jak bracia, którym spojrzenie lub uśmiech mówi wszystko. W roku Igrzysk, gdy składałem ofiary, zawsze pamiętam o tym, że dzięki nim moje życie potoczyło się później tak, a nie inaczej.

Do południa bitwa była skończona. Nie braliśmy jeńców. Ci bandyci karmili psy i ptaki znacznie lepszymi ludźmi. Teraz sami mieli stać się karmą. Miłą niespodzianką były łupy, które zdobyliśmy. Niektórzy z łotrów mieli własne skarby, inni zapewne odnaleźli skarby swych zabitych panów. Przy zdobyczy postawiliśmy strażę składającą się z zaufanych ludzi ze wszystkich trzech oddziałów, a arystokraci z każdego królestwa mieli za zadanie zliczyć ich wartość.

Wojownicy zebrali się w jednym miejscu, jak to zwykle bywa po bitwie, by opatrzeć rany, odpocząć i porozmawiać. Ja i moi ludzie siedzieliśmy przy źródle, które wypływało pomiędzy kamieni. Jedni pili, a inni rozebrali się, by wykąpać się w strumieniu, do którego wpadały wody źródła. Jeden z mężczyzn był poważnie ranny - włócznia złamała mu nogę. Nastawiałem ją, włożywszy pomiędzy dwa drzewca oszczepów, żałując, że nie ma tu nikogo, kto mógłby zrobić to lepiej niż ja. Akurat starałem się odwrócić jego uwagę od bólu, wychwalając jego czyny, gdy ktoś mnie zawołał. To Pallans, jeden z tych, który biegł przy moim rydwanie. Nie zauważyłem go wcześniej i myślałem, że poszedł popatrzeć na stos. Dostrzegłem, że

ciągnął za sobą żywego człowieka w brudnych szatach. Skoczyłem na równe nogi. To był mój woźnica!

- Witaj, Rizonie! - powiedziałem. - Myślałem, że nie żyjesz, gdy zobaczyłem cię leżącego na polu bitwy. Jesteś ranny?

Pallans trzasnął go otwartą dłonią w plecy tak, że ten aż poleciał do przodu.

- Ranny!?! - wykrzyknął. - Spójrz na niego, Tezeuszu! Dałbym mu owcę za każdą odniesioną ranę. Szukałem go po całym polu, jak tylko bitwa się skończyła. Cały czas patrzyłem, co się dzieje, gdy zgubiliście koło. Ty wypadłeś z rydwanu, bo było to dla ciebie zaskoczeniem, ale on dobrze wiedział, co robić. Jestem gotów przysiąc, że nawet nie dotknął ziemi. Udawał nieprzytomnego, dopóki bitwa nie dobiegła końca.

Widziałem, jak się korzy i spojrzałem mu w twarz. Rozpierała mnie duma z odwagi moich ludzi i przepępiała radość z odniesionego zwycięstwa. Kochałem cały świat, ale po tym, co usłyszałem, dobry humor opuścił mnie natychmiast. „Ten człowiek jest tchórzem” pomyślałem. „Mimo to zdecydował się powozić rydwanem na pierwszej linii. Po co?” A na głos powiedziałem:

- Chodźmy to sobie obejrzyć.

Kompani towarzyszyli mi w drodze na pole bitwy. Tam zaczęli już zbierać się padlinożercy i wszędzie słychać było bzyczenie much pomieszane z jękami na wpół żywych ludzi. Gdziekolwiek nasi wojownicy odzierali ciała ze wszystkiego, co mogło stanowić jakąś wartość. Po środku, jak wrak statku, leżał rydwan, a obok martwy koń. Koło znaleźliśmy kawałek dalej.

- Podnieście oś - powiedziałem do chłopców.

Unieśli koniec do góry, a ja spojrzałem na otwór po zatyczce. Był zapchany ziemią, ale gdy podłubałem w nim sztyletem, znalazłem, co chciałem. Wyciągnąłem to ze środka i obróciłem w palcach. Był to воск, z którego zrobiono zatyczkę.

Wykrzyknęli zdumieni, przyjrzeni się woskowi i spytali, skąd wiedziałem.

- Tam, skąd pochodzę, ludzie śpiewają pieśń o podobnym zdarzeniu. Nie powinni byli próbować tego na człowieku z Wyspy Pelopsa. Rizonie?

Woźnica nic jednak nie odpowiedział, tylko patrzył w ziemię, trzęsąc się ze strachu.

- Powiedz mi, dlaczego to zrobiłeś. Teraz nie masz już nic do stracenia.

Nie wyglądał dobrze i nadal milczał.

- No, Rizonie. Czy kiedykolwiek cię uderzyłem, bądź skrzywdziłem w jakikolwiek inny sposób? Czy potraktowałem cię niesprawiedliwie, gdy przyszło do podziału łupów? A może zabiłem kogoś z twoich krewnych, spałem z twoją żoną lub służącą? Cóż ja ci takiego zrobiłem, że pragniesz mojej śmierci?

Gdy nadal nic nie mówił, odezwał się Pallans:

- Nie traćmy czasu, Tezeuszu. Dość już widzieliśmy.

Kiedy jednak chłopcy chwycili go, padł na kolana i zaczął błagać:

- Miej litość, Kerkyonie! Ja nie chciałem tego robić. Nigdy nie czułem do ciebie nienawiści. To Ksantos mi groził. Zrobiłem to, by mnie nie zabił. Zastraszył mnie.

Słyszając to, wszyscy głośno wciągnęli powietrze. Byli bardziej zaskoczeni, niż źli, gdyż należałem do Bogini i nie rządziłem nawet jeszcze przez jedną czwartą przeznaczonego mi czasu.

- Dlaczego jednak nie przyszedłeś z tym do mnie, skoro nie czujesz do mnie nienawiści? - spytałem. - Czy ja zapominam o przyjaciółach?

- Zastraszył mnie - odpowiedział tylko Rizon i znów padł na kolana, błagając, bym darował mu życie.

Moi ludzie patrzyli na mnie. Przy strumieniu byłem szczęśliwy, wiedząc, że nasza przyjaźń wytrzymała próbę i myśląc, iż odkryłem jedyny sekret władzy królewskiej. Nie można jednak być dzieckiem przez całe życie.

- Prosisz o zbyt wiele - odpowiedziałem. - Dopiero co chciałeś mnie zabić, gdyż Ksantosa przestraszyłeś się bardziej niż mnie.

- Jeśli któryś z was używał w walce włóczni i nie stąpił miecza - zwróciłem się do chłopców - niech mi go przyniesie.

Spełnili mój rozkaz, a ja powiedziałem:

- Oprzyjcie jego głowę o dyszel i trzymajcie go za kolana i włosy.

Uczynili, co im nakazałem, i nie musiałem już więcej oglądać jego twarzy. Uniosłem miecz i uderzyłem w kark. Spotkała go więc lepsza śmierć niż większość bardziej tego godnych ludzi, tyle tylko, że zanim odszedł z tego świata, najadł się strachu.

Następnie złożyliśmy ofiary bogom w podzięce za zwycięstwo. Eleuzeńczycy składali ofiary swojemu bogowi wojny - Enyaliosowi. Ja również złożyłem mu ofiary, gdyż nigdy nie należy lekceważyć bogów miejsca, w którym się przebywa. Postawiłem też swój własny ołtarz dla Posejdona i w tym właśnie miejscu powstała później jego świątynia.

Martwych spaliliśmy. Pallans złożył ciało Rizona u stóp zabitego przyjaciela. Teraz już wiem, dlaczego nie brał udziału w żałobie, tylko szukał go po całym polu. Poprzez dym unoszący się nad stołem dojrzałem lisie oczy Ksantosa. Obserwował mnie, ale nie był to czas na porachunki.

Powiedziano mi, że Pylas został ranny w bitwie, więc poszedłem zobaczyć, jak się czuje. Raniono go w ramię, więc rękę miał na temblaku, ale i tak nadal wydawał rozkazy. Porozmawialiśmy chwilę, powiedziałem mu, iż cieszę się, że to nic poważnego, po czym zabrałem się do odejścia. Pylas spojrzął na mnie swymi jasnoszarymi oczami i powiedział:

- Czuję tu dotyk przeznaczenia. Nić twego życia jest bardzo silna, Tezeuszu. Jeśli skrzyżuje się z nicią innych ludzi, niszczy ją. Ale tak przędą Prządki.

Zaskoczył mnie tym, ale chyba miał jakieś przeczucie, gdyż jego rana okazała się śmiertelna i wkrótce zmarł w Megarze. Smutno mi było, że tak szybko straciłem dobrego przyjaciela. Jednak gdyby żył, kamień graniczny Attyki nie mógłby leżeć tam, gdzie teraz: pomiędzy Wyspą Pelopasa i Przesmykiem.

Zapadał zmrok. Ołtarze dogaszono przy pomocy wina, a my zaczęliśmy się przygotowywać do świętowania zwycięstwa. Mieliśmy dużo krów, owiec i kóz, które właśnie zaczynały się piec na olbrzymich rożnach ustawionych nad ogniskami. Powietrze przepełnione było smakowitymi zapachami, ale oczy wszystkich zwróciły się w stronę pustego placu, na środku którego zgromadzono łupy gotowe do podziału. Przedmioty oświetlone były płomieniem z ognisk. Znajdowały się tam kubki, misy, hełmy, sztylety, miedź, cyna, kociołki, trójnogi i doskonałe tarcze. Obok siedziały kobiety. Jedne szeptały, inne płakały, niektóre kryły twarz w dłoniach, a jeszcze inne rozglądały się odważnie dookoła, zastanawiając się, który z mężczyzn zostanie ich nowym panem. Helios w czerwono-złotej poświacie schodził w głębiny morza. Robiło się coraz ciemniej. Na niebie pojawiła się nocna gwiazda, biała niczym skóra dziewczęcia i migocząca w drżącym rozgrzanym powietrzu unoszącym się nad ogniskami. Płomienie kładły się czerwonym blaskiem na oczach i zębach wojowników, na ich ręcznie robionych pasach od mieczy i lśniącej broni.

Zszedłem na dół, a za mną postępowała moja Straż. Wszyscy byliśmy wymyjni i uczesani. Broń mieliśmy wypolerowaną. Chłopcy nie pytali, co zamierzam, po prostu szli za mną w milczeniu i tylko zmieniony rytm kroków mówił mi, kiedy spoglądali się na siebie.

Pyłask już tam był. Był zbyt słaby, by brać udział w święcie, ale usiadł i przyglądał się podziałowi łupów. Zresztą każdy na jego miejscu postąpiłby tak samo, gdyby miał do czynienia z Ksantosem. Pozdrowiłem go i rozejrzałem się za bratem Królowej. Był dokładnie tam, gdzie się go spodziewałem: stał nad łupem. Zauważył, że się zbliżam i nasze spojrzenia spotkały się.

- Witaj, Ksantosie - powiedziałem. - Wyświadczyłeś mi przysługę w Eleusis. Znalazłeś dla mnie woźnicę.

- Ten człowiek sam do mnie przyszedł. Nie znam go. Teraz już wiedziałem, że Rizon nie kłamał.

- Każdy wie, że znasz się na ludziach. Znalazłeś mi zdolnego człowieka. Niestety nie żyje, a ja nie wiem, skąd wezmę drugiego

takiego. Rizon potrafił robić zatycki, nie używając brązu.

Kątem oka dostrzegłem, że tysiąc twarzy zwróciło się w moją stronę. Głosy ucichły tak, że można było dosłyszeć skwierczenie mięsa.

- Nie warto słuchać tego, co wygaduje tchórz błagający o życie - odezwał się Ksantos.

- Twierdzisz, że byś go nie słuchał. Skąd znałeś go tak dobrze?

Zdenerwował się i spojrzawszy na chłopców stojących za moimi plecami, odpowiedział:

- Młodzi mężczyźni to gaduły.

Gdyby wierzył w swoje dobre imię, nie oddałby ich tak łatwo we władzę obcego. Zdawał sobie jednak sprawę z tego, że stracił ich zaufanie, a im nietrudno było uwierzyć w to, że jest winny. Jego słowa wytrąciły ich z równowagi. Zaczęli się przekrzykiwać.

Podniosłem dłoń, by ich uciszyć. Następnie Bias, najstarszy z nich, wysunął się do przodu i wezwał obecnych, by byli świadkami zdarzenia z woskową zatycką, a następnie spytał:

- A kto zrzucił kamienie na drogę, by spłoszyć królewskie konie? Jeden z was na pewno to wie.

Rozległy się szepty, tak jakby przekazywano sobie jakąś plotkę. Słyszac to, Ksantos spłoszył ze złości. Tylko rudzi ludzie tak bardzo czerwienieją. Wysunął się do przodu i krzyknął:

- Eleuzeńczycy! Czyż nie widzicie, do czego zmierza ten człowiek? Czy nie jest dziwne, że ten helleński złodziej zna metody rabusiów! A skąd tak dobrze zna Istm? Sam pewnie tu żył! Któż wie, czym się zajmował, zanim przybył do Eleusis? Teraz wyobraża sobie, że może podburzyć was przeciwko człowiekowi, który poprowadził was do zwycięstwa. I to akurat wtedy, gdy nadszedł czas podziału łupów.

Aż mnie ręce świerzbiły, gdy to słyszałem, ale powstrzymałem się. Ksantos stracił głowę, co pozwoliło mi zachować zimną krew. Uniosłem brwi ze zdziwienia i powiedziałem:

- Co w ustach, to w sercu.

Nawet jego własni ludzie wybuchnęli śmiechem.

- Oto moja odpowiedź - dodałem - a Eleuzeńczycy niech będą świadkami. Porwałeś się na moje życie przy pomocy cudzych rąk. Stawaj teraz i użyj własnych. Podnieś tarczę i włócznię lub miecz, jeśli wolisz. Najpierw jednak weź swoją część łupu i odłóż ją na bok. Jeśli cię pokonam, przysięgam na Wiecznie Żywego Zeusa, że nie tknę niczego z tej części, ani złota, ani brązu, ani dziewczyny. Zostanie ona rozdana twoim ludziom według zasług. Tak samo niech się stanie z moją częścią, tak, by moi ludzie nie byli pokrzywdzeni. Zgadzasz się?

Popatrzył na mnie. Spadło to na niego szybciej, niż się spodziewał. Kilku arystokratów helleńskich zaczęło wiwatować. Pyłas podniósł rękę, by ich uciszyć, ale z kolei moi chłopcy zaczęli krzyknąć:

- Te-ze-usz!

Pozostali spojrzeli na nich zdumieni, gdyż nie było w zwyczaju nazywać Króla jego własnym imieniem. Słyszając to, Ksantos wrzasnął:

- Zajmijcie się swoimi sprawami, które przeznaczyła dla was Bogini, o ile jesteście w stanie je wykonać!

- Skoro wybrała mnie - spytałem - to dlaczego próbowałeś odebrać mi życie, zanim nadszedł mój czas? Wezwę ją, by dopilnowała, żeby moje prawa były przestrzegane.

Nie na darmo nasłuchałem się pieśni Minyan. Wiedziałem, co należy zrobić, gdy Król zostanie obrażony.

- Matko! Bogini! Powołałaś mnie. Wprawdzie na krótką chwilę, lecz w zamian obiecałaś chwałę do końca mych dni. Nie pozwól, by mną pomiatano. Traktuj mnie jak swego syna!

Ksantos zorientował się, że nie ma wyjścia. Nie wzywa się bogów, by potwierdzić kłamstwo i wszyscy o tym wiedzieli.

- Poskramiaczu Koni, znosiliśmy twoją obecność już dość długo. Zlekceważyłeś swoje przeznaczenie i stałeś się obrazą bogów. Ukarzą nas, jeśli nie powstrzymamy twego zuchwalstwa. Przyjmuję wyzwanie i warunki. Wybierz swą nagrodę, a jeśli przegrasz, otrzymają ją twoi ludzie. Co do broni, niech to będą włócznie.

Odłożyliśmy naszą część. Chłopcy śmiali się z wymuszonej grzeczności Ksantosa, który nie chciał, by jego ludzie popierali mnie w czasie walki. Wziąłem tyle, ile uznałem, że mi się należy, ani mniej, ani więcej. Jest zwyczaj, który pozwala Kerkyonowi jako pierwszemu wybrać kobietę. Jego życie jest krótkie, więc nie wolno odbierać mu przyjemności.

Podszedłem do branek, które wstały, bym mógł im się lepiej przyjrzeć. Wśród nich znajdowała się dziewczyna w wieku około piętnastu lat. Była wysoka i szczupła, a długie, jasne włosy opadały jej na twarz. Wziąłem ją za rękę i odprowadziłem na bok. W świetle ognia, pod włosami dostrzegłem błyszczące oczy, teraz jednak spuściła wzrok. Jej dłoń była lodowata. Niemożliwe wprawdzie, by była dziewczyną, ale w tym momencie pomyślałem o mojej matce udającej się do zagajnika.

- Jeśli zginę - powiedziałem do Ksantosa - dopilnuj, by oddano ją jednemu mężczyźnie, żeby nie stała się rozrywką dla wszystkich. Mamy dość dziwek, a ona jest teraz królewską służącą i tak ma być traktowana.

Złożyliśmy przysięgę przed Pylasem, który był gospodarzem, a na świadków wezwaliśmy Rzekę i Córy Nocy. Potem wszyscy cofnęli się, pozostawiając nam pomiędzy ogniskami dużo miejsca do walki. Podnieśliśmy włócznie i tarcze.

- Zaczynaj - powiedziałem.

Wiedziałem, że nie będę w stanie poruszać się zbyt szybko, gdyż zmęczenie po bitwie dawało o sobie znać, a i odniesione rany zaczęły doskwierać. Mój przeciwnik nie był na szczęście w lepszej kondycji. Okrążyliśmy się parę razy, pozorując atak. W tyle dostrzegłem mur ludzkich spojrzeń oświetlonych czerwoną poświatą, rozmazujących się w zapadających ciemnościach i poruszających się w takt walki. Cały czas widziałem ich tylko kątem oka, a mimo to niczego nie pamiętam lepiej.

Zaatakowałem Ksantosa, ale on odskoczył na bok i uderzył włócznią w moją tarczę. Znow zaczęliśmy krążyć wokół siebie i wymierzać ciosy z boku. Ja ugodziłem go w ramię, a on mnie w kolano. Ja pożyczyłem długą tarczę ze zwężeniem, gdyż była lekka, a on

prostokątną, za którą mógł się cały skryć. Zastanawiałem się, czy ma dość sił, by utrzymać taki ciężar.

Krażyliśmy i atakowaliśmy się, a twarze wokół nas zdawały się falować jak na wietrze. Cały czas rozważałem, czy nie rzucić w niego włócznią. Wprawdzie rzut jest mniej spodziewany niż cios i znacznie trudniejszy do sparowania, ale takie posunięcie mogło kosztować mnie życie. Gdybym bowiem spudłował, pozostałoby mi walczyć mieczem o długości zaledwie trzech stóp, podczas gdy przeciwnik nadal miałby w ręku siedmiostopową włócznię. Wtedy tylko cud mógłby mnie uratować.

Patrzyłem mu prosto w oczy, które w blasku ognia lśniły jak rubiny. Odsłoniłem swój bok. Ksantos okazał się szybki i prawie mnie dopadł, lecz zdążyłem odskoczyć do tyłu, udając, że się bronię. Uniosłem tarczę, by zasłonić ramię i w tym samym momencie cisnąłem włócznią. Musiał znać tę sztuczkę, gdyż zasłonił się tarczą. Rzuciłem tak silnie, że grot przebił podwójną byczą skórę i utkwiał w niej na dobre. Mój przeciwnik nie był w stanie jej wyjąć, więc musiał odrzucić tarczę. Nadal jednak miał swoją włócznię, podczas gdy ja zostałem z mieczem w ręku.

Rzucił się na mnie zdając szybkie ciosy, a ja odparowywałem je tarczą lub mieczem. Nie mogłem go jednak zranić, był poza moim zasięgiem, a na dodatek zmusił mnie do powolnego wycofywania się. Nagle usłyszałem głuchy dźwięk za sobą. Coś najwyraźniej uderzyło o ziemię, tak jakby ktoś rzucił kamieniem. Po chwili znów to usłyszałem i pomyślałem, że na koniec wszyscy odwracają się ode mnie. Ostatecznie byłem tutaj obcy. Gdy cofnąłem się jeszcze trochę, zobaczyłem, co to było. Włócznia! Wbita w ziemię tak, że tylko czekała na wyjęcie. Razem było ich trzy.

Wbiłem miecz w ziemię, by nie tracić czasu na chowanie go do pochwy i chwyciłem jedną z nich. Ksantos spojrzał na mnie z wściekłością. Jemu nikt nie rzucił tarczy. Widziałem, że zamierza cisnąć włócznią we mnie, ale ja byłem szybszy. Wbiła mu się pomiędzy żebra. Upuścił swoją broń i upadł. Hełm mu spadł, a włosy rozsypały się.

Wtedy przypomniałem sobie, gdzie już kiedyś widziałem takie włosy.

Dowódcy zebrali się wokół niego. Jeden z nich spytał, czy wyjąć włócznię, gdyż widział jego cierpienie.

- Wyjmiesz ją razem z moją duszą. Zawołaj Kerkyona.

Podszedłem i stanąłem przed nim. Gniew mnie opuścił. Wiedziałem, że rana była śmiertelna.

- Wyrocznia miała rację - odezwał się. - Jednak jesteś kukułczym jajem.

Mówiąc to wyglądał na zakłopotanego, niczym mały chłopiec. Dotknął włóczni wbitej w ciało.

- Dlaczego to zrobili? Co na tym zyskali?

Miał na myśli to, że mogli mieć moją część łupu, gdybym zginął.

- Nasz koniec jest zapisany w dniu naszych narodzin. Mój czas również nadejdzie - powiedziałem.

- Ale mój nadszedł już teraz - odparł.

Zamilkłem, gdyż na to nie miałem odpowiedzi. Spojrzał mi w twarz.

- Jak chcesz być pochowany? - spytałem. - Co mamy włożyć do twego grobu?

- Chcesz mnie pochować? - zdziwił się.

- Tak. Dlaczego miałbym tego nie zrobić? Wziąłem to, co mi się należało. Bogowie nie lubią tych, którzy biorą więcej. Mów, co mamy uczynić.

Myślałem, że zastanawia się nad tym, ale on tylko powiedział:

- Ludzie nie mogą wygrać z Nieśmiertelnymi. Wyciągnij włócznię.

Jeden z dowódców wyjął ją, a Ksantos wydał ostatnie tchnienie.

Kazałem kobietom obmyć jego ciało i złożyć je na marach. Rozstawiłem strażę, by nocą dzikie zwierzęta nie rozwlokły jego szczątków. Z tego, co miał, zatrzymałem tylko dwa miecze, gdyż walczył dobrze i był z królewskiego rodu. Jego część łupu została zgodnie z umową rozdzielona pomiędzy ludzi, którzy odbierając, to co im się należało, oddawali mi cześć. Potem zaczęliśmy świętować. Pylas opuścił nas dość wcześnie z powodu swojej rany, ale i ja nie zabawiłem

długo. Chciałem jak najszybciej znaleźć się w objęciach mojej branki, póki rany znów nie zaczną dawać mi się we znaki.

Okazała się dobrze wychowaną dziewczyną. Opowiedziała mi, że pewnego razu porwał ją pirat, gdy na plaży Kos zbierała agaty na naszyjnik. Potem sprzedał ją w Koryncie. Na imię miała Filona. Moje rany przestały krwawić, ale dziewczyna nie spoczęła, dopóki nie opatrzyła ich wszystkich. To była pierwsza kobieta, którą posiadałem na własność, więc na początku chciałem jej pokazać, kto tu rządzi, ale potem pozwoliłem jej postąpić wedle uznania. Nadal jest ze mną i ze względu na obietnicę, którą złożyłem jej tamtej nocy, nigdy nie oddałem jej żadnemu z moich gości bez jej zgody. To ona urodziła moich dwóch najstarszych synów: Itheusa - kapitana statku i Engenesa - dowódcę Straży Pałacowej.

Księga III

Ateny

1

Po raz drugi jechałem do Eleusis Drogą przez Przesmyk i po raz drugi ludzie stali na dachach, obserwując mnie, ale tym razem nie milczeli.

Moja Straż szła na czele pochodu, a ja przewodziłem wojsku, jadąc na koniu, którego podarował mi król Megary. Moi chłopcy pokazywali swoje trofea, grali na piszczałkach i śpiewali. Za nami sunęły wozy z łupami, kobiety i zwierzęta. Z dachów rzucano nam pod nogi zielone gałązki i kwiaty. W godzinach wieczornych, gdy cień człowieka staje się dłuższy niż on sam, dotarliśmy do Cytadeli. Wtedy Kompani rozstąpili się i utworzyli szpaler, bym mógł wjechać jako pierwszy.

Kiedy przejeżdżałem pod wieżą, na której również stały tłumy ludzi, brama otworzyła się, a strażnik zadał w róg. Kopyta mojego konia zadudniły na kamieniach Wielkiego Dziedzińca, przede mną rozpostarto flagi. Na dachu Pałacu pełno było ludzi, lecz nikt się nie odzywał, a okna nie były niczym przystrojone. Słońce chyliło się ku zachodowi, więc skraj dachu i głowy stojących na nim ludzi rzucały długie cienie na ziemię. Zatrzymałem się przed szerokimi schodami, na których pomiędzy kolumnami stała kobieta w białej sztywnej sukni i z diademem na głowie. Tkwiła tam nieruchomo niczym posąg.

Zsiadłem z konia, którego natychmiast odprowadzono do stajni, a kobieta nadal czekała bez ruchu. Wszedłem po schodach i stanąłem przed nią. Jej twarz przypominała pomalowaną kość słoniową, a oczy lśniły niczym rubiny. Rude, uczesane włosy z wplecionymi srebrnymi nitkami opadały jej na ramiona. Poprzedniego dnia w Przesmyku widziałem takie same włosy we krwi i kurzu.

Wziąłem ją za zimną rękę i przysunąłem się bliżej, by ją pocałować na powitanie, tak by ludzie widzieli. Nie dotknąłem jej jednak wargami, gdyż po uśmierceniu jej brata nie chciałem jej dodatkowo obrażać. Musnąłem ustami jedynie włosy na jej czole, a ona wypowiedziała wyuczoną frazę powitalną, po czym razem weszliśmy do Pałacu.

Gdy znaleźliśmy się w Pokoju, odezwałem się:

- Musimy porozmawiać. Na osobności. Może pójdziemy na górę? Tam nikt nie będzie nam przeszkadzał.

Spojrzała na mnie.

- Nie lękaj się - dodałem. - Wiem, co przystoi, a co nie.

Sypialnia była w cieniu i tylko jedną ze ścian muskały promienie zachodzącego słońca. Na stojaku wisiała biało-purpurowa haftowana szata, a na oknie leżała lira ze złotymi zdobieniami. Pod ścianą stało nasze wielkie łóże przykryte kapą.

- Pani, wiesz, że zabiłem twego brata. Ale czy wiesz dlaczego?

- Teraz, gdy mój brat nie żyje, nikt nie będzie w stanie udowodnić ci kłamstwa - odpowiedziała mi grobowym głosem.

- Jaka jest kara za zabicie Króla przed czasem?

Przygryzła wargę.

- Ja zabiłem go w walce - ciągnąłem - i przywiozłem jego ciało, by móc go pochować, gdyż nie chciałem okryć hańbą twego rodu. Jego ludzie nie uważają, bym postąpił nieuczciwie. Jak widzisz, pozwolili mi przewozić im w drodze do domu.

- Kim więc ja jestem? - spytała. - Twoim jeńcem?

Poczerwieniała ze złości, a jej przystrojone złotem piersi unosiły się i opadały. Na te słowa moje myśli zwróciły się ku Filonie, dziewczynie pirata i złodzieja, która nie znała mężczyzn, lecz potwory, a o czułości nie wiedziała nic, oprócz tego, czego sam ją nauczyłem. Przypomniałem sobie, jak pierwszej nocy zbudziła mnie, płacząc i błagając, bym jej nikomu nie sprzedawał i nie oddawał.

- Pani, nadal jesteś królową - odpowiedziałem.

- Ale ty teraz jesteś królem, Hellenie. Czyż nie tak?

Sądziłem, że kobieta w żałobie powinna zachowywać się nieco spokojniej, ale nie mnie było o tym decydować. Ostatnie promienie słońca zabarwiły na różowo ścianę i wiklinową klatkę, w której ptak przygotowywał się do snu.

- Później będzie czas, by o tym porozmawiać. Moje ręce umazane są krwią i ty nie możesz jej ze mnie zmyć, a ja nie mogę cię o to prosić. Gdy się oczyszczę, wrócę i krwią zapłacę jego dzieciom.

Spojrzała na mnie w zapadającym zmroku.

- Wrócisz? Skąd? - spytała.

- Z Aten - odparłem sam nie wierząc, iż wreszcie powiedziałem to na głos. - Ludzie powiadają, że tam na Cytadeli znajduje się świątynia Matki i miejsce kultu Apollona ze świętym źródłem. W ten sposób mogę zostać oczyszczony zarówno przez Bogów Niebios, jak i Podziemi. Poproszę króla, by tego dokonał.

Pociągnęła za złotą bransoletę w kształcie zwiniętego węża, którą miała na rękę.

- Teraz ci się Aten zachciewa! Nie dość zrobiłeś w Megarze? Chcesz mieć jeszcze przyjaciół wśród Erechteidów? Też mi wybór, by cię oczyścić! Lepiej weź swoją własną wodę.

Spodziewałem się gniewu, ale raczej z innego powodu. Zachowywała się tak, jakbym nie zabił jej brata, lecz ją zhańbił.

- Nie wiesz, że dziad Ajsusa złupił Eleusis, uśmiercił Króla przed czasem i gwałtem wziął Królową? Od tamtego czasu na Erechteidach ciąży kłątwa Matki. Jak myślisz, dlaczego Ajsus musiał zbudować świątynię Matki na Akropolu i posyłać tutaj po kapłankę? Dużo jeszcze wody upłynie, zanim kłątwa zostanie zdjęta. Oto jaki jest człowiek, od którego chcesz oczyszczenia! Poczekaj, niech tylko twoi Kompani dowiedzą się, dokąd ich chcesz zabrać.

- Suplikant nie idzie z wojskiem. Do Aten udam się sam.

Znów szarpnęła bransoletę. Wyglądała, jak rozdarta kobieta. „Z jednej strony jest zła, że jadę - pomyślałem - ale jednocześnie pragnie, bym zniknął z jej życia”.

- Nic mi nie wiadomo na temat Apollona. Kiedy wyruszasz?
- Jak tylko mój kurier wróci z wiadomościami. Może za dwa dni, a może jutro.

- Jutro! - wykrzyknęła. - Ledwie przybyłeś i zaraz znowu chcesz opuścić Eleusis?

- Im szybciej wyjadę, tym szybciej wrócę - powiedziałem.

Podeszła do okna, a potem wróciła do mnie. Wyczułem zapach jej włosów i przypomniałem sobie, jak to jest pożądać jej. Odwróciła się do mnie, jak kot pokazujący pazury.

- Odważny jesteś, Hellenie. Nie boisz się oddać w ręce Ajgeusza, gdy ten wie, jakim sąsiadem jesteś? Walczył o swój kawałek skały i tych parę pól wśród gór jak wilk o swoją kryjówkę. Nauczył się prowadzić wojnę ze swym własnym rodem. Zaufasz takiemu człowiekowi, którego nigdy na oczy nie widziałeś?

- Tak - odpowiedziałem. - Czemu miałbym mu nie zaufać? Proszący jest nietykalny.

Ostatni promień światła zgasł na ścianie. Wzgórza tonęły w mroku i tylko najwyższy szczyt był jeszcze oświetlony. Ptak schował głowę pod skrzydło. Jego pióra sprawiały wrażenie miękkich niczym wełna. Gdy spojrzałem w stronę, gdzie nad Atenami właśnie zapadał zmrok, jedna z Pałacowych służek weszła cicho do pokoju i posłała łóżko.

Byłem zszokowany tak niestosownym zachowaniem, ale nie do mnie należało karcenie jej. Odwróciłem się w stronę Królowej. Spojrzała na mnie, lecz nic nie mogłem wyczytać z jej twarzy.

- Możesz odejść - powiedziała do dziewczyny.

- Każ posłać mi łóżko we wschodnim pokoju - odezwałem się, gdy służąca wychodziła. - Będę tam spał, dopóki się nie oczyszczę.

Dziewczyna otworzyła oczy ze zdumienia, tak jakbym powiedział coś bardzo dziwnego, a potem zasłoniła usta dłonią i wybiegła z sypialni.

- To było głupie i bezczelne. Lepiej byś zrobiła, gdybyś ją sprzedała - odezwałem się.

Nigdy nie zrozumieć Ludzi Wybrzeża. Nie chciałem okryć Królowej hańbą. Rozmawiałem z nią grzecznie i byłem zaskoczony tym, jak bardzo obraziły ją moje słowa. Zaciśnęła pięści i wyszczerzyła zęby.

- Jedź! - krzyknęła. - Jedź do Ajgeusza Przeklętego! Swój ciągnie do swego!

Zaczęła się śmiać, ale ja myślami byłem już w Atenach.

- Jedź do niego, skoro chcesz mieć więcej, niż ci przeznaczone. A gdy nadejdzie czas rozrachunku, pamiętaj, że miałeś wybór.

- Niechaj Zeus mnie osądzi. On wie wszystko - powiedziałem i wyszedłem.

Następnego ranka poprosiłem o pióro i papier egipski. Rok albo dwa minęły od czasu, gdy ostatni raz coś pisałem, więc najpierw poćwiczyłem na wosku na wypadek, gdybym wyszedł z wprawy lub gdybym zapomniał niektóre litery. Nie to, żeby miałem zapisać jakieś tajemnice, ale chciałem, by pierwszy list do ojca był napisany moją własną ręką, a nie ręką jakiegoś skryby. Szybko przekonałem się, że nie wyszedłem z wprawy i nadal umiałem pisać tak ładnie, jak mnie nauczono. Podpisałem się nazwiskiem Kerkyona i zapieczętowałem list przy pomocy królewskiego pierścienia. Potem już tylko słuchałem oddalającego się stukotu kopyt konia mojego kuriera.

To tylko dwie godziny drogi, więc przez cały dzień czekałem jego powrotu. Chociaż nie prosiłem ojca o pośpiech, to młodość spowodowała, że umierałem z niecierpliwości i gubiłem się w domysłach, co mogło spowodować opóźnienie. Kurier wrócił dopiero następnego dnia po południu.

Na Niższym Tarasie znajdowało się czarne bazaltowe krzesło, które stało pomiędzy dwiema kolumnami obrośniętymi jaśminem. To tu otworzyłem list. Ojciec zapraszał mnie do Aten jako swego gościa. Był poruszony moimi zwycięstwami i zgodził się podjąć oczyszczenia mnie.

Po chwili kazałem przywołać kuriera. Wydaje mi się, że z początku nosiłem się z zamiarem spytania go, jakim człowiekiem jest król Aten, ale teraz wydało mi się to niestosowne, więc spytałem go tylko o wieści.

Opowiadał mi o różnych rzeczach, których już teraz nie pamiętam, a potem dodał:

- Wszyscy mówią, że kapłanka wkrótce zostanie królową.

Wyprostowałem się i spytałem:

- Jak to?

- Cóż, mój panie, klątwa mocno go dotknęła. Krewni chcą odebrać mu władzę, a żadna z żon nie dała mu syna. Kreteńczycy natomiast nie zrzekną się daniny, choćby nie wiem, jak prosił.

Spytałem, o jaką daninę chodzi.

- Czternastu tancerzy, którzy zatańczą dla byka. Kreteńczycy przybędą po nich w przyszłym roku. A zabierają tylko najlepszych. Kobiety ze świątyni mówią, że to znak dla niego.

Przerwał, jakby mu coś w gardle utknęło.

- Kapłanka pochodzi z Eleusis?

- Służyła w tutejszej świątyni, ale przybyła z północy, z okolic Hellespontu. Ludzie mówią, że ona widzi wszystko i że potrafi wywołać wiatr. Prości ludzie z Aten nazywają ją Przebiegłą albo Wiedźmą Scytyjską. Dawno temu, gdy na królestwo spadły nieszczęścia, król spał z nią w obliczu Bogini ze względu na znak, jaki otrzymała. Mówi się, że następną rzeczą, jaką musi uczynić, to wyniesienie jej na tron i przywrócenie dawnych obyczajów.

Zrozumiałem, dlaczego patrzył na mnie podejrzliwie.

- Ale wiesz przecież, panie, że Ateńczycy to plotkarze - dodał szybko. - Zwłaszcza że urodziła mu dwóch synów, a on nie ma prawowitego następcy.

Wstałem z bazaltowego krzesła i powiedziałem:

- Możesz odejść.

Uciekł czym prędzej, a ja spacerując w tę i z powrotem po tarasie zalany żółtym jesiennym słońcem, widziałem, jak ludzie, którzy przyszli ze mną porozmawiać, odchodzą w milczeniu. Wkrótce jednak uspokoilem się nieco. „Za szybko odesłałem tego człowieka” - pomyślałem. „Powinienem być go raczej wynagrodzić. Takie ostrzeżenie jest cenną rzeczą. A co się tyczy mojego ojca, to czy mam prawo się na niego gniewać? Przez te osiemnaście lat nie

wziął sobie żadnej kobiety za żonę ze względu na moją matkę i na mnie. Powiniennem był dotrzeć tu wcześniej, ale nie mogłem podnieść tego kamienia".

Słońce nadal było wysoko, a cienie krótkie. „Mężczyzna, który lekceważy ostrzeżenie, nie jest go wart” - pomyślałem. „Po co czekać do jutra? Pojadę jeszcze dziś.”

Wróciłem do Pałacu i kazałem kobietom ubrać mnie. Czerwony skórzany kubrak wykonany przez Hellenów, który przywiozłem z Trojzeny, był prawie nowy. Przypasałem miecz Erechteidów, a na ramiona zarzuciłem niebieski płaszcz, by go ukryć, dopóki nie nadejdzie właściwy moment.

Wybrałem dwóch służących, którzy mieli wybrać się ze mną w drogę, gdyż uznałem, że proszący nie będzie mile widziany w towarzystwie Straży. Poza tym chciałem wyraźnie dać do zrozumienia, że przybywam w pokoju. Ci dwaj mieli być moimi jedynymi kompanami, ale w momencie, gdy wychodziłem, Filona ze łzami w oczach złapała mnie za płaszcz i powiedziała, że krążą pogłoski, iż Królowa każe ją zabić, gdy tylko odjadę. Ucałowałem ją i starałem uspokoić, mówiąc, że Pałacowe plotki są wszędzie takie same. Ona jednak spojrzała na mnie w taki sposób, w jaki zaszczuty zając patrzy na zbliżającego się doń drapieżcę. Pomyślałem wtedy, że nie ufam Królowej i choć nie było to dla mnie wygodne, kazałem jednemu ze służących wziąć ją na swego muła.

Gdy przyprowadzono mi konia, posłałem Królowej wiadomość, że jestem gotów do odjazdu. Odpowiedziała mi przez służącą, że jest chora i nie może z nikim rozmawiać. Widziałem wprawdzie, jak spaceruje po tarasie, ale przynajmniej zrobiłem wszystko zgodnie ze zwyczajem.

Dosiadłem wierzchowca, a moi chłopcy wiwatowali, ale nie tak jak poprzednio. Teraz byłem przecież Dowódcą Wojska i nie należałem już tylko do nich. W innej sytuacji na pewno zasmuciliby mnie to, ale wtedy pozdrowiłem ich radośnie i wkrótce zapomniałem o nich, gdyż włosy rozwiewał mi delikatny wietrzyk wiejący od strony attyckich wzgórz.

Droga prowadziła najpierw wzdłuż brzegu, a potem skręciła w głąb łądu. Jesienna trawa była sucha i blada, a ciemne oleandry pokryte kurzem. Przy wieży granicznej musiałem powiedzieć Ateńczykom, kim jestem, gdyż nie spodziewali się mnie przed rankiem. Myślałem, że przez swoją niecierpliwość zostanę potraktowany jak dzieciak, ale strażnicy byli bardzo uprzejmi. Gdy ich minąłem, jeden z ich kurierów wyprzedził mnie i pognął do miasta.

Nagle za zakrętem drogi, pomiędzy zielonymi wzgórzami zobaczyłem potężną płaską skałę, przypominającą platformę wzniesioną przez Tytanów, z której mogliby atakować bogów. Na jej szczycie stał pałac królewski świecący jasnym blaskiem w promieniach zachodzącego słońca. Jego kolumny były rude, a różowawe ściany upstrzone białymi i niebieskimi kwadratami. Budowla stała tak wysoko, że strażnicy wyglądali niczym figurki odlane ze złota, a ich włócznie jak struny liry. Wstrzymałem oddech. Czegoś takiego się nie spodziewałem.

Droga, która znajdowała się przede mną, wiodła wprost pod mury miejskie i bramę. Jej dach obsadzony był przez łuczników i oszczepników, a na blankach niczym fryz wisiały tarcze z byczej skóry. Tu już nikt nie pytał o to, kim jestem. Potężna sztaba drgnęła i brama dla konnych stanęła otworem. Po drugiej stronie zobaczyłem salutujących strażników, rynek oraz małe domki wciśnięte pod skałę lub stojące na zboczach wzgórza. Kapitan Straży wysłał dwóch ludzi, by wskazali mi drogę do Pałacu.

Wszędzie dookoła znajdowały się strome klify, z wyjątkiem strony zachodniej, gdzie droga zawracała i prowadziła w górę po stromym stoku. Po obu jej stronach znajdował się mur osłaniający ją w razie, gdyby trzeba było się bronić. Wprawdzie w drodze wycięte były stopnie, ale ponieważ wkrótce zrobiła się bardzo stroma, towarzyszący mi ludzie poprowadzili mojego konia. Na szczycie ściany znajdowała się strażnica. Stojący tam wartownicy przytknęli drzewce włóczni do brwi i przepuścili mnie. Daleko w dole widziałem ulice i mury oraz dolinę attycką ciągnącą się aż do morza i wzgórz, których szczyty, zabarwione wieczornym światłem na fioletowo, przypominały purpurowo-złotą koronę. Przede mną wznosiła

się górna brama Cytadeli. Na jej belce widniały niebiesko-szkarłatne pasy i królewski znak - wąż owinięty wokół drzewka oliwnego. Wieczne słońce było jasne i czyste niczym żółty kryształ.

To miejsce mnie onieśmielało. Słyszałem wprawdzie różne opowieści na jego temat, ale wyobrażałem je sobie raczej jako zwykłe wzgórze, na jakim inni królowie stawiali swe pałace. Nawet mi się nie śniło, że mój ojciec może być panem takiej twierdzy. Teraz dopiero zrozumiałem, w jaki sposób udało mu się tak długo nie ulec wrogom. Tutaj można było się bronić przed atakami wszystkich armii świata. Teraz też pojąłem to, co słyszałem w opowieściach: powiadano, że od kiedy Król Zeus stworzył ludzi, nie było ani jednego roku, by na Akropolu w Atenach nie mieszkał król, oraz że jeszcze zanim pojawili się ludzie, miejsce to było fortecą zbudowaną przez zrodzonych z ziemi gigantów o czterech rękach, na których umieli się poruszać. Wyraźnie widać tu potężne skały, które ułożyli w niepamiętnych czasach.

Przejechałem przez wewnętrzną bramę Cytadeli. Teraz spacerujący tam wartownicy nie wyglądali już jak zabawki. Przed sobą zobaczyłem Pałac z tarasem wychodzącym na północ. Jeśli mój ojciec stał na nim, mógłby mnie dostrzec. Zacząłem oddychać szybko, tak jakbym wbiegł na szczyt stromej góry. Wyszuszone wargi zwilżyłem językiem.

Mijałem domy ludzi pracujących w Pałacu, oraz sosny i cyprysy mające osłaniać od wiatru i zapewniać cień w upalne dni. Przed królewską kolumną stał szambelan trzymając w rękach kubek z winem na powitanie. Po długiej drodze i wspinaczce wino wydawało mi się chłodniejsze i smaczniejsze niż jakiegokolwiek inne, które piłem. Gdy opróżniłem naczynie, pomyślałem sobie, że wreszcie moja podróż dobiegła końca, gdyż od tego momentu stałem się gościem mego ojca.

Konia odprowadzono do stajni, a mnie poprowadzono przez dziedziniec w stronę pokojów gościnnych. Kobiety zawczasu przygotowały kąpiel i w komnacie unosił się teraz miły zapach. Gdy czyściły moją odzież, ja leżałem w wodzie i rozglądałem się z ciekawością dookoła. Kiedy patrzyło się z zewnątrz, Cytadela sprawiała

niesamowite wrażenie. W środku jednak widać było, że jest to surowa budowla przystosowana do wojny. Wszystko było bardzo dobrej jakości. Malowidła na ścianach były odświeżone, sprzęty do kąpieli wypolerowane, a zapachy doskonale dobrane. Służek jednak nie było zbyt wiele. Poza tym były to kobiety proste i nie pierwszej już młodości. Na meblach z kolei widać było ślady po wydlubanym złocie. Pomyślałem sobie, że ojciec zbyt długo sam zmagał się ze wszystkim. Odtąd nie będzie mu brakować niczego.

Po kąpieli wysuszono mnie, natarto wonnymi olejkami i uczesano. Przy drzwiach już czekał arystokrata, by zaprowadzić mnie do Sali Tronowej. Szedłem pomiędzy kolumnami, po podłodze wykładanej kafelkami, na których widniały wzory w kształcie psich zębów i fal. Po lewej stronie znajdowały się kolumny z rzeźbionego cedru, a po prawej fryz, na którym przedstawiono gryfy polujące na jelenia. Gdy przechodziłem, służący szeptali między sobą i podglądali przez szpary w drzwiach. Buty głośno stukwały o posadzkę, a dźwięk rękojeści miecza objadającej się o zatrzaski pasa wydawał się ogłuszający. Teraz moich uszu doszedł gwar z Sali: rozmowy, brzęk kubków i talerzy, dźwięk przesuwanych krzeseł i ław. Ktoś stroił lirę, a inny wrzeszczał na niewolnika.

W drugim końcu Sali, pomiędzy dwiema kolumnami, znajdowało się podwyższenie, na którym siedział król. Właśnie wniesiono dla niego stół i ustawiano przy jego krześle. Jedyne, co mogłem dostrzec z miejsca, w którym stałem, to to, że miał ciemne włosy. Tego akurat się spodziewałem, gdyż pamiętałem, że matka wzięła go za Posejdona. Zbliżając się, dostrzegłem również, że brązowe włosy poprządkane były siwizną i faktycznie widać było, iż jest to człowiek, na którym troski odcisnęły swoje piętno. Skóra wokół oczu była ciemna i pomarszczona, a bruzdy w okolicach ust tak głębokie, że wyglądały jak blizny powstałe po cięciu miecza. Podbródek miał zarosnięty, a na ustach odmalowywało się znużenie. Tego się zresztą spodziewałem, więc nie byłem zaskoczony tym widokiem. Sądziłem również, że zobaczę siebie w jego twarzy, ale jego była bardziej

pociągła, a oczy nie niebieskie, lecz brązowe, głębiej osadzone i nie rozstawione tak szeroko jak moje. Jego nos był lekko zakrzywiony, podczas gdy mój całkiem prosty. Moje włosy spływały ze skroni do tyłu, a jego wisiały po bokach, sprawiając, że czoło zdawało się wązsze. Bez względu na to jednak, w którym miejscu sali by siedział, i tak od razu wiadomo było, że to on jest królem. Nijak jednak nie mogłem w nim dostrzec mężczyzny, który wpływ przepłynął wzburzone morze do Mirtowego Domu. Ale to był on. Wiedziałem, że musi wydawać mi się obcy.

Ruszyłem do przodu, patrząc tylko na niego, odprowadzany spojrzzeniami obecnych. Po jego prawej stronie znajdowało się puste krzesło, ozdobione dwoma jastrzębiami, a po jego lewej siedziała kobieta. Gdy zbliżyłem się, wstał, by mnie powitać i podszedł do mnie. Ucieszyłem się, gdyż nie byłem pewien, czy przyjmie mnie jak króla. Był ode mnie nieco wyższy, o jakieś dwa palce.

Powiedział mi, co nakazuje zwyczaj przy takiej okazji i zaprosił mnie do stołu, bym się pożywił, zanim zaczniemy rozmawiać. Wyraziłem swą wdzięczność i uśmiechnąłem się. Odwzajemnił mój uśmiech, ale zrobił to sztywno, tak jakby wyszedł z wprawy.

Usiadłem. Przyniesiono dla mnie stół, a król nakazał służącemu podać mi najlepsze kawałki mięsa. Na desce, którą przede mną położono, znajdowało się tak dużo potraw, że z ledwością byłem w stanie je zjeść, choć byłem strasznie głodny. Mój ojciec natomiast ledwie skubnął odrobinę, a i tak większość z tego rzucał białemu ogarowi, leżącemu obok jego krzesła. W drodze przemknęła mi przez głowę myśl, by powiedzieć, kim jestem, w Sali Tronowej, przy wszystkich, ale teraz, widząc jego powagę i czując, że nadal jest mi obcy, zaniechałem tego. Poza tym sam chciałem go najpierw poznać.

Gdy jedliśmy, kątem oka dostrzegłem, że kobieta, siedząca po jego drugiej stronie, obserwuje mnie. Zanim usiadłem, skłoniłem się jej i przy okazji przyjrzałem jej twarzy. Nie pochodziła ani z rodu Hellenów, ani Ludzi Wybrzeża. Twarz miała szeroką, nos lekko spłaszczony, a oczy wąskie i skośne. Usta były delikatne, wygięte w

tajemniczy uśmiech. Na głowie miała diadem ze złotych liści i kwiatów. W jej czarne, mocne włosy wplecione były złote kwiaty i pączki na łańcuszkach.

Szambelan z winem ponownie przeszedł dookoła sali. Ja jeszcze nie wypilem, ale król opróżnił już swój kubek i dał znać, że chce, by go ponownie napełniono. Wtedy miałem okazję przyjrzeć się jego dłoniom i dostrzegłem, że ich kształt, palce, układ kciuków, a nawet paznokcie były takie same u mnie i u niego. Wstrzymałem oddech i przyglądałem się. Obawiałem się, że zauważy to i zdziwi się, ale na szczęście kobieta coś do niego mówiła, więc nie zwrócił na to uwagi.

Opróżniłem talerz i gdy dałem znać, że jestem najedzony i więcej nie chcę, powiedział:

- Mój gościu, wyglądasz mi na Hellenę. I mam wrażenie, że zanim przybyłeś do Pałacu w Eleusis, miałeś królewski dom, w którym nie byłeś obcy.

- To prawda, panie - odpowiedziałem, uśmiechając się. - Nie ma drugiego człowieka na tym świecie, któremu z większą radością obwieściłbym, jaka krew płynie w moich żyłach. Wybacz mi jednak, iż nie uczynię tego teraz. Pozwól, iż później wyjawię ci przyczynę. Proszę mą już znasz. Z człowiekiem, którego zabiłem, walczyłem uczciwie, choć on próbował uśmiercić mnie podstępnie.

- Nie chciałem, byś myślał, że jestem człowiekiem, który knuje ciemne sprawy - dodałem i opowiedziałem mu, jak to było.

Spojrzał na kubek, który trzymał i powiedział:

- Najpierw musisz złożyć ofiary Córom Nocy. To jest szlachetna Medea, która spełni ofiarę.

Kobieta spojrzała na mnie swymi skośnymi oczami.

- Zawsze należy ułagodzić Matkę, która bierze do siebie poległych - odezwał się. - Ale ja jestem Hellenem, tak jak ty, panie, więc najpierw powinienem udać się do Apollona, Pogromcy Ciemności.

Widziałem, że spojrzała na niego, ale on tego nie zauważył.

- Będzie, jak zechcesz. Noc jest chłodna, chodźmy na górę, by wypić wino przy kominku. Tam będzie nam wygodniej.

Do jego komnaty leżącej nad północnym tarasem dotarliśmy po schodach znajdujących się za podwyższeniem. Biały pies poszedł za nami. Noc prawie zapadła i na niebie pojawił się jesienny księżyc. Miasta leżącego na dole nie dało się już dostrzec, tylko góry były jeszcze widoczne. Na okrągłym palenisku płonęło aromatyczne drewno. Przed nim stały dwa krzesła. Na rzeźbionym cokole znajdowała się zielona malachitowa lampa, a na ścianach wymalowana była scena polowania na jelenia. Cedrowe łożo przykryte było czerwona kapą.

Usiedliśmy, a służący przyniósł stojak na wino, ale bez napoju. Król pochylił się i wyciągnął drżące ręce w kierunku ognia. „Dość już wypił w Sali, lepiej niech odczeka trochę, zanim wychyli kolejny kubek” - pomyślałem.

Teraz nadeszła moja kolej, ale poczułem, że język mam jak z drewna. Nie miałem pojęcia, od czego zacząć. „Powie coś, co mi wszystko ułatwi” - pomyślałem i na razie ograniczyłem się do chwaleń Cytadeli i jej potęgi. Powiedział, że jeszcze nikt nigdy jej nie zdobył.

- I nikt nigdy jej nie zdobędzie, póki bronią jej ludzie, którzy o tym wiedzą - odpowiedziałem, gdyż widziałem parę miejsc, w których oddziały przyzwyczajone do walki w górach potrafiłyby się wspiąć na ściany.

Spojrzał na mnie szybko i pomyślałem sobie, że jestem źle wychowany, skoro przypatrywałem się fortecy tak dokładnie, będąc jego gościem. Kiedy więc zaczął mówić o wojnie w Przesmyku, zadowolony byłem, że zmienił temat. Nie omieszkałem przy tej okazji opowiedzieć o swoich zwycięstwach, ale każdy młody mężczyzna na moim miejscu postąpiłby tak samo. Chciałem po prostu, by ojciec nie musiał się mnie wstydzić.

- A teraz jesteś królem w Eleusis - powiedział. - I to wszystko w ciągu zaledwie kilku miesięcy.

- Jednak nie po to przeszedłem Przesmyk. Był to tylko przypadek, który mi się trafił w mojej wędrówce. O ile coś takiego można nazwać przypadkiem.

Spojrzał na mnie badawczo spod swoich ciemnych brwi.

- Więc Eleusis nie jest twoją mojrą? - spytał. - Spodziewasz się czegoś więcej?

Uśmiechnąłem się.

- Tak.

Pomyślałem, że teraz zacznę opowiadać, ale Król wstał z krzesła i podszedł do okna. Pies również podniósł się i poczłapał za nim. Nie chciałem siedzieć, gdy on stał, więc także opuściłem swoje miejsce i wyszedłem na pogrążony w ciemności taras. Światło księżycza oblewało okolicę, a skała rzucała potężny cień na blade pola poniżej.

- Pola są puste - odezwałem się. - Chciałbym je zobaczyć wiosną i zimą w śniegu. Ależ tu jest czyste powietrze! Można nawet dostrzec ducha starego księżycza. Czy w Atenach powietrze zawsze jest tak czyste?

- Tak, zawsze tu tak jest - odparł.

- Gdy się tu wjeżdża ma się wrażenie, że skały promieniują jasnym światłem. Harfiści nazywają to miejsce potężnym domem Erechteusza, ale moim zdaniem zasługuje ono na miano Twierdzy Bogów.

Odwrócił się i wszedł do środka. Stał zwrócony plecami do lampy, tak że jej światło oślepiało mnie.

- Ile masz lat? - spytał.

- Dziewiętnaście - odpowiedziałem, przyzwyczajony do tego kłamstwa tak, że samo mi się wymknęło. Potem jednak zdałem sobie sprawę z kim rozmawiam i zacząłem się śmiać.

- Co się stało? - spytał zmęczonym, starym głosem.

- Mam powód... - zacząłem, ale zanim mogłem kontynuować weszła Medea ze służącym, który niósł tacę z dwoma inkrustowanymi kubkami wypełnionymi winem. Było to grzane, przyprawione wino, zapach którego rozchodził się po całej komnacie.

Weszła ostrożnie ze spuszczonej oczami i stanęła obok niego.

- Za chwilę wypijemy - powiedział. - Postaw na stole.

Służący odstawił tacę, ale Medea podała mu kubek mówiąc:

- Jak wystygnie, nie będzie takie dobre.

Wziął wino z jej rąk, a ona podała mi drugi kubek. Mój miał ozdobiane uchwyty, na których siedziały rzeźbione gołębie i wytłaczane pumy czające się wśród długich liści.

Wino pachniało wybornie, ale moje wychowanie nie pozwoliło mi go skosztować, dopóki król mnie nie zachęcił. Ojciec stał, trzymając kubek za uchwyty w kształcie węży. Medea czekała w milczeniu. Nagle władca odwrócił się w jej stronę i spytał:

- Gdzie jest list, który przysłał mi Kerkyon?

Spojrzała na niego zdziwiona, podeszła do kufra z kości słoniowej, umieszczonego na stojaku i wyjęła z niego list.

- Powiesz mi, co jest w nim napisane? - spytał mnie.

Odstawiłem kubek i wziąłem pismo od Medei. W jego oczach dostrzegłem zainteresowanie. Nie miałem pojęcia, że jego wzrok jest aż tak słaby. Przeczytałem mu list.

- Dziękuję - powiedział. - Większość zrozumiałem, ale kilku rzeczy nie byłem pewien.

Spojrzałem na list z zakłopotaniem.

- Wydawało mi się, że napisałem go zrozumiale.

- Owszem, zrozumiale - odparł umęczonym głosem człowieka, myśli którego krążą gdzieś daleko. - Twój skryba zna grekę, ale robi błędy jak barbarzyńca.

Upuściłem list, jakby mnie pogryzł. Poczułem, że robi mi się gorąco, więc odrzuciłem płaszcz. Nie chciałem tam stać jak głupiec, więc nie myśląc, podniosłem kubek, by wypić wino.

Gdy tylko dotknąłem go ustami, poczułem, że ktoś wyrwał mi go z ręki. Gorący trunek ochlapał mi twarz i ubranie. Złoty kubek spadł, odbijając się z brzękiem od podłogi, a wino i ciemne fusy rozlały się po posadzce.

Patrzyłem osłupiały na Króla i ocierałem twarz. Wyglądał jak ktoś, kto zobaczył śmierć. Nawet umierający człowiek nie mógłby być bledszy. Ten widok przywrócił mi rozum, wtedy też dostrzegłem miecz, który wisiał u mego boku. „Powiniennem był mu powiedzieć” - pomyślałem. „Ależ ze mnie głupiec! To musiał być okropny wstrząs dla niego”.

- Usiądź, panie - powiedziałem, wzięwszy go pod ramię. - Przykro mi. Jeszcze chwila, a wszystko bym ci wyznał.

Poprowadziłem go w stronę krzesła, ale on tylko chwycił jego oparcie i stał bez tchu. Gdy nachyliłem się w jego stronę, zastanawiając się, co jeszcze mu powiedzieć, do komnaty wszedł pies i zaczął zlizywać wino z podłogi. Król rzucił się w stronę zwierzęcia i odciągnął je za obrozę. Usłyszałem szelest i brzęk kobiecych ozdób. To kapłanka Medea, o której całkowicie zapomniałem, kręciła głową, patrząc na mego ojca. Naraz wszystko stało się dla mnie jasne.

Cykuta nie jest tak zabójcza, ani piołun tak gorzki, jak ciężar tej wiedzy na moim sercu. Tkwiłem tam jak skamieniały, gdy kobieta prowadziła psa do drzwi i wymknęła się z nim. Pozwoliłem jej odejść bez mrugnięcia okiem. Król wsparł się na oparciu krzesła, jakby tylko ono mogło uchronić go przed upadkiem. W końcu doszedł mnie jego zachrypnięty, dudniący głos:

- Powiedziałeś dziewiętnaście. Mówiłeś, że masz dziewiętnaście lat.

To mnie otrzeźwiło. Podniosłem kubek z podłogi, powąchałem fusy i postawiłem go przed nim.

- Nieważne - odezwałem się. - Czyż to, że jestem twoim gościem, nic nie znaczy? A reszta nas już nie dotyczy.

Obszedł ostrożnie krzesło dokoła i usiadł skrywszy twarz w dłoniach. Odpiąłem pas i położyłem go obok kubka.

- Zatrzymaj go, panie, skoro jest twój i może ci się przydać. Nie należy do mnie. Znalazłem go pod jakimś kamieniem.

Widziałem, jak wbił paznokcie w skórę na czole. Zaciskał zęby, jakby było coś, co cisnęło mu się na usta, a on nie chciał tego powiedzieć. Wydał z siebie jedynie dźwięk, jaki wydaje człowiek, któremu z rany wydarto włócznię. Płakał jak dziecko, a ja stałem nieruchomo, pragnąc zapaść się pod ziemię.

Dopiero wtedy poczułem, że jest moim ojcem, i dopiero wtedy poczułem wstyd, widząc go w takim stanie. Wstydzilem się, jakbym to ja zrobił coś złego. Na podłodze pełno było śladów po rozlanym

winie, a w powietrzu unosił się słodko-kwaśny zapach fusów. Nagle kątem oka dostrzegłem ruch. To służący stał po drugiej stronie pokoju i patrzył. Gdy spojrzałem na niego, zachowywał się tak, jakby starał się wtopić w tło.

- Król zezwala ci odejść - powiedziałem do niego, a on wymknął się czym prędzej.

Drwa osunęły się. Drażniło mnie ciepło bijące od ognia, moja własna głupota i to, że Król rwał swoje szare włosy. Odwróciłem się i wyszedłem na taras. Wokoło panował spokój i tylko księżyc rozświetlał niebo. W tle majaczyły góry, a gdzieś z oddali słychać było głos barda śpiewającego jakąś pieśń i grającego na lirze. Cytadela stała pomiędzy ziemią a niebem i zdawała się lśnić jakimś tajemniczym blaskiem. Poniżej, skały spiętrzone przez Tytanów schodziły na sam dół.

Oparłem ręce o balustradę, spojrzałem wzdłuż ścian będących częścią potężnych skał i wtedy poczułem, jakby to wszystko wpłynęło we mnie jak szumiąca fala przyływu i rozlało się w moim sercu jak spokojna toń. „To jest moja mojra” - pomyślałem, a dusza wyrwała się, by ją pochwyć.

Naraz wszystko wydawało się równie nietrwale i krótkie, jak chmura kurzu lub letni deszcz. „Skąd ta złość we mnie? To miasto zna tysiące królów. Któż zliczy, ilu nienawdziło swoich ojców bądź synów? Ilu kochało niewłaściwą kobietę lub oplakiwało kogoś? Wszystko to jednak zabierali ze sobą do grobu i jedyna rzecz, która po nich zostawała, to fakt, że byli królami Aten, że tworzyli prawa, poszerzali granice swego królestwa lub wzmacniali jego mury. O, miasto purpurowego diademu, lśniące własnym blaskiem! To twój duch mnie tu sprowadził, a ja, głupiec, myślałem, że idę tu z własnej woli. Poczuj więc mój dotyk i kroki. Przyjmij mnie. Przyjdę, gdy wezwą mnie Twoi bogowie, i odejdę, gdy sobie tego zażyczą. Przybyłem do ciebie jako dziecko, twierdzo Erechteusza, a ty uczyn mnie królem”.

Po chwili ogarnął mnie inny rodzaj ciszy, choć śpiew nadal dochodził z oddali. To ojciec przestał płakać. Oczami wyobraźni widziałem go stojącego tu, gdzie teraz ja stałem, patrzącego na obleganą

Cytadelę albo na wypłowiele pola w czasie suszy, albo gdy doszły go wieści o nowym królu, dla którego Eleusis było za małe. Mogłem tu stać tylko dlatego, że dobrze jej strzegł. Rozmyślałem o jego zmaganiach, nigdy nie kończącym się czuwaniu i nadziei, która wraz z upływem lat zamieniła się w truciznę. Gniew opuścił mnie i zrozumiawszy jego smutek, zacząłem mu współczuć.

Wszedłem z powrotem do komnaty. Siedział na krześle z łokciami opartymi na stole i twarzą wspartą o dłonie. Siedział tam i tępo patrzył na leżący przed nim miecz. Uklęknąłem przed nim.

- Ojcie.

Przetarł oczy, tak jakby nie był pewien, czy dobrze widzi i słyszy.

- Ojcie - powtórzyłem. - To prawda, że przeznaczenie nigdy nie spełnia się w takiej formie, w jakiej byśmy się tego spodziewali. Bogowie zdecydowali, by przypomnieć nam, że jesteśmy śmiertelni. Porzućmy smutek i zacznijmy od nowa.

Wytrzeł oczy i dłuższy czas przypatrywał mi się w milczeniu.

- Któż to wie, co bogowie zrobili i po co? - odezwał się w końcu. - Masz w sobie coś, czego ja nigdy nie miałem.

Odgarnął włosy z twarzy, pochylił się do przodu, a potem cofnął. Wyczułem, że po tym, co się stało, to ja pierwszy powinienem go objąć. Uścisnąłem go więc, choć wstydzilem się i obawiałem, że znów zacznie płakać. Opanował się jednak i chyba oboje poczuliśmy, że następnym razem będzie łatwiej. Potem podszedł do drzwi, klasnął w dłonie i rozkazał człowiekowi, który się pojawił:

- Weź czterech strażników i każ przyprowadzić Medeę, czy tego chce, czy nie.

- Nie znajdują jej już - powiedziałem, gdy mężczyzna wyszedł.

- Brama na noc jest zamknięta - odpowiedział. - Tylne drzwi zresztą też, więc na pewno tu jest, chyba że umie latać.

- Jak masz na imię? - spytał nagle.

W pierwszej chwili zdziwiłem się, ale potem prawie uśmiechnęliśmy się do siebie. Gdy mu powiedziałem, odezwał się:

- Takie imię wybraliśmy dla ciebie z twoją matką. Dlaczego tak nie podpisałeś listu?

Opowiedziałem o obietnicy złożonej matce, a on zapytał mnie o dziadka i o nią samą, ale słuchał mnie jednym uchem. Cały czas bowiem oczekiwał przybycia straży. Wkrótce usłyszeliśmy ich kroki. Przerwał mi i siedział przez chwilę, milcząc i namyślając się.

- Nie dziw się niczemu, co powiem, tylko zgadzaj się ze mną - powiedział w końcu.

Gdy wprowadzili Medeę, stanęła przed nim, jak kobieta, która nie wie, co jej zarzucają. Jej oczy były jednak nieufne.

- Medeo - odezwał się mój ojciec. - Otrzymałem znak z nieba, który nakazuje mi zawrzeć przyjaźń z królem Eleusis. Jego wrogowie są moimi wrogami. Rozumiesz?

Uniosła brwi.

- Ty jesteś królem. Niechaj tak się stanie, skoro już zadecydowałeś. Ściągnąłeś mnie do siebie jak pospolitego złodzieja tylko po to, by mi to obwieścić?

- Nie - odpowiedział. - Król, mój przyjaciel, zanim przybył do Eleusis, popłynął na północ, aż za Hellespont. Był w Kolchidzie, tam, gdzie się urodziłaś. Mówi, że ciąży na tobie piętno rozlanej krwi, że zabiłaś własnego brata. Co masz na ten temat do powiedzenia?

Tym razem jej zdziwienie było szczere. Zwróciła się w moją stronę ze złością, a ja zaczynałem rozumieć, do czego zmierza mój ojciec.

- Wszyscy to wiedzą. Uciekłaś na południe, by uniknąć zemsty.

- Cóż za brednie! - wykrzyknęła.

Obserwowałem jej oczy, odzwierciedlały zakłopotanie. Z pewnością nie było to spojrzenie niewinnej osoby. Musiała się więc dopuścić jakiejś zbrodni.

- Wszystko mi powiedział - ponownie odezwał się mój ojciec. - I przysiągł, że to prawda.

- A więc łże! - wrzasnęła. - Nigdy nie opuścił Wyspy Pelopsa, aż do wiosny tego roku.

Ojciec spojrzął jej w oczy i spytał:

- A skąd ty to możesz wiedzieć?

Jej twarz zastygła w bezruchu.

- Jesteś mądrą kobietą, Medeo - ciągnął mój ojciec. - Wybrano ci właściwe imię. Umiesz czytać z kamieni, wody i dłoni. Znasz się na gwiazdach i potrafisz wywołać dym, który sprowadza prorocze sny. Może wiesz, kto jest jego ojcem?

- Tego nie widziałam. Zakryła to mgła - odpowiedziała, ale w jej głosie nie było już pewności siebie, lecz strach.

Zauważyłem, że mój ojciec był mądrym sędzią i że będę się musiał od niego jeszcze wiele nauczyć.

- Nie byłem pewien. Mogła to uczynić, źle odczytawszy znaki - powiedział mi, po czym zwrócił się do kapitana straży:

- Gdzie ją znalazłeś?

- Na południowej ścianie. Wzięła ze sobą obu synów i chciała ich zmusić, by zeszedli na dół, ale góra jest stroma, więc bali się.

- Teraz jestem usatysfakcjonowany, Tezeuszu. Oddaję ją w twoje ręce. Czyń z nią, co uznasz za stosowne.

- Jaką karę śmierci stosuje się w Atenach - spytałem po chwili zastanowienia, doszedłem bowiem do wniosku, że żywa może tylko wyrządzić wiele szkody.

Nagle Medea wywinęła się przestraszonym strażnikom jak wąż i zbliżyła się do króla. Na ich twarzach mimo woli odmalowała się bliskość ludzi, którzy dzielili łożę.

- Jesteś pewien, że dobrze robisz? - spytała cicho.

- Tak - odpowiedział krótko.

- Pomyśl, Ajgeuszu. Przez pięćdziesiąt lat żyłeś z ciężącą na tobie kłębą. Czy na pewno dokonałeś właściwego wyboru?

- Bogowie pomogli mi wybrać.

Chciała coś jeszcze powiedzieć, ale ojciec krzyknął:

- Zabrać ją!

Strażnicy otoczyli ją, lecz ona odwróciła się w stronę najbardziej przerażonego i splunęła mu na rękę. Włócznia wypadła mu z hukiem

na podłogę, a on stał śmiertelnie blady i drugą ręką ścisnął nadgarstek. Gdy pozostali przesunęli się, by ją otoczyć, starając się jej nie dotykać, krzyknęła:

- Zawsze byłeś skąpy, Ajgeuszu! Jak myślisz, jaki układ ze mną zawarłeś? Sądziłeś, że ceną za wyzwolenie się od klątwy ma być śmierć jakiegoś zwykłego włóczęgi? Chciałeś złota za końskie łajno?

Ojciec spojrział na mnie tak, jakby go ktoś do tego zmusił. Teraz zrozumiałem, czego tak bardzo nie chciał powiedzieć. Poczułem ściskanie w dołku. Byłem wstrząśnięty. Oczami wyobraźni widziałem śnieżnobiałego ptaka, który gwizdał o poranku, pomalowane ściany i zacząłem zastanawiać się, kiedy po raz pierwszy Królowa zaczęła planować moją śmierć.

Widząc, że ojciec chce wydać kolejny rozkaz, powiedziałem:

- Jeszcze chwilę.

Potem zapadła cisza. Słychać było tylko szcęknięcie zębów strażnika, który upuścił włócznię.

- Medeo - spytałem. - Czy Królowa Eleusis również wiedziała, czym jestem synem?

Błądziła wzrokiem po mojej twarzy, jakby chciała odgadnąć, jakiej oczekuję odpowiedzi, ale przez ostatnią godzinę dorosłem i zachowałem swoje myśli dla siebie.

- Na początku chciała cię tylko zabić tak, jak zabija się psa, który kąsa - jej głos był pełen jadu. - Kiedy jednak jej bratu się nie udało, wysłała mi coś twojego, a ja zajrzałam do misy.

- Twoja żona ostrzegła mnie, że przysięgałeś zasiąść na tronie Aten. Zamierzałem ci powiedzieć, ale jeszcze nie teraz. Jesteś młody i być może kochałeś ją - wtrącił się mój ojciec. -

Nie odpowiedziałem, gdyż potrzebowałem chwili na zastanowienie.

- Oczyszciliby mnie z winy spoczywającej na moim dziadku - ciągnął - czyniąc mnie mordercą własnego syna. Wrażliwej pani służysz, kobieto.

- To już nieważne, panie. Dobrze się stało, teraz wszystko jest dla mnie znacznie prostsze.

Medea obiegła mnie wkoło. Jej skośne oczy zwięzły się i błyszczały, a usta otwierały i zamykały. Cofnąłem się przed nią o krok, zauważyłem bowiem, że prawdą było to, co o niej mówili: była po-
tężna.

- O tak! - powiedziała. - Wszystko jest teraz prostsze, helleński złodzieju. Idź za swym długim cieniem, który rzucasz przed sobą, a twój ojciec go wkrótce poczuje. Dziesięć lat odciął z nici swego życia, gdy wyrwał ci z rąk kubek z winem.

Za nią stali strażnicy z otwartymi ustami i wybałuszonymi oczami. Ojciec zbladł, ale nie zapomniał spojrzeć na nich, by zobaczyć, jak przyjmą tę wiadomość. Medea przygwoździła mnie wzrokiem, kiwając się lekko, niczym wąż próbujący zahipnotyzować swą ofiarę. Strażnicy stanęli tuż za nią, ale ja byłem sam.

- Tezeusszu - powiedziała, sycząc, tak jakby miała rozwidlony język. - Tezeusszu z Aten. Przepłyniesz wodę, by tańczyć we krwi. Będziesz Królem ofiar. Przejdziesz labirynt w ogniu i ciemności. Trzy byki czekają na ciebie, synu Ajgeussza: Byk Ziemi, Byk-Człowiek i Byk z Morza.

Poczułem dotyk jej złowróznej przepowiedni i odpowiadające jej duchy z zakrytymi twarzami. Nikt nigdy wcześniej nie rzucał na mnie klątwy. Nagle zrobiło mi się zimno. Gdy straże cofnęły się, mój ojciec wszedł pomiędzy nią i mnie.

- Chcesz szybkiej śmierci, jędzo? Jeśli tak, zamilcz. Dość już powiedziałaś.

- Nie podnoś na mnie ręki, Ajgeusszu - powiedziała zimno i można było odnieść wrażenie, że do czarów wykorzysta tajemnice ich sypialni, zamiast paznokci czy włosów.

- Myślisz, że możesz oszukać Córy Nocy, ty i twój bękart? On zapłaci za twoje długie podwójnie. Uratowałeś syna nocy, który przybył do ciebie jako obcy. Ale syn, którego zabije, będzie owocem jego największej miłości, ukochanym dzieckiem.

Byłem młody, miałem synów tu i ówdzie, ale nie zacząłem jeszcze nawet myśleć o następcy tronu ani o tym, jaki miałby być. Jednak podobnie jak człowiek stojący na skraju klifu, który czuje, że pod nim znajduje się przepaść, poczułem oddech męki, z której człowiek nie zdaje sobie sprawy, póki nie nadejdzie, i o której potem należy jak najszybciej zapomnieć.

Czułem się obco we własnym ciele, strażnicy mamrotali, a ojciec trzymał rękę przed moimi oczami, chcąc powstrzymać kłatwę. Dobrze wybrała moment. Skoczyła niczym zając, przemknęła pomiędzy nimi i popędziła w stronę balkonu. Usłyszałem szelest jej szat i tupot jej nóg, a potem strażników, którzy starali się ją gonić, ale im się nie udawało.

Pomacałem się po boku, próbując odnaleźć miecz i wtedy przypomniałem sobie, gdzie go położyłem. Wartownik zwabiony hałasem wpadł do komnaty prosto z balkonu i zderzył się ze strażnikami.

- Dokąd pobiegła? - spytałem.

Wskazał ręką, a ja wybiegłem. Zerwał się lekki wietrzyk wiejący od morza. Wilgoć ochłodziła mi twarz i przylgnęła do kamieni. Księżyce otoczony był czapą. Przypomniałem sobie, że mówili, iż Medea potrafi przywołać wiatr.

Balkon był pusty. Wbiegłem do środka przez pierwsze lepsze drzwi i wpadłem na jakiegoś śpiącego człowieka. Znajdowało się tam wyjście zasłonięte kotarą, która poruszała się tak, jakby dopiero co ktoś tamtędy przechodził. Za przejściem znajdowały się schody oświetlone lampą. Zbiegłem po nich, a potem na ścianie zobaczyłem cień kobiety podnoszącej rękę.

To musiała być wiedźma, gdyż rzuciła na mnie czar. Moje ręce zrobiły się lodowate i zaczęły się pocić. Straciłem władzę w nogach, które zaczęły się pode mną trząść. Serce biło mi jak oszalałe, brakowało mi tchu i mało się nie udusiłem. Miałem wrażenie, że skóra się na mnie skurczyła, a włosy stanęły dęba. Nogi wrosły mi w ziemię.

Stałem tam, nieruchomo, czując się tak, jakby ogarniała mnie jakaś tajemnicza choroba. Cień drgnął i zniknął. To zdjęło czar. Znów mogłem się poruszać. Pobiegłem w dół, ale schody były tak

stromie, że musiałem zwolnić. Zaprowadziły mnie do przejścia wiodącego na dziedziniec. Na zewnątrz wszystko otulone było wilgotną mgłą. W ciemnościach nie dostrzegłem nawet najdrobniejszego ruchu.

Zawróciłem. Z góry doszedł mnie hałas. Człowiek, na którego wpadłem, wszczął alarm, wrzeszcząc, że z komnaty króla wypadł potężny wojownik z mieczem w ręku. Postawił na nogi cały Pałac. W moją stronę pędziła grupa arystokratów kryjących się za tarczami i niechybnie byliby mnie przebili włóczniami, gdyby nie pojawił się mój ojciec. Zapalone pochodnie we mgle kopcily i roztaczały nieprzyjemny zapach. Starcy kaszleli, kobiety biegały wkoło krzycząc, dzieci płakały, a mężczyźni przekazywali sobie plotki. W końcu udało im się znaleźć herolda, który uciszył wszystkich za pomocą swego rogu. Ojciec odprowadził mnie na balkon, ale nie po to, by powiedzieć kim jestem, lecz by nikt mnie nie zabił. Następnie uspokoił wszystkich i obiecał przekazać dobre nowiny rano. Potem dodał, że Medea dopuściła się obrzydliwego czynu i że dopóki nie zostanie schwytana, bramy mają pozostać zamknięte.

Kiedy wszystko się nieco uspokoiło, ojciec spytał mnie, czy widziałem ją, gdy pobiegłem za nią. Powiedziałem, że nie, co było zgodne z prawdą, ponieważ widziałem jedynie jej cień, a nie ją samą. O tym jednak nie chciałem rozmawiać, gdyż czar, który na mnie rzuciła, był bardzo zły, a gdy się rozmawia o takich rzeczach, ich moc rośnie. O Apollo Uzdrawicielu! Pogromco Ciemności! Spraw, bym nigdy więcej nie poczuł czegoś takiego.

2

Wiedźmy i jej synów nigdy nie udało nam się odnaleźć, choć przeszukaliśmy cały Pałac od dachu poprzez podziemia aż po świętą jaskinię Węża. Sprawdziliśmy każdy załom skalny, a nawet studnię.

Ludzie mówili, że Matka Ciemności zesłała skrzydlatego węża, by zabrać ich ze sobą. Nic na to nie odpowiedziałem, przyszło mi bowiem do głowy, że mogła rzucić na wartownika u bramy ten sam czar, który rzuciła na mnie.

Następnego dnia ojciec zwołał wszystkich ludzi. Z Pałacowych okien widzieliśmy, jak wspinają się pod górę i zajmują miejsce nad skałą.

- Dziś lekko im się idzie - powiedział. - Nie mają ze sobą tobołków ani nie noszą dzieci. Znają drogę wiodącą do Cytadeli. Gdy do Pallantydów dotrze ta nowina, zobaczymy dym nad Hymettusem. Dopiero co wróciłeś z wojny. Jesteś gotowy na następną?

- Ojczy, po to przybyłem.

Wyglądał jak człowiek, który zapomniał, jak się odpoczywa.

- Ty jeden mnie nie okłamałeś - powiedziałem. - Inni karmili mnie bajkami, a ty zostawiłeś mi miecz.

- Co ci powiedzieli?

Opowiedziałem mu wszystko, starając się go rozweselić, ale spojrzał na mnie w taki sposób, że obawiałem się, iż nadal boleje nad tym, co stało się wczoraj.

- Dobrze zrobiłeś, że zostawiłeś mnie pod opieką Posejdona. On nigdy mnie nie opuścił i odpowiadał mi zawsze, gdy go wzywalem.

Zerknął na mnie i spytał:

- W jaki sposób?

Nigdy wcześniej z nikim nie rozmawiałem na ten temat, więc nie łatwo znalazłem słowa, by to opisać.

- Przemawia jak morze - wyjaśniłem.

- Tak, to znak Erechtheidów. Słyszałem to, gdy cię pocałem.

Czekałem chwilę, ale nie powiedział nic więcej.

- Jak więc nas wzywa, gdy nadchodzi nasz czas? - spytałem.

- Każe nam stanąć w jakimś wysokim miejscu, a my skaczemy mu na spotkanie. Robimy to z własnej woli.

Gdy to powiedział, miałem wrażenie, że wiedziałem o tym od zawsze.

- Wolę to niż sposób Ludzi Ziemi. Człowiek powinien odchodzić godnie, a nie iść jak wół na rzeź.

Pod nami stał już cały tłum ludzi. Ich głosy brzmiały jak brzęczenie pszczół, które wylatują z ula w ściętym drzewie. Do naszych nosów dochodził zapach ich ciał.

- Lepiej chodźmy do nich - odezwał się ojciec.

Wreszcie nadszedł ten czas. Ręce wbilem w poręcz krzesła, na którym siedziałem i cały czas, gdy ojciec mówił, patrzyłem na wszystkie te oczy skierowane na mnie.

- Ojczu, co będzie jeśli nie uwierzą, że jestem twoim synem? Mogą pomyśleć, że dobiliśmy targu, że ofiaruję ci pomoc w walce z Pallantydami, by zostać królem Aten. Co wtedy?

Uśmiechnął się słabo, położył ręce na moich ramionach i powiedział:

- Większość na pewno tak pomyśli, ale wiesz, co powiedzą? „Ten stary lis Ajgeusz, nigdy nie przepuszcza okazji. Oto król Eleusis - Hellen, który nie chce iść w ślady innych. Znalazł się właściwy człowiek, który będzie jego dłużnikiem do końca życia i nieważne, kto jest jego ojcem. Wygląda na wojownika, więc jakże tu nie wierzyć, że bóg go zesłał? Niech mu los sprzyja. Nie ma sensu zadawać zbędnych pytań”.

Przy nim czułem się prostym dzieciakiem.

- Mój brat Pallas - kontynuował - ma dziesięcioro dorosłych synów z prawego łóża i tyleż samo z nałożnicami. Większość z nich już sama ma synów. Gdyby dobrali się do władzy, podzieliliby Attykę między siebie jak wygłodniałe wilki ciało swojej ofiary. Ty masz nad nimi przewagę – ty jesteś jeden, a ich pięćdziesięciu.

Chwycił mnie za ramię i wyszliśmy na zewnątrz. Okazało się, że miał rację. Cokolwiek pomyśleli, nie dali po sobie nic poznać. Przywitali mnie bardzo serdecznie. Gdy wróciliśmy do środka, ojciec uśmiechnął się i powiedział:

- Dobry początek. Daj im trochę czasu, a zobaczą w tobie Erechteidę z krwi i kości.

Powoli zaczynaliśmy się poznawać. Śmiem nawet stwierdzić, że jeśliby mnie wychowywał, pewnie byśmy się kłócili. Teraz jednak

polubiliśmy się, zupełnie jakby kubek zatrutego wina zbliżył nas do siebie.

Tej nocy ojciec nakazał przygotowanie uczty i złożenie hojnej ofiary Posejdonowi.

- Nie zapomnij o Apollonie, panie - powiedziałem, gdy kapłani odeszli. - Nie zostałem jeszcze oczyszczony z krwi.

- To może poczekać do jutra - odpowiedział.

- Panie - nalegałem. - Nie mamy zbyt wiele czasu, jeśli spodziewasz się wojny. Powinienem wrócić do Eleusis i uporządkować tam wszystkie swoje sprawy.

- Do Eleusis! - wykrzyknął ze zdumieniem. - Najpierw musimy rozprawić się z Pallantydami. Niedługo ruszą na nas. Nie mogę sobie pozwolić na odprawienie stąd ludzi.

- Ludzi? - nic z tego nie rozumiałem. - Wystarczy mi tych dwójce, z którymi przyjechałem. Nie potrzebuję całej armii.

- Nie pojmujesz? - spytał. - Ta nowina dotrze tam przed tobą.

- Ojczy, czy możesz nakazać kobietom zająć się tą dziewczyną, którą ze sobą przywozłem? Miałem zostawić ją w Eleusis. Nie jestem do niej aż tak przywiązany, bym musiał ją wszędzie zabierać, ale Królowa nastaje na jej życie. To dobra dziewczyna i dobrze wychowana. Na pewno przyda się i nie sprawi kłopotów, a ja niebawem wrócę.

Przeciągnął ręką po włosach. Zawsze tak robił, gdy go coś dręczyło.

- Czyś ty zmysły postradał? Od dziś twoje życie w Eleusis jest warte mniej niż resztki po wyciśniętych winogronach. Jak tylko rozprawimy się z Pallantydami, dam ci całą armię, byś mógł dochodzić swych praw.

Spojrzałem na niego ze zdumieniem, ale dostrzegłem, że martwi się o mnie tak, jak ojcowie martwią się o swoje dzieci. Wzruszyłem się, gdyż nigdy jeszcze mnie coś takiego nie spotkało.

- Zabiją cię, zanim miniesz bramę wjazdową. Czyżby czary tej wiedzy odjęły ci rozum?

Klepnął się ręką w udo. Najwyraźniej martwił się o mnie. Był przewidującym człowiekiem i trudno było mu pojąć, że można to wszystko widzieć inaczej. Mi z kolei było przykro, że już na początku

przysparzam mu zmartwień.

- Ależ ojciec - nie ustępowałem - ci chłopcy uratowali mi życie. Przelewali za mnie krew, a jeden z nich zginął. Jakże mogliby teraz stanąć przeciwko mnie? Nie wiem, dlaczego, ale zostałem wybrany przez ich Boginię. To moi ludzie.

Zaczął chodzić po pokoju. Był mądry i potrafił dostrzec każdy aspekt sprawy, podczas gdy ja widziałem tylko jeden. „Muszę jednak trzymać się tego, co wiem i wykorzystać to jak najlepiej. Z innymi sprawami będę radził sobie gorzej, ale mądrość pochodzi od bogów” - pomyślałem.

- Muszę jechać, ojciec - odezwałem się. - Daj mi swe błogosławieństwo.

- Na boga, oby nic twego życia była silniejsza od klątwy - powiedział.

Tamtego dnia zostałem oczyszczony w Jaskini Apollona, wyłobionej w klifie poniżej Cytadeli. W jej cieniu, gdzie święte źródło wypływa ze skał, napełniono dzban jego wodą, by zmyć ze mnie krew Ksantosa. Następnie na ołtarzu przed jaskinią w oślepiającym świetle słonecznym złożyliśmy ofiarę z kozła. Wieczorem natomiast odbyła się huczna uczta z występami harfistów i zonglerów. Mój ojciec kazał kosztować wszystkiego zanim czegokolwiek tknąłem. Nie miał niewolnika, który robiłby to za niego, więc gdy kucharz wniósł jadło, ojciec wskazał porcję, z której ten miał odrobinę spróbować. Był to moim zdaniem mądry i sprawiedliwy zwyczaj.

Następnego dnia wstałem wcześniej rano. Staliśmy z ojcem na tarasie pokrytym rosą i patrzyliśmy na długie niebieskawe cienie kładące się na polach. Król wyglądał, jakby bardzo źle spał. Błagał mnie, bym zmienił zdanie.

- Gdybym mógł, panie, nie zrobiłbym tego dla nikogo z wyjątkiem ciebie, ale przejąłem nad tymi ludźmi władzę i moja pozycja ucierpiałaby, gdybym ich porzucił.

Było mi go żal. Widziałem, że pragnął zabronić mi wyjazdu. Ciężko musiało mu być przyjąć syna, który już został królem, ale na to nie mogłem nic poradzić.

- Ojczy, jeszcze jedno, zanim odjadę. Jeśli kiedykolwiek uda nam się połączyć oba królestwa, nie chciałbym, aby dzieci ich dzieci mówiły, że doprowadziłem do ich zniewolenia. Muszą być równi nam albo nic z tego nie będzie. Przrzeknij mi to.

Spojrzał na mnie surowo.

- Targujesz się ze mną?

- Nie, przyzwoitość mi nie pozwala, panie - odparłem, po czym dodałem szybko:

- Tak, chyba tak. Ale to sprawa honoru.

Milczał tak długo, że aż spytałem, czy gniewa się na mnie.

- Nie - odpowiedział. - Robisz to, co musisz zrobić.

Potem przysiągł spełnić me życzenie.

- Jesteś podobny do dziadka. Tak, jesteś bardziej dzieckiem Pitteusa niż moim. Ale to lepiej dla ciebie.

Mój koń był już gotowy. Sługom powiedziałem, żeby wyruszyli później, gdyż czułem, że samotna podróż przyniesie mi szczęście.

Strażnicy na wieży odsalutowali mi i bez problemów pozwolili przejechać. Wydawało mi się, że za łatwo wszystko poszło, a potem usłyszałem jednego z nich:

- No to koniec bajki. Wszyscy Ateńczycy to kłamcy.

Niedługo potem, wyjeżdżając zza zakrętu, dostrzegłem wzgórze, na szczycie którego powbijano włócznie. Byłem już bardzo blisko, więc nie śpieszyło mi się. Wkrótce na tle nieba dostrzegłem człowieka. Rozpoznałem go i pomachałem ręką. Ten przywołał pozostałych i razem zaczęli schodzić ze wzgórza. Wstrzymałem konia i czekałem.

- Witaj, Biasie!

- Witaj w domu, Tezeuszu - odpowiedział, po czym odwrócił się i krzyknął:

- A nie mówiłem? I co teraz powiecie?

Pozostali chłopcy zbliżali się klócąc się i klnąc.

- Nigdy w to nie wierzyłem. To Skopas wymyślił tę historię.

- Co takiego? Wszyscy słyszeli, że to ty.

- Odszczekaj to!

Sztylety poszły w ruch i poczułem się jak za dawnych czasów. Musiałem zsiąść z konia i porozdzielać ich, jak walczące psy.

- Pozdrowienia z gór - powiedziałem. - Staliście się parobkami przez te trzy dni, czy co? Usiądźcie i niech no wam się przyjrzę.

Usiadłem na skale i zlustrowałem ich wzrokiem.

- Jednego brakuje, Hypsenora. Gdzie on jest? Ktoś go zabił?

- Nie, Tezeuszu - odezwał się wreszcie któryś z nich. - Poszedł powiedzieć wojsku.

Przez chwilę panowała cisza.

- Żeby powiedzieć, że przybywasz sam - odezwał się Bias.

Uniosłem brwi ze zdziwienia.

- Jeśli będę chciał, żeby żołnierze mnie witali, sam ich o tym powiadomię. Co Hypsenor sobie wyobraża?

Bias odchrząknął.

- Ale oni już tu są. Stoją zaraz za wzgórzem, my jesteśmy tylko strażą przednią.

- Strażą przednią? - spytałem. - Z kim zamierzaliście walczyć? Patrzyli na Biasa, który spojrzał na nich ze złością.

- No, wykrztuście to wreszcie z siebie.

Bias przełknął ślinę i przemówił:

- Tezeuszu, zeszej nocy dotarła do nas pewna nowina z Aten. Nikt z nas w nią nie wierzył, ale królowa uważa, że to prawda - znów przerwał, a po chwili dodał:

- Mówili, że podarowałaś Eleusis królowi Ajgeuszowi, w zamian za co uczynił cię swoim następcą.

Serce mi zamarło. Teraz dopiero zrozumiałem, dlaczego ojciec nazwał mnie szaleńcem. Była to ostatnia rzecz, o której mógłbym pomyśleć, a powinna przyjść mi do głowy na samym początku. Spojrzałem na nich i to wróciło im mowę.

- Mówili, że ogłoszono cię następcą na Cytadeli.

- Zarzucaliśmy im kłamstwo.

- Byliśmy wściekli.

- Przysięgliśmy, że jeśli to prawda, to sami zabijemy cię na granicy.

- Bo ufaliśmy ci.

- Nie to, żebyśmy uwierzyli w te kłamstwa, ale na wypadek, gdyby okazało się to prawdą.

Ta cała ich paplanina dała mi trochę czasu do namysłu. Gdy tak mówili jeden przez drugiego, poczułem ulgę. Nie potrafię tego nazwać, ale prawda jest taka, że rzadko kiedy potrzebowałem kogoś, kto by mi powiedział, że to będzie szczęśliwy dzień. Z reguły po prostu to czuję i wtedy również czułem.

- Jest w tym wiele prawdy - powiedziałem. – Zawarłem układ z królem Ajgeuszem.

Zapadła grobowa cisza.

- Przysiągł mi, że nigdy nie skrzywdzi mieszkańców Eleusis, a wręcz przeciwnie, będzie ich traktował jak przyjaciół i krewnych. A jaki układ miałby zawrzeć syn z ojcem?

Wszyscy patrzyli na mnie w milczeniu. Nie czekałem aż zaczną oglądać się na siebie, kontynuowałem:

- W dniu, w którym umarł król, mówiłem wam, że jadę do Aten. Nie wymawiałem imienia mego ojca, gdyż przysiągłem matce, która jest kapłanką, że zachowam to w tajemnicy, dopóki nie dotrę na miejsce. Który z was odważyłby się złamać taką przysięgę? Matka dała mi miecz, bym pokazał go ojcu. Czy wygląda na zwykłą broń? Spójrzcie. Spójrzcie tylko na niego.

Przekazywali go sobie z rąk do rąk. Pozostałem wprawdzie bezbronny, ale i tak nie miałbym szans. Ja byłem sam, a ich trzydziestu.

- Jestem synem lasku mirtowego - ciągnąłem - który według słów wyroczni zmieni obyczaj. Nie sędzicie chyba, że Bogini nie widziała mnie w drodze. Gdy mój ojciec przejeżdżał przez Trojzenę, by wsiąść na statek do Aten, moja matka oddała swe dziewictwo Matce Dia i tak zostałem poczęty. Myślicie, że Ta, Która Rozdaje Dary, zapomniała? Ma ona tysiące tysięcy dzieci, ale zna każde z nich. Wiedziała, że jestem dzieckiem króla i córki króla Hellenów, którymi rządzą mężczyźni. Wiedziała, że nie będę siedział z założonymi rękoma i beczynn timer przyglądał się temu, co dzieje się dookoła.

A mimo to wezwała mnie do Eleusis i kazała walczyć z Królem. Ona wie najlepiej, kto nas stworzył i to ona wzywa nas do siebie. Matka zmienia się w oczach synów, gdy dorastają. Wszystko ma swój koniec z wyjątkiem bogów, którzy żyją wiecznie.

Wszyscy milczeli, tak jakby słuchali występu harfisty. Sam nie dałbym rady, miałem wrażenie, że coś zaczęło krążyć wokół nas i dlatego przemówiłem. Bard powiedziałby, że to bóg.

- Przybyłem do was jako obcy - odezwałem się. – Jest wielu ludzi, którzy wędrują po świecie, by niszczyć, palić miasta, kraść bydło, zabijać mężczyzn i porywać kobiety. Oni tak po prostu żyją. I jeśli któryś z nich zawarłby taki układ, jak myśleliście, nie byłoby w tym nic dziwnego. Ja jednak pochodzę z królewskiego rodu, gdzie król nazywany jest Pasterzem Ludu, ponieważ to on stoi pomiędzy wilkami a stadem. Idziemy, gdy bóg nas wzywa, a gdy gniewa się, stajemy się składaną mu ofiarą. Idziemy, godząc się na to, gdyż bogowie wzruszają się, gdy otrzymują dar z dobrej woli. I ja pójdę dla was, jeśli zostaną wezwany, ale wezwanie przyjmę tylko od boga. I tylko przed nim będę odpowiadał za was, a nie przed śmiertelnikami. Nawet mój ojciec o tym wie i godzi się na to. Taki układ zawarłem w Atenach. Przyjmijcie mnie takim, jakim jestem. Nie potrafię się zmienić. Wysłuchaliście mnie i jeśli uważacie, że nie jestem waszym królem, to spójrzcie, jestem sam. Poza tym macie mój miecz. Czyńcie, co uważacie za słuszne, i odpowiadajcie przed bogami.

Czekałem, a oni przez dłuższy czas milczeli. Następnie Bias wstał, podszedł do tego, który trzymał mój miecz, odebrał mu go i oddał mi. Wtedy najbardziej szalony z nich, Amyntor, zakrzyknął „Teusz jest królem!”, a reszta zawtórowała mu.

Jednak Bias milczał. Gdy skończyli, stanął koło mnie i zwrócił się do reszty:

- Tak, możecie teraz krzyżeć, ale który z was ma odwagę zmierzyć się z kłutwą? Pomyślcie, nie sprowadzajcie go z powrotem do Eleusis, by później pozostawić, skazując na śmierć w samotności.

Dookoła rozległy się szept.

- Co to za klątwa? - spytałem.

- Królowa rzuci zimną klątwę na każdego, który pozwoli ci przejechać.

- Nie znam zimnej klątwy. Na czym polega?

Sądziłem, że lepiej będzie wiedzieć, niż nie wiedzieć, ale oni uznali to za zuchwałstwo.

- Zimne łądzwie, zimne palenisko, zimny w walce i zimna śmierć.

W pierwszej chwili dreszcz mnie przeszedł, ale zaraz potem coś sobie przypomniałem i wybuchnąłem śmiechem.

- Gdy byłem w Atenach, Królowa próbowała mnie otruć. Wtedy też dowiedziałem się, że Ksantos działał na jej polecenie. I jeśli o to chodzi, próbowała to zrobić bez pomocy żadnych czarów. Widzicie tę ranę? Po co więc zamartwiać się jej zimną klątwą? Czy kiedykolwiek zadziałała?

Śluchali z powagą, ale tym razem ktoś z tyłu opowiedział jakiś nieprzyzwoity dowcip tak, by wszyscy mogli go usłyszeć. Słyszałem go już kiedyś, ale nie był on skierowany do mnie. Najpierw wszyscy wybuchnęli śmiechem, a potem zaczęli wiwatować.

Po chwili jeden z nich, ten, któremu nie spodobało się zabicie Fai, powiedział:

- A mimo to dwa lata temu przekłęła jakiegoś człowieka, który padł na ziemię, a gdy się podniósł, nie jadł i nie pił, dopóki nie umarł.

- A dlaczego? - odezwałem się. - Może zasłużył na to i żaden bóg go nie chronił. Ja jestem sługą Posejdona. Może tym razem Matka posłuchała swego męża, co jest dobrą cechą nie tylko bogiń, ale i kobiet.

To zadowolilo ich wszystkich, a zwłaszcza tych, którzy zalecali się do dziewcząt, które nie przypadły do gustu ich matkom. Znów zaczęli wiwatować i tym razem nic nie zmąciło ich radości. A później, mogę tu o tym wspomnieć, pożenili się z dziewczętami, które kochali. W rezultacie połowie z nich dostały się dobre żony, a połowie złe, dokładnie tak, jak w przypadku starych obyczajów. Tyle tylko, że łatwiej im było zapanować nad tymi złymi.

To musiała być przychylność boska, że najpierw na mej drodze stanęła Straż. Byli mężczyznami, których znałem, i wiedziałem, co do nich najlepiej przemówi. Kiedy jechałem na spotkanie wojska, nauczyłem się jednej rzeczy, której nie sposób zapomnieć do końca życia: o ileż łatwiej jest porwać za sobą całe wojsko, niż kilku wojowników.

Stali na brzegu w miejscu, gdzie góry schodzą do morza. Przez ten półwysep prowadziła droga do Aten. Postawiono tam ścianę z głazów i kamieni i każdy, kto dał radę się na nią wspiąć, był dobrze widoczny. Nie miałem więc problemu ze zwróceniem na siebie uwagi, zwłaszcza, że umierali z ciekawości, chcąc usłyszeć, co mam do powiedzenia.

Zwołałem zbórkę. Stali teraz wszyscy przede mną na piasku. Morze było spokojne, mewy srebrzyły się na błękitnym niebie, a lekka bryza od strony Salminy rozwiewała pióra na hełmach wojowników. Przywołałem w pamięci wszystko, czego nauczyłem się od tych ludzi i przemówiłem. Od czasów praojców sąsiedowali z królestwami Hellenów. Zнали obyczaje krajów rządzonych przez mężczyzn i widać było, że wielu z nich pragnie takich właśnie rządów.

Kiedy skończyłem, widziałem, po czyjej stronie chcą stanąć, ale strach nadal ich nie opuszczał.

- Co się z wami dzieje? - spytałem. - Myślicie, że niebiosy chcą, by kobiety wami rządziły do końca świata? Posłuchajcie mnie, a opowiem wam, jak się to wszystko zaczęło.

Zamilkli i czekali, uwielbiali bowiem opowieści.

- Dawno temu - zacząłem - w czasach, gdy po ziemi chodzili pierwsi jej mieszkańcy, którzy wyrabiali miecze z kamienia, ludzie byli niewykształceni i żyli jak dzikie zwierzęta, żywiąc się jagodami. Byli na tyle głupi, że wierzyli, iż kobiety zachodzą w ciążę dzięki magii, bez udziału mężczyzn. Nic dziwnego więc, że kobieta zdawała im się potężną istotą! Jeśli powiedziała mężczyźnie „Nie”, któż, jeśli nie on, stał na przegranej pozycji? Kobieta z pomocą czarów mogła zająć w ciążę dzięki wiatrom i strumieniom i nie musiała nic mężczyźnie dawać. To dlatego wszyscy mężczyźni korzyli się przed kobietami, aż do pewnego dnia.

I opowiedziałem im historię pierwszego mężczyzny, który poznał prawdę. Opowieść tę zna każdy Hellen, a dla nich była czymś zupełnie nowym. Gdy skończyłem, roześmiali się.

- Cóż - odezwałem się ponownie - to było dawno temu i teraz jesteście już mądrzejsi, ale trudno to stwierdzić, patrząc na was. Boicie się tak, jakby to bogowie chcieli was zastraszyć.

W tym momencie poczułem, że coś jakby pępowina połączyła nas, choć minstrele mówią, iż to Apollo. Mówią, że jeśli się odpowiednio przemówi, Apollo połączy słuchaczy złotą nicią, a jej koniec włoży mówcy do ręki.

- We wszystkim trzeba zachować umiar - ciągnąłem. - Nie przybyłem tu, by uśmiercić Królową. Tak jak do spłodzenia dziecka potrzebna jest kobieta i mężczyzna, tak do stworzenia świata potrzebni byli bogowie i boginie. Matka rodzi plony, ale to nasienie nieśmiertelnego boga ją zapładnia, a nie człowiek skazany na zagładę. Czyż nie byłoby to cudowne święto, gdybyśmy ich poženili? Czemu nie pozwolić przybyć bogowi z Aten z pochodniami weselnymi do jej domu - gdyż ona jest wspaniała i taki tu panuje zwyczaj - i zaprowadzić go do niej, podczas gdy oba miasta będą się radować i śpiewać?

Nie planowałem tego, przyszło mi to do głowy, gdy przemawiałem. Wiedziałem, że uwielbiają cuda i pragną zobaczyć, jak mojra działa wśród zwykłych śmiertelników. I być może właśnie to sprawiło, że wpadłem na ten pomysł, z drugiej jednak strony bogowie czuwają nad człowiekiem w jego szczęśliwym dniu i to zapewne oni zesłali mi tę myśl. Nadszedł czas na zmiany, a ja pojawiłem się, by ich dokonać. I rzeczywiście, później dopełniłem rytuału, a raczej posłałem po barda, który swego czasu zawitał w Trojzenie, gdyż on wydał mi się najwłaściwszą osobą. Porozmawiał z najstarszą kapłanką, pomodlił się do Matki, poradził się Apollona i urządził wszystko tak pięknie, że nikt nawet nie pomyślał, aby się temu sprzeciwić. Potem mówił, że była to najlepsza praca, jaką kiedykolwiek przyszło mu wykonać i że nie pogniewałby się, gdyby była ostatnią.

Był kapłanem Apollona Uzdrowiciela i być może miał wizję. Stara religia jest święta dla Cór Nocy i choć inni się cieszą, one nie są zadowolone, gdy się ją zmienia. Dopadły go więc, tak jak i mnie.

W Tracji, gdzie został zabity, zachowano stare tradycje, choć bardzo starał się je zmienić. W Eleusis również nie było łatwo i nadal nie udało się ich tak do końca wyplenić. Każdego roku pod koniec lata ludzie z wiosek i miasta zbierają się na stokach wzgórza i obserwują, jak pasterze odgrywają stare opowieści o śmierci królów.

To wszystko nastąpiło jednak znacznie później. A tymczasem wojownicy zaczęli podrzucać hełmy, wymachiwać włóczniami i prosić, bym poprowadził ich do miasta. Dosiadłem więc ponownie mojego konia i ruszyliśmy, Kompani wokół mnie, a wojsko za mną. Wszyscy śpiewali i krzyczeli:

- Tezeusz jest królem!

Nie od razu udałem się do Pałacu. Najpierw skierowałem się na drogę wiodącą do jaskini i na plac do zapasów.

Wszystkie kobiety wybiegły, rozmawiając ze sobą i wypytujac mężczyzn. Stoki zaczęły wypełniać się ludźmi, zupełnie tak jak w dniu, gdy po raz pierwszy przybyłem do Eleusis.

- Nakażcie Królowej, by do mnie dołączyła. Pozwólcie jej iść samej, jeśli się zgodzi, jeśli nie, przyprowadźcie ją siłą.

Ruszyli po schodach, ale na górze zatrzymały ich kapłanki. Gdybym był starszy, wiedziałbym, że dwóch to za mało. Posłałem więc jeszcze czterech, by podtrzymywali się na duchu. Przecisnęły się siłą i weszli do środka. Ja tymczasem czekałem. Na spotkanie celowo wybrałem to właśnie miejsce, gdyż chciałem zobaczyć, jak schodzi po schodach tak jak niegdyś Kerkyon. Od lat, rok po roku, jakiś mężczyzna w kwiecie wieku przemierzał te stopnie, by będąc pozbawionym sił, stanąć do walki i zginąć.

Wkrótce zobaczyłem powracających żołnierzy. Byli jednak sami. Rozzłościłem się, gdyż jeśli musiałbym sam tam wejść, ludzie straciliby widowisko. Gdy się zbliżyli, zobaczyłem, że byli bladzi jak trupy.

Dowódca podszedł do mnie i powiedział:

- Tezeuszu, ona umiera. Mamy ci ją przynieść w takim stanie czy nie?

Usłyszałem, jak różne głosy przekazują sobie nowinę. Brzmiało to, jak odgłos ław przesuwanym w pustej sali.

- Umiera? Jest chora czy ktoś ją skrzywdził? A może sama targnęła się na swoje życie?

Potrząsnęli tylko głowami, ale na razie się nie odzywali. Mieszkańcy Eleusis lubią sensacje i wiedzą, jak je podać, by wywołać jak największe wrażenie. Zwrócili się do najstarszego towarzysza, który miał najmocniejszy głos.

- Nic z tych rzeczy, Tezeuszu - odezwał się. - Gdy doszły ją wieści, że prowadzimy cię do domu jako Wielkiego Króla, zaczęła rwać ubranie i włosy z głowy, po czym udała się do Bogini i błagała o znak. Nikt nie wie, jakiego znaku się spodziewała, ale błagała trzy razy, tłukąc rękoma o ziemię. Kiedy wstała, kazała sobie przynieść mleko. Zniosła je Świętemu Wężowi, ale on nie pokazał się. Przywołała więc flectistę i kazała mu grać muzykę, do której tańczą węże i dopiero wtedy wyszedł. Gdy słuchając muzyki, zaczął tańczyć, wezwała Boginię jeszcze raz i wzięła go do ręki. Wąż ukąsił ją w dłoń, po czym szybko skrył się w swojej norze. Zaraz potem Królowa upadła, a teraz umiera.

Wokoło zapadła cisza tak głęboka, że można by usłyszeć najcichszy szept.

- Przynieście ją - rozkazałem. - Jeśli wejdę do środka, będą mówić, że ją uśmierciłem. Ludzie muszą być świadkami.

Wyczułem, że w duchu przyznają mi rację.

- Złóżcie ją na nosze - ciągnąłem - i pozwólcie dwóm służącym towarzyszyć jej, na wypadek, gdyby czegoś potrzebowała. Reszta niech się trzyma z daleka.

Tak więc znów przyszło nam czekać, ale mieszkańcy Eleusis potrafią być cierpliwi, jeśli spodziewają się czegoś ciekawego. W końcu dostrzegłem nosze na tarasie. Niosło je czterech mężczyzn, a obok kroczyły dwie kobiety. Za nimi, powstrzymywane przez strażników uzbrojonych we włócznie tłoczyły się zawodzące głośno kapłanki w czarnych szatach, z pokrwawionymi twarzami i

potarganymi włosami. Na szczęście schody nie okazały się zbyt strome dla noszy.

Każdego roku od niepamiętnych już czasów w ten właśnie sposób znoszono tamtędy ciało martwego króla.

Wojownicy podeszli do mnie i u moich stóp złożyli nosze zrobione z połączanego dereniowego drzewa.

Królowa rzuciła się, a oddech stał się ciężki. Włosy opadły jej na ziemię. Twarz miała białą jak kość słoniowa, pod oczami zielonkawe cienie, a usta sine. Zlewały ją zimne poty, więc stojąca obok kobieta ocierała jej czoło szmatką zabarwioną od farby z jej ust i oczu. Gdyby nie te włosy, nie poznałbym jej. Wyglądała tak staro, że mogłaby być moją matką.

Pałała żądzą zemsty większą niż wszyscy ci, którzy padli od mojego miecza na polu walki i którzy stali się żerem dla drapieżnych ptaków. Mimo jej upadek był dla mnie bardziej przykry nawet niż ruina jakiegoś puszczonogo z dymem pięknego pałacu królewskiego, z malowanymi ścianami i kolumnami oraz pięknymi gobelinami, robionymi na krosnach. Przypomniałem sobie wschody słońca obserwowane przez olbrzymie okno, jej śmiech o północy i dumny krok.

- Mojra kieruje naszymi czynami od dnia naszych narodzin - odezwał się do niej. -Ty zrobiłaś to, co musiałaś, i ja również.

Rzuciła się na noszach i złapała za gardło. Potem odezwała się zachrypniętym głosem, ale na tyle mocnym, by wszyscy mogli ją usłyszeć (ostatecznie była Eleuzenką):

- Moja klątwa zawiodła. Przybyłeś, tak, jak mówiły znaki. Ja jednak jestem strażniczką Misterium. Cóż innego mogłam uczynić?

- Wybór nie był łatwy - odparłem.

- Źle wybrałam. Matka odwróciła się ode mnie.

- Niezbadane są jej ścieżki, ale błędem było nakłaniać mego ojca, by mnie uśmiercił.

Uniosła się na jednym łokciu i krzyknęła:

- Ojciec nic nie znaczy! Mężczyzna nic nie znaczy! Miałam ukarać twą pychę!

Potem opadła na nosze, a jedna z kobiet podstawiała jej pod usta dzban z winem.

Wypiła i zamknęła oczy. Odpoczywała. Położyłem swoją dłoń na jej. Była wilgotna i zimna.

- Czulałam, że nadchodzą zmiany, Kerkyonie, zanim jeszcze zaczęłaś sobie pozawalać na zbyt wiele - odezwała się po chwili. - Nawet mój brat... A potem przybył Hellen. W mirtowym lasku narodzi się kukulcze piskłę... Czy masz chociaż te dziewiętnaście lat, jak twierdziłeś?

- Nie - odpowiedziałem. - Ale urodziłem się w królewskim domu.

- Przeciwwstawiłam się jej woli, a ona rzuciła mnie w piach.

- Nadszedł czas zmian. Tylko szczęśliwi bogowie są od nich wolni.

Odwróciła się, gdyż ze względu na truciznę nie mogła uleżeć spokojnie. Najstarsza z jej córek, ciemna dziewczuszka w wieku ośmiu, może dziewięciu lat, przecisnęła się pomiędzy strażnikami i podbiegła do niej, szlochając. Objęła matkę i spytała, czy to prawda, że ją opuszcza. Królowa uspokoiła się na chwilę, pogładziła dziecko po głowie i powiedziała, że wkrótce poczuje się lepiej. Potem kazała zabrać stąd córkę.

- Wsadź mnie i moje dzieci na szybki statek i pozwól odpłynąć do Koryntu. Mam tam krewnych. Chcę umrzeć na Świętej Górze, o ile będę w stanie tam dotrzeć.

Zezwoliłem jej na to i powiedziałem:

- Wprawdzie zmienię sposób składania ofiar, ale nigdy nie wykorzenię stąd kultu Matki. Przecież wszyscy jesteśmy jej dziećmi.

Oczy miała zamknięte, ale teraz otworzyła je.

- Dzieci i mężczyźni chcą wszystkiego, nie dając nic w zamian - powiedziała. - Życiu zawsze będzie towarzyszyć śmierć i ty tego nie zmienisz.

Wojownicy podnieśli nosze i chcieli odejść, ale zatrzymałem ich. Nachyliłem się i spytałem:

- Powiedz mi, zanim odejdiesz: spodziewasz się mojego dziecka?

Odwróciła głowę i odpowiedziała:

- Wzięłam lek. Miał tylko długość palca, ale widać było, że jest chłopcem. Dobrze postąpiłam, gdyż nad twoim synem wisi przekleństwo.

Dałam znak żołnierzom, którzy ponieśli ją w stronę portu.

- Dajcie jej klejnoty i wszystko, o co poprosi - poleciłam kobietom stojącym za mną.

Zaczęły biegać bezładnie w tę i z powrotem, zapominając o żalobie. Zaroiło się jak w mrowisku, do którego ktoś włożył patyk. Nie wiedziały, co robić, gdyż nigdy wcześniej nic podobnego tutaj nie zaszło. Kobiety zebrane na stokach gadały jak najęte. Wśród Ludzi Wybrzeża istnieje bowiem zwyczaj, że kobiety kochają się w wiecznie młodym Królu, a gdy jeden odejdzie, pojawia się drugi. Tym razem jednak nie miały pojęcia, jak postąpić.

Patrzyłem za noszami, gdy nagle podeszła do mnie siwowłosa kobieta z olbrzymim złotym naszyjnikiem. Podeszła śmiało i pewnie, tak jak przywykły minyańskie kobiety.

- Oszukała cię. Ona wcale nie umrze. Jeśli chcesz odebrać jej życie, idź za nią.

Nie pytałem, dlaczego nie znosi Królowej.

- Na jej twarzy odmalowała się śmierć.

- Och, z pewnością jest chora, ale w młodości piła bulion z głowy węża i dawała się kąsać młodym węzom, by uodpornić się na ich jad. Taki jest zwyczaj w świątyni. Będzie cierpieć jeszcze przez parę godzin, a potem wstanie zdrowa i będzie się z ciebie śmiać.

Potrząsnąłem głową.

- Lepiej zostawmy to Bogini. Nie mieszajmy się w sprawy pomiędzy panią i jej służką.

Wzruszyła ramionami.

- Będziesz potrzebował nowej Kapłanki. Moja córka jest szlachetnie urodzona i potrafi zadowolić każdego mężczyznę. O, tam jest.

Uniosłem ze zdziwienia brwi i mało się nie roześmiałem na widok bladej, potulnej dziewczyny i na myśl o tym, że jej matka już szykowała się do rządzenia Eleusis. Odwróciłem się od niej, spojrziałem w stronę kobiet Królowej wciąż biegających w tę i z powrotem po schodach. Jedna z nich, mniej zajęta od pozostałych, stała

przy szczelinie i patrzyła na nią po raz ostatni. To ona leżała tam w dniu śmierci poprzedniego Króla i opłakiwała go.

Podszedłem do niej, chwyciłem za nadgarstek i odciągnąłem stamtąd, choć ociągała się z lęku, pamiętając, jak sądzę, że nienawdziła mnie i pozwoliła mi to dostrzec.

- Oto wasza Kapłanka - zwróciłem się do zgromadzonych. - Jej nie cieszy przelewanie ludzkiej krwi. Nie będę z nią spał, gdyż tylko z boskiego nasienia jest w stanie zrodzić się ziarno. Ale to ona będzie składać ofiary, odczytywać znaki i to ona będzie stać najbliżej Bogini.

- Zgadzasz się? - spytałem ją.

Spojrzała na mnie zmieszana, a potem odpowiedziała:

- Tak. Ale nigdy nie przeklnę nikogo. Nawet ciebie.

Jej odpowiedź zabrzmiała jak odpowiedź małego dziecka, gdyż zaskoczenie pozwoliło jej znaleźć jedynie proste słowa. Uśmiechnąłem się, słysząc to, i w ten sposób powstał nowy zwyczaj.

Później, tym, którzy stanowczo przeciwstawili się kobietom, przydzieliłem najważniejsze stanowiska. Kilku z nich chciało, bym wszystkie kobiety pozbawił ich stanowisk i choć jak każdy młody mężczyzna wykazywałem tendencję do przesady, ten pomysł nie przypadł mi do gustu. Wiedziałem bowiem, że takie postępowanie wywoła falę knoń i spisków. Parę kobiet tak mi się podobało, że chętnie zatrzymałbym je przy sobie, ale nie zapomniałem Medei, której udało się wywieść w pole człowieka tak mądrego, jak mój ojciec. Poza tym były jeszcze babki, które rządziły domostwem od pięćdziesięciu lat i które miały więcej rozumu niż niejeden wojownik. Niestety, oprócz magii, miały też liczne krewne, dzięki którym z pewnością udałoby im się ponownie przejąć władzę nad mężczyznami. Dlatego też ponownie przemyślałem wszystko, co widziałem w Eleusis i wybrałem tylko te, które znajdowały przyjemność w niszczeniu innych. Te kobiety zrobiły więcej w utrzymywaniu swych sióstr z dala od ważnych stanowisk niż mężczyźni. Parę lat później kobiety przyszły do mnie i błagały, bym zamiast tych jędz wyznaczył

mężczyzn do pełnienia ich funkcji. I tym sposobem osiągnąłem to, co chciałem.

W drugą noc po zdobyciu królestwa wydałem huczną ucztę w Królewskiej Sali na cześć najważniejszych mężczyzn w Eleusis. Mięso miałem dzięki łupowi wziętemu w czasie wojny, a i na brak napojów nie można było narzekać. Mężczyźni radowali się z odzyskanej wolności i wznosili toasty za przyszłe, dobre dni. Dla mnie zwycięstwo oznaczało słodycz, przewodzenie ludziom i fakt, że nie jest się niczym niewolnikiem. A mimo to uczcie czegoś brakowało. Miało się wrażenie, że bez kobiet stała się ordynarna i prostacka. Mężczyźni upijali się i zachowywali jak głupcy. Rozrzucali kości naokoło, wygłupiali się i chwalili, czego to nie potrafia dokonać w łóżku. Gdyby były wśród nas kobiety, nigdy by się na coś takiego nie odważyli, gdyż baliby się, że zostaną wyśmiani. Wyglądało to bardziej, jakbyśmy byli na wojnie, niż na ucztę na dworze króla, dlatego też nigdy nie uczyniłem z tego zwyczaju. Tamtej nocy jednak było mi to na rękę.

Wezwałem harfistę, a on śpiewał oczywiście o wojnie w Przesmyku. Miał sporo czasu, by ułożyć o niej pieśń i muszę przyznać, że stworzył niezwykłą opowieść. Gdy mężczyźni mieli już dość siebie i wina, i gdy pieśń im się znudziła, zaczęli rwać się do bijatyki. Wtedy powiedziałem im o Pallantydach.

- Słyszałem, że szykują się do wojny - obwieściłem. - Jeśli pozwolimy im zająć Cytadelę, nikt nie będzie bezpieczny, ani tu, ani na Przesmyku. Będą szarpać Attykę, jak wilki martwego konia, a ci, dla których nie starczy, zwrócą swe oczy na nas. Jeśli ta horda przejdzie przez Eleusis, nie zostanie tu kamień na kamieniu, nie uchowa się żadne żywe stworzenie i nie będzie żadnej dziewczyny, której by nie zbezczeszcili. Będziemy mieli szczęście, jeśli będziemy mogli zmierzyć się z nimi na polach Attyki, a nie na naszych. Mają bardzo dużo łupów u siebie na Przylądku Sounion i zapewniam was, że dostaniecie godziwy udział. A jeśli wygramy, ludzie w Atenach będą mówić: „Z tych Eleuzeńczyków to świetni wojownicy. Byliśmy głupcami, jeśli kiedykolwiek ich lekceważyliśmy. Jeśli będziemy mogli uznać ich za przyjaciół i równych sobie, będzie to

najlepsze, co kiedykolwiek zrobiliśmy".

Następnego dnia w czasie zbiórki wygłosiłem znacznie lepsze przemówienie, ale nikt i tak nie był w stanie tego ocenić. Poprzedniej nocy byli bowiem tak pijani i tak dumni z wyrwania się spod jarzma kobiet, że nie byliby bardziej zachwyceni tą mową, nawet gdyby sam Apollo i Ares Enyalios ułożyli ją pospołu. Tak więc, gdy następnego dnia mój ojciec przesłał wiadomość, że widać dymy nad Hymettos, posłałem po Pałacowego skrybę, podyktowałem mu list i zapieczętowałem go przy pomocy królewskiego pierścienia. W liście napisałem: „Do Ajgeusza, syna Pandiona, od Tezeusza z Eleusis. Drogi Ojcze, niech bogowie błogosławią cię długim życiem. Przybywam na wojnę i prowadzę swoich ludzi. Będzie nas tysiąc wojowników”.

3

Walki w Attyce trwały prawie miesiąc. Była to najdłuższa wojna od czasów Pandiona, ojca mego ojca. Jak wszyscy wiedzą, podbiliśmy Południową Attykę, wyparliśmy Pallantydów z kraju, zniszczyliśmy ich twierdzę na Przylądku Sounion i wznieśliśmy tam wysoki ołtarz na cześć Posejdona, który widać z morza. Zdobyliśmy również znajdujące się w pobliżu Srebrne Wzgórze wraz z niewolnikami pracującymi w kopalni i pięćdziesięcioma sztabkami przetopionego srebra. W ten sposób dwukrotnie powiększyliśmy królestwo i zagarnęliśmy cenne łupy. Eleuzeńczycy wrócili do domu równie zadowoleni jak Ateńczycy, prowadząc ze sobą bydło, kobiety i niosąc broń oraz wszystko, co tylko można było ze sobą zabrać. Czuję się dumny z hojności mego ojca. Medea mówiła prawdę twierdząc, że ojciec mój znany był ze swego skąpstwa, ale przecież ciągle musiał myśleć o następnej wojnie. Ja mogę jednak zaświadczyć, że dla mnie okazał się szczodry.

Tej zimy żyło nam się dobrze, ponieważ zebraliśmy plony przed wojną i przejeśliśmy zbiory Pallasa. Wszystkie uczyły były obfite. Jeśli w Atenach odbywała się jakaś uroczystość, Eleuzeńczycy przyjeżdżali, by popatrzeć, i odwrotnie. Zawarto wiele przyjaźni i małżeństw, a ponieważ sprawiłem, że w królestwie zapanował spokój i dostatek, mieszkańcy uważali, że Bogini mi sprzyja. Powoli, z pomocą ojca, zaczynałem doprowadzać sprawy do porządku. Czasami postępowałem po swojemu, gdyż znałem tych ludzi lepiej, ale nigdy mu o tym nie mówiłem.

Spędzałem z nim wiele czasu w Atenach i przysłuchiwałem się, gdy wydawał wyroki. Współczułem mu, gdyż Ateńczycy są skorzy do kłótni. Wprawdzie Cytadela nigdy nie została zdobyta, ale równiny zamieszkiwali ludzie różnego pokroju. Najpierw byli to Ludzie Wybrzeża, a potem Hellenowie. Tak więc Attyka, podobnie jak Eleusis, była miejscem wielokulturowym, tyle tylko, że w przeciwieństwie do Eleusis, w Attyce nigdy nie zapanowała harmonia. Były tam grupy mieszkańców podlegających pomniejszonym przywódcom, którzy nie tylko mieli swoje własne zwyczaje, co było zresztą zupełnie naturalne, ale i swoje prawa, więc sąsiedzi mało kiedy mogli dojść do porozumienia. Walki pomiędzy zwaśnionymi stronami były równie częste, jak małżeństwa, i właściwie żadne święto nie mogło obejść się bez czyjejś śmierci, a był to czas, gdy wrogowie tylko czekali, aż pojawi się ten, kogo nienawidzą. Dopiero gdy kłótnie doprowadzały niemal do wybuchu wojny domowej, zjawiali się u mojego ojca, by ten rozstrzygnął spór, który niejednokrotnie ciągnął się latami. Nie dziwiło mnie więc, że czoło pokrywają mu zmarszczki, a ręka drży.

Miałem wrażenie, że to go zabije. Nie rozumiałem, skąd bierze się takie odczucie, zwłaszcza że wiedziałem, iż jest mądrym człowiekiem, który zdołał utrzymać królestwo przez wszystkie te lata. Wyczuwałem jednak, że wszędzie wokoło czają się niebezpieczeństwa i wiedziałem, że jeśli coś mu się stanie, będzie to moja wina, gdyż nie zadbałem o niego dostatecznie dobrze.

Pewnego wieczoru, gdy przyszedł z sali sądowej ledwie żywy, powiedziałem:

- Ojcie, wszyscy ci ludzie przybyli tu z własnej woli i wszyscy uznają cię za Wielkiego Króla. Czy nie mogą zrozumieć, że są bardziej Ateńczykami niż Flyanami czy Acharniakami? Założę się, że wojna mogłaby się skończyć dwa razy szybciej, gdyby nie ich kłótnie.

- Ale oni są bardzo przywiązani do swoich tradycji - odpowiedział. - Jeśli spróbuję to zmienić, pomyślą, że faworyzuję ich przeciwników, a wtedy sprzymierzą się z moimi wrogami. Attyka to nie Eleusis.

- Wiem, panie - powiedziałem i zamyśliłem się. Poszedłem za nim do jego komnaty, by przy kominku napić się z nim wina z mlekiem. Biały ogar trącił moją dłoń. Zawsze w ten sposób domagał się, by mu dać fusu do wylizania.

- Panie - odezwałem się po chwili - czy kiedykolwiek myślałeś, by zwołać wszystkich szlachetnie urodzonych? Na pewno są rzeczy, których chce każdy: pragną mieć ziemię, zachować porządek, zbierać dziesięcinę. Wspólnie, dla własnego dobra, mogliby wymyślić kilka praw obowiązujących w całym kraju. Rzemieślnicy zresztą też. Przecież każdy z nich pragnie otrzymywać godziwą zapłatę za swoją pracę, a nie oddawać towary za pół darmo. Wieśniacy z kolei potrzebują prawa dotyczącego granic i zwierząt wchodzących w szkołę oraz użytkowania górskich pastwisk. Jeśli te trzy stany zdołają obmyślić jakieś wspólne zasady postępowania, to na pewno zbliży ich to do siebie i wszelkie waśnie ustaną. I dopiero jeśli wódz będzie kłócił się z wodzem, a rzemieślnik z rzemieślnikiem, będą przybywać do Aten. Z czasem prawo z pewnością ujednotlic się.

- Nie, nie - potrząsną głową i westchnął, gdyż był już tym wszystkim zmęczony. - Wtedy pojawiłyby się dwie przyczyny niesnasek tam, gdzie teraz jest tylko jedna. Dobrze to obmyśliłeś, synu, ale byłoby to za bardzo sprzeczne z obyczajem.

- Panie, teraz są podekscytowani tymi wszystkimi ziemiami przyłączonymi od południa, więc mogliby takie zmiany przyjąć łatwiej niż przed laty. Latem przypada święto Bogini, którą czczą wszyscy, choć każdy zwie ją inaczej. Moglibyśmy urządzić igrzyska z okazji zwycięstwa i uczynić z tego nowy zwyczaj. Na pewno z chęcią

wezmą w tym udział. W ten sposób przygotowalibyś ich na zmiany.

- Nie! - obstawał przy swoim. - Lepiej choć raz świętujmy, zamiast przelewać krew.

Jego głos stał się szorstki, a ja wyrzucałem sobie, że niepokoję go, choć jest zmęczony. Mimo to po głowie, niczym ptak w klatce, tłukła mi się myśl: „Marnujemy świetną okazję. Gdy nadejdzie mój dzień, przyjdzie mi za to zapłacić”. Nie powiedziałem jednak o tym ojcu, ponieważ okazał mi dobroć i sownie wynagrodził moich ludzi.

W jego Pałacu była dziewczyna, nagroda wojenna. Miała ciemne włosy, śniadą cerę i ciemnoniebieskie oczy. Przedtem należała do jednego z synów Pallasa i mieszkała w domu na Przylądku Sounion. Dostrzegłszy ją wśród branek, miałem zamiar ją sobie wziąć, gdy dzielono łupy, gdyż nigdy nie sądziłem, że ojciec mógłby chcieć dla siebie kobietę. On jednak również ją zauważył i wybrał, zanim wziął cokolwiek innego. Teraz, gdy Medea odeszła, nie było żadnej kobiety, z którą mógłby dzielić łożę. Ponieważ byłem jeszcze młody i głupi, byłem zdziwiony, a nawet wstrząśnięty, gdy zobaczyłem, że ojciec podszedł właśnie do niej. Sądziłem bowiem, że zechce raczej jakąś pięćdziesięciolatkę. Odsunąłem jednak tę myśl od siebie, ostatecznie miałem Filonę, dobrą dziewczynę, wartą dziesięciu innych, które z reguły okazywały się ciężarem, gdyż wiecznie oglądały się za innymi mężczyznami. Nie pofatygowałem się jednak, by przestrzec przed tym ojca. Pamiętam, jak pewnego dnia jego branka wybiegła na taras i wpadła prosto na mnie. Poprosiła o wybaczenie, ale jednocześnie tak mocno się do mnie przycisnęła, że równie dobrze mogłaby być naga. Jej bezwstydność rozgniewała mnie. Odepchnąłem ją od siebie z całej siły. Upadłaby, gdyby nie uderzyła o ścianę. Potem pociągnąłem ją w stronę balustrady i przewiesiłem przez barierkę.

- Słuchaj no uważnie, ladacznico - powiedziałem. - Tam wylądujesz, jeśli kiedykolwiek dowiem się, że krzywdzisz bądź oszukujesz mojego ojca.

Uciekła przerażona i od tamtego czasu zachowywała się bardziej przyzwoicie, więc nie musiałem już zwracać tym głowy ojcu.

Zima upłynęła mi na podróżowaniu pomiędzy Atenami a Eleusis i na wyprawach po Attyce w celu zaprowadzenia porządku. Wkrótce śniegi zeszyły z gór, a na wilgotnych brzegach rzek dawało się wyczuć zapach fiołków. Gdy pewnego dnia młody jeleń wszedł w szkodę, wyruszyłem na polowanie. Namówiłem ojca, by mi towarzyszył i zażył trochę świeżego powietrza, gdyż nigdy nie przebywał dość dużo na zewnątrz. Dotarliśmy do podnóża Lykabettos i jechaliśmy pod górę pomiędzy sosnami, aż do miejsca, gdzie grunt robi się skalisty. Wtedy koń mojego ojca potknął się i zrzucił go prosto na kamienie. Jakiś myśliwy pozostawił tam bezmyślnie swoją siatkę, po czym poszedł sobie. Potem nagle pojawił się i zaczął przeproszać tak, jakby stłukł komuś garnek, a nie prawie uśmiercił Króla. Ojcu, który był cały posiniaczony, pomogłem się podnieść, a głupcowi wybiłem parę zębów, żeby na następny raz nie pozostawiał sieci bez nadzoru. Powiedziałem mu też, że i tak uszło mu to prawie na sucho.

Pewnego dnia ojciec obwieścił mi:

- Wkrótce statki znów będą mogły wypłynąć na morze i kobiety będą mogły podróżować. A gdybym tak posłał po twoją matkę? Na pewno z radością cię zobaczy, a i ja rad bym ją znów ujrzeć.

Zauważyłem, że obserwował mnie, by sprawdzić, jak to przyjmę i zorientowałem się, że będąc ostrożnym człowiekiem, nie mówi mi wszystkiego. Pragnął uczynić moją matkę królową Aten, co i mnie wyszłoby na dobre. Ostatni raz widział ją, gdy była młodsza niż ja teraz. „Kiedy ją zobaczy - pomyślałem - z pewnością będzie chciał z nią znowu iść do łóżka. Jej skóra jest nadal gładka jak u młodej dziewczyny, chyba że jest chora lub zmęczona. Na dodatek nie ma jeszcze ani jednego siwego włosa. Poza tym to było to, czego tak bardzo dla niej pragnąłem: zobaczyć ją szanowaną w domu mego ojca”. Pamiętam, jak będąc jeszcze dzieckiem, patrzyłem na nią w

kąpieli albo przystrojoną w klejnoty i myślałem, że tylko bóg jest godzien, by ją obejmować.

- Nie będzie mogła wyjechać, dopóki Święty Wąż nie zmieni skóry - powiedziałem - i dopóki nie złoży i nie odbierze wiosennych ofiar. Ma wiele pracy, ale potem na pewno przyjedzie.

Odłożył więc poinformowanie jej na później, gdyż na razie było jeszcze za wcześnie.

Pamiętam, jak mniej więcej w tym samym czasie ojciec napędził mi strachu. Na górnym tarasie, tuż nad skałą jest róg. Gdy się tam stanie i spojrzy w dół, domy wydają się tak małe, jakby dzieci ulepiły je z gliny, a psy wygrzewające się na dachach są nie większe od żuków. Stamtąd rozciąga się też widok na pół królestwa, aż po same góry. Pewnego dnia zobaczyłem, jak ojciec wychyla się. Tuż obok niego dostrzegłem pęknięcie w kamiennej balustradzie. Tak mnie to przeraziło, że aż wstrzymałem oddech. Potem zaraz podbiegłem i odciągnąłem go do tyłu. Spojrzał na mnie zaskoczony, ponieważ nie usłyszał, że się zbliżam, a kiedy pokazałem mu pęknięcie, zlekceważył je i powiedział, że było tam od zawsze. Tak więc sam posłałem wtedy po kamieniarza, by naprawił balustradę, na wypadek, gdyby ojciec zapomniał, ale nawet potem, jak tylko widziałem, że tam stoi, ogarniał mnie niepokój.

Ojciec lubił mieć mnie przy sobie w Atenach. Lubiał, gdy siedziałem z nim w Sali lub szedłem między ludzi. Nie miałem nic przeciwko, z wyjątkiem tego, że nie mogłem być wtedy w Eleusis, gdzie rządziłem po swojemu. W Atenach mogłem się jedynie przyglądać. Widziałem ludzi, którzy moim zdaniem postawieni byli za wysoko, a inni za nisko, choć stać ich było na więcej, albo że niektóre rzeczy robiono z wysiłkiem, choć wcale nie były skomplikowane. Mój ojciec miał za mało czasu, by się tym wszystkim zajmować, a z czasem przywykł do takiego stanu rzeczy. Jeśli chciałem z nim na ten temat porozmawiać, uśmiechał się tylko i mówił, że młodzi zawsze stawiają Babilon w jeden dzień.

W Pałacu była kobieta, która należała do jego ojca, jeszcze zanim mój ojciec się urodził. Miała teraz ponad osiemdziesiąt lat i nie

pracowała dużo. Mieszała wonne olejki do kąpeli i suszyła aromatyczne zioła. Pewnego dnia, gdy zażywałem kąpeli, podeszła, chwyciła kosmyk moich włosów i powiedziała:

- Wracaj chłopcze, dokąd uciekasz myślami?
Pozwalano jej na więcej, niż innym, gdyż była stara.
- Do Eleusis - odparłem.
- A cóż takiego brakuje Atenom? - spytała.
- Atenom? Nic.

Ojciec oddał mi do dyspozycji dwa piękne pokoje. Kazał je odmalować i teraz ściany pokryte były malowidłami przedstawiającymi konnych wojowników i pięknymi lwami, które bardzo mi się spodobały i które zachowałem do dziś.

- Atenom nic nie brakuje - powiedziałem. - W Eleusis mam jednak sporo pracy i powinienem tam teraz być.

Wzięła moją dłoń, odwróciła i spojrzała na nią.

- To dłoń mąciwody. Człowieka, który bez ustanku coś robi i nie pozwala rzeczom toczyć się ich własnym trybem. Zatrzymaj się, Pasterzu Ludu, zaczekaj na bogów, oni ześlą ci dość pracy. Bądź cierpliwy w stosunku do ojca. Bardzo długo czekał, by móc powiedzieć: „Oto mój syn”. Teraz chce nadrobić stracony czas. Miej cierpliwość do niego, bo to ty masz przed jeszcze czas przed sobą.

Wyrwałem dłoń z jej ręki.

- Co chcesz przez to powiedzieć, stara skrzecząca sowo? On jest o trzydzieści lat młodszy od ciebie, a ty wyglądasz, jakbyś miała żyć jeszcze co najmniej dziesięć. Zanim bóg po niego pośle, ja sam będę tak stary, jak on teraz. Źle mu życzysz, czy co?

Gdy to powiedziałem, zrobiło mi się przykro, więc dodałem szybko:

- Nie, nie myślę tak, ale nie powinnaś gadać bez zastanowienia, nawet jeśli nie masz złych zamiarów.

Spojrzała na mnie spod pomarszczonych powiek.

- Uspokój się, Pasterzu Aten - odezwała się. - Bogowie cię lubią. Bogowie cię oszczędzą.

- Mnie? - spytałem, gapiąc się na nią z niedowierzaniem, ale ona wyszła bez słowa. Była najstarszą kobietą w Pałacu i najwyraźniej postradała rozum.

Zima odeszła, na czarnych gałązkach winorośli pojawiły się pierwsze blade pączki, a w oddali kukła kukułka. Pewnego dnia ojciec powiedział:

- Synu, musiałeś się urodzić mniej więcej o tej porze roku.
- To prawda, pod koniec pierwszej połowy czwartego miesiąca.

Tak przynajmniej mówiła matka.

Uderzył pięścią w otwartą dłoń.

- Jakżeż mogłem zapomnieć! W takim razie musimy urządzić ucztę na twoją cześć. Twoja matka również powinna tu być. Nie możemy dłużej na nią czekać. Całe Ateny wiedzą, kiedy przejeżdżałem przez Trojzenę i jeśli nie będziemy świętować twoich urodzin, dojdą do wniosku, że nie jesteś moim synem. Nic dziwnego, że zapomniałem. Bardzo szybko dorosłeś i przegapiłem twoje dzieciństwo. Będzie to zarazem uczta na cześć twego zwiąstwa.

Pomyślałem o matce i jej obowiązkach.

- Moglibyśmy w tym dniu złożyć ofiary – odezwałem się po chwili - i posłać po nią do Trojzeny, a święto urządzić później.

Ale ojciec potrząsnął głową i powiedział:

- Tak się nie da. Jeśli to przełożymy, uroczystości wypadną w dniu składania daniny i ludziom nie w głowie będzie świętowanie.

Ze względu na wojnę i wszystko, co zdarzyło się od momentu mego przybycia do Aten, nie zrozumiałem, o jaką daninę chodziło, a potem myślałem o matce i po prostu zapomniałem spytać.

W dniu urodzin zbudziłem się bardzo wcześnie, ale ojciec wstał jeszcze wcześniej. Kapłan Apollona podciął mi włosy i zgolił meszek z policzków i podbródka. Okazało się, że byłem bardziej zarosnięty niż myślałem, gdyż włoski, rzadko golone, były miękkie i jasne.

Ojciec uśmiechnął się do mnie, powiedział, że chce mi coś pokazać i poprowadził w stronę stajni. Słudzy otwarli szeroko drzwi. W środku zobaczyłem nowiutki rydwan z ciemnego wypolerowanego drzewa cyprysowego, inkrustowany kością słoniową i z kołami obitymi srebrem. Było to prawdziwe dzieło sztuki. Śmiejąc się, kazał

mi się przyjrzeć osi. Powiedział, że tym razem kołek na pewno nie jest zrobiony z wosku.

Był to prezent, o jakim nawet nie marzyłem. Dziękując mu, przyklęknąłem na jedno kolano i przytknąłem jego dłoń do mej brwi.

- Poczekaj, nie śpiesz się tak. Obejrzyj najpierw konie.

Oba rumaki były starannie dobrane. Miały czarną, błyszczącą sierść z białą strzałką na czołach. Były to silne zwierzęta i tak piękne, że mogłyby być synami wiatru północnego.

- Sprowadziliśmy je tu tak sprytnie - odezwał się mój ojciec - jak Hermes-oszust, gdy wykradł Apollonowi młode byczki. Rydwan wprowadziliśmy, gdy byłeś w Eleusis, a konie dziś rano, gdy jeszcze spałeś.

Zatarł ręce z radości, a ja wzruszyłem się, że tak bardzo chciał zrobić mi niespodziankę, jakbym był jeszcze dzieckiem.

- Musimy je wyprowadzić - powiedziałem. - Zakończ dziś wcześniej swe sprawy, a będę twoim woźnicą.

Uzgodniliśmy, że po odprawieniu rytuałów udamy się do Pajonii w pobliżu Hymettu.

Wokół świątyni Apollona, na stokach, zgromadził się tłum ludzi. Podobnie jak najdostojniejsi mieszkańcy Aten, tak i najdostojniejsi mieszkańcy Eleusis wraz z Kompanami zostali zaproszeni na uroczystości. Podczas gdy kapłan przyglądał się wnętrznościom ofiary, co zajęło mu dość dużo czasu, w tłumie rozległ się szmer, tak jakby ludzie przekazywali sobie jakąś nowinę. Odniosłem wrażenie, że ciemna chmura skrywa słońce. Jestem człowiekiem, który lubi wiedzieć, co się wokół dzieje, ale nie mogłem teraz opuścić swojego miejsca, by spytać, o co chodzi. W końcu ruszyliśmy do Pałacowej świątyni, by złożyć ofiarę Posejdonowi i Matce. Gdy dopełniliśmy rytuału, zacząłem szukać ojca, ale gdzieś zniknął. Pewnie poszedł dokończyć obowiązki, tak jak się umawialiśmy.

Zmieniłem ubranie na tunikę woźnicy, przymocowałem skórzaną nagolenniki i związałem włosy. Następnie udałem się do koni. Dałem im trochę soli i spędziłem z nimi nieco czasu, by poznały swego nowego pana. Od strony Pałacu dochodziły mnie odgłosy

krzątany, ale w dniu świątecznym nie było to nic dziwnego. Przy koniach był młody stajenny, czyszczący uprząż. Ktoś go zawołał, więc odłożył szmatkę i wosk i wyszedł z przerażeniem odmalowującym się na jego twarzy. Ciekaw byłem, co też takiego zrobił, że był tak przerażony, ale szybko zapomniałem o wszystkim.

Potem poszedłem obejrzeć rydwan. Przyjrzałem się inkrustowanemu delfinom i gołębiom i sprawdziłem równowagę. Wkrótce jednak i to mi się znudziło i nie mogłem się powstrzymać od myśli, że starzy ludzie są niezwykle powolni. Sam już dawno bym wszystko załatwił. Przywołałem stajennego, każąc mu wyprowadzić pojazd. Koni natomiast nie chciałem spuszczać z oczu. Odniosłem wrażenie, że chłopak, odchodząc, jakoś dziwnie na mnie spojrział. Wprawdzie odtrąciłem od siebie tę myśl, ale ogarnęło mnie nieprzyjemne uczucie.

Czekałem i czekałem, aż konie zaczęły się niecierpliwić i w końcu postanowiłem pójść zobaczyć, co zatrzymało mojego ojca. Wtedy właśnie nadszedł. Był sam. Nawet ubrania nie zmienił. Mógłbym przysiąc, że najzwyczajniej w świecie zapomniał, dlaczego czekałem. Podeszedł, zamrugał oczami i powiedział:

- Przykro mi synu, ale to musi poczekać do jutra.

Powiedziałem mu, że mi również jest przykro, iż nie może mi towarzyszyć, co było oczywiście prawdą, ale jednocześnie pomyślałem, że będę mógł przepędzić trochę konie.

- Co się stało, ojcze? - spytałem, spojrzawszy na niego ponownie. - Otrzymałeś jakieś wieści? Złe wieści?

- To nic - odpowiedział. - Obowiązki mnie zatrzymują. Weź konie na przejażdżkę, chłopcze, ale wyjedź tylnymi drzwiami i nie przejeżdżaj przez rynek.

Zamarłem i spytałem:

- Dlaczego nie?

Przecież dopiero co walczyłem z nim na wojnie, a to był dzień, w którym stawałem się dorosłym mężczyzną. Ojciec wyprostował się i odpowiedział ostro:

- Czasami musisz się podporządkować bez zadawania pytań.

Usiłowałem zachować spokój. W końcu to on był Królem i miał prawo nie wyjawiać mi przyczyn. Coś jednak się stało, więc poczułem złość, że ukrywa to przede mną. Poza tym będąc młodym i bardzo pewnym siebie, uważałem, że bez mojej pomocy sobie nie poradzi. „Zapłacę za to - pomyślałem - gdy nadejdzie mój czas, jeśli będę żył dostatecznie długo”.

Czułem, że opanowuje mnie gniew, więc skupiłem się na swoich obowiązkach wobec niego, na jego dobroci i tylko zacisnąłem zęby i pięści. Cały się trząsałem i pocilem, jak koń, którego jeździec powstrzymuje i jednocześnie próbuje zmusić do galopu.

- Powinieneś mi zaufać - powiedział z rozdrażnieniem. - Chcę tylko twojego dobra.

Przełknąłem ślinę i odezwałem się, cedząc słowa:

- Najwyraźniej źle policzyliśmy, panie. Widać nadal jestem tylko dzieckiem.

- Nie gniewaj się, Tezeuszu - w jego głosie zabrzmiała błagalna nuta.

Pomyślałem, że muszę zrobić to, o co mnie prosi. Jest przecież dla mnie taki dobry. Poza tym to mój ojciec, król i kapłan, potrójnie oddany Wiecznie Żywemu Zeusowi. Potem pomyślałem sobie jednak, że nie ma nawet siły, by powiedzieć mi, co się dzieje. Cóż więc zamierza takiego zrobić? Zauważyłem, że trzęsę się bardziej niż on. Bałem się sam siebie i czegoś, czego nie potrafiłem określić. Czegoś, co było jak mroczny cień przysłaniający mi słońce.

Gdy tak staliśmy w milczeniu, z Pałacu wyszedł jeden z Możliwych z Pałacu. Był to ospały, powolny człowiek.

- Królu Ajgeuszu - odezwał się. - Wszędzie cię szukałem. Chłopcy i dziewczęta są gotowi. Stoją na rynku, a dowódca Kreteńczyków mówi, że jeśli się zaraz nie pojawisz, nie będzie czekał na loterię, tylko sam sobie wybierze czternaścioro z nich.

Mój ojciec wciągnął głośno powietrze i powiedział:

- Odejdź stąd, głupcze.

Mężczyzna spojrział na nas ze zdziwieniem, po czym odszedł, a my patrzyliśmy na siebie.

- Ojcie, wybacz mą niecierpliwość - przerwałem po chwili milczenie. - Ale dlaczego nic mi nie powiedziałeś?

Nie odzywał się i tylko przeciągnął dłonią po czole.

- Wymykać się tylnymi drzwiami! Czy wiesz, na jakiego głupca bym wyszedł? Na Zeusa Gromowładnego! Jestem władcą Eleusis. Nawet bezczelność Kreteńczyków nie może skłonić ich do porwania króla. Dlaczego mam się ukrywać? Powiniennem być tam teraz razem z ludźmi w swoim starym ubraniu i pokazać im, że nie raduję się, gdy oni oplakują swoje dzieci. Poza tym muszę odprawić do domu moich Kompanów. Nierozsądnie jest pozwalać im spacerować sobie po mieście, gdy zabiera się ateńskich chłopców. Takie rzeczy pozostawiają urazy. Gdzie jest herold? Chcę, by ich zwołał.

Ojciec nadal milczał, a mi skóra cierpła, jak psu przed burzą.

- Tak? - spytałem. - Co się stało?

W końcu odpowiedział:

- Nie możesz ich teraz zwołać. Kreteńczycy przybyli w tym roku wcześniej. Twoi chłopcy zostali zebrani razem z innymi.

Postąpiłem krok do przodu.

- Co takiego? - powiedziałem głośniejszym głosem. Konie się spłoszyły, więc kazałem stajennemu odprowadzić je.

- Ojcie - powiedziałem w końcu - czy to jest w porządku? Odpowiadam za nich przed własnymi ludźmi.

Szeptalem niemal, starając się nie podnosić głosu. Po prostu nie ufałem sobie.

- Jak mogłeś ukrywać to przede mną?

- Jesteś zbyt porywczy - odparł. - Nie chciałem, żebyś wyszedł na spotkanie Kreteńczyków, będąc w gniewie.

Widziałem, że był bliski łez.

- Pewnego razu wywiązała się tutaj bijatyka - kontynuował. - Zginął wtedy jeden z ich książąt, a danina jest karą, jaką na nas nałożyli za tamto wydarzenie. Następnym razem wyślą setkę statków i zrównają to miejsce z ziemią. Co mogłem zrobić? Co?

Zasmuciło mnie to, gdyż wiedziałem, że właściwie mnie ocenił.

- Dobrze ojciec - odezwałem się. - Nie będę wywoływał awantur, ale muszę się tam natychmiast udać i zabrać stamtąd moich ludzi. Co oni muszą sobie o mnie teraz myśleć?

- Król Minos wie wszystko - potrząsnął głową. - Wie, że nasze królestwa są teraz połączone i nie sądzę, by tak łatwo zrezygnował ze swoich roszczeń.

- Ale ja przysięgałem im, że nie będą pokrzywdzeni, jeśli przyłączą się do Aten - powiedziałem, chwytając za rękkojeść sztyletu i starając się zachować spokój.

Stał i w zamyśleniu pocierał policzek.

- Jeśli w losowaniu zostanie wybrany któryś z twoich chłopców, będziesz miał powód, by sam zażądać daniny. Czasami, Tezeuszu, trzeba poświęcić jednego człowieka dla dobra wszystkich.

Uniosłem dłoń do głowy. W uszach mi dzwoniło, a ojciec mówił dalej:

- Ostatecznie to tylko Minyanie, a nie Hellenowie.

Dzwonienie w uszach stało się bardziej natarczywe.

- Minyanin, Hellen, co za różnica! - wykrzyknąłem. - Przysięgałem przed bogiem, że będę ich bronił! Kim będę? Kim jestem?

Powiedział coś, o tym, że jestem jego synem i Pasterzem Aten, ale ja słyszałem jego głos tak, jakby dochodził zza ściany.

- Ojciec! Cóż mam zrobić! - zawołałem przycisnąwszy pięść do czoła, ale kiedy tylko wypowiedziałem te słowa, zrozumiałem, że nie kieruję ich do Ajgeusza. Po chwili ochłonąłem nieco i usłyszałem, że pyta, czy dobrze się czuję.

- Tak, panie - odparłem. - Już mi lepiej. Wiem, co muszę zrobić, by ratować honor. Jeśli nie zechce uwolnić moich ludzi, muszę wziąć udział w losowaniu, na równi z innymi.

- Ty?! - spytał otwierając oczy i usta ze zdziwienia. - Czyś ty oszalał, mój chłopcze?

Po chwili jednak opanował się i gładząc brodę dodał:

- Cóż, miałeś rację wracając do Eleusis. Potrafisz przeczuć takie rzeczy. Jeśli staniesz pomiędzy ludźmi, z pewnością ich to uspokoi. Tak, to chyba dobry pomysł.

Ucieszyłem się, widząc, że znów jest spokojny. Położyłem dłoń na jego ramieniu i powiedziałem:

- Nie denerwuj się, ojcze. Bóg mnie nie weźmie, jeśli nie takie jest moje przeznaczenie. Przebiorę się tylko i zaraz wrócę.

Popędziłem do Pałacu, by zmienić ubranie. Włożyłem na siebie pierwszą lepszą rzecz, która wpadła mi w ręce, czyli strój do polowania z niebarwionej sarniej skóry z zielonymi frędzlami biegnącymi wzdłuż ud. Wtedy ledwie na niego spojrzałem i dopiero później spostrzegłem, co mam na sobie. Mój ojciec stał tam, gdzie go zostawiłem, a szambelan, któremu wydał jakieś rozkazy, oddalał się w pośpiechu.

Z Północnego Tarasu widać było rynek, z którego z okazji święta usunięto zagrody oraz stragany. Chłopcy i dziewczęta stali po północnej stronie placu, gdzie umieszczono ołtarz Wszystkich Bogów. Gdy zeszedliśmy na dół usłyszeliśmy płacz.

Zanim dotarliśmy na miejsce, Kreteńczycy otoczyli zgromadzonych. Wysokich, grubych, chorych, kulawych i niedołączonych wypuszczono, a małym zwinnym, silnym i szczupłym kazano pozostać. Chłopców ustawiono po prawej, a dziewczęta po lewej. Tak to się zaczynało, ale niektórzy wyszli na środek i stanęli razem. Po tym można było poznać, którzy byli oficjalnie zaręczeni, a którzy chowali to w tajemnicy aż do tamtego dnia. Wiele z dziewcząt było jeszcze dziećmi, a ponieważ jedynie dziewice mogły tańczyć taniec byka, przed przybyciem Kreteńczyków odbywało się bardzo dużo ślubów. Przybysze zawsze przywozili ze sobą kapłankę, by ta rozstrzygnęła wszelkie spory w tej kwestii.

Pomiędzy chłopcami stała jedna trzecia moich Kompanów. Gdy podszedłem bliżej, pomachali mi i wtedy zorientowałem się, że spodziewali się natychmiastowego uwolnienia, skoro przybyłem. Odmachałem im, by sądzili, że jestem tego samego zdania, co oni.

Potem poczułem na sobie wzrok Ateńczyków. Wiem, co myśleli, widząc mnie idącego spokojnie u boku ojca. Dostrzegłem, że do loterii wybrano chłopców, którzy nie mieli jeszcze nawet szesnastu lat, ale wzrostem dorównywali mi. Przypomniałem też sobie, jak dziadek powiedział, że według Kreteńczyków nadawałbym się do tańca z bykiem. Niedobrze zrobiło mi się na samą myśl o tym wszystkim i ogarnęła mnie złość. Odwróciłem się w stronę przybyszów.

W pierwszej chwili zadrzałem na ich widok, gdyż wszyscy byli czarni. Zupełnie zapomniałem o cudzoziemskich najemnikach Minosa. Wszyscy odziani byli w stroje ze skóry lamparta, a na głowach mieli hełmy zrobione z głów koni z grzywami i uszami. Ich tarcze były czarno-białe, wykonane ze skór jakiegoś zwierzęcia, którego nie znałem. Ramiona lśniły im w słońcu, a patrząc na Cytadelę błyskali białkami oczu. Poza tym nawet nie drgnęli. Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby oddział stał tak nieruchomo, trzymając tarcze i oszczepy w jednej linii, niczym jedno ciało o tysiącu głów. Na czele stał kapitan, jedyny Kreteńczyk wśród przybyłych.

Pojęcie o Kreteńczykach wyrobiłem sobie na podstawie tych, którzy przybywali do Trojzeny. Powinienem był się domyślić, że tamci byli jedynie handlarzami naśladowującymi mieszkańców Pałacu w Knossos tam, gdzie nikt i tak nie dostrzegał różnicy. Teraz przede mną stał wzór i nie dało się ukryć, że tamte kopie była słabej jakości.

Dowódca na pierwszy rzut oka wyglądał jak dziewczyna. Szaty miał paradne, a głowę odkrytą. Jego tarczę i hełm trzymał ładny, czarny chłopiec. Krucze włosy Kreteńczyka, pofalowane i delikatne jak u kobiety, zaczesane były do tyłu i opadały aż do pasa. Twarz miał gładko ogoloną tak, że trzeba było się dobrze przyjrzeć, by dostrzec, iż ma około trzydziestu lat. Jedyną częścią garderoby, jaką miał na sobie, był gruby, zwinięty pas na szczupłej talii oraz nago-lenniki z cielejącej skóry. Szyję ozdabiał naszyjnik ze złotych i kryształowych koralików. Wszystko to dostrzegłem, zanim jeszcze na mnie spojrział. To oraz sposób, w jaki stał. Wyglądał niczym malowidło ścienne przedstawiające zwycięzcę, którego nie wzruszają słowa, czas, zmiany, lzy, ani złość, i który będzie tak stał ze spokojem

i dumą nie troszcząc się o nic, dopóki trzęsienie ziemi nie obróci ściany w perzynę.

Podszedłem do niego, a on spojrział na mnie zza swoich długich, czarnych rzęs. Był nieco niższy ode mnie, ale starał się pokazać, że to jest wzrost właściwy dla szlachetnie urodzonych. Zanim jeszcze otworzyłem usta, powiedział:

- Przykro mi, ale o ile nie masz ulaskawienia na piśmie, nie mogę nic zrobić.

Czując, że ogarnia mnie złość, wspomniałem słowa ojca i powiedziałem cicho:

- Nie o to chodzi. Jestem Tezeusz, król Eleusis.

- Wybacz mi, panie - odezwał się chłodno i bez cienia poczucia winy, lecz grzecznie.

- Tam stoi kilkunastu młodych ludzi, którzy są moją strażą przyboczną. To ci bez brody. Oni są tylko gośćmi w Atenach. Bę-dziecie musieli zaczekać, aż ich stamtąd zabiorę.

Uniósł brwi.

- Otrzymałem informację, że Eleusis podlega teraz Atenom, że jest lennem następcy króla, z którym, jak sądzę, mam zaszczyt teraz rozmawiać.

Miałem wrażenie, że przemawiam do posągu z brązu.

- Nie jestem niczym lennikiem. Eleusis jest moim królestwem. Poprzedniego władcę zabiłem zgodnie z obyczajem, a naszą daniną, płacną dwa razy do roku, jest określona ilość zboża i wina - powiedziałem. Do takich rzeczy mam dobrą pamięć.

- Cóż, jeśli zwróciłbyś się na piśmie do naszego władcy, może by sprawę rozpatrzył. Ja nie jestem sędzią, pobieram daninę tam, gdzie mi każą. Ostatecznie królów w tych okolicach jest wielu, a na Krecie tylko jeden.

Ręce mnie świerzbiły, żeby go uderzyć, ale pamiętałem o ludziach. Zauważył, że jestem zły, więc powiedział bez cienia emocji:

- Uwierz mi, książę, ta loteria to nie mój pomysł. To niewygodna, którą muszę znosić. Wszędzie, gdzie jestem, staram się przestrzegać miejscowych obyczajów. Gdy przybywam do Koryntu, chłopcy i dziewczęta już na mnie czekają na nabrzeżu. Oszczędzają

mi to wiele czasu i kłopotów, jak się zapewne domyślasz.

- Z pewnością - odparłem. - W Atenach natomiast musisz czekać, aż sprawiedliwości stanie się zadość, a ludzie to wszystko widzą.

- Tak, tak. To zrozumiałe. Widzisz więc, że nie mogę wziąć twej prośby pod uwagę. Pomyśl, jakby to wyglądało, gdybyś zaczął sobie chodzić i wybierać tego czy tamtego chłopca? Ludzie pomyśleliby, że w tym wieku nie działasz bez zgody ojca, że wyblagałeś życie synów jego przyjaciół albo kogoś drogiego tobie. A wtedy zaczęłyby się kłopoty. Mogę znieść tę zwłokę, ale buntu tolerować nie będę. Uwierz mi, wiem coś o tym.

Udało mi się pohamować i nawet nie podniosłem głosu.

- Nie spędziłeś tu nawet pół dnia i ty chcesz mi mówić, co myślą ludzie? - powiedziałem tylko.

- Bez urazy - odrzekł swobodnie. - Mówię ci to, co wiem. Ty albo raczej twój ojciec wprowadził taki zwyczaj, a ja zgadzam się na niego, bez względu na to, jak kłopotliwy jest i dopilnuję, by wszystko doprowadzić do końca. To moje ostatnie słowo. Dokąd idziesz?

Jego głos zmienił się, a po czarnych wojownikach stojących za nim przeszedł szmer przypominający pomrukiwanie pумы szykującej się do skoku.

Odróciłem się i powiedziałem tak, by wszyscy mogli mnie słyszeć:

- Idę do moich ludzi, by dzielić ich los.

Usłyszałem pomruk i zobaczyłem, że ojciec rozgląda się na wszystkie strony. Spojrzałem za siebie. W moim kierunku pędził kapitan Kreteńczyków, pozostawiając wojowników tam, gdzie stali.

Szepcząc mi miękko do ucha, powiedział:

- Zastanów się jeszcze. Niech sława i chwała nie przyćmią twego umysłu. Dobry tancerz byka żyje nie dłużej niż sześć miesięcy. Jeśli chcesz zwiedzić świat, mogę znaleźć ci pracę w Małym Pałacu. Możesz popłynąć z nami jako wolny człowiek.

Teraz nie miałem już nic do stracenia i mogłem dać upust złości.

- Przyślij do mnie swego starszego brata, panienko, i niech on poprosi, bym służył Minosowi za pieniądze.

Gdy odwracałem się od niego, dostrzegłem bystre i uważne, lecz pozbawione gniewu spojrzenie jego ciemnych oczu.

Przeciąłem rynek i stanąłem pomiędzy Kompanami. Wyciągnęli ręce, chwycili mnie i pokleпали po plecach, tak jak w dawnych czasach, gdy byłem jeszcze Rocznym Królem. Na rynku rozległ się gwar, z początku przytłumiony, a potem coraz głośniejszy. Ateńczycy wiwatowali, co mnie zaskoczyło, gdyż przed chwilą byłem świadkiem ich smutku. „Tak na dobrą sprawę, to też są moi ludzie - pomyslałem - teraz mogę reprezentować ich wszystkich”.

Przed moim ojcem postawiono stół, a na nim dwie olbrzymie okrągłe misy z pomalowanymi brzegami.

- Ateńczycy, oto losy z imionami waszych dzieci - po wiedział. - A oto los z imieniem mojego syna.

Wrzucił skorupę do naczynia po swojej prawej stronie, a ludzie ponownie zaczęli wiwatować. Następnie przywołał kapitana Kreteńczyków, który nie miał tu żadnych krewnych, by zamieszał losy. Uczynił to końcem włóczni, tak jakby była to bardzo męcząca praca, a mój ojciec w tym czasie uniósł ręce w górę i wzywał boga, nazywając go Trzęsącym Ziemią i Miłośnikiem Byków, by on sam wybrał ofiary. Słyszając te słowa przypomniałem sobie klątwę i dreszcz przeszedł mi po plecach. Spojrzałem na ojca, ale nic po nim nie było znać.

Najpierw wybierali dziewczęta. Kapłan Posejdona z zawiązanymi oczyma włożył rękę do naczynia i podał skorupę mojemu ojcu, który z kolei przekazał ją heroldowi, by ten odczytał imię. Za każdym razem widziałem, że twarze krewnych zwrócone były w stronę losującego, tak że wyglądały jak jeden długi, blade wąż z tysiącem oczu. Kiedy imię było już znane, dawał się słyszeć krzyk i płacz którejs z rodzin, a czasem jakiś mężczyzna wybiegał z tłumu i rzucał się na strażników, dopóki ci nie powalili go na ziemię. Przez chwilę reszta rodzin odczuwała ulgę, ale tylko do momentu wyciągnięcia kolejnego losu. Ostatnia dziewczynka miała tak jasne włosy

i tak łagodne, dobre spojrzenie, że wszyscy zapłakali nad nią. Czarni wojownicy uformowali wokół wybranych kwadrat, by nie dopuścić do nich tłumu. A potem przyszedł czas na chłopców.

Najpierw wylosowano dwóch Ateńczyków, a potem usłyszałem imię jednego z moich chłopców. Był to Menestes, którego ojciec był właścicielem siedmiu statków. Wyszedł z grupy pewnym krokiem i tylko raz obejrzał się za siebie spojrzawszy na swojego przyjaciela i na mnie. Potem znów wylosowano Ateńczyka, którego matka krzyknęła, jakby ją rozdzierano na kawałki. Słyszając to chłopak zbladł i cały zaczął się trząść. Pomyślałem sobie wtedy, że moja matka nigdy nie zhańbiłaby mnie w ten sposób. Szybko jednak wróciłem myślami do ojca, któremu musiało być ciężiej niż innym, gdyż więcej synów nie miał. Spojrzałem w stronę podestu, na którym stał. Kapłan Posejdona właśnie wkładał rękę do miski, by wylosować kolejnego chłopca. W tym momencie w tłumie nastąpiło poruszenie, jakaś kobieta chyba zemdląła. Ojciec obejrzał się, by zobaczyć co się stało.

Otoczyła mnie cisza, tak jakby Helios wstrzymał konie na samym środku nieba. Jeśli człowiek mógłby odrzucić wiedzę, zanim ją posiadzie, wołałbym się tego nie dowiedzieć. Ale wiedza przyszła do mnie, zanim mogłem jej tego zakazać. Odkąd bowiem skończyłem dziesięć lat, siadywałem w sali sądowej, obserwując ludzi i zanim jeszcze byłem w stanie zrozumieć przyczynę, już wiedziałem, kto był winny, a kto nie. Popatrzyłem na linię tych wszystkich oczu skierowanych na urnę jak oszczepy żołnierzy. Mój ojciec jednak się nie bał.

Uczucie to przypełzło do mnie powoli, łapiąc za serce. W żołądku i łędźwiach poczułem chłód, a wstyd ogarnął mnie niczym chmura kurzu. Myśli kłębiły się w głowie. „Co było na tej skorupie, którą wrzucił? Nie mogła być pusta, gdyż ktoś mógłby to zauważyć. Jakiś chłopak dostał drugą szansę, może teraz właśnie wylosowano jego imię? Nigdy się tego nie dowiem”.

Tak myślałem, a potem opanował mnie gniew, niczym fala sztormowa. W głowie mi huczało i cały się trząsałem. Mało nie oszalałem. Spojrzałem przed siebie i na wysokim podeście dojrzałem

człowieka w królewskich szatach i naszyjniku. Przez chwilę miałem wrażenie, że patrzę na wroga, na obcego mi człowieka, który splu-
nął mi w twarz na oczach wszystkich ludzi. Ręce mnie świerzbiły,
miałem ochotę go udusić, tak jak Kerkyona, gdy walczyliśmy o kró-
lestwo.

Stałem tam na wpół oszalały, a nade mną krążyły Córy Nocy ło-
począc swymi skrzydłami z brązu. Wtedy pojawił się Apollo, Po-
gromca Ciemności i uwolnił mnie. Przybrał kształt chłopaka stoją-
cego obok mnie, który dotknął mego ramienia i powiedział:

- Tezeuszu, spokojnie.

Odzyskałem wzrok i znów mogłem mówić i jasno myśleć.

- To ci Kreteńczycy tak mnie denerwują - odpowie działałem.

„Co to było?” pomyślałem. „Co zrobił mój ojciec? Co zrobiłby
każdy ojciec, gdyby mógł? A on jest przecież królem. Musi myśleć o
królestwie. Z pewnością jestem mu tutaj potrzebny. Nie powinie-
nem przez cały czas rozumować jak wojownik. Czy ktoś inny popły-
nie za mnie na Kretę? Poprowadziłem takich chłopców na wojnę i
nawet nie zdawałem sobie sprawy, że ich krzywdzę, choć wiedzia-
łem, że niektórzy z nich zginą. Dlaczego więc nienawidzę mego ojca,
a siebie jeszcze bardziej? Dlaczego więc nie mogę ścierpieć swego
życia?”

W międzyczasie odczytano kolejne nazwisko. Tym razem padło
na Amyntora, wysoko urodzonego, dumnego Eleuzeńczyka. W
przeciwieństwie do swego poprzednika, a może właśnie ze względu
na niego, ruszył żywo przed siebie, machając do przyjaciół i żartu-
jąc. Kapłan przygotował się do wyciągnięcia kolejnego losu.

„Co się ze mną dzieje?” pomyślałem. „Skąd ten gniew?” Spojrza-
łem na ojca i przypomniałem sobie, jak wzywał Posejdon, by sam
wybrał ofiary. „Tak, to musi być to! Zakpił z boga, strażnika domu,
dzięki któremu mnie splodził. Mam prawo się gniewać. Ten czło-
wiek obraził mego ojca!”

Teraz już rozumiałem swoje uczucia. Nie mogłem podzielić się swymi myślami z bogiem na głos, ponieważ nie chciałem, by wszyscy ludzie to słyszeli. Przyklęknąłem na jedno kolano, położyłem dłonie na ziemi i zacząłem szeptać tak, że tylko ja siebie słyszałem.

- Trzęsący Ziemią, Ojczy mój! Jeśli okradziono cię z jakiejś ofiary, powiedz mi i pokaż, co mam ci oddać.

Przerwałem i czekałem, by zobaczyć, czy ziemia się za-trzęsie, ale grunt pod moimi dłońmi ani drgnął. Mimo to wiedziałem, że ma dla mnie jakąś wiadomość i nie chce, bym odchodził. Pochyliłem się więc tak, że włosami zamiotłem kurz i wtedy przemówił do mnie. Usłyszałem jego głos, jakby się dobywał z głębi ziemi, przyszedł do mnie pod postacią znajomej wzbierającej fali, z hukiem bijącej o brzeg. Zdawała się mówić: „Te-zeusz!

Te-zeusz!”

Teraz już wiedziałem, czego bóg chce. Poczulem się, jakby mi ktoś wbił oszczep prosto w serce. Przyszedłem tu, by podzielić los trzydziestu innych chłopców. Jednak gdy zorientowałem się, co mnie czeka, smutek czarnym woalem opadł mi na oczy, a słońce przestało grzać. Pomyślałem, czego chciałem dokonać w Atenach: były to drobiazgi, do których pragnąłem namówić ojca, czekając na odpowiednią chwilę, by później móc dokonać większych rzeczy. Klęczałem wśród zgromadzonych, z włosami przy ziemi, ukrytą twarzą i własnym imieniem dźwięczącym w uszach i rozmyślałem nad swoim życiem. Myślałem o polowaniach z Kompanami, o ucztach, tańcach, o mojej komnacie ze ścianami, na których wymalowano lwy, o kobiecie, której pragnąłem i z którą chciałem porozmawiać w czasie uroczystości, o moich pięknych koniach, które ledwo zdołały mnie poznać, o pieśniach wojennych, podnieceniu wywołanym bitwą i pieśni triumfalnej.

„To niemożliwe - pomyślałem - przecież bóg przysłał mnie tu, bym został królem.

- Ojczy Posejdonie - wyszeptalem. - Weź ode mnie coś innego. Nie proszę o długie życie, jeśli tylko będę mógł wsławić się w Atenach i być zapamiętany. Teraz będzie tak, jakbym nigdy się nie

urodził. Jeśli chcesz mego życia, pozwól mi zginąć tu, w walce i zostawić jakiś ślad po sobie, pieśń barda czy choćby nagrobek.

W tym momencie usłyszałem, jak wywołują imię jakiegoś Ateńczyka. On był ostatni z siódemki.

- Posejdonie, oddam ci moje konie, najlepsze, jakie kiedykolwiek miałem. Bierz co chcesz, tylko nie to.

Szum fali cichł i pomyślałem, że zadowoli się końmi, ale odgłos nie odchodził tak, jak zwykle, rozpluwając się w powietrzu, ale powoli, stopniowo. Wtedy pomyślałem sobie, że bóg mnie opuszcza.

Nasłuchiwałem i usłyszałem coś jeszcze:

- Rób, jak uważasz, synu Ajgeusza. Spójrz, tam stoi twój ojciec. Zapomnij o mnie, nie usłyszysz mnie już więcej. Naucz się rządzić jak twój ojciec. Bądź wolny. Nie należysz do mnie, chyba, że tego zechcesz.

Spojrzałem na swoje życie, myślami cofnąłem się aż do dzieciństwa. „Za późno już, by być synem Ajgeusza” - pomyślałem.

Wstałem i odrzuciłem do tyłu włosy. Właśnie siłą wyciągano ostatniego wylosowanego chłopca, który ze strachu nie chciał iść sam. Kiedy go odprowadzano, rozglądał się wokoło tak, jakby to przytrafiło się komuś innemu, a nie jemu. „Zdziwi się - pomyślałem - gdy zorientuje się, że faktycznie tak jest”. Prawie wybuchnąłem śmiechem, gdyż poczułem, że bóg do mnie wraca.

Zrobiło mi się lekko na sercu i poczułem się pewnie, jak gdyby to był mój szczęśliwy dzień. Odetchnąłem głęboko. Niebezpieczeństwo minęło, a skrzydła z brązu i szpony oddaliły się. Strach mnie zupełnie opuścił i znów poczułem się dobrze. Szedłem z bogiem i wtedy echem powróciły do mnie słowa pewnego starego człowieka: „To przyzwolenie nas wyzwala”.

Lekkim krokiem podszedłem do podestu, wskoczyłem na niego i powiedziałem do herolda:

- Daj mi ostatni los.

Uczynił to. Usłyszałem głos wymawiający me imię, ale nie patrzyłem na skorupę. Wyciągnąłem swój sztylet, starłem to, co było na niej napisane i wydrapałem „Tezeusz”. Oddałem los heroldowi i rozkazałem:

- Przeczytaj jeszcze raz.

Popatrzył na mnie ze zdziwieniem. Znajoma mi dłoń sięgnęła po skorupę i wyrwała ją z ręki herolda, więc krzyknąłem do Kreteńczyka:

- To imię zostało źle odczytane. Na skorupie jest moje imię.

Wśród tłumu zapanowało poruszenie. Już myślałem, że znów będą wiwatować, ale oni zaczęli lamentować i oplakiwać mnie tak jak wtedy, gdy herold ogłasza śmierć Króla. Nie wiedziałem, jak mam na to zareagować. W moim sercu grała ponura muzyka. Gdy wystąpiłem naprzód, jakaś dłoń chwyciła mnie, ale strząsnąłem ją.

- Ateńczycy! - krzyknąłem. - Nie oplakujcie mnie! Bóg mnie wysyła. Wezwał mnie, bym udał się do byków i muszę go wysłuchać. Ale nie martwicie się. Wróćę.

Nie wiedziałem o tych słowach, dopóki ich nie wypowiedziałem. To bóg mi je podpowiedział.

- Popłynę z waszymi dziećmi i zaopiekuję się nimi - kontynuowałem. - Staną się moimi ludźmi.

Przestali lamentować i uciszeli się. Tylko tu i ówdzie dało się jeszcze słyszeć pochlipywanie matki, której dziecko zostało zabrane. Odwróciłem się, spojrzałem na ojca i dostrzegłem śmiertelnie rannego człowieka. Miałem wrażenie, że patrzę na marę z koszmaru sennego, z którego dopiero co się obudziłem. Mimo to wyglądał jak ścigany człowiek, któremu w końcu udało się pozbyć prześladowcy.

Widziałem, że cierpią i cierpienie to ujawniło się pod postacią gniewu. Nie bacząc na to, że wszyscy go słyszą, spytał, dlaczego go nienawidzę i opuszczam w ostatnich latach jego życia, zostawiając na pastwę wrogów. Chciał wiedzieć, w jaki sposób mnie skrzywdził? Co takiego zrobił? Stwierdził, że to musiały być czary, że każe odprawić egzorcyzmy, i że to, co zrobiłem w szaleństwie, zostanie cofnięte.

- Panie - powiedziałem. - Czy sądzisz, że postąpiłbym tak z własnej woli? Znam głos Posejdona, musisz pozwolić mi płynąć z nimi. W innym razie będzie się gniewał. Nie należy okradać bogów.

Gdy odwrócił wzrok, poczułem wstyd, ostatecznie dość już wycierpiał.

- Ojczy, bóg chce naszego dobra. Wszystko jest w porządku. Jeśli byki mnie zabiją, zaakceptuje ofiarę i zdejmie kłatwę, a jeśli uda mi się powrócić do domu, to też będzie dobrze. W żadnym wypadku nic nie stracimy, czuję to.

Dowódca Kreteńczyków przysunął się, żeby usłyszeć o czym mówimy, ale wzrok mego ojca kazał mu się cofnąć, co też niezwłocznie uczynił, mrużąc coś pod nosem i bawiąc się pieczęcią wiszącą u nadgarstka.

- Wygląda na to, że nikt nie może uniknąć swego losu. Skąd wiedziałeś, że twoje nazwisko nie zostało wypisane na skorupie?

Nasze spojrzenia spotkały się.

- Nie mogłem tego zrobić - dodał po chwili. - Wyobraziłem sobie, że ludzie mogą kiedyś posądzić mnie o to, iż bałem się własnego syna, który był przywódcą i wojownikiem, i dlatego posłałem go na śmierć w momencie, gdy nadszedł czas daniny.

Jego słowa zaskoczyły mnie. Nigdy nie przypuszczałem, że coś takiego może mu przyjść do głowy.

- Ojczy, to na pewno sprawa Bogini. Gniewa się na nas i nie nawidzi wszystkich mężczyzn, którzy mają władzę.

W pobliżu usłyszałem kasznięcie. To Kreteńczyk się niecierpliwił i dopiero teraz dotarło do mnie, że z własnej woli uczyniłem go swym panem. Odpasałem miecz i wręczyłem go ojcu.

- Przechowaj go dla mnie, póki nie wrócę - powiedziałem. - Nie mam pojęcia do czego potrzebuje mnie bóg, ale wiem, że gdyby ktoś wrócił żywy od byków Minosa, z pewnością musiałby ofiarować swe życie bogu i wielokrotnie potwierdzał chęć oddania go. A potem może bóg obdarowałby go zdolnością przewodzenia ludziom. Tak mnie uczono, gdy byłem dzieckiem i będę takim królem albo żadnym.

Podszedł do mnie, wziął moją twarz w obie dłonie i długo mi się przyglądał. Rzadko kiedy myślałem o nim jak o kapłanie, ale teraz poczułem, że nim jest.

- Taki król będzie Królem - powiedział w końcu, potem przerwał, zamyślił się, a po chwili dodał:

- Gdy nadejdzie ten dzień, pomaluj żagiel swego okrętu na biało. Wystawię wartę na Przylądku Sounion, a gdy zapłonie ogień, będzie to oznaczało, że bóg ma dla mnie wiadomość. Biały żagiel. Pamiętaj.

- Panie - powiedział Kreteńczyk wysokim chłodnym głosem - wszystko mi jest jedno, czy twój syn pójdzie z nami czy nie, byleby tylko nie było zamieszek. Proszę cię, byś załatwił wszystko teraz. Te kobiety zaraz wydrapią sobie nawzajem oczy.

Rozejrzałem się. Matki wylosowanych chłopców klóciły się o to, który z ich synów zostanie uwolniony. Mężczyźni zaczęli się zbliżać. Kreteńczyk miał rację, obawiając się kłopotów.

- Nie ma o czym mówić - rzekłem. - Na ostatnim losie widnieje moje imię. Heroldzie, odczytaj je.

Chłopak, który został wylosowany na końcu, podszedł do mnie, przyklęknął, przytknął moją dłoń do czoła i błagał, bym pozwolił mu coś dla siebie zrobić. Wyglądał jak nieszczęście. Spojrzałem ponad jego ramieniem i dostrzegłem Biasa. Płakał. Był rozsądniejszy od innych Kompanów, ale w jego oczach dostrzegłem coś, czego nigdy mi nie powiedział. Nie pozostało mi nic innego, jak wziąć go za rękę.

- Ojciec - odezwałem się - pozwól Eleuzeńczykom na utrzymanie ich własnego Zgromadzenia, chyba że kobiety znów zechcą przejąć władzę. Wszystkie sprawy są uporządkowane.

Nie dokończyłem, ale Kreteńczyk miał już tego dość. Krzyknął ostro na swój oddział, który uformował kolumnę, ustawiając się w szeregu. Był to niesamowity widok. Ojciec objął mnie tak, jakby już nigdy miał mnie nie zobaczyć. Matki wybranych dzieci podawały im zawiniątka z zapasami żywności na drogę. Matka ostatniego chłopca podeszła do mnie i oddała mi tobolek przeznaczony dla jej syna. Gdy ustawiłem się w szeregu, pomyślałem sobie, że wybrałbym lepszy strój, gdybym wiedział, że popłynę na Kretę.

Księga IV

Kreta

1

„Byłem królem i dziedzicem króla" - pomyślałem wśród kołysań statku. - „Teraz jestem niewolnikiem”.

Był to wielki okręt. Na dziobie wyrzeźbiony został byk, z kwiatem na czole i rogami pokrytymi złotem. Na śródokręciu, między wioślarzami, stali czarni wojownicy, był też mostek dla mistrza wioślarzy i krzesło dla kapitana. My, ofiary, przebywaliśmy na tylnym pokładzie, gdzie mieliśmy namiot do spania, jakbyśmy zapłacili za rejs. Należeliśmy do boga i mieliśmy zostać dowiezieni w nienaruszonym stanie. Byliśmy cały dzień pod strażą, w nocy podwójną, mającą dopilnować, żeby nikt nie spał z dziewczętami.

Był to dla mnie czas oderwania się od siebie. Nie musiałem się już o siebie troszczyć. Leżałem w ręku boga, jak niegdyś w chłopiectwie, kołysany przez morze. Delfiny ścigały się z nami, nurkowały pod falami i ze świstem dmuchały przez czola. Leżałem i spoglądałem na nie. Moje życie zatrzymało się w bezruchu.

Na południe od Przylądka Sounion okręt wojenny, szybki pentekonter, wziął nas w eskortę. Czasem na brzegach wysp widzieliśmy obozowiska piratów, okręty wyciągnięte na plażę i czatowniczą wieżę, ale żaden nie wypłynął za nami. Byliśmy zwierzyną zbyt dużą na ich zęby.

To wszystko przeszło obok mnie, kiedy odpoczywałem jak ktoś, kto słucha harfiarza. „Idę na ofiarę" - powiedziałem sobie. „Ale Posejdon wziął mnie w posiadanie, mnie, który kiedyś nie byłem synem żadnego człowieka; to jest już na zawsze moje”.

Wyciągnąłem się więc na słońcu, jadłem, spałem i oglądałem widoki, i słuchałem nieuważnie odgłosów z pokładu. Poranek wstał w różu i szarości, gdy przepłynęliśmy między Cykladami. Mniej więcej w czasie wchodu słońca usłyszałem gniewne głosy.

Na okręcie było ich wiele; przechodziliśmy pomiędzy Kią i Kynthos i było sporo do zobaczenia. Jednak ten dźwięk przyciągnął moją uwagę i zmusił mnie do spojrzenia. Jeden z ateńskich chłopców bił się z Eleuzyjczykiem. Przewracali się w zmaganiach na pokładzie, a kapitan zbliżał mostkiem w ich stronę, ze znużonym spojrzeniem, jak człowiek, który robi coś po raz setny. Wokół jego ręki owinięty był bicz o wąskich paskach.

Otrzeźwiło mnie to jak woda z górskiego potoku. Wskoczyłem z rozpędem między walczących i rozdzieliłem ich. Siedzieli z otwartymi ustami i rozcierali sińce. Kapitan wzruszył ramionami i odszedł.

- Opamiętajcie się - powiedziałem. - Chcecie, by wychłostał was Kreteńczyk, wobec tych niewolników? Gdzie się podziała wasza duma?

Obaj zaczęli mówić jednocześnie, a każdy z widzów popierał jedną ze stron. Krzyknąłem, żeby byli cicho, i zobaczyłem wbitych we mnie trzynaście par oczu. Zreflektowałem się i pomyślałem: „Co teraz?”. Było to jak sięgnięcie po miecz, gdy się go nie ma przy boku. „Co ja robię?” - pomyślałem. „Sam jestem niewolnikiem. Czy można być królem wśród prowadzonych na ofiarę?”. Słowa te rozbrzmiały echem w mojej głowie.

Wszyscy czekali. Wskazałem na Eleuzyjczyka, którego znałem, i powiedziałem:

- Najpierw ty, Amyntor. Słucham?

Był to czarnowłosy młodzieniec, którego grube brwi spotykały się nad nosem i oczyma jastrzębia. - Tezeuszu, ten syn garncarza, z włosami wciąż pobrudzonymi gliną, usiadł na moim miejscu. Kiedy kazałem mu się przesunąć, zachował się wyzywająco.

Ateńczyk, który był błądy i gwałtowny, odparł:

- Mogę być niewolnikiem Minosa, ale nie twoim. Co do mojego ojca, czciocielu Ziemi, przynajmniej znam jego imię. Wiemy, jakie są wasze kobiety. - Spojrzałem od jednego do drugiego i zgadłem, że Amyntor zaczął, jednak w sercu był lepszym człowiekiem.

- Skończyliście już się obrażać? - powiedziałem. - Na razie obrażaliście mnie. Formion, to ja ustanowiłem zwyczaj w Eleusis,

jeżeli ci się nie podobają, powiedz to mnie. Wygląda na to, Amyntor, że bardziej zważasz tu na swą godność niż ja. Powiedz, czego od nas oczekujesz, żebyśmy cię czasem nie obrazili.

Wyjąkali coś w odpowiedzi. Wszyscy siedzieli w kręgu, z psio ufnymi oczyma. Tam, gdzie pojawił się gniew, oczekiwali siły. Można spotkać się z tym samym wśród wojowników. Ale skoro już wzbudziłeś nadzieję, biada ci, jeśli ją zawiedziesz.

Usiadłem na beli wełny, daninie z jakiegoś małego miasteczka, i spojrzałem na nich. Gdy jedliśmy, uchwyciłem imiona czterech ateńskich młodzieńców: Formiona; Telamona - syna dzierzawcy, cichego i spokojnego; skromnego, wdzięcznego chłopca zwanego Hipponem, którego widziałem gdzieś wcześniej, i Irosa, którego matka tak wrzeszczała podczas losowania. Była konkubiną jednego z baronów; chłopak był drobny, o wysokim głosie i dziewczęcy, ale z dala od jej spódnicy wydawał się tak spokojny jak wszyscy inni.

O dziewczętach wiedziałem mniej. Jedna z nich, Chryse, była dzieckiem pięknym jak lilia, o urodzie bez skazy, biało-złotej; właśnie nad nią płakali ludzie. Melanto była Minyanką, mocną, tryskającą zdrowiem dziewczyną, aktywną i samodzielną. Co do reszty - Nefele była nieśmiała i płaczliwa, Helike szczupła i cicha, ze skośnymi oczyma; Rhene i Pylia zdawały się ładne i głupie; a Tebe uczciwa i miła, ale zwyczajna jak rzepa. Studiowałem ich twarze, próbując zgadnąć, do czego mogą się nadać, a oni wpatrywali się we mnie jak rozbitkowie w belkę unoszącą się na wodzie.

- Cóż - rzekłem. - Musimy porozmawiać.

Czekali. Nie mieli nic innego do roboty.

- Nie wiem, dlaczego Posejdon wezwał mnie do byków; czy chce, bym umarł na Krecie, czy też nie. Jeśli nie, mam zamiar zmierzyć się z tym, co tam znajdę. Tymczasem wszyscy jesteśmy we władzy Minosa; jestem tym samym, co każdy z was, niewolnikiem boga. Czego ode mnie oczekujecie? Abym troszczył się sam o siebie, czy odpowiadał również za was, tak jak w domu?

Nim jeszcze zamknąłem usta, krzyczeli, bym ich prowadził. Tylko skośnooka Helike milczała, ale ona nie odzywała się nigdy.

- Zastanówcie się najpierw - powiedziałem. - Jeżeli mam wam przewodzić, nadam wam prawa. Czy chcecie tego? Człowiek, który ma władzę to zrobić, jest tam. - Wskazałem na Kreteńczyka, który usiadł znowu i obcinał paznokcie.

- Złożymy przysięgę - powiedział Amyntor - jeżeli tego zażadasz.

- Zrobię to. Musimy przysiąc, że będziemy trzymać się razem. Jeśli ktoś się nie zgadza, teraz jest pora, by to powiedział. Wy także, dziewczyny; zapraszam was na Zebranie. Musimy ustanowić własne zwyczaje, stosowne do okoliczności.

Ateńskie dziewczęta, nieprzywykłe do zajmowania się publicznymi sprawami, ociągały się, szepcząc. Potem energiczna, smągła Minyanka, Melanto, powiedziała:

- Jesteśmy poza naszym krajem, więc powinien prowadzić nas mężczyzna, takie było zawsze minyańskie prawo. Głosuję na Tezeusza.

- Mamy więc jeden głos - powiedziałem. - Co z pozostałą szóstką?

Obróciła się do nich z pogardą i rzekła:

- Słyszaliście go. Podnieście ręce, jeśli nie potraficie mówić - podniosło się pięć rąk, a Chryse, szarookie dziecko, którego włosy ścieliły się jak złota zasłona, powiedziała poważnie:

- Głosuję na Tezeusza.

Odwróciłem się do mężczyzn.

- Kto się sprzeciwia? Na Krecie będziemy musieli na sobie polegać. Mówcie więc teraz, nie będę chować urazy, przysięgam na głowę mego ojca.

Młody Ateńczyk Iros, maminsynek, rzekł poważnie, bez zwykłej afektacji. - Nikt się nie sprzeciwia, Tezeuszu. Ty ofiarowałeś się bogu, nas po prostu zabrano. Nikt inny nie może być królem.

- Bardzo dobrze - powiedziałem. - Niech tak się stanie, w jego imię. Musimy mieć buławę dla mówiącego. - Nie mieliśmy pod

ręką niczego prócz wrzeciona, które obracała Tebe, by zabić czas. - Wyrzuć wełnę, siostrzyczko. Na Krecie przydadzą ci się inne umiejętności.

Wyrzuciła więc ją za burtę, a my użyliśmy wrzeciona.

- Oto nasze pierwsze prawo - rzekłem. - Jesteśmy wszyscy rodziną. Nie Ateńczykami i Eleuzyjczykami, ale jednymi i drugimi jednocześnie. Jeśli ktoś pochodzi z wysokiego rodu, byki nie będą o tym wiedzieć. Niech więc zatrzyma tylko cześć, a zapomni o swej pozycji. Nie będzie Hellenów ani Minyan, urodzenia wysokiego ani niskiego; nie, nie będzie nawet mężczyzn i kobiet. Dziewczeta muszą pozostać dziewicami albo stracą życie. Każdy mężczyzna, który o tym zapomni, złamie przysięgę. Wkrótce wszyscy będziemy tancerzami byków, zarówno mężczyźni, jak i dziewczyny. Ponieważ nie możemy być niczym więcej niż towarzyszami, przysięgnijmy, że nie będziemy niczym mniej.

Zebrałem ich razem w kręgu, a kreteńska kapłanka zezowała w naszą stronę, upewniając się, że żadna spódniczka nie została podniesiona. Potem zaprzysiągłem ich mocną przysięgą, ponieważ do tej pory wiązało nas tylko nieszczęście. Po wszystkim wyglądali lepiej, jak zwykle bywa z przerażonymi ludźmi, którzy dostaną jakiegoś zajęcia.

- Jesteśmy teraz dziećmi jednego rodu - powiedziałem. - Powinniśmy mieć nazwę.

Gdy mówiłem, Chryse spojrzała w górę swoimi szeroko rozstawionymi oczyma i usłyszałem głuchy okrzyk. Klucz żurawi, z długimi, wyciągniętymi szyjami i skrzydłami szeroko rozgarniającymi powietrze, przelatywał między wyspami.

- Patrzenie - rzekłem. - Chryse spostrzegła omen. Żurawie także są tancerzami, wszyscy znają taniec żurawi. Będziemy Żurawiami. I teraz, zanim cokolwiek zrobimy, powierzmy się Wiecznie Żyjącemu Zeusowi i Matce. Musimy mieć również wspólnych bogów, wtedy żaden nie będzie obrażony. Melanto, ty wzniesiesz inwokację do Bogini, ale nie może być żadnych kobiecych tajemnic. Żurawie dzielą się wszystkim. - Mówiąc szczerze, nie było mi przykro okazać

Matce Dii nieco szacunku. Bogini nie lubi mężczyzn, którzy mają władzę, a na Krecie była ona wszechmocna.

- Dobrze - powiedziałem później. - Narada ciągle trwa. Czy ktoś chce coś powiedzieć?

Zgrabny chłopiec, którego twarz pamiętałem niejasno, wyciągnął dłoń. Przypomniałem sobie teraz, gdzie go spotkałem: w stajni, polerującego uprząż, kiedy czekałem na ojca. Nie patrząc na Eleuzyjczyków, którzy należąc do Straży, oboje mieli boskie pochodzenie, podałem mu buławę i powiedziałem: - Mówić będzie Hippon.

- Mój panie - rzekł - czy to prawda, że złożą nas w ofierze bykowi? Czy też on sam musi nas dopaść?

- Sam chciałbym wiedzieć - odpowiedziałem. - Czy ktoś może nam to powiedzieć?

Był to błąd. Wszyscy przemówili naraz, prócz cichej Helike, i kiedy zmusiłem ich do użycia buławy, nie było wiele lepiej. Powtórzyli wszystkie opowieści starych nianiek: zostaniemy przywiązani do rogów byka lub wrzuceni do jaskini, gdzie żywi się on ludzkim mięsem; a nawet, że jest potworem, człowiekiem z byczą głową. Chcieli się nawzajem przestraszyć na śmierć. Krzyknąłem o ciszę i wyciągnąłem dłoń po buławę.

- Którego z was - spytałem - straszono tymi bajkami, gdy niegrzeczny jako dziecko? - kilku wyglądało na zawstydzonych. - Można by pomyśleć, słuchając was, że wszystko to może być naraz prawdziwe. Ale jeśli choć jedna z tych rzeczy jest prawdą, reszta to kłamstwa. Hippon jako jedyny jest rozsądny; nie wie, i wie o tym, że nie wie. Musimy się dowiedzieć i przestać zgadywać. Być może uda mi się pociągnąć za język kapitana.

Ateńczycy nie rozumieli, dlaczego mam taką nadzieję i wyglądali na zdumionych, szczególnie dziewczęta. Do Eleuzyjczyków rzekłem, używając slangu Straży:

- Jeżeli ktoś się zaśmieje, wybije mu zęby.

Uśmiechnęli się i powiedzieli:

- Powodzenia, Tezeuszu.

Zbliżyłem się do burty i stanąłem tam w zamyśleniu. Kiedy kapitan spojrział w moją stronę, pozdrowiłem go. Skinął głową i strażę wpuścili mnie na mostek. Odsunął murzynka, który siedział u jego

stóp i zaoferował mi swój podnóżek. Jak zauważyłem, krępowala go tylko obawa przed publiczną obrazą. Nasze osoby były święte, więc nie mógłby się zemścić, prócz lekkiego uderzenia biczem.

Jeśli chodzi o pociągnięcie go za język, to równie trudno go było zatrzymać jak starego wiarusa wspominającego bitwy młodości. Był kimś, kogo na Krecie nazwano by dandysem. Nie ma na to helleńskiego słowa, znaczy to więcej niż szlachetnie urodzony i jednocześnie mniej. Ludzie tego rodzaju studiują taniec przed bykami tak jak harfiarz stare pieśni. Ciągłe opowiadał, kiedy ugotowano mu kolację. Chciał mnie na nią zaprosić. Powiedziałem, że inni zabiliby mnie z pewnością, jeżeli spostrzegliby, że otrzymuję specjalne względy, i odszedłem. Nadciągał wieczór, a ja chciałem dowiedzieć się czegoś tylko o tańcu przed bykami.

Wróciłem do Żurawi. Sięganie do wspólnego garnka sprawiło, że nasze głowy zbliżyły się.

- No tak - powiedziałem. - Miałeś rację, Hipponie; byk musi nas dopaść. Ale to najpierw my musimy schwytać zwierzę, odciągnąć od stada i przyprowadzić. Mogę powiedzieć wam tyle o tańcu byków, ile każdy, kto jeszcze go nie widział. Po pierwsze - zanim w ogóle zaczniemy tańczyć, otrzymamy trzymiesięczny trening.

Pogodzili się ze śmiercią, którą mieli ponieść zaraz po dotknięciu łądu. Trzy miesiące były dla nich jak trzy lata. Można by pomyśleć, że sam im je ofiarowałem.

- Zamieszkamy w Pałacu w Knossos, w Domu Topora, i nigdy go nie będziemy opuszczać. Ale z tego, co mówią, jest całkiem duży. Jest też stary - ma tysiąc lat, jak twierdzi kapitan, jakby można było tyle zliczyć. Mówi, że Posejdon mieszka pod nim w głębokiej jaskini, pod postacią wielkiego czarnego byka. Nikt go nigdy nie widział, mieszka za głęboko pod ziemią, ale kiedy trzęsie ziemią, ryczy. Lukos - tak ma na imię kapitan - słyszał go osobiście i mówi, że żaden ziemski odgłos nie jest w połowie tak straszny. Jego dokonania na Krecie są takie, jak i głos. Dwa lub trzy razy, w minionych wiekach, zburzył pałac aż do fundamentów. Jest więc bogiem, na którego muszą uważać. Tak zaczął się taniec przed bykami.

Lukos twierdzi, że ofiara sięga wstecz do samych początków, do pierwszych Ludzi Ziemi, którzy wykonywali miecze z kamienia. Była wtedy prosta i prymitywna: po prostu wkładali człowieka do jamy, w której zamknięto byka, by swą ofiarę. Ale czasem, jeśli człowiek miał lotne nogi, unikał rogów przez jakiś czas, co stanowiło dla nich rozrywkę, jako że byli barbarzyńcami. Tak mijaly wieki, aż nabrali cywilizacji z Egiptu i od ludzi z Atlantydy, uciekających na wschód przed gniewem Posejdona. Stali się teraz najzręczniejszymi artystami na świecie, nie tylko dzięki ceramice, klejnotom i budowlom, ale też dzięki muzyce, ceremoniom i widowiskom. Od czasu nie do ogarnięcia umysłem pracowali nad tańcem przed bykami. Najpierw powiększyli jamę dla byka i wprowadzili tam więcej ofiar, tak że pościg trwał dłużej, nim wreszcie ktoś zginął. Resztę przyprowadzano następnym razem, ale im dłużej żyli, tym stawali się zręczniejsi w unikach, aż czasem byk męczył się pierwszy. Mówili wtedy, że bóg jest w tym dniu zadowolony. Tak więc zręczni i prędcy żyli najdłużej, ucząc swej sztuki innych. W ten sposób to się ciągnęło, a każde pokolenie dodawało jakąś nowość do widowiska.

Wszyscy ludzie poszukują chwały, nawet ofiary przeznaczone na śmierć. Samo uskakiwanie przed rogami niewiele ceniono, należało uczynić z tego piękny taniec, nigdy się nie wydawać zmieszanym czy wystraszonem, ale bawić się z bykiem jakby się go kochało. A potem, mówił Lukos, nadszedł złoty wiek tańca. Przynosił on taki zaszczyt, że najszlachetniejsi i najdzielniejsi młodzieńcy kreteńscy robili to z miłości, dla rozśławienia swego imienia i uczczenia bóstwa. Były to dni pierwszych wielkich skaczących przez byki, dni, o których śpiewa się pieśni. Było to już dość dawno temu, a młodzi panowie i panie mają teraz inne rozrywki. Ale by nie stracić widowiska, sprowadzają niewolników, których ćwiczą. Nawet teraz pewien rodzaj chwały towarzyszy tancerzowi. Uważają go za nie wiadomo co, jeśli potrafi utrzymać się przy życiu.

- Biada nam! Biada! - krzyknęła płacziwa Nefele, bijąc się w piersi, jakby to był pogrzeb. - Czy musimy wycierpieć to wszystko, zanim umrzemy?

Nie skończyłem jeszcze opowiadać, ale, jak pomyślałem, lepiej to było odłożyć.

- Nawet jeśli cała roztopisz się we łzach - rzekłem - wcale ci to nie pomoże. Więc po co płakać? Kiedy byłem chłopcem, w ojczyźnie, igraliśmy z bykiem dla zabawy, a wciąż żyję. Nie zapomnij, że ciągną losy tylko między tymi, którzy mogą się do tego nadać. Jeśli nauczymy się tańca, możemy przeżyć wystarczająco długo, by uciec.

- Tezeuszu - spytała Melanto - ilu...

- Och, daj mu zjeść - przerwał jej Amyntor.

Zapytała go ostro, czy zostawił dobre maniery w Eleusis. Pozwoliłaby na takie zachowanie Ateńczykowi, ale Minyanki nie lubią widzieć swoich mężczyzn wywyższających się nad nie.

- Tak? - rzekłem. - Mogę jeść i słuchać.

Odwróciła się ramieniem do Amyntora i zapytała:

- Ilu będzie tańczyć jednocześnie?

- Czternastu - odpowiedziałem. - Po siedmiu każdej płci.

- A więc stanowimy drużynę? - zapytała. - Czy też rozdziela nas tu i tam, w miarę jak inni będą ginąć?

- Dobre pytanie - odparłem. Myślałem o tym cały czas, lecz miałem nadzieję, że nikomu innemu nie przyjdzie to do głowy. - Nie odważyłem się pytać Kapitana, mógłby pomyśleć, że coś planujemy, i dopilnować, by nas rozdzielono. Pozwól mi pomyśleć.

Głód nigdy nie wpływał dobrze na mój rozum. Jadłem więc i myślałem. W końcu rzekłem:

- Cokolwiek nie uczynimy, Kreteńczycy i tak zrobią to, co się im będzie podobało, wiemy to. Musimy zatem dokazać czegoś takiego, co sprawi, że uznają nas za drużynę wartą, by ją utrzymać razem. Dobrze. Co możemy zrobić i kiedy? Gdy będziemy na brzegu, możemy już nie być okazji. Tu, na statku, nikt ważny nas nie zobaczy. Ten Lukos może być w Knossos małą płotką, pomimo swoich pretensji. Trzeba to poważnie przemyśleć.

Menestes z Salaminy, szczupły chłopiec o brunatnej cerze, syn armatora, odezwał się po raz pierwszy.

- Hm, możemy zrobić coś, schodząc na wybrzeże. Jak Fenicjanie, którzy zawsze schodzą tańcząc i śpiewając.

- Klepnałem go w ramię.

- Mamy obie odpowiedzi naraz! Tak, musimy dla nich zatańczyć, i to wszyscy.

Lecz na te słowa podniósł się pisk ze strony dziewcząt ateńskich, jak ze stadka prosiąt. Oświadczyły, że nigdy, nigdy nie będą tańczyć z mężczyznami, bo sama tylko wieść o tym sprawiłaby, że ich rodzice umarliby ze wstydu, i że wystarczy już, że tracą życie, byle nie traciły czci. Przewodziła w tym Nefele. Obrzydła mi jej skromność, o której przypominała nam za często.

- Kiedy skończysz - powiedziałem. - Przyjrzyj się kapitanowi. Widzisz, jak jest ubrany? - właśnie siedział, i jego mała przepaska biodrowa była niemal niewidoczna. Wyglądał na całkiem nagiego, prócz butów i biżuterii.

- W podobnym stroju - rzekłem - będziesz tańczyć przed bykami w obecności dziesięciu tysięcy Kreteńczyków. A jeśli ci to nie odpowiada, poproś kapitana, by zawrócił i wysadził cię na brzeg.

Zaczęła ryczeć. Spojrzałem na nią, co sprawiło, że połknęła łzy w mgnieniu oka.

- A teraz - powiedziałem. - Zatańczymy taniec żurawi.

- Ale - rzekła Rhene, wytrzeszczając oczy i przełykając ślinę - to jest męski taniec.

Wstałem i odparłem:

- Od tej chwili to nasz taniec. Stańcie w szeregu!

I tak na niewielkiej rufie okrętu tańczyliśmy taniec żurawi w blasku słońca chylącego się ku zachodowi. Może było ciemnobłękitne, jak ogień na brzozie u emaliownika, wyspy - w kolorze przydymionej purpury lub złota pokrytego pyłem. Kiedy spojrzałem wstecz wzdłuż linii tańczących, dostrzegłem, że wyglądała jak spleciona girlanda, z białymi i brunatnymi ramionami, i mozaiką odcieni włosów rozrzuconych w tańcu. Śpiewaliśmy. Czarni majątkowie łyskali zębami i białkami oczu i wybijali rytm na pasiastych tarczach, sternik obserwował wszystko z ręką na linkach rumpła, pilot spoglądał z dziobu, a na mostku, z Murzynkiem zwiniętym w kłębek

u stóp, kapitan bawił się kryształowym naszyjnikiem i marszczył brwi.

Wreszcie wyciągnęliśmy się na pokładzie, oddychając ciężko i uśmiechając. Patrząc na nich, pomyślałem:

- To właśnie jest początek. Polująca sfora to więcej niż tylko pewna liczba psów. My również staliśmy się czymś więcej.

Kiedy się chwilę zastanowiłem, zdałem sobie sprawę, że minęło już sporo czasu od momentu, gdy przebywałem dłużej z ludźmi w moim wieku. Wobec niektórych z nich, na przykład Chryse i Hippona, czułem się wystarczająco stary, by być ich ojcem. Nie tylko dlatego, że byłem najstarszy z grupy; byłem również najwyższy, z wyjątkiem Amyntora.

- Świetnie - powiedziałem. - To sprawi, że dobrze nam się przyjrzą. Nie sądzę, by wielu jeńców schodziło na ląd, tańcząc. A ludzie pojawią się tam, by nas zobaczyć, tak mówi Lukos. Jak się zdaje, stawiają zakłady na nowych tancerzy byków, o to, który przeżyje najdłużej. Nigdy nie słyszałem, by ktoś traktował tak lekko ofiarę. Tym lepiej dla nas. Nawet własni bogowie niezbyt ich muszą poważać.

Płynęliśmy w stronę wyspy, aby zatrzymać się przez noc. Było to cudowne miejsce, z wysokimi górami w głębi lądu, których zbocza okrywały winnice i pokryte kwieciami drzewa owocowe. Zapytałem Menestesa, czy wie, gdzie jesteśmy.

- To Kalliste, najpiękniejsza z Cyklad. Ta góra poświęcona jest Hefajstosowi. Widać dym jego kuźni, wydobywający się z wierzchołka.

Ląd przybliżył się, a po skórze przeszły mi ciarki. Wydało mi się, jakbym zobaczył skazany na zagładę i święty blask, jak piękno Konia-Króla przygotowanego na spotkanie z bogiem. Spytałem:

- Czy się gniewa?

- Nie sądzę - odpowiedział Menestes. - Dym zawsze się unosi, pilot kieruje okręt względem niego. To ostatni port przed Kretą. Od tego miejsca wypływamy na otwarte morze.

- Musimy więc dopracować taniec - rzekłem – póki jeszcze mamy światło.

W blasku zachodzącego słońca, a potem o zmierzchu w świetle lamp tańczyliśmy, gdy cumowano przy nadbrzeżu, a ludzie z portu gapili się na nas z otwartymi ustami, wiedząc, ku jakiemu losowi płyniemy. Będąc młodzi i w pełni zdrowia, zaczęliśmy się z tego śmiać. Chłopcy robili gwiazdy i przewroty, a cicha Helika wygięła się nagle w pierścień do tyłu i stanęła na rękach.

- A to co? - spytałem, śmiejąc się. - Kto cię tego nauczył? To dobre jak u akrobaty.

- Dlaczego nie? - odpowiedziała spokojnie. - To mój zawód. - Opuściła spódniczkę, nic sobie z tego nie robiąc; pod spodem nosiła małą wyszywaną złotem przepaskę. Wszystkie kości miała giętkie jak chrząstki, umiała chodzić na rękach równie łatwo jak na nogach. Czarni żołnierze, opowiadający w kręgu długie opowieści, skoczyli na równe nogi pokazując na nią i krzycząc: „Hau!”. Nic z sobie z nich nie robiła, lecz poza tańcem była bardzo skromna. Akrobatki muszą być czyste, nie ma z nich żadnego pożytku, gdy są w ciąży.

Kiedy skończyła, spytałem, dlaczego niczego nam dotąd nie powiedziała. Opuściła przez chwilę wzrok, a potem spojrzała mi w oczy.

- Myślałam, że wszyscy będą mnie nienawidzić, skoro mam największą szansę, by przeżyć. Ale teraz jesteśmy wszyscy przyjaciółmi. Czy mam zatańczyć dla Kreteńczyków?

- Tak, na Matkę! - powiedziałem. - Powinnaś zrobić obrót na zakończenie pokazu.

- Będę potrzebowała mężczyzny, który mnie złapie.

- Masz tu siedmiu, wybieraj.

Zawahała się i powiedziała w końcu: - Przyglądałam się tańcowi. Tylko ty masz talent, Tezeuszu, ale to ci nie przystoi.

- Powiedz to bykom - odrzekłem. - To będzie dla nich nowina. Chodź, pokaż mi, co robić.

Nie było to ciężkie zadanie. Była lekka jak dziecko, trzeba tylko było stanąć stabilnie. W końcu powiedziała:

- Gdybyś był człowiekiem z gminu, mógłbyś się z tego utrzymać.

- Wszyscy będziemy żyć dzięki temu – odpowiedziałem z uśmiechem - Gdy dopłyniemy na Kretę.

Kiedy skończyłem mówić, spojrzałem i zobaczyłem oczy wszystkich wbite we mnie z rozpaczą. Pomyślałem to, co przychodziło, prędzej czy później, do głowy każdemu, kto odpowiadał za innych ludzi: „Na co to się zda? Po co robić cokolwiek?”.

- Uwiercie w siebie! - powiedziałem do nich. - Jeśli ja potrafiłem się tego nauczyć, wy również potraficie. Tylko uwiercie, a może utrzymamy się razem. Lukos powiedział coś o tancerzach ofiarowanych w imieniu ksiąząt i szlachty, jako danina dla boga. Może któryś weźmie nas wszystkich. Niech zobaczą, kiedy wyjdziemy na brzeg, że jesteśmy najlepszą drużyną, jaka kiedykolwiek przybyła na Kretę. Jesteśmy najlepsi. Jesteśmy Żurawiami.

Przez chwilę stali w milczeniu. Ich oczy były jak pijawki, ssące moją krew. Potem Amyntor podniósł rękę i krzyknął, a wszyscy się przyłączyli. W tej chwili pokochałem Amyntora. Był wyniosły, dziki i gwałtowny, ale zakochany w swoim honorze. Trzeba by złamać w nim każdą kość, zanim złamałby przysięgę.

Następnego ranka, wraz z owsianką, którą dostaliśmy na śniadanie, dojedliśmy jedzenie, które wzięliśmy z domu. Przerwaliśmy w ten sposób nasz ostatni związek z Atenami. Nie mieliśmy już nic, poza sobą.

2

Morza dokoła Krety są granatowe, prawie czarne, dzikie, nagie i puste. Nikt z nas nie był wcześniej na morzu, nie mając ładu w zasięgu wzroku. Rzeczywiście, tu człowiek staje się ziarnkiem piasku na boskiej dłoni. Ale nikt nie był zdumiony poza nami. Krępa kapłanka szła w blasku słońca, marynarze doprowadzali statek do

porządku, żołnierze nacierali czarne ramiona oliwą, a kapitan siedział, czesząc swe długie ciemne loki. Był rozebrany aż do sączka, podczas gdy chłopiec polerował jego pozłacaną przepaskę biodrową i hełm ozdobiony kwiatami lili.

Pod wieczór dostaliśmy przeciwną bryzę; opuszczono żagiel i wioślarze wzięli się do pracy. Statek już się nie kołysał, rzucało nami. W porze kolacji nikt nie był głodny, prócz Menestesa. Kilku zmusiło się do przelknięcia paru kęsów, ale przed zmrokiem zwróciliśmy wszystko. Potem leżeliśmy na pokładzie i chcieliśmy umrzeć.

- Jeżeli jutro czeka nas to samo - pomyślałem - już po nas. - Helike leżała, jęcząc, zieloną jak kacze jajo. Poczulem, że moje ciało lepi się od zimnego potu. Żołądek podszedł mi do gardła i powlokłem się do burty.

Z pustym brzuchem rozejrzałem się wokół. Zapadał wieczór. Słońce otoczone purpurą tonęło w lśniącym morzu, na wschodzie pierwsze gwiazdy rozbłyskiwały w prześwicie między chmurami. Wyciągnąłem rękę do Posejdonu, ale nie zesłał żadnego znaku. Być może był daleko i trząsał ziemią w innym miejscu. Wszędzie wokół czułem inną moc, ciemną, poza ludzką myślą, która dawała przygnębienie lub radość, mogła pocieszyć lub odrzucić, ale nie znosiła pytań. Dwie mewy przeleciały obok, ścigając się z dzikim wrzaskiem; uciekająca krzyczała jakby ze wzgardą. Byłem zmarznięty i słaby, i chwyciłem się nadburcia, by nie wypaść.

- Morska Matko - rzekłem. - Zrodzona z Piany Pelejo, Pani Gołębi! To twoje królestwo. Nie opuszczaj nas, gdy będziemy na Kreecie. Nie mam teraz nic dla ciebie, lecz przyrzekam, że jeśli wrócę do Aten, ty i twoje gołębie będziecie miały świątynię na Cytadeli.

Opadłem znowu na deski pokładu i naciągnąłem koc na głowę. Płaskie leżenie przyniosło ulgę chorobie i zasnąłem. Kiedy zbudziłem się, gwiazdy bladły, a wiatr się zmienił; halsowaliśmy i wiał nam teraz w plecy. Statek płynął gładko, śpiący wioślarze leżeli wyciągnięci jak wyczerpane psy. Żurawie zbudziły się i sięgnęły łączywie po niedojedzone pożywienie z poprzedniego wieczora.

Kiedy dzień był już jasny, spostrzegliśmy przed nami wysokie brzegi Krety: wielkie, pomarszczone żółte klify, piętrzące się urwiska i ukryte za nimi łąd. Wybrzeże wydawało się okrutne.

Wielki żagiel został zwinięty i inny podniesiony. Wszystkie królewskie okręty na Krecie miały odświętne żagle, trzymane świeże w ładowni aż do wypłynięcia do portu. Ten był ciemnobłękitny, z czerwonym emblematem. Przedstawiał nagiego wojownika z głową byka na ramionach.

Ateńczycy spoglądali oczyma z kamienia. Nefele, zawsze pierwsza do płaczu, chyba że przykrość spotykała kogoś innego, załkała:

- Och, oszukałeś nas, Tezeuszu! Więc jednak potwór istnieje!
- Przestań wrzeszczeć - rzuciłem.

Wyprowadziła mnie z równowagi.

Ale najwyraźniej lubiła w mężczyznach szorstkość i porzuciła łązy.

- Głupia - powiedziałem - to symbol boga. Tak samo rysuje się Węza Ziemi z ludzką głową. Czy go kiedyś spotkaliście?

Uradowali się i ja sam poczułem się lepiej.

- Bądźcie gotowi przy molo.

Kiedy klify otworzyły się, ukazując ujście rzeki, zobaczyliśmy port Amnisos. Ponieważ był większy niż Ateny, wzięliśmy go za samo Knossos. Żołnierze uformowali się z przodu, a kapitan, utrefiony, namaszczony i wypolerowany, stał na mostku w złocnym hełmie i z włócznią w dłoni. Czuliśmy zapach wonności, jakich użył, dochodzący z rufy. Zdjęto daszek, żeby lepiej nas było widać. Przed nami było molo, gdzie stali ludzie.

Jeszcze niczego nie wiedziałem, ale sprawili, że znieruchomiałem. Coś było w ich spojrzeniach i sposobie, w jaki chodzili, nawet zanim ujrzało się ich twarze. Wydawali się ludźmi obojętnymi na zdumienie, tak jak rumak przy rydwanie obojętnie na hałas. Nie przyszli się gapić, ale rzucić okiem dla zabicia czasu i spacerować dalej. Kobiety schylały ku sobie głowy z karbowanymi lokami, które spinały klejnoty; szczupli mężczyźni, nadzy do połowy,

z połączanymi pasami, naszyjnikami z drogich kamieni, z kwiatami wetkniętymi za uszy, prowadzili cętkowane psy tak ospale i dumne jak oni sami. Nawet robotnicy wydawali się patrzeć na nas przez ramię jakby przelotnie, jak na codzienny widok. Poczulem, że duma wycieka ze mnie jak krew ze śmiertelnej rany. To byli ludzie, których miałem zamiar zadziwić. Palce u moich stóp skuliły się na deskach pokładu, gdy wyobraziłem sobie ich śmiech.

Rozejrzałem się. Żurawie także to zauważyły. Czekali, jak zmęczony niewolnik oczekuje na porę snu, bym przyznał, że zostaliśmy pobici. „Mają rację” - pomyślałem. - „Musimy umrzeć; niech to się przynajmniej stanie w przyzwoity sposób”. A potem: „To Kreta. Doszliśmy do końca, oprócz tej jednej rzeczy. Uczyniłem się odpowiedzialnym przed tymi ludźmi, teraz muszę iść dalej, choćby cały świat ze mnie sztydził. Wezmę to na siebie”.

Klasnąłem w dłonie i krzyknąłem: „Śpiewamy!”

Utworzyli krąg, w tym, którzy przyszli pierwsi, rozpoznałem najodważniejszych i najlepszych: Amyntora, Chryse, Melanto, Irosa, Hippona i Menestesa, i dobrą, brzydką Tebe. Co do Helike, już tam była, jedyna, która nie straciła ducha. Wyprostowana dumnie jak Kreteńczycy na szczupłych nogach, wydawała się mówić, że nie zdumiewa się takimi ludźmi, ona, która tańczyła przed królami. Ona właśnie nas ocaliła. Do tej pory tylko się bawiła, oszczędzając najlepsze na ten pokaz. Reszta patrzyła na nią, nie na Kreteńczyków, kiedy mijaliśmy molo. Wyrzuciłem ją w górę, tak jak mnie nauczyła, i poczułem jej małe ręce, zręczne i silne jak u małpki, łapiące moje ramiona, gdy stała do góry nogami. „Los jest naszym panem” - pomyślałem. - „Wczoraj król, dziś partner akrobatki. Mam nadzieję, że ojciec nigdy się o tym nie dowie”.

Usłyszałem świergot głosów, nawołujących się nawzajem, ale nie mogłem poruszyć się, by spojrzeć. Widząc w wyobraźni te wszystkie pogardliwe oczy, pragnąłem być na dnie morza. Wtedy Helike dała mi znak, bym ją złapał, i kiedy jej twarz mijała moją, mrugnęła. Taniec się skończył. Rozejrzałem się i zobaczyłem, że Lukos macha wesoło z mostka do ludzi na nadbrzeżu. Wydawał się tak z siebie

zadowolony, że chętnie bym go kopnął, choć wiedziałem, co to oznaczało.

Przycumowaliśmy przy wysokiej, kamiennej kei. Poza nią widać było domy jak rzędy wież, wysokie na cztery, pięć pięter. Nadbrzeże roilo się od twarzy, brązowych, o rozbieganych oczach. W środku było kilku kapłanów, którzy, jak sądziłem, przybyli, by nas odebrać. Ale stali po prostu, wskazując palcami i chichocząc. Nosili spódniczki, wskazujące, że służą Bogini. Po nalanych, gładkich twarzach i wysokich głosach widać było, że poświęcili swą męskość. Byli tu tylko po to, by się gapić.

Staliśmy dłuższą chwilę w gorącym, kreteńskim słońcu, z żołnierzami ustawionymi przy nas i kapitanem opartym na włóczni. Nikt nie trzymał tłumy z dala od nas. Kobiety cmokały i chichotały, mężczyźni dyskutowali. Przed nami stała gromada krzykliwych typów w tandetnej biżuterii, podobnych do tego człowieka z Trojzeny. Lecz tym razem nie mogłem powiedzieć im, by się wynosili. Byli to hazardziści i bukmacherzy, którzy przyszli ocenić, ile dni możemy przeżyć.

Chodzili dokoła nas, paplając i targując się w kreteńskim języku zmieszonym z przekręconymi greckimi słowami, co było mową ludzi tego rodzaju w Knossos. Potem zbliżyli się i ugniatali nasze mięśnie, albo spoglądając porozumiewawczo szczypali dziewczęta w piersi i biodra. Dopóki nikt nie czynił nam szkody, byliśmy publicznym dobrem. Amyntor prawie uderzył jednego, ale złapałem go za ramię. To było poniżej naszej godności zwracać na nich uwagę. Byłem gotowy na śmierć, ale nie na to, by pójść do boga z mniejszym honorem niż wół czy koń. Lepiej, gdybym rzucił się do morza, pomyślałem, zanim musiałem udawać obojętność przed takimi szumowinami.

Nagle zaryczał za nami głos wielkiej trąby. Jednym skokiem odwróciłem się, by stawić jej czoła, jak zrobiłby każdy wojownik. Ale byli tam tylko hazardziści, wskazujący i wykrzykujący stawki. Była to sztuczka, której używali przed nowymi tancerzami, by zobaczyć, który poruszał się najszybciej, a który się bał. Oczy Chryse zwilgotniały od łez. Wątpię, by słyszała szorstkie słowo, zanim opuściła dom.

Wziąłem ją za rękę, aż usłyszałem sprośne uwagi, wtedy puściłem ją znowu.

Śmierdzący typ, zalatujący zwietrzałym pachnidłem, szturchał mnie w żebra i pytał, jak mam na imię. Kiedy nie zwróciłem na niego uwagi, zaczął krzyczeć, jakbym był głuchym idiotą, w barbarzyńskiej grece:

- Ile masz lat? Kiedy ostatnio chorowałeś? Skąd masz te bliźny?

Odwracając się od jego cuchnącego oddechu, spotkałem wzrok Lukosa, który wzruszył ramionami, jakby mówiąc: „Nie mogę odpowiadać za tych podłych typów. Kiedy miałeś do czynienia z dżentelmenem, nie byłeś wdzięczny.”

Jednak głowy w tłumie zaczęły się odwracać. Spojrzałem za nimi, w górę stromej uliczki między wysokimi domami. Trzy czy cztery lektyki były znoszone na dół. Wkrótce pojawiło się więcej, aż znoszone wypełniły groblę między kupami gnoju. Lukos wyglądał na zadowolonego z siebie. Zrozumiałem, że nie trzymał nas tu dla uciechy motłochu.

Lektyki zbliżyły się: najpierw mężczyzna siedzący na przenośnym krześle, pieszczący na kolanach kota w turkusowej obroży; potem dwie kobiece lektyki, z odsuniętymi zasłonami. Słudzy biegli ramię w ramię, by umożliwić plotki swym paniom. Nachylały się do siebie i podniecone, gestykulowały podczas rozmowy, a ramiona niosących po wewnętrznej stronie niemal pękały, bo wszyscy tu byli drobnymi ludźmi. Ludzie w lektykach byli o wiele wyżsi niż Kreteńscy dokoła nich, i o jaśniejszej cerze. To upewniło mnie, że pochodzili z Pałacu. Wiedziałem bowiem, że ród Minosa miał w żyłach helleńską krew i dwór mówił po grecku.

Lektyka za lektyką stawiana była na ziemi. Damy i panowie wyjmowani byli jak cenne kamienie, podawano im ich pieski, wachlarze i parasole. Każdy przyniósł sobie taką czy inną zabawkę, jeden młodzian miał małpkę z ufarbowaną na niebiesko sierścią. A jednak - jeżeli zdołacie w to uwierzyć - z tych wszystkich mężczyzn, codziennych towarzyszy Króla, karmionych przy jego stole winem i mięsem, żaden nie nosił miecza.

Spotkali się i pozdrowili, całując w policzki i dotykając dłoni, rozmawiając wysokim, czystym głosem ludzi z Pałacu. Ich greka była zupełnie poprawna, prócz kreteńskiego akcentu, który wydaje się bardzo afektowany dla ucha człowieka z kontynentu. Używają więcej słów niż my, ponieważ bez przerwy rozmawiają o tym, co myślą i czują. Ale zwykle da się ich zrozumieć. Kobiety zwracały się do siebie zdrobniałymi imionami, jakich my używalibyśmy mówiąc do dzieci, a mężczyźni mówili do nich „kochanie” bez względu na to, czy byli im poślubieni czy nie. Tego zresztą z ich zachowania nie dało się odgadnąć. Widziałem jedną tylko kobietę, całowaną przez trzech mężczyzn.

Pozdrowili Lukosa wesoło, lecz bez wielkiego poważania. Można było zauważyć, że zbytnio wyglądał na Kreteńczyka. Niemniej, dostał kilka całusów. Kobieta z parą papużek nierozłączek na ramieniu powiedziała:

- Widzisz, mój drogi, jak ci ufamy. Przebyliśmy całą tę drogę w to gorące południe tylko na szept, że masz coś nowego do pokazania.

Człowiek trzymający kotka dodał:

- Mam nadzieję, że twoje łabędzie nie okażą się gęsiami.

Właśnie wtedy nadeszła bogato ubrana kobieta, ze starą twarzą i włosami dziewczęcia. Nigdy wcześniej nie widziałem peruki. Opierała się na ramieniu młodzieńca, jej syna lub męża, nie wiadomo.

- Pokaz! Pokaz! - krzyknęła. - Jesteśmy pierwsi i należy się nam nagroda. Czy to dziewczyna? - wpatrywała się w Chryse, która przysunęła się do mego boku - Ale to tylko dziecko. Za trzy lata, tak, o tak, za tę twarz będą podpalane miasta. Jaka szkoda, że tego nie dożyje! - poczułem ramię Chryse drżące przy moim i delikatnie dotknąłem jej ręki. Młodzieniec pochylił się i szepnął do ucha swej towarzyszki:

- Oni cię rozumieją.

Odsunęła się, unosząc brwi, jakbyśmy okazali się bezczelni.

- Ach, mój drogi, to w końcu barbarzyńcy. Nie odczuwają tak, jak my.

Tymczasem Lukos rozmawiał z człowiekiem bawiącym się kotkiem, który opowiadał:

- Tak, tak, bez wątpienia... Ale czy to wiele znaczy? Ci kontynentalni królowie mnożą się jak króliki; założę się, że ma takich pięćdziesięciu.

- Ale ten jest prawowity - odrzekł Lukos. - Co więcej, jest dzie-dzicem... Z całą pewnością się nie myłę, powinieneś był zobaczyć tę scenę. I jeszcze jedno: przybył tu na swoje życzenie. Ofiara dla Posejdona, jak zrozumiałem.

Młoda kobieta, z oczyma łani, pomalowanymi, by wydawały się większe, zapytała:

- Czy to prawda więc, że królowie z kontynentu ciągle składają się w ofierze? Tak jak w starych pieśniach? Och, jak to jest, być mężczyzną i podróżować, widzieć te wszystkie dzikie barbarzyńskie miejsca! Powiedz, który to książę?

Jej przyjaciółka podniosła do ust wachlarz z pawich piór i szepnęła:

- Sama zobacz.

Obie zmrużyły oczy o błękitnych rzęsach i spojrzały w dół. Zaczęłam zauważać, że podczas gdy damy te patrzyły na dziewczęta i mówiły o nich, jakby już były martwe, w stosunku do nas, mężczyzn, nie były całkiem takie same. Jak się zdaje, tego pierwszego dnia zastanawiałem się, dlaczego.

Dwóch mężczyzn po prostu przeszło się dokoła nas, by napa-trzyć się do syta, nie lubieżnie, jak hazardziści, lecz chłodno, jakbyśmy byli końmi. Usłyszałem, jak jeden z nich mówi.

- Zastanawia mnie, dlaczego Lukos urządził ten pokaz. Gdyby siedział cicho aż do zakładów, sam mógłby mieć szansę.

Drugi odpowiedział:

- Nie, on nie jest jedynym, który zna ich formę. To musi dla niego mieć znaczenie, że się o nim mówi, inaczej sprzedałby nowiny, wszyscy wiemy gdzie.

Pierwszy obejrzał się i powiedział zniżając głos:

- Nie ma tu nikogo z Małego Pałacu. Jeżeli on usłyszy o wszystkim jako ostatni, Lukos tego pożałuje.

Drugi, nic nie mówiąc, uniósł brwi i skierował wzrok w inną stronę. Poszedłem za jego spojrzeniem.

Zbliżało się jeszcze jedno krzesło albo raczej rodzaj powozu. Ciągnęły go dwa wielkie woły ze szkarłatnymi, wykończonymi złotem rogami. Wytlaczany, skórzany baldachim na czterech kolumnach ocieniał krzesło podobne do tronu, na którym siedział mężczyzna.

Miał bardzo ciemną cerę, nie rudobrunatną, jak rodowici Kreteńczycy, ale zielono-czarną jak na dojrzałej oliwce. Był gruby jak wół. Jego kark nie był węższy niż głowa, i tylko linia niebiesko-czarnej brody oddzielała jedno od drugiego. Szorstkie, naoliwione czarne loki wisiały na jego niskim czole. Nos miał szeroki, z wielkimi czarnymi nozdrzami. Można by rzec, że była to zwierzęca twarz, tylko grube usta były ustami istoty myślącej. A oczy nie wyrażały nic. Patrzyły tylko, podczas gdy ukryty za nimi człowiek wydawał się przygotowywać do tego, co planował zrobić. Przywodziły mi na myśl coś dawno widzianego, czego nie mogłem sobie przypomnieć.

Tron zbliżył się i służący prowadzący woły zatrzymał je. Dworzanie wykonali pełne wdzięku powitania, dotykając brwi koniuszkami palców. Odpowiedź mężczyzny była szorstka i niedbała, niewiele więcej niż machnięcie palcem. Nie zszedł na dół, lecz skinął i Lukos zbliżył się w ukłonie. Mogłem uchwycić ich słowa.

- No, Lukosie, mam nadzieję, że jesteś dziś z siebie zadowolony. Jeśli chciałeś zadowolić mnie, jesteś większym głupcem, niż się wydajesz.

Od wodza, wśród wojowników, takie słowa nie byłyby niczym wielkim. Ale po wszystkich tych wykwintnych manierach i dwornej mowie, wydało się to głosem dzikiego zwierzęcia, które wpadło między przestraszonych ludzi. Wszyscy się cofnęli, aby nie wyglądało, że słuchają.

Lukos odpowiedział:

- Mój panie, nikt tutaj nic jeszcze nie wie. Ten pokaz na nadbrzeżu chłopcy i dziewczęta wymyślili sami, dla zabawy. Ludzie myśleli, że ich wytrenowałem, więc nie powiedziałem nic i zatrzymałem prawdę dla ciebie. Mam tu znacznie więcej, niż myślą.

Mężczyzna na wozie skinął, jakby mówił otwarcie: „Cóż, być może kłamiesz, ale może nie.” Przebiegał po nas oczyma, kiedy Lukos szeptał mu do ucha. Amyntor, który był blisko mnie, zapytał:

- Czy to sam Minos, jak myślisz?

Spojrzałem raz jeszcze i podniosłem brwi.

- On? Nigdy. Ród jest helleński. Poza tym, to nie król.

Kiedy tylko wypowiedziałem te słowa, usłyszałem że wszystkie świergoczące głosy milkną raptownie, jak śpiew ptaków na pierwszy odgłos nadchodzącej burzy. Staliśmy tu tak długo, gdy rozmawiano o nas jak o niemym bydle, że zapomniałem, że mogą nas rozumieć. Człowiek z wozu usłyszał to również.

Dworzanie wyglądali na przerażonych, jak gdybym cisnął w nich piorunem i musieli udawać, że go nie widzą. Pomyślałem: „Skąd to wszystko? Albo ten człowiek jest królem, albo nie”. Wtedy zobaczyłem jego oczy wbite we mnie, wielkie, nieco wyłupiaste, wpatrujące się ślepią. Przypomniałem sobie, gdzie już je widziałem. Były podobne do oczu byka z Pałacu w Trojzenie, na chwilę przed tym, zanim schylił łeb, by zaszarżować.

„Co ja uczyniłem?” - pomyślałem. „Ta starucha w domu miała rację, nazywając mnie mąciwodą. Miałem zamiar użyć języka, by nas stąd wydostać, i co z tego wyszło? Ten zwierz, który bez wątpienia dostaje, co chce, chce teraz nas. Najgorszy pan w Knossos, bez wątpienia. Oto, do czego prowadzi planowanie. Powinienem był zostawić wszystko bogu”. Zacząłem się zastanawiać, jak nas z tego wydobyć.

Właśnie wtedy zszedł ze swego tronu. Oceniając po zwałistym cielsku, oczekiwałem, że będzie mierzył sześć stóp lub więcej, lecz nie osiągał nawet przeciętnego wzrostu Hellenów, tak krótkie były jego grube nogi w proporcji do tułowia. Kiedy się zbliżył, wyczułem w nim coś, co sprawiło, że dostałem gęziej skórki. Było to więcej niż brzydota czy niegodziwe spojrzenie; jakby było w nim coś przeciwnego naturze.

Zaczął chodzić dokoła i oglądać nas dokładnie. Chłopców traktował jak służący kupujący mięso, lecz z dziewczętami był bezwstydnym, mimo że ludzie patrzyli.

Widziałem, że uważał się za wyższego nad ich sądy. Melanto rozłościła się, co sprawiło mu przyjemność; Helike, która, jak przypuszczałem, musiała w swoim zawodzie radzić sobie z podobnymi rzeczami, stała z niemą pogardą; Nefele skrzywiła się, co sprawiło, że się zaśmiał i klepnął ją w pośladek. Widząc, że zbliża się do Chryse, która była mi najdroższa wśród dziewcząt, powiedziałem do niej cicho:

- Nie bój się. Należysz do boga.

Jego oczy zwróciły się do mnie i zobaczyłem, że zostawia mnie na koniec.

Aby wydać się beztroski, spojrzałem w inną stronę. Mój wzrok padł na lektykę, której nie było wcześniej. Została postawiona na ziemi niedaleko, ale zasłony z grubego, drogiego materiału ciągle były szczelnie zasunięte. Jeden z tragarzy poszedł przyprowadzić Lukosa. Przyszedł natychmiast, nisko się kłaniając, i przykładając zaciśniętą dłoń do czoła w pozdrowieniu, które używamy dla boga. Zasłony rozsunęły się, mała szczelina nie pokazywała niczego. Mimo że nie słyszałem żadnego głosu, ktoś wewnątrz musiał mówić, ponieważ Lukos, by lepiej słyszeć, schylił się i przyklęknął z kolaniem w kurzu.

W tym momencie oczekiwałem, że reszta złoży jakiś wyraz hołdu. Ale po jednym spojrzeniu rozmawiali dalej, jakby niczego tam nie było. Odcisnęło się to głęboko w moim umyśle. Myślałem dotąd, że wiem co nieco o rozkazywaniu, i o tym, co przystoi człowiekowi o ustalonej pozycji. „Ale to coś wielkiego” - pomyślałem - „nakazywać niewidzialność, jak bóg”. Nie miałem czasu, by myśleć o tym więcej. Gruby mężczyzna podszedł właśnie do mnie.

Spojrzał mi w oczy, potem położył swe czarne, owłosione dłonie na Chryse i przeciągnął je po całym jej ciele. Gniew niemal mnie rozerwał, ale domyśliłem się, że jeśli bym go uderzył, ona pierwsza by zapłaciła. Więc opanowałem się i powiedziałem do niej:

- Nie zwracaj na to uwagi. Tutejsi ludzie są nieokrzesani.

Odrzucił się, poruszając się szybciej, niżbym pomyślał, że potrafi. Chwyił mnie za brodę. Jego ciało było wyperfumowane piżmem, ciężko i obrzydliwie. Trzymając moją twarz jedną ręką, uderzył ją

z rozmachem drugą, tak mocno, że zwilgotniały mi oczy. Coś ucze-
piło się mojego prawego ramienia; znalazłem tam potem ślady pa-
znokci Chryse. Zapomniałbym o wszystkim, gdyby nie ona. W jej
słodocy była siła. Za nami, wśród dworzan, usłyszałem szepty,
jakby naruszono jakiś zwyczaj. Rzeczywiście, wydawali się bardziej
zszokowani niż ja, ponieważ nikt nie oczekuje, że niewolnik będzie
miał jakieś prawa. Byłbym na to zupełnie przygotowany, gdyby
może nie troskliwość, z jaką zajmowano się nami na okręcie. Na
dźwięk ich głosów odwrócił się szybko, by ujrzeć tylko twarze bez
wyrazu. Byli w tym znakomici. Z mojej strony nienawidziłem ich
tylko dlatego, że to widzieli. Bałem się, że mogli pomyśleć, że płą-
czę. Z moją twarzą ciągle w ręce powiedział:

- Nie płacz, mały koguciku, byki zrobią ci większą krzywdę.
Jak cię nazywają tam, skąd pochodzisz?

Odpowiedziałem głośno, by nikt nie mógł pomyśleć, że płaka-
łem:

- W Atenach nazywają mnie Pasterzem Ludu, a w Eleusis Ker-
kyonem. Lecz w Trojzenie zwą mnie Kourosem Posejdoną.

- Cóż to dla mnie znaczy - odrzekł, sapiąc w moją twarz - jakie
tytuły nadali ci twoi współplemieńcy, kontynentalny dzikusie? Po-
wiedz, jak masz na imię.

- Mam na imię Tezeusz - odpowiedziałem. - Powiedziałbym ci
wcześniej, gdybyś spytał.

Uderzył mnie w twarz znowu, lecz tym razem byłem przygoto-
wany i stałem spokojnie. Potem przerwał, kiedy za wytrzeszczony-
mi oczyma pojawiła się jakaś myśl.

Zamknięta lektyka ciągle tam stała. Lukos odszedł, ale szczelina
w zasłonach wciąż była rozchylona, mimo że nie widziałem żadnej
dłoni. Mój przeciwnik nie spojrział tam ani razu od chwili, kiedy
przybyła, ponieważ zajmował się nami. Zastanawiałem się, czy oso-
ba, która była w środku, byłaby zła, gdyby został znieważony.

„Z pewnością - pomyślałem - są wielkie szanse, że wszyscy go
nienawidzą, od boga zaczynając, na psie kończąc. I nie został po-
proszony do lektyki. Ale nic na Krecie nie jest proste”.

- Kouros Posejdona! - rzekł, uśmiechając się szeroko. - A w jaki to sposób jesteś synem Posejdona? Twoja matka poszła pływać, co, i spotkała węgorza? - Odwrócił się do dworzan, którzy opowiedzieli na to nieprzekonującym śmieszkiem, jak ludzie płacący podatek.

- Jestem jego sługą i ofiarą - odpowiedziałem. - To sprawa między nim a mną.

Skinął z pogardliwym wyrazem ust i pustym spojrzeniem, kryjącym jego myśli, odwracając się dokoła, by upewnić się, czy wszyscy patrzą. Na palcu serdecznym miał złoty pierścień, ciężki i duży. Ściągnął go i podrzucił na dłoni. Potem cisnął klejnot w przestrzeń, tak że zarysował jasną linię w świetle słońca i spadł poza przystanią do morza. Zobaczyłem, jak łyska i tonie. Z tłumu Kreteńczyków podniósł się dziwny szept, jakby widzieli bluźnierstwo albo zły omen.

- Cóż, Kourosie Posejdona - powiedział - jeżeli jesteś w tak bliższych stosunkach z rybim tatusiem, to ci to z pewnością odda. Zanurkuj i poproś go o pierścień.

Staliśmy przez chwilę bez ruchu, patrząc na siebie. Potem odwróciłem się, podbiegłem do mola i rzuciłem się do wody. Morze było ciche i chłodne w porównaniu do gorącego nadbrzeża z gapiącym się tłumem. Zanurkowałem i otworzyłem oczy. Zobaczyłem nad sobą lśniące sklepienie morza, a poniżej dno portu, upstrzone ciemnymi gąbkami i zaśmiecone odpadkami z okrętów; leżały tu potłuczone garnki i połamane kosze, przesiąknięte skórki, skorupy i stare wygryzione kości.

Pomyślałem: „Urządził sobie ze mnie zabawę. Wiedział, że nie odmówię bogu. Więc teraz pływam dla niego jak niewolnik jakiegoś biednego rybaka, który wyciąga małża dla pana. Zrobił to, by złać we mnie dumę. Nie, właściwie po to, aby mnie zabić, ponieważ wiedział, że nie wypłynę z pustymi rękami. Jeśli zginę tu na dole, obciąży to tylko mnie, nikt nie powie, że zamordował uświęconą ofiarę. Tak, jest zwierzęciem, które myśli. Ktoś powinien go zabić”.

Cały czas szukałem obok siebie w brudnej wodzie. Nabrałem oddechu, zanim zanurkowałem, ale nie dosyć.

Nie miałem doświadczenia i już czułem ucisk w piersiach. „Niedługo zrobi mi się ciemno przed oczyma” - pomyślałem - „wtedy umrę”. Przede mną był kamień, a pod nim kalmar, machający odnóżami jakby z szyderstwem. Na zewnątrz i do siebie - wydawał się rosnąć i maleć, jak widziany we śnie. Wtedy zabrzmiał w moich uszach ryk, przypominający fale uderzające o kamienie. „Chwaliłeś się mną, Tezeuszu” - powiedział głos morza - „ale czy pomodlisz się do mnie?”

Pomodliłem się więc do boga w sercu, bo usta zamykała mi woda. „Pomóż mi, Ojczy. Ocal mój lud. Pozwól mi pomścić honor”. Ciemność zniknęła mi sprzed oczu i zobaczyłem osiadający w mule za kalmarem jasny przedmiot. Chwyciłem go; oślizły uścisk kalmarra smagnął mój nadgarstek, potem stworzonko wystraszyło się i puściło, napełniając wodę dokoła czarnym barwnikiem. Musiał chwycić pierścień biorąc go za pokarm i oddał go na rozkaz boga.

Wystrzeliłem w górę, ku światłu. Oddychałem jak ktoś wstający z martwych. Dopłynąłem do stopni przystani, ściskając w dłoni pierścień, ponieważ był za luźny na moim palcu. Żurawie machały i wołały mnie po imieniu. Potem spojrzałem na swego wroga. Zobaczyłem, że kiedy byłem pod wodą, przygotował się na to, co ma powiedzieć, kiedy wróć upokorzony, albo jeśli nie wróć w ogóle. Teraz jego usta rozciągnęły się i stwardniały. Ale okrągłe spojrzenie nie zmieniło się. Po chwili powiedział ochryplym, aroganckim głosem:

- No, no. Chyba miąłeś się z powołaniem. Prawdziwy z ciebie chłopiec-ryba, bez wątpienia. - Wyciągnął rękę po pierścień.

Cofnąłem dłoń i przyjrzałem się klejnotowi. Wyrzeźbiono na nim boginię z wysokim diademem i węzami w rękach. Trzymałem go na otwartej dłoni; nie chciałem, by powiedział, że oszukiwałem, przynosząc jakiś kamyk.

- Oto twój pierścień - rzekłem. - Czy go poznajesz?

- Tak - odparł. Wydało się, że jego broda opadła nieco na grubym karku. - Daj go.

Cofnąłem się o krok.

- A więc go widziałeś*. Jednak była to ofiara dla Posejdona. Musimy mu ją zwrócić. - Wrzuciłem pierścień do wody i powiedziałem w ciszy:

- Jeśli go chcesz odzyskać, to sprawa między bogiem i tobą.

Wszyscy byli tak cicho, że pluśnięcie pierścienia słyhać było wyraźnie. Potem biedni Kreteńczycy, tragarze, żeglarze i wiosłarze zaczęli trajkotać do siebie przenikliwymi głosami, jak stado małą. Nawet od ludzi z Pałacu dało się słyszeć szepty i świergotanie, jak od ptaków ukrytych w listowiu. Spojrzałem na zakrytą lektykę. Szczelina otwierała się nieco szerzej, lecz ciągle nie dało się zajrzeć do środka. Poczulem, że to ten niewidzialny obserwator zmusił mnie, bym wyrzucił pierścień z powrotem do morza. Zastanawiałem się, czy było to mądrością czy szaleństwem. Koła na wodzie wzburzone jego upadkiem uspokoiły się i odwróciłem się, by stawić czoło jego właścicielowi.

Oczekiwałem, że zobaczę go wezbranego gniewem i byłem gotowy znieść razy, jeśli nie coś gorszego. Ale on był zupełnie spokojny. Zimny, spokojny i oceniający. Potem głowa mu się uniosła, usta otwały i ryczący śmiech nappełnił całe miejsce. Przestraszyło to miewy z nadbrzeża, które uciekły ze skrzekiem.

- Dobra robota, rybi chłopcze - zagrział. - Twój rybi ojciec dostał swoją nagrodę! Poleć mu także mnie; powiedz, żeby nie zapomniiał o Asterionie! - Obrócił się na pięcie, śmiejąc się do rozpuku, i skierował się do wozu zaprzęzonego w woły. Postawiło go to naprzeciw lektyki, którą dopiero wtedy zauważył. Na chwilę śmiech znikł z jego oblicza, jak w masce, gdy pęknie podtrzymujący ją sznurek. Ale zaczął śmiać się znowu, a krzesło trzęsło się, kiedy odjeżdżał.

3

Droga do Knossos wspina się od portu pomiędzy sadami i srebrnymi gajami oliwnymi. To bogata ziemia, zamknięta śmiertelnie groźnymi klifami. Czarne wojska ciągle nas eskortowały, lecz Lukos unikał mnie, co nie wydało mi się dziwne. Rozgniewałem potężnego pana, a to zaraźliwa choroba. Domy bogatych kupców położone wzdłuż drogi przypominały małe pałace. Oczekiwałem wciąż, że jeden z nich okaże się domem Króla, lecz przestałem pytać, gdy zobaczyłem, że czarni śmieją się ze mnie.

Minęliśmy domy i Lukos zbliżył się, jak człowiek zastanawiający się nad niepewnym koniem. Spytałem go:

- Kim był człowiek z wozu zaprzęzonego w woły?

Rozglądnął się dokoła, starając się to ukryć, tak jak ludzie z Pałacu; potem powiedział:

- Byłeś głupi. To był syn Króla, Asterion.

Zaśmiałem się i powiedziałem:

- Gwiazdziste imię dla przyziemnej rzeczy.

- Ty go nie będziesz używał - odrzekł. - Dziedzica należy tytułować Minotaurus.

Coś to mi przywołało. Wydało mi się, że pióro ociera się o włoski na moim karku. Ale nie powiedziałem nic innym; dotyczyło to tylko mojej mojry.

Droga wychodziła na żyzną równinę; na horyzoncie widać było łańcuch górski. Kształt grzbietu był zupełnie taki, jak sylwetka wielkiego mężczyzny z długą brodą, leżącego na marach. Wskazałem to i Iros odrzekł:

- Słyszałem o tym. Nazywają to tutaj Martwym Zeusem.

- Martwym! - krzyknęły Żurawie chórem, wstrząśnięte bluźnierstwem.

- Tak - odpowiedział. - Ci Ludzie Ziemi myślą, że umiera co roku.

Ciągle patrzyłem na góry, gdy Melanto zawołała:

- Patrzcie! Patrzcie!

I wtedy, na górskiej ostrodze u stóp wzgórz, która wciniała się w równinę, zobaczyłem po raz pierwszy Dom Topora.

Wyobraźcie sobie wszystkie królewskie pałace, jakie kiedykolwiek widzieliście, ustawione obok siebie i postawione jeden na drugim. To będzie mała budowla w porównaniu do Domu Topora. Był to pałac, w obrębie którego murów można by ufundować miasto. Wieńczył grzbiet wzgórza i czepiał się jego pochyłych stoków, taras za tarasem, następującymi po sobie rzędami malowanych kolumn, lśniących ciemną czerwieńią i zwężających się ku dołowi, pociągniętych u kapitelu i bazy błyszczącą granatową farbą, którą uwielbiają Kreteńczycy. Za nimi w cieniu południowego słońca widniały portyki i balkony, ożywione freskami, które świeciły w cieniu jak klomby kwiatów. Czubki wysokich cyprysów były z trudem widoczne nad dachami podwórek, na których rosły. Nad najwyższym dachem, odcinającym się ostro od ciemnego błękitu kreteńskiego nieba, potężna para rogów wznosiła się ku przestworzom.

Widok ten sprawił, że skurczyłem się, jak uderzony w brzuch. Słyszałem historie z trzeciej ręki, opowiadane przez podróżników, ale wyobrażałem je sobie na podobieństwo tego, co znałem. Poczuliem się jak pasterz kóz, który schodzi z odległych wzgórz i widzi miasto po raz pierwszy. Moje usta otworzyły się właśnie w takim zdumieniu wieśniaka. Zamknąłem je szybko, zanim Lukos mógł to zauważyć. Teraz, choć nikt mnie nie bił, chciałem naprawdę zapłakać. Dokoła mnie Żurawie paplały i wzdychały ze zdziwienia. Po chwili Amyntor rzekł do mnie:

- Gdzie są ich mury?

Spojrzałem. Pałac stał na łagodnie pochylonym zboczu, jednak nie miał większych murów niż zwykły dom mieszkalny, nic więcej, niż by utrzymać złodziei na zewnątrz i niewolników w środku. Dachy były równe, bez obronnych parapetów, zwieńczone tylko aroganckimi rogami, każda para zwrócona w inną stronę. Taka była potęga Minosa. Jego murami były morza, na których panowały jego okręty. Wpatrywałem się w milczeniu, zamykając usta w rozpaczy.

Czułem się jak dziecko, które przychodzi do wojowników z drewnianą dzidą. Czułem się też jak prowincjusz, nieokrzesany i prostacki, co bardziej rani młodych ludzi.

- Wszystko bardzo pięknie - powiedziałem. - Ale jeśli wojna przyszłaby na Krete, nie utrzymałoby się ani dnia.

Lukos usłyszał mnie. Lecz tutaj, na ojczystej ziemi, czuł się zbyt swobodnie, by się gniewać. Powiedział z niedbałym uśmiechem:

- Dom Topora stał tu tysiąc lat i nigdy nie został zburzony, poza tym wypadkiem, kiedy wstrząsał nim Byk Ziemi. Był stary, kiedy wy, Hellenowie, byliście jeszcze pasterzami na północnych stepach. Widzę, że wątpisz w to, co mówię, ale to naturalne. Nauczylismy się od Egipcjan liczyć lata i wieki. Wy, jak się zdaje, macie powiedzenie „czas nie do ogarnięcia”.

Poszedł dalej, zanim znalazłem odpowiedź.

Weszliśmy do pasażu Pałacu przez wielką Zachodnią Bramę. Po obu stronach wpatrywali się w nas ludzie. Przed nami były wielka czerwona kolumna nadproża, za nią malowane cienie. Poszedłem naprzód, patrząc wprost przed siebie. Gdyby ktoś przemówił, albo coś nowego mnie stropiło, zatrzymałbym się i odwrócił powoli, jakbym właśnie zechciał to zauważyć. Teraz, gdy patrzę wstecz, wszystko to wydaje się śmiechu warte, jak chłopcę próżność, by nie przyłapano mnie jak kmiotka w chwili, gdy nie wiem, co zrobić. A jednak ślad, jaki wycisnęły te dni, nigdy mnie nie opuścił. Słyszałem, że ludzie w Atenach powiadają, że noszę się bardziej po królewsku niż niegdyś mój ojciec. Ale jako młodzieniec ruszałem się szybko, zrywając się jak pies myśliwski, gdy cokolwiek działo się wokół. Właśnie w Domu Topora nauczyłem się spokoju, a także trzymania prędkości na wodzy do czasu, gdy była potrzebna.

Dworzanie wyroili się, by popatrzeć. Pomyślałem jednak, że ci tutaj wydają się ludźmi o mniejszym znaczeniu od przybyłych do portu w lektykach. Zastanowiło mnie to, ale nic nie mogłem wymyślić. Minęliśmy strażnicę i weszliśmy do wielkiej Sali Tronowej, by uczestniczyć w audyencji. Była pełna strażników, kapłanek i kapłanów, a także dworzan. Naprzeciwko odległej ściany stał wysoki,

biały tron, lecz był pusty.

Raz jeszcze czekaliśmy, lecz tym razem bardzo uroczyście. Ludzie rozglądali się dyskretnie i szeptali do siebie. Aby zabić czas, zwróciłem wzrok ku ścianom i wtedy zapomniałem o moim postanowieniu, by nie wpatrywać się w żadne nowości. Wymalowano tam taniec z bykami, od sceny wyboru byka aż do samego końca: piękno i ból, zręczność i chwała, chyżość i lęk, wdzięk i krew - cała ta dzika pieśń. Nie mogłem odlepić oczu od tych obrazów, dopóki nie usłyszałem szeptu kobiety:

- Patrzcie na niego. Już chce się uczyć!

Ale wtedy inne głosy powiedziały:

- Cicho!

Włócznie straży zagrzechotały. Król Minos wszedł i wspiął się bokiem podium. Usiadł na białym, rzeźbionym tronie, kładąc ręce na kolanach jak bogowie Egiptu. Nosił długą, czerwoną, przepasaną szatę i wyglądał na wysokiego, lecz wrażenie to mogły sprawiać jego rogi. Światło portyku odbijało się słabo od złotej twarzy i kryształowych oczu.

W ciszy usłyszałem delikatne westchnienia Żurawi. Lecz tylko tyle. Starzy Kreteńczycy mówią, że byliśmy pierwszą grupą ofiar, z której nikt nie krzyknął głośno ze strachu, widząc Minosa w masce byka.

Maska była dziełem jakiegoś wielkiego artysty, podniosłym i szlachetnym. Ale zanim napatrzyłem się do syta, widowisko się skończyło. Lukos wystąpił i powiedział kilka słów w kreteńskim; cały rytuał tańca z bykami używa starożytnego języka. Przez chwilę czuliśmy się obserwowani zza kryształ; potem złota rękawica dała znak, włócznie zagrzechotały znowu i król wyszedł. Poprowadzono nas dalej z komnaty audiencyjnej, przez malowane korytarze i kolumnady, poprzecinane cieniami. Potem wielkimi schodami, otwartymi od góry, i dalej, przez następne przejścia i sale, aż nie odróżnialiśmy północy od południa, głębiej i głębiej w Dom Topora, który Kreteńczycy nazywali Labiryntem.

W końcu doszliśmy do wielkiej komnaty. W drzwiach stał oparty z obu stron na filarach podwójny kreteński topór, święta Labrys.

Stąd poznałem, że ta wielka sala była świątynią. A u odległego końca zobaczyłem odcinającą się w świetle wpadającym ukosem z dachu Boginię. Stała wyprostowana, wysoka na dziesięć stóp, z głową zwieńczoną złotym diademem; dokoła talii miała złoty fartuszek leżący na falbaniastej spódnicy, przemyślnie emaliowanej i zdobionej drogimi kamieniami. Jej twarz była z kości słoniowej, kość słoniowa zdobiła również nagie piersi i wyciągnięte ramiona, oplecione złotymi wężami. Ręce wyciągały się nisko nad ziemią, jakby mówiła: „Bądź spokojny”.

Podeszliśmy bliżej, między ścianami z wizerunkami jej obrzędów. Zobaczyłem przed nią długi stół ofiarny inkrustowany złotem, a dokoła niego twarze, które już znałem. Znajdowali się tu możni, którzy zeszli na nadbrzeże, a wśród nich, szeroki za dwóch, rozpiecał się smagły Asterion, który nosił tytuł Byka Minosa.

Lukos zatrzymał nas dziesięć kroków od nich. Czekaliśmy. Ludzie przy stole szeptali do siebie. Potem zza pomalowanej bogini wyszła bogini z krwi i kości.

Obok wielkiego wizerunku zdawała się mała i nawet jak na śmiertelniczkę była niewysoka, mimo dużego diademu. Nosiła cały strój Bogini, wszystko prócz węzy. Nawet skóra, bladozłota, naoliwiona i jasna, wyglądała jak kość słoniowa. Jej wysokie, krągłe piersi miały złote koniuszki, jak te nad nią. Twarze miały pomalowane identycznie, oczy podkreślone czarną kredką, brwi łukowate i pogrubione, małe usta czerwone. Wydawało się, że twarz poniżej również musi być tą samą.

Od dzieciństwa widywałem matkę ubraną do posługi kapłańskiej, a jednak byłem zadziwiony. Moja matka nigdy nie twierdziła, że jest czymś więcej niż służebnicą bóstwa. Mała, sztywna figurka miała postawę, która mogła oznaczać wszystko.

Podeszła do stołu ofiarnego i położyła na nim wyciągnięte ramiona. To była właśnie poza Bogini. Potem przemówiła krótko, tylko kilka słów w starożytnym języku. Miała chłodny, jasny głos, przywodzący na myśl chłodną wodę padającą na zimne kamienie. Pod grubo malowanymi powiekami poruszały się ciemne oczy, obserwując nas: przez chwilę spotkały się z moimi. Przeszył mnie

dreszcz, choć maska Minosa tego nie dokazała. Kobieta-bogini, i do tego młoda.

Stała przy stole, czekając, i moi podszli bliżej, każdy z gipsową tabliczką w ręce. Wskazywali na tego lub owego z nas i odkładali tabliczki. Zrozumiałem, że muszą być to tabliczki ofiarne, takie jak moja matka otrzymywała w domu w imieniu Bogini: tyle a tyle amfor oliwy lub miodu, tyle trójnogów. Odczytywała je, a ofiarnik płacił później. Wydawało się, że jest to to samo, mimo że wszystko dokonywało się w kreteńskim języku. Tyle że tutaj kupowano zwierzęta ofiarne. Zobaczyłem, że mężczyzna z niebieską małą wskazuje na Irosa, człowiek z kotem na Chryse, starucha na mnie. Ostatni wystąpił Asterion i rzucił swoją tabliczkę tak, że zagrzechała. Odczytała ją, a on skinął, zadowolony, patrząc pogardliwie na pozostałych. Przez moment stała przy stole z rękoma położonymi na nim, w rytualnej pozie. Potem, patrząc mu w oczy, podniosła tabliczkę w dłoniach, pokazując mu, że pękła.

Panowała cisza, a w powietrzu czuć było napięcie. Zobaczyłem, że wpatruje się w nią, jego żuchwa sytuuje się przy karku, a cera ciemnieje. Spotkała jego spojrzenie, lecz jej twarz była spokojna, przypominająca posąg bogini. Potem odwróciła się i odeszła drogą, którą się pojawiła, a wszyscy podnieśli pięści do czoła, wyrażając hołd. Ja również ją pozdrowiłem. Nigdy nie jest mądrze lekceważyć miejscowych bogów, gdziekolwiek się przebywa.

Dworzanie opuścili świątynię. Kiedy znaleźli się za drzwiami, można było zauważyć, że ich głowy zbliżają się do siebie. Asterion zbliżył się do Lukosa, wskazując głową w naszą stronę i wydając mu jakieś polecenie. Lukos skłonił się głęboko, wydawał się na nowo przepelniony zdumieniem. Co do mnie, stałem wyprostowany, czekając na wiadomość, co mnie oczekuje. Ale nasz nowy pan obrócił się na pięcie i nawet na mnie nie spojrział.

Tak jak Żurawie. Ich oczy były opuszczone.

- Jak ja spojrzę im w twarz? - pomyślałem. - Wszyscy zapłacą za moją dumę. Ale jak mogłem odmówić Posejdonowi. Bóg by mnie opuścił.

Teraz było dla mnie jasne, dlaczego tylko najbogatsi arystokraci zeszli do portu. To byli ci, którzy mogli sobie pozwolić na ofiarowanie tancerza byków; chcieli więc wybrać takich, którzy przyniosą im uznanie. Rytuał w świątyni był poważną sprawą, sięgającą, jak sądzę, czasu, kiedy mieli więcej szacunku dla bogów. Na dole, w porcie mogli przyjrzeć się dobrze i nas ocenić.

- Musiałem być szalony - pomyślałem - żeby sobie roić, że moja bezczelność powstrzyma go od kupienia mnie. Oczywiście kupił mnie po to, by się zemścić. Ale co z innymi?

Właśnie gdy się zastanawiałem, czy jeśli zaczniemy uciekać, choć jednemu uda się wydostać, jakiś młody człowiek nadszedł i powiedział lekko do Lukosa:

- Spóźniłem się? Zabiorę ich ze sobą.

Zrozumiałem, że wykonuje jakiś zwykły obowiązek, więc poszedłem z nim, a za nami Żurawie.

Jeszcze raz przemierzaliśmy korytarze, schody i tarasy, minęliśmy wielki, otwarty dziedziniec. Potem przeszliśmy niskimi drzwiami i jeszcze jednym pasażem, który prowadził w dół. Zacząłem słyszeć jakiś dźwięk. Kiedy słuchałem, poczułem zimne palce dotykające mojej ręki. Należały do Chryse, ale była cicho, podczas gdy inni wciągnęli powietrze. Byk ryczał w jakiejś pustej przestrzeni, grząc i hucząc między ścianami, które odbijały hałas. Szliśmy w jego kierunku.

Spojrzałem na człowieka, który nas prowadził. Szedł beztrąsko i nie wydawał się ani zatroskany, ani zadowolony. Myślał po prostu o swoich sprawach. Ucisnąłem dłoń Chryse i powiedziałem do innych:

- Słuchajcie. To nie gniew.

Rzeczywiście, gdy się zbliżyliśmy, mogłem ocenić jego głos i to poznałem.

Wyszliśmy do niskiej krypty, którą oświetlały okienka umieszczone blisko sufitu, znajdującego się na równi z poziomem ziemi. Pośrodku, jeszcze niżej pod poziomem gruntu, było wielkie, kwadratowe zagłębienie ofiarne. Ryczący byk wypełniał je hałasem, który rozsadzał czaszkę.

Leżał na ogromnym, kamiennym ołtarzu, powiązany i z podciętymi ścięgna, w oczekiwaniu na nóż.

Ryczał, dyszał i uderzał głową o kamień, lecz w jamie wszystko poza tym było spokojne i uporządkowane: silny, młody kapłan, nagi poza fartuszkim, trzymający podwójny topór, stół z dzbanami i misami do libacji, trzy kapłanki i pani sanktuarium.

Młodzieniec, który nas przyprowadził, przywiódł nas teraz na skraj jamy, o głębokości odpowiadającej mniej więcej wzrostowi człowieka, ze stopniami prowadzącymi na dno. Wykonał gest holdu i cofnął się. Podniosłem brwi pytająco, a on odpowiedział ze zniecierpliwieniem przez zgiełk:

- Musisz zostać oczyszczony - chciał odejść, lecz złapałem go za ramię.

- Co to za dziewczyna? - spytałem i wskazałem, by mnie zrozumiał mimo hałasu.

Wyglądał na tak oburzonego, że odjęło mu mowę. Potem syknął mi do ucha:

- Ciszej, barbarzyńco. To Ariadna, Święta, Żywa Bogini.

Spojrzałem. Widziałam, że wskazywałem na nią i jej plecy były sztywno wyprostowane. Zobaczyłem, że nie należało jej urażać bez potrzeby. Dotknąłem brwi i zamilkłem.

Przerwała na długą chwilę, by mnie zganić. Potem skinęła na nas, byśmy zeszli schodkami. Staliśmy w jamie przed nią, a ryk zwierzęcia uderzał w nasze uszy. Potem powiedziała coś po kreteńsku, słowa rytu, i uczyniła jakiś gest. Kapłan zamachnął się toporem i uderzył, a krew trysnęła jak fontanna do libacyjnej misy. Ryk zadławił się i uciszył, łeb byka zwiesił się bezwładnie i opadł.

Kapłanka przyniosła długi drążek z kitą na końcu i trzymała go w ręce. Ale ona odłożyła ją i powiedziała po grecku:

- Musicie zostać oczyszczeni dla podziemnych bogów. Czy jest wśród was ktoś, kto przelał krew bliskiego? Mówcie prawdę. Na tego, kto skłamię, spadnie śmiertelna klątwa.

Kiedy mówiła po kreteńsku, była w zupełności boginią. Jednak w grece raz się pomyliła i usłyszałem głos człowieka. Kapłanki

odwróciły się i spojrzały na nią, jakby rytuał został zaburzony.

Wystąpiłem naprzód i rzekłem:

- Ja to zrobiłem. Ostatnio zabiłem kilku kuzynów, trzech własnoręcznie. Brat mego ojca także zginął, choć ja sam go nie zabiłem.

Skinęła i powiedziała coś do kapłanek. Potem rzekła do mnie:

- Chodź więc. Zostaniesz osobno oczyszczony.

Kazała mi podejść do ołtarza, z którego sączyła się bycza krew. Byłem teraz całkiem blisko niej i zobaczyłem pod pomalowanymi brwiami puszek miękkich włosów. Miejsce wypełniał gorący odór posoki, a jednak pomyślałem: „Być może jest Żywą Boginią, ale pachnie jak kobieta”. Przeszył mnie dreszcz i serce zabiło szybciej.

Powiedziała, mówiąc starannie, jakby każde słowo było ziarnkiem złota, które odliczała:

- Z jakiej przyczyny zabiłeś tych ludzi? W bójce? Aby spłacić krwawe porachunki?

Potrząsnąłem głową.

- To było na wojnie. Bronilem królestwa ojca.

- Czy jest prawowitym królem? - jej włosy były delikatne i ciemne, z miękkim połyskiem. Jeden z kędziorów opadł na pierś. Widziałem malutkie zmarszczki na pomalowanym złoto sutku. Przypomniałem sobie, gdzie jestem, cofnąłem się o krok i odpowiedziałem:

- Tak.

Skinęła poważnie, lecz zauważyłem, że kosmyk podnosi się i znowu opada. Poczulem, że krew pulsuje mi w uszach.

Wreszcie powiedziała chłodno, słowo po słowie.

- A ty urodziłeś się w jego domu, z jednej z jego kobiet?

Spojrzałem jej w oczy.

- Moja matka jest Panią Trojzeny - odparłem. - Córką króla Pitteusa, którą zrodziła Klymene, jego królowa. Jestem Tezeusz, syn Ajgeusa, syna Pandiona, Pasterz Aten.

Stała wyprostowana i sztywna jak posąg w sanktuarium, ale mały złoty dysk w jej diademie rozblęsnął światłem, kiedy korona zadrziała.

- Więc dlaczego tu jesteś? - spytała.

- Ofiarowałem się dla mojego ludu. Otrzymałem znak.

Przez chwilę milczała, a ja czekałem. Potem powiedziała pośpiesznym, cichym głosem.

- Możesz zostać oczyszczony z tej krwi, bo chroniłeś ojca.

Kapłanki znowu chciały podać jej kropidło, ale odwróciła się i zanurzyła palec w parującej misie krwi. Zrobiła na mojej piersi znaki trójzębu i gołębiczy. Poczułem krew, ciepłą i lepka, a wraz z nią dotyk jej palca, gładki i chłodny. Jej dotknięcie przeszło mnie do samego wnętrza. Postanowiłem nie patrzeć na nią; niebezpiecznie jest rozbierać boginię, nawet w myśli. Potem spojrzałem. Ale ona zwróciła się już do misy z wodą, którą jej podano do umycia rąk.

Następnie zrobiła znak, jakby zniecierpliwiona, i kapłanki odprowadziły mnie na bok. Potem wzięła kropidło i zanurzyła je we krwi, opryskując nią Żurawie. Wypowiedziała inwokację. Wreszcie podeszła wprost do stopni. Kiedy podniosła spódnicę, by na nie wejść, zobaczyłem jej drobne stopy, szczupłe i wysoko sklezione, pomalowane różem na paluszkach i pięcie. Wszystkie wielkie damy z Labiryntu chodzą bosy. Nigdy też nie wychodzą na zewnątrz, chyba że w lektyce.

Raz jeszcze szliśmy korytarzami Domu Topora. Czasem widzieliśmy malowidło, które poprzednio już minęliśmy, potem skręcaliśmy w inną stronę i znowu się gubiliśmy. Ale w końcu doszliśmy do korytarza zakończonego wielkimi drzwiami, nabitego brązowymi gwoździami. Prowadzący nas młodzieniec zapukał ręką do drzwi. Strażnik otworzył je i wpuścił nas do środka, każąc nam czekać. Korytarz prowadził dalej, a w jego odległym końcu słychać było głosy odbijające się w wysokiej Sali. Głosy były liczne i wszystkie młode.

Po chwili nadszedł człowiek mniej więcej czterdziestoletni, z wyglądu pół-Kreteńczyk, pół-Hellen; żyłasty, z krótką, ciemną brodą. Miał w sobie coś* z jeźdźca czy woźnicy. Młodzieniec powiedział:

- Przyprawdzam ci nową partię, Aktorze. Masz z niej zrobić z zespół. To rozkaz.

Człowiek ten obrzucił nas zwięzonym, ciemnym spojrzeniem. Jeszcze jeden, który traktował nas jak konie. Lecz tym razem nie był to kupiec. Miał on pracę do wykonania. Parsknął i zapytał:

- Więc to prawda? Wziął ich wszystkich? A Koryntyjczyk, co mam z nim zrobić?

Młodzian wzruszył ramionami (ten gest Kreteńczycy uwielbiają) i powiedział:

- Taką mam przekazać wiadomość. Spytaj patrona - i odszedł.

Drzwi szczęknęły, zamykając się za nami. Mężczyzna obejrzał nas raz jeszcze, marszcząc się, zatopiony w myślach, i gwizdząc przez zęby. Nie widać było, by inaczej patrzył na dziewczęta i chłopców. Kiedy doszedł do mnie, powiedział:

- Jesteś stary jak na ten taniec. Jak się tu dostałeś? Rośnie ci broda. - I potem, zanim zdążyłem odpowiedzieć, dodał: - Cóż, budowę masz odpowiednią. Zobaczymy, zobaczymy. Trzeba zrobić co się da z tym, co dostajemy, skoro patroni chcą nas uczyć zawodu.

Mruczał do siebie, jak stajenny czyszczący konia, a potem powiedział nagle:

- To jest Sala Byka. Ćwiczenia się już skończyły, wkrótce podadzą wam posilek. - Skinął kciukiem i odszedł.

Myślałem, że w końcu dowiemy się, co mamy robić. Ale byliśmy tylko młodymi źrebiętami wypuszczonymi na pastwisko. Poszedłem korytarzem, a za mną Żurawie. Za progiem uderzył w nas zgielk.

Znaleźliśmy się w wielkiej sali, której dach stał na cedrowych filarach. Rozświeślały ją wysokie okna pod gzymsami. Niezdobione mury zostały pokryte białą zaprawą, porysowaną wszędzie kredowymi napisami i rysunkami. Chłopcy i dziewczęta były wszędzie.

Nawoływali się, klócili, śmiali, ścigali, bawili w żabie skoki, rzucali piłką, plotkowali dwójkach i trójkach, kilku zmywało samotnie podłogę. Byli to młodzi chłopcy i dziewczyny o skórze każdego możliwego koloru, biali, czarni, brązowi i złoci, cali nadzy, jeśli nie liczyć małych biodrowych przepasek z kolorowej skóry, koralu i biżuterii. Wysokie ściany odbijały tuzin języków i tyle samo odmian łamanej Greki, która wydawała się tu wspólną mową. Dokładnie pośrodku Sali stał wielki, łaciaty byk. Stał zupełnie bez ruchu, mimo że dwóch chłopców siedziało mu na plecach, a jakaś dziewczyna wisiała u jego rogu. Byłem zdumiony i podszedłem bliżej.

Dziewczyna zobaczyła nas. Miała twarz Fenicjanki, z zakrzywionym noskiem i oliwkową cerą. Jej usta były wyszminekowane, a przepaska wyszywana błękitną i złotą nicią. Była szczupła, lecz na jej ramionach rysowały się mięśnie jak u młodego zapaśnika. Patrzyła przez chwilę, potem włożyła dwa palce do ust i zagwizdała przesywająco, tak że po komnacie rozniosło się echo. Krzyki ustały. Wszyscy odwrócili się, by popatrzeć, i dostrzegłem jakieś zamieszanie wokół byka. Zaryczał, a jego głowa zwróciła się w naszym kierunku. Nefele wrzasnęła.

- Bądź cicho! - nakazałem. Dokoła widziałem spojrzenia pełne oczekiwania i wiedziałem, że w jakiś sposób nas nabierają. Byk nie zbliżał się, tylko ryczał i kiwał rogami. Idąc w jego kierunku, usłyszałem skrzypienie dochodzące z jego wnętrza i stłumiony śmiech. Chudy, ciemnoskóry chłopak wypadł, śmiejąc się, przez dziurę w jego brzuchu. Byk był zrobiony z drewna, obciążony wokół prawdziwą skórą; rogi miał ze złoczonego brązu. Jego nogi przymocowane były do niskiej dębowej platformy, do której przyczepiono koła z brązu.

Zebrał się wokół nas tłum gapiów, rzucający pytania, których nie rozumieliśmy, ponieważ źle mówili po grecku i do tego wszyscy naraz. Niektórzy dotykali znak-krwi na mojej piersi, wskazywali go i wołali innych. Na grzbiecie drewnianego byka pozostał jeden z jeźdźców, siedzący w swobodnej pozie. Nagle wyskoczył, odbijając się na czubkach palców, zrobił przewrót i wylądował przede mną. Przepłynął w powietrzu tak pięknie, jakby umiał latać.

Był drobny i niższy niż ja, Minyanin z domieszką krwi Hellenów. Stał upozowany na czubkach stóp jak tancerz, a potem cofnął się o krok i przyjrzał się nam. Nigdy nie widziałem takiego młodzieńca. Na pierwszy rzut oka wyglądał na strojnisią przebranego w świecidełka. Jednak jego ciężkie, złote naszyjniki, obręcze na ramionach z jubilerskim wykończeniem, klejnoty na lśniącem pasie i przepasce nie były połączanymi świecidełkami. Nosił na sobie skarb warty księcia. Jego jasnobrązowe włosy zwisały w długich, kręcących się kosmykach, tak lśniących jak u dziewczyny. Miał pomalowane oczy. Ale mimo całego tej pustoty, był jak młoda pantera, szczupły, oszczędnie zbudowany i mocny. Gruba czerwona blizna, podobna do podłużnego oparzenia, okręcała się dokoła jego żeber z prawego boku.

Potrząsnął głową, poruszając kryształowymi kolczykami i pokazując białe zęby.

- No, no! - powiedział. - Więc to są ci weseli Ateńczycy, którzy tańczyli całą drogę do Krety. Zatańczcie teraz i dla nas, wszyscy się niecierpliwimy.

W jego śmiechu była złośliwość. A jednak nie rozżościł mnie. Był dla mnie jak kapłan, który ma wprowadzić mnie w arkana misterium. Poczułem, że byłem już wcześniej w tym miejscu, że moje dusza je pamięta. Zostało to wplecione w moją mojrę, zanim się urodziłem.

Odpowiedziałem mu prosto:

- Nie jesteśmy tancerzami, oprócz tej tu Helike. Tańczyliśmy, żeby pokazać, że stanowimy jedność.

- Taaak? - spytał, unosząc brwi. - A czyj to pomysł? Twój?

- Zaplanowaliśmy to wspólnie, kiedy mieliśmy naradę - odparłem. Znowu podniósł brwi, a potem przemaszerał dokoła nas, patrząc po kolei na każdego. Wielu się nam dzisiaj przyglądało, ale on rzeczywiście nas zobaczył. Poczułem, jakby cienka, ostra klinga przeszła mnie na wylot w poszukiwaniu słabości. Kiedy zbliżył się do Nefele, spojrział na nią z kpiącym uśmiechem, a potem chwycił ją pod brodę i rzekł:

- Nie myśl o tym za wiele, moja droga. Zrobisz to, gdy będziesz musiała.

Chryse znalazł patrzącą z rozszerzonymi oczyma na wysoką dziewczynę z turkusowym naszyjnikiem, która chwyciła ją za rękę i szeptała do ucha.

- Złodziejko źrebiąt! - powiedział, klepiąc dziewczynę w pośladek. - Daj jej czas się rozejrzeć!

Melanto odciągnęła Chryse i stanęła, obejmując ją ramieniem. Zaśmiał się i podszedł znów do mnie.

- Cóż - rzekł - z pewnością stanowicie jedność. Wiesz, że jesteście pierwszą drużyną, której dano lidera bez doświadczenia?

- Skąd wiesz? - odpowiedziałem zaskoczony. - Sam trener dopiero o tym usłyszał.

Zaśmiał się pogardliwie.

- On! Nigdy nic nie wie, chyba że sami mu powiemy. Wszystkie wieści z Pałacu dochodzą najpierw do nas; tancerze byków chodzą wszędzie.

Stojący obok chłopiec dodał chytrze:

- Ty na pewno, wiemy o tym.

Nie zwrócił na to uwagi.

- Kiedy usłyszałem, że ty masz prowadzić zamiast mnie, byłem pewny, że Minotaur chce, byś zginął. Ale teraz się zastanawiam.

- Oczywiście, że chce - odparłem. - Mamy ze sobą na pieńku.

- A! - Podskoczył wysoko w powietrze, odrzucając głowę do tyłu w wybuchu śmiechu i uderzając się w uda, aż wszystkie klejnoty się rozdzwoniły.

- Och - chyba cię polubię, Ateńczyku, tak, muszę, po tym wszystkim. Czy naprawdę wrzuciłeś jego sygnet do morza? Jakie są twoje notowania, czy już wiesz?

Atmosfera tego miejsca zaczęła mnie przenikać. Pobudziła mnie, jak mocne wino.

- Nie znasz jeszcze notowań? - rzekł. - Tu trzeba mieć oczy otwarte. Jak masz na imię?

Podaliśmy mu imiona wszystkich i zapytałem o jego.

- W Sali Byka nazywają mnie Koryntyjczykiem.

- Dlaczego? - spytałem. - Czy tutaj tylko ty pochodzisz z Koryntu?

- Teraz tak - odpowiedział niedbale.

Zrozumiałem wtedy, skąd bierze się jego poza i skarb, który nosił na sobie, a także dlaczego nikt nie przerywał mu, gdy mówił. Kiedyś, daleko stąd, pragnąłem być wojownikiem, królem. Teraz zapomniałem o tym, paliła mnie tylko jedna ambicja. Nikt, komu mówiłem o tym w domu, nie rozumiał, nawet Pirithoos, mój najbliższy przyjaciel. Jak mówią, tylko ci, których ukąsiła żmija, mogą opowiedzieć, jakie to uczucie.

- Trener myślał - powiedziałem - że to ty będziesz nas prowadził. - Wydało mi się w tej chwili, że moje głupie machinacje przyniosły Żurawiom wyłącznie szkodę.

Spojrzał mi w twarz, unosząc jedną brew. Miał spojrzenie, które odzierało z odwagi aż do kości. Potem wzruszył ramionami na modłę kreteńską, wprawiając kolczyki w pełen blasków taniec.

- Och, on nic nie wie, już ci mówiłem. Chce, żebym został wycofany, by wytrenować nowy zespół, bo postawił, że przeżyję jeszcze trzy miesiące. To głupiec. Byk, który jest ci pisany, zna twoje imię, zanim się jeszcze urodzi. Mówimy tak w Sali Byka.

- To mojra - odpowiedziałem, rozumiejąc, co ma na myśli. - Czy wszyscy tutaj należą do Asteriona?

Mlasnął językiem:

- Należą! Można by cię wziąć za wieśniaka. Jest patronem jak ktokolwiek inny. Tyle że jest teraz wystarczająco bogaty, jak się zdaje, by ofiarować całą grupę, zamiast tego czy innego tancerza. Sprawił, że się o tym mówi. Tylko Król robił tak dawniej. Mój pan podniósł głowę bardzo wysoko w tych dniach. Ale nie dostaliście się tu, Ateńczycy, nieoczyszczeni? Jesteście pewnie ludźmi Boga Niebios, a jednak powinniście się dowiedzieć, do kogo wszyscy na leżymy.

- Do Wstrząsającego Ziemią? - potem przerwałem i dodałem tak beztrzesko, jak tylko potrafiłem: - Czy do Żywej Bogini?

- Sądzę, że do obojga, zgodnie z tutejszym zwyczajem. Ale jej nie zobaczycie znowu, dopiero na arenie byków. To Ariadna, Najświętsza, Pani Labiryntu. Można spotkać ją tylko w świątyni. Poza

tym, nikt jej nie widuje, tak jak Króla.

Zaraz potem ktoś krzyknął po grecku, że jedzenie jest już gotowe. Stół na kozłach zastawiono na końcu sali, a tancerze zasiadali przy nim na wyścigi. Zrozumiałem, że nasza rozmowa musi się skończyć; byłoby zuchwalstwem z mojej strony sięść przy jego boku. Kimkolwiek był w ojczystym Koryncie - pasterzem czy chłopcem okrętowym, o ile pamiętam - tu był wielkim księciem, a ja nikim. Już nie zdawało mi się to dziwne.

Jedzenie było proste, lecz obfite i bardzo smaczne. Rzeczywiście, nie licząc stołu Minosa, najlepsze z potraw trafiały do Sali Byka. Tancerzom Byków żyło się w Knossos przyjemnie, tak jak Koniowi-Królowi w roku, w którym ma pójść do boga.

4

Mieszkaliśmy w Sali Byka, w mieście zamkniętym w pałacu, życiem przypieczętowanym śmiercią. A jednak jest to dumne miasto i mocne, dzikie życie. Ktoś, kto się tam dostaje, przenika nim aż do śmierci. Tak i ja, w którego brodzie pojawiają się paski siwizny, mówię ciągle „jest”, jakby Sala Byka istniała ciągle i jakbym mógł jeszcze do niej powrócić.

Mimo że początkujący ćwiczyli osobno, ucząc się podstawowych elementów tańca, przewrotów, salt i umiejętności akrobatycznych, wszyscy tancerze byków żyli i jedli razem w Sali aż do czasu po kolacji, kiedy strzegąca je kapłanka odprowadzała dziewczęta. Dla mężczyzn były sposoby wyjścia w korytarze pałacu, takie, które pokrywano porozumiewawczymi mrugnięciami. Mogliśmy poruszać się po Pałacu po zapadnięciu zmierzchu, jeżeli trzymaliśmy się z dala od bram i murów. Żaden zbieg nigdy ich nie przekroczył.

Mówiono, że przekleństwo zostało nałożone na tych, którzy by się na to poważyli, i że następny byk po takiej próbie zawsze zabijał. Prócz tego, tancerze byków chodzili wszędzie, tak jak mówił Koryntyjczyk, choć był to taki labirynt, że kochankowie i kochanki zawsze posyłali sługę jako przewodnika. Dziewczeta jednak zamykano w nocy i obserwowano cały dzień. Ich dziewictwo było strzeżone starannie.

Myślałem początkowo, że wystarczy to, by oszaleć, przebywając cały dzień z niemal nagimi kobietami i nie mogąc mieć żadnej. Lecz wkrótce przekonałem się, że w Labiryncie nigdy nie brakuje kobiet. Co do dziewcząt, przestawały ze sobą; był to tak stary zwyczaj, że nikt go nie podważał. Były jednak również i takie, które były prawdziwymi dziewicami, również w sercu. Oddały się tańcowi byków i żyły dla niego na jawie i we śnie.

Od chwili zapalenia lamp nasze życie było osobistym sekretem każdego. Ale w Sali Byka byliśmy towarzyszami, mężczyźni i dziewczyny, współuczestnikami misterium i rzemieślnikami przywiązanymi do swego zawodu. Wystarczająco często mieliśmy tylko ręce, by odsunąć śmierć od siebie nawzajem, to i nic więcej. A przecież byliśmy młodzi i ulepieni z tej samej gliny, co inne stворzenia, które Matka Dia wyprowadza na światło dnia. Zawsze rozciągała się między nami napięta struna jak z lutni, która nigdy nie pękała, choć również nigdy nie się nie rozluźniała, i często, od dotknięcia czy oddechu, wypełniała powietrze swym sekretnym dźwiękiem. Wiele razy, gdy byłem z jakąś kreteńską damą, w falbankach, spinkach i zapachach perfum, do której łóżka trudno było się przedostać przez gąszcz miseczek ze szminkami, lusterek i toaletek wszędzie dokoła, zasypiałem potem na mym posłaniu w Sali Byka, obejmując we śnie talię jak u zielonej wierzby lub chwytając w miłosnych zapasach silne, szczupłe ramiona, nagie, chłodne i w złotych obręczach.

Nigdy w Domu Topora sen ten się nie ucieleśnił. Nigdy - dopiero wiele lat później, gdy Sala Byka została daleko za mną i przestała istnieć, nie spotkałem znowu takiej dziewczyny i nie miałem jej dla siebie. Znalazłem ją wtedy, kiedy przestałem jej szukać, jadącą w

scytyjskich spodniach, półnagą między włóczniami. Mimo że była wyższa niż dziewczęta w Sali Byka, miała delikatne kości i lekko było ją nieść. Dwa razy znosiłem ją w ramionach z pola bitwy. Lekka była nawet za drugim razem, mimo że ciężiej nosić umarłych niż żywych.

Widziałem, jak sama zabija włóczęgią lamparta. Lecz mnie nigdy nie zraniła, poza tą raną od oszczepu, kiedy podniosłem ją po raz pierwszy. Cieszę się, że mam tę ranę, ponieważ to wszystko, co mi po niej zostało. Potem, i raz jeszcze bezwiednie, zraniła mnie, dając mi syna wysokiego na sześć stóp i trzy palce. Ale Dziewicza Bogini, której zbrojnie służyła, i bogowie podziemni byli dla niej dobrzy. Zanim mogła zobaczyć, jak to się skończy, zamknęli jej oczy ciemnością.

To wszystko nie rozwinęło się jeszcze z wrzeciona. Gdybym wszystko wiedział, pociągnęło by mnie to w dół i pewnego dnia byk byłby szybszy. Albo i nie. Ponieważ byk pisany tobie zawsze cię dopadnie. Rodzi się, znając już twe imię. Tak mówimy wszyscy w Sali Byka.

Kiedy zakończyliśmy lekcje dla początkujących, umieliśmy robić przewrót i salto do przodu i tyłu, a niektórzy z nas potrafili dobiec do ćwiczebnego konia i odbić się w przewrocie na wyprostowanych rękach. Iros i ja potrafiliśmy tego dokonać za każdym razem, Chryse całkiem często, a czasem nawet Nefele. Koryntyjczyk osądził ją trafnie. Jej płochliwość była pokazem skierowanym do mężczyzn. Oszukała tym nawet siebie sama, ale kiedy w Sali Byku zrozumiała, że nikt tego nie podziwia, nie było od niej dzielniejszej w zespole. Jeśli chodzi o Helike, trener zobaczył od razu, że umiała już to wszystko, i posłał ją, by ćwiczyła ze skoczkami na drewnianym byku.

Z każdego miejsca w Sali Byka widać było Byka Dedala. Zwano go tak od nazwiska jego pierwszego twórcy, mimo że od czasu jego skonstruowania każda część została odnowiona tuzin razy, z wyjątkiem pięknych brązowych rogów, które niezliczone dłonie gładko wypolerowały. Wszyscy mówili, że rogi były dziełem samego Dedala. W pustym korpusie znajdowała się ławeczka, pomiędzy ramionami, gdzie siadywał mały pomocnik trenera, który poruszał dźwignie

sprawiające, że głowa kiwała się lub podnosiła. Tańczyliśmy i robiliśmy uniki, podczas gdy Aktor krzyczał:

- Nie, nie! Ruszajcie się, jakby był waszym kochankiem! Prowokujcie go, wymykajcie się mu, niech się dla was namęczy. To miłosna przygoda, cały świat to wie! - zachęcał w ten sposób raczej chłopców niż dziewczęta, bo była to Kreta.

W ciągu tych pierwszych tygodni oczekiwałem każdego dnia, że Asterion pośle po mnie i wymierzy mi karę. Ale nie nadchodził i traktowano mnie jak innych.

Po tańcu przyszedł czas na skoki przez byka. Tu, na byku z drewna, była to tylko pantomima, jedynie cień tego, czemu nadaje sens żyjące zwierzę i co tylko nieliczni osiągali. Żaden zespół nie miał wielu skoczków, niektóre tylko jednego, ale byli oni książętami Sali Byka. Podczas pierwszej lekcji Aktor posłał po Koryntyjczyka. Przyszedł leniwie, wśród rozbłysków i dzwonięcia biżuterią, dając komuś do potrzymania zbyt luźną bransoletkę z pieczęcią. Potem podbiegł do obniżonych rogów i kiedy podniosły się ze skrzypieniem, rzucił się na nie z wyprostowanymi ramionami. Gdy łeb podniósł się najwyżej, puścił rogi i ptasim lotem zakreślił w powietrzu krzywą linię. Palce stóp dotknęły grzbietu byka. Wtedy odbił się, lekki jak kozica, a Aktor pokazał nam, jak łapacz powinien go utrzymać. Kiedy byk jest żywy, skoczek może upaść mniej pewnie. Lecz jeśli chce przeżyć, musi wylądować na nogach.

To właśnie jest skok przez byka. Ale każdy wielki skoczek skrywa swoje sztuczki. Są one jego znakiem rozpoznawczym. Imiona takich mężczyzn i dziewcząt (wśród największych były i dziewczęta) pamiętały całe pokolenia. Starcy mówili z lekceważeniem o dzisiejszych tancerzach, twierdząc, że nie zna się prawdziwych skoków, jeśli się nie widziało takiego a takiego pięćdziesiąt lat temu. Kimś takim był właśnie Koryntyjczyk. Mówiono, że nauczył się, jak sprawić, by byk podrzucił łbem nisko lub wysoko. Przy wysokim podrzucie potrafił zrobić pół salta w powietrzu, lądując na grzbiecie byka rękoma na dół, i odbić się w stronę chwytającego.

Skoczek jest dumą zespołu, ale chwytacze znaczą dla niego tyle, co życie. Każdy członek zespołu pozwala przeżyć reszcie. Nie było tchórzów w Sali Byka, a w każdym razie nie żyli długo. Kiedy tylko ludzie zgadywali, że zawiedziesz ich w potrzebie, pilnowali, byś nie dożył tej chwili. To łatwe na arenie byków. Starano też nie przysparzać sobie wielu wrogów. Nawet jeden mógł wystarczyć.

Nauczyliśmy się na Byku Dedala, jak tancerze mogą ratować jedni drugich i sami siebie, jak mają obejmować rogi byka nogami i ramionami, aby nie mógł ich rozszarpać, jak łapać rogi z przodu, z tyłu i z boków, skacząc i uciekając, jak zbijać zwierzę z tropu, zasłaniając mu oczy. Bykowi nie wolno zrobić krzywdy, nawet by ocalić życie. Jest mieszkaniem boga.

Z początku nie rozumiałem, jak takie rzeczy mogą być możliwe z bykiem o sprawnym ciele. Ale na Krecie byki były hodowane do tańca przez tysiąc lat. Są wspaniałe z postawy: ogromne, silne, z wielkimi boskimi łbami, ale i powolne, a spryt zwierząt został wyeliminowany w selekcji. Byk, który był aktywny i pełen energii, i zabijał, zanim dostał się na arenę, używany był jako zwierzę ofiarne. A jednak byki kretańskie pozostały bykami, cokolwiek by się powiedziało. Nigdy nie można być ich pewnym. Kiedy stawały się skore do pomocy i wydawały się znać taniec tak dobrze, jak i ty, był to czas, by mieć się na baczności.

W drugim miesiącu treningu zobaczyliśmy taniec po raz pierwszy.

Chcieliśmy pójść wcześniej, lecz Aktor zakazał nam tego. Powiedział, że jeżeli początkujący zobaczą taniec, zanim nauczą się nieco sztuki, ztratą wiarę w siebie i odwagę.

Arena byków mieściła się we wschodniej części Pałacu, położonej na równinie. Zbudowana była z drewna, ponieważ Kreta w nie obfituje. Tancerze mieli własną galerię, nad drzwiami, którymi wychodził tańczący zespół, położoną naprzeciw bramy byka. Była również naprzeciwko łoża królewskiej, ale już od dawna, jak mówiono, Minos nie oglądał tańca. Najwyższy kapłan Posejdona poświęcał byka. Reszta rytuału należała do Żywej Bogini.

W wyróżnionym miejscu areny stało połączone sanktuarium, podtrzymywane przez szkarłatne filary i ukoronowane świętymi rogami. Po obu jego stronach umieszczono miejsca dla kapłanek, a wszędzie dokoła siedziały damy z Pałacu. Kiedy zajmowaliśmy miejsca, wychodziły z lektyk, a ich niewolnicy rozścielali sukno, rozkładali poduszki do siedzenia i podawali wachlarze. Przyjaciółki witały się wzajemnie i całowały, wołając, by ich siedzenia zostały postawione przy sobie. Wkrótce sanktuarium przypominało rozposcierające się drzewo, na którym zasiadło stado pstrokatych ptaków, gruchających, świergoczących i czyszczących piórka. Gęsto jak ciemne liście mali rudobrunatni Kreteńcy wypełnili górne rzędy.

Zabrzmiały rogi. Drzwi poniżej sanktuarium otworzyły się. Stała tam. Pamiętałem jej sylwetkę, podobną do polnej lilii, wyprostowaną i drobną, krągłe piersi i biodra, talię, którą można złamać palcami. Ale teraz była sztywna od złota. Czerwień jej sukni można było dostrzec tylko, gdy poruszyły się falbanki. Jej diadem wysoki na stopę wieńczył złoty lampart. Gdyby się nie ruszała, wziąłbym ją za dzieło jubilera.

Wszyscy mężczyźni stali, trzymając pięść na piersi, kobiety dotykały czoła. Zasiadła na wysokim tronie. Zabrzmiała muzyka harf i fletów.

Tancerze byków weszli przez drzwi pod nami. Kroczyli powoli, choć lekko, dwójkami, chłopiec przy dziewczynie, uroczystym, tancerzynie krokiem. Ich kędziory, utrefione i lśniące, falowały na gładkich ramionach, obrycze noszone na ramionach i naszyjniki odbijały światło, młode piersi dziewcząt i ich spódniczki poruszały się pięknie w tańcu. Wszyscy mieli dłonie i nadgarstki owinięte płótnem, by wzmocnić uchwyt; buty z miękkiej skóry zostały związane na łydkach. W pierwszej parze był Koryntczyk, beztroski jak ptak.

Okrążyli arenę i stanęli w szeregu przed kapliczką, z Koryntyjczykiem w środku. Stali tam wszyscy, wykonując znak hołdu, i wypowiedzieli zdanie w starym kreteńskim języku. Poklepałem po ramieniu tancerkę siedzącą przede mną i spytałem:

- Co oni mówią?

Była to czarna dziewczyna z Libii i nie mówiła zbyt dobrze po grecku. Powiedziała wolno, zastanawiając się w trakcie mówienia:

- Pozdrawiamy cię, Bogini! My, którzy mamy umrzeć. Przyjmij tę ofiarę.

- Na pewno? - spytałem, bo słowa te wstrząsnęły mną. - Zrozumiałaś to dobrze?

Skinęła głową, ozdobioną błękitnymi i złotymi koralikami wplecionymi w czarne runo włosów, tak blisko czaszki, że wydawały się do niej przyszyte. Potem powiedziała to raz jeszcze.

Nie odpowiedziałem, ale potrząsnąłem głową, myśląc: „Zaprawdę, ci Kreteńczycy, mimo ich wszystkich zręcznych dzieł, są głupcami. Ta pani może być najwyższą kapłanką całego świata, najszlachetniej urodzoną i najbliższą Bogini. Ale jest kobietą. Nie obchodzi mnie, czy zaprzeczy temu dziesięć tysięcy Kreteńczyków. Jest kobietą, jestem pewny, jak tego, że ja jestem mężczyzną. Wiem to”.

Spojrzałem z dołu na świątynię. Znowu usiadła i pozostawała w bezruchu, jakby zrobiona ze złota i kości słoniowej. Pomyślałem: „Co z nią będzie? Dopuściła się tego, czego wiecznie żyjący bogowie nie pozwalają rodzajowi ludzkiemu. Nie przebaczą jej też ze względu na jej młody wiek, nie takie są ich zwyczaje. Lecz któż może ją ocalić? Jest zbyt wywyższona, by jej dosięgnąć”.

Tancerze odwrócili się i rozciągnęli się w kręgu dookoła areny. Zabrzmiała trąba. W murze naprzeciw nas otworzyła się wielka brama i wyszedł z niej byk.

Było to królewskie zwierzę, białe z brązowymi łatami, o grubym tułowiu, krótkich nogach, szerokim czole i - jak cała rasa - o bardzo długich rogach. Rogi kręciły się w górę i do przodu, potem opadały i znów się wznosiły przy końcach. Pomalowane zostały na całej długości w złoto-czerwone pasy.

Koryntyjczyk stał po przeciwnej stronie areny zwrócony do niej twarzą, plecami do nas. Zobaczyłem, że unosi rękę w geście pozdrowienia. To szlachetny gest, pełen wdzięku i odwagi. Potem tancerze rozpoczęli swój korowód wokół byka, obracając się w kręgu

jak gwiazdy wokół Ziemi, najpierw z dala, lecz zbliżając się. Początkowo niezbyt zwracał na nich uwagę, lecz można było dostrzec, że jego wielkie, wytrzeszczone oczy obracały się za nimi w krąg. Poruszył ogonem i zaczął wiercić kopytami.

Muzyka przyspieszyła, a tancerze zbliżyli się. Krążyli wokół byka jak stado jaskółek, bliżej i bliżej. Pochylił łeb, a jego przednia noga ryła ziemię. Wtedy dopiero można było dostrzec, co z niego za głupiec. Byk z Trojzeny wybrałby sobie kogoś" i zaszarżował. Ten jednak, gdy któryś z tancerzy przebiegał mu tuż przed łbem, patrzył i przygotowywał się z niemrawym szuraniem kopytem, a potem mówił do siebie: „Za późno!", patrzył zmieszany i zaczynał od nowa. Teraz tancerze zwolnili piruety i zaczęli bawić się z bykiem. Najpierw jeden i drugi zatrzymywali się, aż go przyciągnęli, a potem odskakiwali w ostatniej chwili lub odchylali się w bok, schodząc mu z drogi i zostawiając go dla następnego. Im zuchwalsi są tancerze, im bardziej urabiają byka, tym lepiej kończy się to dla nich. On jest silniejszy, ale jest jeden, a tancerzy czternastu. Może się zmęczyć pierwszy, jeśli ciągle droczyć się z nim w ten sposób.

Tak się to ciągnęło, aż otepiło go to trochę i zdawać się mogło, że mówi: „W końcu, czy ktoś mi za to płaci?". Wtedy Koryntyjczyk pobiegł w koło, by dostać się naprzeciw niego i wyciągnął ramiona. Krąg się zatrzymał.

Podbiegł płynnie do posępnego byka. Był to skok, jaki często widywałem w Sali Byka. Ale tamto było tylko odbiciem, teraz miał przed sobą żywe zwierzę. Uchwycił rogi i wyrzucił się pomiędzy nie, postępując za ruchem byka. Potem wyleciał swobodnie w przestrzeń. Byk był zbyt oglupiały, by odwrócić się i zaczekać na niego. Pobiegł naprzód, kiedy poczuł, że już go nie ma. Koryntyjczyk obrócił się w powietrzu, zakreślając krzywizną tak cudowną jak w giętym łuku. Potem jego złączone stopy dotknęły szerokiego grzbietu zwierzęcia, by znowu wystrzelić w górę. Wydawał się nie skakać, lecz wisieć nad bykiem, jak wałka nad sitowiem, podczas gdy to zwierzę wybiegało spod niego. Wtedy spadł na ziemię, wciąż ze złączonymi stopami i delikatnie dotknął dłoni łapacza, jakby z grzeczności: nie

potrzebował podtrzymania. Potem oddalił się, tańcząc. Rozległa się radosna wrzawa i gruchanie z ptasich grządek, i krzyki mężczyzn. Co do mnie, skierowałem sekrecie prawicę w stronę ziemi, i wyszeptalem wśród zgiełku:

- Ojczy Posejdonie! Uczyni mnie skoczkiem!

Tancerze znów zatoczyli koło. Dziewczyna zatrzymała się na czubkach palców z podniesionymi ramionami, rozcapierzając palce. Była to Arabka o skórze jak ciemny miód i długich, czarnych włosach. Prosta jak włócznia, z postawą kobiety przyzwyczajonej do noszenia ciężarów na głowie. Wielkie złote dyski zwisały z jej uszu i odbijały promienie słońca. Czasem w Sali byków widywałem błysk jej białych zębów. Była wyniosła i skora do drwin, lecz teraz wygładzała poważnie i dumnie.

Uchwyciła rogi i wybiła się w górę. Chyba coś działo się w tępych umyśle byka lub jej równowaga była mniej pewna niż Koryntyjczyka. Zamiast podrzucić głowę do góry, potrząsnęła ją na boki. Dziewczyna spadła na jego czoło. Ale jednak utrzymała w jakiś sposób uchwyt na jego rogach. Wisiała na nich jak małpka, jadąc na nosie byka, ze stopami skrzyżowanymi na jego podgardlu. Zaczął kręcić się w kółko, trzęsąc głową. Usłyszałem głęboki pomruk z miejsc dla mężczyzn i od strony kobiet wysokie, zdyszane trajkotanie. Spojrzałem na sanktuarium na filarach. Lecz złota bogini siedziała nieporuszona, a jej pomalowana twarz była spokojna.

Tancerze zawirowali wokół byka, klaszcząc w dłonie i machając pierścieniami, by rozproszyć uwagę zwierza. A jednak wydawało się, że robili to raczej na pokaz i mogli postarać się lepiej. Tłukłem o coś pięścią, mrużąc pod nosem:

- Bliżej! Bliżej! - aż młodzieniec siedzący obok mnie powiedział:

- Trzymaj ręce przy sobie, Hellenie - uderzałem go w kolano.

- Dopadnie ją! - powiedziałem. - Biegnie do ogrodzenia, by ją sięgnąć.

Młody człowiek mruknął, patrząc na arenę:

Tak, tak. Nie zaryzykują dla niej. Była bezczelna i narobiła sobie wrogów.

Byk próbował dopaść ogrodzenia, ale miał na oczach długie włosy dziewczyny, która obejmowała go ramionami, by go osłepić.

Powiedziałem bez tchu:

- Koryntyjczyk! Czy on nie może pomóc?

Odpowiedział mi, pochylając się naprzód na swoim siedzeniu:

- To robota łapacza, a nie skoczka. Czemu miałyby to robić? Nigdy nie tańczył z tym zespołem.

Właśnie, gdy to mówił, Koryntyjczyk wyskoczył naprzód. Podbiegł do byka z lewej strony, złapał róg i zawisł na nim, kołysząc się. Dziewczyna, której siły się wyczerpały, upadła, zatoczyła się na nogach i uciekła.

Widziałem, że zanim skoczył, Koryntyjczyk rozejrzał się szybko dokoła i skinął na innych. Młodzieniec obok mnie skoczył na równe nogi i krzyczał w ojczystym języku, rodyjskim, jak mi się zdawało; mogłem zrozumieć, że przeklinał. Sam również krzyczałem. Nikt nie mógł wytrzymać długo w ten sposób, jak próbował Koryntyjczyk, chyba że pojawiłby się ktoś, kto pociągnąłby za drugi róg. Liczył na to, ale nikt tego nie uczynił.

Wreszcie nadbiegł jeden z chłopców i uczynił ruch, jakby miał skoczyć i chwycić róg. Ale widziałem, że uczynił tak ze wstydu i nie zrobił tego z sercem. Spóźnił się więc. Byk zrobił unik i pochylił na ukos łeb, strącając Koryntyjczyka kopytem. Potem zobaczyłem, jak Koryntyjczyk znowu się podnosi, ale tym razem nie wzbil się w powietrze. Był nabity na róg, który przeszył mu przepone, tuż nad pasem. Nie wiem, czy krzyczał, czy nie. Zgiełk był zbyt wielki, by usłyszeć. Został podrzucony i ciśnięty o ziemię z wielką, czerwoną dziurą w brzuchu. Byk stratował go i odbiegł. Muzyka umilkła. Tancerze stanęły w bezruchu. Głębokie westchnienie i pomruk przebiegły wzdłuż galerii.

Do dobijania ofiar używano małego podwójnego topora, świętego wzoru. Kiedy podnieśli go nad jego szyją, zobaczyłem, jak podnosi przez chwilę dłoń jakby w obronnym geście, a potem - prostuje

ją w pozdrowieniu i obraca głowę, by przyjąć uderzenie czyściej. Był dżentelmenem i zginął jak na niego przystało. Poczułem, że płacę, jakbym się w nim zakochał. Było tak rzeczywiście, choć nie tak, jak to rozumiano na Krecie. Nikt nie zwrócił uwagi. Zapłakać raz jest uważane za szczęśliwy znak w Sali Byka. Zresztą, jakaś dama upadła wrzeszcząc i zebrał się wokół tłum. Wachlowano ją, przystawiano do nosa pachnidła i chwytało jej małąkę.

Byk został spętany i odprowadzony. Było znać, że się męczył. Wkrótce będzie miał już dosyć. Tancerze wymaszerowali. Rodyjczyk, siedzący obok mnie, powtarzał:

- Dlaczego? Dlaczego to zrobił? Przecież nie musiał.

A potem dodał:

- Myśle, że został wezwany. Przyszła chyba na niego pora.

Nie odpowiedziałem. Moje łzy wyschły i zacząłem myśleć.

Kapłan Posejdona napelniał płytki puchar ofiarny krwią Koryntjczyka i rozlał ją na ziemię jako libację. Potem postąpił naprzód i stanął przed sanktuarium, wylewając resztę, aż opróżnił puchar. Przemówił po kreteńsku. Pani w świątyni wstała i podniosła dłonie skierowane na zewnątrz, w geście, który oznaczał: „dokonało się”. Potem wyszła przez drzwiczki z tyłu sanktuarium. Przypomniałem sobie drobne, pomalowane różem stopy na schodach, delikatne piersi z wijącym się na nich łokiem. Zadrzałem.

Kiedy wróciliśmy do Sali Byka, powiedziałem do Amyntora:

- Przyprowadź Żurawie.

Czekałem przy Byku Dedala. Nikt nie miał ochoty, by ćwiczyć na nim w tej chwili, więc mieliśmy to miejsce do swojej dyspozycji. Żurawie nadeszły. Zobaczyłem bladość Formiona, a Amyntor wciąż jeszcze trząsł się z gniewu. Co do dziewcząt - to właśnie Chryse i Tebe płakały, oczy Nefele były suche. Helike zamknęła się w milczeniu, jak miała w zwyczaju, i nie odzywała się do nikogo.

- Dobrze - powiedziałem. - Widzieliśmy więc taniec przed bykami.

Amyntor wybuchnął, przeklinając zespół, który pozwolił umrzeć Koryntyjczykowi. Był szlachcicem i uważał ich za coś w rodzaju gwardii królewskiej, która zawiodła swego pana. Pozwoliłem mu ciągnąć przez chwilę; naprawdę chciał dobrze.

- Tak - rzekłem. - Ale pomyśl, nie był ich rodziną, nic mu nie byli winni. Nie złożyli mu żadnej przysięgi. Dlaczego miałby być dla nich droższy nad ich własne życie?

Spojrzeni na mnie, dziwiąc się, że mogę być tak spokojny.

- Na okręcie - powiedziałem - kiedy was zaprzysięgłem, zrobiłem to dlatego, by utrzymać nas razem. Niczego nie wiedziałem, ale myślę, że bóg mną pokierował, bo jestem w jego ręku. Czy wszyscy rozumiecie teraz, dlaczego musimy być jak ród?

Przytaknęli. W tej chwili byli jak gorący metal, gotów przyjąć uderzenia młota. Miałem rację, nie zwlekając.

- Koryntyjczyk jest martwy - powiedziałem. - Ale wszyscy z jego drużyny również. Oni też o tym wiedzą. Spójrzcie na nich. Wstyd tak by im nie ciążył. Boją się.

- Tak - rzekł Amyntor. - To prawda.

- Kiedy zbyt kochacie życie na arenie, wtedy właśnie je straciecie. Są teraz towarem, który nikt nie kupi. Nie są warci dla nikogo siniaka, szramy czy kropli krwi. I stracili dumę, która mieli w sobie. Jeżeli któryś z nich miał opiekuńcze bóstwo, musiał słyszeć muzykę jego odejścia. Spójrzcie na ich twarze.

Zamiast tego spojrzeli jednak na mnie, jakbym miał moc czynić rzeczy innymi, niż były. Zastanawiali się dobrze nad tym, co mówiłem.

- Odnowimy naszą przysięgę - powiedziałem - aby bogowie tego miejsca mogli być jej świadkami. Ale teraz zaprzysięgniemy ją mocniej. „Życie każdego Żurawia będzie mi cenne jak własne. To, czego będę oczekiwał w niebezpieczeństwie, sam ofiaruję. Właśnie to, nic mniej, ani o włos. Biorę na świadka Rzekę, Córy Nocy i Posejdona o Bycznym Łbie, głęboko u fundamentów Krety. W dniu, w którym złamię przysięgę, oby mnie zniszczyli”.

Spojrzeni na mnie wielkimi oczyma. Chryse i Amyntor wystąpili razem naprzód, by w pośpiechu powtórzyć słowa, póki dobrze je pamiętali. Nie spojrzeli nawet za siebie. Nakazałem im gestem czekać, widziałem bowiem innych. Nie chodzi o to, że winiłem ociągających się: była to mocna przysięga, i ciężka.

- O co chodzi? - rzekłem. - Myślicie, że robicie to dla mnie? No właśnie, dlaczego mielibyście to zrobić? Jestem królem bez własnego kąta, bez jedzenia, ubrań ani niczego, co mógłbym wam dać, oprócz tego - jak każdy z was - na co mogę się przydać, gdy będę tańczył przed bykami. Zróbcie to dla siebie. Jesteśmy tylko ludźmi. Będą między nami kłótnie, miłosne rywalizacje i podobne sprawy. Jeżeli byście przysięgli, że tak nie będzie, złamiemy przysięgę w tydzień. Ale to możecie przysiąc: by nigdy nie zabierać kłótni na arenę. Musicie być członkami jednego ciała, jak byśmy mieli jedno wspólne życie. Bo tak jest. Nie możemy mniej ufać jedno drugiemu, niż ręka dzierżąca włócznię dłoni trzymającej tarczę. Przysięgnijcie tak.

Wtedy niektórzy wystąpili. Powiedziałem pozostałym:

- Nie bójcie się. Potem będzie wam lżej, kiedy już nie będzie się można cofnąć. Tę tajemnicę chcę wam zdradzić. Nauczyłem się jej od kapłana, który jest też królem.

Przysięgli wszyscy, potem zapadła cisza. Wreszcie głupiutka Pylia spojrziała zaskoczona, jakby napiła się mocnego wina.

- To prawda. Rzeczywiście jest mi lepiej.

Wszyscy roześmialiśmy się, bardziej z jej miny niż z cokolwiek innego. Ale cały dzień, jak się okazało, byliśmy radośni.

Tej nocy, kiedy dziewczęta już poszły, podszedł do mnie chłopiec - Minyanin z Melos, którego znałem tylko z widzenia.

- Koryntyjczyk powiedział mi - rzekł - kto ma wziąć jego rzeczy, kiedy spotka swego byka. To dla ciebie.

Otworzył rękę. Był tam mały byk, z wypolerowanego kryształu. Pierścień, do z którego miał zwisać, wykonany był na kształt szczupłego skoczka przez byki, wygiętego w salcie do tyłu.

- To dla mnie? - zapytałem. - Prawie mnie nie znał.

Nie chciałem, żeby Koryntyjczyk zmarnował swoje ostatnie życzenie z powodu głupoty tego chłopca. Wzruszył ramionami.

- Och, to nie podarunek miłosny. Nie pochlebiaj sobie. Powiedział, że chce coś oddać z kaprysu. Czy to był zakład?

Wziąłem klejnot i powiesiłem sobie na szyi, używając mocnej nici. Nie ganiłem się za to, że śmiałem się i wygłupiałem z Żurawiami, zanim jego krew obeschła. Zrozumiałby to lepiej niż ktokolwiek inny.

Po zmroku poszedłem poza kuchnię. Brama była otwarta na oścież jak zwykle. Aktor, trener, widząc mnie, zapytał:

- Która to dzisiaj cię oczekuje? Baw się z nią dobrze. Kiedy znajdziesz się przed bykami, będziesz miał mniej do żałowania.

Powiedziałem coś, z czego mógł się zaśmiać. Nie wyszedłem tego wieczoru do dziewczyny. Miał rację; taniec z bykami jest zazdrosną kochanką. A w dzień nigdy nie byłem sam.

Wielki Dziedziniec, rozświetlony blaskiem księżycy, był pusty. Rząd za rzędem wznosiły się balkony na filarach, rozświetlone przyćmionym blaskiem. Lamy migotały za zasłonami ze wschodnich tkanin. Donice z liliami i drzewkami cytrynowymi, obsypanymi kwieciami, rozsnuwały słodką, ciężką woń. Kot przemknął z cienia do cienia, i Kreteńczyk, wyglądający, jakby szukał tego samego co kot. Potem zapadła cisza. Wielkie rogi na zwieńczeniu dachu wznosiły się, jakby chciały przebić gwiazdy.

Wyciągnąłem ręce z dłońmi skierowanymi w dół i trzymałem je nad ziemią.

- Ojczy Posejdonie, Ojczy Koni, Panie Byka, jestem w twoim ręku, kiedy tylko mnie zawieszysz. Taka jest nasza umowa. Ale, skoro masz mnie w swej władzy, daj mi najpierw tę jedną rzecz. Chcę skakać przez byki.

W ostatnim miesiącu naszego treningu poszliśmy na pastwisko, by zabrać naszego byka. To byk wybiera swój zespół, nie odwrotnie. Przyprawdza się krowę, uwiązuje ją i czeka z sieciami. Dosiada jej byk-król, ten, któremu inne muszą ustąpić miejsca. Kiedy się parzą, trzeba uwiązać go do drzewa i schwytać w sieć.

Mieliśmy szczęście. Właśnie zabrano ze stada wściekłego byka. Na Krecie oznacza to takiego, którego ty czy ja nazwalibyśmy normalnym bykiem, nie pozbawionym sprytu. Zabił swojego rywala i jednego z ludzi, którzy przyszli, by go przyprawdzić, obu zbyt szybko. Teraz ryczał w zagrodzie, czekając, aż zostanie złożony w ofierze.

Aktor sprowadził nas na podmokłą łąkę. Widzieliśmy, że na dachach Pałacu roilo się od gapiów. W tym czasie stawia się zakłady. Zdarza się także, że tancerz ginie podczas chwytania byka, i oczywiście żal byłoby to przegapić.

Ale Posejdon nam sprzyjał. Kiedy uwiązałem krowę, nadbiegły dwa zwierzęta i stoczyły o nią walkę. Nowy król, czarny, był znacznie szybszy, a jego rogi rozcapierały się, co jest złą cechą, ponieważ takie byki próbują nabijać na rogi rzucając łbem na boki, zamiast podrzucać go do góry. Ale przez przypadek raczej niż dzięki sprytowi jego rywal, w czerwone i białe plamy, złamał mu jeden z rogów, gdy szczepili się łbami. Czarny odbiegł z rykiem, przerażony jak wojownik, któremu w rękę łamie się włócznia. Drugi potruczał do krowy.

Dopilnowałem sam, by go uwiązać, bo miałem już do czynienia z bykami. Schwytaliśmy go w sieć, nie odnosząc większych obrażeń niż otarcia, gdy pociągnął nas na kolana. Kazałem wszystkim czekać, aż skończy to, czym się właśnie zajmował. Nie miało sensu sprawianie, by nas znieawidził. Potem rzuciliśmy sieć i ściągnęliśmy ją mocno. Kiedy kilka razy się potknął i raz upadł, można było spostrzec, że mówi do siebie: „Nad tym trzeba się jeszcze zastanowić”. Więc kiedy myślał, przywiązaliśmy go do dyszla między wolami i odprowadziliśmy go.

Nazwałem go Heraklesem. Był to bohater, o którym miałem wielkie mniemanie w czasach, kiedy zamierzałem urosnąć na siedem stóp. Później, mimo że bez wątpienia był to godny syn Zeusa

w czasach, gdy stąpał po ziemi, nabrałem przeciw niemu pewnych uprzedzeń. Ten byk wyglądał jak moje wyobrażenie Heraklesa: przystojny i ociężały, lecz raczej głupawy. Jeżeli w Sali Byka ktoś nie nauczy się śmiać z samego siebie, z pewnością nigdy mu się to nie uda.

Do dzisiaj co roku składam ofiarę Heraklesowi, choć nie mówię herosowi, z czyjego powodu tak czynię. Był ogromnym bykiem, z szerokim czołem i wielkimi, grubymi rogami, wystrzeliwującymi daleko naprzód tak, jak powinny, co sprawiało, że szarżował prosto na ciebie. Serce miał leniwe, ale miał o sobie wielkie pojęcie, i nie zważał na lekkie traktowanie. Zyskał więc miano niespokojnego byka. Ale mimo tego, że nie dało się go nazwać bezpiecznym, był mniej groźny, niż się zdawało, z myślami ciągle przy stajni i czekającej tam karmie. Co najlepsze, miał zad gruby jak beczka.

Są dwa sposoby ćwiczenia z bykiem, kiedy się już go schwytało. Jest przykuwany łańcuchem do żerdzi w ćwiczebnej jamie, tak że można się uczyć z wdziękiem omijać jego rogi. Albo związuje się go tak, że nie może biegać, co najwyżej ruszać głową. Robi się to, by ćwiczyć skoki. Nie dostaje się zbyt wiele czasu na żadną z tych rzeczy; gdyby go wystarczyło, by oswoić go choćby na poły, popsułoby to zabawę, jak uważali Kreteńczycy. W każdym razie nie ma prawa, które nakazywałoby, że trzeba sobie zrobić z niego wroga. Wszyscy przynosiliśmy Heraklesowi sól do polizania albo garść świeżej trawy, kiedy przychodziliśmy z nim tańczyć. Ale on patrzył na nas z ukosa, winiąc nas za swoją niewolę.

Poznawałem teraz innych tancerzy, zarówno mężczyzn, jak i dziewczęta. Nie było to łatwe koleżeństwo - to towarzystwo z Sali Byka. Znało się tu szanse swoje i wszystkich innych, codziennie jadło posiłki, rozmawiało i wdawało w bójki z ludźmi skazanymi na śmierć - z tymi, którzy czują lęk przed bykami, tymi, którzy się poddali albo otrzymali złą wyrocznię od bogów. W Sali Byka czczone bóstwa z całego świata, dlatego właśnie ołtarz za drzwiami dla tancerzy na arenie jest poświęcony im wszystkim. Jest też niemal tyle samo sposobów wróżenia: z piasku i kamyków, z odchodów

(water-droppings), lotu pszczół lub odprysków kości słoniowej, ptaków, jak Hellenowie, albo, jak Sarmaci, z zachowania jaszczurek. Naznaczeni śmiercią umierali i niewiele o nich pamiętano, tak jak o upuszczonym kamyku, który wzbudza na powierzchni wody zmarszczki odpowiednie do wagi. A jednak byli i tacy, którzy szukali śmierci od pierwszego tańca i z pewnością stawali z nią twarzą w twarz, a jednak śmierć trzymała się z dala od nich.

Nikt nigdy nie wiedział. To dodawało pikanterii życiu w Sali Byka. Mówiono, że jeżeli tancerz żył trzy lata, Bogini puszczała go wolno. Nikt nie pamiętał osoby, która by przetrwała tak długo. Ale nie można było przewidzieć czyjegoś losu. Mówiło się sobie, że może rozpocząć się wojna albo jakieś zamieszki, podczas których można by uciec, albo że pałac może spłonąć. Czasami, nocą, przypominałem sobie, że Labirynt nie ma murów, a morza wokół Krety są puste, bez pobliskich wysp, które ostrzegłyby o nagłym niebezpieczeństwie.

Było to twarde braterstwo, lecz nie było tu zazdrości. Wszystko, w czym ktoś był dobry, było dobre i dla pozostałych. Nie było tu wcale zawiści, którą można napotkać wśród wojowników, bardów lub rzemieślników. Ludzie wydaliby bykowi kogoś, komu by nie ufali, ale przecież woleli, by był godny zaufania i pomagali mu się uczyć. Wśród skoczków oczywiście istniało współzawodnictwo i nie uczyli oni nikogo swych popisowych sztuczek, lecz nigdy też nie byli wobec siebie wrody, chyba że w grę wchodziła miłość. Chwała naszych patronów niezbyt nas obchodziła. Główną troską, podobnie jak dla tych ofiarowanych w starodawnych czasach w jamie, było pozostać przy życiu, a potem, by zyskać dla siebie chwałę przed innymi. Patronowie, kochankowie i hazardziści posyłali tancerzom klejnoty, którzy nosili je wszystkie naraz, ponieważ tancerze lubią zbytek i piękne stroje. Ale nikt prócz nas nie mógł tego osądzać (sprawdzić).

Wieczorem, kiedy dziewczęta odchodziły, tańczyliśmy zwykle i śpiewaliśmy pieśni z naszych ojczyzn, i opowiadaliśmy historie. Zdarzało się wtedy czasem, że rozglądając się dokoła, myślałem:

„To są mężczyźni, którzy mogliby się związać dla wspólnej sprawy, którzy stanęliby razem. A większość dziewcząt jest warta tyle, co i oni”. Ciągłe się jeszcze uczyłem i nie znałyem na razie nic. Ale nie mogę się powstrzymać, by nie przykładać ręki do tego, co znajduję wokół siebie.

Miałem teraz wystarczająco kłopotu z Żurawiami. Pirithoos, mój przyjaciel, który również młodo objął królestwo, powiedział mi kiedyś, jak ciężki wydał mu się pierwszy rok panowania. Mnie również. Tylko że nie znosiłem go w Cytadeli, z baronami przy boku i złotem do rozdawania w rękę. Daleko na Krecie, w Sali Byka, wziąłem na siebie ten ciężar.

Nauczyłem się tam, co wydało mi się trudne, że niektóre sprawy trzeba zostawić w spokoju. Dotyczyło to najpierw młodego Hippona, który był stajennym mojego ojca: był to skromny, cichy, rozsądny chłopak, o świeżej twarzy i zgrabny. Upatrzył go sobie arystokrata z Pałacu i w ciągu tygodnia, jak się wydawało, Hippon bardziej się zaczął się bardziej pysznić i puszyć niż Iros. Przybierał pozy i wzruszał ramionami, mrużąc jak Kreteńczyk oczy do każdego, kto z nim rozmawiał. Rozzłościło mnie to. Sprowadzało to Żurawie do zwykłego poziomu Sali Byka. Wydało mi się, że narusza to moją osobistą pozycję. Pozwoliłem mu odczuć, co myślę, a to go zraniło. Był wrażliwy. Stał się niezręczny i niezdarne wykonywał skoki. Tymczasem, gdy był z siebie zadowolony albo dostawał podarunek od kochanka, był wobec żywego byka zręczniejszy nawet niż Helike. W Atenach był nikiem, tutaj mógł zdobyć sobie miejsce na ziemi. Zrozumiałem to, zanim było za późno: to ja, a nie on, szkodziłem drużynie. Odnalazł swą naturę na dobre i złe. A jednak wciąż mógł przynieść nam pożytek - taki, jakim był. Zrezygnowałem z kąśliwych żartów, pochwaliłem jego nowe kolczyki i obserwowałem, jak jego styl się poprawia.

Później, gdy zbliżał się czas naszego pierwszego tańca, kłopoty pojawiły się w najmniej spodziewanym miejscu. Helike stała się blada i milcząca, i wymykała się z naszego kręgu, by siedzieć samemu. Miała wygląd, który po miesiącu czy dwóch w Sali Byka

potrafiłem rozpoznać. Był to wygląd tych, którzy otrzymali niepomysłne znaki; tych, którzy zabrani z domu w młodym wieku, rosnąc, tracili siłę i prędkość, tych, którzy się poddali losowi. Ale to nie miało sensu u Helike. Na drewnianym byku miała doskonały styl. Nagość Sali Byka odpowiadała jej. Mimo że była chuda i miała piersi niewiele większe niż u chłopca, jej taneczny wdzięk sprawiał, że wyglądała jak jedna z dziewcząt ze złota i kości słoniowej, które wyrabiali kreteńscy jubilerzy.

Podszedłem do niej, gdy była sama, i zapytałem, czy ma jeden z tych dni. Była to rzecz, o której dziewczyny nie mówią wiele, ale która sprawia im czasem kłopot, ponieważ wszystkie były dziewicami. Zdarzało się, że w takie dni ginęły, a ja czułem się odpowiedzialny za Żurawie.

Przełknęła ślinę i rozejrzała się. Odpowiedziała, że to nie to. Potem powiedziała mi prawdę. Helike bała się byków. Bała się od czasu naszego pierwszego ćwiczenia z żywym zwierzęciem.

- Trenowałam z bratem - powiedziała. - Jesteśmy bliźniakami, tańczyliśmy, zanim nauczyliśmy się chodzić. Mój brat myśli tak, jak ja. Nawet z tobą się nie bałam, masz ręce akrobaty. Ale ta bestia, która w jednej chwili równie dobrze może mnie zabić lub nie? Skąd mam wiedzieć, zaraz zrobi?

Pomyślałem w sercu: „Oto koniec Żurawi”. Wszystkie zespoły prócz naszego zostały zbudowane wokół doświadczonego skoczka. Chryse zapowiadała się dobrze, Iros również, tak jak i ja sam, ale nie wiedziałem, jak szybko coś osiągnę. Ufałem, że to Helike oczaruje widownię podczas naszego pierwszego tańca, a reszta będzie nabierać doświadczenia. Jeżeli ona nie skoczy, będzie musiał ktoś inny. Zespół, który się nie wykazywał, rozdzielano nazajutrz, nawet jeśli nikt nie zginął.

Nie było sensu jej ganić. Była akrobatką, nie wojownikiem i nie z własnej woli przybyła na Kretę. Wymagało odwagi, by mi o tym powiedzieć. Wystarczyło, że inni odgadli czyjś lęk, by zostawili tchórza samego z bykiem na arenie. Zgodnie z prawem Sali Byka,

hańbiło tylko opuszczenie dzielnego. Ale ona zaufała mi z powodu naszego ślubowania. Była to pierwsza próba, którą musiało przejść.

Porozmawiałem z nią chwilę i spowodowałem, że się roześmiała, choć tylko po to, by mnie zadowolić. Odszedłem, by pomyśleć. Ale mogłem przypomnieć sobie tylko młodą klacz z Trojzeny, która bała się rydwanów. Wyleczyłem ją w zwykły sposób, podchodząc do jednego przed nią, i prowadząc ją potem łagodnie.

To była prawdziwa przyczyna, o czym nie mówiono na Kreecie, dla której Żurawie uwolniły byka w ćwiczebnej jamie. Kreteńczycy myśleli, że zrobiliśmy to z przyrodzonej dzikości i dla zabawy, i mówią tak do dziś. Ale był to desperacki sposób, by wyrwać ją z jej lęku albo, w najgorszym razie, by zobaczyć, czy byłem wystarczająco dobry, by skoczyć zamiast niej.

Kiedy uwiązaliśmy go i urabialiśmy przez chwilę, udałem, że odbieram wiadomość u bramy i posłałem Aktora z powrotem do Sali Byka. Potem krzyknąłem, by ostrzec drużynę: „Pęta się rozwiązały!” i rzeczywiście pozwoliłem im się wymknąć, kiedy udawałem, że je zawiązuję.

Było to miejsce, w którym byk nie miał nigdy wyrwać się na wolność: małe, jak stara jama ofiarna, z wysokimi murami, by się nie wydostał. Ale miejsca wystarczało, by skoczyć, jeśli się było szybkim, a byk powolny. Kreteńskie byki, kiedy zdarza się coś niezwykłego, potrzebują czasu do namysłu. Podbiegłem, chwyciłem go za rogi i wyrzuciłem się w górę. Moje ciało myślało za mnie, a ja wzniosłem się i zawisłem w przestrzeni. Zrozumiałem wtedy, że ćwiczenia są niczym - to właśnie było życie i chwala, tak jak pierwsza bitwa, jak pierwsza dziewczyna. Wylądowałem jak łamaga, uderzając brzuchem w jego grzbiet, ale wiedziałem, co zrobiłem źle i poprawiłem się za drugim razem. Potem skoczyła Helike i złapałem ją bezpiecznie. Tańczyliśmy wokół byka taniec żurawi, przepelnieni dumą, kiedy wrócił Aktor i nas nakrył.

Obiecał zbić nas własnoręcznie i dotrzymał słowa. Szybko zrozumieliśmy, dlaczego: nie były to wiele więcej niż muśnięcia. Poznaliśmy po tym, że miał zamiar na nas postawić i nie chciał, byśmy stali się sztywni od razów.

Młodość jest szalona, lecz czasami bóg daje jej natchnienie. Byliśmy jeńcami i niewolnikami, którzy nie kierowali już swoimi krokami. Gdzie upada duma, zawodzi też odwaga. Ale teraz wybraliśmy czas, w którym spotkaliśmy byka, jak wolni ludzie, i uwolniło to nasze serca. Nigdy od tej chwili nie czuliśmy się już bezradnymi ofiarami, bo wyszliśmy bogu naprzeciw, by go spotkać.

Następnego dnia Aktor zawołał nas przed drewnianego byka i kazał zaprezentować, co umiemy. Ponieważ tancerze nas obserwowali, staraliśmy się pokazać od najlepszej strony. Patronowie, arystokraci i damy używali przekupstwa, by także się przyglądać, ale pochwała jednego skoczka była warta dwudziestu wysłuchanych od nich. Po chwili Aktor kazał mi i Helike wykonać po jeszcze jednym skoku i odszedł. Skoczyłem, słuchając trzasku przesuwających się dźwigni i szmeru głosów tancerzy. Potem, lądując, zobaczyłem, kogo trener poszedł pozdrowić. Był to Asterion. Wreszcie przyszedł.

Kiedy Aktor mówił, Asterion przebiegł po nas krąglymi, wylupianymi oczyma, które gdy spotkały się z moimi, nie zmieniły wyrazu bardziej niż oko wymalowane na drewnianym byku. Pokiwał głową raz czy drugi i poszedł sobie. „A więc to stanie się teraz” - pomyślałem. Lecz kiedy zastanawiałem się, co mi może zrobić, moją pierwszą myślą było: „Zabroni mi skakania przez byki”. Tak tego pragnąłem, że tylko śmierć wydawała się gorsza.

Trener powrócił, ale nie rzekł nic. W końcu niewiedza prawie mnie rozerwała.

- Czego chciał patron? - zapytałem. Uniósł brwi i wzruszył ramionami.

- A czego chcą patroni? Wiedzieć, jaką masz formę. Mój pan, gdy daje sto byków za zespół, mający przynieść mu chwałę, chce, by się to mu opłaciło. Postaraj się, by tak było: to najlepsza rada, jaką mogę ci dać.

I odszedł. Tancerze i skoczkowie skupili się wokół nas, chwając i wskazując błędy, oraz żartując złośliwie, zgodnie ze zwyczajem Sali Byka. Nikt nie był tu sam aż do zmierzchu, a nawet wtedy tylko z trudnością.

Nieco później podszedł do mnie młody Hippon.

- Co się stało, Tezeuszu? Chyba nie jesteś chory?

Mówił, jak łąziebna dziewczka i niemal mu to powiedziałem. Mój gniew sprawiał, że szukałem czegoś, w co mógłbym wbić zęby. Jednak on miał dobre intencje.

- A jak tobie się to podoba - spytałem - że wszystko, co dobrze zrobimy na arenie, przyniesie zysk temu bezczelnemu wieprzowi? Jeżeli nawet przeżyjemy, będziemy żyć dla niego.

Iros był przy nim. Spojrzeli po sobie, mrużąc oczy jak dwaj Kreteńcy.

- Och - powiedział Hippon. - Nie martw się nim. To zero, prawda, Irosie? - zrobili tu mądre miny i nachylili głowy ku sobie. Pomyślałem, że zaczynają przypominać siostry.

- O nie - odparł Iros. - Jest bogaty i robi, co chce, ale to prostak, nie wart uwagi. Na pewno znasz tę historię, Tezeuszu?

- Nie - powiedziałem. - Nie zwracałem sobie nim głowy. Ale opowiedz mi.

Przez chwilę z chichotem jeden zachęcał drugiego, by zaczął. Wreszcie Iros powiedział:

- Podaje się za syna Minosa. Ale wszyscy wiedzą, że jego ojcem był skoczek przez byki - nie zadał sobie trudu, by ściszyć głos. Sala Byka była jedynym miejscem w Labiryncie, gdzie można było mówić, co się chciało.

- To szczerza prawda - rzekł Hippon. - Oczywiście, nie mówi się o tym; ale mój przyjaciel, który mi tę historię opowiedział, jest tak wysokiego rodu, że zna wszystkich.

- Tak jak mój - powiedział Iros, zarzucając włosami. - Mój przyjaciel nie tylko komponuje pieśni, ale też je zapisuje. To zwyczaj kreteński. Jest w tym znakomity. Powiada, że ten skoczek był Asyryjczykiem...

- Łeee! - rzekł Hippon. - Te ich grube nogi i wielkie czarne brody...

- Nie bądź głupi - przerwał Iros - miał piętnaście lat albo jakoś tak. To Minos miał najpierw na niego chrapkę, Tezeuszu, i przez miesiąc trzymał go z dala od areny, żeby nie zginął.

- Ale - powiedziałem - byłoby to świętokradztwo. Miał zostać poświęcony bóstwu tak jak my.

- No, tak - rzekł Hippon. - Nawet wielkie! Ludzie mówili, że sprowadzi to przekleństwo. I zresztą tak się stało. Królowa była zła i przez to sama zwróciła uwagę na chłopca. Mówią, że biedny król usłyszał o wszystkim jako ostatni, po tym, jak wszyscy już o tym mówili, w Labiryncie i nawet w mieście Knossos. Jest taka sprośna piosenka o tym, jak chodziła za nim do Sali Byka, zadurzona na śmierć, i jak ukryła się w drewnianym byku. Mój przyjaciel mówi, że to tylko wulgarnie gadanie. Ale szalała za nim, całkiem straciła głowę.

- A kiedy król się dowiedział - spytałem - zapewne kazał ją stracić?

- Na Krecie? Jak mógłby to zrobić? Była Żywą Boginią! Nie, wszystko, co mógł uczynić, to posłać Asyryjczyka z powrotem do byków. Myślę, że zaniedbał treningów albo bóg się gniewał. W każdym razie, zabił go pierwszy byk. Jednak zostawił po sobie pamiętkę.

- Ale - rzekłem - z pewnością Minos mógł przynajmniej odrzucić niemowlę?

Iros, który zawsze był uprzejmy, powiedział cierpliwie:

- Tezeuszu, Kreteńczycy mają przecież starą religię. Dziecko należy do matki. Król milczał, by zachować twarz, i zezwolił, by dziecko uchodziło za jego własne. Myślę, że nie chciał, by się wydało, że z nią nie spał. Ludzie wiedzieliby, dlaczego.

Skinąłem. Rzeczywiście, można to było zrozumieć.

- Z początku - powiedział Hippon - trzymano Asteriona w więzach. Mówią, że Minos był dla niego bardzo surowy. Trudno się dziwić. Teraz, to inna historia. Jest sprytny i pociąga za tyle sznurków, że niemal rządzi królestwem.

Spojrzał na mnie, nie idąc za moimi myślami, ale skupiony na tym, czy zdołał mnie poruszyć. Ujrzałem, pod wszystkimi tymi bzdurami, rozsądnego stajennego chłopaka, którego widziałem polerującego uprząż, z bystrym okiem do koni.

- Widzisz, Tezeuszu, jak bardzo jest poniżej twej uwagi taki parweniusz.

- Masz rację - rzekłem. - Stary Herakles jest godny większego zainteresowania. Ale co o tym ma do powiedzenia Minos?

Ściszył głos, raczej ze zdumienia niż z lęku.

- Minos żyje w wielkim odosobnieniu, w świętym okręgu. Nikt go nie widuje.

Dzień minął. Kiedy zapadła noc, wyślizgnąłem się na podwórze. Usiadłem na czarnej podstawie wielkiej, czerwonej kolumny, słuchając szczebiotania kobiet w jakiejś sali nade mną i śpiewu chłopca do wtóru jednej z wygiętych egipskich harf. Stałem się jak człowiek, którego giez gryzł pod ubraniem. Ten jednak ma przynajmniej możliwość zerwać z siebie szaty i się drapać. Ale moje żądło weszło zbyt głęboko i paliło mnie bezustannie.

Przypomniałem sobie, jak śmiał się Koryntyjczyk, kiedy powiedziałem, że mam na pieńku z Asterionem. Nie widziałem wtedy w tym nic śmiesznego: obaj pochodziliśmy z królewskich domów i byliśmy takimi ludźmi, którzy szukaliby siebie na polu bitwy. To, że byłem niewolnikiem boga, niczego nie zmieniało. Wywołałem jego gniew, by nie postawił na Żurawi, a także z dumy. Kiedy jednak nas wybrał, pomyślałem, że zrobił to, by mieć wroga w swym ręku. Dziś wiedziałem wreszcie, czym dla niego byłem. Kupił mnie, jak bogacz kupuje konia do rydwanu, choć ten go kopnął, bo wydaje się szybki i wytrzymały, i ma nadzieję wygrać dzięki niemu wyścig. Kopnięcie nie narusza jego honoru; kopnęło go zwierzę, nie człowiek.

Kiedy nazwał mnie kontynentalnym dzikusiem, uznałem to za celową obelgę. Przyznałem sobie zbyt wiele honoru - powiedział po prostu, co myślał. Kupił mnie więc dla swojej stajni, przekazał mnie trenerowi i nie zajmował sobie mną więcej głowy. Mną, synem dwóch rodów królewskich, obu pochodzących od bogów, Władcą Eleuzis i Pasterzem Aten, mną, który otrzymałem znak od Ziemo-trzęzcy Posejdona. Tak mało mnie cenił. A nawet nie został poczęty przez króla.

W Labiryncie zapadła cisza. Lampy zgasły, podnosił się księżyc, przyćmiewając jasne kreteńskie gwiazdy. Wstałem i powiedziałem głośno, by dotarło to do bogów tego miejsca:

- Na głowę moją i mojego ojca! Pewnego dnia jeszcze o mnie usłyszysz!

5

W Sali Byka żyje się życiem wyjętym z życia.

Człowiek budzi się często w nocy, w komnacie, gdzie śpi pięćdziesięciu kilku młodych ludzi, którzy przybyli zewsząd i mają zwyczajnie nie we wszystkim zgodne z helleńskim smakiem. Doszło raz do przepychanki i zamieszania, kiedy złamałem nos Tyryjczykowi. Ludzie mówili, że byłem nieuprzejmy. Ale odpowiedziałem, że jeśli on ma prawo do swych zwyczajów, to ja mam do moich: a w miejscu mego pochodzenia zwyczajem było, że jeśli obcy skrada się o północy do twego łóżka, uznaje się go za wroga. Jego nos zrósł się trochę krzywo, co przypominało innym, że lepiej zostawić mnie w spokoju.

Kiedyś zapytałem Helike, co dzieje się w Sali dziewcząt, kiedy je zamykają. Odparła, że jest to odrębny świat i że nie pojąłbym tego, ale dała do zrozumienia, że zdarza się, jeżeli dwie dziewczyny rywalizują o inną, że walczą jak młode wojowniczkki. Więcej niż raz widziałem siniaki na ciałach dziewcząt, które nie były na arenie. Nie myślałem o nich źle z tego powodu: do takiego ćwiczone je życia. Zresztą podoba mi się, jeśli kobieta ma temperament.

Jak powiedziałem, noce przerywały sprawy takie jak ta lub też ci, którzy mówili przez sen, lub czasem krzyczeli z lęku, do którego nie przyznałoby się za dnia. Nikogo w Sali Byka nie pytało się o to, o czym śnił, ani co myślał, gdy bezsenny leżał w milczeniu w ciemnościach. Wiem, że ja myślałem o wielu sprawach: śmierci, przeznaczeniu, i o tym, czego bóg chce od człowieka; jak dalece człowiek

może być swobodny w granicach swojej moiry albo, skoro wszystko zostało rozstrzygnięte, co sprawia, że się wciąż walczymy; i czy można być królem bez królestwa.

Pytałem siebie także, co by było, jeśliby Iros, Helike lub Amyntor okazali się lepszymi skoczkami i zostali liderami zespołu. Sala Byka jest odrębnym światem, z prawami, które wyrastają z jej natury i nie mogą zostać zakwestionowane.

W ten sposób zdręczałem się podczas pierwszych tygodni treningu. Ale kiedy znaleźliśmy się na arenie, zapomniałem o tym. Taniec bowiem wziął mnie w posiadanie - moją głowę i ręce, serce, kości i krew. Być skoczkiem wydawało się wystarczające dla ludzkiego życia: byłem tak tym napełniony, że niebezpieczeństwo przechyliło się na drugą stronę: tylko z wysiłkiem mogłem przypomnieć sobie, że byłem królem. Ale pamiętałem, że jestem pierwszy w drużynie, a to często wystarczało w zamian.

Przeżyć trzy miesiące dla skaczącego przez byki, mimo że nie jest złym wynikiem, nie jest też niczym nadzwyczajnym. Ale starcy z Knossos mówili, że nie spotkali się z czymś takim przez całe życie: z zespołem, który przetrwał trzy miesiące, nikogo nie tracąc.

Żyliśmy, ponieważ wszyscy wiedzieliśmy, do czego każdy z nas się nadawał, i że będzie na miejscu w razie potrzeby. Nawet ci, którzy troszczyli się o siebie, jak Formion i Nefele, dotrzymali przysięgi: po pierwsze, z lęku przed Córami Nocy, które przychodzą po krzywoprzysięzców, a nawet ze strachu przede mną; dlatego, że zobaczyli, że to się najbardziej opłaca; a wreszcie, jak inni, z dumy, że są Żurawiami.

Jest przysłowiem w Sali Byka, że im dłużej się tu żyje, tym dłużej można jeszcze przetrwać. Zna się już taniec i tancerzy, i swojego byka. Rzeczywiście, nie było kobiety, z którą dzieliłem łożę, prócz jednej jedynej, której nastroje znałem tak jak starego Heraklesa. Biedna Helike; nigdy nie przebaczyła mu, że jest zwierzęciem, a nie człowiekiem, Pomimo jej umiejętności, nigdy nie była więcej niż przeciętnym skoczkiem. Uważając go za bezrozumnego, nigdy nie

postarała się poznać jego myśli. Gdy skakała, robiła to tak gładko, że ludzie ją oklaskiwali. Ale często musiałem dawać jej osłonę albo skakać zamiast niej, podczas gdy Chryse nigdy nie zawodziła. Wszyscy kochali Chryse, nawet w Sali Byka; przyzwyczaiła się, jak sądzę, przyjmować miłość jak naturalną cechę rzeczy i na poły oczekiwała jej też od Heraklesa.

Również Amyntor był dzielny jak lew. Nigdy nie zrobiłem niczego przykrzejszego, niż gdy musiałem powiedzieć mu, że powinien dać spokój próbom skakania. Był na to zbyt wysoki (urósł jeszcze od czasu, kiedy przybyliśmy) i zbyt wolny. Skończyłoby się to czyjąś śmiercią. Przyjął to jak dzentelmen, choć bardzo go to dotknęło. A jednak, później, okazał się najlepszym łapaczem, jakiego widziałem, najpewniejszym i najodważniejszym. Ja sam i każdy Żuraw, który skakał przez byka, był mu winien życie po wielokroć.

Po czterech miesiącach zginął ostatni skoczek, który był na miejscu przed nami. Od tego czasu, kiedy przybywała nowa partia tancerzy, wciąż w ubraniach własnego kraju, zbita w ciasną grupkę lub gapiąca się z rozdziawionymi ustami, to właśnie jeden z Żurawi chował się w byku Dedala, by skoczyli w przestraszu, a kiedy trzeba było ich ocenić, ludzie czekali, by zobaczyć, co myślę.

Nigdy nie wiadomo było, kto przybędzie. Egipcjan nie dostawaliśmy, bo byli potężnym narodem: Minos wysyłał do Faraona raczej podarki: klejnoty ze złota i kryształu, rzeźbione rytony, rzadkie kwiaty i drogocenne barwniki, niż żądania daniny. Ale mieliśmy wszystkich innych, z każdego wybrzeża obmywanego przez rzekę Okeanos, a nawet z dalszych stron: Persów białych jak kość słoniowa, z błękitnymi powiekami, wdzięcznych i słabowitych, Minyan ze wszystkich wysp, dzikich barbarzyńców z lasów Afryki, ciemnoskórych jak polerowany heban, którzy wedle swego życzenia mogli być dzicy i weseli albo umierać ze smutku, padając na ziemię nie zadawszy sobie najmniejszego ciosu. To właśnie w Sali Byka po raz pierwszy zobaczyłem Amazonki z Pontu, szczupłe i o dumnych obliczach, swobodnie kroczące, ze szczupłymi palcami stwardniałymi

od łuku i włóczni. Patrzyły prosto w oczy tak chłodno i taksująco, jak młodzi książęta podczas wojny. Bardzo je ceniono na arenie byków i Kreteńczycy zdobywali ich tyle, ile tylko mogli. Kiedy tylko widziałem taką dziewczynę, moje serce drżało i biło szybciej, choć nie mogłem zrozumieć dlaczego. Ludzie byliby jak bogowie, gdyby znali przyszłość.

Dostawaliśmy wszystkich możliwych cudzoziemców, po jednym lub dwóch z miejsc, o których nikt nie słyszał, złapanych zapewne w podróży i sprzedanych jako niewolnicy. Pamiętam jednego z nich ze względu na jego dziwactwo, choć nie przeżył długo. Był to syn wędrownych hodowców bydła ze wzgórz za Jerychem. Nienawidził Bogini albo raczej zaprzeczał, że była czymkolwiek więcej niż tylko bałwanem, który zrobili sobie ludzie. Zapytałem go, czy jest szalony, że wyśmiewa ją w jej sanktuarium, będąc w jej ręku. Odpowiedział mi, że jego lud w ogóle nie uznaje żeńskich bóstw, ale tylko jednego Ojca Niebieskiego, którego imienia nie wymieniają, gdyż im tego zakazano. Nazywają go Panem. Utrzymują, podobnie jak Helleni, że żyje wiecznie, lecz mówią, że nie ma ojca ani matki, brata ani siostry, żony ani dziecka, ale króluje samotnie w niebie, i nie było czasu, w którym by nie istniał. Co jeszcze dziwniejsze, sprzeczne z prawem jest u nich wykonywanie jego podobizn. Kiedy zapytałem, jaki ma wygląd, młodzieniec ten odparł, że jego twarz uczyniona jest z ognia. Nie mogłem się dowiedzieć, jak go obrazili, że pojawia się im w tak strasznej postaci. Ale mają wyrocznie, że pocnie pewnego dnia syna, który zostanie ich herosem opiekuńczym. Gdy zobaczyłem, że chłopak ten był takim ignorantem, powiedziałem mu, że Zeus miał wielu synów na ziemi, z których jeden był moim własnym przodkiem. Ale nie spodobało mu się to. Pochodził z zapadłych okolic, gdzie ludzie bali się miast i byli tak prości, że myśleli, że Wiecznie Żyjący Zeus nie dba o nikogo poza nimi.

Jego drużyna uważała, że może przynieść pecha. Ja również poradziłem im, żeby się go pozbyć, ale w końcu sam ich wyręczył. Gdy po raz pierwszy wyszedł na arenę, wyciągnął nóż, który ukrył w przepasce biodrowej i rzucił się na byka jak szaleniec, wrzeszcząc,

że rozgromi boga Filistynów (tak nazywał Kreteńczyków) w imię Pana. Nie wiem, czy myślał, że byk będzie stał i czekał na to. Żaden byk nie jest takim głupcem, nawet na Krecie. Ale Miłosierny Zeus dał mu tę łaskę, w podzięce za wszystkie ofiary, które mu składał, i zginął od razu. Jeżeliby zostało w nim jeszcze życie, nie skończyłoby się to tak łatwo, to pewne. Palce obu rąk z trudnością by wystarczyły, żeby zliczyć bogów, których obraził, a w Sali Byka byki są wystarczającą groźbą.

W tym czasie większość z nas miała już od Heraklesa bliznę lub dwie. Miał swoje żywsze dni, które trzeba było rozpoznawać po sposobie machania ogonem, gdy wychodził z wrót dla byków. Nie można było przewidzieć, co zrobi, gdy jeszcze nie był zmęczony. Zwykle to ja próbowałem pierwszy, raz czy dwa, by trochę go otepić. Wydawało się to jedynym słusznym wyjściem, skoro tak naprawdę nie oczekiwałem śmierci bez uprzedniego znaku od Posejdana. Kiedy go już zdołałem rozpoznać, uspokajał się nieco, a ja mogłem spróbować któregoś z przewrotów, z których byłem znany wśród widzów: na przykład drugiego salta po odbiciu od pleców zwierzęcia. Często te dni okazywały się najlepsze. Ciągłe widzę jego złe oczy mówiące do mnie: „Byłem dla ciebie za dobry i zrobiłeś się bezczelny. Nie bądź taki zadowolony”. Był pewien taniec, który wykonywałem przed nim, zanim przystępowałem do skakania, a który dopracowałem, gdyż bawił ludzi. Trzeba było uważać, gdyż dawał mu lepszą okazję do uderzenia niż sam skok. Raz prawie przebił mnie prosto przez pierś. Obróciłem się w sam czas, by mnie tylko musnął: miałem przez to największą bliznę widzianą kiedykolwiek w Sali Byka, ciągnącą się przez szerokość całego ciała, z prawej do lewej. Była pewna znachorka, do której chodziłem w takich razach, najlepsza z kilku, które znały balsamy na rany. Nakładała na nie wszelkie paskudztwa: pajęczę sieci lub zieloną pleśń, lecz znała magię Ziemi i rany zawsze się goiły.

Po tym, gdy przeżyliśmy pięć miesięcy na arenie, również w innych zespołach tancerze zaczęli żyć dłużej: widzieli, jak pracowaliśmy, i jeden czy drugi związał się przysięgą braterstwa, której zazwyczaj dotrzymywali, w takim stopniu, w jakim ono w nich istniało. Ale nie znali nawzajem swoich myśli tak jak my. Zapomnieliśmy

już, że byliśmy niegdyś Ateńczykami czy Eleuzyjczykami, i że nie pochodzimy z jednego łona.

Kiedy przed tańcem stawaliśmy przed sanktuarium i poświęcaliśmy się Żywej Bogini słowami rytuału, wyciągaliśmy nasze ręce dłońmi do dołu do samej Matki Dii, aby oczyściła nas z bezbożności. Ale jeden z tancerzy z szacunku powinien patrzeć w górę. Często to ja patrzyłem w jej oczy, by zobaczyć, czy się poruszają. Ale ona stała jak pozłacany posąg, sztywna i nieruchoma, i nawet gdy unosiła dłonie, niemal nie wydawała się zrobiona z ciała. Po chwili, skupiwszy się na tańcu, niemal zapomniałem, że była żywa.

Takie było nasze życie w Sali Byka. Ale kiedy czyjeś imię stanie się tam znane, niewiele jest miejsc w Labiryncie, poza pokojami królewskimi, których nie zobaczy się prędkiej czy później. Nie trzeba już iść szukać kobiety na noc, ale raczej odpierać te natarczywe. Mężczyzna nie może pozwolić sobie na nadmiar w tych sprawach ani w żadnych innych, skoro ma taniec byków za małżonkę.

W Pałacu w Knossos nawet kobiety potrafiły pisać. Mogę to powiedzieć z własnego doświadczenia, ponieważ kilka z nich pisało do mnie. Nie mówię tu po prostu o wiadomościach wygryzmołonych na kawałku mokrej gliny, mówiących gdzie ich nadawczyni będą na mnie oczekiwać albo kiedy wyjdzie mąż. To były całe opowieści, wypełniające nawet dwie karty egipskiego papiirusu, długie jak historia wojny. Nie mogłem odcyfrować więcej niż połowy, a często nawet nie tyle. Miały setki sposobów łączenia rzeczy razem i zawiązywania wątków; mogę przysiąc, że znały więcej słów niż harfiarz, choć on musi uczyć się tylko ich brzmienia.

Ale nie chodziło się tylko do sypialni. Arystokraci i książęta zapraszali na wydawane uczyty i nie prosili o nic w zamian, prócz przybycia. Co do jedzenia i picia, samo patrzeć na taką obfitość było dokuczliwe, ponieważ waga jest zabójcza na arenie. Ale zazwyczaj chodziłem, z ciekawości i próżności, a także ze względu na to, czego się mogłem dowiedzieć. Ponieważ bogowie nas dotąd oszczędzali, jeszcze nie straciliśmy nadziei na opuszczenie Krety.

Kreteńcy mieli mnóstwo wyszukanych manier i kapryśnych zwyczajów: uważali na przykład, że ludzkie palce nie są wystarczająco dobre, by niosły pożywienie do ust, lecz trzeba używać specjalnego narzędzia. Początkowo też tego próbowałem z obawy przed wyśmianiem, ponieważ osoby nie potrafiące obchodzić się z tymi zabawkami uważają za prostaków. Ale miałem zbyt wiele dumy, by to okazać. Jeśli nie mogłem nauczyć się ich zwyczajów, obserwując je, pozostałem przy moich, decydując się na nie świadomie. Szybko odkryłem, że sprawiło im to przyjemność, szczególnie kobietom. Niczego nie kochają tak bardzo, jak nowości.

Wszyscy arystokraci i szlachetnie urodzeni mają domy w Pałacu Knossos, wbudowane w jego bryłę lub przynajmniej w jego obrębie. Jak powiedziałem, było to niemal miasto. Ale mimo tego, że tak pełne zakamarków, było też bardzo dobrze strzeżone, i nikt nie przechodził przez bramy bez sprawdzenia.

Mimo że imię Minosa jest starokreteńskie, a królowie nosili je w czasach poza ludzką pamięcią, ta dynastia miała w sobie tylko kroplę starożytnej krwi. Ód czasu wielkiego najazdu z Myken, kiedy królewski ród został wymordowany, a brat Lwiego Króla poślubił Żywą Boginię, królowie panowali na własnych prawach obok królowej i nie byli składani w ofierze w dziewiątym roku królowania. Wielu ze zwycięzców poślubiło Kretenki, więc większa część ich obyczajów ciągle pochodziła ze starej religii; ale potem ich domy żeniły się między sobą i teraz trzymają rodowitych Kreteńczyków, którzy są wyspiarzami z obu stron, w wielkiej pogardzie. Nie widziałem w tym żadnego sensu, ponieważ nie byli barbarzyńcami, przeciwnie, wszyscy wiedzieli, że są najlepszymi rzemieślnikami na świecie: to właśnie oni nauczyli tych pół-Hellenów pisma. Są drobnej budowy, jak większość Ludzi Ziemi, i ciemnej karnacji z czerwonym odcieniem, lecz wcale nie brzydcy. Niektórzy z nich pochodzą ze starożytnych rodzin, choć teraz upokorzonych i biednych. O ile rozumiałem, zostali poniżeni tylko dlatego, by ich panowie mogli lepiej myśleć o sobie. Działo mi na nerwy, że przekręcali ich imiona

lub wymyślali im pogardliwe przezwiska, jak Parchaty, Krzywonogi lub Zezowaty, i mówili w ich obecności, jakby byli psami. W domu dziadek biłby mnie, póki nie rozbolałaby go ręka, gdyby usłyszał, że tak się zachowuję. Płacili też wysokie podatki, mimo że niewiele się słyszało o takich sprawach w Sali Byka i przejmowało tym jeszcze mniej. Cudze smutki najłatwiej zrozumieć tam, gdzie stykają się z własnymi.

Kiedy byłem mniej więcej sześć miesięcy na arenie i prawie zapominałem o Asterionie, dostałem wezwanie od swojego patrona. Zapraszał mnie na ucztę.

Patrzyłem na nie, marszcząc brwi. Nie miałem pojęcia, co robić. Gdybym go teraz obraził, miał możliwości, by rozdzielić zespół, i zaczęliby ginąć. A jednak poczułem, że udławiłbym się, siedząc przy stole człowieka, na którym miałem zamiar się zemścić przy pierwszej sposobności. Po chwili otworzyłem serce przed Amyntorem, który rozumiał takie sprawy lepiej niż inni. Było mu przyjemnie, że zapytałem go o radę, i usiadł, zastanawiając się. W końcu powiedział:

- Wydaje mi się, Tezeuszu, że możesz jeść przy jego stole, nie będąc jego gościem. To chleb niewoli, taki sam jak w Sali Byka; po prostu podadzą ci go z wykwintnym sosem. Nie rozumiem, jak mogłoby to podważyć twój honor, nawet jeśli go potem zabijesz. Spójrz na tę wiadomość. On ci rozkazuje, a nie prosi.

To mi wystarczyło, ponieważ Amyntor miał odczucia dżentelmena i więcej rozsądku, niż się pierwotnie wydawało. Ale życie w Sali Byka sprawiło, że stał się bardziej zrównoważony.

Mały Pałac położony był na południowy zachód od wielkiego dziedzińca, z własną bramą i strażami. Ubrałem się w najlepsze rzeczy, ponieważ nie ma sensu robić coś do połowy. Kiedy chodziłem w odwiedziny w Domu Topora, nosiłem zazwyczaj kreteńską spódniczkę; miałem takich dwie czy trzy. Ta wykonana została z grubego, błękitnego jedwabiu, pochodzącego z kraju na wschód od Babilonu, i miała złote frędzle. Dała mi ją żona dowódcy wojskowego, moja główna kochanka w tym czasie, dobra, dla skoczka, łatwa i wesoła. Nie można było sobie pozwolić na męczenie łzami

i napadami złości. Lecz czasem podarunki przychodziły bezimiennie, a wtedy trzeba było być ostrożnym. Jeśli ktoś je nosił, ofiarodawca mógł wskazać je przyjaciółom i rywalom i twierdzić, że jest kochankiem obdarowanego. Kobiety nie miały w tym więcej wstydu niż mężczyźni.

Często najkosztowniejsze prezenty pochodziły od arystokratów i książąt, którzy dużo wygrali. Wszelkiego rodzaju zakłady czyniono wokół tańca przed bykami: jak długo będzie trwał, czy zostanie przelana krew, ile będzie skoków i jak doskonałe, a prócz tego stawianie na życie i śmierć. Przekupstwo nie ma dostępu do ludzi, dla których stawką jest życie, ale wystawne podarki były w modzie. Miałem więcej naszyjników, niż mógłbym nosić jednocześnie, zapinki na nadgarstki, obręcze na ramiona i pierścienie na palce. Ale jedynym klejnotem, którego nie zdejmowałem, był kryształowy byk od Koryntyjczyka. W Sali Byka najdroższymi trofeami są zawsze podarunki od zmarłych.

Tego wieczora nałożyłem większą część mojej biżuterii. Byłem już w wystarczającym stopniu skoczkiem, by nie uważać się za ubranego, póki nie brzęczałem od złota. Świeżo się też ogoliłem. Podporządkowałem się, choć niechętnie, temu kreteńskiemu zwyczajowi. Od piętnastego roku życia, jak każdy dorastający chłopak, czekałem na wyrośnięcie brody, próbując użyźnić ją niedźwiedzim tłuszczem i wszystkimi innymi bzdurami, które chłopcy sobie przekazują. Wydawało się bez sensu, by usuwać ją właśnie wtedy, gdy zaczynała rosnąć. Ale tutaj był to znak barbarzyństwa, kobiety się na to wzdrygały, albo wierciły i chichotały. Czasem wyobrażałem sobie dziadka patrzącego z obrzydzeniem na moją gładką brodę i pytającego, czy zostałem wytrzebiony. Niemniej, był daleko, a w Labiryncie już dowiodłem, że nie zostałem.

Myślałem, że widziałem już do tej pory trochę bogatych komnat, ale były niczym w porównaniu do Małego Pałacu, co odkryłem, kiedy mnie tam poprowadzono. Przeszedłem przez całą odrębną komnatę wyposażoną tylko do gier, ze stołami z kości słoniowej i szachownicami inkrustowanymi złotem. Ale nie rozglądałem się

zbyt wiele dokoła. Kreteńczycy niżej cenią osoby, które łatwo zadziwić.

W wielkiej gościnnej sali wydano wspaniałą ucztę i dobrze urodzone towarzystwo zaczynało się zbierać. Większość z nich mnie znała i pozdrowiła mnie, kiedy podszedłem przywitać gospodarza. Odpowiedział głośnymi, błazeńskimi komplementami, które przeznaczone są na przyjęcie i nic nie znaczą. Zrozumiałem, że zaprosił mnie, by sprawić przyjemność gościom, jak mógłby wynająć tancerkę. Amyntor miał rację; nie byłem jego dłużnikiem.

Jedliśmy z pięknie malowanej zastawy. Kreteńczycy przyrządzają ryby lepiej niż inne narody. Ale nie było niebezpieczeństwa, że się przejem. Odbierało mi apetyt obserwowanie, jak nawet wielcy arystokraci (co do niektórych wiedziałem, że go nienawidzą) przymilają się Asterionowi, dostosowując wyraz twarzy do jego miny jak żołnierze podczas musztry. Kiedy rzucał swoje prostackie dowcipy, jego oczy nie pomijały niczego. Widziałem, że obserwuje gości, nawet siedzących poza zasięgiem słuchu, jakby mógł czytać z ruchu warg. Jego służba stała nad zaproszonymi jak szpiedzy. Zapominając nawet o mojej nienawiści, było w nim coś, od czego robiło się niedobrze. Wszyscy pragną władzy, by dostać, czego pragną: sławy, ziemi lub kobiet. Ale ten człowiek chciał jej dla niej samej, by poniżyć innych i tuczyć swą dumę, pożerając ich jak wielki pająk, który żywi się mniejszymi.

Tańczył dla nas brązowoskóry żongler, Sydończyk. Miał małpkę, która pomagała mu w jego sztukach i rozumiała, co mówi. Na końcu przedstawienia Asterion rzucił mu na ziemię dar, by się za nim schylił, ale podniosła go małpka i podała swemu panu, kłaniając się z ręką przy czole. Goście zaśmieli się. Kiedy żongler już poszedł, Asterion powiedział coś służącemu, który wyszedł za nim. Usłyszałem, jak inny sługa pyta go, gdzie się wybiera. Odpowiedział:

- Po małpkę.

Mój pan będzie ją miał. - Właśnie tak, pomyślałem, było ze mną.

Podano desery i wino rodyjskie. Siedziałem u końca stołu, rozmawiając z kilkoma gośćmi, którzy przybliżyli się, by ze mną

porozmawiać; gdy nagle Asterion pochylił się na krześle i ryknął:

- Tezeusz! Do mnie!

Poczułem, że krew napływa mi do twarzy. Miałem zamiar go zignorować. Ale wtedy pomyślałem: „Nie, jeśli nie będę jeńcem, stanę się jego gościem”. Więc wstałem z miejsca, podszedłem bez wielkiego pośpiechu i stanąłem przed nim.

- No, Tezeuszu - powiedział, uśmiechając się. – Jak to jest, wodzić rej na arenie? Jesteś całkiem innym chłopcem niż ten, który przybył z kontynentu w skórzanych spodniach, he? Lepiej teraz myślisz o Krecie?

Nie opowiedziałem. Pstryknął palcem w moje naszyjniki.

- Spójrzcie na to! - powiedział, zwracając się do gości. Na mnie prawie nie patrzył. - Założę się, że nie wszystkie zdobył za skoki przez byki. Co, chłopcze?

Ciągle milczałem i panowałem nad sobą. Studiowałem jego twarz. Staralem się go poznać. Spoglądałem na ciężką maskę jego oblicza i zastanawiałem się, jak można stać się człowiekiem tego rodzaju. Wkrótce spojrział w inną stronę.

- Klejnoty - powiedział - od każdego arystokraty z Labiryntu. O damach nie powiem nic. Ich tajemnic nie można bezcześcić - tu mrugnął w stronę młodej mężatki, z którą nie miałem do czynienia. Spłonęła rumieńcem aż do piersi. - Tyle tego, a jeszcze nic od patrona. Przysięgnęłbym, że zastanawiasz się, dlaczego.

Wyszczrzył zęby i czekał.

- Nie, mój panie - odpowiedziałem.

Ryknął potężnie śmiechem.

- Słyszycie? Myślał, że mam rod in pickle for him, ponieważ był niesforny na nabrzeżu. Młody głupcze! Jak myślisz, czego szukamy w tancerzu byków? Mamy nasze wróżby, my, którzy śledzimy arenę.

Patrzyłem na niego, ja, który stałem w tym dniu z oczami nie dalej niż na odległość dłoni od niego. Tym razem nie spotkał mojego spojrzenia. Patrzył na gości.

- Dobrze! Zgodzicie się, że Asterion potrafi rozpoznać zwycięzcę?

Wybuchnęły okrzyki uznania. Wstyd mi było za nich bardziej niż za siebie; uchodzili za ludzi wolnych.

Klasnął w dłonie. Służący przyniósł coś, co wydało mi się jakimś daniem. Przez chwilę zastanawiałem się, czy ma zamiar mnie otruć. Wyobraziłem sobie, jak po wszystkim rozgląda się wokół wyzywająco, patrząc, czy ktoś odważy się poczynić jakieś uwagi. Potem ujrzałem, że była to mała taca, wyłożona purpurową skórą, na której leżał wspaniały naszyjnik ze złota i klejnotów. Służący podał go Asterionowi, który nie dotykając go, machnął ręką, by przekazać go mnie.

Poczułem swędzenie w palcach. Miałem ochotę podnieść naszyjnik i wyrzucić mu nim w twarz. Przysięgłem, by cenić życie każdego z Żurawi tak drogo jak moje, lecz nie bardziej, a mój honor był mi droższy. To nie przysięga mnie powstrzymywała. Przypuszczam, że był to nawyk bycia królem i odpowiadania za swych ludzi przed bogiem.

Wyciągnąłem rękę i powiedziałem cicho.

- Jesteś zbyt hojny, Minotaurze. Ale wybacz mi, bo nie mogę tego przyjąć.

Niewolnik zawahał się, nie wiedząc, co zrobić z tacą. Usłyszałem ciche poruszenie przy stole i szelest kobiecych sukni. Ale Asterion, po jednym twardym spojrzeniu okrągłych oczu, powiedział serdecznie, jakby prezentując im jakieś widowisko.

- Nie możesz, co? Czemu nie?

- Pochodzę z królewskiego rodu - powiedziałem. - Naruszyłyby to moją pozycję, jeśli przyjąłbym podarunek od człowieka, który mnie uderzył.

Wszyscy słuchali. Ale wydawało się, że sprawiło to mu nawet przyjemność. Pomachał ręką, wskazując na mnie.

- Posłuchajcie go! Wciąż tak wściekły, jak wtedy, gdy przybył. Dlatego go wybrałem. Oni wszyscy są dzicy i szaleni, ci wielcy skoczkowie. Urodzony do byków i do niczego więcej. To ich dajmon prowadzi ich na Krete.

Poklepał mnie po ramieniu. Zachowywał się jak człowiek posiadający niebezpiecznego psa i chwalać się jego dzikością.

- Bardzo dobrze, niech więc będzie po twojemu.

Strzelił palcami na sługę, który zabrał podarunek. Można by przypuszczać, że po takim afroncie zechce trzymać mnie z dala od siebie. Ale w ogóle tak się nie stało. Bardzo często kazał przychodzić mi na uczty i inscenizował podobne pantomimy. Słyszałem nawet, jak mawiał wcześniej do kogoś:

- Obserwuj tylko, zobacz, jak dumnie mi odpowie. Jest bardziej dziki niż górski jastrząb. Słyszałeś, jak uwolnił byka? Widziałem to dobrze, kiedy przybył surowy z kontynentu.

Obrócił nawet mój honor w wygłup cyrkowca, z którego mogli śmiać się jego goście. Nigdy nie powiedziałem nawet Amyntorowi o tym, co musiałem znosić w tych dniach. Wstydzilem się o tym mówić. Rzekłem tylko:

- Zapłaciłem za swą kolację.

Wiedział, co mam na myśli. Inni arystokraci, jak się okazało, byli całkiem uprzejmi. Wśród młodszych stałem się nawet w pewien sposób modny. Każdy skoczek może się taki stać, ale uznali, że jestem szczególnie interesujący z powodu mojego urodzenia, ponieważ nie mieli nigdy na arenie króla czy królewskiego syna. Kilku z nich pytało mnie, dlaczego, jeśli bóg był zły, nie poświęciłem mu kogoś innego, zamiast iść samemu. Jeżeli ubrałbym go w moje szaty, twierdzili, nadałby się zamiast mnie. Ponieważ byłem gościem, nie spytałem, czy uważają swych bogów za głupców, ale odrzekłem tylko, że wezwał mnie po imieniu. Wytrzeszczyli na to oczy, a potem patrzyli na siebie porozumiewawczo. Prawie wszystkie ich obrzędy stały się niepoważne i przypominały zabawę, tak jak taniec przed bykami.

Ci młodzi panowie i damy zajmowali się różnymi głupstwami, mieli nawet swój własny język, jak w dziecięcych zabawach. Swój honor traktowali tak lekko jak bogów. Najbardziej śmiertelne obrazy uchodziły u nich za dowcipy, a jeśli mąż nie rozmawiał z uwodzicielem swej żony, uchodziło to tu za coś wielkiego. Raz, gdy byłem

sam z kobietą, zapytałem, jak dużo czasu upłynęło od chwili, gdy któryś z nich zmył zniewagę krwią. Ale ona tylko zapytała mnie, ilu ja sam zabiłem. Tak jakbym w czasie dwóch wojen i podróży przez przesmyk powinien to podliczać. Nawet w łóżku kobiety chciały, by opowiadać im o takich sprawach.

Ludzie ci byli przyciągani do mnie jako do czegoś nowego. Nowości były ich pasją, trudną do zdobycia. Lukos, jak się zdaje, mówił prawdę o kronikach sięgających tysiąca lat wstecz. Stanęliby na głowach w poszukiwaniu odmiany, jeśli nie zostałyby nic nowego prócz tego. Można to było zauważyć w ich wazach i ceramice. Nie trzeba nikomu mówić, że kreteńscy garncarze przodują na świecie, mimo że trzeba odwiedzić samą wyspę, by zobaczyć najlepsze rzeczy. Było ich wielu w Pałacu, pracujących dla króla. Wielcy arystokraci również utrzymywali własnych. Nigdy nie znużyłem się podziwianiem ich prac; mają więcej kolorów, i to bogatszych niż u nas w domu, wzory są wesołe, a jednak swobodne i pełne harmonii. Lubią rysować morskie stworzenia, rozgwiazdy i delfiny, kalmary, muszle i wijące się wodorosty. Wziąć ich dzieła do ręki było czystą przyjemnością, poczuć ich kształt i gładkość. Ale ostatnio zaczęli psuć je najróżniejszymi rodzajami jarmarcznej sztukaterii, kwiatkami i frędzelkami, które mogły pokazywać ich umiejętności, ale nadawały naczyniu wygląd rzeczy nie przeznaczonej do użytku i do niczego się nie nadającej, chyba do zbierania kurzu. Tak naprawdę to, co nie zostało sprawdzone przez tysiąc lat, nie było warte robienia. Ale męczyło ich nawet piękno, jeśli nie było nowe.

Pamiętam jednego arystokratę, z którym jadłem obiad, jak zabrał nas, byśmy zobaczyli warsztat jego garncarza i jego najnowsze dzieło. Było wiele gadania, którego nie rozumiałem, ponieważ mieli o wiele więcej słów niż my. Tak więc, wzięwszy bryłę surowej gliny, zabawiałem się przez chwilę lepieniem z niej figurki małego byka, tak jak to robiły w ojczyźnie dzieci bawiące się w błocie, lecz nie tak udanie, bo straciłem w tym wprawę. Właśnie miałem zagnieść to z powrotem, kiedy wybuchły krzyki i świergotanie, a mój gospodarz

i jego przyjaciele powstrzymali mają rękę, krzycząc, że trzeba to wypalić:

- Jakie to świeże! - orzekli. - Jakie czyste! (albo podobne słowo). - Jak on rozumie glinę!

Poczułem się urażony, że traktują mnie tak lekko. Nawet mimo tego, że pochodziłem z kontynentu, byłem jednak gościem.

- Gliny nie rozumiem - odpowiedziałem. - Nie urodziłem się w rodzinie rzemieślnika. Znam się natomiast na bykach, a to nie jest byk. W domu, tak jak i tutaj, szlachetnie urodzony potrafi poznać dobre dzieło, mimo że nie umie go stworzyć. Nie jesteśmy tak zadowoleni, jak sądzicie.

Wtedy zaczęli mnie prosić, bym się nie czuł obrażony; przysięgając, że mówili poważnie, i że wykonałem to, za co ich najnowocześniejsi rzemieślnicy zyskiwali pochwały. By to udowodnić, zaprowadzili mnie do półki, na której naustawiane były takie nieszczęsne nieudolne wprawki, jakie w ojczyźnie można spotkać daleko na wzgórzach w głębi ładu, złożone w ofierze przed mało znaną kapliczką, dzieła wieśniaka o rękach jak bochny, który nigdy nie był wewnątrz warsztatu, lecz mógł sprzedać je za garść oliwek czy owsa, bo nie było na miejscu nikogo lepszego.

- Widzisz! - powiedzieli - jak uczymy się siły od wczesnych form.

Powiedziałem, że rozumiem, że ze mnie nie kpili i przeprosiłem ich za to; potem nie mogłem wymyślić nic więcej, co mógłbym dodać. W końcu, widząc, jak stoję zamyślony, kobieta dotknęła mego ramienia.

- Co się dzieje, Tezeuszu? Ciągłe jesteś zły? Czy też myśl o bykach sprawia, że wyglądasz tak ponuro?

Zaśmiałem się i powiedziałem to, co chcę słyszeć takie damy. Ale tym, o czym myślałem, było:

„Jeśli miałbym tu swych Kompanów i kilka tysięcy wojowników, wymiótłbym Kretę od jednego końca do drugiego. Ci ludzie przeżywają drugie dzieciństwo; to owoc do zerwania, skończony, przegrany”.

Tymczasem ciągle zajmowała mnie arena. My, Żurawie, będąc jednej myśli i ufając sobie nawzajem, doskonaliliśmy nasz taniec, aż najstarsi ludzie woleli go od swoich wspomnień. Mieliśmy niebezpieczne

chwile. W tym czasie nie było już nikogo, kto nie zawdzięczałby życia drużynie. Pomiędzy Formionem i Amyntorem, z których każdy kiedyś odciągał byka od drugiego, nie było więcej mowy o zuchowałości czy włosach pobrudzonych gliną. W Sali Byka obaj byli wodzami i obaj byli rzemieślnikami. Pewnego dnia, kiedy Chryse straciła równowagę i wisiała uczepiona na rogach byka, musiałem skoczyć w taki sposób, który przyniósł śmierć Koryntyjczykowi. Ale Hippon pojawił się od razu z drugiej strony i wszystkim udało się ująć cało, z obtarciem czy dwoma, mimo że mieliśmy dreszcze

Po tym właśnie tańcu byłem w drodze do łaźni, gdy jakaś pokojowa zatrzymała mnie na podwórku.

- Tezeuszu, chodź natychmiast, chodź, proszę cię, i pokaż się mojej pani. Dostała wiadomość, że zginąłeś, i tak ją to zasmuciło, że pochorowała się od tego. Plakała i krzyczała zupełnie bez umiaru: biedna mała panienka, to bardziej dusza niż ciało, taki wstrząs mógł ją zabić.

Byłem trochę niecierpliwy, mając już więcej kobiet w zasięgu ręki niż mógłbym sobie z nimi poradzić.

- Pozdrów swoją panią ode mnie - rzekłem - i podziękuj jej za jej troskę. Powiedz, że mam się bardzo dobrze.

- To nie wystarczy - odparła kobieta. - Ostatnim razem, gdy zakochała się w tancerzu byków, on zginął, a pani dowiedziała się, że chciałam to przed nią ukryć. Teraz nie ma innego sposobu, tylko trzeba, żeby cię zobaczyła na własne oczy.

Podniosłem brwi.

- Do tej pory już się na pewno pocieszyła.

Ale ciągnęła mnie za ramię, krzycząc:

- Och, nie bądź okrutny, nie zabijaj mojego jagniątka. Patrz, to tylko krok od miejsca, gdzie idziesz - i wskazała na królewskie schody.

Spojrzałem zdumiony.

- Co?! Nie sądzisz, że byki zabijają mnie wystarczająco prędko?

Żachnęła się, jakbym ją obraził.

- Ty głupi chłopcze! Bierzesz mnie za rajfurkę? Tacy są, ci z kontyentu! Ona nie ma nawet dziesięciu lat.

Poszedłem za nią tak jak stałem, w stroju tancerza i biżuterii. Poprowadziła mnie w górę szerokimi schodami wspartymi na szkarłatnych kolumnach, rozświetlonymi od góry przez otwór w dachu. Po wielu zakrętach w tę i tamtą stronę wprowadziła mnie do dużego, jasnego pokoju, z dziecięcym łóżkiem w jednym rogu, z alabastrową wanną i lalkami na podłodze. Ściany były bardzo ładne, wymalowane w ptaki, motyle i małpki zbierające owoce. Przyglądałem się im, gdy usłyszałem pisk wysoki jak u nietoperza. Dziecko biegło przez pokój prosto do mnie, nagie jak z łona matki, prosto z łóżka. Skoczyła w me ramiona, lekka jak jedna z wymalowanych na ścianie małpek i uwiesiła się mi na szyi. Niańka, która mnie przyprowadziła, i druga, którą zastałem w pokoju, zaczęła tłumić chichot i rzucać dowcipy. Ale mnie było żal dziewczynki; widziałem, że naprawdę była zrozpaczona. Jej twarz, a nawet włosy zalane były łzami, a pod oczyma miała plamy jakby zgniecionej purpury. Była jedną z tych delikatnych dziewcząt, na które można natrafić w bardzo starych rodzinach; jej jasnobrażowe włosy były delikatne jak jedwab, drobne dłonie wyrzeźbione z kości słoniowej, a oczy przejrzyste zielone. Pocałowałem ją i powiedziałem, że wypadek ten nauczy ją nie płakać na zapas, zanim coś się przydarzy. Ciało miała delikatne w dotyku jak kwiat świeżej lilii, a piersi właśnie zaczynały się rysować. Zaniósłem ją z powrotem do łóżka i ułożyłem.

Zwinęła się na boku, pociągając mnie za rękę, bym koło niej usiadł.

- Kocham cię, Tezeuszu, kocham cię. Prawie od tego umarłam.
- Wszystkie oznaki wskazują, że będziesz żyła - odparłem. - Idź teraz spać.

Potarła moją dłoń o swój wilgotny policzek.

- Taki jesteś piękny! Czy wyjdiesz za mnie, kiedy dorosnę?
- Hm, na pewno. Zabiję wszystkich zalotników i uniosę cię złotym okrętem.

Spojrzała na mnie; jej rzęsy były zlepione od płaczu.

- Aketa mówi, że kiedy będę już kobietą, nie będziesz żył.
- O tym zdecyduje bóg. Na pewno będę za stary dla byków. Pewnie wtedy wy, piękne panie, wszystkie o mnie zapomnicie.
- O, nie! - krzyknęła. - Zawsze będę cię kochała! Kiedy będziesz stary, dwudziesto-, trzydziestoletni, wciąż będę cię kochać.
- Zobaczmy - powiedziałem ze śmiechem. - Powiem ci tak: kiedy dorośniesz, jeśli przeżyję, będę królem. Stawka godna ciebie, Jasnooka. Czy postawisz na mnie?
- Tak. Więc wszystko przyręczone. Musisz dać mi znak - za-offerowałem jej pierścień, mając wiele innych, ale potrząsnęła głową. - Nie, pierścienie to tylko złoto, muszę mieć kosmyk twoich włosów. Nianio, chodź tu i odetnij
- Włosy? - spytałem. - Nie, tego ci nie dam, przyrzekłem je Apollonowi. Oprócz tego, ktoś inny mógłby je zdobyć i wykorzystać, by uczynić mi krzywdę.
- Jej usta wygięły się w podkówkę i usłyszałem, jak jedna niańka szepcze do drugiej:
- Widzisz? Pod skórą to ciągle barbarzyńca.
- Tak więc z dumy, choć mi się to nie podobało, powiedziałem lekko:
- No, dobrze, weź je, jeśli chcesz.
- Niania przyniosła brzytwę dla kobiet i odcięła dla niej lok.
- Nie bój się - powiedziała. - Będę na niego uważała. Nikt prócz mnie go nie dostanie.
- Kiedy wychodziłem, położyła go na otwartej dłoni i głaskała go łagodnie koniuszkami palców.
- Zatrzymałem się przy drzwiach, by jej pomachać:
- Do widzenia, Jasnooka. Nie powiedziałaś, jak masz na imię.
- Podniosła oczy znad włosów i uśmiechnęła się.
- Fedra.

Pewnego dnia Byk Dedala złamał dźwignię, tak że jego głowa przestała się poruszać. Posłano po rzemieślników, by ją naprawili. Tancerze zgromadzili się najpierw, by przyglądać się ich pracy, potem zmęczeni się ich długim, ostrożnym wysiłkiem i odeszli.

Ja zostałem dłużej, zawsze będąc ciekaw, jak wytwarza się rzeczy. W tym czasie poznałem już co nieco kreteńskiego ze słów świętych obrzędów i rozmów służących. Potrafiłem więc mniej więcej zrozumieć, co mówili do siebie ci ludzie podczas pracy. Opowiadali o wieży, którą budowali na południowym wybrzeżu, jako punkt obserwacyjny przeciw Egipcjanom na wypadek wojny. Jeden z nich rzekł, że jak dla niego, to nie ma nic przeciw Faraonowi. Podobno czcił tylko Boga-Słońce i lekcewał inne bóstwa, ale był dobry dla rzemieślników.

- Przedtem rzemiosło nie znaczyło wiele więcej niż kopiowanie. Jeśli człowiek miał własną wizję rzeczy, uważali to za brak pobożności. Teraz mogą przynajmniej cieszyć się swymi talentami. Powiadają, że są tam nawet prawa dla rzemieślników, i że pracują dla tego, dla kogo chcą. Egipcjanie mogą sobie przyjść, jeśli o mnie chodzi.

Podszedłem bliżej, mówiąc:

- Mamy prawa cechowe w Attyce. A także prawa dla rolników. Rzemieślnicy mają swoje rady, a król rozstrzyga spory.

Byłem tak daleko od domu, że widziałem rzeczy nie takimi, jakimi były, lecz jakimi chciałem je zrobić. Marzenie to pojawiło i się i narosło bez mojej wiedzy, jakby we śnie. Kreteńczycy słuchali z początku dlatego, że byłem Tezeuszem z Żurawi. Wszyscy chodzili na taniec z bykami. Jednak ich mistrz powiedział nagle:

- Cóż, jeśli król twego kraju kiedyś się tu zjawi, Tezeuszu, znajdzie całe mnóstwo takich jak my, by dla niego walczyli, w podzięce za prawa.

Inni dołączyli się, wyrażając zgodę. Odszedłem, czując, że wiruje mi w głowie. Z trudnością mogłem oderwać się od rozbudzonych

myśli, gdy ktoś do mnie mówił. Lecz wkrótce uspokoiłem się. Kraje Hellenów leżały daleko za morzem, a ja nie miałem posłańca.

Lecz nie mogłem zapomnieć. Każdej nocy modliłem się do Ojca Posejdon, wyciągając ręce nad ziemią. Nie przestałem, gdy nie nadeszła żadna odpowiedź. Brzęczałem do boskiego ucha, aż pewnie się zmęczyło. I wreszcie ją usłyszałem.

Siedziałem na jakiejś uczcie, kiedy pojawił się akrobata, by zatańczyć dla gości: mały, szczupły chłopak, o skórze tak jasnej, że mógł być tylko Hellenem. Ja również musiałem zwrócić jego uwagę, bo ciągle się we mnie wpatrywał. Był zręcznym tancerzem; można by pomyśleć, że ma stawy w całym ciele, jak wąż. Po chwili zaczęło mi się wydawać, że gdzieś go już widziałem. Gdy odpoczywał, nasze spojrzenia znów się spotkały. Przywołałem go i zapytałem, z jakiego miasta pochodzi. Jego twarz zmieniła się na dźwięk mojej greckiej.

- Mój zawód każe mi podróżować - odpowiedział. - Ale urodziłem się w Atenach.

- Porozmawiaj ze mną po uczcie.

Wyszedłem wcześniej, na co nikt nie zwrócił uwagi, bo tancerze byków muszą dużo sypiać. Podeszedł do mnie cicho na dziedzińcu i zanim mogłem go o coś zapytać, wyszeptał mi do ucha:

- Mówią, że jesteś wodzem tancerzy?

Odpowiedziałem:

- Tak mówią.

- Na miłosiernego Zeusa, powiedz mi więc, gdzie grzebane są zmarłe ofiary, i jak mogę się tam dostać. Przebyłem całą tę drogę, by złożyć wota na grobie mojej siostry, która została zabrana z Aten wraz z ostatnią daniną. Musiałem pracować, by tu dotrzeć. Wolalbym zobaczyć tych Kreteńczyków martwych, niż dla nich tańczyć. Ja i ona urodziliśmy się w jednym połogu. Była moją partnerką. Tańczyliśmy, zanim nauczyliśmy się chodzić.

Serce podskoczyło mi do gardła tak, że prawie się udusiłem.

- Zabierz do domu swoje ofiary. Twoja siostra, Helike, ciągle żyje.

Pobłogosławił mnie i zastanawiał się chwilę, a potem zaczął błagać mnie, bym mu powiedział, jak mógłby ją uwolnić.

Odparłem:

- Samemu nie uda ci się nigdy. Nawet my, mężczyźni, nigdy nie opuszczamy Labiryntu, a dziewczęta zamykane są w Sali Byka. Zginąłbyś okrutną śmiercią i zostawiłbyś ją w żałobie. Ale wciąż możesz ją ocalić, zanim spotka swego byka, jeśli przyniesiesz wiadomość ode mnie królowi Aten.

Zobaczyłem, że drgnął nagle się w ciemnościach. Złapał mnie za ramię i pociągnął do światła padającego z drzwi. Potem puścił mnie i wyszeptał:

- Mój panie! Nie poznałem cię!

Wszyscy skoczkowie byków malują oczy. Wskazuje to na ich status, jak noszenie złota. Był zbyt uprzejmy, by o tym teraz wspomnieć.

- Nigdy nie widziałem cię z bliska w Atenach. Całe Miasto nosi po tobie żałobę, a król wygląda, jakby się postarzał dziesięć lat. Będzie chwalił bogów za te wieści!

- Ty także poznasz jego wdzięczność - oczy mu pojaśniały, co było naturalne, i poprosił o wiadomość, którą ukryłby starannie.

- Nie - odpowiedziałem. - Zabiją cię, jeśli ją znajda. Musisz się jej nauczyć na pamięć. Pamiętaj, zależy od tego życie twojej siostry. Powtarzaj za mną.

Pomyślałem chwilę i powiedziałem:

- Pozdrawiam cię, ojczy. Kreta zupełnie przegniła i podbić ją może pięćset okrętów. Rodowici Kreteńczycy nienawidzą swych panów. Poproś Wielkiego Króla Myken o jego flotę. Będą wielkie łupy do podziału. Zbieraj flotę w Trojzenie, kreteńskie statki wojenne tam nie zawijają. Kiedy twoi ludzie nadejdą, uzbroję tancerzy byków i zajmę Labirynt.

Nauczył się tego szybko, ponieważ był bystrym chłopcem. Powiedział potem:

- Masz jakiś znak, panie, który mógłbym dać królowi? Jest ostrożnym człowiekiem.

Miał rację, ale nie mogłem wymyślić niczego, co można by posłać.

- Jeżeli poprosi o znak, powiedz: „Tezeusz pyta, czy jego pies, biały ogar, ciągle pije wino”.

Wtedy poszliśmy każdy w swoją stronę. Powiedziałem mu, kiedy może zobaczyć tańczącą Helike, ale dodałem:

- Nie посыłaj jej żadnych wieści o tym. Nie mogła by się skupić na byku. Powiem jej później.

Kiedy już przekazałem jej wieści, wezwałem Żurawie i nałożyłem na nich przysięgę milczenia, a potem opowiedziałem swój plan.

- To sekret Żurawi - powiedziałem. - Jeszcze za wcześnie, by powiedzieć go innym. Ktoś zacznie gadać, choć jeden z całej gromady. Jeżeli chodzi o przyjaciół i kochanków w Labiryncie, oszczędzimy ich, gdy rozpoczniemy atak, ale do tego czasu wiąże nas przysięga. Na razie musimy znaleźć miejsce, w którym można by ukryć broń, kiedy uda nam się ją zdobyć. Musimy uzbroić także dziewczęta.

Rozejrzałem się po Sali Byka. Wydawała się bardziej naga niż puste pole, mieliśmy tylko nasze małe zawiniątka. Wtedy Menantho powiedziała:

- U nas w pokojach mogłybyśmy ukryć je z łatwością. To stara płatanina pomieszczeń, pełna zakamarków; wszędzie dziury, naróżniki i luźne płyty podłogowe. Tylko zewnętrzne drzwi są dobrze strzeżone.

- To nada się dla waszego uzbrojenia, ale nie dla naszego. Stawiam dziesięć do jednego, że będziemy musieli wyrwać się stąd w nocy, i sforsować potem waszą bramę.

Zapadła cisza. Potem Hippon spojrzał na mnie spod rzęs.

- Tezeuszu. Jeśli chcemy wypuścić dziewczęta w nocy, myślę, że ja mógłbym się tam dostać.

Wytrzeszczyliśmy oczy. Odwrócił się do Tebe, szepnął coś do niej i odeszli razem. Nie było go jakąś chwilę i niemal zapomnieliśmy o nim, zajęci rozmową. Potem pojawiła się Tebe, nie w spódnicy tancerki, ale w stroju ateńskim.

„Co ona z sobą zrobiła - pomyślałem - że wygląda tak ładnie? Nie, to w ogóle nie Tebe.

Dziewczyna zbliżyła się, patrząc spod zmrużonych powiek, ścisnąc przy piersiach szal. Był to Hippon. Wynagrodził naszą cierpliwość, mimo wszystko. Wszyscy wiedzieli, że podjął się niebezpiecznej roli. Wtedy Iros powiedział:

- Ej, czekajcie, moi drodzy, aż zobaczycie mnie!

To było obiecujące. Wiedziałem już, że tylko mężczyznom zabraniano odwiedzać dziewczęta. Było wiele dam z Pałacu, które składały im wizyty po zmroku, z łapówką dla strażników i podarunkiem dla kapłanki. Podniosło nas to na duchu.

Miałem wielką obawę, że nadzieja może trzymać nas w zbyt dużym napięciu i że możemy przez to gorzej tańczyć. Poczułem, że nie mógłbym znieść straty jednego z moich ludzi teraz, kiedy mogła być to już ostatnia straż przed świtem.

Jeżeli ktoś nosił na arenie luźny naszyjnik, robił sobie zawsze słabe zapięcie z nici, na wypadek, gdyby wplątał się tam róg. Był to stary zwyczaj, lecz obecnie kazałem Żurawiom zrobić to także z pasami, pod kłamrą. Wymyśliłem to po tym, gdy zobaczyłem, jak zginął pewien Med, podrzucony przez zwierzę za pas. Wielu tancerzy skopiowało ten wynalazek, ale zdarzyło się tak, że stałem się pierwszym, który wypróbował na sobie jego skuteczność. Prześlizgnąłem się bardzo blisko obok Heraklesa i poczułem, że zahaczył o mnie rogiem. Mój pas trzymał przez chwilę, i myślałem już, że to koniec, lecz zaraz potem pękł. Potykając się raczej niezgrabnie, lecz bez gorszego uszczerbku niż draśnięcie na boku, poczułem przy stopie moją przepaskę biodrową. Kopnąłem ją więc z dala od siebie i stanąłem na arenie całkiem nagi.

Wszędzie wokół na trybunach ludzie krzyczeli, tupali i wylali. Myśleli, że wreszcie zginąłem. Teraz ich ton się zmienił. Od strony mężczyzn usłyszałem kaskadę śmiechu, a z miejsc dla kobiet szczebiotanie i ciche piski. Menestes i Pylia ściągali tymczasem na siebie uwagę byka; Chryse wykonywała skok. Lecz ludzie już to wiedzieli i

ich wzrok spoczywał na mnie. Jeśli wszystkie trybuny były zajęte, musiało tam ich być piętnaście tysięcy.

Nie pomyślałem o tym wcześniej, ale teraz poczułem, jak oblewa mnie fala gorąca. Byłem uwięziony na otwartej przestrzeni aż do końca tańca. Nie zauważyłem nawet, że byk skręca w moją stronę i Nefele musiała zawołać mnie po imieniu. Odciągnęła go i Amyntor i ja musieliśmy się nią zająć, co sprawiło, że zapomniałem o swoim stanie, lecz kiedy znowu miałem chwilę spokoju, rozżołościłem się na Kreteńczyków. Złość jest niedobrym uczuciem na arenie. Pokazało mi to moją głupotę.

„Jak to!?” - pomyślałem. - „Niewolnik zrobił ubrania, a Wszzechwiedzący Zeus moje ciało. Czy mam się wstydzić przed głupimi Ludźmi Ziemi, myślącymi, że Bóg umiera co roku, ja, który jestem Hellenem?”

Pobiegłem więc wokół, by stanąć naprzeciw byka i tańczyłem przed nim, by miał wątpliwości co do moich zamiarów. Kiedy ogłupilem go tak, że prawie dostał zeza, skoczyłem pół-salto i odbiłem się na rękach. Ludzie przestali się śmiać i wzniesli okrzyk podziwu. Wkrótce byk zaczął się dąsać, potem odwrócił się i powłókł z powrotem. Taniec się skończył, a ja poszedłem zmierzyć się z Salą Byka, pełną sprośnych dowcipów. Przypuszczam, że pamiętam tę blahostkę z powodu późniejszych wydarzeń.

Następnego wieczora niewolnik przyniósł mi wiadomość wypisaną na kawałku ceramiki, zapraszająca mnie na ucztę z młodym arystokratą, którego znałem. Po zmroku wzięłem kąpiel i ubrałem się (wszędzie w Labiryncie są kanały z płynącą wodą, nie trzeba jej specjalnie przynosić; są nawet takie, które odprowadzają brudy, i nie trzeba nocą wychodzić na podwórka). Kiedy szedłem wzdłuż kolumnady, zza jednej z kolumn wysliznęła się kobieta i dotknęła mego ramienia, mówiąc:

- Telefós nie wydaje dziś ucztę.

Jej głowę zakrywała opończa, ale zobaczyłem, że ma siwe włosy i jest zgarbiona ze starości.

- Właśnie mnie zaprosił - odpowiedziałem. - Jest chory czy ma żalobę?

W ogóle nie posłał po ciebie - rzekła. - Chodź za mną, pokażę ci, gdzie masz iść.

Wyrwałem się z jej rąk. Miałem dosyć idiotyzmów, które zawsze kończyły się jednakowo: w łóżku z niechcianą kobietą. To miejsce ociekało od takich intryg.

- Jeśli nie posłał po mnie - odrzekłem - pójdę spać. Ale zapytam najpierw jego samego.

- Cicho! - powiedziała. Przyjrzałem się jej w ciemnościach. Nie wyglądała ani nie mówiła jak rajfurka czy nawet jak służąca. Miała szare helleńskie oczy i dobre maniery. Kiedy spojrzałem, zrozumiałem, że się boi.

Zastanowiło mnie to. Bukmacherzy mogliby zarobić, jeśliby zabił mnie byk, ale zakłady nie obejmowały śmierci poza areną. Nie mogłem przypomnieć sobie żadnych mężów, którym przyprawilem rogi, a którzy wyszliby poza obrażone spojrzenia; w Labiryncie większość była do tego przyzwyczajona. Trzymałem się też z daleka od zazdrosnych kobiet. A jednak wyczuwałem niebezpieczeństwo, niebezpieczeństwo i coś jeszcze. Była w tym jakaś tajemnica. Byłem młody, więc gdybym odszedł bez żadnego wyjaśnienia, męczyłoby mnie to bez końca.

- Czego chcesz ode mnie? - spytałem - powiedz prawdę, zobaczymy, co mogę zrobić.

- Nic ci nie mogę powiedzieć - odrzekła. - Ale złożę przysięgę, w moim imieniu i tych, którzy mnie posłali, że żadna krzywda ci nie grozi i żadna cię też nie spotka, jeśli zrobisz, jak powiem.

- Mam więc kupić kota w worku? Czy to coś sprzecznego z moim honorem?

Odpowiedziała z gniewem, choć ciągle spokojnie:

- Nie, naprawdę! To większy honor, niż zasługujesz! - a potem, odwracając spojrzenie, dodała: - To nie był mój wybór, bym tu przyszła.

Z pewnością, nie była to ani rajfurka ani pokojówka. Wydawała się raczej głową wielkiej rodziny.

- Posłuchajmy zatem tej przysięgi - powiedziałem.

Wypowiedziała ją w starokreteńskim języków dawnych rytów. Wtedy zrozumiałem, że była kapłanką. Przysięga była poważna, więc rzekłem:

- Prowadź.

Zdjęła z ramion płaszcz, który miała na sobie i powiedziała:

- Ubierz to. Jesteś zbyt wystrojony, będziesz odbijał światło.

Nałożyłem go więc; kazała mi iść dziesięć kroków za sobą. Pędziła przed siebie jak stary królik w labiryncie swej nory. Po chwili sięgnęła po małą lampę z jakiegoś wspornika i poprowadziła mnie przez miejsca, których nigdy nie widziałem, przez kuźnie, składy cieśli, kuchnie i śmierdzące podwórka. Weszliśmy wreszcie do magazynu pełnego drewna na opał i tu pozwoliła mi się dogonić. Przemknęliśmy się między stosami drew. Za nimi była pusta przestrzeń i drewniane drzwiczki w podłodze. Wskazała w milczeniu na pierścień przy zasuwie. Z pewnością nigdy nie była służącą.

Został świeżo naoliwiony i otworzył się cicho. Były tam drewniane schody i daleko prześwitywało światelko lampy. Schodziły głęboko w dół. Z otworu czuć było ziarnem, oliwą i woskiem, a także zimnym zapachem ziemi.

Zszedłem kilka stopni i spojrzałem pod siebie. Ujrzałem wielkie pitosy magazynowe, wyższe niż człowiek. Gлина została uformowana w rączki wszędzie dokoła ich skorup, tak że można było je przesunąć; w półmroku wyglądały jak uszy i palce. Poczekalem na przewodniczkę; schyliła się i wyszeptala mi do ucha.

- Idź do tamtej kolumny, za pitosami z ziarnem. Znajdziesz tam przywiązaną nić. Weź ją w dłoń i pójdź, dokąd cię zaprowadzi. Trzymaj się jej, a nic ci się nie stanie. Jeśli zboczysz do skarbców, strażę cię zabiją.

- Dlaczego chcesz mnie opuścić? - spytałem i chwyciłem ją za nadgarstek, by nie pozwolić jej odejść. Nie podobało mi się to, czuć tu było podstępem lub zasadzką. Odrzekła z dumą i gniewem:

- Usłyszałeś moją przysięgę. Ani ja, ani ci, którzy mnie przysłali, nie mają w zwyczaju łamać przyrzeczeń. Puszczaj, to boli: lepiej bądź grzeczniejszy tam, dokąd się udajesz.

Jej złość pobrzmiwała szczerością i puściłem ją wolno. Powiedziała z goryczą skierowaną poza mnie:

- Tu kończy się moje zadanie. Reszta mnie nie dotyczy. Tak mi nakazano.

Poszedłem w dół stopniami, słysząc, jak drzwi zamykają się cicho za mną. Dokoła mnie na wszystkie strony rozpościerały się lochy Labiryntu: długie korytarze z kolumnadami, szeregi koszów lub pólek na słoje i pudełka, sklezione nisze pełne malowanych waz zapieczutowanych gliną; tunele z wykuszami na beczki i skrzynie; płatanina mrocznych jaskiń, zaczipowanych ciemnością. Wielki, szary kot skoczył obok mnie i coś upadło z brzękiem. Szczur wydał dziki śmiertelny pisk.

Przeszedłem wokół pitosów na ziarno, z których każdy mógłby pomieścić dwóch stojących mężczyzn i znalazłem swoją kolumnę. Miała występ, na którym stała lampa - kawałek knota w glinianym naczynku. Do zdobionego filara dołączono misę ofiarną, cuchnącą starą krwią. Czarne plamy z przyklepionymi do nich piórami schodziły do podłogi i płytkiego ścieku. Był to jeden z głównych filarów pałacu, przy którym Kreteńczycy składali ofiary, by wzmocnić go, kiedy Podziemny Byk zatrzęsie jego fundamentami.

Cienka linka dokoła niego została przywiązana niedawno, bo nie była poplamiona krwią. Kiedy podniosłem luźną nić z posadzki, domowy wąż wyskoczył w gwałtownych skrętach do swojego podziurawionego glinianego garnka, nie dalej niż łokieć ode mnie. Skoczyłem w tył z gęsią skórką na ramionach, lecz miałem nić i poszedłem za nią.

Prowadziła wśród zakrętów przez ciemne i wąskie magazyny, gdzie czuć było winem i oliwą, figami i przyprawami. Co jakiś czas, gdy droga skręcała, w czarnym mroku wisiało małe ziarno światła, pochodzące z takiej lampy, jak na początku, znaczące raczej szlak niż go oświetlające. Kiedy wymacywałem drogę przy filarze, dziwny szorstki krzyk pode mną sprawił, że na głowie uniosły mi się włosy. Stara studnia w zawilgłej podłodze ziała wilgocią. Na ocembrowaniu siedziała wielka ropucha, blada jak trup. Potem droga zwężyła się, i z obu stron wyczułem chropowate kamienne ściany, na których pełną stworzenia czmychały spod moich palców. Kiedy się zatrzymałem, usłyszałem z głębi muru stłumione uderzenia, nierówne, jak bicie serca przerażonego człowieka; kiedy przyłożyłem

ucho do kamienia, jakiś głos słabo i głęboko zlorzeczył i krzyczał, błagając o światło i wzywając bogów. Lecz tylko kilka stóp dalej nie mogłem już nic usłyszeć; więzienie musiało być daleko od tego miejsca.

Dalej znalazłem wielką komnatę pełną przygarbionych cieni, gdzie zgromadzono stare meble, stojaki na lampy i wazy. Jej odległa odnoga rozciągała się daleko w ciemności, ale patrząc tam, mogłem zobaczyć stopy zakurzonych tarcz i włóczni. Wtedy zacząłem żałować, że nie znaczyłem drogi. Odlupawszy płatek kamienia z pobliskiej kolumny, wydrapałem na niej trójząb, znak Posejдона. Od tej chwili znaczyłem każdy filar, który mijalem.

Od tego miejsca nic prowadziła do przejścia całego pogrążonego w ciemności, w którym mogłem już tylko wymacywać drogę wzdłuż ścian. Moją twarz laskotały pajęczyny, a koło stopy przebiegł szczur. Pomyślałem o węzłach i stąpałem ostrożnie. Ten korytarz kierował się w górę, a powietrze się ocieplało. U jego końca była jeszcze jedna lampka i wielka sala archiwum: półki ze zwojami, wśród których szeleściły myszy, spleśniałe zwoje ze starożytnej skóry, wiązki liści palmowych oznaczonych wyblakłym atramentem, skrzynie i kosze pełne glinianych znaków i tabliczek. Kurz spowodował, że kichnąłem, a myszy uciekły w popłochu.

Potem, po zwężeniu, raz jeszcze błysnęło światło. Wszedłem do długiej komnaty, która była magazynem świętych sprzętów. Były tu trójnogi i misy, wazy do namaszczenia, szerokie u podstawy, lecz z wąskimi szyjkami; puchary do libacji z piersiami wyrzeźbionymi po bokach, święte topory, maski i noże ofiarne, i wielka sterta lalek z ruchomymi kończynami. Nic wiła się, prowadząc wokół stosów kadzielnic i emblematów na długich tykach, a także połączanego rydwanu, takiego, w jakim książęta wprowadzani są do grobów. Minąłem wysoką szafę, z której wylewały się kobiece suknie, złocene i pachnące kasją. Potem dotarłem do kamiennych stopni prowadzących w górę i drzwi otwartych na oścież. Koniec nici przywiązany został do ich klamki.

Pchnąłem drzwi, które otwarły się bezgłośnie. Znalazłem się wreszcie w przestronnym wnętrzu i stanąłem na czystej podłodze. Czulem zapach perfumowanej oliwy, pszczelego wosku, kadzidla, korzennego wina i polerowanego brązu. Przede mną wznosił się ogromny kształt, ciemniejszy naprzeciwko zapalonych lamp. Były to plecy kobiety wysokiej na dziesięć stóp, stojącej na cokole i ukoronowanej diademem. Była to Bogini wielkiego sanktuarium. Tutaj możni licytowali się, by nas ofiarować, kiedy przyszliśmy do pałacu. Lecz teraz stałem za nią, w ukrytej przestrzeni.

Potem spostrzegłem, że w jej cieniu stoi drugi, mniejszy i ciemniejszy. Była to kobieta, owinięta od stóp do głów w długą, czarną szatę. Nie widać było niczego poza jej oczami. Były to oczy Kretenki, ciemne i długie, z grubymi rzęsami i miękkimi brwiami, nad którymi czoło było gładkie jak krem. Nie mogłem dostrzec więcej, ani jej kształtów, ani włosów, bo szata, w której się ukryła, spowijała wszystko: tylko tyle, że wydawała się mieć szczupłą talię i nie była bardzo wysoka. Zamknąłem drzwi z nicią za sobą i wszedłem. Mój pożyczony płaszcz był brudny od kurzu i pajęczyn. Upuściłem go więc i stanąłem, czekając.

Wykonała oszczędny gest, przywołując mnie bliżej; wysunęła tylko koniuszki palców poza szatę. Zbliżyłem się do niej na dwa kroki; mogłem powiedzieć, widząc jej powieki, że była młoda. Ale nic nie mówiła, tylko podciągała szatę wokół siebie, tak że skrywała nawet jej palce. Powiedziałem więc:

- Przyszedłem. Kto po mnie posłał?

Przemówiła w końcu, nie odsłaniając jednak ust, które zakrywała szatą, tak że głos dochodził cichy i stłumiony; był jednak tak jasny i wyraźny jak ostrze miecza, nawet schowane w pochwie.

- Jesteś Tezeuszem, tancerzem byków z Aten?

Pomyślałem, że to dziwne, że mogłaby mnie nie znać. Wszyscy w Knossos chodzili na igrzyska.

- Jeśli w to wątpisz - odpowiedziałem - Nie mogę tego dowieść.

Ale jej powieki drżały i były młode, powiedziałem więc:

- Tak, jestem Tezeuszem. Kto mnie wezwał i dlaczego?
- Jestem kapłanką - oświadczyła. - Służę Żywej Bogini. Kazała mi tu przyjść, by cię wypytać.

Pozwoliła wtedy, by płaszcz wyslizgnął jej się z ręki, odsłaniając jej twarz. Zobaczyłem, że była delikatna, niemalowana i bardzo blada. Nos miała prosty i bardzo piękny, a usta wydawały się małe, przy tak ciemnych i szerokich oczach. Kiedy odsłoniła głowę, zamilkła, patrząc na mnie i przyciskając się plecami do cokołu posągu.

Czekałem, a potem rzekłem:

- Słucham?

Zobaczyłem, że koniuszek jej języka porusza się po wargach. Stara kobieta również się bała. A jednak nie mogłem uwierzyć, że tutaj, w miejscu świętym ktoś mógłby mnie zamordować. Wszystko to nie miało sensu. Zobaczyłem, że szata się porusza, tam, gdzie zacisnęła rękę.

- To poważna sprawa - powiedziała. - Dotycząca bluźnierstwa. Bogini mówi, że trzeba ci zadać pytania.

W miejscu, gdzie ścisnęła szatę, widać było pofałdowany materiał.

- Musisz mi odpowiedzieć, pod groźbą bluźnierstwa. Słyszałyśmy, że Wysoka Kapłanka Eleusis wybrała cię na Roczno Króla; że po tym, jak się z nią ożeniłeś, podburzyłeś przeciw niej lud i wydałeś ją na śmierć, że okaleczyłeś kult Matki i zbezczeszczyłeś Misteria. Czy to prawda?

- Tylko to - odparłem - że jestem królem Eleusis. Wybrała mnie Bogini, czy też tak mi powiedziano. A zabiłem Króla poprzedniego roku, zgodnie ze zwyczajem, nie królową.

Owinęła się szczelniej płaszczem, aż uwidoczniły się jej skrzyżowane ramiona.

- Jaki to zwyczaj? Jak go zabiłeś?

- Własnymi rękami, podczas zapasów.

Spojrzała na mnie wielkimi oczyma, a potem tylko skinęła.

Powiedziałem:

- Byłem daleko na granicy kraju, gdy Domowy Wąż ukąsił Królową. Uznała to za znak gniewu Matki i odjechała. Nie wiem nawet,

-

czy nie żyje; przysięgnę, jeśli chcesz, że jej nie zabiłem.

Spojrzała w dół, na swe ukryte ramiona.

- Czy rozpaczales? Bardzo była ci droga?

Potrząsnąłem głową.

- Trzy razy próbowała mnie zabić, raz z ręki mojego nieświadomego podstępny ojca. Zasłużyła na śmierć. Ale zostawiłem ją Bogini.

Milczała chwilę, a potem spytała, wciąż ze spuszczonym wzrokiem:

- Dlaczego była zła? Byłeś z inną?

- Tylko na wojnie - odparłem - jak się to zwykle dzieje. Nie, nie chodziło o to; myślała, że mam zamiar zmienić obyczaj. I tak zrobiłem. Pochodzę z królewskiego rodu. Lecz nigdy nie zbeczcęciłem Misteriów. Ludzie byli zadowoleni, inaczej sami by mnie zabili.

Odpowiedziała po chwili przerwy:

- I przysięgniesz, że to wszystko prawda?

- Jaką mam złożyć przysięgę? - odpowiedziałem. - Powiedziałem ci wszystko, jak było, pod groźbą bluźnierstwa - jej wargi otworzyły się i zamknęły szybko.

Pomyślałem: „Zapomniała o tym. Tak, jest kapłanką; ale kim jeszcze?”

- To prawda - rzekła. - Nie musisz przysięgać - potem znowu milczała. Widziałem, jak materiał nad jej dłońmi drży.

„Co teraz?” - pomyślałem. - „Jeśli to wszystko jest takie ważne, dlaczego nie spotyka się ze mną starsza kapłanka? To niezwykle, powierzać takie sprawy dziewczętom”.

Stała zamyślona, zwijając i rozwijając fałdę szaty.

- Byłem z bykami trzy sezony - powiedziałem. - Jeśli gniewa się bóg albo Bogini, nie muszą daleko sięgać, by mnie ukarać.

Powiedziała znów:

- To prawda - zobaczyłem, że oblizuje wargi i ciężko przełyka. - Być może Matka planuje dla ciebie coś innego.

„O, chwila prawdy” - pomyślałem i czekałem. Kiedy nie usłyszałem nic więcej, powiedziałem:

- Być może tak jest. Czy zesłała ci jakiś znak?

Otworzyła usta, lecz wyszło z nich tylko powietrze. Jej piersi, otoczone ramionami, wznosiły się i opadały.

- O co chodzi? - zapytałem i podszedłem bliżej.

Nagle zaczęła mówić słabym, wysokim głosem, prędkim i zdyszczanym:

- Przyszłam tu, by zadawać ci pytania. Tobie nie wolno pytać. Musimy wiedzieć o tych sprawach w sanktuarium, to wszystko. Dlatego posłałyśmy po ciebie.

- Odpowiedziałem - rzekłem - tak dobrze, jak potrafię. Mam wrócić drogą, którą przybyłem? Czy mogę przejść przez dziedzińiec? - i schyliłem się po płaszcz, lecz ciągle ją obserwowałem.

- Czekaj! - powiedziała. - Nie pozwoliłam ci odejść - znowu upuściłem płaszcz, chciałem tylko wydobyć z niej nieco rozsądku. Podczas gdy czekałem, zobaczyłem, że miała delikatne włosy, kręjące się naturalnie, z jedwabistym połyskiem. Pod mocno ściśniętą szatą rysowała się szczupła talia. Jej piersi, które tak miękko otaczały ramiona, musiały być delikatne.

- No, mów - powiedziałem jej - nie zjem cię.

Kosmyk włosów, który wypadł z ukrycia szaty, wyprostował się nagle, jakby pociągnięty za koniec.

- Miałam zamiar cię zapytać - powiedziała - zapytać cię dla wiadomości Bogini, to znaczy dla zapisów w archiwach... - przerwała, a ja zapytałem:

- Tak? O co?

Zamrugła powiekami i powiedziała szybciej niż dotąd:

- Nie mamy wiadomości o rytuałach Matki w Atenach. Jaki jest ceremoniał, ile kapłanek bierze w nim udział, ile dziewcząt? Jakie składa się ofiary? Powiedz mi od początku i nie opuszczaj niczego.

Spojrzałem na nią zaskoczony. W końcu powiedziałem:

- Ależ, pani, w Sali Byka jest sześć dziewcząt, które wszystkie urodziły się w Atenach. One znają rytuał. Każda z nich mogłaby ci o nim powiedzieć więcej niż jakikolwiek mężczyzna.

Zaczęła coś mówić, lecz przerwała w połowie. Nagle jej twarz, dotąd tak blada, stała się tak różowa jak góry o poranku. Podszedłem do niej i położyłem dłonie na cokole z obu stron jej ramion, by zatrzymać ją tam, gdzie była:

- Co to za gra? Dlaczego zadajesz te bezcelowe pytania? Trzymasz mnie tutaj - dlaczego? To zasadzka? Czy ktoś krzywdzi moich ludzi, gdy mnie nie ma? Koniec z kłamstwami, powiesz mi teraz prawdę!

Moja twarz była blisko jej. Jej wzrok był jak wzrok jelonka złapanego w sieć; zobaczyłem wtedy, że cała drży. Nawet gruba szata poruszała się od tego. Zawstydzilem się, że groziłem jej, jak gdyby była wojownikiem, a jednak sprawiło to, że się uśmiechnąłem. Wziąłem ją w dłonie, by ją uspokoić. Wydała ciche westchnienie, jakby zduszone łkanie.

- Nie - powiedziałem. - Nie mów nic. Jestem tu, nie ma znaczenia dlaczego. Zobacz, jestem ci posłuszny, i nie pytam już o powód. Mam wystarczające powody.

Odwróciła twarz, całą w zmienionej barwie, a coś kołatało w mej głowie, czego nie mogłem nazwać. Byłem teraz blisko, wyczuwałem zapach jej włosów i ciała.

- Kim jesteś? - spytałem.

Potem słowa uwięzły mi w gardle; zrozumiałem.

Zobaczyła to w moich oczach. Jej otworzyły się, ciemne i szerokie. Z krótkim okrzykiem zanurkowała pod moim ramieniem i uciekła. Zobaczyłem jej cień znikający pod wielkim posągami i pobiegłem za nim. Cała wielka przestrzeń sali była pusta i rozbrzmiewała echem, ale jedyny odgłos stóp pochodził ode mnie. Czarny płaszcz, którym się owijała, leżał rozpostarty na ziemi; uciął nawet szelest i dźwięczenie jej sukni. Rozejrzałem się wokół, szukając, gdzie mogła się schować; dalszych drzwi nie mogłaby osiągnąć na czas, a jednak słyszałem, jak coś się zamyka.

- Gdzie się schowałaś? - krzyknąłem. - Wyjdź! Znajdę cię na pewno - ale mój głos rozbrzmiewał zbyt głośno w pustej przestrzeni sanktuarium; poczułem groźną Obecność i nie odważyłem się krzyknąć raz jeszcze. Potem, kiedy stałem nieruchomo, mój cień zarysował się nagłym skokiem przede mną; zapaliło się za mną

jakieś nowe światło. Odwróciłem się gwałtownie, pamiętając, że jestem nieuzbrojony. Lecz kiedy zobaczyłem, skąd pada poświata, mój oddech przyspieszył. Cokół posągu otworzył się. Wewnątrz jasny błękitny ogień migotał na trójnogu. Oświetlał Ziemską Matkę, żyjącą, ukoronowaną diademem. Jej ręce, wyciągnięte nad ziemią, owinięte były splotami żywych węży. Jej dłonie trzymały je pośrodku ich ciał. Światło padało na wypolerowane skóry; usłyszałem syk.

Serce waliło mi w piersiach jak młot; zrobiłem znak hołdu trzęsącą się ręką. Na stopach jakby wrośniętych w posadzkę spoglądałem na Matkę Ziemię, a Matka Ziemia spoglądała na mnie. Kiedy patrzyła, zauważyłem, że jej powieki drżą.

Stałem w bezruchu i obserwowałem. Płomienie skwierczały, a Ziemska Matka patrzyła prosto przed siebie. Postąpiłem krok naprzód, miękko, a potem jeszcze jeden, i następny. Nie miała czasu, by pomalować twarz, a diadem przechylał się trochę. Kiedy podszedłem, zobaczyłem, że wzdycha, próbując powstrzymać oddech. Trzymała ramiona sztywno, ale węże wierciły się, bo nie lubiły światła i pragnęły wrócić do legowiska. Ale nie patrzyłem na nie, kiedy się zbliżałem; spoglądałem na jej twarz. Kiedy wyciągnąłem dłoń w ich kierunku, wiedziałem dobrze, że usunięto im zęby jadowe.

W jej ciemny oczach migotały dwa bliźniacze płomyki. U wejścia do sanktuarium sięgnąłem w głąb i przesunąłem palcami po jej dłoni. Kiedy zamknąłem ją w mojej, wąż, uwolniony, owinał się przez chwilę dokoła obu naszych nadgarstków i związał obie ręce razem; potem poczułem, jak ześlizguje się i odpełza. Pod postacią Matki Ziemi, pani wszystkich tajemnic, stała płochliwa dziewczyna, która zrobiła krok naprzód i trzy wstecz, i chciała ukarać to, co ją przestraszyło. Wziąłem jej drugą rękę, trzymany w niej wąż już uciekł.

- Chodź, mała Bogini - powiedziałem. - Dlaczego się boisz? Nie skrzywdzę cię.

W rogu świątyni, za posągiem, było przejście za zasłoną i mały pokój. Tam właśnie chodziła, by zjeść, jeśli obrzędy były długie, by ją ubrano i uszminковано. Był prosty, jak u dziecka, tylko że zarzucony świętymi emblematami i naczyniami zamiast zabawkami. W rogu była wanna, pomalowana wewnątrz na błękitno, z wizerunkami pływających rybek. Było też łóżko, na którym mogła odpoczywać, jeśli była zmęczona.

Zaniosłem ją do tego pokoju. Tutaj zdjęła gruby złoty diadem i ciężkie szaty; tu jej służebne rozwiązały jej pas nabijany klejnotami, którego wcześniej nie zdjął żaden mężczyzna. Była nieśmiała i widziałem to miejsce tylko przez chwilę, zanim zdmuchnęła lampę.

Potem wzeszedł księżyc, zerkając przez wąski dziedziniec i zalewając światłem podłogę. Podniosłem się na ramieniu, by na nią spojrzeć; moje włosy spadały na jej. Związała je razem w jeden sznur.

- Złoto i brąz - powiedziała. - Moja matka miała jasne włosy, ale ja cała jestem Kretenką. Wstydzila się mnie.

- Brąz jest cenniejszy - powiedziałem. - Brąz daje życie i honor. Zrób mojemu wrogowi złotą włócznię i złotą klingę miecza.

Nie chciałem mówić o jej matce, po wszystkim, co o niej słyszałem, więc zamiast tego pocałowałem ją. Zawisła całym ciężarem na mojej szyi i przyciągnęła mnie do siebie. Była jak młoda salamandra wchodząca do ognia; najpierw lękliwa, lecz tylko do czasu, gdy wrzucona rozpoznawała swój pierwiastek. Jest stare powiedzenie, że dom Minosa ma we krwi żar słonecznych promieni.

Spaliśmy, budziliśmy się i znowu spaliśmy. Mówiła:

- Czy naprawę nie śpię? Kiedyś śniłam, że jesteś tutaj, i nie mogłam znieść przebudzenia.

Dowiodłem jej, że nie śniła i zasnęła znowu. Bylibyśmy tu aż do rana, ale godzinę przed wschodem słońca starucha weszła do świątyni i modliła się głośno wysokim, skrzekliwym głosem i uderzyła w cymbały, zanim sobie poszła.

Mniej więcej wtedy nauczyłem się spać w świetle słonecznym. Nawet hałasy głośniejszy Sali Byka nie mogły mnie obudzić.

Drugiej nocy rozpostarta nic nie wskazywała mi nową drogę. W starym, nieużywanym składzie na lampy było zejście, o wiele bliżej. To starucha poprowadziła mnie tak dookoła, bym nie zapamiętał drogi. Była krewną po kądzieli zmarłej królowej Pażyfae. Nowa droga była o wiele krótsza i wciąż prowadziła obok starej zbrojowni.

Tej nocy przy stole postawiono wino i dwa złote puchary do picia.

- Wyglądają - powiedziałem - jak kielichy do libacji.

- Bo są nimi - odpowiedziała, nic sobie z tego nie robiąc. Matka nauczyła mnie szacunku do świętych przedmiotów. Lecz moja matka była tylko kapłanką.

Lampa nie została tej nocy zgaszona. Co do mnie, moje oczy nie widziały żadnych kobiet poza nią, a wieczór tego dnia wydawał się nie mieć końca.

Głęboko w nocy powiedziała mi:

- Nie żyję, chyba że jesteś tutaj. Lalka chodzi, mówi i nosi moje stroje, podczas gdy ja leżę tu i czekam.

- Mała Bogini, jutro w nocy nie mogę przyjść - było to dla mnie trudne, lecz wciąż byłem Żurawiem, związanym naszą przysięgą. - Następnego dnia mamy nasz taniec. Miłość i byki nie idą w parze. Ale zobaczymy się, kiedy wyjdę na arenę.

Przywarła do mnie, płacząc.

- Nie mogę tego znieść. To jak miecz wbijany w moje serce, za każdym razem, gdy skaczesz. Teraz to będzie tysiąc razy gorsze. Każę cię zabrać z Sali Byka. Mogą sobie myśleć, co chcą. Jestem Żywą Boginią.

Była dziewczynką, gdy to mówiła. Uśmiechnąłem się. Zrozumiałem teraz, że nigdy nie wpadło jej do głowy, żeby uczynić się równą bogom. Był to stary tytuł, wskazujący na jej rangę i urząd. Wszystkie stare rytuały stały się podobne do zabawy, albo zwykłymi dworskimi ozdobami. Nie rozumiała, dlaczego się uśmiecham, i zgaśniła mnie oczyma.

- Ptaku mojego serca - powiedziałem - nie możesz zabrać mnie z Sali Byka. Ofiarowałem się bogu i odpowiadam za mój lud. Kiedy oni tańczą, ja tańczę z nimi.

- Ale to jest... - zreflektowała się i powiedziała - tylko kontyentalny zwyczaj. Tu na Krecie żaden król nie został złożony w ofierze od dwustu lat. Wieszamy zamiast tego lalki na drzewach i Matka się nie gniewa.

Zrobiłem nad nią znak chroniący od złego. Jej ciemne oczy, z małymi płomykami lampy w źrenicach, śledziły ruch mojej ręki jak oczy dziecka.

- Ofiarowałeś się - powiedziała - a Matka dała cię mnie.

- Wszyscy jesteśmy jej dziećmi. Ale Posejdon dał mi moim ludziom. Sam do mnie przemówił i nie mogę ich opuścić.

Sięgnęła po amulet z bykiem Koryntyjczyka, który nosiłem, nawet gdy nie miałem na sobie nic innego, i zarzuciła mi go za ramię.

- Twój ludzie! Sześciu chłopców i siedem dziewcząt! Ty, który wart jesteś, by rządzić królestwem.

- Nie, jeśli nie będę wart, by władać nimi. Garstka czy wielu, to nie ma znaczenia, gdy ktoś oddał się w ręce boga.

Wyciągnęła się, by spojrzeć w moją twarz, lecz trzymała kosmyk moich włosów w zaciśniętej pięści, jakbym mógł jej uciec.

- Ja także jestem w boskim ręku - powiedziała. - Peleja, Pani Gołębi, schwytała mnie. To jej szaleństwo, ta miłość, która jak strzała z zadziorem nie może zostać wyrwana z rany. Kiedy próbujesz, zagłębia się jeszcze. Moja matka nazywała mnie małą Kretenką; nienawidziłam Hellenów i ich błękitnych oczu; ale Peleja jest silniejsza niż ja. Wiem dobrze, co zamierza. Przysłała cię tu, byś został Minosem.

Wlepiłem w nią oczy, czując, że moje usta rozwierają się ze grozy. Jednak jej spojrzenie było - jak się zdawało - niewinne, tylko zadziwione. W końcu powiedziałem:

- Ale, pani, królem jest twój ojciec.

Wyglądała na zgaszoną, jak dziecko, które nie wie, co złego zrobiło.

- Jest bardzo chory - powiedziała - i nie ma następcy.

Teraz ją zrozumiałem. Ale była to sprawa wielkiej wagi; mój umysł obejmował ją powoli.

- Co się stało? - powiedziała. - Dlaczego patrzysz na mnie, jakbym była zła?

Leżała na boku, na zgiętej talii zarysowały się małe fałdki, pełne miękkich cieni. Poglaskałem je dłonią.

- Przepraszam, mała Bogini. Jestem tu obcy. W Eleusis, kiedy poszedłem walczyć w zapasach, prowadziła mnie tam królowa.

Spojrzała na moje włosy, które ciągle miała w dłoni, a potem na mnie, i powiedziała bez złości, ale jakby w zdumieniu:

- Jesteś barbarzyńcą. Moja piastunka mówiła, że zjadają niegrzeczne dzieci. Kocham cię bardziej, niż mogę znieść.

Rozmawialiśmy potem bez słów. Ale mężczyzna nie jest kobietą i nie może wytrzymać długo bez myślenia. Powiedziałem wreszcie:

- Być może twój ojciec nie ma syna; on sam wie najlepiej. Ale ma dziedzica.

Jej twarz sposepniała w świetle lampy:

- Nienawidzę go.

Przypomniałem ją sobie w świątyni, patrząc na niego z nad pękniętej tabliczki.

- Zawsze go nienawidziłam - powiedziała. - Kiedy byłam małą, matka opuszczała mnie, gdy przychodził. Mieli swoje tajemnice. Śmiała się ze mnie i nazywała swoją małą Kretenką; lecz nigdy nie śmiała się z niego, choć był dwa razy ciemniejszy. Kiedy zmarła i pochowali ją, drapałam sobie twarz i piersi aż krwawiły, ale musiałam zarzucić włosy na oczy, by ukryć, że nie mogę płakać.

- Wiedziałaś więc?

- Wiedziałam, nie wiedząc, jak zwykle dzieci. Mój ojciec jest milczącym człowiekiem, rzadko się do mnie odzywał. Ale wiedziałam, że wyśmiewają go, gdy szeptali w rogach. Dlatego go pokochałam. - wbiła palce w pościel - wiem, kto go zabił. Wiem, wiem dobrze.

- Ale - przerwałem - powiedziałaś, że jest chory.

- Jest martwy - odparła - umarły za życia. Od ponad roku nikt nie widział jego twarzy, nie opuszcza też już pokoju. Kiedy wyjdzie, to tylko w pogrzebowym zaprzęgu - przerwała i rzekła - Przysięgnij, że zachowasz to w tajemnicy. Musisz się sam związać przyrzeczeniem; nigdy, nigdy nie mogłabym cię przekłąć.

Związałem się przysięgą.

Wtedy rzekła - Jest trędowaty.

Poczułem, jak to dzieje się zawsze, jakby słowo to dotknęło zimnym palcem mego ciała.

- To ciężkie znamię. Ale to zysują bogowie,

- Nie. Można się zarazić od innego trędowatego albo od rzeczy, która do niego należała. Mówią tak wszyscy lekarze, Kiedy znaleźli ślady na ciele ojca, rozebrali i przeszukali ludzi z jego otoczenia, lecz wszyscy byli zdrowi. Sama myślałam, że to czary lub przekleństwo. Lecz potem przypomniał sobie, jak ponad rok wcześniej zgubił bransoletę na ramię, którą nosił codziennie. Nie było jej prawie miesiąc; potem ją znaleziono, w miejscu, które zostało już przeszukane. Założył ją znowu. To w miejscu pod bransoletką ślady pojawiły się najpierw. Wydało mi się to zbyt wymyślne.

- Jeżeli wśród domowników był zdrajca - spytałem - dlaczego nie użył trucizny, która działa szybko? Trędowaci żyją długo, jeśli mają dach nad głową i ludzi, którzy ich karmią. - W myślach dziwiłem się, dlaczego Minos nie wrócił z własnej woli do boga pierwszego dnia choroby. - Asterion musiałby czekać lata, z pewnością mógł znaleźć coś pewniejszego.

- Znalazł rzecz najpewniejszą - odrzekła - Jeśli mój ojciec umarłby od razu, a on ogłoszony by został Minosem, wybuchłaby wojna. Królewski ród by tego nie ścierpiał. Teraz odrobina za odrobina zbiera władzę w swych rękach; kupuje niektórych, innych zastrasza. Początkowo, kiedy ojciec wysyłał rozkazy, słuchano ich. Teraz nie osiagają ludzi, do których je wysyła, a Dowódca Straży kupił sobie nową posiadłość. Nikt nie wie, kto należy już do Asteriona. Nikt nie waży się pytać. - A potem dodała - Już teraz rządzi jak król.

Wtedy rzeczywiście zrozumiałem, nie tylko to, ale i resztę.

- Ale - rzekłem - w takim razie Kreta jest rządzona przez człowieka, który nie należy do żadnego boga, który nigdy nie został poświęcony dla bóstwa. Ma pełnię władzy, a jednak nie zgodził się stać się ofiarą. Czy zrobił to ?

Na jej policzku pojawił się cień, jakby się uśmiechnęła; ale jej twarz stała się poważna i potrząsnęła głową.

- W takim razie - powiedziałem - bóg nigdy do niego nie mówi. Jak może przewodzić swemu ludowi? Kto dostrzeże zbliżające się niebezpieczeństwo? Co stanie się, jeśli bóg będzie się gniewał, i nie będzie nikogo, kto mógłby złożyć się w ofierze? Odbiera usługi, podatki i cześć, a nie daje nic w zamian! Nie! Wiedziałem, że jest potworny! Będzie śmiercią dla twojego ludu, jeśli pozwolą mu żyć! Dlaczego wodzowie są mu posłuszni? Dlaczego to znoszą?

Milczała przez chwilę, potem sięgnęła za moje ramię i pociągnęła kryształowego byka, by zwiisał mi z piersi.

- Powiedziałeś mi „Daj mojemu wrogowi złotą klingę”. To właśnie tu zrobiliśmy; wykuliśmy nasze miecze ze złota. Nie rozumiałam tego, dopóki cię nie poznałam.

Jej słowa zaskoczyły mnie. Powiedziała:

- Myślisz, że jestem dzieckiem, bo nigdy dotąd nie byłam z mężczyzną. Ale wiem trochę. Wiem, że wywołałeś jakieś przeznaczenie, wtedy w Amnisos, kiedy poślubiłeś morze.

- Więc to byłaś ty, zerkałaś zza zasłony! - Potem nastąpiła chwila rozmowy młodych kochanków. Ale powiedziałem później: - Co miałaś na myśli, kiedy powiedziałaś, że poślubiłem morze?

Spojrzała na mnie głębokimi, jasnymi oczyma, które wcale nie były dziecinne.

- Jak sądzisz, dlaczego wyrzucił pierścień?

- Aby mnie utopić, oczywiście. Nie mógł skazać mnie na śmierć.

- Więc zrobiłeś to nieświadomie; to czyni rzecz pewną.

Kiedy zapytałem, o czym mówi, odpowiedziała:

- Kiedy ogłasza się nowego Minosa, zawsze poślubia on Morską Panią. Rzuca jej pierścień - przypomniałem sobie rodowitych

Kreteńczyków, gapiących się i szepczących. Dał im znak do zapamiętania, który miał mieć pozór przypadkowego, jak prawdziwe wróżby. Użył do tego mnie; równie dobrze nadałby mu się pies. Zlekceważył mnie nawet w tym.

- A więc - powiedziała - uczyniło to z niego głupca, kiedy znowu go wyłowileś. Ale potem sam wrzuciłeś go do morza i ty ją poślubiłeś! Jak się śmiałam za zasłoną! A potem pomyślałam: „Być może to prawdziwa wróżba!” Widziałam, że Kreteńczycy tak myśleli. On też o tym wiedział, więc zatuszował wszystko w najlepszy sposób, czyniąc się twoim patronem. Musi zawsze posiadać wszystko, co najlepsze. Spostrzegł, że możesz zostać skoczkiem przez byki i pomyślał, że dzięki temu to on będzie się śmiał ostatni.

Pomyślałem chwilę. Wreszcie rzekłem:

- Jak radzi sobie z rodowitymi Kreteńczykami? Zgodnie ze starymi obyczajami, krew Królowej zupełnie im wystarczy, nie przywiązują wielkiej wagi do ojca - obawiałem się, że zabrzmi to zbyt otwarcie, ale nie tym się przejęła.

- Tak - rzekła. - On to wie. Do niedawna był dla nich pełen pogardy, nic dla niego nie znaczyli, byli rękami do pracy. To do mnie przychodzili. To mój urząd, wysłuchiwać pozwów i modlitw; Kreteńczycy zawsze woleli modlić się do kobiety. A ja próbowałam im pomóc. Wiem, jak to jest, gdy się kogoś poniża. Dawniej zanosilałam ich modlitwy do ojca; w ten sposób po raz pierwszy przysłałam z nim pomówić. Zwykł mawiać: „Jesteś tylko boginią, mała Ariadno. Być posłem to poważna sprawa”. Ale często robił, jak prosiłam.

Dotknąłem jej rzęs palcem, mówiąc: - A teraz?

- Asterion rozstrzyga ich sprawy. Kiedyś, gdy ich krzywdzono, nie ruszyłby palcem. Teraz wspiera ich nawet w niesłusznych sprawach, chyba że przeciw jednej z jego kreatur. Nawet wśród dworzan z Pałacu zbiera ludzi kreteńskiej krwi, takich jak Lukos. Rozumiesz, dlaczego mój ojciec musi umierać powoli?

- To źle - powiedziałem. - Zjednał sobie wielu?

- Kreteńczycy mają długą pamięć. Ci, których obraził, nie przebaczą mu. Ale jeśli któryś został skrzywdzony przez Helleną, zwróć się ku niemu.

Rozmawialiśmy dłużej, ale tego już nie pamiętam. Kręciło mi się w głowie od senności i myślenia, i ciepłych zapachów jej włosów i piersi.

Podczas następnego tańca, kiedy spojrzałem ku świątyni, wydało mi się, że cały świat już zna prawdę i zgadywałem, że ona musi odczuwać to samo. Lecz nikt niczego nie zauważył. Pokazałem się z nową sztuczką, odbijając się z Heraklesa ze stojącym saltem do tyłu, z lądowaniem na stopach. Ćwiczyłem to cały ranek na drewnianym byku, by pokazać jej, co umiem.

Potem powiedziałem Żurawiom wszystko, co mogłem, zachowując honor. Nie chciałem wytrącać ich z równowagi przed tańcem. Powiedziałem, że słyszałem, że Król jest chory, że Asterion spiskuje, by poderwać Kreteńczyków przeciw Hellenom i zająć tron.

- Znaczy to, że nie mamy wiele czasu. Jeśli Kreteńczycy go poprą, może utrzymać wybrzeża przeciw flocie helleńskiej tak długo, jak długo zachowa ich miłość. Będzie tak do czasu, kiedy umocni się na tronie; rok, dwa lub trzy; dłużej, niż tutaj przeżyjemy. Będziemy musieli uderzyć szybko.

- Zrobimy, co możemy, Tezeuszu - powiedział Iros. - Ale na razie nie mamy wiele broni - tu spojrzał z wyrzutem. On i Hippon ukradli więcej broni niż ktokolwiek inny; mieli więcej okazji.

Powiedziałem:

- Wiem o pewnym magazynie broni. Jeśli szczęście nam dopisze, wkrótce wystarczy jej dla wszystkich - miałem zamiar przynieść po kilka sztuk na raz i chować je w miejscu, z którego moglibyśmy je szybko wydostać. Nie chciałem jednak zbyt wielu pytań.

Tej nocy w małej przebieralni wybuchła jak płomień na suchej trawie. Samotne dwa dni i noc wydawały się długie jak miesiąc. Mówiąc prawdę, poprzedniej nocy prawie do niej poszedłem, nie

zważając nad taniec z bykami. Jednak kiedy usiadłem i zobaczyłem śpiącego Amyntora, przypomniałem sobie o swoim ludzie.

Już po trzech nocach nasza miłość miała swe wspomnienia i historię. Mieliśmy tajemne słówka, z których śmialiśmy się i na których dźwięk wymienialiśmy pocałunki. A jednak, nawet gdy żartowaliśmy i bawiliśmy się, lub gdy tonęliśmy w miłości głęboko jak nurkujący delfin, czułem rodzaj oszołomienia: ze względu na miejsce albo dlatego, że miłość królów i królowych, nawet ukryta, jest obrzędem czynionym przed bogami dla ludu.

Kiedy ją opuściłem, zabrałem lampę z półeczki na świętej kolumnie i poszedłem do magazynu broni. Jak przewidziałem, były to wszystko starocie. To, co dobre i nowe, znajdowało się w zbrojowni powyżej. Widać było stopnie i można było zgadnąć, dokąd prowadzi; na pewno była jednak dobrze strzeżona. Stąpałem miękko i smarowałem zawiasy skrzyń oliwą z lampy. Były pełne strzał, ale łuki wydawały się wypaczone przez czas, a ciężkiy zniknęły. Przyciągnęły mnie jednak włócznie i oszczepy. Były starego typu, nieco ciężkie, lecz całkiem mocne. Tyle że były za długie, by ukryć je przy sobie, nawet pod płaszczem.

Niemniej jednak zdecydowałem się je przynieść, noc po nocy, do lochu pod pokojem z lampami, skąd będzie je można szybko wydość. Obok filaru był tam stos starych słoików na oliwę, w większości pustych; po pajęczynach znać było, że nikt ich nigdy nie ruszał; za nimi było dobre miejsce. Kilka nocy później znalazłem pudło z grokami włóczni i oselkę. To było najlepsze. Zacząłem je szlifować na sztylety i znosić do Sali Byka, po kilka naraz, by schowały je dziewczęta.

Zaprzysiągłem Żurawie, by milczały, nawet wobec kochanków i przyjaciółek. Ja również czułem się związany przyrzeczeniem. Prócz tego, nie była to dziewczyna, której można było poświęcić się tylko połowicznie. Miała w sobie żyłkę dzikości, która porusza mężczyznę, bo leży głęboko jak płomień Hefajstosa, które tylko trzęsienie ziemi uwalnia z trzewi góry. Po wszystkim patrzyła na mnie wciąż zdumionymi oczyma, a potem zapadała w syty spokój, jak dobrze nakarmione niemowlę, i usypiała.

Czasem, gdy mówiła o swym ojcu i trudnościach królestwa, myślałam o tym, by jej wszystko powiedzieć i poprosić o pomoc. Ufałam jej sercu. Lecz co do jej głowy - była młoda, ledwie skończyła szesnaście lat. Swoje tajemnice zdradziła mi szybko. Najbardziej jednak lękałam się jej nienawiści wobec Asteriona. Nie był to taki niedoświadczony chłopak, jakim sam byłem w Eleusis. Jeśli twarz kobiety powiedziałaby mu: „Coś cię spotka, choć jeszcze o tym nie wiesz” - nie należałby do tych, którzy by to przegapili.

Mniej więcej w tym czasie kazał mi przyjść na jeszcze jedną ze swoich uczty. Ujrzałem, że Ariadna powiedziała mi prawdę.

Nie zauważyłem ani jednego gościa, który wyglądałby nawet w połowie jak Hellen. Wszystko to byli Kreteńczycy lub pół-Kreteńczycy; drobna szlachta, której rody były wielkie w czasach, zanim przybyli Hellenowie. Jego zachowanie w stosunku do mnie pogorszyło się. Nie chodzi o to, by otwarcie mnie obrażał, w taki sposób, jaki tego rodzaju człowiek uważa za obrazę. Nie zyskałby wtedy pochwały, bo każdy Kreteńczyk kocha skaczących przez byki. Ale zaznaczał bardzo wyraźnie, że jestem tam obecny tylko po to, by zabawiać szlachetnych gości; i mogłem wyczuć, że pragnął upokorzyć przed nimi Hellena. Wreszcie poprosił mnie, bym zaśpiewał im jakąś ojczystą piosenkę. Powiedział to gładko; lecz w ten sposób, w jaki zwycięzca zwraca się do swego jeńca.

Przez chwilę zaciskałem zęby w milczeniu. Potem pomyślałem:

- Dobrze. Jeśli zgodzę się na to, nikt nie będzie mógł twierdzić, że byłem jego gościem.

Poprosiłem o lirę i nastroiłem ją w helleńskiej tonacji. Asterion usiadł, uśmiechając się. Ale ja zobaczyłem, że chytry Lukos przygląda mi się spod zmrużonych powiek. Wiele podróżował. Wiedział, jakie umiejętności posiadają wśród naszych ludzi szlachetnie urodzeni.

Nie przystoi jeńcowi śpiewać o triumfach przodków. Nie chciałem również ostrzegać nikogo, że moje myśli były skupione na wojnie. A jednak chciałem sprawić, by obecni tu Kreteńczycy mnie zapamiętali, i to nie całkiem tak, jak miał nadzieję głupi Asterion.

Zaśpiewałem więc jeden z tych starych lamentów, których nauczyłem się w domu, w Trojzeniu. To ten, który śpiewa się na całej Wyspie Pelopsa; często, kiedy bardowie opowiadają o złupionym mieście, opierają pieśń na nim, lecz czasem też śpiewają go oddzielnie.

Opowiada o dziedzicu królestwa, Pasterzu Ludu, całującym żonę na pożegnanie u bramy, kiedy odchodzi na bitwę, przewidując swą śmierć.

„Pozwól mi odejść - mówi - nie próbuj mnie zatrzymać. Jeśli zostanę, okryję się hańbą przed wojownikami i damami o złotych pasach, w rozwianych sukniach. Moje serce też się na to nie godzi, bo wychowany zostałem do męstwa, by walczyć na czele szyku za honor mojego ojca i własny. Głęboko w sercu wiem, że święta cytadela musi upaść, a król i jego lud przepadną; ale nie tym smucę się najbardziej. Nie, nie moim ojcem ani matką, ani moimi dzielnymi braćmi, zwalonymi w kurz ziemi. Żałuję ciebie, którą odciągną we łzach do wklęsłych okrętów i zakończą dni twój wolności. Daleko, w domu jakiejś cudzoziemki, widzę cię pracującą nad krosnem albo pędzoną z ciężkimi dzbanami na wodę stromą ścieżką od źródła. A ktoś, kto zobaczy cię płaczącą, powie innemu, czyją byłaś żoną, i znowu przypomni ci twój smutek, bo nie będzie już męża, który by cię uwolnił. Obym leżał martwy, przygnieciony ziemią, nim zobaczę, jak cię uprowadzają, zanim usłyszę twój płacz”.

W Labiryncie mają służących, którzy wykonują muzykę dla swych panów. Nie oczekiwał więc, że syn króla będzie właściwie wyedukowany w tym zakresie. Kiedy zobaczyłem, że Kreteńczycy pociągają nosami, wiedziałem, że nie będą mnie wyśmiewać. Na końcu zgromadzili się tłumnie wokół mnie. Mogłem po tym poznać, którzy nie byli jeszcze jego sługusami. Całkiem duża liczba, jak się okazało. To wszystko, co mogłem zrobić, by zachować twarz. Ale on nie mógł nic powiedzieć. Zrobiłem tylko to, o co mnie poprosił.

Tej nocy powiedziałem Ariadnie:

- Byłem w Małym Pałacu. Miałas rację. Jeśli mamy go powstrzymać, trzeba to zrobić szybko.

- Wiem - odparła. - Myślałam, by sama go zabić. Gdybym tylko wiedziała, jak...

W moich dłoniach była miękka jak tulący się gołąb. Choć był jej bratem z tego samego łona, jej słowa były zbyt dzikie, by mnie zaszokować. Była sama i nie miała nikogo, do kogo by się mogła zwrócić.

- Cicho, posłuchaj - powiedziałem. - Jeśli udałoby mi się posłać wiadomość do mojego ludu w domu, i jeśli by wysłali mi statki, co wtedy? Rozumiesz, że oznaczałoby to wojnę. Dla kogo walczyliby Kreteńczycy?

Odwróciła się w ciemności i leżała myśląc, podpierając brodę dłońmi.

- Walczyliby dla siebie. Zbuntowaliby się przeciw helleńskim rodowi, jeśli by wodzowie rozpoczęli wojnę. Działyby się straszne rzeczy, wszędzie przelewano by krew. Ale to robi też sam Asterion; tego chce od Kreteńczyków. Lecz gdy ich wykorzysta, dopilnuje, żeby to powstanie było ich ostatnim. Tak, będą musieli ginąć, by zyskać dla siebie cięższy łańcuch - złożyła ramiona i położyła na nich głowę. Wreszcie powiedziała.

- Lecz jeśli...

- Tak? - spytałem, głaszcząc jej włosy.

Ale potrząsnęła głową, mówiąc:

- Muszę pomyśleć. Zobacz, gdzie jest Orion. Jak szybko mija noc - zaczęliśmy więc nasze pożegnania, co zabrało długi czas, i nie mówiliśmy o tym więcej.

Przyniosłem wystarczająco wiele broni dla każdego tancerza w Sali Byka, mężczyzny i kobiety, i powiedziałem Amyntorowi, gdzie się znajdowała, tak by ktoś wiedział, jeśli ja bym zginął. Dziewczęta miały około trzydziestu sztyletów ukrytych w swojej sypialni. Nadeszła zima i czasem taniec przed bykami nie odbywał się z powodu deszczu czy śniegu; minęło wiele czasu, odkąd ludzie z Labiryntu byli skłonni poświęcić cokolwiek, by uczyć bogów. Lecz gdy omijał nas taniec, ćwiczyliśmy na Byku Dedala, a czasem nawet organizowaliśmy własne igrzyska, chłopcy przeciw dziewczętom, lub losując strony. Tańczyliśmy, gdy czuliśmy, że wypadamy z formy; cokolwiek,

co utrzymywało w dobrej kondycji było dobre. Widziałem już, jak inne zespoły zaczynały się zaniedbywać i jak się to zawsze kończyło.

Był to nasz trzeci sezon w Sali Byka. Poznaliśmy do tej pory wszystkie wypadki, które mogą się przytrafić tancerzom byków, których Kreteńczycy nazywają cielątkami Posejdona. Wiedzieliśmy, dzięki czemu żyją i jak giną; co zabija tancerza w pierwszym tygodniu, a co staje się po pół roku. Pewnego dnia Amyntor dotknął mojego ramienia, kiedy dziewczęta ćwiczyły zapasy (kapłanka nie pozwalała im walczyć z chłopcami) i powiedział do mnie miękko:

- Chryse urosła.

Nasze spojrzenia się spotkały. Nie trzeba było mówić więcej. Miała czternaście lat, kiedy wypłynęła z Aten, i była w każdym calu Hellenką. Jeśli przeżyje, będzie jak Dziewicza Bogini, prosta i wysoka. Lecz wysokie dziewczęta nie żyją długo na arenie.

Powiedziałem Amyntorowi:

- Gdy zima minie, jeszcze przed wielkimi wiosennymi huraganami, przybędą statki - porównałem nasz wzrost, gdy nie patrzył. Sam urósł o trzy palce.

Amyntor stał się mi drogi. Współpracowaliśmy tak długo, że myśleliśmy jak jeden człowiek; wiedział, jak mam zamiar skoczyć, zanim wiedziałem to sam. W Pałacu plotkowano, że byliśmy kochankami. Już nie staraliśmy się przekonywać, że tak nie jest. Ratoowało nas to od wygłupów dworzan z Knossos, podarunków z kwiatów, pieczęci i afektowanych wierszy, i czajenia się w nocy. W każdym razie mieliśmy się z czego śmiać. Później dobrze mi to służyło; mogliśmy niezauważeni omawiać tajemnice i gdy moje romanse z pałacowymi kobietami się skończyły, oszczędziło to wielu domysłów.

Lecz w nocy przed tańcem byków zawsze spałem sam; nawet dwie noce z rzędu, jeśli poczułem, że stałem się mniej sprawny. Było to trudne, ponieważ byłem młody i nawet nie pocałowałem innej kobiety, odkąd przyszedłem do niej. Lecz moi ludzie i ja byliśmy daleko od domu. By być królem, nie miałem praw ani wojowników, tylko to, co mogłem znaleźć w swym wnętrzu. Było to małe

królestwo; najdrobniejsza szczelina mogła nim zatrząść.

Jeśli mówiłem jej, że nie mogę przyjść, nigdy nie czyniła mi wyrzutów, przynajmniej nie słowami. Ale z dotyku jej dłoni poznawałem, co myśli. Chciała usłyszeć ode mnie: „Niech jutro dzieje się co chce, niech byk mnie dopadnie i niech zginą moi ludzie; to wszystko warte jednej nocy w twoich ramionach”. Wtedy odpowiedziała: „Nie, nie przychodź. Przysięgam, że mnie nie znajdziesz”. Chciała tylko, bym to powiedział. Lecz byłem młody i brałem poważnie swoje powołanie, jak święty sojusz, z którym niepobożnie byłoby igrać lub rzucać dziewczynie jak sznur koralików. W tych latach zawsze jednym uchem słuchałem głosu boga.

Teraz nic by mnie nie kosztowało, by zadowolić kobietę w ten sposób. Już do mnie nie mówi, odkąd mój syn zginął na skałach na brzegu morza. Poczulem w ziemi ostrzeżenie. „Strzeż się gniewu Posejdona” - rzekłem do niego i mógł to zrozumieć, jak chciał; ja również byłem zagniewany. Chciał zrozumieć to jako przekleństwo i już więcej się nie odezwał. Widziałem, jak odchodzi - wysoki chłopak i jego wielkie trojeńskie wierzchowce, jadące wąską ścieżką. Zachowałem milczenie. Teraz bóg również milczy.

Lecz pamiętam, mimo że było to dawno temu, jak w noc po tańcu przed bykami nasze spotkanie było jak nierozcieńczone wino, całe z ognia i korzennego miodu, tak że wydawało się, że warto było zrobić przerwę. Pamiętam, jak płakała nad jakimś drobnym otarciem, moim pierwszym od czasu, gdy zostaliśmy kochankami. Po chwili powiedziałem:

- Czy myślałaś o jakimś planie?
- Tak - odrzekła - powiem ci o nim jutro.
- Dlaczego nie teraz? - zapytałem. Ale odpowiedziała, że zabraloby to zbyt wiele czasu, że tej nocy go nie było, i ugryzła mnie delikatnie jak kociak. Często nosiłem następnego dnia ślady jej zębów. Jednak skaleczenia w Sali Byka nie zwracają uwagi.

Następnej nocy szedłem do niej przez podziemia, kiedy w cieniach magazynu świątynnego zobaczyłem, jak coś się porusza.

Sięgnąłem do pasa po sztylet własnej roboty; wtedy postać wyszła na światło - była to ona. Uścisnęliśmy się między obitym złotem karawanem a stosem lalek. Była owinięta w ciemny płaszcz, który nosiła już poprzednio.

- Chodź ze mną - powiedziała. - Jest ktoś, z kim musisz pomówić.

Dała mi z półki glinianą latarnię, taką, której światło można ukryć, zasłaniając otwór. Kiedy otworzyłem usta, by się czegoś dowiedzieć, położyła na nich dłoń, mówiąc:

- Teraz ani słowa. Musimy przejść pod samym Pałacem.

Później poprowadziła mnie obok archiwum i skręciła w bok. Była tam jeszcze jedna nić przywiązana do filara. Szepnęła miękko:

- Trudno znaleźć tę drogę. Raz sama prawie się zgubiłam.

Wzięła nić w jedną rękę, a w drugą moją dłoń. Lampa była przyćmiona, a wokół ciemno jak w studni.

Droga prowadziła wśród zakrętów przez same trzewia Labiryntu. Mijaliśmy starą, prymitywną murarkę, która wyglądała jak dzieło Tytanów lub pierwszych ludzi ziemi. Było to bowiem samo jądro fundamentów, należące do najstarszego Domu Topora, warowni kreteńskiego Minosa, dwa pałace temu. Te potężne filary, wzmocnione krwią tysięcy ofiar, przetrwały gniew Posejdona, gdy zwały się wszystkie mury stojące nad powierzchnią ziemi.

Czasami ścisnęła moją dłoń, ostrzegając mnie, bym osłonił lampę; mijaliśmy drobne pęknięcia w kamieniu powyżej, przez które przeblyskiwało światło i słychać było odgłosy kłótni lub miłości. Odrobina za odrobiną, schodziliśmy niżej, pomyślałem więc, że kierujemy się na zachód, zgodnie ze spadkiem stoku wzgórza.

Nie było tu magazynów, lecz tylko tu i tam rumowiska pozostałe po starożytnych trzęsieniach ziemi. Połamane garnki, uformowane bez koła, albo stare prymitywne narzędzia. W jednym miejscu, w którym ziemia się osunęła, zobaczyłem przed jednym z wielkich filarów białą ludzką czaszkę wystającą z ziemi, oczodołami w górę. Ciągle miała na sobie strzępy starego skórzanego hełmu. Był to

Strażnik Progu, silny wojownik, którego pogrzebano żywcem pod świętym miejscem, aby jego duch odpędzał od niego demony. Wzdrygnąłem się, a potem pozdrowiłem go, jak wymagał tego jego honor. Ariadna przechodziła tędy wcześniej i tylko odciągnęła na bok spódnicę.

W końcu doszliśmy do kilku stopni i wąskich drzwi. Dała mi znak, bym zdjął sandały i milczał. Wzięła ode mnie latarnię, zgasiła płomień i odstawiła ją.

Drzwi otworzyły się cicho. Dwie płytki mojego naszyjnika zadzwoniły o siebie; Wyciszyła je dłonią i kazała mi go trzymać. Potem powiodła mnie przez jakieś małe, ciemne pomieszczenie, w którym moje stopy wyczuły gładkie płyty podłogi. Poza nim były jeszcze jedne drzwi, potem powietrze i wolna przestrzeń, i coś, co wydawało się światłem, po dotychczasowych ciemnościach. Były to gwiazdy świecące przez trzy kondygnacje, przez otwór w dachu nad wielkimi schodami.

Za podnóżem schodów znajdował się hol, a niżej umieszczona pod ziemią świątynia. Panował w niej uroczysty, stary, święty zapach. Na ścianie naprzeciw sanktuarium wymalowano freski, lecz było zbyt ciemno, by odróżnić kształty, a po środku ściany znajdował się wysoki biały tron.

Przeprowadziła mnie przez to wszystko i jeszcze dalej. Potem były drzwi, za którymi widać było przyćmione światło lampy. Szepnęła:

- Czekaj - i otworzyła je; wewnątrz znajdowała się haftowana zasłona, która zamknęła się za nią. Usłyszałem szepty i brzęk metalu. Potem przemówił głos, który nie należał do niej. Był to głos mężczyzny, lecz dziwnie zmieniony; wytłumiony i dudniący niewyraźnie. Sprawił, że zadrzałem. Był jednak uprzejmy i zmęczony, nawet smutny. Powiedział:

- Proszę, wejść.

Rozsunąłem zasłonę i poczułem zapach palących się aromatycznych żywic. Powietrze było błękitne od dymu. Spojrzałem przez nie i nagle zatrzymałem się nieruchomo, a moje serce chciało wyrwać się z żeber.

Pokój był mały i prosto urządzone, z przygasającymi węglami na palenisku. Były tam półki na puchary, talerze i naczynia toaletowe, półka zwojów i stół z przyborami do pisania, na którym płonęła lampa z zielonego kamienia. Na krześle obok niego, z rękami na kolanach, siedział człowiek ze złotą głową byka i oczyma z kryształu.

Zmęczony głos, brzęmiący pusto wewnątrz maski, rzekł:

- Wejdz, synu Ajgeusza, i stań tam, gdzie cię będę mógł zobaczyć.

Poszedłem naprzód i dotknąłem pięścią czoła. Wydał głębokie westchnienie, które zaszeleściło we wnętrzu maski jak wiatr w siołku,

- Nie czuj się obrażony, Pasterzu Aten, że zakrywam twarz przed wzrokiem syna twojego ojca. Już dawno temu odesłałem stąd zwierciadło. To oblicze, które Dedal zrobił dla kreteńskich Minośców, jest lepszym widokiem dla gościa.

Podniósł lampę ze stołu i trzymał ją w górze, poruszając głową, ponieważ maska ograniczała jego spojrzenie. Potem powiedział:

- Wyjdz, moje dziecko, i przypilnuj schodów.

Wyszła cicho na zewnątrz i czekała. Było tak cicho, że słyszałem trzask kadzidła w porfirowym naczyniu. Pod jego drogocenną wonią wisiał w powietrzu ciężki odór choroby. Jego prawa ręka, naga na kolanie, była długa i szlachetna; lewą skrywała rękawiczka. Powiedział wreszcie:

- Słyszałem, że król Ajgeusz był bezdzietny. Opowiedz mi coś o twojej matce.

Powiedziałem mu historię swych narodzin i, gdy zapytał, mego dorastania. Słuchał w milczeniu. Kiedy wspomniałem o świętym obrzędzie, sięgnął po tabliczki i kazał mi wszystko opowiedzieć. Pisał szybko i kiwał głową. Potem powiedział:

- Lecz zmieniłeś obyczaj w Eleusis. Jak do tego doszło?

- Przez przypadek - odparłem. - Przyłożyłem rękę do tego, co zastałem - opowiedziałem mu, jak to się stało. Raz przerwałem, słysząc, jak krztusi się pod maską; myślałem, że miał trudności z

oddychaniem. Ale gestem kazał mi ciągnąć dalej; zrozumiałem, że się śmiał.

Kiedy opowiedziałem mu, jak przybyłem do Aten, rzekł:

- Powiadają, Tezeuszu, że sam napisałeś swe imię na losie, by tu przybyć. Czy to prawda? Czy też Lukos próbuje znaleźć wymówkę? Chciałbym wiedzieć.

- Ach, to prawda - powiedziałem. - To człowiek, który kocha porządek. Zostałem posłany przez boga. Dał mi znak, bym złożył się w ofierze za mój lud.

Pochylił się do przodu na krześle i znowu uniósł światło:

- Tak, tak mi mówiła. Więc to prawda - wyciągnął świeżą tabliczkę i wziął nowy, ostry rysik, poruszając się żwawo jak człowiek zadowolony.

- Dalejże - rzekł - opowiedz mi o tym. Bóg do ciebie przemówił, powiadasz. Słyszałeś głos, który wzywa króla. Jak on mówi? Słowami? Dźwiękiem muzyki lub wiatru? Jak on wzywa?

Pomyślałem: „Ma prawo żądać, jako że moje urodzenie jest niepotwierdzone, bym dowiódł, że mam dar Słyszania”. Lecz niemal nie mówiłem o tym nawet do mojego ojca i trudno mi było znaleźć słowa.

- Będę miał wobec ciebie dług wdzięczności - powiedział. - Czas płynie mi tu ciężko. Piszę księgę o starożytnych obyczajach, a to jest sprawa, w której nie znajduję pomocy w moich archiwach.

Wbiłem w niego spojrzenie. Zdumienie zamurowało mi mowę. Pomyślałem, że musiałem się przesłyszeć, jednak nie miałem pojęcia, jak o to zapytać. Z grzeczności zacząłem coś jąkać, ale słowa zamarły mi w ustach, i milczeliśmy, spoglądając na siebie.

Odezwał się jako pierwszy. Oparł głowę na dłoni i rzekł smutnym, stłumionym głosem:

- Chłopcze, ile masz lat?

- Jeśli dożyję do wiosny, będę miał dziewiętnaście.

- A po zmroku, kiedy latają nietoperze, czy słyszysz, ich krzyki?

- Hm, tak - rzekłem - Często cała noc nimi rozbrzmiewa.
- Krzyczą tylko dla młodych. Lecz kiedy starzec nadchodzi, nie milkną, to jego ucho stępało. Tak jest również z królewskimi rodami; i jest to też czas, by pomyśleć o naszym odejściu. Kiedy bóg cię wzywa, Tezeuszu, co się dzieje w twoim sercu?

Zamilkłem, przypominając sobie. Pomimo tego, co wiedziałem, pomyślałem, że zrozumie. Było to dziwne, ponieważ nie zawsze czułem się tak wobec ojca. Znajdując takie słowa, jak potrafiłem, w tym małym zamkniętym pokoju otworzyłem serce przed Minosem Zrodzonym z Gwiazd, Władcą Wysp.

Kiedy powiedziałem, co miałem do powiedzenia, jego ciężka maska zwiesiła się na piersi, a ja przerwałem, zawstydzony, że go zmęczyłem. Ale znowu podniósł swe kryształowe oczy i wolno po kiwał głową.

- Tak więc - rzekł - złożyłeś się w ofierze. A jednak to twój ojciec jest królem.

Jego słowa przeszły, rozbrzmiewając w mym wnętrzu, docierając głębiej nawet niż słowa mego dziadka dawno temu; głębiej, niż mogła wyśledzić to moja własna myśl.

- To nieważne - powiedziałem. - Dobry Pasterz odda życie za swoje owce.

Siedział, myśląc przez chwilę, a potem usiadł i odepchnął od siebie tabliczki.

- Tak, tak, moje dziecko miało rację. Przyznaję, że wątpiłem w to, co mówi. Istnieje daimon zepsucia, który nawiedza nasz ród. Ale wybrała właściwie. Ze śmierci - narodziny. Jesteś tym, co musiało nadejść, już tego nie kwestionuję - uczynił w powietrzu między nami znak dłonią. Mimo że jego przodkowie dawno wywędrowali z achajskich krain, zrozumiałem, że wciąż jest zarówno kapłanem, jak królem.

Poruszył się w krześle i zrobił gest, jakby chciał zrobić wolne miejsce na stole, potem potrząsnął głową.

- Choroba zostaje na tym, czego chory dotyka. Inaczej poprosiłbym cię, żebyś usiadł, i wręczyłbym ci puchar pokrewieństwa, jak człowiek, który ofiaruje rękę swej córki.

Prawie przed nim ukląknęłam. Zobaczyłem jednak, że nie pragnie czci, ale ramienia, któremu mógłby zaufać.

- Panie - rzekłem - przyrzekam ci całym sercem. Nie spocznę, dopóki nie zrobię jej królową.

Skinął głową i poczułem, że się uśmiecha.

- Dobrze, Tezeuszu, wystarczy grzeczności. Należą się twojej krwi i honorowi. Ale moja córka będzie musiała ci powiedzieć, że są wszystkim, co mam do ofiarowania.

Powiedziałem jakąś rzecz lub inną i pogrzebał wśród papierów, trzęsąc głową, i czasem mruczając, jak mają w zwyczaju chorzy, którzy długo pozostają sami, nie wiem, czy do mnie, czy do siebie.

- Kiedy był dzieckiem, chodził za mną jak cień, czarny byczek naznaczony naszą hańbą; nigdy nie pozwolił mi o sobie zapomnieć. Nie odstępował mnie ani o krok na łowach, na pokładzie, w Letnim Pałacu. Płakał, gdy odsyłałem go, gdzie jego miejsce. Nazywał mnie ojcem i patrzył szerokimi oczami, gdy go uciszałem. Powinienem był wiedzieć, że mnie zniszczy. Tak, tak, można by się z tego śmiać, wszystko to układa się jak w starej pieśni. Powstrzymałem ofiarę i to spowodowało śmierć. Jeśli bogowie istnieją, nie mogliby spisać się lepiej.

Przerwał i usłyszałem, jak myszy szeleszczą za półką ze zwojami.

- Przychodzą tu teraz tylko niewolnicy. Szlachetni zatrzymują się przy drzwiach i każą wchodzić najpodlejszym. Człowiek już jest martwy, aż zbyt gotowy do pogrzebowego rydwanu. Ale król musi trwać jeszcze trochę, aż skończy swe dzieło. Wraz z moim dzieckiem, Tezeuszu, musi powstać nowy początek.

Potem powiedział cicho:

- Spójrz, czy jest poza zasięgiem słuchu.

Podszedłem do drzwi i zobaczyłem ją w świetle gwiazd, siedzącą u zwieńczenia zagłębionej kapliczki. Wróciłem i potwierdziłem.

Pochylił się na krześle, chwytając się oparcia. Niski głos świszczal w masce byka; musiałem pochylić się bliżej, by słyszeć. Bliski odór niemal mnie udusił, ale ukryłem to przed nim, pamiętając, co powiedział o niewolnikach.

- Nie powiedziałem jej. Już i tak widziała zbyt wiele zła. Lecz wiem, co to zwierzę z naszego rodu chce zrobić. Obieca Kreteńczykom kreteńskie królestwo, to już się zaczęło. Ale w kreteńskim królestwie może władać tylko z woli Pani. W starożytnych czasach, gdy panowali kreteńscy Minosowie, żenili się tak, jak to się dzieje w Egipcie.

Serce we mnie zamarło; zastygłem, kiedy zrozumiałem. Teraz rzeczywiście pojmo wałem, dlaczego wielki Minos przyjmował chłopca od byków rodem z kontynentu, bękartą z małego królestwa i ofiarowywał mu Boginię. Zrozumiałem też, dlaczego mówił o zabiciu syna jej matki. Odgadła to, bo widziała już zło.

Sprawiło to, że się zdecydowałem.

- Panie - powiedziałem. - Posłałem słowo do mojego ojca, że żyję, i poprosiłem, by przysłał do mnie okręty.

Wyprostował się w krześle.

- Co? Moja córka nic o tym nie powiedziała.

- To zbyt wielka rzecz - rzekłem - by obciążać nią dziewczynę.

Skinął złotą głową i usiadł w zamyśleniu.

- Czy otrzymałeś odpowiedź? Czy przyplyną?

Nabrałem oddechu, by przemówić. Wtedy zrozumiałem, że miałem zamiar odezwać się jak chłopiec. To spotkanie sprawiło, że lepiej poznałem sam siebie.

- Nie wiem. Mój ojciec nie ma tak wielu okrętów. Powiedziałem mu, by spróbował u Wielkiego Króla w Mykenach.

Jego głowa poruszyła się, jakby chcąc się mi przyjrzeć.

- Zapewne Wielki Król mógł mu powiedzieć: „Tezeusz jest twoim synem, lecz nie moim. On twierdzi, że Knossos można zdobyć, ale jest tancerzem byków, który znów chce zobaczyć ojczyznę. A co, jeśli pošlemy okręty i Minos je zatopi? Wtedy wszyscy będziemy niewolnikami”. Ojciec jest rozważnym człowiekiem i kiedy Wielki Król to powie, dostrzeże w tym sens.

Skinął ciężko głową.

- A teraz jest zbyt późno, by zimą znowu posyłać przez morze.

- Tak więc - powiedziałem - musimy ufać sami sobie. Jeśli Hellenowie przybędą, to tym lepiej.

Oparł się znowu na krzesło i zapytał:

- Co możesz zrobić?

- Są jeszcze tancerze byków. Wszyscy będą walczyć, nawet ci, którzy boją się zwierząt, nawet dziewczęta; będą walczyć ze względu na nadzieję na życie. Ja dam im broń tak szybko, jak zdołam. Mogę z nimi zająć Labirynt, jeśli otrzymamy pomoc z zewnątrz.

Sięgnął po jakieś papirusy obok siebie.

- Jest kilku ludzi, którym można zaufać. Odczytał parę imion.

- Dromeus już nie, panie - powiedziałem. - Ugiął się, widziałem go w Małym Pałacu.

Westchnął i odepchnął papiery, mówiąc:

- Wychowałem go od małego chłopca, kiedy umarł jego ojciec.

- Ale jest Perimos - rzekłem. - Pozostał wierny, a ma synów. Będzie wiedział, kto jeszcze jest pewny. Potrzebujemy dwu rzeczy: broni i kogoś, kto zjedna nam Kreteńczyków.

Rozmawialiśmy chwilę o rzeczach tego rodzaju. W końcu powiedział:

- Jakkolwiek zmęczone będę życiem, będę jednak żył do czasu, aż będziesz gotowy.

Przypomniałem sobie, jak źle o nim pomyślałem, ponieważ nie wrócił do boga, i było mi wstyd. Powiedział:

- Daj mi znać, jeśli dostaniesz wiadomość z Aten.

Odparłem, że to zrobię. Potem wyobraziłem sobie ojca wjeżdżającego przez Lwią Bramę i w górę stromą drogą od Wielkiego Domu w Mykenach. Ujrzałem go przy stole z Wielkim Królem. Ale nie mogłem wyobrazić sobie go w pokoju na piętrze, zagrzewającego króla do walki, sprawiającego, że niecierpliwi się, by spuścić na wodę wklęsłe okręty. Ojciec miał zawsze mnóstwo zgryzot i sprawiło to, że zestarzał się przed czasem. Zobaczyłem wzburzone ciemne morze, które przelewało się wokół Krety. Było puste.

- Z okrętami czy bez nich, mój panie - powiedziałem - poznamy właściwą porę, gdy nadejdzie. Jestem w ręku Posejdona.

Posłał mnie tutaj i mnie nie zawiedzie. Ześle mi znak.

Powiedziałem tak, by pocieszyć go w jego samotności. Wątpiłem, że pojawią się statki, chyba żebym sam przybył je sprowadzić. Ale bogowie nie śpią. Rzeczywiście i prawdziwie, Ciemnowłosy Posejdon mnie usłyszał.

8

Kilka nocy później Ariadna powiedziała mi:

- Jutro jest dzień, kiedy będę wydawała wyrocznie.
- Powinnaś się przespać - powiedziałem. Przyciągnąłem ją i pocałowałem w powieki. Była zbyt delikatna, pomyślałem, by znieść bez szkody boże szaleństwo.
- Niewiele Hellenów przychodzi. Tym powiem zwykle rzeczy. Lecz Kreteńczykom ogłoszę, że nadchodzi nowy Król Lata, by poślubić Boginię i pobłogosławić kraj. Kwitnący Hiakinthos na polu krwi. Zapamiętają to.

Byłem zdumiony i zapytałem ją:

- Lecz skąd wiesz, co Świąta powie przez ciebie, zanim jeszcze napiłaś się z pucharu i wciągnęłaś w nozdrza dym?
- Och - odpowiedziała - niewiele tego przelykam. Kręci się od tego w głowie, mówi się bzdury, a głowa boli potem tak, jakby miała pęknąć.

W sercu byłem wstrząśnięty, lecz nic nie powiedziałem. Jeśli było prawdą, że bóstwo już do nich nie mówiło, dziwne, że mogła opowiadać o tym bez płaczu. Ale pamiętałem, jak Kreteńczycy bawią się takimi sprawami jak dzieci. Więc tylko ucałowałem ją znowu.

- Sprawię, że utkwi im to w głowach - rzekła. – Pomaluję twarz na białą i pociągnę czerwoną kreską pod powiekami. Będę w chmurze dymu (nie ma dla nich różnicy, z czego się go zrobi) i będę wywracać oczyma i podrzucać ciałem. Kiedy skończę mówić, upadnę.

Nie spieszylem się z odpowiedzią. W końcu rzekłem:

- To kobieca tajemnica. Lecz moja matka powiedziała mi kiedyś, że kiedy jest w Wężowej Studni, jakie by nie było pytanie; coś, co każdy głupiec by wiedział bez niepokojenia bóstwa, zawsze zatrzymuje się przed odpowiedzią, i słucha na wypadek, gdyby Bogini tego zabroniła.

- Ja także robię pauzę - rzekła. - Porządnie mnie wszystkiego nauczono, tak dobrze, jak twoją matkę. Przerwa sprawia, że ludzie stają się uważni. Ale widzisz, Tezeuszu, Kreta nie jest taka jak kontynent. Mamy tu więcej ludzi, więcej miast, więcej spraw, które muszą się ze sobą zgodzić. Tylko w samym Pałacu pracuje czterdziestu urzędników. Każdego miesiąca wybuchałby chaos, jeśliby nikt nie wiedział, jakie będą wyrocznie.

Przejechała palcami od mych skroni przez włosy; poczułem, jak mówią:

- Kocham cię, mój barbarzyńco.

Powiedziałem sobie, że nie ma to znaczenia, że kiedy się ożeniemy, ja będę stawać pomiędzy bogiem a ludem. A jednak było mi przykro, że nie ma daru Słyszzenia; król, jak rzemieślnik, chce przekazać swe umiejętności synom.

Wkrótce było mniej czasu na myślenie, od tej pory byliśmy zajęci.

W starym magazynie archiwalnym pod Labiryntem spotkałem się z Perimosem i jego dwoma synami. Urzędem jego rodziny było zapisywanie wyroków Króla; tylko ludzie z jego rodu i ich najważniejsi pisarze używali kiedykolwiek tego miejsca. Zapisy były bardzo stare. Jeśli Minos pragnął znać precedens przed wydaniem wyroku, posyłał po Archiwistę. To starożytna tajemnica, dziedziczona z ojca na syna od jej twórcy, księcia o imieniu Radamantos.

Kiedy król był chory i Asterion zaczął wysłuchiwać pozwów sądowych, posłał po Perimosa, powiedział mu, jaki ma zamiar wydać wyrok i poprosił o precedens, by dać mu podstawę. Kiedy Perimos przyniósł mu zamiast tego dziewięć oczywistych wyroków za przeciwną stronę, powiedział mu krótko, by sprawdził raz jeszcze. Archiwista nie powiedział nic; zamknął się wśród zapisków, szukając, aż czas upłynął i Asterion musiał sam dokonać niesprawiedliwości.

Lecz wszyscy wiedzieli, że odtąd tylko wygląda sposobności, a Perimos nie chciał czekać.

Miał około pięćdziesięciu lat, z brwiami jak szczotki i brodą w czarnych i szarych pasmach, z dzikimi okrągłymi oczyma sowy siedzącej na spróchniałym drzewie. Było mi przykro ze względu na niego; porozumiałby się dobrze z moim dziadkiem. Sprzeciwiało się jego naturze spiskowanie w piwnicy z wymalowanymi tancerzami byków. Zawsze musiałem opuszczać Salę Byka wystrojony jak na ucztę czy schadzkę, inaczej ludzie zaczęliby się zastanawiać. Jednak nie zapomniałem tego, czego nauczyłem się w sali sądów u dziadka, u ojca i w mojej własnej; po pewnym czasie zapomniał o moim ubiorze. Jego synowie wydawali się ludźmi honoru; starszy miał raczej wygląd urzędnika, zaś młodszy był jednym z wojskowych dowódców w Pałacu. Wyglądał jak typowy Kreteńczyk, z długimi kędziorami i o talii jak wierzba, lecz miał w sobie energię wojownika. Powiedział, że możemy liczyć mniej więcej na jednego z trzech ze Straży Królewskiej, tych, którzy szanowali przysięgę służby, i tych, którzy nienawidzili Asteriona. Był to również czas, jak pomyślałem, by przyspieszyć sprawy w Sali Byka.

Zaufałem Żurawiom na samym początku. Ale wkrótce musieliśmy wyjść poza nich, rozglądałem się za innym liderem zespołu, na którym mógłbym polegać. Wybrałem dziewczynę o imieniu Talestris, Sarmatkę. Sarmackie kobiety mają wiele obyczajów Amazonek, służąc zbrojnie Księżycowej Dziewicy i walcząc na wojnach u boku mężczyzn. Kiedy przybyła, wyglądała bardzo cudzoziemsko, ubrana w pikowaną kurtkę i spodnie z jeleniej skóry, pachnąc zsiadłym kozim mlekiem. Jej kraj leży w ojczyźnie wiatru północno-wschodniego, za Kaukazem. Ludzie przebijają się tam tylko raz do roku. Ale rozebrana i umyta była piękną dziewczyną, nieco zbyt męską do łóżka, lecz ze wszystkimi urokami skaczącej przez byki. Była też odważna: od pierwszego dnia spoglądała na mnie z zazdrością.

Jako że podobał mi się jej zapal, nauczyłem ją, czego mogłem, a kiedy została liderem Gryfów, przyszła znowu po radę. Ostrzegłem ją przed obawiającym się byków chłopcem, który nie przyniósłby

im pożytku; kiedy wydali go bykom i znaleźli kogoś lepszego, związała ich przysięgą podobną do naszej, i przez więcej niż dwa miesiące nikt nie zginął. Tak więc ludzie przyzwyczaili się do tego, że rozmawiamy. Powiedziałem jej wszystko, prócz tego, że byłem kochankiem Pani Labiryntu. Talestris lubiła dziewczęta; ale jak odkryłem, żadna kobieta nie lubi słyszeć, jak ktoś się rozwodzi nad inną.

Kiedy usłyszała o naszym planie, zrobiła salto w tył, bo ciągle była dzikuską. Ale nie była głupia. Po tym, jak przez chwilę trajkotała o swojej górskiej ojczyźnie i przyjaciółach, których teraz miała nadzieję znowu zobaczyć, poprosiła mnie, bym zdobył dla niej łuk, ponieważ była to jej ulubiona broń. Powiedziałem, że spróbuję; byliśmy teraz w kontakcie z lojalną częścią Straży i nowe rzeczy znoszono do składu na broń ze zbrojowni na górze. Poprosiła, bym pozwolił jej powiedzieć to Gryfom, mówiąc, że nie mają przed sobą tajemnic. Ponieważ uznałem, że to dobrze o nich świadczyło, dałem jej moje pozwolenie. W niedługim czasie wiedziały już wszystkie zespoły, które związały się przysięgą braterstwa. Co do innych, wiedziałem, że będą walczyć, kiedy czas nadejdzie, ale nie mogłem mieć pewności co do ich języków.

Tak więc zaczyn zaczynał cicho działać w cieście; nie było to szaleństwo. Tajemnicę dzielili ludzie, których nici życia były mocno związane; zawieść zespół znaczyło spotkać się z bykiem przy najbliższej okazji. Można było to zobaczyć tylko w ich oczach, jeśli się już wiedziało.

Zaczęliśmy znosić broń do Sali Byka. Amyntor i ja pokazaliśmy innym chłopcom z naszej drużyny i trzem czy czterem liderom zespołów drogę na dół, przez skład lamp. Nasi przyjaciele ze Straży pozostawili broń pod nim. Było zimno, mieliśmy więc płaszcze, w których mogliśmy ukrywać rzeczy, mimo że musieliśmy przyciąć drzewca włóczni i oszczepów. Kreteńskie łuki są krótkie i mają odpowiednią wagę dla kobiet. Dziewczęta ukryły wszystko to i wiele strzał we wnękach i dziurach pod podłogą.

Ariadna ogłosiła Kreteńczykom swe wyrocznie. Powiedziała mi, pełna dumy, jak mówiła urywanymi zdaniem, niezbyt jasno, ale też

niezbyt ciemno; jak przewracała oczami i padła wśród bezzębnych węży, i budząc się oszalomiona, pytała, co przepowiedziała. Teraz, rzekła, posłała starą kobietę, której mogła ufać, by szeptala i roznosiła plotki, i przypominała o pierścieniu na nadbrzeżu. Wkrótce miał nadejść czas, by wysłać słowo do wodzów i naczelników.

Wiosna przychodzi na Krecie wcześniej. Malowane wazy w pokojach Pałacu napełniły się żonkilami i bukietami kwiatów migdałowca; młodzieńcy ozdabiali włosy fiołkami, a damy stroiły swoje figurki chłopców, które będą pieścić aż do letniego przesilenia, a potem zawieszą na owocowych drzewkach, ponieważ ofiary stanowią dla nich zabawę, jak zresztą wszystko inne. Słońce świeciło ciepło, śnieg cofał się coraz wyżej ku wierzchołkom gór, a w ciszy, zanim zaczął wiać południowy wiatr, morze było spokojne i łagodne.

Chodziłem na uczty pałacowych dworzan i czasami pojawiali się tam żonglerzy, tancerze lub dziewczyna z oswojonymi ptakami, albo śpiewak zza morza. Kiedy tylko mogłem, zbliżałem się do nich, dawałem im usłyszeć swe imię i grecką mowę. Ale żadna wiadomość z Aten nie nadeszła.

Dni mijały i płatki kwiatów migdałowca z malowanych waz zasłaniały kolorowe mozaiki. Naczelnik z królewskiego rodu posiadający ziemię w pobliżu Fajstos, której nie chciał sprzedać, gdy poprosił go Asterion, zmarł nagle od dziwnej choroby; jego dziedzic złąkł się i sprzedał posiadłość. Rodowici Kreteńczycy szeptali po kątach i opowiadali długie historie o dawnych czasach. W Sali Byka głowy tancerzy ciągle się skupiały, jak to zwykle u nich bywa, bo zawsze pełno tu plotek i intryg. Ale jeśli się posłuchało, okazywało się, że mówili o swych domach i rodzinach. Byli jak zamarznięty strumień, który topi się na wiosnę. Dni mijały. Pewnej nocy usłyszałem dźwięk wznoszącej się wichury, gwiżdżącej nad rogatymi dachami i przez dziedzińce Labiryntu. To wiał południowy wiatr, który zamyka kreteńskie wody przed statkami z północy.

Leżałem na plecach z szeroko otwartymi oczyma, słuchając. W końcu zbliżył się do mnie ciemny kształt. Po zgaszeniu lamp zawsze

ktoś się skradał w Sali Byka. Ale to był Amyntor. Pochylił się nade mną i powiedział:

- Pojawił się wcześniej tego roku. Kreteńczycy mówią, że pół miesiąca za wcześniej. To moja, Tezeuszu, nikt nic nie może na to poradzić. Musimy dać sobie radę z tym, co mamy.

- Tak, poradzimy sobie - rzekłem. - Może brat Helike nie dotarł do Aten - Kreteńczycy wypatrywali wiatru już od tygodnia. Ale Amyntor walczył pod moją komendą na Przesmyku i w Attyce i chciał, bym zachował twarz.

Następnego dnia w Sali Byka Talestris złapała mnie w jakimś kącie:

- O co chodzi, Tezeuszu? Wyglądasz na przybitego. Nikt nie myśli o tobie gorzej, ponieważ wieje wiatr. To była dobra opowieść wojownika, te helleńskie okręty; zagrzewała nas, kiedy się przygotowywaliśmy. Teraz jej nie potrzebujemy - klepnęła mnie w ramię jak chłopiec i odeszła. Ale wyczuwałem cień nad Salą Byka, tak jak i ona.

Poszedłem powoli na następne spotkanie w piwnicach archiwum. Lecz stary Perimos tylko skinął z ponurym uśmiechem, jakby wygrał zakład. Był to prawnik, jak się to nazywa na Krecie; do natury ich zawodu należy zawsze spodziewać się najgorszego. Co do mnie, było mi łatwo z nim rozmawiać, bo nie obiecałem mu niczego.

W końcu powiedział:

- Mój syn ma plan. Mimo że jest ryzykancki, może się powieść, skoro brakuje lepszego - jego głos był gorzki, ale zobaczyłem w jego oczach zarówno dumę, jak i zmartwienie.

Jego syn-wojownik, który miał na imię Alektryon, wystąpił naprzód, wyglądając wśród zakurzonych pólek i sfatygowanych pergaminów jak zimorodek na martwym drzewie. Przyćmione światło lampy lśniło na jego naszyjniku z różanych kryształów i naramiennikach z inkrustowanego brązu; jego spódniczka była wyszywana lśniącymi zielonymi żukami, które w Egipcie suszy się i używa jako klejnotów. Rozsiewał zapach hiacyntów. Powiedział, że jeśli jeden z przywódców stronnictwa Asteriona umarłby, wszyscy poszliby na

pogrzeb i moglibyśmy zająć Labirynt, kiedy znajdowaliby się poza nim.

- Dobrze pomyślane - rzekłem - czy ktoś jest chory?

Zaśmiał się, pokazując białe zęby. Istnieje żywica, zwana mastyksem, którą kreteńskie ślicznotki żują, by wybielić zęby.

- Tak, Foitios jest chory, choć jeszcze o tym nie wie.

Był to dowódca straży przybocznej Asteriona; wielki mężczyzna z postawą Hellena i nosem złamanym podczas walki pięściarskiej. Podniosłem brwi i zapytałem:

- Jak to się może stać?

- Och, bardzo dba o zdrowie. Jedyny sposób to otwarte działanie. Spowoduję, że będzie ze mną walczył. Myślę, że wybierze włócznię.

Było dla mnie nowością, że śmiertelne obrazy ciągle znane były na Krecie; ale pomyślałem sobie, że mam do czynienia z człowiekiem, na którego utratę niemal nie możemy sobie pozwolić. Nic nie mogłem powiedzieć, widząc, że jest ode mnie starszy o pięć lat.

- Kiedy to się stanie?

- Jeszcze nie wiem: muszę znaleźć prawdopodobną przyczynę kłótni, bo zgadnie, że coś się za tym kryje. Trzymaj więc ludzi w gotowości.

Powiedziałem, że tak zrobię, i rozeszliśmy się, on z ojcem do schodów, których używali, a ja w górę do sanktuarium. Nigdy się nie odprowadzaliśmy. Nawet nasi przyjaciele wśród dworzan nie wiedzieli o tym miejscu spotkań, wszystko zależało od utrzymania sekretu tych podziemi.

Poszedłem do świątynnego pokoiku Ariadny i opowiedziałem wieści. Ariadna odrzekła, że cieszy się, iż to nie ja mam walczyć z Foitiosesem; jest trudnym przeciwnikiem do pokonania. Potem zapytała, gdzie ma się odbyć walka, ponieważ musiała ją widzieć. Powiedziałem, że nie wiem i już więcej nie rozmawialiśmy; z tymi wszystkimi sprawami na głowie zawsze brakowało nam czasu na miłość. Przy rozstaniu mówiliśmy sobie, jak po naszym ślubie będziemy leżeć, aż słońce stanie wysoko nad górami. Następną noc miała być postem przed tańcem byków.

Lecz następnego wieczoru, po kolacji, usłyszałem śmiech u wrót Sali Byka i brzęk złota. Nie było tanio wkupić tu sobie drogę po zmierzchu. Do środka wszedł Alektryon, zwinnie i lśniący, ze spódniczką wyszywaną perłowymi płytkami i jaśminem utkanym we włosach. Miał naszyjnik z pasiastego sardonyksu i pas ze skóry koźłej pokryty płatkami złota. Przeszedł niespiesznie między tancerzami, flirtując tu i ówdzie z młodymi ludźmi, rozmawiając o stawkach i najnowszym byku, jak każdy młodzieniec, który interesuje się areną. Lecz dostrzegłem, że szuka mnie spojrzeniem, i zbliżyłem się do niego.

- Tezeuszu! - powiedział, patrząc na mnie z wyrzutem i zarzucając włosami. - Przysięgam, że jesteś najbardziej kapryśnym z ludzi! Zapomniałeś o mojej uczcie i jadłeś w Sali Byka! Masz kryształ zamiast serca. Cóż, ale i tak ci przebaczę, jeśli pójdziesz teraz posłuchać muzyki. Lecz pospiesz się; nalewają już wino!

Poprosiłem go o wybaczenie i powiedziałem, że przyjdę. „Nalewają wino” było uzgodnionym między nami sygnałem, oznaczającym sprawę niecierpiącą zwłoki.

Wyszliśmy na Wielki Dziedziniec, który - ponieważ nie było jeszcze późno - oświetlony był lampami. Wciąż mijali nas ludzie z pochodniami. Spotkał moje spojrzenie, potem oparł się o kolumnę w kreteńskiej pozie. Kiedy ktoś przechodził, powiedział:

- Jak możesz być tak okrutny? - złapał palcem mój naszyjnik i przyciągnął mnie bliżej. Wtedy powiedział miękko:

- Minos po ciebie posyła. Droga oznaczona jest jak poprzednio. Musisz iść sam.

Powiedział to, jakby nauczył się tego na pamięć. Ale nigdy nie dostałem wiadomości od króla, chyba że przez Boginię. Spojrzałem na niego, starając się odczytać jego myśli. Jego kreteński wygląd, strojenie się i fircykowate zachowania sprawiły, że wydał mi się niepewny, kiedy zacząłem się zastanawiać. Nic nie wiedziałem o jego poważaniu wśród wojowników. Moje oczy spotkały jego. Wziął mnie za ramię; uścisk był czuły z wyglądu, lecz silny i twardy.

- Mam dla ciebie znak. Uważaj, przyjmij to jak podarunek od kochanka - otworzył dłoń, mówiąc: - Mam ci powiedzieć, że został oczyszczony w ogniu - a potem, gdy ktoś przechodził obok nas:

- Noś to, mój drogi, i myśl o mnie.

Pierścień na jego dłoni zrobiony był z bladego złota, bardzo stary i ciężki. Rzeźbiony był w starożytnym stylu, spiczastym i sztywnym, ale wytarty symbol wciąż dało się rozpoznać: byk od ramion, człowiek poniżej.

Włożył go na moją rękę. Pod jego ostrzegawczym spojrzeniem uśmiechnąłem się, przyglądając się swojej dłoni. Widziałem go wcześniej. Oparłem się więc na jego ramieniu, jak robią to kreteńscy młodzieńcy i szepnąłem:

- To wystarczy. Czego chce?

Objął mnie ramieniem i rzekł:

- Nie powiedział mi. To coś ważnego.

Potem spojrzał nad moim ramieniem i mruknął pospiesznie:

- Jeden z ludzi Asteriona. Nie może się wydawać, że za dobrze nam razem. Szybko, odepchnij mnie.

Strząsnąłem jego rękę z siebie z fałszywą skromnością i odszedłem. Mimo że czułem się jak głupiec, już w niego nie wątpiłem.

W podziemiach znalazłem przywiązaną drugą nić i glinianą ślepa latarnię. Nigdy nie szedłem tędy sam. Jest naturalne, że kiedy się idzie z dziewczyną, oczekuje się od siebie śmiałości; lecz teraz te starożytne płataniny korytarzy wydały mi się niesamowite i fantastyczne, nawiedzane, jak się zdawało, przez umarłych zmiążdżonych tutaj, gdy gniewał się Ziemostrzęzca. Nietoperze, które przyleciały szamotać się wokół światła, były jak dusze trzymane po tej stronie Rzeki. Gdy w końcu dotarłem do Strażnika Progu, spoglądającego na mnie spod rozpadającego się hełmu pustymi studniami oczodołów, było to jak spotkanie starego znajomego. Wiedziałem, kim jest, i że należał do boga. Uczyniłem znak przebłagania i wydało mi się, że mówi do mnie:

- Przechodź, przyjacielu.

Kiedy dotarłem do drzwi powyżej, zgasilem latarnię i stanąłem w milczeniu, słuchając. Na schodach nie było nikogo. Zamknąłem

drzwi za sobą i zobaczyłem (tej nocy księżyc był na niebie), że zamykały się w równej linii ze ścianą i ukrywało je malowidło. Był tam mały otwór, przez który można było włożyć palec i otworzyć zasuwkę. Białe światło księżyca padało na schody przede mną, ale wysoki tron spowijała ciemność. Przeszedłem cicho przez salę i zobaczyłem słabe światło wydobywające się ze szpary pod drzwiami. Kiedy podszedłem do nich, poczułem zapach kadzidel. Postukałem więc w płytę drzwi i jego głos poprosił, bym wszedł.

Siedział na swym krześle z wysokim oparciem, jak poprzednio w masce, z rękami położonymi na kolanach. A jednak nie było tak samo. Pokój został oczyszczony z nieporządku. Kadzidło płonęło przed stojakiem, na którym umieszczono jakiś symbol czy wizerunek. W królu również wyczuwało się coś nowego: spokój i władzę.

Dotknąłem piersi w geście pozdrowienia i powiedziałem cicho:

- Panie, jestem tutaj.

Skinął na mnie, bym stanął przed nim, gdzie mógł mnie zobaczyć przez maskę. Czekałem. Powietrze było duszne i cuchnące, dym gryzł mnie w oczy. Powieki miałem ciężkie od potrzeby snu; pamiętałem, że jutro miałem taniec byków.

- Tezeuszu - rzekł. Jego stłumiony głos brzmiał czyściej niż poprzednio i głębiej. - Nadszedł już czas. Czy jesteś gotów?

Byłem zakłopotany, zastanawiając się, co nie udało się w naszych planach.

- Jesteśmy gotowi, panie, jeśli jest taka potrzeba. Lecz dzień pogrzebu byłby bardziej odpowiedni.

- Dzień jest właściwy i rytuał również - odparł. - Ale zwierzę ofiarne nie wystarczy. Czegoś się od nas oczekuje, Pasterzu Aten: ode mnie, bym to poniósł, od ciebie, byś tego dokonał - wskazał swoją nagą prawą dłoń stojak przesłonięty przez dym. Zobaczyłem święty przedmiot, który się tam znajdował. Był to obustronny topór, umieszczony pionowo na stylisku w wypolerowanym kamieniu.

Stałem w bezruchu. Nie pomyślałem o tak czcigodnej rzeczy jak ta.

- Bogowie mogą zesłać znak - powiedział - kiedy nasze uszy już ich nie słyszą. Posłali dziecko, by mnie prowadziło.

Przez chwilę zastanawiałem się, kogo może mieć na myśli. Lecz mimo że Alektryon miał dwadzieścia trzy lata, znał go pewnie od urodzenia.

Wypukłe kryształy maski zwróciły się w moją stronę. Spojrzałem na topór opleciony kłębami błękitnego dymu. To, o co prosił, było stosowne i dobre pod każdym względem. A jednak moja ręka się opierała. Nie było to Eleusis, gdzie walczyłem z silnym mężczyzną o swoje życie. Poczulem, że drzę mimo duchoty. Pomyślałem: „Ma tyle lat, że mógłby być moim ojcem”.

- Przez te dwa lata - powiedział - z każdym wciągany oddechem karmiłem swego wroga. Żyłem tylko po to, by chronić przed nim córkę. Nikt z Królewskiego Rodu nie odważył się o nią oświadczyć; nikt nie odważył się stanąć między nim a Tronem Gryfów. Teraz znalazłem takiego człowieka, dlaczego więc dawać mu choć jeden dzień dłużej? Dbaj o nią. Ma w sobie krew matki, ale jej serce będzie trzymać ją w ryzach.

Wstał. Był ode mnie wyższy o pół głowy.

- Chodź - powiedział. Usłyszałem cichy śmiech pod maską; sprawił, że wzdygnąłem się jak od nietoperzy w podziemiach poniżej. - Miał dobrą passę, nasz długorogi Minotaur. Ale nie zostanie Minosem, dopóki kapłani nie zobaczą mego ciała. A oni wiedzą, kto kontroluje Straż. Chciałbym zobaczyć jego twarz, gdy wina za przełaną krew zostanie mu przypisana. Dalej, Tezeuszu, nie ma powodu, by zwlekać. Masz już pierścień. Labrys czeka, weź ją z podstawy.

Podszedłem do wygładzonego stojaka. Topór miał kształt podobny do tego, który używa się na arenie. Jego trzonek był z brązu, ozdobiony wizerunkami węzów; lecz kiedy spojrzałem na głowicę, zobaczyłem, że była z kamienia. Krawędzie miała ręcznie łupane i polerowane, środek przewiercony, by wpuścić stylisko. Wtedy podniosłem pięść w geście hołdu, wiedząc, że była to sama Labrys-Matka,

strażniczka rodu od jego początków.

- Dwieście lat upłynęło, odkąd ostatnio zabiła króla, ale będzie pamiętać. Od tak dawna ćwiczysz się w tym rzemiośle, że niemal mogłaby poradzić sobie sama.

Podniosłem ją z jej łoża. Czarne cienie trzepotały wokół mnie, jak pikujące kruki. Odrzekłem:

- Jeśli bóg tak mówi. Jesteśmy tylko stróżującymi psami, które zostają lub idą, gdy bóg woła po imieniu. Lecz sprzeciwia się temu me serce.

- Jesteś młody - odpowiedział. - Niech cię to nie trapi. Wyzwalasz mnie z mego więzienia.

Zważyłem topór w dłoni; był dobrze wyważony.

- Przemów za mną - rzekłem - na drugim brzegu Rzeki, kiedy Mścicielki spytają, z czyjej ręki zginąłeś. Jeśli przeżyję, dopilnuję, żebyś miał godny grób ze wszystkim należnym królowi; nie będziesz chodził głodny lub obdarty podziemnymi ścieżkami ciemności.

- Polecę cię tam jak własnego syna, jeśli będziesz dobry dla mego dziecka - odparł. - Inaczej będę domagał się zadośćuczynienia.

- Nie lękaj się - powiedziałem. - Jest dla mnie droga jak życie.

Ukląkł przed wizerunkiem Matki Ziemi i odwrócił się plecami; potem zdjął maskę i położył ją przed sobą. Czarne włosy przetykane były szerokimi pasmami siwizny, a jego kark ukazywał się pod nimi jak kora martwego drzewa.

Zapytał, nie odwracając się:

- Masz miejsce? - podniosłem topór i rzekłem:

- Tak, przy moim wzroście wystarczy miejsca.

- Zrób to więc, gdy wezwę Matkę.

Przez chwilę milczał, potem krzyknął głośno do niej w starożytnym języku i skłonił głowę. Moja ręka ciągle była niechętna, lecz ze względu na jego honor nie powinienem dawać mu czekać. Opuściłem więc topór, który spadł mocno, idąc z moim ramieniem, jak gdyby wiedział, co ma robić. Jego głowa zwiesiła się, a ciało upadło u moich stóp. Cofnąłem się przed z mimowolnym dreszczem. Lecz kiedy odłożyłem Labrys, by oblizła pysk po długim poście, odwróciłem

się do niego znowu i pozdrowiłem jego cień u początku pośmiertnej podróży. Głowa leżała zwrócona w moją stronę i mimo że znajdowała się w cieniu, to, co zobaczyłem, sprawiło, że wstrzymałem oddech. Nie była to twarz człowieka, lecz lwa.

Przebiegłem przez zasłonę i stanąłem dysząc w świeżym, nocnym powietrzu. Moimi kończynami wstrząsały dreszcze, ręce miałem zimne. Lecz po chwili, kiedy mogłem pomyśleć, byłem zadowolony ze względu na niego. Zrozumiałem, że bogowie przyznali mi znak honoru, skoro uczynił ofiarę dla swojego ludu. W ten sposób mogą znowu zwrócić się w końcu do tych ludzi, po długim milczeniu; po tym, jak krew i śmierć, i gorzki żal za to, czego nie można cofnąć, zatkał uszy słuchających mocniej niż kurz. Mogą to zrobić u samego końca, nawet ze mną.

Plama księżycowego światła rozjaśniła zwieńczenie podziemnej kaplicy. Rozejrzałem się wokół i zobaczyłem naprzeciw ściany wysoki, biały tron Minosa, z ławkami dla kapłanów po obu stronach i z wymalowanymi na ścianach strzegącymi go gryfami na polu lilii. Sowa zahukała i gdzieś w pałacu rozplakało się niemowlę, aż uspokoiła je matka. Potem zapadła cisza.

Było tu niebezpiecznie i powinienem był już pójść, lecz miejsce wydało mi się dostępne tylko dla mnie i dla pilnujących je bogów, a także dla ducha czekającego na przewiezienie na wybrzeże westchnień. Wydawało się nie na miejscu po tym, co się stało, bym wymykał się ukradkiem jak złodziej. Poczułem, że mnie widział. Przeszedłem więc malowaną podłogę i usiadłem na tronie Minosa, kładąc dłonie płasko na kolanach, a głowę opierając o jego oparcie, siedząc prosto i myśląc. W końcu usłyszałem za drzwiami głosy Straży przygotowującej się do zmiany warty. Wstałem więc cicho i przeszedłem przez czarny labirynt, kierowany przez nic.

Zbudziłem się z ciężką głową, kiedy wszystkie zespoły były już na nogach. Gdy wziąłem, ziewając, swoje śniadanie, zobaczyłem, że Amyntor spogląda na mnie spod oka. W końcu zapytał mnie, jak spałem.

Nie przywykłem słuchać wymówek od Amyntora. Ale przypomniałem sobie, w jaki sposób wyszedłem poprzedniego wieczora, i że był Eleuzyjczykiem.

- Głupku - powiedziałem - myślisz, że wybrałem się na zaloty? Posłano po mnie. Minos umiera. W tej chwili pewnie jest już martwy.

Najlepiej było, ze względu na niego samego, żeby nie wiedział więcej.

- Martwy? - spytał. Rozejrzał się: - Jeszcze nie, słuchaj: nikt nie lamentuje.

Była to prawda. Po tym, jak misterium dokonało się w milczeniu i ciemności nocy, zapomniałem, by oczekiwać na zgiełk.

Nie było wątpliwości, że zadałem śmiertelny cios. Labrys rozłupała mu czaszkę.

- Cóż, szybko odchodzi. Wiem to na pewno.

„Ktoś musiał go już do tej chwili odnaleźć” - myślałem.

- Dobrze - rzekł Amyntor. - To z pewnością postawi tu wszystko na głowie. Ale teraz mamy taniec; lepiej się prześpij.

- Nie jestem zmęczony - odparłem, żeby nie marudził.

Zawsze starał się być moją niańką. - Prócz tego, nie złączą tańca, skoro Król leży nieopogrzebany.

- Nie dziel skóry na niedźwiedziu - powiedział Amyntor.

Był najpochoptionszym z Kompanów, zanim przybył na Krete. Dopiero funkcja łapacza nauczyła go spokoju.

Wróciłem na posłanie, by dał mi już spokój, prosząc go, by nie mówił nic innym. Tylko by to ich podnieciło, co mogło zostać zauważone. Zamknąłem oczy, lecz za nimi byłem zupełnie rozbudzony, nasłuchując okrzyków obwieszczających śmierć króla. Raz i

drugi widziałem spod przymkniętych powiek któregoś z Żurawi podchodzących na palcach, by na mnie spojrzeć. Bali się, żebym nie zawiódł na arenie, tak blisko chwili wyzwolenia. Wydawało się, że mijają godziny. Stałem się zbyt niespokojny, by leżeć w bezruchu, i wstałem znowu. Zrobiło się południe i przyniesiono nam jedzenie. Żurawie jadły z umiarem, jak trzeba robić przed tańcem. Odpoczywaliśmy godzinę, grając w kości, potem usłyszeliśmy piszczalki i bębny; nadszedł czas, by wychodzić.

Świeciło słońce. Czuć było w powietrzu ciepłym piaskiem areny i cierpkimi wiosennymi liśćmi. Dotknęliśmy na szczęście ołtarza Wszystkich Bogów, przy bramie tancerzy. Wokół siedziały święte kaleki - tancerze byków, którzy zesli z areny na własnych nogach lecz poranieni, i nie mogli już więcej tańczyć. Niektórzy z nich byli łysymi dziadkami lub staruchami, które siedziały tu przez pięćdziesiąt lat. Drapali się i trajkotali w słońcu, grożąc, że rzucą na nas przekleństwo, jeśli nie damy im jałmużny. Wkładaliśmy podarunki do ich misek, słuchając muzyki i rozgrzewając ciała przed tańcem.

Piasek był gorący od słońca. Z kobiecych rzędów unosił się szum i chichoty, hazardziści wykrzykiwali stawki. Podeszliśmy pod świątynię. Spojrzałem, próbując wyczytać w jej twarzy, czy wiedziała, co się stało. Ale przez jej obrzędowy makijaż nie można było dojrzeć niczego.

Rozbiegliśmy się i utworzyliśmy krąg na arenie, a ja zająłem miejsce naprzeciw bramy byków. Zanim została podniesiona, usłyszeliśmy zza niej ryczenie. Wyczułem, że wokół Żurawie nadstawiają uszu jak ogary. Podobnie było ze mną. Już po samym dźwięku można było poznać, że coś nie jest w porządku.

Zagrzechotały łańcuchy przy bramie. Przygotowałem się, by mu się przyjrzeć, kiedy przystanie, by rozglądając się po arenie. W swoje złe dni wychodził z głową nisko zwieszoną i stawał, wierząc w ziemi przednimi kopytami. Brama podniosła się z brzękiem, a ja wyciągnąłem ramię w jego stronę, w pozdrowieniu lidera zespołu. Wydaje mi się, że wciąż miałem podniesioną dłoń, kiedy runął na mnie. Nie rozglądając się na prawo czy lewo, bez chwili dla nabrania

tchu, wystrzelił prosto z bramy byków i popędził przez arenę, jak odyniec wypadający z zarośli, jak oszczep ciśnięty prosto w moje serce.

Umysł z braku snu pracował powoli, lecz moje ciało myślało zamiast mnie. Rzuciłem się w bok, jego róg uderzył w przelocie moje udo i rzucił mnie na ziemię. Przetoczyłem się w bok i zerwałem na nogi, plując ziemią i próbując mruganiem usunąć ją z oczu. Gorąca krew spływała mi z nogi. Słysząc było wrzask, jakby gwałcono na raz wszystkie kobiety na trybunach.

Zrzuciłem włosy z oczu. Hippon jechał na czole byka, trzymając się jak małpa gałęzi podczas huraganu, podczas gdy Amyntor i Menestes mocowali się z jego rogami. Nie mogło to długo trwać. Miał przekrwione oczy, a z pyska płynęła mu żółta piana; rzucał się, jakby się wściekł. Spojrzałem na zamieszanie przy jego głowie; zupełnie mi się to nie podobało. Można było zrobić tylko jedno. Kiedy się na moment wyprostował, chwyciłem go za koniuszki rogów i wyrzuciłem się łukiem ponad całą trójką, lądując na jego karku. Skręciłem się i usiadłem na nim okrakiem, trzymając się rogów tuż przy łbie i waląc piętami w jego podgardle. Odwróciło to jego uwagę od innych i udało im się wycofać. Zaczął szarżować ze mną na swoim boku, prędko jak wojenny rydwan. Słysząc było zgiełk podobny do bitewnego i usłyszałem, jak dziesięć tysięcy otwartych gardeł ryczy:

- Tezeusz! Tezeusz!

Spojrzałem przez włosy i zobaczyłem Amyntora prze dzierającą się w pobliże byka, pragnącego mnie chwycić, kiedy się spadnę. Wszystkie Żurawie krążyły w pobliżu. Nie był dla nich gotowy; mimo że czułem się niemal w kawałkach, nie mogłem go jeszcze zostawić.

- Zróbcie przejście! - krzyknąłem. - Pozwólcie mi na nim jechać!

Zacisnąłem stopy pod jego gardłem, próbując ścisnąć mu tchawicę i spowolnić go utratą tchu.

Zaszarżował przed siebie, rzucając się i podskakując, aż wydało mi się, że wszystkie zęby rozchwiały mi się w dziąsłach. Żurawie po raz pierwszy zlekcewały mój rozkaz.

Przepychali się wokół. Kiedy Herakles zawahał się na moment, zobaczyłem Melanto i Chryse ciągnące się za jego rogami; potem nagle zniknęły, nie spostrzegłem gdzie. Strzępki piany padały na moją twarz i ramiona, w nozdrzach czułem dziwny ostry zapach.

Krzyczące twarze zbliżały się. Zmierzał do barierki. Teraz musiałem go zostawić, inaczej by mnie zmiażdżył. Puściłem rogi; Amyntor przez cały ten czas był gotowy w pobliżu. Kiedy mnie złapał i postawił na ziemi, wiedziałem, że już po mnie, że będę jak ranny w skrzydło ptak, gdy byk po mnie przyjdzie. Amyntor też był zupełnie wyczerpany, słyszałem jego urywane dyszenie. Żurawie się zbliżały, ale były wolne i bez tchu, ponieważ zrobiły więcej, niż do nich należało. Czekałem, aż Herakles zawróci u ogrodzenia i zaszarżuje.

Zamiast tego usłyszałem wielki łomot, trzask i wrzaski. Uderzył wprost w ogrodzenie.

Zrobiono je z drzewa cedrowego o grubości ramienia, ale zdołał nim wstrząsnąć. Spadł na niego deszcz orzechów, słodczy i wachlarzy, a nawet pokojowy piesek. Jeden jego róg wbił się w nie głęboko, lecz uwolnił go i odwrócił się. Co do mnie, cała arena wirowała mi niespiesznie przed oczami. Wiedziałem tylko o jednym: zostałem raniony; jeżeli upadnę, moja krew należeć będzie do Matki.

Stałem dysząc i zataczając się. Obok mnie Amyntor zaklinał mnie wyzwiskami, minyańskimi czułymi słówkami i wzywaniem bogów. Nie wolno podtrzymywać ofiary. Byk zbliżył się. Wydawał się powolny jak we śnie. Pomyślałem, że muszę być oszołomiony. Wydawał się nadchodzić przez wieczność. Jego wielkie ślepia, wybałuszone i krwawo podbiegnięte, spojrzały w moje oczy. Zebrałem resztki sił, patrząc, z której strony we mnie uderzy. Jego głowa zniżyła się. Nagle pochylił się i dotknął piasku. Przednie nogi zwierzęcia zgięły się. Przewrócił się na bok jak rozbity statek i legł w pyłe.

Zapadła cisza, a potem podobny do fali rozległ się odgłos podziwu i zdumienia. Potem rozpoczęły się wiwaty.

Mój wzrok się rozjaśnił, mimo że czułem się słaby i chory. Spostrzegłem, że moja rana, mimo że krwawa, nie

była głęboka. Arena stała się jak ogród, bo ludzie wrzucali tu wszystko, co ze sobą mieli, wachlarze, szale, korale i kwiaty. Żurawie zebrały się wokół mnie, brudne, podrapane i potłuczone, z kurzem we włosach i smugami potu na czarnych od pyłu twarzach. Formion kulał; Chryse zawdzięczała mu życie, jak powiedziała mi potem. Kiedy podeszła, trzymając Melanto za rękę, zobaczyłem, że jej twarz była rozorana wzdłuż kości policzkowej, tak że spływała krew. Już nigdy nie będzie doskonałą lilią, która wypłynęła z Aten. Helike żartowała z Tebe. Jak się zdarza także na wojnie, przełamała się i zgubiła lek wtedy właśnie, gdy był uzasadniony. Amyntor uśmiechał się głupio z osłabienia. Mój uśmiech był również słaby i bez wątpienia nie mniej głupi. Telamon zaofiarował mi ramię, ale machnąłem, by dał spokój. Moja dziewczyna w świątyni była wystarczająco wystraszona; przynajmniej teraz mogłem pozdrowić ją o własnych siłach.

Stała sztywno wyprostowana na podium. Jej makijaż odstawał jak u lalki, ale przeprowadziła rytuał bezbłędnie. Byłem dumny, że panowała nad sobą i nas nie zdradziła. Pomyślałem, że choć nie miała daru Widzenia ani Słyszenia, będzie dobrą królową.

Stary Herakles leżał tam, gdzie padł. Garść anemonów, wyrzuciona z góry, rozsypała się nad jego głowę. Kiedy patrzyłem, wydał westchnienie i drgnęła mu powieka. Jego oczy obsiadły muchy. Z góry, z wyższych rzędów ciemnych od rodowitych Kreteńczyków dobiegła mnie ochrypla, uroczysta wrzawa, jak od ludzi, którzy zobaczyli znak.

Wyszliśmy przez bramę. Byłem zmęczony, lecz nie tak zmęczony, by nie myśleć. Przypomniałem sobie strażników przy świętych bykach; żaden zwykły człowiek nie mógł wejść nawet do zagrody. Spojrzałem w górę, na pustą lożę Minosa, a potem na miejsce obok niej. Tam siedział nasz patron, zbierając komplementy za wyczyny swojego zespołu. Lecz ja dostrzegłem jego oczy, kiedy on nie widział moich.

Kiedy wyszliśmy z zasięgu wzroku, nie byłem zbyt dumny, by odmówić niesienia. W Sali Byka znachorki umyły mnie i opatrzyły

nogę, i dały mi gorący, korzenny kordiał, podczas gdy Aktor przyglądał się, gwiżdżąc przez zęby. Nasze spojrzenia się spotkały. Spojrzał na zielarkę, potrząsnął głową, bym zachował milczenie i odszedł.

Talestris stanęła przy moim posłaniu z ręką na biodrze, drapiąc się drugą w czarne włosy. Skinąłem, by podeszła bliżej. Schyliła się i spojrzała na mnie, nie jak kobieta na rannego mężczyznę, ale jak czujny wojownik w zasadzce, oczekujący na polecenia.

Powiedziałem cicho:

- Byk dostał coś w pokarmie.

Skinęła głową.

- Czy broń jest dobrze schowana? Asterion musi coś wiedzieć - zastanawiałem się, mówiąc to, kiedy po mnie pośle i jaką śmierć dla mnie wybierze.

- Nie może zbyt wiele wiedzieć - odpowiedziała. - Broni by już tu nie było. Tak, jest bezpieczna. Nie martw się; będziesz do niczego, jeśli nie odpoczniesz.

Zobaczyłem, że odpycha tancerzy, którzy nadchodzili, by ze mną pomówić. Nie była głupia; wiedziała, że jeśli teraz nie wypocznę, później mogę nie mieć czasu. Leżałem, zastanawiając się nad jej słowami. Mój umysł pracował powoli ze zmęczenia i od leku zielarki. „Nie może wiedzieć, że to ja zabiłem Minosa, bo otwarcie wydałby mnie na śmierć. Nie może wiedzieć o broni, bo by stąd zniknęła. Ale czy wie o Pani? Albo o tym, kogo miała na myśli w wyroczniach? Czy przesłuchiwał Perimosa lub jego synów? Co on wie?”

Zastanawiałem się w ten sposób, ale mimo moich chęci stałem się senny. Usłyszałem znowu wrzawę Kreteńczyków, którzy pomyśleli, że bóg zabił byka u moich stóp.

„Hm - pomyślałem - z pewnością był wtedy z nami”. Wydawało mi się, że ciągle czuję przy sobie jego obecność, uroczystą i groźną, tak że odgłosy Sali Byka wydały się zbyt głośne i sprawiły, że stałem się niespokojny. Lecz nawet gdy myślałem o tym, zapadłem w sen. Śniłem o moim dzieciństwie i służbie w świątyni na wyspie w ciszy południowego słońca, przy szmerzącym źródle.

Kiedy się zbudziłem, zapalono lampy i tancerze zabierali się do jedzenia. Amyntor, który musiał czekać, aż otworzę oczy, podszedł

i zapytał, co ma mi przynieść. Usiadłem jednak, niemal za sztywny, by to zrobić i spytałem go, czy były jakieś wieści o śmierci Minosa.

Rozejrzył się. Nikogo nie było w pobliżu; wszyscy tancerze jedli.

- Nie, Tezeuszu. Kto ci o tym powiedział? Można mu ufać? Dziś krąży za to inna plotka. Mówi się, że kiedy flota wypłynęła do Sycylii, jeszcze przed wiosennymi wiatrami, Minos wsiadł na pokład, lecz utrzymano to w tajemnicy. Podobno pojechał, by zająć wyspę z zaskoczenia, i z tej przyczyny tego nie rozgłaszano. W Małym Pałacu zaprzeczono wszystkiemu, co sprawia, że uważa się to za prawdę.

Przyniósł mi zupeę i placek owsiany z kawałkiem miodowego plastra. Zjadłem, leżąc na łokciu i zastanawiając się, ile potrwa, zanim dostaniemy wieści, że Minos zmarł na Sycylii. Naprawdę, pomyślałem, jest zwierzęciem, które myśli i to szybko. Było sprytnie, że zaprzeczył śmierci Minosa; musiałem przyznać, że samemu nie przyszło mi to do głowy.

A potem pomyślałem:

- Widocznie jednak wciąż potrzebuje czasu. Jego zachowanie tego dowodzi.

Nadeszła znachorka i obmacała moje obrażenia. Naoliwiła i rozmasowała moje kończyny, ugniatając, klepiąc je i nacierając; obejrzała ranę, mrużąc zakłęcia i powiedziała, że będzie dobrze się goić. Przy stole tancerze siedzieli przy winie zmieszanej z podwójną ilością wody, w ostatniej godzinie rozmowy, zanim zostaną odprowadzone dziewczęta. Wyciągnąłem się pod dłońmi kobiety, czując, jak moje ścięgna rozluźniają się i krew przepływa gładko. Niczego nie czułem prócz szczypania wina na mojej ranie i głębokiej senności. Odwróciłem się, kiedy odeszła, by usnąć znowu. Wtedy zobaczyłem Aktora, trenera, stojącego przy moim posłaniu.

- Hm - rzekł - więc już wróciłeś do życia. Napiszę to na drzwiach Sali Byka, by oszczędzać nogi. Spałeś bardzo głęboko. Kiedy tu leżałeś w czasie trzęsienia, przy tych cudzoziemcach, którzy żadnego dotąd nie przeżyli, wrzeszczących do bogów, sprawdziłem, czy

żyjesz; ale ty byłeś spokojny jak śpiące niemowlę.

- Trzęsienie ziemi? - zapytałem, wytrzeszczając oczy. A potem rzekłem:

- Rzeczywiście - przypomniałem sobie uczucie zagrażającego nam boga; byłem zbyt zmęczony, by poznać ostrzeżenie, kiedy je otrzymałem.

- Nic wielkiego - powiedział. - Spadła w kuchni półka z zastawą. Cóż, Żurawie będą musiały schwytać nowego byka - spojrzał na mnie. Tym razem nikogo nie było w zasięgu słuchu.

- Co mu dali? - spytałem. - Wyczułem to w jego tchnieniu.

- Skąd mam wiedzieć? - rozglądając się znowu. - Pewnie to, co miłośnicy psów dają swym zwierzętom przed walką. Psy zwykle przeżywają, ale dawka dla byka jest trudna do oszacowania. Pochylił się nade mną, lecz teraz usiadł na podłodze obok mnie, by móc mówić ciszej.

- Ten, którego imienia nie wymienię, musi teraz mieć puste kieszenie. Jeśli wciąż potrzebuje talentu złota, musi czekać do lata, kiedy przybędą jego okręty.

- Złota? - spytałem. Pomyślałem, że mój napój musiał zawierać wywar z maku. Ciągle reagowałem wolno.

- Duch tak mówi - rzekł. Było to kreteńskie powiedzenie, oznaczające pogłoskę nie do poświadczenia przed sądem. - Ma jakieś zamierzenie, które opróżnia mu skarbiec. Przez cały dzień jego agenci chodzili się po Knossos, ściągając podatki, zbierając czynsze, wyprzedając dłużników, pożyczając od Fenicjan. Hm, znasz swoje notowania. Już trzy miesiące były równe stawki, teraz to już sześć do ośmiu, i ciągle jest to zmartwienie bukmacherów. Pójdź do dowolnego z nich i sprawdź, czy możesz postawić na to, czy Tezeusz przeżyje; nawet nie tknie zakładu. Jeśli chcesz stawiać na Żurawie, musisz stawiać na punkty. Lecz tego ranka, jak słyszałem, wszędzie w Knossos postawiono na śmierć, sto do jednego lub więcej; po cichu, tu i tam. I wszystko w jednym czasie, żeby stawki się nie zmniejszyły. Co o tym sądzisz?

- Co o tym sądzę? - spytałem. - A cóż mam sądzić? Jestem tylko chłopcem od byków z kontynentu. W mojej wiosce mieszkają prości ludzie - wirowało mi w głowie.

Aktor spojrział na mnie, drapiąc się, i powiedział - Odeśpij swoje lekarstwo, chłopcze, wciąż jesteś otumaniony.

Powieki ciążyły mi jak ołowiane. Sen leżał przy mnie bliżej niż kochanka. Ale pomyślałem, że jeśli teraz zamknę oczy, uznam tę rozmowę za sen. Zobaczyłem, że Amyntor czeka w pobliżu. Skinąłem na niego.

- Mam wam coś do powiedzenia. Przyprowadź też Talestris.

Przyszli i stanęli nad moim posłaniem, patrząc na mnie jak na coś, co może rozlecieć się na kawałki.

- Bądźcie spokojni - rzekłem. - Minotaur nic nie wie. Zrobił to dla złota.

Jeśli powiedziałbym to po babilońsku, nie wyglądałoby na bardziej skonsternowanych. Nie mogłem ich winić.

- Minos nie żyje. To pewna wiadomość. Jego ciało ukryto gdzieś w Labiryncie, zakopane bez żadnych obrzędów jak trup złooczyńcy, aby Asterion mógł zyskać więcej czasu. Musi kupić sobie wojsko i przyjaciół, lecz nie może zająć skarbcza, póki śmierć się nie ujawni. Utkwił pomiędzy rogami, jakbyśmy tu powiedzieli. Tak więc przygotował byka, by nas zabił, aby mógł chwycić wiatr w żagle.

Stali z otwartymi ustami jak wiejskie głupki. Sprawilo to, że prawie się roześmiałem.

W końcu Amyntor powiedział powoli:

- Zrobił to dla złota? Ale jesteśmy Żurawiami. Tańczyliśmy dla niego cały rok.

Talestris odrzuciła głowę do tyłu:

- Matko Klaczy! - krzyknęła. Rzeczywiście wyglądała jak prawdziwa córka Posejdona Hippiosa, z czarną grzywą rzuconą na plecy i rozszerzonymi nozdrzami. Położyła pięści na biodrach i pokazała z ukosa niebieskawe białka swych czarnych oczu.

- Czym są ci Kreteńczycy? Ze swoimi łazienkami i gadaniem o barbarzyńcach! Próżni jak wysączone bukłaki! Jeśli nim zatrzęsiemy, rozlecą się w proch! Tezeuszu, dlaczego jeszcze czekamy?

W dawnych dniach w Eleusis to Amyntor odezwałby się pierwszy. Lecz teraz nie spieszył się. Słął z czarnymi brwiami zrośniętymi nad jastrzębim nosem, dotykając palcami miejsca, w którym powinien mieć sztylet.

- Tezeuszu - rzekł - jak ten człowiek nami gardzi!

Skinąłem.

- Tak. Zawsze nas lekceważył.

- Zemsta jest prawem każdego mężczyzny, który nie jest babą. Jeśliby to zrobił, wiedząc, że broń została ukryta w Sali Byka, nie podobałby mi się bardziej, lecz też nie myślałbym o nim gorzej niż teraz. Ale wszystko, co o nas wie, to nasz honor, a sprzedał nas jak zbyteczną skórę w chudym roku. Na Posejdona o Czarnych Rogach, Tezeuszu! Wystarczy tego! Za ten uczynek wyrwiemy mu serce.

10

Rano znów zjawiła się stara kobieta z gorącą oliwą. Spałem jak kamień; rana na nodze goiła się czysto i nie była głębsza niż zadrapanie. Mięśnie były tylko przemęczone, choć sądziłem, że je naderwałem; potrzeba mi było tylko nieco ruchu. Tej nocy miałem pójść do świątyni i sprawdzić, czy Ariadna wie już, że Minos nie żyje. Gdyby zamknięto jego drzwi, ona nie miałaby temu jak zaradzić, nie zdradzając sekretnej drogi. "Nawet jeśli Ariadna zna już prawdę - rozmyślałem - cóż może zrobić ona, Perimos, Alektryon, czy ktokolwiek z nas w Sali Byka? Każdy, kto posiada wiedzę na temat tej śmierci zostanie oskarżony o zabójstwo. Lecz z każdym dniem oczekiwania Asterion nabierał sił".

Po ćwiczeniach rozgrzewających poczułem się całkiem dobrze, choć wszystko to było dla mnie ciężarem. Przystanąłem pośród Żurawi, wraz z Talestris i młodym dowódcą drużyny Krogulców, Kasosem, który stał się niewolnikiem, gdy powieszono jego ojca,

rodyjskiego pirata. Oni pragnęli jakiegoś działania i przybrałem maskę wesołości, zawstydzony tym, że czuję przygnębienie, choć nie jest ze mną aż tak źle. W innej części Dworu, drużyna Delfinów przygotowywała się właśnie do walki kogutów. Narastający gwar przeszywał mi głowę i pragnąłem jedynie, aby było już po wszystkim. W końcu, wbrew sobie, wykrzyknąłem:

- Przestańcie tak jazgotać!

- Co ci jest, Tezeuszu? - spytała łagodnie Thebe - Głowa wciąż jeszcze cię boli?

- Nie - odparłem, bowiem w tej właśnie chwili sam pojąłem, o co mi chodzi. - To ostrzeżenie. Ziemia zatrzęsie się ponownie. Myślę, że nie aż tak mocno. Ale gdy bóg się gniewa, hałas nie jest niczym dobrym.

Głosy ucichły. Zobaczyłem, że Kasos zaczął nerwowo wiercić nogami, a jego wzrok spoczął na wielkich sufitowych krokwiach.

- Nie wydaje mi się, żeby trzęsienie było aż tak silne - wyjaśniłem - bo nie czuję aż tak wielkiego nacisku, a tylko kłucie. Ale było-by wskazane, gdyby wszyscy byli cicho i odsunęli się od ścian.

Nephele podeszła tam, gdzie toczyła się walka kogutów; drużyna rozbiegła się, a pozostawione samym sobie koguty jeszcze przez chwilę podskakiwały, dziobiąc się, a potem przerwały pojedynek i stały w miejscu ze ściśniętymi skrzydłami, rozglądając się niespokojnie, jak gdyby i one otrzymały ostrzeżenie od boga. Nadal czułem ucisk w głowie i drażniła mnie każda błahostka, jakbym pokaleczył sobie stopy kolcami. Właśnie wtedy przybył Aktor, któremu, jak sądzę, ktoś przekazał ostrzeżenie.

- Co z tobą Tezeuszu? Czemu, skoro czujesz się wciąż słaby, nie wracasz do łóża tylko wszczynasz swary w Sali Byka?

Miałem ochotę go uderzyć, lecz nie byłem w stanie nawet podnieść głosu i powiedziałem tylko łagodnym tonem:

- Odsuń się od tej kolumny.

W chwili gdy Aktor otwierał już usta, aby mi odpowiedzieć, ziemia zadrżała się ponownie, a z kapitelu kolumny spadł obok niego wielki kawał sztukaterii i roztrzaskał się na kawałki. Z kuchni

dobiegał łoskot pękających garnków, a Pałac w oddali rozbrzmiewał echem okrzyków, pisków i nawoływań. Wszędzie wokół nas tancerze wzywali setkę bogów Sali Byka, cudzoziemcy leżeli twarzą do ziemi, chroniąc swoje głowy, a kochankowie kurczowo trzymali się w objęciach. Aktor spojrzał na mnie z ustami otwartymi tak szeroko, że mogłem mu policzyć wszystkie zęby.

Pośród tego zgiełku jeden dźwięk przykuł moją uwagę. Podniosłem w górę dłoń, aby zamilkli. Wtedy usłyszałem ów niski i odległy głos, o którym wcześniej mi opowiadano: potężny, stłumiony pomruk Byka Ziemi dochodzący z tajemnej grotty leżącej poniżej. Wszystkie inne dźwięki ucichły. Przyjaciele chwycili się za dłonie. Ziemia uspokoiła się i ów odgłos powoli zamarł. Ból głowy ustąpił i znów mogłem przemówić głośno.

- Zaczekajcie! - odezwałem się. - Skoro bóg jest tutaj, pomódlmy się do niego.

Skierowałem ku ziemi wnętrza dłoni.

- Ty, Który WstrząsasZ Ziemią, Ojczy Byków, znasz nas wszystkich. Jesteśmy twymi dziećmi, twoimi cielątkami, które tańczyły dla ciebie. Słyszałeś odgłosy naszych stóp, poznałeś smak naszej krwi na pylistym piasku. Dla ciebie chwytaliśmy byki za rogi, dla ciebie przeskakiwaliśmy przez nie i nie uciekaliśmy przed nimi; zawsze otrzymywałeś od nas dobre widowisko. Popelniono tu niegodziwość, lecz to nie myśmy się jej dopuścili. Trzymasz nas w swej dłoni. Ocal nas teraz, gdy tego potrzebujemy.

Modliłem się tym słowami, a ci, którzy nie byli wtajemniczeni, sądzili, że proszę go, aby ocalił nas na arenie. Lecz on wiedział, co mam na myśli. Czulem, że moje słowa zapadają głęboko, poprzez kamienne płyty Sali Byka i leżące poniżej krypty - i dalej, poprzez gruz pradawnych Labiryntów, poprzez dziewiczą ziemię i żyjącą skałę, w dół do świętej pieczary, gdzie w swym byczym kształcie stoi mroczny pan o długich rogach, gęstych brwiach i wielkich oczach, które płoną czerwono jak węgle żarzące się nocą.

Dom Topora był cichy. W Sali Byka ludzie stali wokół popatrując na mnie i szepcząc. Niebawem zaczęły się znowu rozmowy i gry, nastroszone koguty powróciły do walki, a skoczkowie znów huścili

się na drewnianym byku. Jeżeli chodzi o mnie, wziąłem w końcu do serca radę Aktora i poszedłem do łóżka. Nie czułem się jeszcze sobą i chciałem, aby pozostawiono mnie samego. Kiedy jednak położyłem się, moje samopoczucie nie poprawiło się. Siennik zdawał mi się niewygodny i chciałem być na nogach. Powstałem i obejrzałem następną walkę kogutów, a potem zagrałem z Żurawiami w "pięć palców". Jednak głowa nadal mnie bolała, jak gdyby trzęsienie ziemi nie oczyściło jej. Czułem wewnętrzny ucisk i przechodziły przeze mnie nagłe fale dźwięków. Zastanawiałem się, czy moja gorączka słabnie. Choć wciąż czułem swoją ranę, nie pulsowała ona jednak, ani nie paliła, a czoło miałem chłodne. Nie chorowałem od dziecka i niewiele z tego pamiętałem. Przez chwilę rozważałem myśl, czy mnie nie otruto. Lecz żaden z tancerzy nie otrzymywał jedzenia w Sali Byka; wszyscy jedliśmy własne jadlo ze wspólnego naczynia. Nie bolała mnie ani pierś, ani brzuch, nie odczuwałem drżenia w członkach, jednak czułem, jak po skórze pełza mi jakiś rodzaj przeżarcia, a w moich oczach gęsta ciemność mieszała ze światłem.

Nadeszła wieczerza, podczas której obracałem w palcach barani udziec. Nie chciałem, aby inni skoczkiwie widzieli mnie bez posiłku cały dzień po wydarzeniach na arenie. Kreteńscy słudzy zabrali resztki jedzenia i przynieśli wino, a tancerze plotkowali z nimi na sposób Sali Byka. Usłyszałem mimochodem, jak któryś z nich wspomina o nocnym święcie. Był właśnie czas wiosennej pełni i kobiety miały tańczyć w Labiryncie Dedala przy świetle pochodni. Jednak ciemność nadal mnie nie opuszczała. "To cień Minosa, skarżący się na to, że go zaniedbano - pomyślałem. - Jestem dla niego niemal tak bliski jak syn, którego nigdy nie miał. Chce, żebym go pogrzebał i uwolnił, aby mógł przekroczyć Rzekę. Bądź cierpliwy, biedny królu; nie zapomniałem o tobie".

Pośród ludzi krążyło słabe wino. Rozbrzmiewały śmiechy. Byłem na nich zły, że potrafią się cieszyć. W wysokich oknach niebo było różowe od świateł pochodni; słyszałem jak zaczyna rozbrzmiewać muzyka fletów i instrumentów strunowych. Pragnąłem, aby umilkła. Z dzbanami wina przybył stary sługa, który od pięćdziesięciu

lat służył przy stołach we Dworze Byka. Melantho spytała go, co ludzie mówili o śmierci Heraklesa. Podniosłem się, aby posłuchać.

- Nie podoba im się to - odparł spokojnie starzec.

- Nie podobało się im to wczoraj, a dziś nie podoba się im jeszcze bardziej, Mówią, że był otruty, aby ktoś zarobił na zakładach. Nie wymieniają żadnych imion, wiedzą lepiej; tylko twoje, Tezeusza, jako człowieka, który ocalił ich pieniądze. Lecz z tego, co mówią, dziś nic dobrego nie wyniknie. Mówią, że Byk Ziemi nie będzie stał spokojnie, kiedy go ciągną za ogon, szczególnie jeśli to robi największy w tym kraju. Dwa wstrząsy od czasu, gdy się to stało; nie powstały żadne wielkie szkody, lecz oni biorą to za znak. A teraz jeszcze port.

Podskoczyłem na ławie.

- Port? Co masz na myśli?

- Powinieneś pozostać w łóżu - stwierdził stary sługa. - sądząc po twoim wyglądzie.

- Port! Gadaj, co z nim? - poczułem jak narasta we mnie wściekłość.

Gotów byłem wytrząsnąć z niego odpowiedź. Z drugiej jednak strony, coś we mnie obawiało się ją usłyszeć.

- Spokojnie, chłopcze! - odparł. - Cały aż się trzęsiesz i to nie pomyłka. Nie mogę potwierdzić tego z pierwszej ręki, lecz posłaniec z Amnisos przyniósł wiadomość, że morze opadło tam o pół sążnia i wszystkie statki są na mieliźnie. Ludzie mówią, że to znak zapowiadający nieszczęście.

Sala Byka zawirowała i pociemniała. Zorientowałem się, że ktoś przytyka mi do ust puchar wina i posłyszałem głos starca: "To ci dobrze zrobi, chłopcze", Stałem sztywno, jakbym kij połknął, chwytając się stołu. Poczułem w ustach słodki jak miód smak przedniego wina. Wszędzie dookoła wpatrywały się we mnie ludzkie twarze z otwartymi szeroko oczami i ustami. Odrzuciłem puchar precz i usłyszałem jego brzęk, gdy uderzył o kamienne płyty. Ludzie podtrzymali mnie, jak gdybym tego potrzebował, tymczasem ja czułem się lekki jak piórko. Miałem wrażenie, że moja czaszka jest otwarta i płonie w niej błękitny ogień. Nabrałem w płuca haust powietrza i

wypuściłem je gwałtownie. Sałę Byka wypełniło wilcze wycie. To był mój głos.

Twarze ludzi zbliżyły się do mnie, lecz odtrąciłem podtrzymujące mnie dłonie. Moja pięść wzniosła się ponownie do ciosu, gdy nagle spod wpeł przymkniętych powiek zobaczyłem przed sobą czyjeś oczy. To Chryse z swym poranionym policzkiem, uczepliła się mojego barku. Opuściłem ramię i usłyszałem odgłos mojego własnego sapania, podczas gdy jakiś strzęp rozumu we mnie pomyślał: "Znów urosła. Jest tak wysoka jak ja". Potem dotarły do mnie jej słowa:

- Tezeuszu! Przemów do nas. Wyjaśnij nam, co to jest. Znasz nas przecież, Tezeuszu; to my - Żurawie. Nie zrobimy ci krzywdy. Spójrz, jesteście moimi ludźmi.

Walczyłem z szaleństwem, chociaż czułem że ta walka musi przerwać mnie na strzępy. Wiedziałem, że nie mogę dać się ponieść, bowiem nikt nie może ich teraz ocalić prócz mnie. Trzymałem się więc w całości, choć drżałem i zdawało się, że sama moja dusza wybuchnie i będzie stracona w ciemności. Po takich zmaganiach, że walka z bykiem zdawała się jak dziecinne igraszki, przemołem szaleństwo i poczułem, że mogę mówić. Najpierw jednak szybkim ruchem pochwyciłem dłonie Chryse i przytrzymałem je w moich; ten chwyt zdawał się łączyć mnie z samym sobą.

- Chryse - wyszeptałem - zawołaj Żurawie.

- Spójrz tylko, jesteście tutaj - odezwały się zewsząd ich głosy.

Nadał trzymałem kurczowo dłonie Chryse i wbijałem wzrok w jej oczy.

- Ostrzeżenie! - wydusiłem z siebie, lecz zabrzmiało to jak ostatni jęk konającego.

- Co?! - rozległy się krzyki.

- Cicho! - uspokoiła ich Chryse. - Jest w nim bóg.

Wszyscy czekali, a ja podjąłem kolejną próbę.

- To ostrzeżenie. Wielkie i straszliwe. Wisi jak cień góry; czułem je przez te wcześniejsze, jego ciemność pada daleko. Posejdon powraca w wielkim gniewie, rozdeptując miasta; nie widziałem tak wielkiego gniewu od czasu, gdy się urodziłem. Jeszcze nie. Lecz

wkrótce. Bóg nadchodzi. Czuję go w ziemi.

W dali trajkotały jakieś głosy, czułem jednak w swych dłoniach mocny i pewny chwyt Chryse, dziewczyny, która nie lękała się tańczyć z bykami. Powiedziała cicho:

- Tak, Tezeuszu. Co powinniśmy zrobić?

Miałem wrażenie, że jestem tylko płonąca skorupa, lecz na te słowa coś we mnie pomyślało.

- Budynek się zawali - odparłem. - Musimy wydostać się stąd lub zginiemy.

Zamrugalem i potrząsnąłem głową, próbując to wyjaśnić.

- Czy jest tutaj Talestris?

- Jestem tutaj - tuż obok usłyszałem jej głęboki chłopyący głos.

- Broń - wydusiłem z siebie. - Musisz zdobyć broń.

- Spójrz tylko - odrzekła - jak odprowadzają dziewczęta do spania. Większość z nas jest już zamknięta. Jesteśmy ostatnie - słyszałem teraz ganiący głos kapłanki.

- Drzwi są zaryglowane z zewnątrz - zauważyła Talestris. - Jak możemy się wydostać?

Byłem półprzytomny, lecz ktoś mnie podtrzymywał. To był Amyntor, dobry łapacz, zawsze gotowy, niczym w kręgu-

- Gdzie są nasze strojnisie?

Nie dbałem już o dobór słów.

- Tutaj, Tezeuszu - odparli Hippon i Iros. - Wiemy, co robić.

Przypuszczam, że wiedzieli, iż nie obraziłem ich świadomie.

- Dajcie dziewczętom tylko tyle czasu, by się uzbroiły - powiedziałem - czy macie coś, by je ubezpieczyć? Talestris, niech wszystkie dziewczęta będą gotowe, aby biec do drzwi. Nie traćcie czasu; jeśli ktokolwiek was zatrzyma, zabijcie go od razu. Gdy powrócicie, wspólnie wywalczymy sobie drogę na zewnątrz. Szybko, pospieszcie się, bóg jest coraz bliżej.

Zatrzymałem się z westchnieniem. Powstrzymywanie szaleństwa było gorsze niż trzymanie lochy na odległość przy pomocy

włócznie. Słyszałem jak przez mgłę głos kapłanki, która obiecywała chłostę tym dziewczętom, które nie zaprzestaną flirtowania z chłopcami.

Odbiegły. W uszach ogłuszająco rozbrzmiewały głosy młodzieńców, którzy jeden przez drugiego dopytywali się, co takiego powiedziałem; większość z nich słyszała tylko pojedynczy krzyk. Chryse odeszła i hałas dręczył mnie; ostrzeżenie wzbierało, ryczało i prze-walało się przez moją głowę lub wycofywało się pozostawiając straszliwą pustą ciszę, wypełnioną krokami zbliżającego się boga. Pełen czci lęk i przerażenie, które naturalnie odczuwa człowiek przed Nieśmiertelnymi, ponaglały mnie i dźgały jak ostroga, abym uciekał, by ocalić siebie. Choć trzymałem się mocno, szaleństwo spalało mnie i ostrzeżenie nie mieściło się we mnie. Strząsnąłem z siebie Amyntora, wskoczyłem na stół, pomiędzy potrząskane pu-chary wina i wykrzyknąłem głośno:

- Posejdon nadchodzi! Posejdon nadchodzi! Ja, Tezeusz, to wam obwieszczam, ja, jego syn. Święty byk został zabity i Byk Ziemi się obudził! Dom Topora upadnie! Dom Topora upadnie!

Wszczął się zgiełk, który przeszedł przez moją głowę jak gorące czarne włócznie. Ludzie biegali wokoło, wzywając swoich bogów lub swoich kochanków, chwytając swe klejnoty bądź klejnoty innych ludzi, próbując uciec albo dopaść uciekających, walcząc i mocując się na podłodze. Oni czuli tylko grozę, o której im powiedziałem. Ja czułem ją bezpośrednio. Wziąłem głęboki wdech, by znów zakrzyknąć, gdy posłyszałem, jak poprzez zgiełk, w moim wnętrzu przemawia do mnie daleki, czysty głos, niczym śpiewająca cięciwa: "Pamiętaj, kim jesteś. Nie zapominaj się, że jesteś mężczyzną i Hellenem".

Zatrzymałem się i pojąłem, że ci, którzy uciekli w panice i bez broni, zginą w Labiryncie schwytni jak w pułapkę. Zeskoczyłem ze stołu i rzuciłem się między nich, miotając przekleństwa i przekonując, by zaczekali. Lecz mimo to, krzyki rozbrzmiewały po całej Sali i do środka zza wewnętrznych drzwi weszło dwóch strażników. Był to dzień świąteczny, więc musieli pić w swojej strażnicy i ich uwaga

była spowolniona. W Sali Byka zawsze było gwarno, a ich zadanie polegało jedynie na pilnowaniu drzwi. Teraz stali rozglądając się w zdumieniu, pytając, czy wszyscy oszaleli. Byli w pełni uzbrojeni, z włóczniami długimi na siedem stóp.

Ich widok niemal mnie otrzeźwił, nadal byłem jednak oszołomiony. Gdy podszedłem, usłyszałem, jak Telamon, który zawsze myślał trzeźwo, mówi do nich:

- Chłopcy sobie popili; ktoś dał im nierozcieńczonego wina. To tylko takie harce.

Jeden ze strażników zwrócił się do drugiego:

- Trener potrafi sobie z tym dać radę. Trzeba go tylko znaleźć; musi być na tańcach. - Potem przerwał i rzucił: - Co to jest?

Dźwięk narastał z każdą chwilą. Brzmiało to jak piski dzikich górskich kotów w świetle księżyca. Gromada dziewcząt wpadła do środka z naręczami broni - łuków, sztyletów, kołczanów i długich włóczni. Z przodu, z ramionami zakrwawionymi po łokcie, biegł Iros w kobiecej sukience i chuście, i Talestris całkiem naga, jedynie z łukiem i kołczanem na plecach, i z rozwianymi włosami, czarnymi niczym dym pożogi wojennej. Dziewczęta rozebrały się do swoich strojów noszonych podczas tańca z bykami, aby móc swobodniej poruszać się podczas walki; przypuszczam, że w potyczce słabe wiązanie jej pasa pękło. Nie zauważyła tego, co pośród Amazonek jest skromnością pola walki.

Gdy dziewczęta wbiegły do Sali Byka z okrzykiem wojennym na ustach, na ich widok strażnicy pilnujący drzwi odrzucili tarcze i włócznie i uciekli. Lecz z równym powodzeniem mogli próbować ucieczki przez psami gończymi Artemidy. Wnet przegoniły ich bystre stopy i przykrył skreślony gąszcz szczupłych kończyn; błyszczące brązowe ostrza unosiły się w górę i w dół. Gdy dziewczęta powstały z leżących na brzuchu ciał, nie tylko Amazonki miały piersi ochlapane krwią.

Teraz podbiegli do nich z krzykiem chłopcy, żądając broni, wyrwijąc ją i depcząc martwych mężczyzn. Wszystko, co we mnie było mną, było wściekle na siebie z powodu wywołanej przez mnie paniki. Chciałem zaplanować nasze wydostanie się tak, jak planuje

się wyprawę wojenną, wykorzystując podstęp, spryt i ustalając czas z naszymi przyjaciółmi na zewnątrz. Jednak ludziom nie dane jest sięgać wzrokiem tak daleko jak bogowie. Stałem na wpół oszalały przed moim oddziałem szaleńców, nie wiedząc nic jasno, prócz tego, że gniew boga wzmaga się, tak jak powietrze gęstnieje przed burzą. A jednak w mojej duszy była jakaś cząstka wolna od szaleństwa, odrębna, szepcząca z uporem: "Jesteś królem. Pamiętaj o swojej mojrze. Nie zatracić siebie; jesteś królem".

Przycisnąłem dłonie do czoła. Z zamkniętymi oczami modliłem się do Bogów Nieba, do Króla Zeusa i Węzobójcy Apollona, o mądrość, dzięki której mógłbym ocalić moich ludzi. Potem rozejrzałem się wokół. Nie czułem się wiele lepiej, lecz otrzymałem odpowiedź, bowiem wiedziałem już, co mogę i co muszę zrobić.

Stałem przed tłumem i zażądałem, by umilkli, a głos brzmiał na powrót jak mój własny. Wszyscy stali w milczeniu, wpatrzeni we mnie, a ci, którzy byli zdrowsi, uciszyli tych najbardziej obłąkanych. W oddali, z północnego tarasu, dał się słyszeć dźwięk fletów i instrumentów strunowych; wszystko to bowiem przeminęło szybko, gdy pierwszy raz głośno krzyknąłem.

Przeszedłem pomiędzy nimi, przekonując, by ci, którzy mają broni w nadmiarze, podzielili się nią z tymi, którzy nie mieli żadnego oręża i zastanawiając się, dokąd powinniśmy pójść. Znałem wszystkie drogi z Sali Byka do Labiryntu, lecz żadna nie posłużyłaby nam teraz dobrze; trzeba było dostać się na otwartą przestrzeń - i to szybko, bo moja głowa eksplodowała od brzemienia śmierci. Był tylko jeden sposób: szturmować wielkie zewnętrzne wrota Sali, choć nigdy nie widzieliśmy ich otwartych. Po prawdzie, wyglądały one tak, jakby nikt nie otwierał ich przez ostatnie sto lat. Nie wiedzieliśmy, czy nie są z drugiej strony strzeżone, czy może nawet zamurowane. Nie było klucza. Trzeba było je wyłamać.

Rozejrzałem się za czymś, co mogłoby posłużyć nam jako taran. Ławy i stół nie były tak ciężkie jak wrota; wyważanie trwałoby długo i wywołałoby wiele hałasu. Czas mijał, bóg był blisko. Wtem mój

wzrok padł na Byka Dedala, jego dębowy podest ustawiony na solidnych kołach i jego wykute z brązu rogi.

Wspólnymi siłami skierowaliśmy Byka ku drzwiom. Dźwignąwszy go wszyscy razem, sprawiliśmy, że zaczął pełznąć, a potem ociężałe nabrał rozpędu. Jego podest uderzył o wrota, które zatrzęsły się i rozwarły szeroko. Wypadliśmy na zewnątrz, z bykiem na przedzie, na portyk otoczony filarami. Światło księżycy ukazało łuszczące się na ścianach freski. Sala Byka musiała być niegdyś, w innej epoce, salą królewską. Nie było żadnej straży.

Minęliśmy pędem wielką czerwoną królewską kolumnę i zbiegliśmy po schodach. Naszym oczom ukazał się splątany ogród z wysokimi czarnymi cyprysami; z oddali dobiegało światło pochodni i dało się słyszeć muzykę. Teraz, gdy byliśmy na zewnątrz, brzmiała ona głośno i dziko, dominowały w niej uderzenia cymbałów. Zrozumiałem, czemu strażnicy tak późno posłyszeli nasz zgiełk. Gdy przebiegliśmy przez ogród i oddaliliśmy się o jakieś trzy lub cztery rzuty włócznią od ścian, usłyszałem jak Żurawie wokół mnie wykrzykują z ulgą. Jednak ja byłem bardziej napięty niż struna lutni, bowiem wiedziałem, że bóg jest blisko.

Spojrzeliliśmy po sobie, ściskając w dłoniach broń.

- Gdzie są wszyscy Kreteńczycy? - spytał Amyntor, który stał obok mnie. - Gdy to się zaczęło, w Sali Byka byli słudzy.

- Widziałem ich, jak dokąś biegli - odparł czyjś głos. - Przypuszczam, że reszta ogląda taniec kobiet.

Uderzyłem się dłonią w głowę. W istocie, szaleństwo boga zapanaowało nade mną całkowicie. W tym wszystkim, odkąd mną oładnęło po raz pierwszy, ani razu nie pomyślałem o niej.

Zapuszczony ogród był słodki od zapachów wiosny. Za nami wznosił się wielki gmach Labiryntu, jasny od światła lamp na tle zachmurzonego nieba, na którym księżyc i gwiazdy pędziły niczym gnana wiatrem łódź. Na wprost nas czubki cyprysów chyliły się w czerwono-różowej poświacie pochodni. Dłonie, bębny i cymbały uderzały rytmicznie, flety piszczały przenikliwie, a tysiąc głosów

śpiewało. Było to dla mnie przerażające, bo w samym środku tego była córka Minosa, Pani Labiryntu; jej małe stopy uderzały o zaginioną ziemię, uszy wsłuchiwały się w dźwięki piszczałek i lutni, lecz pozostawały głuche na głos ostrzegającego boga. Niebo uciskało moją głowę latającym księżycem i wszystkimi gwiazdami, tak ciężkie jak kopiec pogrzebowy króla. Grunt pod moimi stopami wysyłał drżenia strachu w górę poprzez moje sandały, wywołując wstrząsy w moim brzuchu i moich łędźwiach.

- Amyntorze, Talestris, Kasosie - zwróciłem się do nich. - Zbierzcie wszystkich razem, tutaj w tym gaju. Skryjcie się w krzewach. Potem nie ruszajcie się; to nastąpi lada chwila. Powrócę szybko; módlcie się do boga i czekajcie.

Wiedziałem, że chcę zadawać mi pytania, ale nie było teraz na to czasu.

- Czekajcie - powtórzyłem i pobiegłem tam, gdzie jaśniały pochodnie.

Zbliżyłem się od tyłu niezauważony przez tłum. Wysokie drewniane trybuny okalały przestrzeń z trzech stron; czwarta była otwarta, lecz zablokowana stojącymi ludźmi. Byli to kreteńscy chłopci, niezbyt liczni; było tam w ogóle bardzo niewiele Kreteńczyków, lecz nie miałem teraz czasu zastanawiać się nad tym. Właśnie usłyszałem, jak pałacowe mewy wznoszą się w górę i wszystkie dzienne ptaki podnoszą się, skrzecząc, ze swoich grzęd. Czułem na karku oddech boga, tak blisko, że nie bałem się w tej chwili ani Kreteńczyków, ani Hellenów, żadnego człowieka czy zwierzęcia, lecz tylko jego nadejścia.

Kreteńczycy przepuścili mnie. Przywykli do uległości wobec jaśnowłosych mężczyzn. Ten i ów spośród tłumu rozpoznawał mnie i zaskoczony wykrzykiwał moje imię. Dotarłem do balustrady okalającej podłogę taneczną i przeskoczyłem ją. Rozglądałem się na wszystkie strony, usiłując ją odnaleźć.

Tysiąc pochodni, ustawionych na wysokich słupach, rzucało migotliwe błyski w nasilającym się wietrze. Zapach żagwi, kurzu, kwiatów, pachnidel i rozgrzanych ciał uderzył mi do głowy. Ujrzałem przed sobą wielki brukowany labirynt Dedala, jego magiczny

wzór wyłożony z czarnego i białego kamienia, gładki, jasny i długi, pomiędzy kolumnadą trybun wypełnionych świątecznie odzianą ciżbą ludzką. Kobiety siedziały ze swoimi ozdobionymi biżuterią chłopcami-lalkami w ramionach. Na skraju podłogi tanecznej zajęły miejsce muzykanci. Dźwięki tamburyńów i cytr, cymbałów i egipskich harf mieszały się z przenikliwymi melodiami wygrywanymi na instrumentach dętych, od wielkich aulosów po małe fleciki z kości słoniowej.

Muzyka rozbrzmiewała natarczywie, kalecząc śmiertelną ciszę, w której mroczny bóg stał, czekając. Pośrodku labiryntu, wzdłuż krzywej ścieżki z gładkiego, białego marmuru, ciągnął się korowód; falowały włosy, sukienki i biżuteria, ramiona spletały się ze sobą, a szczupłe talie kołysały się do rytmu. Łańcuch kobiet, machających rękami, skaczących i wirujących wokół własnej osi, wyglądał niczym ogromny wąż, który zrzuca swoją zimową skórę. Wąż wił się i zbliżał ku mnie. Zobaczyłem jej twarz, radosną i lśniąca, nietkniętą żadnym strachem czy cieniem. Prowadziła taniec.

W chwili, gdy ją ujrzałem, cała moja dusza i ciało, nękanie przez gniew boga i niemal doprowadzone do śmierci, zatęskniły do jej piersi i ciepłych ramion, jak dziecko, które przerażone ciemnością pędzi do swej matki. Zeskoczyłem z balustrady ponad szachownicą podłogi tanecznej. Nawet w czasie tego skoku, potężny głos boga krzyczał do mnie: "Jestem tutaj!"

Przy zeskoku poczułem, jak ziemia chwieje się pode mną. Marmurowe płyty, po których biegłem odchyliły się na końcach i padłem na czworaki. Rozległ się potężny huk i powietrze wypełniły zmieszane odgłosy pękającego drewna i ludzkie krzyki. Moje palce chwyciły krawędź bruku, który poruszał się w tę i we w tę, jakby był żywym stworzeniem. Wstrząsy miotają moim ciałem, kiedy solidna podłoga Dedala zakolysała się niczym powierzchnia wody. Z głębin dobiegał ryk - głośniejszy niż krzyki przerażenia, głośniejszy niż łoskot walących się i pękających podłóg i ścian. To ryczał Byk Ziemi, gdy brał na swoje wielkie czarne rogi jęczącą ziemię.

Usłyszałem krzyk podobny do tego, jaki wydaje z siebie kobieta podczas porodu. To ja krzyczałem. Moim ciałem wstrząsnął szloch. Nosilem w sobie dziecko tej wielkiej zagłady, a teraz w bólu wyda- wałem je na świat. Gdy splekany marmur uspokoił się pode mną, chwyciłem go kurczowo, drżąc i oddychając ciężko. Wszędzie wokół mnie rzeczy, które człowiek podniósł z ziemi, powróciły do niej znów, strząśnięte do swoich początków przez rozwścieczonego bo- ga. Z potrzaskanych trybun dochodziły krzyki i jęki; z Pałacu dało się słyszeć dzikie wycie psów i wrzaski kobiet, płacz oszalałych z bólu i strachu dzieci, mężczyzn nawołujących się nawzajem lub błagających o pomoc. Leżałem pośród burzy tego piekielnego hała- su i czułem jak napływa we mnie, by tak rzec, błogość - dziwnie cicha i pusta. Zostałem uwolniony od mojego ostrzeżenia. Wielka dłoń boga poluźniła wokół mnie swój chwyt. Jego szaleństwo opu- ściło moją głowę. Byłem znużony, posiniaczony i przerażony, lecz nie więcej ani nie mniej niż człowiek. Kiedy deptały po mnie stopy pędzących na wszystkie strony ludzi i największy ze wszystkich królewskich domów upadał na moich oczach - ja wydałem z siebie głębokie westchnienie ulgi. Niemalże, mógłbym teraz zapaść w sen.

Podniosłem głowę. Wiatr cisnął mi w oczy kurz i żwir. Obok mnie z krzykiem przebiegła kobieta. Jej suknia płonęła. Wtedy przypomniałem sobie, dlaczego jestem tutaj i zerwałem się na nogi. Byłem obolały, jak po ostatnich wydarzeniach na arenie, lecz oszo- łomienie opuściło mnie i moja głowa była jasna. Rozejrzałem się wokół.

Podłoga taneczna wyglądała jak wybrzeże, na którym rozbił się wrak okrętu. Pochodnie jak pijane pochylały się na swych słupach lub walały na ziemi; na płytach bruku poniewierały się podeptane girlandy, zgruchotane harfy, strzępy odzieży, zgubione buty, spla- mione krwią wachlarze, połamane lalki i odchody przerażonych ludzi. Poprzewracane trybuny wypełniały przerażone krzyki ludzi i łoskot pękającego drewna. Jedna z trybun zajęła się ogniem od żagwi, która spadła ze słupa. Pośrodku usłanego śmieciem labiryntu, niczym ptaki struchlałe po uderzeniu pioruna, stały tancerki.

Pobiegłem ku nim, brnąc przez śmieci i gruz. Niektóre z kobiet klęczały i uderzały się w piersi, inne kiwały się, kryjąc twarze w dłoniach, niektóre wymachiwały ramionami i krzyczały do swoich ziomeków. Lecz pośrodku ujrzałem dziewczynę stojącą samotnie. W milczeniu rozglądającą się wokoło szeroko otwartymi, jasnymi oczami. To była ona. Szukała mnie. Wbrew wszelkiemu rozsądkowi wiedziała, że przyjdę po nią.

Dotarłem do niej i pochwyliłem ją w ramiona. Ona też objęła mnie mocno, wtulając twarz w mój kark. Poczulem na piersi jej szybki oddech i łomoczące serce. Umknęliśmy z podłogi tanecznej, torując sobie drogę poprzez jęczące ciała, leżące twarzami do ziemi, strzelające iskrami pochodnie, podeptane kwiaty. Moje stopy ślizgały się, nie wiem na czym. Wybiegliśmy do ogrodów, gdzie kolce róż podrapały nas podczas przedzierania się. Położyłem ją na miękkiej ziemi, usłanej wiosennymi kwiatami.

Myślałem tylko o tym, by ją ocalić. Lecz ludzie są jak źdźbła w potoku, gdy potężni bogowie poruszają się po ziemi. My dowiedzieliśmy się wówczas, co to znaczy, gdy powiada się, że Wstrząsający Ziemią jest mężem matki. Leżeliśmy przez chwilę, spoglądając na siebie w milczeniu, trzymając się siebie kurczowo i ciężko oddychając; a potem rzuciliśmy się na siebie jak lamparty w czasie wiosennych godów.

Ta namiętność, płynąca z bożej inspiracji, była uzdrawiająca. Ziemia była wilgotna i słodka; gniew Posejdona wymieszał w niej wonie jak szpadel ogrodnika, lecz teraz było to nasze łóżko. Spoczywaliśmy na nim, jak sądzę, nie za długo, nabierając siły z piersi Matki. Potem powstaliśmy, zataczając się. Ariadna spojrzała na mnie oszołomionymi, rozbieganymi oczami.

- Mój ojciec! - krzyknęła.

- Nie żyje - odparłem. - To była dobra, szybka śmierć.

Była zbyt zdumiona, aby spytać, skąd to wiem.

- Będziesz rozpaczać później, najdroższa. Moi ludzie czekają, chodźmy.

Strząsnęliśmy z siebie ziemię i powiodłem ją za rękę. Wychodząc z ogrodu, niemal potknęliśmy się o parę, która czyniła to, co my

przedtem. Nie kryli się przed nami. A potem naszym oczom ukazał się Labirynt i zobaczyliśmy, co uczynił bóg.

Tam, gdzie niegdyś wznosiły się dachy, spiętrzone i ułożone w tarasy, ze skierowanymi ku niebu dumnymi rogami, widniała linia postrzępiona niczym grzbiet górski. Kolumny leżały poprzewracane, okna, dawniej wypełnione łagodnym światłem lamp, ziały teraz pustką, niczym mroczne jamy, lub też błyskały w nich języki ognia. Poprzez połamane portyki i łuki, z których odpadły balkony, spływały płonące strumienie rozlanej oliwy z lamp. Ogień przeskakiwał na zasłony i baldachimy, pożerał drewno łóżek, krzeseł i połamanych krokwi.

Minęła nas grupa lamentujących kobiet. Jedna z nich niosła małą Fedrę uczepioną jej szyi. Ariadna zawołała, lecz one pędziły przed siebie, nawet nas nie zauważywszy. Mi też spieszo było dostać się tam, gdzie zostawiłem tancerzy.

Wszyscy tam byli. Niektórzy wciąż wzywali boga, jak im zaleciłem. Gdy nas zobaczyli, podbiegli. Gaj był teraz jasny od światła ognia i ujrzałem wysypujących się spod kwitnących zarośli tych, których Matka Dia uderzyła pragnieniem. Ludzie wołali jedni do drugich, że już jestem i podbiegali do mnie, rzucając mi się na szyję. Amyntor mnie objął serdecznie. Wszystko to zdawało się wtedy tak naturalne. Nikt nie doznał poważniejszych obrażeń w wyniku tego trzęsienia ziemi, poza drobnymi obtarciami podczas ucieczki.

- Bóg wysłuchał naszych modlitw - odezwał się. - Teraz zejdziemy do Amnisos i zdobędziemy jakąś łódź, aby odpłynąć, gdy morze się uspokoi. Najpierw jednak spojrzcie uważnie! Oto jest Pani, córka Minosa, ocalona od gniewu Posejdona. Pomóżcie mi się o nią zatroszczyć; będzie moją żoną. Przyjrzyjcie się jej dobrze i zapamiętajcie ją.

Podniosłem ją w górę na barkach; w Sali Byka człowiek szybko uczy się forteli. Chciałem być pewny, że poznają jej twarz, gdyby zgubiła się w zamęcie lub została przez kogoś uprowadzona. Czasy były dzikie. Podniosłem ją zatem tak, jak wódz podnosi sztandar

przed swoimi oddziałami, aby wojownicy przyjrzeni mu się i dobrze go zapamiętali.

Rozległy się wiwaty. Zdumiało mnie, że tak niewiele ust może uczynić taki hałas. Dopiero po chwili, w narastającej poświacie ognia, ujrzałem, że całą przestrzeń wokół nas, ścieżki i trawniki, wypełniają Kreteńczycy. Zjawili się tłumnie i wspinali się na zbocza, z otwartych miejsc, gdzie skryli się, aby uniknąć gniewu Posejdona. Służba Sali Byka słyszała moje ostrzeżenie i uciekła, aby ostrzec przyjaciół. W całym Pałacu jeden Kreteńczyk przekazywał tę wieść innym Kreteńczykom, którzy czmychnęli porzuciwszy swe szczotki i garnki, lampy i tace. Nie lekceważyli bogów tak jak dworzanie z Labiryntu.

Uciekli i przeżyli. Teraz oglądali ruiny dumnego domu Minosa, gdzie zaznali wiele ciężkiej pracę i bardzo mało szacunku. Patrzyli na zdruzgotane drzwi, zmiażdżone skrzynie i szafy, z których wysypywały się jedwabie i wyroby ze złota; oglądali roztrzaskane dzbany wina, stoły biesiadne, cenne puchary i rogi, które wypełniali i nosili, zawsze dla ust innych.

Teraz podpełzli bliżej, pragnąc stać się spadkobiercami Labrys. Gdy tylko dotarli do wyższego tarasu, podniosłem przed nimi Żywą Boginię.

Ona oznaczała dla nich błagania, na jakie odpowiedział Król Minos, wyrocznię, która słodziła ich gorzki chleb tajemnicą i nadzieją - małą kreteńską boginią, do której wysoka jasnowłosa Pazyfae wstydziła się przyznać. Była ich własnością, ich zagwią w chwale Labiryntu. Była sercem i istotą ich starej religii, najbliższą matce, która bierze mężczyzn do swojej piersi i uspokaja ich, jak dzieci wychłostane w gniewie przez swego męża. Była Po Trzykroć Świętą, Najczystsza Strażniczką Tańca i widząc ją, przypomnieli sobie świętokradztwo popełnione wobec niej na arenie, które obudziło Byka Ziemi, aby spustoszył Krete.

Zebrali się tłumnie wokół nas, szumiąc jak morze. Widzieli, kto ją trzyma i przypomnieli sobie przepowiednie, pierścień na nadbrzeżu i ostrzeżenie, które wyгнаło ich na zewnątrz budynku. Niektórzy zaczęli wykrzykiwać wiwaty weselne, radując się i tańcząc.

Lecz większość wskazywała na Pałac, wygrażając pięściami, kijami i nożami. Ciżba pochłaniała nas, napierając do przodu. Ktoś zaskowyczał:

- Śmierć Minotaurowi!
- Śmierć! - odpowiedziały setki głosów.

Amyntor i Telamon stanęli blisko przy mnie i podtrzymywali mnie ramionami. Wspólnie dźwigaliśmy Panią. Nie mieliśmy śmiałości, by postawić ją na ziemi, obawiając się, że może zostać zdeptana przez kłębiący się tłum. Pamiętając strzaskane trybuny przy podłodze tanecznej, pomyślałem, że Asterion miał niewielkie szanse na przeżycie. Byłem zły na wszystkie te utrudnienia. Myślałem tylko o tym, jak wydostać z tego moich ludzi. A potem, znienacka jak fale płonącej oliwy biegnące przez podłogi Pałacu, poczułem jak bojowy nastrój Kreteńczyków udziela się tancerzom zebranych wokół mnie. Iskra tego gniewu upadła również na moją duszę i rozgorzał w niej jasny płomień.

Myśleliśmy o naszych odległych domach, naszych rodzicach szlochających, gdy nas porywano; niektórzy z nas byli zaręczeni, inni miłowali swe w rzemiosło lub dobrą ziemię swych ojców; zostaliśmy oderwani od wszystkich tych spraw, miejsc i zwyczajów naszych ludów, aby umrzeć dla czyjejś rozrywki w malowanym Labiryncie. Myśleliśmy o pysznych wysłannikach przybywających po daninę, którzy tak lekceważyli naszych ludzi. Jednak ci z nas, którzy teraz stali się już tancerzami z krwi i kości, przede wszystkim myśleli o tym, jak Asterion kupczył naszą odwagę i naszą krew. W Domu Topora bogów traktowano lekko; lecz nas zabrano z miejsc, gdzie bogowie są czczeni. Chociaż zniewoleni, byliśmy dumnymi ludźmi, małymi cielątkami Posejdona. Nie cieszyła nas perspektywa bycia czymś byłem.

Wysoko ponad wrzask Kreteńczyków wznosił się bitewny okrzyk Amazonek. Bliżej, tuż przy moich uszach, Amyntor i Menesthes krzyczeli, tak samo jak niegdyś na Przesmyku i podczas szturm na Przylądek Sounion:

- Ares Enyalios! A-ja-ja-ja Enyalios! Hai-ai-ai Tezeusz! Tezeusz! Tezeusz!

Odrzuciłem do tyłu głowę i wydałem z siebie okrzyk wojenny.

Zaczęliśmy poruszać się szybciej. Przypomniałem sobie, jak nurkowałem w mulistym porcie, jak czułgałem się pośród nieczystości ze statków, aby znaleźć pierścień. Przypomniałem sobie, jak kupił mnie niczym konia, po tym jak sprzeciwiłem mu się jak wojownik; jak pokazywał mnie na swoich biesiadach jak tańczącego psa; jak zmusił mnie do śpiewu. Powiedziałem do siebie: "Niech nie dane mu będzie umrzeć, zanim nadejdę! Zaczekaj, Minotaurze, zaczekaj. Zaczekaj na chłopca z kontynentu w skórzanych spodniach; szalonego pastucha - dobrego, aby wywijać fikołki i nic więcej! Aresie Bitewnego Okrzyku, Ojcie Posejdonie, zachowajcie go dla mnie!"

Mogłem poczuć palce Ariadny zaplątane w moje włosy, gdy nasz atak niósł ją naprzód. Doszliśmy do jakichś porzuconych lekytek, którymi niesiono dostojników na tańce; umieściliśmy Panią w jednej z nich i Kreteńczycy chwycili za drągi. Kiedy uniosła się ponad rozgardiasz, spojrzałem, by zobaczyć, czy się boi. Lecz ona pochyliła się do przodu, chwytając się poręczy, z otwartymi ustami, jak gdyby piła wiatr.

Nagle w oddali przetoczył się huk potężny niczym pędzące w dół wiosenne górskie śniegi. Jednak ta fala kierowała się ku górze i była uczyniona z ognia. Płomienie dotarły do składu oliwy. Gdy spotkały się z oddechem wichury, spłaszczyły się i skierowały na północ. Za sprawą tego ogromnego kaganka Dom Topora był jasny jak w dzień i zobaczyłem, że jeden blok wciąż stoi cały. To było zachodnie skrzydło, gdzie wielkie schody prowadzą w dół do podziemnej świątyni i białego tronu Minosa. Pomyślałem: "jeśli żyje, jest tam".

Tłum znalazł drugą lekykę. Umieszczono mnie na niej i podniesiono na wysokość barków. Kazałem, aby ją obrócono, dzięki czemu mogłem stać na niej jak w rydwanie, a wysokie oparcie siedziska służyło mi jako poręcz. Nie chciałem, aby tancerze mnie zgubili. Płynąłem nad tłumem jak statek na wzburzonym morzu, w otoczeniu Żurawi i wiwatujących Kreteńczyków. Dla nich byłem Tezeuszem - skoczkiem przez byki, którego polubiła Pani; pewnym faworytem, który ocalił ich zakłady. Lecz dla siebie samego byłem raz

jeszcze Kurosem Posejdona, Kerkyonem z Eleusis; Tezeuszem, synem Ajgeusa, syna Pandiona, Pasterzem Aten, szarżującym na wroga.

- Ahai! Ahai! - krzyknąłem, jak ktoś, kto prowadzi szyk bitewny.

Odpowiedziały mi bitewne okrzyki. Moja krew kipiała i śpiewała we mnie.

Gdy zbliżyliśmy się i żar ognia ocieplił nam twarze, pomyślałem o Minosie, dla którego sam bóg wznosił kopiec pogrzebowy i zapalił ołtarz. Minos posyłał okręty pobierające daninę. Pod jego pieczęcią ustalano jak wiele zboża i wina, jak wiele żrebnych kłaczy, jak wielu tancerzy mają dostarczać miasta stałego ładu. Gdyby nasze ścieżki przecięłyby się na polu bitwy, wydarłbym mu duszę z piersi. Lecz wszak zadaniem króla jest rządzić, poszerzać swoje włości, zdobywać łupy dla wojowników i karmić lud. A on powitał mnie moim tytułem, chociaż byłem niewolnikiem. Asterion zaofiarował mi złoto; on przy dźwiękach muzyki położył przede mną wino i przednie mięsiwo. Jednak sprawił też, że moja pozycja stała się marna i zranił moją dumę, kiedy stanowiła cały mój dobytek. Za coś takiego każdy, kto mieni się mężczyzną, gotów jest przelać krew.

Weszliśmy od wschodniej strony i ujrzelśmy miejsce, które nie było zajęte ogniem. Była to Sala Byka. Lamy zdusił spadający dach. Szkielet budynku wciąż stał, opierając się na jednej czy dwóch kolumnach; w portyku Byk Dedala trzymał stał wciąż na krzepkich nogach, z malowanym tynkiem do wysokości kopyt. Zażądałem, żeby mnie zdjęto, abym mógł dalej prowadzić.

Wspięliśmy się po zwałonych belkach dachu i pochyłych wewnętrznych drzwiach. Dalej, w przejściu, leżały ściany, które spadły z góry, połamane krzesła, naczynia z farbkami kobiet i ciało dziecka skulone przy zabawce. Gniewne iskry unosiły się ponad nami na wietrze, a powietrze falowało z gorąca. Za mną biegli tancerze, którzy nadal trzymali się blisko mnie, podczas gdy Kreteńczycy zajęli się pładrowaniem. Współpracę mieliśmy we krwi.

Wyszliśmy na szeroką przestrzeń ruin. Był to Wielki Dziedziniec, gdzie niegdyś dostojnicy i wysłannicy chłodzili swe stopy na

gładkich płytach chodnika, spacerując pośród wazonów lili i kwitnących drzew cytrynowych. Trzy z jego skrzydeł runęły, południowe wprost na ziemię; na wschodzie podłogi były pochylone i pełgały pośród nich płomienie. Jednak zachodnie skrzydło stało prawie nienaruszone. Jeden z jego balkonów odpadł; karmazynowe kolumny rozbiły kamienne płyty i malowane kwiaty stały nagie na ścianie. Lecz na rozległej wejściowej werandzie wielka królewska kolumna podtrzymywała nadproże ponad schodami, a na ich szczycie ujrzałem uzbrojonych wojowników.

Już miałem wydać rozkaz ataku, gdy nagle dobiegł mnie czyjś jęk. Chociaż powietrze było pełne krzyków ludzi uwięzionych w ruinach, coś przykuło uwagę w tym głosie. Jego źródło było gdzieś nieopodal. Kiedy rozglądałem się bacznie, nagle pobliska sterta gruzu poruszyła się i usłyszałem swoje imię.

To był Alektryon. Jego kręcone pukle były białe od pyłu, a otwarte usta powalane płatami tynku. Wyglądał jak jedna z owych lalek z malowanej gliny, które kreteńskie damy zwykły przystrajac na wiosnę, leżąca na podłodze tanecznej, podeptana i rozbita. Jedną dłoń zwiślała mu bezwładnie, druga poruszała się i drżała na wielkiej kolumnie, która leżała w poprzek jego brzucha. Wystawał spod niej strzęp odzieży - żółty jedwab, ozdobiony nanizanymi turkusami, teraz cały zbrukany krwią. Gdy tak mu się przyglądałem, podbiegło do niego dwóch Kreteńczyków i zaczęło przepychać się jeden przez drugiego, chcąc porwać jego biżuterię.

Odpędziłem ich i przyklęknąłem, kątem oka obserwując werandę, gdzie dostrzegł nas oddział wojska. Brudna dłoń Alektryona chwyciła moje ramię.

- Tezeuszu - wrzęził - nie zostawiaj mnie tu na pastwę ognia.

Spojrzałem na wielką kolumnę, a potem w jego oczy. Zrozumieliśmy się bez słów. Zmiotłem gruz z jego piersi. Pierś miał wątłą i ledwo dawało się wyczuć bicie jego serca.

- To nie potrwa długo - powiedziałem. – Niechaj Przewodnik prowadzi cię łaskawie. Zamknij oczy.

Alektryon położył dłoń na moim nadgarstku i dyszał, jak gdyby znów miał coś powiedzieć. Czekałem, a on wykonał gwałtowny ruch głową w stronę zachodniego skrzydła i wyszeptał:

- Minotaur.

Potem zamknął oczy, tak jak mu powiedziałem. Widząc, że zaciśka z bólu powieki, postanowiłem nie przedłużać jego męki. Wciągnął w płuca ostatni haust powietrza i skonał, a ja odwróciłem się, bowiem tak wiele było wciąż do zrobienia. Z tego powodu nigdy nie dowiedziałem się, komu przypadły w udziale jego kolczyki i naszyjnik.

Po schodach schodzili jacyś ludzie. Trzymali w górze tarcze, którymi osłaniali się przed kamieniami, miotanymi przez Kreteńczyków. Pierwszy szedł Foitios o nosie boksera. Zatrzymał się przy królewskiej kolumnie i zawołał do Kreteńczyków:

- Uspokójcie się, dobrzy ludzie. Trzeba wam opłakiwać waszego króla. Minos zginął w trzęsieniu ziemi. Gdy nadejdzie czas do wiecie się, w jaki sposób zgrzeszył przeciwko bogu i wywołał tę zemstę. Wprzód jednak trzeba uczcić nowego Minosa, który może zaprowadzić pokój z Wstrząsającym Ziemią i odwrócić jego gniew. Teraz, gdy zwracam się do was, trwa już święty rytuał; czasy są zbyt niebezpieczne, aby odprawiać go publicznie.

Rozległy się odgłosy dezaprobaty i gniewne jęki, lecz Foitios potrafił wytrwać bezwstydnie w kłamstwie. Wzniósł dłoń do góry; był człowiekiem nawykłym do rozkazywania i ten znak miał w sobie moc.

- Uważajcie! Nowy król jest w obecności Matki Dii! Mężczyźni nieoczyszczeni, którzy przybyli do świątyni, popełniają świętokradztwo. Czy nie dość było nieszczęść? Odstąpcie i uniknijcie przekleństwa.

Kreteńczycy odsunęli się, mamrocząc. Nie byli wojownikami i mieli powody, aby bać się bogów. Po krótkiej chwili ciszy z drugiej strony dziedzińca rozległ się wysoki śpiewny głos:

- A kimże ty jesteś, Foitiosie, aby rzucać przekleństwa w imieniu Matki?

Ariadna stała na podeście przed swoją lektyką z uniesionym prawym ramieniem. Na jej sukni, tej samej, w której prowadziła taniec, pełgało światło płomieni. Usta Foitiosa znieruchomiały, a jego ludzie spojrzeli po sobie. Ja też wpatrywałem się w nią z nabożną czcią. Nigdy przedtem nie słyszałem nikogo, kto mówiłby z taką mocą.

- To, co dzieje się w środku - Ariadna wskazała świątynię - nie-sie przekleństwo dla Labiryntu! Wzywam wszystkich bogów na świadków, że to on właśnie zamordował Minosa! Zabójca stoi przed Matką, w świętym miejscu, nieobmyty z krwi, którą przelał, a ty mówisz o świętokradztwie?!

Zapadła martwa cisza, tylko ogień huczał i trzaskał. Ariadna skierowała obie dłonie ku ziemi i wykrzyknęła głośno:

- Niech przeklnie go Matka i wszyscy bogowie podziemni! Oby Córci Nocy ścigały go w zaświatach! A na dłoń, która pozbawi go życia, niechaj spłynie błogosławieństwo.

Kreteńczycy z krzykiem ruszyli naprzód. Dopingowałem ich; wojownik nie zapomina o walce. Coś jednak budziło mój niepokój. Zastanawiałem się: "Czy ona nie wie, kto stracił Minosa? Czy jej przekleństwo nie dosięgnie i mnie?" Zaraz rozviałem swe obawy, uznawszy, że sam Minos uwolnił mnie od niego. Jednak po chwili znów ogarnęły mnie wątpliwości: "Ona dowie się, kto go zabił, jeśli mówiła w mocy jakiegoś boga". Potem poczułem się lepiej. Tak jak dla Asteriona najważniejsze jest bycie synem swej własnej matki, dla mnie nie było żadnego świętszego obowiązku niż pomścić ojca. Można było tylko chwalić ją, że chciała widzieć jego krew.

Kreteńczycy znów zaczęli miotać kamienie i napierali coraz bliżej; za nami był ogień, a przed nami - wróg. Podskoczyłem, aby tancerze mogli mnie widzieć i dałem wezwanie areny byka, gdy każdy jest potrzebny do okiełznania zwierzęcia.

Odpowiedział mi chłopięcy okrzyk. Talestris wspięła się na gruzy, a światło ognia zabarwiło jej krzepkie kończyny na barwę złota.

Sięgnęła po strzałę do zawieszzonego na placach kołczana i umieściła ją na cięciwie, która wydała śpiewny dźwięk. Foitios upadł.

- Dobry strzał! - zawołałem i odwróciłem się do niej z uśmiechem.

Lecz nasze oczy nie spotkały się. Talestris klęczała i osuwała się do tyłu, a pod jej piersią tkwiło drzewce oszczepu. Upadła na ziemię; krew z jej rany popłynęła szkarłatną strugą, a oddech przeszedł w rżenie. Rudowłosa Amazonka, która walczyła po jej lewej ręce przyklęła obok, lamentując. Talestris odepchnęła ją, wspierając się na łokciu; obrzuciła wzrokiem linię bitewną i wskazała człowieka, który cisnął w nią oszczep. Rudowłosa zerwała się znowu. Pod rozświetlonym niebem jej oczy zdawały się lśnić ognistymi łzami, lecz odegnała je mruganiem i opanowała drżenie rąk, aby móc precyzyjnie celować. Wskazany przez Talestris mężczyzna chwycił się za gardło. Pomiędzy jego palcami ujrzałem pierzastą końcówkę strzały. Dziewczyna odwróciła się, lecz wzrok Talestris był już martwy. Kapłanka leżała nieruchomo z czarnymi włosami rozsypanymi pomiędzy skorupami malowanej wazy.

Rudowłosa wydobyła z gardła wrzask, który na chwilę zagłuszył wszelki inny zgiełk płonącego Labiryntu i rzuciła się ku włócznikom. Zawtórowałem jej swym okrzykiem wojennym i ruszyłem do przodu. Podobał mi się jej zapach, lecz za nic w świecie nie chciałem, aby kobieta dostała się tam przede mną.

Tancerze przybyli, rojąc się ponad strzaskanymi kamieniami. Nasze stopy poruszały się lekko - umiejętność tę nabyliśmy w gęstym piasku areny, ćwicząc uniki przed bykiem. Dla nas, którzy bezbronni flirtowaliśmy ze śmiercią, oręż w naszych dłoniach był niczym pożywienie w czasie głodu. Oddziały na schodach były uzbrojone we włócznie i tarcze, lecz kreteńskie byki mają długie rogi, a ich czoła są mocniejsze, niż niejeden platerowany wojenny hełm. Przywykliśmy do nierównych szans; całe nasze życie opierało się na tym.

W naszą stronę wciąż leciały włócznie, a my nie mogliśmy rzucać naszych; wszystkie zostały skrócone, aby przemycić je do Sali

Byka. Amyntor był przy mnie. Wymieniliśmy niemal miłosne uśmiechy, jak mężczyźni w bitwie, którzy znają nawzajem swe myśli. Obydwaj wybraliśmy sobie ofiary i czekaliśmy, aż kamień sprawi, że upatrzony człowiek podniesie w górę swą tarczę; potem podbiegliśmy do nich i zaczęliśmy walkę wręcz. Każdy z nas powrócił z tarczą i włócznią długości siedmiu stóp.

Napieraliśmy na szerokie schody. Nieopodal zobaczyłem rudowłosą Amazonkę z bronią i hełmem Foitiosa. Strażnicy na górze schodów zwarli swoje tarcze, lecz spychaliśmy ich stopniowo, w górę i w tył ku sali na górze, mijając malowany fryz przedstawiający szlachetnych młodzieńców niosących dary Minosowi. Niekiedy któryś ze strażników potykał się i spadał ze schodów wprost w nasze ręce. Schody stawały się coraz bardziej śliskie, lecz warto było wspiąć się po nich, aby zdobyć broń. Dostrzegłem, że niektórzy z tyłu rozpoczęli odwrót. Na ten widok podniosłem dziki wrzask, aby przerazić resztę.

Nagle wszyscy skryli się w cieniu, jak woda, która wyciekła ze zbiornika. Odeszli, aby utrzymać węższe przejście. Wydaliśmy z siebie głośny okrzyk triumfu. Pośród wszystkich wiwatujących głosów, usłyszałem jeden, który sprawił, że się odwróciłem. To była Ariadna, którą nieśli wysoko w lektyce rozradowani Kreteńczycy. Włosy miała w nieładzie, oczy szeroko otwarte i wzywała nas do mordu.

Gdy my wdarliśmy się na schody, spojrzałem na rudowłosą Amazonkę, której ramię była teraz zabarwione czerwienią rany i moje serce odwróciło się od swoich własnych myśli. Bo szaleństwo wojenne przynosi zaszczyt wojownicze, która przelewa krew i ryzykuje życie u twego boku. Nikt nie wie tego lepiej ode mnie - który miałem niegdyś takiego towarzysza - że taka osoba jest niczym jasna pochodnia, która świeci w bitwie. Lecz dla kobiety o miękkich dłoniach, której malowane stopy niewiele miały okazji, by dotykać ziemi, nie było tak samo.

"Cóż - rzekłem do siebie - postępowano z nią niegodziwie, a grożono czymś jeszcze gorszym. Ma prawo do zemsty. Nadszedł czas by działać, a nie myśleć".

Na górze schodów znajdowała się sala, a za nią wejście, gdzie światło przeświecało z klatki schodowej otwartej na niebo. Jednak podczas gdy część strażników broniła zewnętrznych schodów, ci, o których sądziłem, że uciekli, wznosili barykadę z upadłych kamieni i skrzyń i ciężkich rzeczy. Wyglądała, jakby można ją było dość długo utrzymać. Strażnicy krzyknęli do nas zza barykady, nakazując nam odejść i zostawić Minosa z jego świętym zadaniem.

- Święte zadanie! - zwróciłem się do Amyntora. - Jest tylko jedna rzecz, której bogowie wciąż chcą od niego. Gdyby był choćby w połowie królem, złożyłby w ofierze sam siebie, a nie pozostawiał tego nam.

Potem spojrzałem na klatkę schodową i przypomniałem sobie miejsce poniżej, pod ziemią. Przyszedł mi do głowy pewien plan.

- Atakuj dalej - zwróciłem się do Kasosa. - Napieraj na ich mocno, tak aby nie zorientowali się, że grasz na zwłokę. Znam drogę, która może być jednak zablokowana przez trzęsienie ziemi. Jeśli uda mi się tam dostać, usłyszysz mój okrzyk wojenny.

Poszukałem wzrokiem Pani i ujrzałem, że jest bezpieczna wśród swych kreteńskich strażników. Potem zgromadziłem wokół siebie Żurawi i rzekłem krótko:

- Za mną.

Raz jeszcze poprowadziłem ich w dół po schodach, a następnie wzdłuż dziedzińca, ku północnemu budynkowi poza samą Salą Byka. Natknęliśmy się na niewielką płataninę korytarzy, kuchni, pomieszczeń, w których przeprowadzano destylację, trzymano farby i mieszano oliwę i pachnidła. Był tam również skład starych lamp, z zapadną prowadząca do piwnic.

Przednia ściana budynku runęła, a wyższe piętra stały w ogniu; jednak poniżej grube ściany i kolumny nadal stały, a z parteru można było dostać się do środka. Muszę przyznać, że nie podobało mi się to. Wielki gniew Posejdona sprawił, że czułem się śmiertelnie wycieńczony i zubożniały na mniejsze ostrzeżenia. To miejsce sprawiało wrażenie, jakby w każdej chwili, gdy tylko ktoś głośniejsze westchnie, gotowe było się zawalić. Zanim weszliśmy, pomodliłem

się do niego o znak, gdyby wciąż się gniewał. Jednak nic nie poruszało się, prócz ognia ponad nami. Weszliśmy do środka.

Skład starych lamp zachował się. Półki zawały się, a lampy leżały potraskane na podłodze. W pomieszczeniu były również potraskane dzbany z oliwą. Popatrzyliśmy po sobie, świadomi, że ogień może odciąć nam drogę odwrotu. Jednak poniżej wznosiły się silne kolumny Kreteńskiego Minosa, które wytrzymały dwa wielkie trzęsienia ziemi. Pomyślałem, że to ryzyko warto podjąć. Żurawie zaufały mi.

Tam, w dole, wszystko było pogrążone w gęstej ciemności. Zrobiliśmy sobie z naszej odzieży knoty na dwie lampy, wciąż z zapasem oliwy w środku; na brak podpałki nie można było się uskarżać. Odnalazłem tajemną nić, wciąż przywiązaną do swej kolumny. Wziąłem ją w jedną dłoń, a lampę w drugą, i poprowadziłem drogę.

Miejsce się zmieniło. Byliśmy zmuszeni brodzić w winie i oliwie, w soczewicy i sezamie, w miejscu, gdzie wstrząsy zrzuciły w dół tytkwy i półki. Wtem, mijając dawną zbrojownię, ujrzelśmy za nią, poprzez wąski szczelinę, dzikie migoczące światło pochodni i usłyszeliśmy krzyki ludzi walczących jak bestie. Odgadłem, że krypty ze skarbami leżą tutaj. Lecz Żurawie trzymali się mnie, pewni i milczący. Nasze umysły były jednym; my nie zapadliśmy na tę chorobę.

W końcu przyszlismy obok Strażnika. Wielkie głazy upadły z kolumny przy nim, a on podniósł się trochę z ziemi. Widoczna była teraz jego szczeka, a w niej piękne, silne zęby; musiał być młody. Żurawie zaczęły się niepokoić, lecz on był moim starym przyjacielem; w jego wyszczerzonym grymasie nie dostrzegłem żadnych złych zamiarów. Nie dbałem nawet o chwiejną kolumnę; położyłem palce na ustach i dalej stąpaliśmy po cichu.

W końcu ujrzelśmy przed sobą położone w górze drzwi, a pod nimi szczelinę światła. Zakradliśmy cicho i przykładając ucho do drewna usłyszałem czyjś śpiew.

Dotknąłem drzwi, pełen obaw, że są na dobre zablokowane. Jednak one, wciąż naoliwione od ostatniego razu, otwarły się lekko.

Chwyciliśmy naszą broń i wślizgnęliśmy się do środka. Przedśionek pełen był strzelających płomyków. Skradając się przeszliśmy przez niego. Dalej znajdowały się schody, całe pogrążone w przyćmionej czerwieni światła rzucanego z płonącego nieba. Poniżej zaś były lampy i zmieszana z dymem wirująca chmura kadzidła. Dałem znak, by wszyscy zamilkli i ruszyliśmy dalej.

Naszym oczom ukazał się obrzęd odprawiany w strachu i pośród ruin: kapłani i kapłanki mieli na sobie swe codzienne odzienie; jedynie jakieś szmaty lub strzępy symbolizowały święte stroje. Bogate podesty podtrzymywały lampy wykonane z najzwyczajszej gliny. Chłopiec o brudnej twarzy trzymał ozdobioną geometrycznym ornamentem kadzielnice. Obok popękanych waz cennej roboty stały zwyczajne garnki z kuchni wypełnione świętymi olejami. Biały tron Minosa stał pusty pomiędzy gryfami. Uwalany błotem tłum zwracał się w inną stronę, ku obniżonemu ziemnej świątyni. Wokół niej stali hierofanci o białych twarzach. W swych obszytych złotem szatach, podartych i pobrudzonych ziemią, wyglądali jak szalbierze w niepotrzebnych i nieużywanych przez bogaczy ubraniach, kupionych od służby. Ich inkantacje, niepewne jak skargi żebraków, wypełniały miejsce bełkotliwym buczeniem; czasem, gdy niesiona wiatrem sadza dostawała się do gardeł, chwycił ich kaszel.

W dole, na ziemnym dziedzińcu stał człowiek, niemal nagi. Miał grube nogi, był mocnej budowy, porośnięty czarnymi włosami na klatce piersiowej, łędźwiach i łydkach. Stał w rozkroku przed Świętą Labrys. Jego tułów lśnił od oleju, jaki trzęsący się starzec i kobieta wcierali w niego swymi na wpół bezwładnymi dłońmi. Od szyi w dół był człowiekiem i kimś pospolitym; powyżej szyi był zwierzęciem i kimś szlachetnym. Spokojna i wyniosła, długoroga, o gęstych brwiach, wspaniała maska byka wykonana przez Dedala patrzyła na tę nędzną zbieraninę swoimi głębokimi kryształowymi oczami.

Ponad śpiewem dawały się słyszeć w pół stłumione przez ściany inne odgłosy: szcęk broni i kamieni, okrzyki ludzi, wrzaski Amazo-nek. Walka wciąż trwała. Nasi przyjaciele ufali nam. Czas nadszedł.

Z wojennym okrzykiem na ustach ruszyłem pomiędzy nich.

Celebransi rozproszyli się z wrzaskiem. Rzucili się do klatki schodowej, starzy mężczyźni i kobiety padali na ziemię, podczas gdy ci, którzy byli silniejsi, traktowali ich. Z zewnątrz dochodziły krzyki obrońców, którzy usłyszeli, że zostali zaatakowani z tyłu. Kilku strażników, stacjonujących przy samej Sali Tronowej, wpadło w złamanym szyku i z błędnym wzrokiem. Uznałem, że Żurawie mogą ich powstrzymać. Jeśli o mnie chodzi, miałem jedno zadanie do wykonania.

Minotaur stał osaczony, oparty o wysoka ścianę, która dźwigała schody ponad zagłębieniem. Stał zbyt nisko, by mógł wydostać się stąd inaczej, niż tylko wspinając się po ich stopniach. Stałem na szczycie i zawołałem go po imieniu. Chciałem, aby mnie rozpoznał. Złota maska odwróciła się i skośne oczy skierowały się ku mnie. Znieruchomiałem pod tym królewskim spojrzeniem, które użyczało majestatu nawet temu, co kryło się wewnątrz, podniosłem ramię i powitałem byka salutem lidera zespołu. Potem skoczyłem do niego w dół.

Przez chwilę stał, mając za plecami ścianę. Potem jego ramię pochwyliło coś błyskawicznym ruchem. Jakiś ciemny kształt zawisł wokół niego w powietrzu. Porwał z podestu Matkę Labrys, Zjadającą Królów, pradawnego strażnika... Gdzieś na schodach dał się słyszeć krzyk jednej z kapłanek.

Skoro odmówił niegdyś uznania we mnie godności wojownika, byłem gotowy zabić go nieuzbrojonego, jak zabija się dzikie bestie. Lecz moje serce zabiło żywiej, gdy okazało się, że czeka mnie walka. Tańczyłem wokół niego, pozorując ataki moją włócznią, podczas gdy on czekał, w pół przykucnięty, z toporem przy barku. Zdawało mi się niestosowne, że obaj jesteśmy uzbrojeni, że wystarczyłyby jego długie rogi, które mógłbym chwycić i przeskoczyć przez nie, podczas gdy hazardziści wykrzykiwaliby swoje stawki, a widzowie wołali z malowanych trybun.

Stary kapłan i kapłanka uciekli; teraz całą niewielką przestrzeń mieliśmy do swojej dyspozycji. Zrobiłem wypad do przodu, aby

szybko zakończyć sprawę, lecz strach sprawił, że on również stał się szybszy. Kamienne ostrze opadło w dół ponad drzewcem mojej włóczni, w odległości stopy od mojej głowy. Włócznia pękła jak źdźbło trawy, przecięta w połowie. Potem obaj byliśmy sami w naszej małej arenie, jak w dniach pierwotnej ofiary; uzbrojona bestia i nagi człowiek.

Słyszałem jego ciężki oddech w pustej masce, gdy ruszył do przodu podnosząc topór do ciosu. Jego mięsiste barki dysponowały nie lada siłą. Powyżej, w Sali Tronowej, trwała zażarta walka; nikt nie mógł przyjść z pomocą. Krążył wokół mnie, aby odciąć mnie od schodów i kierował mnie ku odleglejszej ścianie. Potem nie było nic więcej do zrobienia, moje ciało myślało za mnie tak jak w tańcu. Stałem przy ścianie, a gdy topór się zbliżył, padłem jak kamień. Gdy uderzył w ścianę, gdzie stałem, chwyciłem nogę Minotaura i przewróciłem go.

Upadł ciężko na twardą, wyłożoną glazurą podłogę ziemnego dziedzińca. Usłyszałem stłumiony brzęk złotej maski uderzającej o podłogę. Gdy rzuciłem się na niego i spojrzałem nań z pogardą, zrozumiałem, że walczył na ślepo. Wciąż miał topór, lecz teraz byliśmy w zwarciu, nie mógł się nim zamierzyć. Skrócił swój chwyt i gdy potoczyliśmy się po ziemi, zadał mi nim cios, który nie zrobił mi więcej krzywdy niż uderzenie zwykłym kamieniem. Pomyślałem, że Labrys nigdy nie będzie walczyła dla niego. Była stara i przywykła do godności; raz jeszcze miała karmić się królem. Z pewnością nie podobałoby jej się lekceważenie.

Miałem rację. Gdyby zostawił ją i użył obu rąk do zapasów, miałby szanse; ważył dwa razy więcej niż ja i nie miał za sobą tak wyczerpującego dnia. Lecz on nie był zapaśnikiem, choć Kreteńscy są dobrze uczeni; nie mógł uwolnić się od chęci rozłupania mi głowy. Gdy więc podniósł ostrze topora, miałem czas, aby wydobyć zza pasa mój sztylet i zatopić go w jego ciele z całą siłą, jaka mi pozostała. Ostrze miało do pokonania długą drogę poprzez jego grubą warstwę tłuszczu; lecz dosięgło jego życia. Skręcił się z bólu z głośnym krzykiem przypominającym kwik świni i chwycił się za

brzuch. Odstąpiłem od niego z toporem w dłoni.

Krzyk rozległ się również na schodach; były to jednak raczej głosy wyrażające nabożny lęk niż smutek. Potem nastąpiła głęboka cisza. Patrząc w górę, zobaczyłem, że wszystkie Żurawie są bezpieczne. Strażnicy uciekli. Leżał przede mną na podłodze, wijąc się, drapiąc szlachetną maskę Boga Byka. Zdarłem ją z niego i podniosłem, aby ujrzeli ją inni.

Teraz zobaczyłem jego twarz, wykrzywioną grymasem, z odsłoniętymi zębami. Podszedłem do niego, aby usłyszeć, co mi powie. Lecz on tylko patrzył na mnie, jak na jakiś kształt chaosu, widziany we śnie, w którym nic nie ma sensu. On, który myślał, że będzie rządzić bez ofiary, który nigdy nie czuł oddechu boga podnoszącego człowieka ponad niego samego, nie miał nic, co mógłby zabrać jako król do ciemnego domu Hadesa. A jednak zobaczyłem na jego pierśsi zmieszana z krwią i potem oliwę, która sprawiła, że był tak śliski, gdy mocowaliśmy się. Został więc już namaszczony, gdy wdarliśmy się do środka. Zatem, koniec końców, rytuał musiał zostać dopełniony.

Podniosłem maskę Minosa i założyłem ją. Przez oczy grubego wykrzywionego kryształu wszystko wyglądało małe, dalekie i jasne; musiałem na chwilę się zatrzymać, aby do tego przywyknąć i ocenić odległość. Potem pochwyciłem Labrys i opuściłem ją w dół, a moja głowa, barki i ciało podążyły za ciosem. Siła uderzenia zatrzęsła dłońmi. Głos u moich stóp umilkł.

Z Sali Tronowej powyżej dobiegł mnie okrzyk Żurawi, a z wewroty posłyszałem hałas odwrotu, gdy wiadomość dotarła do obrońców. Stałem nieruchomo, widząc przez kryształ wszystko małe i jasne. Zapewne tak właśnie bóg widzi świat, gdy patrzy z nieba, spoglądając daleko w dół i tysiąc lat wstecz, na ludzi, którzy żyli i cierpieli w dawnych czasach. W moim sercu na długo zapadła cisza.

Księga V

Naksos

1

Dzięki łodzi znalezionej w gaju oliwnym opuściliśmy wreszcie Krete.

Nie tylko ziemia odczuła na sobie trójząb Posejdona. Ustępujące morze, które osadziło na mieliźnie barki w Amnisos, powróciło gwałtownie wraz z trzęsieniem ziemi. Zniszczyło falochron i zdruzgotało statki znajdujące się ponad nim. Dolne miasto zostało zatopione, a wody pochłonęły więcej ofiar niż wojna. Jednak kilka łodzi porwanych przez fale osiadło łagodnie w głębi łądu, jak ta pośród oliwek. Stoczyliśmy ją w dół do wody na pniach zwalonych drzew.

Trzymaliśmy przy niej strażę w dzień i w nocy, aż wreszcie pogoda pozwoliła nam odpłynąć. Cała Kreta pogrążona była w chaosie. Gdy tylko rozeszła się wieść, że Dom Topora upadł, rodowici Kreteńczycy rozpoczęli burzenie twierdz i plądrowanie pałaców. Niekiedy mordowano panów wraz ze wszystkimi domownikami; kilku z nich zdołało zbiec w góry; niektórych, szanowanych przez swój lud, pozostawiono w spokoju. Z każdą godziną pojawiały się nowe pogłoski; ludzie zwracali się do mnie z prośbą, abym przewodził tej lub innej grupie. Wszystkim im udzielałem tej samej odpowiedzi, że niebawem powrócę. Nie uśmiechało mi się władać na Krecie jako uwolniony tancerz, stojący na czele byłych niewolników zajmujących się grabieżą. Chciałem przybyć jako król, panujący zarówno Hellenom, jak i Kreteńczykom. Teraz nie brakowało tam łodzi, jeśli nie dostanę wystarczającej ich ilości w Attyce, Trojencie i Eleuzis, sprawię, że hellenscy królowie będą rozpychać się jeden przez drugiego, aby wziąć udział w przedsięwzięciu. Czegóż mogłem pragnąć więcej? Odtąd łąd stały będzie rządzić Wyspami. Już nigdy

w żadnym helleńskim królestwie chłopcy i dziewczęta nie będą uciekać na wzgórze na widok kreteńskiego żagla.

Na naszą łódź zabrali się tancerze, którzy przybyli z ziem helleńskich oraz Minianie z Cykladów. Tylko dwoje dziewcząt zdecydowało się pozostać, aby poślubić Kreteńczyków. Mężczyźni ci wielbili je, gdy były jeszcze tancerkami w kręgu, posyłali im podarunki i listy, lecz dotąd nigdy się z nimi nie spotkali. Dziewczęta te były jednak z innych drużyn; nawet teraz, gdy nasze serca rwały się ku domom, Żurawie były wciąż jednym rodem.

Nie mieliśmy wielkiego kłopotu z obsadzeniem załogą naszej łodzi. Wielu mężczyzn zabiło starych wrogów podczas zamieszek i pragnęło uciec zanim dosięgnie ich zemsta rodowa. Wznieśliśmy nasze obozowisko nieopodal statku i nie pozwalaliśmy dziewczętom oddalać się samotnie za daleko, nawet jeśli miały przy sobie broń. Był to czas bezprawia.

Kiedy w końcu zjawił się dogodny i stabilny wiatr, spotkaliśmy się na brzegu, by złożyć byka w ofierze Posejdonowi i wylać dlań libacje miodu, oliwy i wina, dziękując mu za jego przychyłność i modląc się do niego, aby błogosławił naszej podróży. Nie zapomnieliśmy też o Pelei, Pani Morza. Ofiarę złożyła Ariadna. Suknię miała w strzępach, a cały jej orszak kapłanki stanowiły dwa biedne staruchy, które znaleźliśmy, jak kulily się nad ogniskiem z patyków. Jednak jej uroda wciąż zapierała mi dech w piersiach, jak niegdyś, gdy ujrzałem ją w złocistej świątyni ponad areną. Ugasiliśmy ogień winem; łódź przesunęła się w dół na balach drzew i stała się lekka, gdy poczuła morze. Brodząc w wodzie przeniosłem Panią Labiryntu do łodzi, która miała nas zabrać do domu.

Raz jeszcze stałem na pokładzie kreteńskiego okrętu i spoglądałem na niespokojne morze, ciemne jak wino, i wznoszące się w górę żółte klify, o podnózu skąpanym w pianie. Ariadna szlochała za swą ojczyzną, a gdy opowiadałem jej o Attyce, Kreta nikła nam z oczu.

Nazajutrz ujrzeliśmy przed sobą wielki dym. Pod wieczór pilot rzekł do mnie:

- To Kalliste. Powinniśmy tam dotrzeć jeszcze tej nocy. Na wyspie albo szaleje pożar lasu, albo trwa wojna.

- Tego mieliśmy już dosyć - odparłem. - Miej się na baczności, a jeśli zauważysz, że to płonie miasto, kieruj się na Anaphe.

Żeglowaliśmy dalej. Czarny dym wisiał na niebie niczym wielka, burzowa chmura. Kiedy zbliżyliśmy się do wyspy, zaczął spadać na nas popiół. Niebawem sadza pokryła całą łódź, nasze ciała i odzież. Obserwator zawołał pilota. Stali na dziobie, pogrążeni w rozmowie, z popładłymi twarzami, co spostrzegłem, kiedy się do nich zbliżyłem.

- Łąd wygląda inaczej, niż kiedyś - wyksztusił pilot.

Spojrzałem na szary zarys wyspy. Żeglarz mówił prawdę.

Poczułem, jak mój żołądek kurczy się ze strachu. Zapadłem się w głąb siebie, aby nasłuchiwać boga; zdawało się, że na niebie wypisano jakiś straszliwy gniew. Bóg nie wysyłał jednak żadnego ostrzeżenia; oprócz czarnej chmury, wszędzie panował spokój.

- Podpłynijmy bliżej - rzekłem więc.

I tak się stało. Świeży wiatr z rufy kierował dym na północ; zachodzące słońce świeciło blado i czysto. A potem, gdy zatrzymaliśmy się na zachód od Kalliste, ujrzeliśmy ową straszliwą rzecz, jakiej dokonał bóg.

Część wyspy całkiem znikła, jakby coś ją rozcięło w pół od szczytów wzgórz aż po morze; w miejscu dymiącej góry ziała pustka. Bóg zabrał wszystko - wielkie masy skalne, ziemię i las, pastwiska kóz i gaje oliwne, sady i winnice, zagrody owiec i domy - wszystko, wszystko znikło. Nie zostało nic, oprócz wielkiej łukowatej zatoki u podnóża ogromnych, stromych klifów, po której pływały wraki. Na zewnątrz zatoki, na najdalej wysuniętym cyplu wyspy, wznosił się teraz mały kopczyk, który wypluwał z siebie dym. To było wszystko, co pozostało po wielkim kominie Hefajstosa.

Powierzchnię morza wokół nas pokrywały zwęglone gałęzie, martwe ptaki i kawałki na wpół spalonych strzech. Nieopodal dryfowało samotnie coś, co zrazu wziąłem za łososia; było to oderwane kobiece ramię. Wzdrygnąłem się, i przypomniałem sobie, jaki niepokój wzbudziło we mnie to miejsce, gdy płynąłem w przeciwną

stronę. Z pewnością musiało tu dojść do jakiegoś wielce bezbożnego aktu - czegoś, co sprawia, że bogowie odwracają swe oblicza od jakiegoś miejsca. Ujrzałem je takim, jakim było w zeszłym roku, całe odziane w kwiecie, niewinne jak uśmiechnięte dziecko, skazana na zagładę jasność. Płynęliśmy szybko, bowiem wiosłarze nie zatrzymywali się. Byli przekonani, że w takim miejscu nawet morze i powietrze muszą być wypełnione gniewem boga, który gotów jest rzucić się na człowieka i wyssać mu szpik z kości. Niektórzy chcieli złożyć w ofierze chłopca pokładowego, aby powstrzymać Ciemnowłosego Posejdona przed pościgiem, ja jednak stwierdziłem, że nie ulega wątpliwości, iż bóg zrobił to, co do niego należało i że jego gniew nie dotyczy nas. Odpływaliśmy z ulgą; wiosłarze, aby najprędzej opuścić to miejsce, wiosłowali tak szybko, że aż nie nadążał bębniarz nadający rytm ich pracy. Słońce zachodziło tak wspaniale, jak jeszcze nikt z nas nie widział: na karmazynowo-zielono-złotym niebie piętrzyły się wielkie, purpurowe chmury. Uznaliśmy to za znak, że bogowie powściągnęli swój gniew i nadal są naszymi przyjaciółmi. Z lekką bryzą, około północy dotarliśmy do los, gdzie zrobiliśmy postój. Następnego ranka wiatr nam sprzyjał. Skierowaliśmy się w stronę żywej wyspy Dia, na której leży miasto zwane Naksos.

Przed wieczorem zbliżyliśmy się do przystani, a naszym oczom ukazały się zbocza wzgórz, pokryte obficie gajami oliwnymi, zielonymi polami zbóż, sadami i winnicami. Matka niewątpliwie darzyła ten ład miłością, nic więc dziwnego, że jego mieszkańcy nadali wyspie imię bogini. Dia jest największa i najbogatsza w archipelagu Cyklad. Z oddali ujrzeliśmy pałac królewski stojący pośród winnic, wysoki, jasny gmach przypominający budowlę kreteńskie. Pokazując mi go, Ariadna uśmiechnęła się; byłem rad, że miejsce to przypomina jej dom rodzinny. Widok Kalliste bardzo ją przygnębił.

Dwoje lub troje tancerzy pochodziło właśnie stąd. W ramionach rozradowanych ziomków opowiedzieli im swoje dzieje. Od upadku Labiryntu jeszcze żadna łódź przed nami nie przybyła tu prosto z

Kreta; do mieszkańców Naksos docierały jedynie mniej lub bardziej fantastyczne pogłoski. Mówili nam, że byli świadkami złowieszczych znaków; słyszeli hałas głośny jak tysiąc grzmotów, z nieba spadł deszcz popiołów, a na nocnym niebie nad Kalliste rozgorzała ognista luna. Jak się dowiedzieliśmy, działo się to tego samego dnia i o tej samej porze, gdy na Dom Topora spadło nieszczęście.

Nasze wieści napełniły ich strachem i zdumieniem. Minos był Wielkim Królem wszystkich wysp od niepamiętnych czasów; mieszkańcy Dia uznawali jego zwierzchność i płacili mu trybut, bardzo obfity, była to bowiem bogata kraina. Tego roku też mieli tak uczynić, teraz jednak okazało się, że mogą zatrzymać dla siebie swoją oliwę, zboże, owce, miód i wino, nad które nie masz lepszych; a nadto chłopców i dziewczęta, którzy odtąd będą już tańczyć tylko w domu. Nazajutrz miało się odbyć święto ku czci Dionizosa, który sam zasadził tam winorośl, gdy przybył na wyspę żeglując ze Wschodu jako oblubieniec Matki; mieszkańcy Dia chcieli uczcić ten dzień w sposób jeszcze bardziej uroczysty niż dotąd.

Jednak wszystkie inne przywiezione przez nas wieści przerosła informacja o tym, kim jest Ariadna. Wyspę zamieszkuje ludność różnego pochodzenia, lecz mieszkańcy samego Naksos, w tym członkowie królewskiego rodu, są Kreteńczykami, należącymi do pradawnego szczepu bez domieszki krwi helleńskiej. Wyznają oni starą religię i włada nimi królowa. Kiedy zatem ujrzeli pośród siebie Żywą Boginię, było to dla nich wydarzenie wyższej rangi, niż gdyby przybył sam Minos. Ariadnę umieszczono w lektyce, aby jej stopy nie dotykały ziemi, i zaniesiono do Pałacu. Szedłem u jej boku, a reszta podążała z tyłu.

Wysadzono ją na ganku, a zarządca Pałacu przyniósł puchar powitalny. Powiedli nas do łaźni, a następnie do Sali. Władczyni wyspy siedziała przed królewską kolumną, na tronie z drzewa oliwnego inkrustowanego perłami i srebrem; jej podnózek pokrywała owcza skóra zafarbowana na szkarłat. Na niskim zydłu obok niej siedział smagły młodzieniec o dziwnie podkrążonych oczach, którego uznałem za królewskiego małżonka.

Królowa powstała i wyszła nam na spotkanie. Była to kobieta około trzydziestoletnia, nadal urodziwa, czystej krwi Kretenka, o ciemnych włosach u fryzowanych w węzowe sploty. Jej piersi były ciężkie, lecz krągłe, mocne i jędrne, a wąska talia ciasno opasana złotem. Wyciągnęła ku Ariadnie obie dłonie i przekazała jej powitalny pocałunek. Dworki odziały Panią Labiryntu w bogatą, ciemnobłękitną tunikę, skrzącą się srebrnymi wisiorami, która pochodziła z garderoby Królowej, a jej oczy, świeżo umalowane, roz błysły w świetle lampy.

Na stołach pojawiło się jadło dla wszystkich tancerzy, chociaż była nas blisko czterdziestka. Królowa była bardzo łaskawa i nalegała, abyśmy posilili się, zanim rozpoczniemy nasze opowieści. Ariadna siadła po jej prawej ręce, na czele wszystkich kobiet. Gdy powiedziałem, że jestem jej mężem (mieliśmy się pobrać w Atenach, lecz nie chciałem, aby nas rozdzielono), posadzono mnie po jej lewicy, obok Króla.

Był to przystojny młodzieniec, mniej więcej szesnastoletni, żywy i pełen wdzięku; stworzony cały, rzekłbyś, dla uciechy i miłości kobiet. Nie wyglądało na to, aby swoje panowanie zawdzięczał szczególnej sile fizycznej. Zastanawiałem się, jak został wybrany władcą, jednak nie zapytałem go o to. Było w nim coś, czego nie potrafiłem nazwać, w jego wzroku czaił się jakiś daimon. Jego oczy nie błądziły, jak u szaleńców; były wręcz zbyt nieruchome. Na czymkolwiek młody Król zatrzymał swój wzrok, można było odnieść wrażenie, że chciał nasycić się tym widokiem bez końca. Gdy włożono mu w dłoń złocisty puchar, młodzieniec obracał go wokół, dopóki nie obejrzał całego wzoru, a potem przez dłuższy czas opukiwał go palcami. Wobec mnie zachowywał się nader uprzejmie, lecz było jasne, że pod tą maską kurtuazji ukrywa swe błędzące gdzieś daleko myśli. Raz tylko zauważyłem, jak z głębokim smutkiem, zmieszonym z czymś mrocznym, spogląda na Królową. Chociaż poza wymianą grzeczności stosownych przy stole, nie było potrzeby mówienia, w jego milczeniu było coś, co mnie gnębiło. Tylko po to, by przerwać tę dręczącą ciszę, odezwałem się:

- Macie tu jutro święto boga.

Król poniósł wzrok na moją twarz. Jego oczy niczego nie wyrażały, przyglądał mi się tak samo, jak pucharowi z winem, kobiecie, czy płomieniowi w świeżo zapalonej lampie. Potem odparł:

- Tak.

Nie rzekł już nic więcej, lecz jego odpowiedź obudziła coś w mojej pamięci i nagle wszystko pojąłem. Przypomniałem sobie słowa, jakie Pylas wypowiedział do mnie w górach ponad Eleusis: „Wiem, jak wygląda człowiek, który zna z góry swój koniec”.

Młodzieniec odczytał to zrozumienie w mojej twarzy. Na moment nasze oczy spotkały się, starając się przemówić do siebie. Chciałem mu rzec: „Bądź na mojej łodzi przed pierwszym pianem koguta, a o świcie będziemy już daleko. Ja też stałem tam, gdzie ty stoisz teraz; i spojrz, oto jestem wolny. Człowiek to coś więcej, niż mięso, zboże i wino, które go karmią. Nie wiem, jak zwie się to coś, lecz jest jakiś bóg, który umie to nazwać”. Kiedy jednak spojrzałem mu w oczy, nie dostrzegłem w nich nic, do czego mógłbym powiedzieć te słowa. Należał do Ludzi Ziemi, a pradawny wąż tańczył już w jego duszy.

Piliśmy więc dalej nasze wino, a ja nie dziwiłem się, że młody Król pił je tak obficie. Nie mówiliśmy wiele, bo nie miałem do powiedzenia nic, co dałoby się ująć w słowa; czy młodzieniec wiedział, że jest mi przykro, czy koilo go to, czy gniewało - nie wiem.

Gdy posililiśmy się, Królowa poprosiła nas, byśmy opowiedzieli o naszych losach. Ariadna wyjaśniła jej zatem, jak upadł Labirynt, jak zostałem ostrzeżony i kim jestem. Opowiadanie o mnie sprawiło, że jej twarz pokrył rumieniec, a ja zapragnąłem nocy. Nie uszło jednak mojej uwagi, że Królowa współczuje Ariadnie, że oto Pani Labiryntu udaje się do helleńskiego królestwa rządzonego przez mężczyzn. Co do Króla, to chłonał to wszystko z szeroko otwartymi ciemnymi oczami, w których lśniło światło lampy. Pojąłem, że byłoby mu bez różnicy, czy historia, której słucha, dotyczyła nas, czy też Tytanów lub dawnych miłostek bogów. Młodzieniec po raz ostatni oglądał noc, ucztę i światło pochodni.

Gdy Ariadna skończyła opowiadać, Królowa poprosiła, abym i ja przedstawił jej swoje dzieje.

- Niestety! - stwierdziła, gdy zamilkłem. - Kogóż można nazwać szczęśliwcem, dopóki nie ujrzał końca? Pani, ty jedna poznałaś odmianę poza zwykły los.

Potem jednak przypomniała sobie, że zobowiązana jest do uprzejmości, skłoniła się ku mnie i rzekła:

- A jednak Parki były ci przychylnie.

Skinąłem głową, a Ariadna uśmiechnęła się ze swojego podium. Przypomniałem sobie jednak, jak kiedyś, jeszcze na Krecie powiedziała mi: „Jesteś barbarzyńcą. Moja piastunka mówiła, że zjadają niegrzeczne dzieci” i zadumałem się nad tym, czy zawsze już, nawet gdy zostanę królem, będzie mnie postrzegać jako tańczącego z bykami chłopca z kontynentu.

- Teraz musisz nabrać odwagi i zapomnieć o swoich smutkach - ciągnęła Królowa. - Ty, twoja małżonka i twoi ludzie musicie zostać na naszym jutrzejszym święcie i wraz z nami uczcić boga, który uszczęśliwia ludzi.

Słyszając te słowa, starałem się nie patrzeć na młodzieńca siedzącego obok mnie. Nie marzyłem o niczym innym, jak tylko o tym, by móc opuścić to miejsce wraz z pierwszym brzaskiem. Próbowałem złapać wzrokiem spojrzenie Ariadny, lecz ona już dziękowała Królowej. Za oknem wzmagał się wiatr, który mógł nas zatrzymać jutro w porcie; gdybyśmy wyrządziwszy tym ludziom afront nie mogli się stąd wydostać, nasze położenie przedstawiałoby się marnie. Po upadku Krety nastął czas chaosu; przyjaciele mogli być przydatni. Starałem się zatem nie pokazywać prawdziwych uczuć i sprawiałem wrażenie zadowolonego.

Potem wysłuchaliśmy pieśni harfiarza, a następnie Królowa podniosła się ze swego tronu, życząc nam dobrego odpoczynku. Król zawtórował jej i również powstał. Raz jeszcze nasze spojrzenia się spotkały i poczułem, jak moje serce przepelnia się słowami, które chciałem mu powiedzieć; po chwili jednak opadło to ze mnie i pozostałem niemy. Gdy królewska para dotarła do schodów, zobaczyłem, że Królowa bierze młodzieńca za rękę. Z sali zabrano stoły i rozłożono w niej posłania dla mężczyzn; kobiety odprowadzono do

innej części budynku, ku żalowi tych, którzy od czasu opuszczenia przez nas Sali Byka stali się kochankami. Pośród nich byli Telamon i Nefele. Z tego, co słyszałem o jutrzejszym rytuale, miał być to tylko post przed świętem.

Ariadna i ja otrzymaliśmy wspaniały pokój na królewskim piętrze. Była to nasza pierwsza wspólna noc w wielkim łożu. Więc chociaż wiatr osłabł, nie mówiłem wiele na temat zwłoki, poza tym, że w domu będzie jednak lepiej.

- Tak - zgodziła się Ariadna - szkoda byłoby jednak opuszczać uroczystość. Nigdy nie widziałam, jaki ma tutaj przebieg.

Najwyraźniej nikt nie powiedział jej tego, co było mi znane, a ja sam nie paliłem się, by jej to wyjaśniać. Wkrótce zasnęliśmy.

Następnego dnia o poranku obudził nas śpiew. Przyodziliśmy się i dołączywszy do innych, ruszyliśmy w stronę brzegu morza. Tam już tańczono, a dzbany nie-rozcieńczonego wina, ciemnego, mocnego i słodkiego jak dojrzałe winogrona, przechodziły z rąk do rąk. Ludzie pozdrawiali nas; wino i śmiech sprawiły, że udzielił nam się ich nastroj i zaczęliśmy czuć ową jedność ze świętem, która jest magicznym darem Iakchosa.

Wszyscy spoglądali w stronę morza; niebawem w dali pojawił się żagiel, powitany okrzykami zachwytu. Łódź skierowała się ku świętej wysepce tuż przy brzegu. Wszystkie kobiety zaczęły się oddalać. Mieszkanki Naksos wzięły nasze dziewczęta ze sobą. Ariadnę też ktoś odciągnął od mojego boku. Nie widziałem w tym szkody, pojmując, że dołączyć do nich jest zaszczytem.

Łódź, cała ozdobiona zielonymi gałęziami i wieńcami, zbliżyła się do brzegu; maszt, pióra wiosel i dziób były pozłacane, żagiel zaś szkarłatny. Na pokładzie śpiewały młode dziewczęta, uderzając przy tym w cymbały i grając na bębenku i fletach. Na dziobie stał Król, przepasany skórą jelonka, ukoronowany zielonym bluszczem i młodymi pędami winorośli. Był bardzo pijany - winem i bogiem; machał do ludzi dłonią, a w jego ocienionych oczach widziałem szaloną radość.

Na świętej wyspie czekał nań jego wóz. Członkowie orszaku brodząc w wodzie dotarli do łodzi i wciągnęli ją na brzeg. Przy dźwiękach muzyki przeniesiono Króla na ląd.

Niebawem wóz z Królem przejechał przez głęboki po kolana bród, ciągnięty przez zaprzężonych doń mężczyzn ubranych w skóry panter i rogi byków. Krążący wokół nich tancerze śpiewali, błaznowali i wykrzykiwali rubaszne żarty, a przyczepione do ich lędźwi wielkie skórzane fallusy podskakiwały przy każdym ruchu. Przy ozdobionym girlandami wozie szły kobiety.

Niektóre uderzały w cymbały, inne niosły długie połączone ze sobą girlandy, lub machały świętymi tyrsami na długich tykach. Gdy tańcom towarzyszył śpiew, pieśń była dzika i bełkotliwa, bowiem menady miały już na twarzach maski. Ponad ich kołyszącymi się piersiami, gładkimi barkami i ramionami, które zdobiły wieńce, widać było głowy lwów i panter, rysy i wilków. Ciemne, kreteńskie włosy spływały im swobodnie na plecy. Pomyślałem, że trudno byłoby rozpoznać wśród nich nawet własną siostrę czy żonę. Król stał w ozdobionym girlandami rydwanie. Śmiał się i rozglądał wokół szalonym wzrokiem, zataczając się podпиты, gdy jego pojazd podskakiwał na wybojach. Czasem brał garść zboża z kosza, który stał za nim, i ciskał nim w ludzi lub skrapiał ich winem ze swego złotego pucharu. Wszyscy tłoczyli się wokół, aby błogosławieństwo spadło na nich. Kobiety wykrzykiwały: „Euoi! Euoi!”, a mężczyźni ciągnący wóz przyspieszyli kroku, biegiem zmierzając ku drodze na wzgórze. Mijając mnie, Król machał ramieniem, dzierżąc w dłoni puchar. Usłyszałem jego śpiew.

Ludzie zaczęli opuszczać wybrzeże, kierując się ku wzgórzom. Ja też poczułem jedność ze świętem, na tym polega bowiem magia boga. Czekałem jednak na Aria Inę, aby wróciła z wyspy. Rytuał dobiegł końca, mogliśmy zatem iść dalej razem, by dzielić się szaleństwem i miłością. Wóz i muzyka były już daleko z przodu i zaczęła we mnie narastać niecierpliwość, lecz nadal czekałem. Nie chciałem, aby Ariadna szła tam beze mnie. Nie wolno się złościć na to, co robią kobiety ogarnięte szałem Iakchosa; jedynym sposobem, by

zatrzymać swoją dziewczynę, jest mieć ją samemu.

Kilku młodzieńców płasło przy dźwiękach podwójnego fletu; puściłem się z nimi w tany, aż zakrzyknęli: „Na wzgórze!” i ruszyli w ślad za resztą. Ariadny wciąż nie było. Kilka kobiet szło przez bród na brzeg, lecz były stare, lub w zaawansowanej ciąży. Spytałem którejś z nich, czy jej nie widziała. Kobieta spojrzała na mnie i odparła:

- Jest z Królową i menadami, podążają za bogiem.

Nie można wytrzymać długo z bykami, chyba że jest się szybkim. Wkrótce dogoniłem tłum. Idąc sam na drodze czułem gniew i niepokój; lecz oto kilku Żurawi piło i tańczyło w sadzie, całym w kwieciu; wyciągali ku mnie dłonie i znów byłem jednym ze świętem. Gospodarze przynieśli swoje najlepsze wino ku czci boga i odmówić im byłoby grubiaństwem. Potem ruszyliśmy w górę, ku wysokim wzgórzom pokrytym pastwiskami owiec. Ich szczyty, jak zauważyłem już wcześniej, pokrywał śnieg.

Wyszliśmy wysoko ponad ziemie uprawne, pomiędzy zagony tymianku, upał i gładkie szare głązy, wysmagane deszczem i rozgrzane od słońca, gdzie wygrzewały się płochliwe jaszczurki. Gdy jest się tak wysoko, morze i niebo widzi się jako jeden wieki okrągły eter migoczącego błękitu, z pływającymi w nim lekko szarymi wyspami. Wraz z innymi młodzieńcami rzuciłem się na sprężystą darni, dysząc, śmiejąc się i pijąc. Skądś wzięliśmy wielki dzban wina, pomalowany w sploty ośmiornic i wodorostów. Wraz z Amyntorem i młodym tubylcem wlewaliśmy sobie nawzajem strumień wina w otwarte usta, krzycząc przy tym i parszając. Potem wzrok chłopaka z Naksos powędrował gdzieś za naszymi placami. Młodzieniec odskoczył od nas i rzucił się pędem przed siebie. Spojrzałem w tamtą stronę i zobaczyłam, że ściga pomiędzy głazami jakąś dziewczynę.

Kobiety, których szaleństwo boga nie ogarnęło w pełni, zaczynały odłączać się od orszaku menad na niższych wzgórzach. Zrzucały z siebie zwierzęce maski, pozostawiając misterium dla tych, których ono wzywa, i wędrowały w półśnie po wzgórzach, oddając się miłości.

„Teraz - pomyślałem - z pewnością ją znajdę. Była tylko gościem i zrobiła wszystko, co do niej należało. Resztę będzie rada opuścić". Ruszyłem więc dalej razem z innymi. Byłem teraz pełen wina i czułem jedność ze światem, a smutek zeszłej nocy opuścił mnie. To była sprawa Ludu Ziemi, a nas - obcych - nie proszono o nic innego oprócz radowania się. Z oddali, gdzieś zza grzbietu wzgórza, dobiegały mnie wysokie krzyki, przypominające odgłosy ptaków. To krzyczały te spośród menad, które nadal pozostały przy Królu. Działo się to jednak daleko. Wkrótce odnajdę moja dziewczynę. „Lub - pomyślałem, gdy zataczając się i śpiewając szliśmy ku linii śniegów - jakąś inną dziewczynę".

Spletliśmy razem ramiona, śpiewając i krzycząc. Wino przechodziło z rąk do rąk. Wraz z pewnym Minyaninem pochyliliśmy ku sobie głowy i wykrzykiwaliśmy sobie nawzajem do ucha nasze dzieje, przysięgając wieczystą przyjaźń. Wkrótce ujrzeliśmy pierwsze połacie śniegu, leżącego w zagłębieniach i jeziorkach, wokół których bujnie rosły zielono-brązowe górskie trawy. Przykleknąwszy, nacieraliśmy nim twarze, rozgrzane wspinaczką i winem, aby je schłodzić.

Gdy powstałem, ujrzałem powyżej wielką połąć śniegu, pokrytą śladami wielu stóp. W pobliżu wały się zmiażdżone pędy winorośli i złamany flet. Orszak musiał tutaj zostawić wóz, gdy droga stał się zbyt kamienista. Nieopodal ostrzegłem smugę szkarłatu; pomyślałem, że to chusta upuszczona przez którąś z dziewcząt. Kiedy jednak się zbliżyłem, odkryłem, że to jest - a raczej był - jelonek. Na podstawie tych szczątków trudno byłoby to rozpoznać, lecz dalej zobaczyłem jego oderwaną głowę. Patrzyłem na ten widok w milczeniu i na chwilę krew zamarła mi w żyłach.

Gdy tak stałem, nagle poczułem uderzenie czegoś zimnego w kark. Odwróciłem się. Na stoku wzgórza, nieco powyżej, wznosiła się niewielka kępa sosen. Usłyszałem czyjś śmiech i ujrzałem dziewczynę, która wystawiła głowę zza drzewa. Dotknąłem swych włosów dłonią i odkryłem w nich śnieg. Krzyknąłem więc i puściłem się w pogoń.

Drzewa rosły gęsto. Przedzierałem się przez gąszcz miękkich i suchych szpilek. Dziewczyna piszcziała i kluczyła pośród pni, na wpół przestraszona, na wpół rozbawiona. Dopadłem ją na skraju niedużego zagłębienia. Upadliśmy razem w gęstwinię. Była to miejscowa dziewczyna, o ciemnych oczach i lekko zadartym nosie. Nie wiem jak długo tam zabawiliśmy; czas Dionizosa różni się od czasu ludzi. W pewnej chwili dał się słyszeć czyjś chichot. Podniosłem wzrok i zobaczyłem inną dziewczynę, która przyglądała się nam z góry. Wydostałem się z zagłębienia, aby dać jej nauczkę. Koniec końców, dołączyła do nas i czas znów się zatracił. Opadło ze mnie całe napięcie i poczucie zagrożenia, zaciekleść wojny i troska o władzę królewską. Zdawało się, że nie pragnę niczego więcej, niż być jednym z żyjącą górą, z jej ptakami, kozami, wilkami, wygrzewającymi się na słońcu węzami i kielichami kwiatów, pić z jej hojnej piersi mocny miód i upajać się każdym kolejnym oddechem.

W pewnej chwili, gdy leżeliśmy na wpół uśpieni, patrząc na czubki sosen kołyszące się na tle błękitnego nieba i słuchając ich łagodnego szumu, wietrzyk przyniósł z oddali wysoki, dziki, podobny ptasiemu krzyk; długo wznosił się w górę, a potem zapadła cisza. Niebawem przerwały ją pomruki i okrzyki, las wypełnił się odgłosami pocałunków i szamotaniny. Odwróciłem się ku leżącej obok mnie dziewczynie. Nie było potrzeby myśleć. W jej oczach nie było nic, o czym mógłby powiedzieć Hellen.

Magiczny czas Dionizosa toczył się niepostrzeżenie. Słońce zmierzające do swego podziemnego domu na zachodzie odziało wzgórze w złoto. Najtrzeźwiejsi ze świętujących nawoływali resztę, aby ruszać w drogę powrotną, jeśli nie chcemy, by ciemność zastała nas w górach. Zaczęliśmy więc wolno schodzić ze wzgórze, mając nad głowami wielkim złociste sklepienie, a przed sobą purpurowe wyspy. Śpiewaliśmy stare pieśni, uderzając w dna dzbanów po winie. Trzymaliśmy się za ręce z naszymi dziewczętami, dopóki nie rozeszły się do swoich gospodarstw mijanych po drodze.

W Naksos płonęły już lampy. Długi marsz wypocił ze mnie całe odurzenie; moje członki były pełne łagodnego młodzieńczego znużenia, a

oczy ciążyły do snu. Spojrzałem w dół na Pałac, rozświetlony od pochodni, myśląc, że gdy spotkam tam Ariadnę, nie zadam jej żadnych pytań i na żadne nie odpowiem, a potem pozostaniemy przyjaciółmi. Pewnie bierze teraz kąpiel; sam pomyślałem z przyjemnością o ciepłej wodzie i słodkich olejkach.

Zapadł zmrok, a wieczorne chmury rozświetlił blask ognia w dole. Wciąż wędrowaliśmy, dwójkami i trójkami, większą drogą, wijącą się pomiędzy gajami oliwnymi. Wszystkie dziewczęta rozeszły się już do domów, a pieśni ucichły. Nagle młodzieniec, który włókł się obok, pociągnął mnie za ramię i sam zszedł z drogi na pole. Inni mężczyźni również kryli się w cień. Obejrzałem się za siebie i ujrzałem jak w oddali coś migocze biało poprzez gaje, jakby duchy schodzące powoli ze wzgórze. Mężczyźni przykucnęli pod drzewami, w miejscach, których nie obsiano jęczmieniem. Spojrzałem pytająco na młodzieńca, który mnie odciągnął, lecz on odparł tylko półgłosem:

- Lepiej ich nie spotykać.

Usiadłem więc i czekałem, obserwując drogę w gęstniejącym mroku; nikt nie mówił, że patrzenie jest zakazane. Menady szły błędnym krokiem, potykając się, jak gdyby pogrążone we śnie. Niektóre wciąż jeszcze nosiły na twarzach gniewne oblicza rysy i panter, które patrzyły przed siebie szeroko otwartymi oczami. Innym maski zwisały na luźnych taśmach i widać było otwarte usta, omdlałe ze zmęczenia, i w pół przymknięte powieki. Ich bezwładne dłonie trzymały flety i cymbały, a długie włosy zwisały luźno, splecione z wrzosem i sklezione gęsto od krwi.

Stopy menad pokrywał biały pył, a nagie ramiona, piersi i szaty były zbryzgane krwią. Ciemne skrzepy sklejały im dłonie, zaś powyżej nadgarstków widniały zacieki. Idąc, ciągnęły za sobą tyrsy, niczym włócznie rannych mężów. Ich drzewce były całe pomazane krwawymi odciskami dłoni. Zakryłem usta i odwróciłem wzrok. Mieszkańcy Naksos mieli rację; bliższe przyglądanie się nie mogło przynieść szczęścia.

Zdawało mi się, że ten pochód nie ma końca. Słyszałem szuranie stóp, hałas kopanych na osłep kamieni, odgłosy towarzyszące

potknięciom i chwytaniu równowagi. Potem dźwięki oddaliły się i odważyłem się spojrzeć ponownie; zobaczyłem jak pochód roztapia się w mroku za zakrętem drogi. W chwili, gdy powstawałem z miejsca, usłyszałem turkot kół zbliżającego się wozu i przystanąłem, aby go przepuścić.

Był to ozdobiony girlandami rydwan, który wracał pusty. Miał lekką konstrukcję i dwóch mężczyzn - jeden po jednej, a drugi po drugiej stronie dyszla - ciągnęło go z łatwością. Było to dwóch ciemnowłosych mieszkańców Naksos, młodzieniec i brodac. Zdjęli już z głów ciężkie rogi byka, lecz wciąż mieli na sobie skóry panter. Było to jedyne ich odzienie. Szli wolno, powłócząc nogami, czasem tylko odzywając się do siebie półgłosem. Wyglądali jak oracze po długim dniu pracy.

Rydwan przejechał obok. Nikt inny nie szedł już za nim. To był koniec orszaku, powstałem więc, by iść dalej. Wtedy moim oczom ukazał się tył wozu. Wcale nie był pusty. Leżało w nim czyjeś bezwładnie ciało, które trzęsło się na wybojach nierównej drogi. Ujrzałem rozdartą ciemnobłękitną tunikę i małą wygiętą stopę o zaróżowionych piętach.

Wybiegłem pomiędzy drzew i chwyciłem poręcz wozu. Mężczyźni, czując mój ciężar, zatrzymali się i odwrócili.

- To, co czynisz, cudzoziemcze, nie przynosi szczęścia - odezwał się młodszy z nich.

- Pozostaw ją samą do rana - dodał starszy. - W świątyni nie stanie się jej nic złego.

- Zaczekajcie! - krzyknąłem. - Muszę ją zobaczyć, niezależnie, czy przyniesie mi to szczęście czy nie. Coście jej zrobili? Czy jest martwa?

Mężczyźni spojrzeli po sobie.

- Martwa? - powtórzył młodszy. - Skądże. Dlaczego miałyby być martwa?

- Człowieku - zwrócił się do mnie jego starszy towarzysz - nic złego nie może jej się stać od wina z Naksos. Wszystko jest dobrze, a najlepsze czeka ją jutro. Zostaw ją tak, jak jest; nie powinno się zakłócać jej snu. Dopóki śpi, nadal jest małżonką boga.

Z jego sposobu mówienia domyśliłem się, że jest kapłanem. Zrozumiałem też - choć nie wiem jak - że posiadał ją tam, na górze. Odwróciłem się od niego i pochyliłem się nad leżącym w wozie ciałem.

Leżała skulona na boku, oparta o swe zdobione rogami byka nakrycie głowy, zdjęte przez mężczyzn, aby przynieść jej ulgę. Z wyjątkiem zlepionych krwią końcówek, jej włosy falowały jak u śpiącego dziecka. Miała zamknięte oczy, a jej ocienione długimi rzęsami policzki były lekko zaróżowione. Poznałem ją dzięki temu rumieńcowi i delikatnej piersi, która unosiła się poruszana oddechem. Oddychała ciężko; jej otwarte usta, a nawet zęby pokrywała zaschnięta krew. Gdy pochyliłem się nad nią, poczułem ten charakterystyczny odór, zwietrzały smród zmieszany z wonią wina.

Po chwili dotknąłem jej barku w miejscu, gdzie rozdarta tunika obnażała ciało. Westchnęła i wymruczała coś, czego nie umiałem dosłyszeć. Jej powieki zatrzepotały.

W zaciśniętej dłoni, leżącej na piersi, jak u dziecka, które zabrało do łóżeczka zabawkę, ścisnęła jakiś niewielki przedmiot. Bezwiednie wyciągnęła ku mnie rękę. Palce miała sklezione zastygłą krwią, lecz w końcu udało jej się rozewrzeć dłoń i wtedy zobaczyłem, co w niej trzyma.

Niemal rok spędziłem w kreteńskim kręgu i jeśli sam nie tańczyłem, to oglądałem, jak inni tańczą z bykami. Widziałem śmierć Sinisa Zginacza Sosen i zachowałem męzną twarz. Teraz jednak musiałem się odwrócić i oprzeć o drzewko oliwne, a serce niemal wyskoczyło mi z piersi. Drżałem w wieczornym chłodzie, szczękałem zębami, a po twarzy spływały mi łzy.

W końcu poczułem, jak ktoś kładzie mi dłoń na ramieniu. To był brodaty kapłan, dobrze zbudowany, ciemnooki mężczyzna o smagłym ciele, które pokrywały zadrapania, sińce i plamy wina. Spojrzał na mnie smutnym wzrokiem, nie wiedząc, co mi powiedzieć, tak jak ja spoglądałem minionego wieczora na młodego Króla. Nasze oczy spotkały się, jak żeglarzy, którzy wołają do siebie z oddali na morzu, lecz wiatr tłumi ich okrzyki. Odwróciłem twarz, zawstydzony tym, że mógłby ujrzeć moje poruszenie.

Usłyszałem jakiś dźwięk i rozejrzałem się wokoło. Młodzieniec, opierając dyszel na barku, oddalał się wraz z rydwanem. Ruszyłem za nimi, lecz po kilku krokach zamarłem. Czułem zimno w żołądku, a nogi miałem jak z ołowiu. Kapłan szedł za mną, lecz nie próbował mnie powstrzymać. Gdy przystanąłem, on również się zatrzymał i wyciągnął w moją stronę ramię.

- Idź w pokoju, helleński gościu - odezwał się. - Człowiek odczuwa smutek oglądając tajemnice, których nie rozumie. Ustępować bez zastrzeżeń, nie wiedzieć zbyt wiele; oto mądrość boga. Ona jest naszej krwi; ona to rozumie.

Z pamięci powracały do mnie obrazy skrwawionych rogów byków, głos w płonącym Labiryncie... Naszej pierwszej nocy powiedziała mi, że jest Kretenką z krwi i kości. Lecz to nie cała prawda; była też córką Pazyfae.

Wóz ciągnięty przez młodzieńca minął zakręt drogi i migał między drzewkami oliwnymi. Na niebo wypełził wiosenny księżyc, przydając rzeczom cienie i sprawiając, że w jego bladej poświacie wszystko stało się wyraźnie widoczne. Kiedy kapłan pochylił się w moją stronę, nakrapiana skóra, w którą był odziany, i jego ciało, upstrzone cętkami krwi, zdawały się jednym z pnem drzewa. On myślał swoje, jakiegokolwiek byłyby to myśli, a ja swoje.

Ostatnie ślady po zachodzącym słońcu nikły, a księżyc wędrował w górę ponad morzem. Biała ścieżka przeświecała między poruszającymi się gałęzmi. Spojrzałem na jasną tarczę księżycy i poczułem się, jakbym stał na wysokim podeście, patrząc na cień wielkiej góry leżący w poprzek równiny. Rozgwieżdżone niebo, rozciągające się nad bursztynowymi górami było jasne i lśniące, a wysoka Cytadela świeciła sama, jak gdyby jej kamienie oddychały światłem-

„Miał rację ten, kto mówił, że przyglądanie się orszakowi nie przynosi ludziom szczęścia - pomyślałem. - Mi da zimne łoże i położy się zimnym cieniem na moim losie. Tego, co muszę teraz zrobić, martwy Minos nie wybaczy mi w Hadesie. Tym gorzej dla mnie. Tak jednak będzie lepiej dla mojego domu Erechtheusa, który stał już długo przede mną i będzie stał długo po mnie. Nie wrócę do

tęgo światła z moją garścią ciemności; nawet jeśli jest to ciemność boga".

Spojrzałem na kapłana. Odwrócił twarz ku tarczy księżycy, który lśnił w jego otwartych oczach; jego ciało było nieruchome jak drzewko oliwne lub jak wąż na kamieniu. Pojąłem, że to człowiek, który zna ziemską magię i w szaleństwie tańca umie odczytać przyszłość. A potem pomyślałem o wielkim Labiryncie, który stał przez tysiąc lat; i o tym, jak Minos rzekł, że głos boga przestał ich wzywać.

„Wszystko się zmienia - pomyślałem - z wyjątkiem bogów, którzy są wieczni. A zresztą, być może po tysiącu wieków, nawet oni sami, w swej siedzibie nad chmurami, usłyszą głos, który wezwie ich do domu Króla, aby uczynili ofiarę ze swojej nieśmiertelności - czyż bowiem dary bogów nie przewyższają darów ludzi? - i cała ich moc i chwała podniesie się jak dym do wyższych niebios, i przejdzie na większego boga. To byłaby śmierć za życia, gdyby taka rzecz mogła się zdarzyć. Lecz jest to życie w śmierci, szaleństwo bez przepowiedni, krew bez słuchającego ucha i zgoda, która uwalnia duszę. Tak, w rzeczy samej jest to śmierć".

Powróciłem pamięcią do pomieszczenia za świątynią, gdzie zostałem przez nią nazwany barbarzyńcą. Poczulem, jak jej palce dotykają mojej piersi i usłyszałem jej szept: „Kocham cię bardziej, niż mogę znieść”. Ujrzałem ją, jak budzi się jutro, obmyta z krwi, zapewne nie pamiętająca nic ze swego szaleństwa i zdumiona rozgląda się wokół, szukając mnie. Rydwan zniknął za wzgórzem i straciłem go z oczu. Nie słyszałem już nawet turkotu jego kół.

Odwróciłem się do kapłana i odkryłem, że znów patrzy na mnie.

- Zrobiłem coś niefortunnego - wyznałem. - Zapewne to rozgniewało boga. To był dzień jego święta. Będzie lepiej, jeśli opuścę to miejsce.

- Uczciłeś go - odparł. - Obcemu wybaczy niewiedzę. Ale rzeczywistość będzie lepiej, jeżeli nie zabawisz tu zbyt długo.

Spojrzałem ku drodze, pustej i bladej w świetle księżycy.

- Czy tu, na Dii, królewska kapłanka, wezwana do jego tajemnicy, będzie szanowana?

- Nie obawiaj się - rzekł. - Będzie szanowana.

- Wyjaśnisz zatem swojej Królowej - ciągnąłem - dlaczego odpływamy w ten sposób, po nocy, bez podziękowań i pożegnań?

- Tak - zapewnił mnie. - Ona to zrozumie. Powiem jej to rano; dziś w nocy będzie znużona.

Zapadło milczenie, a ja szukałem w sercu czegoś, co jeszcze mógłbym dodać. Ale nie było już nic do powiedzenia.

- Nie smuć się już dłużej - rzekł w końcu kapłan. - Bogowie mają wiele postaci; a cel, jakiego szuka człowiek, różny jest od tego, jaki oni mu przynoszą. Tak to już jest.

Odsunął się od drzewa i odszedł poprzez gaj oliwny. Niebawem stopił się w jedno z cieniami liści. Nigdy więcej go nie widziałem.

Gaj był pusty; moi towarzysze dawno odeszli. Szedłem sam drogą, aż dotarłem do śpiącego portu. Na statku nadal czuwały strażę, nie wszyscy byli pijani do nieprzytomności; część załogi przyszła, aby spać przy nabrzeżu. Z południa wiała nocna bryza, wystarczająca silna, aby wypełnić żagiel, gdyby wioślarze okazali się leniwi. Powiedziałem im, że niebezpiecznie jest pozostawiać tu dłużej i trzeba szybko odnaleźć pozostałych członków załogi i sprowadzić ich tutaj. Wszyscy rozeszli się w pośpiechu; w obcym kraju łatwo jest obudzić w ludziach strach.

Gdy poszli, nakazałem pomocnikowi pilota, aby zebrał tancerzy. Potem przez chwilę byłem sam na brzegu. Wyobraziłem ją sobie, jak nazajutrz stoi na świętej wyspie i spogląda w morze, wypatrując naszego żagla. Może będzie przypuszczać, że to jakaś dziewczyna podczas święta zawróciła mi w głowie i sprawiła, iż o niej zapomniałem. Może też uznać, że nigdy jej nie kochałem, a tylko wykorzystalem ją po to, by pomogła mi opuścić Kretę. Zapewne tak właśnie pomyśli. Ale prawda nie byłaby lepsza.

Przechadzałem się tam i z powrotem, słuchając uderzeń fal, chrzęstu muszli pod moimi stopami i sennej pieśni nocnej straży. Nagle ujrzałem bladą postać nad wodą, a do moich uszu dotarł

czyjś szloch. To była Chryse. Złote włosy, blade w świetle księżyca, miała rozpuszczone i płakała, kryjąc twarz w dłoniach. Chwyliłem ją za ręce i odciągnąłem je. Na jej twarzy nie było plam krwi, a tylko kurz i łzy.

- Przestań płakać, cokolwiek widziałaś - starałem się ją uspokoić. - O tym, co stało się w szale bożym, najlepiej później nie myśleć, bo jest to tajemnica, którą Hellenom trudno pojąć. W nocy odpływamy - dodałem. - Rankiem będziemy już na Delos.

Spojrzała na mnie niewidzącymi oczami. Pamiętałem jej odwagę na arenie. Przypomniałem sobie, jak uspokoiła mnie, gdy owładnęło mną szaleństwo. Chryse odchrząknęła, poprawiła włosy i otarła oczy.

- Wiem, Tezeuszu, wiem. To wszystko było tylko szalem boga i on zapomni o tym jutro. On zapomni. Tylko ja będę pamiętać.

Nie potrafiłem na to nic poradzić. Mogłem powiedzieć, że wszystko przemija, gdybym sam miał czas się tego nauczyć. Potrząsnąłem tylko głową. Wtem ujrzałem tancerzy biegnących w stronę łodzi. Pochodnia pełniącego straż żeglarza oświetliła ich twarze. Na czele pędził Amyntor. Otworzył usta, aby zadać mi pytanie, lecz nagle ujrzał stojącą obok mnie dziewczynę. Nieśmiało, z ociąganiem zbliżył się do niej. Zrozumiałem, że obawiał się jej gniewu. Ich oczy spotkały się w niepewnym świetle pochodni. W końcu Amyntor podbiegł do Chryse i ujął jej dłoń. Ich palce splotły się razem w węzeł tak ścisły, jakby był dziełem złotnika wykonującego pierścień.

Nie wypytywałem o przyczyny ich zachowania, powiedziałem tylko, że muszą pomóc zebrać resztę tancerzy. Powinniśmy postawić żagiel o północy. Wciąż trzymając się za ręce, pobiegli ku Nakos, gdzie właśnie gaszono lampy.

Odbicie księżyca migotało na morzu. W jego świetle ciemniał zarys małej wyspy Dionizosa. Spoglądając na ciach świątyni z jej kreteńskimi rogami, ujrzałem jedno małe oświetlone okno. Pomyślałem, że zostawili jej w komnacie lampę, aby obudziwszy się w obcym miejscu, nie czuła strachu. O północy odbiliśmy od brzegu i

skierowaliśmy się ku przesmykowi, w stronę, gdzie właśnie zachodziły Plejady. Mogłem dostrzec, że lampa ciągle płonie. Świeciła wytrwale, aż skryła się za linią horyzontu, co pozwoliło mi zachować wiarę, że gdy ja uciekałem, ona nadal spała.

2

O pierwszym brzasku ujrzelśmy Delos; gdy zawinęliśmy do portu, słońce stało już wysoko ponad świętym wzgórzem.

W słoneczny dzień skały Delos lśnią srebrzyście, jakby sam bóg posyłał wyspie swe pocałunki. Powietrze jest tam tak czyste, że spoglądając ku schodom prowadzącym do świętej grotty, można policzyć każdy kwiat na wzgórzach, a woda tak przejrzysta, że brodząc w stronę brzegu widać w niej każdy kamyk.

Ze szczytu wzgórza, ponad sanktuarium, słup dymu porannej ofiary piął się prosto w szafirowe niebo.

Przepelniła nas niezmierna radość; wszyscy Hellenowie na pokładzie, nawet ci z nas, którzy po raz pierwszy stawiali kroki na Delos, czuli wzruszenie, jakby wracali do domu. Gdy szedłem w stronę jeziora i świętego gaju rozgrzaną drogą wzdłuż grobli, oślepiające światło słońca zdawało się obmywać mnie z ziemskiej ciemności wyspy Dia i zgniętej luny Krety. Wszystko tutaj było świetliste i jasne, nawet bojaźń boża. Tajemnica jego misterium kryła się nie w ciemnościach, lecz w świetle tak silnym, że aż oślepiającym ludzkie oczy.

Zanim złożyliśmy ofiarę, ci z nas, którzy przelali krew, poprosili, aby oczyszczono ich z tego, po to, aby żadne gniewne duchy nie podążały za nami do domu. Wykąpaliśmy się w jeziorze, które spogląda na niebo swoim okrągłym błękitnym okiem, a potem wspięliśmy się na Górę Kythnos, gdzie Apollo oczyścił nas i Mścicielki zostały odesłane z powrotem do siebie.

Gdy po dokonaniu rytuału schodziliśmy po długich schodach ze świątyni, przypomniał mi się harfiarz, który śpiewał w Trojzenie, a w Eleusis przekształcił Misteria. Odwróciłem się w stronę kapłana, który siedł obok mnie, i spytałem go, czy bard pojawił się z powrotem na Delos.

- Doszły nas wieści o jego śmierci - odpowiedział kapłan. - Zginął w swym ojczystym kraju, Tracji, gdzie służył przy ołtarzu Apollona. Stara religia jest tam bardzo silna. Gdy człowiek ów był jeszcze młodzieńcem, jego śpiew towarzyszył jej obrzędom. Kapłanki miały mu za złe, że wybudował na wzgórzu świątynię Wężobójcy. Nie wiem, czy jego wielka sława doprowadziła go do pychy, czy też naprawdę bóg zesłał mu swój sen, w każdym razie, po powrocie z Eleusis wyruszył do Tracji, aby spotkać się z menadami w czasie ich zimowego święta. Próbował uspokoić ich szaleństwo swoją pieśnią. Łatwo domyślić się, jaki był tego skutek. Teraz, gdy nie żyje - ciągnął kapłan - wokół jego imienia narosło wiele pieśni i opowieści: o tym, jak podnosił głosem ogromne głązy, aby wznosić mury i bramy, o tym, jak wąż Apollona polizował jego uszy, dzięki czemu poznał mowę ptaków. Mówią też, że gdy był młody, kochała go Ciemna Matka, która położywszy pieczęć na jego ustach pokazała mu swoje podziemne tajemnice. Przekroczył rzekę krwi i rzekę łez, lecz nie pił ze strumienia Lety i siedem lat przeszło nad nim jak jeden dzień. Gdy nadszedł wyznaczony czas, by wypuścić go z powrotem do wyższego świata, Ciemna Matka kusiała go, aby odezwał się do niej, a przez to pozostał w jej mocy. On jednak nie złamał pieczęci milczenia, nie posmakował jej jabłek ani jej granatów, które zatrzymują człowieka na zawsze w dolnym świecie, złożył bowiem przysięgę Apollonowi i bogom światła. Musiała go wypuścić, lecz podążała za nim przez całą drogę powrotną, słuchając jego harfy, gdy śpiewał i wołając: „Spójrz za siebie! Spójrz za siebie!” On jednak nie odwrócił się, dopóki nie stanął w świetle słonecznym; a wtedy Ciemna Matka znikła w ziemi, oplakując swoje skradzione sekrety i utraconą miłość. Tak mówią ludzie.

Gdy opowieść kapłana z Delos dobiegła końca, zwróciłem się do niego:

- On sam nie mówił o tym. Czy to prawda?
- Prawda prawdzie nierówna - odparł. - Na swój sposób jest to prawda.

Zeszliśmy ze wzgórza do gaju, by złożyć ofiarę na ołtarzu ze splecionych rogów. Widząc wszystkie Żurawie stojące przy mnie, pomyślałem, że już niebawem rozproszymy się po naszych domach, a łączące nas więzi osłabną i nigdy już nie będziemy członkami jednego ciała, jakim byliśmy na arenie. Nie godziło się, aby upływ czasu tak łatwo zniszczył tak cenne braterstwo. Rzekłem więc:

- Zanim odejdziemy stąd, zatańczmy nasz taniec dla boga.

Wezwaliśmy muzyków i rozpoczęliśmy nasz taniec żurawi, ten, który zebrał nas razem i uczynił z nas drużynę. Zrazu kapłani zgani-
li nas, gdy ujrzeli, że dziewczęta powstają, aby tańczyć wraz z męż-
czyznami. Gdy jednak wyjaśniłem im powód, orzekli, że w czymś
tak błogosławionym przez bogów nie może być nic bezwstydного.
Raz jeszcze podczas naszego tańca mewy przemykały z krzykiem
nad naszymi głowami, a wokół rozbrzmiewał wszechobecny śmiech
morza. Naszym pokładem była murawa przy jeziorze, a masztem
święta palma, o którą oparła się Latona podczas porodu, gdy wyda-
ła na świat boga. Zaplataliśmy i tkaliśmy naszą linię przy połysku-
jącej wodzie, a w pamięci pojawiały się obrazy tego wszystkiego, co
czyniliśmy wypełnieni wzajemną ufnością. Gdy taniec się skończył,
oczy większości z nas zaszyły łzami. Tylko Amyntor i Chryse, piękn-
niejsi niż słońce Delos, radowali się jak ludzie, którzy nie mają cze-
go żałować, bowiem całe swe żniwo biorą do domu.

Następnego dnia, wiosłując, wypłynęliśmy z przesmyku, a po-
tem napotkaliśmy wiatr tak pomyślny, że powiódł nas aż do Kios.
Tam w czystym wieczornym świetle ujrzeliśmy nad linią horyzontu
kształt przypominający niską, szarą chmurę. To były szczyty wzgórz
Attyki.

Kierowani niecierpliwością, nie popłynęliśmy do przystani, bo-
wiem nadłożylibyśmy wtedy drogi o jakieś dziesięć mil. Na poł-
dniu wyspy znaleźliśmy osłoniętą plażę i rozbiliśmy tam nasz obóz.

Było nas teraz mniej; żeglując przez Cyklady wysadzaliśmy poszczególne tancerzy, przepływając w pobliżu ich rodzimych wysp.

- Teraz - stwierdził Iros - Żurawie są jak starzy przyjaciele na uczcie, którzy pozostają, by poplotkować, gdy reszta biesiadników odeszła.

Po wieczerzy, gdy żarzące się węgielki naszego ogniska nikły już w zapadającym mroku nocy, Amyntor wyciągnął przed siebie rękę i zawołał:

- Tezeuszu! Patrz.

Daleko na północy, w miejscu, gdzie niebo spotykało się z morzem, widać było słaby, migoczący punkt, barwy zbyt czerwonej i leżący zbyt nisko, by mógł być gwiazdą.

- Pierwsze światło domu - rzekł Telamon.

- Ogień strażniczy - dodał Menestes. - To musi być na Przylądku Sounion.

Wszyscy pokazywaliśmy go jedni drugim i wznieśliśmy nasze dłonie w górę, aby dziękować bogom. Wkrótce potem położyliśmy się do snu. Noc była spokojna; prócz chłupotu fal na skałach i rzadkiego cykania świerszczy nie było żadnych odgłosów. Po raz pierwszy poczułem, że Kreta jest daleko. Znów mieszkałem w Atenach, jeździłem po jej równinach i wzgórzach, rozmawiałem z jej mieszkańcami, walczyłem pośród jej wojowników, chodziłem po jej skale. Leżałem, patrząc na rozgwieżdżone niebo, i rozmyślałem o czasie, który ma nadejść.

Myślałem o flocie, którą muszę stworzyć, aby wkrótce zaprowadzić porządek na Krecie, jeśli nie ma się ona stać jeszcze jednym Istmem. Zastanawiałem się, jak wiele statków zbudował mój ojciec, jeśli brat Helike zdołał dostarczyć mu wiadomość. Jeśli inni królowie helleńscy nie byli gotowi, aby ryzykować działania przeciwko Krecie, kiedy Minos władał wyspami, nie można było ich obwiniać. Rozważałem, co ja sam zrobiłbym na jego miejscu. „Zbudowałbym własne okręty - pomyślałem - i czekał na szczęśliwy dzień od bogów. I posłałbym do Trojzeny, gdzie byłbym pewny pomocy. Lecz ja jestem młody, a mój ojciec - znużony swoimi długimi wojnami i kłopotami. To one uczyniły zeń ostrożnego człowieka”. Potem zastanawiałem się nad Attyką, z jej zwaśnionymi plemionami i wioskami, i pytałem sam siebie, czy kiedykolwiek uda mi się skłonić go,

by wypróbował mój plan dla trzech stanów.

Podniosłem się z miejsca, w którym leżałem i stanąłem na skraju morza, patrząc na północ. Ogień wciąż płonął i był jaśniejszy niż przedtem; strażnik musiał go dokarmiać. Wtedy pojąłem, że musi to być żagiew mojego ojca. Zapewne paliła się każdej nocy, odkąd odpłynąłem, a przynajmniej od czasu pierwszych pogłosek o tym, co dzieje się na Krecie. Wyobraziłem go sobie, jak stoi na Cytadeli i spogląda w te same płomienie, i poczułem ból w sercu, jak wtedy, gdy dał mi rydwan w dniu mojego święta.

Pomyślałem o naszym pożegnaniu, kiedy udawałem się na Krete; zdawało mi się, że wciąż czuję jego dłoń na barku, a w uszach zabrzmiały mi jego pożegnalne słowa: „Gdy nadejdzie ten dzień, pomaluj żagiel swojej łodzi na biało. Bóg będzie miał dla mnie wiadomość”.

„O co mu chodziło? - zastanawiałem się. - Ojciec jest człowiekiem, który postarzał się przedwcześnie. Myślał więcej, niż mówił ludziom. «Wiadomość» powiedział; «wiadomość od boga». To był znak, który on miał odczytać. Z pewnością, jeśli pomaluję żagiel, nigdy nie spojrzę znów na jego żyjącą twarz”.

Moje serce biło szybko. Bałem się. Nie było pewności co do jego celu, ani, nawet gdyby był mi znany, czy jest sens trzymać się go dalej. Ojciec zestarzał się. Jak można było pojąć, co ma na myśli?

Z głębi trawiastego łądu mogłem słyszeć, jak moi towarzysze chrapią, lub wzdychają przez sen. Skądś dobiegał szept pary kochanków. Żałowałem, że moja bezsenność nie ma innej przyczyny. Znosić samotność to ciężki wybór.

Stałem na plaży, przyciskając dłonie do oczu, aż czerwone i zielone kwiaty zakwitły pod powiekami. Potem spojrzałem przed siebie, i znów zobaczyłem jak świeci strażniczy ogień. I wtedy naszła mnie ta myśl. Zdjąłem z siebie szaty i brodząc w zimnej, wiosennej wodzie, oddaliłem się od brzegu.

- Ojczy Posejdonie! - zawołałem. - Nieraz byłem w twoich rękach i nigdy nie doradziłeś mi źle. Ześlij mi teraz swój znak, czy mam płynąć dalej z naszym czarnym żaglem. Jeśli będziesz milczał,

zrobię tak, jak mówił mi ojciec i zmienię żagiel na biały.

Niebo było czyste; tylko mała bryza marszczyła powierzchnię morza. Gdy wypłynąłem z zatoczki, w której zacumowaliśmy, lekko rozkołysane wody podnosiły mnie w górę i w dół, a czasem tylko ochlapywała mnie większa spieniona fala. Nagle, gdy odwróciłem się na plecy, pojawiła się pojedyncza fala, większa od pozostałych. Nim zdążyłem się uchylić, zakryła mi głowę i zacząłem tonąć. Morze zamknęło się nade mną i w tej chwili w uszach usłyszałem wyraźnie znak boga.

Przestałem walczyć i woda wypchnęła mnie w górę. Popłynąłem z powrotem do lądu, a moje serce wypełniał teraz spokój. Pozostałem wybór bogu, a on odpowiedział mi wyraźnie, pozbawiając mnie wątpliwości. Nie musiałem się o nic troszczyć.

Mówiłem później i wciąż powtarzam to w swym sercu, gdy w wielkie dni święta stoję przed bogami, składając ofiary dla ludzi na Wyższej Cytadeli, świętej twierdzy Erechtheusa. Wielki Koń Ojciec, który przybył do mojego porodu, Wstrząsający Ziemią, który trzymał mnie w górze i oszczędził moich ludzi, nawet wtedy, gdy czuł gniew, nigdy nie prowadził mnie do złego. Czulem smutek z powodu śmierci mojego ojca, lecz potem ustąpił on miejsca nieoczekiwanej radości. Domyślam się, że on sam czynił sobie wyrzuty, że nie doczekał nawet, aż łódź zawinie do portu, aby zobaczyć, czy żagiel mówił prawdę.

Zapewne to nie było tak. Czyż ojciec, czując smutek, nie odebrałby sobie życia jak inni, padając na ostrze swego miecza, lub zadając sobie śmierć mocnym wywarem z maku, który kradnie duszę we śnie? On jednak wyskoczył z tego samego balkonu ponad skałą, gdzie kiedyś tak bardzo bałem się o niego i odciągnąłem go od samej krawędzi. Z pewnością bóg wysłał mu znak, tak głośny i jasny jak do mnie. Obaj byliśmy w ręce Posejdona; to on wybrał.

Człowiek zrodzony z kobiety nie może odwrócić swojego przeznaczenia. Lepiej więc nie kwestionować decyzji Nieśmiertelnych, nawet gdy przemawiają, by na próżno zasmucić czyjeś serce. Na nasze poznanie nałożone są więzy, a mądrość - to znaczy nie wykraczać poza nie. Ludzie są tylko ludźmi.

Posłowie

W czasach starożytnych legenda Tezeusza (krótki zarys zamieszczono poniżej) miała tak fantastyczny sztafaż, że uznawano ją czasem za niewiele więcej niż baśń, albo - zgodnie z interpretacją Frazera - za mit o podłożu religijnym. Tak zdecydowana opinia nie była podzielana przez niektórych uczonych, wskazujących na zaskakującą trwałość tradycji greckiej. Racjoniści zyskali pierwszy punkt oparcia, gdy sir Arthur Evans odsłonił ruiny pałacu w Knossos, z jego labiryntowym pogmatwaniem, świętymi toporami, od których wziął nazwę, licznymi przedstawieniami młodzieńców i dziewcząt wykonujących taniec z bykami, i pieczęciami z wygrawerowaną sylwetką Minotaura o byczej głowie. Część opowieści, zdająca się najbardziej fantastyczną, została w ten sposób ufundowana na faktach, i kuszącym zadaniem stały się próby odgadnięcia, gdzie jeszcze bajkowy pozór skrywał ludzkie realia.

Niepodważalną prawdą było w starożytnej Grecji twierdzenie, że dawni herosi byli ludźmi o posturze gigantów. Kości wojownika z epoki brązu, odkopane na Skyros przez Kimona, zostały jednoznacznie uznane za należące do Tezeusza jedynie dzięki potężnym rozmiarom. Ale młodzieniec przyjęty na tancerza byków musiał mieć drobną, żyłastą budowę, czego wymagały śmiałe popis akrobatyczne, i co przedstawiają kretańskie freski i posąжки. Rzeczywiście, główne elementy opowieści wyraźnie to ukazują. Ludzie, którzy górują wzrostem nad przeciwnikami, nie odczuwają potrzeby rozwinięcia sztuki zapaśniczej, a Tezeusz zwykle ukazywany jest w scenach walki z ciężkimi i monstrialnymi wrogami, zwyciężając ich dzięki sprytowi. Tradycja mówiąca, że naśladował wyczyny Heraklesa, może dobrze utrzymywać starożytne szyderstwo z prób kompensowania poczucia niższości przez niewysokiego, stanowczego mężczyznę. Przychodzi tu na myśl Napoleon.

Jeśli zbadać legendę w tym świetle, ukazuje się dobrze określona osobowość. Mamy do czynienia z niewysokim, odważnym i agresywnym mężczyzną, fizycznie sprawnym i szybkim, o bujnej seksualności i raczej rozwiązłym, o łatwej do zranienia dumie, lecz pełnym współczucia dla słabszych; przypominającym Aleksandra z jego przedwczesną dojrzałością, darem kierowania ludźmi i romantycznym poczuciem przeznaczenia.

Byłoby może zgodne ze umniejszającym nastawieniem naszych czasów wyobrazić sobie Tezeusza jako bezimiennego awanturnika, który przybył do Aten po okresie pomyślnego zbójowania w Przesmyku Korynckim i zmusił króla do uczynienia go swoim spadkobiercą. Lecz ignorując nawet fakt, że dla Ajgeusa uznanie kogokolwiek niezwiązanego bliskim pokrewieństwem byłoby samobójczym krokiem, ohotniczy wyjazd na Kretę wskazuje na Tezeusza jako na człowieka urodzonego i wychowanego do swej roli w archetypicznej tragedii achajskiej monarchii.

Nie ma wątpliwości, że ofiara z króla była niekiedy składana dobrowolnie i praktykowana aż do czasów, które zarejestrowały pierwsze kroniki. Na poły historyczny król Kodrus wyreżyserował swą śmierć w walce z Dorami, słysząc, że Pytia przewidziała dla nich klęskę, jeśli Kodrus zginie. Herodot pisze, że król Sparry Leonidas zdecydował się na obronę Termopil, odesławszy sprzymierzeńców, w odpowiedzi na podobną wyrocznię. Nawet tak późno jak w roku 403 p.n.e., wróżbita wyzwolenczej armii Trazybulosa, ze względu na swoje kapłaństwo prawdopodobnie formalnie najwyższy rangą, przewidział dla niej zwycięstwo, jeśli zaatakuje po tym, jak zginie pierwszy człowiek z jej szeregów, i sam rzucił się na włócznie nieprzyjaciół.

Zgodnie z moją wiedzą nikt wcześniej nie sugerował, że Tezeusz miał dar aury przed trzęsieniami ziemi - jest to instynkt, którego istnienie zostało dobrze poświadczane u zwierząt i ptaków. Nawet dzisiaj taki dar byłby cenny w każdym greckim mieście i wiosce; dla ludzi epoki brązu z pewnością zdawałby się boskiego pochodzenia. Względy i opieka Trzęsącego Ziemią są podkreślane w wielu miejscach legendy. Jest sprawą godną uwagi, że śmiertelne przekleństwo, które było darem boga dla Tezeusza, znalazło swą odpowiedź w gigantycznej fali. Uczucie Posejdona do Pelopsa (wg legendy

prapradziadka Tezeusza) sugeruje cechę dziedziczną. Peloponez jest tak sejsmicznym obszarem, że posągi w muzeum olimpijskim otoczone są przez głębokie pojemniki z piaskiem, mające złagodzić ich ewentualny upadek.

Ze znalezisk z Knossos staje się jasne, że kreteńska arena byków dorównywała hiszpańskiej w popularności wśród widzów. Nie jest rzeczą nieprawdopodobną, że wybitny torero, cieszący się łączonym prestiżem Manoletea i Niżyńskiego, mógłby stać kochankiem księżniczki i odegrać pewną rolę w upadku reżimu.

Archeolodzy zgadzają się, że Pałac został spalony, splądrowany i zniszczony przez trzęsienie ziemi, nie wiadomo jednak, czy jednocześnie, czy w różnych okresach. Pogardliwe przezwiska nadawane kreteńskim chłopom zostały zasugerowane przez inskrypcje w piśmie linearnym B z Knossos. Mały salonik został znaleziony w pobliżu Sali Tronowej, w którym król najwidoczniej spędzał trochę czasu, być może ze względów religijnych. W samej Sali Tronowej znajdują się ślady, że gwałtownie przerwano tu ceremonię namaszczania.

Legenda zawiera wiele pozornych nieprawdopodobieństw, które po bliższym zbadaniu okazują się dotyczyć jedynie nieistotnych detali. Np. Tezeusz nie mógł sprowadzić swoich młodzieńców w kobiecych przebraniach z Aten, ponieważ tancerze byków byli niemal nadzy. Lecz podstęp u bramy jest wystarczająco prawdopodobny. Co do zatrutego pucharu - nieprawdopodobne jest tylko to, że Ajgeusz wybrałby publiczną ucztę, by popełnić ciężką zbrodnię zamordowania gościa. Jeśli przypomnimy sobie o błyskawicznej karierze Tezeusza jako zdobywcy, sama próba jest jak najbardziej prawdopodobna. Epizod ten musiał być ulubionym w teatrze greckim, w którym nieunikniona obecność chóru mogła wypłynąć na kształt opowieści. Co do jego ukrycia w Trojzeniu, motyw następcy tronu ukrywanego do czasu, gdy będzie zdolny się sam bronić znany jest na całym świecie, i obecny w ludowych opowieściach współczesnych Afrykanów. Jest to pospolite w niestabilnych społecznościach; strategia tak naturalna, że praktykują ją nawet zwierzęta.

Zastanawiając się nad każdą dawną opowieścią, dobrze pamiętać, że prymitywnie ludy miały mocne poczucie dramatyzmu, i stosowali je do swojego życia. Wprowadzimy się w błąd, jeśli odmówimy wiary w takie wypadki, że wydają się bardzo ubarwione wedle standardów konsumpcyjnego społeczeństwa. Nie ma dowodu na istnienie słowa „Hellen, helleński” w epoce mykeńskiej. Używałam go, ponieważ jest dla wielu ludzi pojęciem mniej ograniczonym niż słowo „achajski”.

Mary Renault

Legenda Tezeusza

Ateński król Ajgeusz, nękanym nieszczęściami i bezdzietny za sprawą wrogości ze strony Afrodyty, ustanowił jej kult w Atenach i udał się po radę do Wyroczni Delfickiej. Wyrocznia nakazała mu, aby nie otwierał swego bukłaka z winem dopóki nie dotrze do domu, jeśli nie chce pewnego dnia umrzeć ze smutku. W drodze powrotnej Ajgeusz zatrzymał się w Trojzeniu, gdzie opowiedział swoją historię królowi Pitteusowi. Ów, domyślając się, że zwiastuje to jakieś znaczące narodziny, upił Ajgeusa i zaprowadził go do łóżka swej córki, Aitry. Później, tej samej nocy, Aitra otrzymała we śnie nakaz, aby przedostała się do świątyni Ateny na wyspie, gdzie posiadał ją również Posejdon. Gdy Ajgeus obudził się, pozostawił swój miecz i sandały pod ołtarzem Zeusa, mówiąc Aitrze, że jeśli urodzi się syn, należy odesłać go do Aten tak szybko, jak tylko zdoła podnieść ów kamień. Tezeusz zdołał wykonać to zadanie, mając zaledwie szesnaście lat; był już wówczas młodzieńcem o mocy i właściwościach herosa, utalentowanym muzykiem grającym na lutni, a ponadto wynalazcą "naukowych" zapasów.

Wybierając podróż do Aten przez Przesmyk Istmijski, w celu sprawdzenia się wobec jego niebezpieczeństw, pokonał w jednej bitwie wszystkie monstra i wszystkich tyranów, którzy traktowali wędrowców niczym zdobycz. W Megarze zabił gigantyczną maciorę zwaną Faia, a w Eleusis zgładził króla Kerkyona, który mordował wędrowców, zmuszając ich do pojedynków na śmierć i życie jako zapasnicy.

Gdy dotarł do Aten, wiedźma Medea, kochanka jego ojca, odgadła pochodzenie Tezeusza i próbowała zapewnić następstwo tronu swemu synowi, przekonując Ajgeusza, że ów budzący respekt młodzieniec stanowi dlań zagrożenie. Ajgeusz przygotował dla niego zatrute kielichy i wręczył mu go podczas jednego z publicznych świąt; lecz Tezeusz w ostatniej chwili ukazał miecz. Ajgeus odtrącił mu kielich od ust i radośnie go objął; wiedźma umknęła swym

rydwanem, ciągniętym przez uskrzydłone smoki.

Aigeus przyjął Tezeusza jako swego następcę w czasie publicznego pojednania; Pallas, drugi spadkobierca, i jego pięćdziesięciu synów zostało zabitych przez młodego księcia lub wysłanych na wygnanie. Tezeusz zdobył dalsze zaszczyty, kiel-znając dzikiego byka, który pustoszył Równinę Maratońską. Wkrótce potem jednak Miasto pogrążyło się w żalobie, a to z powodu przybycia kreteńskiego okrętu pobierającego trybut, z żądaniem regularnego wysyłania tam miejscowych chłopców i dziewcząt, aby zaspokoić pragnienia Minotaura.

Posejdon dostarczył kreteńskiemu królowi Minosowi, w odpowiedzi na jego ślubowanie, wspaniałego byka na ofiarę, lecz on zatrzymał go dla siebie. W ramach kary, Afrodyta odwiedziła królową, Pazyfae, potworną namiętnością dla zwierzęcia, której pofolgowała, wchodząc do wnętrza pustej w środku sztucznej krowy wykonanej przez Dedala. Potomstwem był Minotaur, istota o ciele mężczyzny i głowie byka, która karmi się ludzkim mięsem. Aby ukryć swój wstyd, Minos zlecił Dedalowi wykonanie nie dającego się przejść Labiryntu, dokąd wycofał się ze świata, i w sercu tego labiryntu ukrył Minotaura, nakazując dostarczać ludzkie ofiary do jego siedziby.

Z Aten zabierano siedmiu młodzieńców i siedem dziewczic. Wśród nich był Tezeusz, wg większości wersji z własnego wyboru, mimo że niektórzy mówią, że został wylosowany. Gdy odjeżdżał, ojciec nakazał mu zmienić czarny żagiel statku ofiarnego na biały, jeśli wróci żywy.

Po przybyciu na Krete Minos wyśmiał jego twierdzenie, że jest synem Posejdona i nakazał mu przynieść z powrotem wrzucony do morza pierścień. Tezeusz otrzymał od nimf morskich nie tylko pierścień, ale także złotą koronę Tetydy. Jego wyczyn sprawił, że córka Minosa, Ariadna, zakochała się w nim. Dała mu w sekrecie kłębek nici, by odnalazł powrotną drogę w labiryncie, i miecz, by zabił Minotaura.

Po dokonaniu tego czynu Tezeusz zebrał ateńskich młodzieńców, lecz dziewczęta uwięzione zostały osobno. Tezeusz przygotował się do tego jeszcze w Atenach, nakazując dwóm dzielnym młodzieńcom o dziewczęcej urodzie, by zajęli miejsce dwóch dziewcząt. Ci otworzyli kobiece kwatery i wszystkie ofiary zbiegły do Aten, zabierając ze sobą Ariadnę, którą jednak Tezeusz porzucił na wyspie Naksos. Dionizos, znalazłszy ją tam, zakochał się w niej i

uczynił ją przywódczynią orszaku menad. Zbliżając się do Aten, Tezeusz zapomniał zmienić żagiel żalobnego koloru na biały, z takim skutkiem, że Ajgeusz w rozpacz rzucił się z Akropolu lub z wysokiej skały do morza. W ten sposób Tezeusz zasiadł na tronie.

W czasie swego panowanie miał zjednoczyć Attykę i nadać prawa trzem stanom: posiadaczom ziemskim, rolnikom i rzemieślnikom. Był sławny ze względu na ochronę, jakiej udzielał krzywdzonym sługom i niewolnikom, dla których jego świątynia pozostała sanktuarium aż do czasów historycznych. Pirithoos, król Lapitów, by rzucić mu wyzwanie, próbował ukrąść jego bydło, jednak młodzi wojownicy przypadli sobie do gustu, spotkawszy się na polu walki, i przysięgli sobie wieczną przyjaźń. Tezeusz wziął udział w polowaniu na Dzika Kaledońskiego i w bitwie Lapitów z Centaurami. Współzawodniczył z wyczynami Heraklesa. W wypadzie przeciw Amazonkom uprowadził ich królową Hipolitę. Później jej lud z zemsty najechał Attykę, lecz Hipolita stanęła na polu walki przy boku Tezeusza, gdzie zabiła ją strzała. Przedtem jednak powiła mu syna, Hipolita.

Po jej śmierci Tezeusz posłał po Fedrę, najmłodszą córkę króla Minosa, z którą się ożenił. Hipolit był teraz silnym i pięknym młodzieńcem, oddanym jeździe konnej i czystemu kultowi Artemidy, opiekuńczemu bóstwu jego matki. Wkrótce Fedrę opanowała pałaca namiętność do niego i zaczęła błagać swą starą piastunkę, by pośredniczyła w romansie. Kiedy Hipolit zaszokowany odmówił, powiesiła się, pozostawiając list, w którym oskarżała go o gwałt. Tezeusz, przekonany jej śmiercią, wypędził syna i rzucił na niego śmiertelne przekleństwo, powierzone mu przez ojca Posejdona. Gdy Hipolit jechał rydwanem drogą nad skalistym wybrzeżem, bóg posłał olbrzymią falę, zwieńczoną u szczytu bykiem morskim, który spłoszył jego konie. Jego zgruchotane ciało zostało przyniesione Tezeuszowi, który zbyt późno poznał prawdę.

Po tym wydarzeniu Tezeusza opuściło szczęście. Kiedy pomagał Pirithoosowi w próbie uprowadzenia Persefony, został uwięziony na cztery lata w świecie podziemnym, gdzie cierpiał udręki, póki Herakles go nie uwolnił. Gdy wrócił, zastał Ateny pod rządami bezprawia i zbuntowane. Gdy nie udało mu się przywrócić porządku, przeklął miasto i postawił żagle, by wyruszyć na Krete. Po drodze zatrzymał się przy Skyros, gdzie z powodu zdrady gospodarza spadł z wysokiej skały do morza.

Wybrana bibliografia

Plutarch, *Żywot Tezeusza*

M. Ventris and J. Chadwick, *Documents in Mycenaean*

Greek L. R. Palmer, *Mycenaean Greek Texts from Pylos; Achaeans and*

Indo-Europeans J. Chadwick, *The Earliest Greeks* A. J. Wace, *Mycenae; The Mycenae Tablets* J. D. S. Pendlebury, *The Palace of Minos, Knossos* C. Zervos, *L'Art de la Crète, Néolithique et Minoenne* I. Thallon Hill, *The Ancient City of Athens The Principal Upanishads*, ed. S. Radhakrishnaa R. Graves, *Mity greckie* Eranos Yearbooks 2: *The Mysteries* W. F. Otto, *The Homeric Gods* G. Glotz, *Ancient Greece at Work* M. I. Finlay, *The World of Odysseus* L. Cottrell, *The Bull of Minos*